

**Clive Cussler**

# **Odyseja trojańska**

**Przełożył: Maciej Pintara**

**Wydanie polskie: 2004**

**NOC HAŃBY**

**ÍMN**

**Okolo roku 1190 p.n.e.**

### **Twierdza na wzgórzu w pobliżu morza**

Konstrukcja była prosta i zmyślna, miała wzbudzić ciekawość i spełniła swe zadanie. Brzydkie monstrum wysokie na sześć metrów stało na czterech mocnych, drewnianych nogach wspartych na płaskiej platformie. Trójkątna obudowa była otwarta na końcach. Z przodu, na jej ostrym szczycie, wznosił się zaokrąglony garb z dwiema szczelinami na oczy. Boki pokrywały wołowe skóry. Platforma mocująca nogi leżała płasko na ziemi. Ludzie z twierdzy Ilium jeszcze nigdy dotąd nie widzieli czegoś takiego.

Tym, którzy mieli trochę wyobraźni, konstrukcja przypominała konia.

Dardanowie, obudziwszy się rankiem, sądzili, że znowu ujrzą Achajów otaczających ich ufortyfikowany gród, i szykowali się do walki jak codziennie przez ostatnie lata. Lecz równina w dole była pusta. Zobaczyli tylko gęsty dym unoszący się nad miejscem, gdzie jeszcze wczoraj znajdował się obóz wroga. Achajowie i ich flota zniknęli. W nocy załadowali na okręty zapasy, konie, broń i rydwany, i odpłynęli, pozostawiając tylko tajemniczego drewnianego potwora. Dardańscy zwiadowcy wrócili i oznajmili, że Achajowie opuścili swój obóz.

Ludzie, uradowani, że oblężenie się skończyło, otworzyli główne wrota twierdzy i wylegli tłumnie na równinę, gdzie dwie armie ścierały się i przelewały krew w stu bitwach. Zrazu byli nieufni. Niektórzy, podejrzewając podstęp, nawoływali, by spalić konstrukcję, wkrótce jednak przekonali się, że to po prostu prymitywne, drewniane pomieszczenie na czterech nogach, niemogące niczemu zagrozić. Jakiś mężczyzna wdrapał się na górę i stwierdził, że jest puste w środku.

– Jeśli tylko takiego konia potrafia zbudować Achajowie – zawołał – to nic dziwnego, że zwyciężyliśmy.

Tłum wybuchnął śmiechem i zaczął radośnie śpiewać, gdy nadjechał król Priam. Król zszedł z rydwanu i podziękował za wiwaty, a potem okrążył dziwną budowlę, usiłując odgadnąć jej przeznaczenie.

Przekonawszy się z zadowoleniem, że konstrukcja nie stwarza żadnego zagrożenia, uznał ją za łup wojenny i kazał przetoczyć do wrót miasta, gdzie miała stanąć jako pomnik upamiętniający wspaniałe zwycięstwo nad achajskimi najeźdźcami.

Radość zakłócili dwaj żołnierze, którzy przyprowadzili achajskiego jeńca porzuconego przez towarzyszy. Nazywał się Sinon i był kuzynem potężnego Odyseusza, króla Itaki i jednego z wodzów wielkiej armii oblegającej Ilium. Znalazłszy się przed Priamem, Sinon padł do stóp staremu królowi i zaczął błagać o życie.

– Dlaczego cię porzucono? – zapytał Priam.

– Mój kuzyn posłuchał tych, którzy byli moimi wrogami, i wypędził mnie z obozu. Gdybym nie uciekł między drzewa, gdy spuszczaali okręty na wodę, z pewnością powleczono by mnie na linie przez morze i albo bym utonął, albo pożarłyby mnie ryby.

Król przyjrzał się uważnie Sinonowi.

– Jaką tajemnicę kryje w sobie budowla? Czemu służy?

– Jako że nie mogli zdobyć waszej twierdzy, a nasz wielki bohater Achilles poległ w bitwie, uznali, że bogowie przestali im sprzyjać. Wzniesli tę budowlę w ofierze, w nadziei, że bogowie pozwolą im przynajmniej szczęśliwie powrócić przez morza do domu.

– Czemu jest tak duża?

– Byście nie mogli zabrać jej jako łupu do miasta, gdzie upamiętniałyby największą klęskę, poniesioną przez Achajów w naszych czasach.

– Rozumiem ich. – Stary, mądry Priam uśmiechnął się. – Nie pomyśleli jednak, że temu samemu celowi może również służyć, stojąc poza murami miasta.

Setka mężczyzn pocięła i ociosała kłody na rolki. Druga setka zebrała sznury, powiązała je w dwie liny i pociągnęli łup przez równinę leżącą pomiędzy miastem a morzem. Trudzili się, ociekając potem, niemal przez cały dzień. Kiedy zaczęli wciągać zwaliste monstrum po stoku wzgórza, na którym stała twierdza, pospieszyli im z pomocą inni mężczyźni. Późnym popołudniem ten znój dobiegł końca i wielka konstrukcja stanęła przed głównymi wrotami miasta. Ludzi wciąż przybywało, po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy wychodzili swobodnie na zewnątrz, bez lęku przed wrogiem. Tłum stał i patrzył na monstrum nazywane teraz koniem dardańskim.

Kobiety i dziewczęta podniecone i uradowane, że wreszcie ustały walki, wyszły za mury miasta i zrywały kwiaty, by ozdobić girlandami groteskowego drewnianego stwora.

– Pokój! Zwycięstwo! – krzyczały radośnie.

– Nie pojmujecie? To podstęp! – zawołała Kasandra, córka Priama, uważana za niespełna rozumu, bo wieściła straszne prorocтва i przepowiednie.

– Zaślepiea was uniesienie. Jesteście głupcami, skoro ufacie darom ofiarnym Achajów – zawtórował jej brodaty kapłan, Laokoon.

Wziął potężny zamach i cisnął włócznią w brzuch konia. Wbiła się w drewno aż po koniec grota i drżała przez chwilę. Tłum skwitował śmiechem ten gest zrodzony z lęku.

– Kasandra i Laokoon postradali zmysły! Ten potwór jest nieszkodliwy. To tylko deski i kłody powiązane razem – wołano.

– Głupcy! – krzyknęła Kasandra. – Tylko dureń mógłby uwierzyć Achajowi Sinonowi.

– On mówi, że teraz, kiedy to należy do Ilium, nasze miasto nigdy nie padnie – powiedział jakiś wojownik.

– Łże! – wybuchnęła Kasandra.

– Czy można nie przyjąć błogosławieństwa bogów?

– Nie wtedy, gdy pochodzi od Achajów. – Laokoon przepchnął się przez tłum i pełen gniewu ruszył w stronę miasta.

Nic nie przemawiało do uszczęśliwionych ludzi. Wróg odszedł. Dla nich wojna się skończyła. Nadszedł czas świętowania.

Upojony radością tłum nie dbał o obawy i ostrzeżenia Kasandry i Laokoona. Nim minęła godzina, zainteresowanie koniem opadło i rozpoczęła się wielka zabawa – świętowano hucznie triumf nad achajskim nieprzyjacielem. Za murami twierdzy rozbrzmiewała muzyka fletów i piszczałek, na każdej ulicy śpiewano i tańczono, w każdym domu wino lało się strumieniami, a za każdym razem, kiedy wznoszono i opróżniano puchary, wybuchał gromki, radosny śmiech.

W świątyniach kapłani i kapłanki palili kadzidło, śpiewali pieśni i dziękowali bogom i boginiom za zakończenie straszliwej wojny, która tylu wojowników przeniosła do podziemnego świata.

Rozradowani ludzie wznosili toasty za swego króla, bohaterów tej wojny, rannych i tych, którzy polegli, walcząc mężnie z wrogiem.

– Hektorze, o Hektorze, nasz wielki wodzu. Gdybyś tylko dożył tego dnia i mógł cieszyć się naszą chwałą... – wołano.

– Daremnie ci głupcy Achajowie szturmowali nasz wspaniały gród – krzyczała jakaś kobieta, wirując w szalonym tańcu.

– Uciekli jak przerażone dzieci – wrzeszczała inna.

I tak paplali, kiedy wino krążyło im we krwi – rodzina królewska w pałacu, bogacze w swych wielkich domach wzniesionych na tarasach, biedacy w ruderach stłoczonych pod murami wewnątrz miasta dla ochrony przed wiatrem i deszczem. Ucztowało całe Ilium. Wszyscy pili, zjadali resztki cennych zapasów zgromadzonych podczas oblężenia i świętowali, jakby czas się zatrzymał. Po północy pijackie orgie ustały i poddani starego króla Priama zapadli w głęboki sen, a ich zaćmione winem umysły odprężyły się i zaznały spokoju po raz pierwszy od czasu, kiedy znienawidzeni Achajowie oblegli gród.

Wielu chciało pozostawić wielkie wrota otwarte jako symbol zwycięstwa, ale przeważało zdanie bardziej rozsądnych – bramę zamknięto i zaryglowano.

Pojawili się nagle, przybyli z północy i ze wschodu. Przeplłynęli zielone morze w setkach okrętów i wylądowali w zatoce otoczonej wielką równiną Ilium. Ujrzawszy, że nizina pokryta była w znacznej części bagnami, Achajowie rozbili obóz na przylądku i rozładowali okręty swojej floty.

Ich czarne kadłuby wysmołowane poniżej linii wody, ponad nią miały mnóstwo rozmaitych barw, takich, jakie lubili najbardziej różni królowie. Okręty napędzały długie wiosła; jedno duże na rufie służyło za ster. Mając identyczne dzioby i rufy, mogły płynąć w obu kierunkach. Duży, czworokątny żagiel nie nadawał się do rejsu pod wiatr i stawiano go tylko wówczas, gdy bryza wiała od rufy. Na dziobie i rufie wznosiły się pokłady, wyrzeźbione ptaki, najczęściej jastrzębie i sokoły zdobiły stewy dziobowe. Liczebność załóg była różna, od stu dwudziestu ludzi na okrętach bojowych do dwudziestu na transportowych, przeważnie składały się one z pięćdziesięciu dwóch ludzi, łącznie z dowódcą i pilotem.

Władcy małych królestw utworzyli luźny sojusz, by najeżdzać i rabować miasta położone wzdłuż wybrzeża morskiego, podobnie jak to czynili wikingowie dwa tysiące lat później. Wojownicy pochodzili z Argos, Pylos, Arkadii, Itaki i wielu innych regionów. Choć w tamtych czasach uważano ich za rosnących mężczyzn, tylko niewielu miało powyżej metra sześćdziesięciu wzrostu. Walczyli zaciekle, chronieni pancerzami z brązu, okrywającymi przód ciała i przypiętymi skórzanymi rzemieniami. Na głowach nosili hełmy z brązu, z rogami lub z czubami. Dolne części ich ramion i nóg osłaniały fragmenty zbroi zwane nagolennicami.

Byli mistrzami włóczni, ich ulubionej broni. Tylko wówczas, gdy je strzaskali albo stracili, używali krótkich mieczy. Wojownicy z epoki brązu rzadko posługiwali się łukami i strzałami; uważali je za broń tchórzów. Walczyli zza wielkich tarcz sporządzonych z sześciu do ośmiu warstw skóry wołowej i przymocowanych rzemieniami do wiklinowej ramy o zewnętrznych krawędziach z brązu. Owe tarcze były najczęściej okrągłe, ale wiele przypominało kształtem cyfrę osiem.

Rzecz dziwna, w odróżnieniu od wojowników innych królestw czy kultur, Achajowie nie mieli kawalerii. Nie atakowali też przeciwników na rydwanach, te używali głównie do transportu ludzi i zapasów na pole bitwy. Woleli walczyć pieszo, jak Dardanowie z Ilium. Ale ich celem nie było po prostu podbicie i zagarnięcie jakiegoś terytorium, nie chodziło im też o zwykłą grabież. Najeźdźcy chcieli zdobyć metal niemal tak cenny jak złoto.

Zanim Achajowie przyплыли na swych okrętach pod Ilium, złupili kilkanaście miast położonych wzdłuż wybrzeża, zabrali mnóstwo skarbów i wzięli wielu niewolników, głównie kobiety i dzieci. Ale mogli sobie tylko wyobrażać ogromne bogactwa strzeżone przez potężne mury Ilium i zdeterminowanych obrońców.

W sercach achajskich wojowników zaczął wzbierać lęk, gdy patrzyli na miasto leżące na krańcu skalistego cypla i przyglądali się masywnym kamiennym murom, mocnym wieżom i pałacowi królewskiemu wznoszącemu się wysoko nad grodem. Teraz, gdy cel znalazł się w zasięgu ich wzroku, stało się dla nich jasne, że to miasto nie będzie łatwym łupem, jak te, które zdobyli dotychczas, i że czeka ich długa i ciężka walka.

Obawy Achajów potwierdziły się bardzo szybko. Kiedy wyszli na ląd, Dardanowie dokonali wypadu z fortecy i niemal rozgromili awangardę armii najeźdźców, zanim przybyła

reszta okrętów z głównymi siłami. Jednak Achajowie wkrótce uzyskali przewagę liczebną i Dardanowie wycofali się po krwawej potyczce w bezpieczne miejsce za główne wrota miasta.

Przez całe lata na równinie wciąż toczyły się bitwy. Dardanowie walczyli nieustępliwie. Stosy ciał pokrywały ziemię leżącą pomiędzy obozem Achajów i murami Ilium, ginęli najwspanialszy wojownicy i bohaterowie obu armii. Pod koniec każdego dnia obie strony paliły swoich poległych na wielkich stosach pogrzebowych. Potem na owych stosach już dogasających usypywano kopce, tworząc w ten sposób pomniki poległych. Gineły tysiące ludzi, wojna zdawała się nie mieć końca, zmagania nie ustawały.

Zginął dzielny Hektor, syn króla Priama i największy wojownik Ilium, padł również jego brat Parys. Achajowie ponieśli także ogromne straty, wśród ich poległych wojowników znaleźli się potężny Achilles i jego przyjaciel Patrokles. Po śmierci największego herosa Achajów ich wodzowie, królowie Agamemnon i Menelaos, zaczęli się zastanawiać, czy nie należałoby zrezygnować z dalszego oblężenia i pożegłować do domu. Mury twierdzy okazały się nie do zdobycia. Kończyły się zapasy, najeźdźcy musieli płądrować kraj w poszukiwaniu żywności i wkrótce ogołócili go zupełnie z płodów rolnych. Tymczasem Dardanowie byli zaopatrywani przez swoich sojuszników spoza królestwa, którzy przystąpili do wojny po ich stronie.

Achajowie, przygnębieni coraz pewniejszą klęską szykowali się do zwinięcia obozu i odwrotu, gdy przebiegły Odyseusz, król Itaki, wymyślił sprytny sposób na pokonanie wroga.

Kiedy Ilium świętowało zwycięstwo, flota achajska powróciła pod osłoną ciemności. Achajowie szybko przyплыnęli z pobliskiej wyspy Tenedos, gdzie ukrywali się w ciągu dnia. Kierunek wskazywało im ognisko rozpalone przez oszusta Sinona, znów przybili do brzegu, przywdziali zbroje i ruszyli cicho przez równinę. W pętłach splecionej liny nieśli ogromną kłodę.

Sprzyjała im ciemna bezksiężycowa noc. Dotarli niezauważeni przez nikogo pod same miasto i zatrzymali się w odległości stu metrów od jego murów. Zwiadowcy pod wodzą Odyseusza podkradli się obok wielkiego, drewnianego konia do głównych wrot.

Sinon zabił dwóch wartowników drzemających na wieży strażniczej. Nie zamierzał sam otwierać bramy wysokiej na dziesięć metrów – by unieść ryglującą ją wielką belkę, potrzeba było ośmiu silnych mężczyzn.

– Wartownicy nie żyją – zawołał cicho z góry do Odyseusza. – Wszyscy w mieście są pijani albo śpią. To najlepszy moment na wyłamanie wrot.

Odyseusz rozkazał natychmiast swoim ludziom trzymającym ogromną kłodę, żeby unieśli jej przedni koniec i umieścili ją na małej pochylni prowadzącej do wnętrza konia. Kiedy jedna grupa pchała z dołu, druga wspięła się na górę i podciągnęła kłodę pod spiczasty dach. Gdy kłoda znalazła się w środku, uniesiono ją na pętłach i zawisła w powietrzu. Dardanowie nie domyślili się, że koń zbudowany za radą Odyseusza był taranem.

Mężczyźni, którzy znaleźli się wewnątrz konia, odciągnęli kłodę w tył, potem pchnęli ją

mocno w przód.

Ostry grot z brązu umocowany na jej końcu uderzył z głuchym łomotem w drewniane wrota. Zadrżały na zawiasach, ale nie ustąpiły. Taran raz za razem walił w belki o grubości trzydziestu centymetrów. Każde uderzenie odłupywało drzazgi, ale wrota nie puszczały. Achajowie obawiali się, że Dardanowie mogą usłyszeć te odgłosy, wyrzeć za mur, zobaczyć nieprzyjacielską armię w dole i zaalarmować pogrążonych we śnie wojowników. Stojący wysoko na murze Sinon czuwał, by któryś z mieszkańców Ilium, usłyszawszy hałas, nie udaremnił planu Odyseusza. Ale ci, którzy jeszcze nie spali, myśleli, że to dźwięki dalekiego grzmotu.

Wyglądało już na to, że trud Achajów okaże się daremny, gdy nagle wrota wypadły z jednego zawiasu. Odyseusz nakłonił swoich ludzi do jeszcze jednego wysiłku, sam otoczył kłodę ramionami, napiął mięśnie i pchnął. Wojownicy z całej siły wbili grot tarana w odporne wrota.

W pierwszej chwili wydawało się, że nie zdołają ich sforsować, lecz po chwili wstrzymali oddech – wrota wisiały jeszcze przez jakiś czas na drugim zawiasie, po czym zaskrzypiały przeraźliwie i runęły z hukiem na kamienny chodnik wewnątrz twierdzy.

Achajowie wpadli do Ilium niczym wygłodniałe wilki, wyjąc jak szaleńcy. Przetaczali się przez ulice jak niepowstrzymana fala przyływu. Napięcie i wściekłość narastające w nich przez dziesięć tygodni niekończących się walk, w których zginęło tylu ich rodaków i towarzyszy, a które nie przyniosły im dotąd żadnych łupów ani korzyści, znalazły teraz ujście w żądzy krwawej zemsty. Nie oszczędzali nikogo. Wdzierali się do domów, zabijali mieczami i włóczniami mężczyzn, rabowali kosztowności, porywali kobiety i dzieci, a potem podpalali wszystko, co było w zasięgu ich wzroku.

Piękna Kasandra uciekła do świątyni, sądząc, że będzie bezpieczna pod ochroną straży. Ale wojownik Ajaks nie znał uczucia lęku. Dopadł ją pod posągiem bogini.

Wojownicy Ilium nie byli godnymi przeciwnikami dla mściwych wrogów. Gramolili się chwiejnie z łóżek, oszołomieni i zamroczeni winem, bronili się nieporadnie i ginęli na miejscu. Nikt nie mógł powstrzymać rzezi. Nic nie było w stanie powstrzymać fali zniszczenia. Ulicami płynęły potoki krwi. Otoczeni Dardanowie walczyli i padali, ginęli straszną śmiercią. Tylko niewielu los pozwolił umrzeć, zanim zobaczyli swoje domy w płomieniach, rodziny uprowadzane przez najeźdźców, nim usłyszeli krzyki swych kobiet, płacz swoich dzieci i wycie tysięcy miejskich psów.

Króla Priama, jego świtę i strażę zamordowano bezlitośnie. Jego żona, Hekuba, stała się niewolnicą. Pałac ograbiono ze skarbów. Zdarto złoto z kolumn i sufitów, zabrano piękne tkaniny ścienne i drogie meble, potem podpalono wspinałe wnętrza.

Włócznie i miecze wszystkich Achajów splamiły się krwią. To, co się stało, przypominało atak rozjuszonych, głodnych wilków na stado owiec w zagrodzie. Starzy ludzie także nie uniknęli rzezi. Zarżnięto ich jak króliki, byli zbyt przerażeni, by się ruszyć, lub za



słabi, by uciekać.

Najdzielniejsi wojownicy dardańscy padali jeden po drugim i w końcu nie został nikt, kto mógłby stawiać opór żadnym krwi Achajom. W płonących domach leżały ciała tych, którzy polegli w obronie swoich bliskich i dobytku.

Sojusznicy Dardanów – Trakowie, Licjanie i Frygijczycy – walczyli dzielnie, ale szybko zostali pokonani. Dumne wojowniczkę, Amazonki, wspierające armię Ilium, broniły się równie mężnie, ale i one musiały ulec przeważającym liczebnie wrogom. Zanim zginęły, zabiły wielu znenawidzonych najeźdźców.

Wszystkie domy w mieście stały teraz w płomieniach, łuna pożarów oświetlała niebo, a Achajowie rabowali i mordowali. Przerazający spektakl wydawał się nie mieć końca.

Wreszcie jednak krwawa nocna orgia zmęczyła najeźdźców. Opuszczali płonące miasto, zabierali łupy i pędzili jeńców w kierunku swoich okrętów. Pojmane kobiety, zrozpaczone po stracie mężów, płakały żałośnie i tuliły wystraszone dzieci. Wiedziały, że czeka je straszny los niewolnic w obcych krajach achajskich, ale to była zwykła kolej rzeczy w owych czasach i musiały się z tym pogodzić. Niektóre zostały później żonami swoich zdobywców, urodziły im dzieci i wiodły długie życie. Inne, dręczone i maltretowane, pomarły wcześniej. Nie wiadomo, co stało się z ich dziećmi.

Wycofanie się wrogiej armii nie oznaczało końca nieszczęść i cierpień, jakich doznali mieszkańcy Ilium. Nie wszyscy w mieście zginęli od miecza, wielu spośród tych, którym udało się uniknąć rzezi, spłonęło w swoich domach. Zostali tam uwięzieni, gdy spadły na nich płonące belki stropowe. W czerwonopomarańczowym oślepiającym blasku, pod chmurami napływającymi od morza, wirowały iskry i popioły. Takie okropności wojny powtarzały się jeszcze wiele razy w ciągu stuleci.

Setki ludzi szczęśliwie uniknęło śmierci, uciekły z miasta w głąb lądu do pobliskich lasów. Zbiegowie ukrywali się tam, dopóki flota achajska nie zniknęła za horyzontem na północnym wschodzie, skąd przyplłynęła, potem zaczęli powoli wracać do swojego – niegdyś wspaniałego – warownego miasta Ilium. Wewnątrz masywnych murów obronnych zastali tylko tłące się ruiny i nieznośny odór spalonych ciał.

Nie potrafili się zmusić do odbudowy swoich domów, przenieśli się do innego kraju i wzniesli nowe miasto. Minęły lata i morska bryza rozwiała po równinie popioły spalonego grodu. Kamienne mury i ulice powoli pokrył pył.

Z czasem miasto się odrodziło, ale już nigdy nie odzyskało dawnej świetności. Trzęsienia ziemi, susze i zarazy spowodowały w końcu jego ostateczny upadek, rozpadło się w gruzy i przez następne dwa tysiące lat pozostało wyludnione. Ale jego sława rozbrzysła raz jeszcze, gdy siedemset lat później poeta, znany jako Homer, barwnie opisał wydarzenia nazwane wojną trojańską i podróż greckiego herosa, Odyseusza.

Sprytny i przebiegły Odyseusz bez skrupułów zabijał i okaleczał wrogów, ale, w odróżnieniu do swoich towarzyszy broni, nie traktował pojmanych kobiet jak barbarzyńca.

Choć pozwalał swoim ludziom popełniać czyny niegodziwe, zabrał ze zniszczonego miasta tylko bogactwa zdobyte na znienawidzonych wrogach, którzy pozbawili życia tylu jego wojowników. On jeden spośród Achajów nie uprowadził żadnej kobiety, by uczynić ją swoją kochanką. Tęsknił za żoną Penelopą i synem. Nie widział ich już od dawna i pragnął powrócić do swojego królestwa na wyspie Itaka tak szybko, jak go mogły tam zanieść lotne wiatry.

Opuściwszy spalone miasto, złożył ofiary bogom i pożeglował przez zielone morze. Pomyślne wiatry niosły jego małą flotę na południowy zachód ku domowi.

Wiele dni później, po strasznym sztormie, na wpół żywy Odyseusz pokonał z trudem załamujące się fale przyboju i wydostał się na brzeg na wyspie Korcyra. Wyczerpany zasnął w stercie liści w pobliżu plaży i tu znalazła go później księżniczka Nauzykaa, córka króla Feaków, Alkinoosa. Zaciekawiona potrząsnęła nim, chcąc sprawdzić, czy jeszcze żyje.

Ocknął się i zapatrzył w nią, olśniony jej urodą.

– Widziałem kiedyś na Delos istotę tak cudowną jak ty – powiedział.

Zauroczona Nauzykaa zaprowadziła rozbitka do pałacu ojca, gdzie Odyseusz; przedstawił się jako król Itaki i został przyjęty po królewsku z wielkim szacunkiem. Król Alkinoos i jego żona, królowa Arete, łaskawie ofiarowali mu okręt, by mógł wrócić do domu, ale dopiero wtedy, gdy obiecał, że uraczy króla i cały dwór opowieścią o wielkiej wojnie i przygodach, jakich on sam doznał po opuszczeniu Ilium. Wydano na jego cześć wspaniałe przyjęcie, a on chętnie zgodził się opowiedzieć o swoich bohaterskich czynach i tragicznych przejściach.

– Wkrótce po tym, jak opuściliśmy Ilium – zaczął – wiatr zmienił kierunek na przeciwny i zepchnął moją flotę daleko na otwarte morze. Po wielu dniach żeglugi po wzburzonych wodach przybiliśmy w końcu do brzegu w dziwnym kraju. Moich ludzi i mnie przyjęto tam bardzo przyjaźnie i serdecznie. Nazwaliśmy tubylców Lotosojadami, gdyż żywili się owocami nieznanego drzewa, które utrzymywały ich w stanie ciągłej euforii. Niektórzy z moich ludzi zaczęli także jeść owoce lotosu i wkrótce stali się gnuśni, apatyczni, przestali odczuwać chęć powrotu do domu. Widząc, że grozi nam, iż podróż do ojczyzny zakończy się w tej krainie, kazałem zawlec ich z powrotem na okręty. Natychmiast podnieśliśmy żagle i powiosłowaliśmy szybko na morze.

Sądziłem – i myliłem się – że dotarłem daleko na wschód, i pożeglowałem na zachód. Nocą drogę wskazywały mi gwiazdy, za dnia wschodzące i zachodzące słońce. Dotarliśmy do grupy gęsto zalesionych wysp, na których niemal nieustannie padał deszcz. Mieszkała tam rasa ludzi nazywających siebie Cyklopami. Ci leniwi prostacy hodowali wielkie stada kóz i owiec.

Wyruszyłem z kilkoma moimi ludźmi na poszukiwanie żywności. Na zboczu góry natrafiliśmy na jakąś grotę; miała zagrodzone wejście i trzymano tam zwierzęta. Uznawszy to za dar bogów, zaczęliśmy wiązać kozy i owce, by zabrać je na okręty. Nagle usłyszeliśmy

odgłos ciężkich kroków i po chwili wejście przesłonił olbrzymi mężczyzna. Wszedł do środka groty i zablokował wejście, wtoczywszy do otworu wielki głaz, po czym zajął się swoją trzodą. Skryliśmy się w mroku, bojąc się wręcz oddychać.

Olbrzym rozdmuchał tłące się palenisko. Kiedy buchnął płomień, dostrzegł nas skulonych w głębi groty. Nigdy nie widziałem brzydszej twarzy. Cyklop miał tylko jedno oko, czarne jak noc. „Kim jesteście? – zapytał ostrym tonem. – Czemu wtargnęliście do mojego domu?”

„Nie jesteśmy najeźdźcami – odrzekłem. – Przy płynęliśmy tu na naszych okrętach, by napęłnić beczki wodą”.

„Przyszlście ukraść mi owce! – zagrział olbrzym. – Zawołam moich przyjaciół i sąsiadów. Wkrótce przybędą ich setki, ugotujemy was i zjemy”.

Byliśmy achajskimi wojownikami, mającymi za sobą długą i trudną wojnę, umieliśmy walczyć, wiedzieliśmy jednak, że wkrótce stracimy przewagę liczebną. Znalazłem długą, cienką żerdź zagrządzającą drogę owcom i zaostrzyłem mieczem jej koniec. Potem uniosłem bukłak pełen wina i powiedziałem:

„Spójrz, Cyklopie. Ofiarowuję ci wino, byś darował nam życie”.

„Jak się nazywasz?” – zapytał ostro.

„Moja matka i ojciec nazwali mnie Nikt” – odparłem.

„A cóż to za głupie imię?” – Brzydki potwór bez słowa wyłopał cały bukłak, a po chwili odurzony mocnym winem zwałił się na ziemię i zasnął.

Szybko chwyciłem długą żerdź i wbiłem jej zaostroszony koniec w jedyne oko śpiącego olbrzyma. Wrzeszcząc z bólu, wytoczył się chwiejnie na zewnątrz, wyrwał żerdź z oka i zaczął wzywać pomocy. Jego sąsiedzi Cyklopi usłyszeli krzyki i przybiegli sprawdzić, co się wydarzyło.

„Kto cię napadł?” – zawołali.

„Nikt!” – wrzasnął w odpowiedzi.

Sąsiedzi uznali, że zwariował i wrócili do swych domów. Uciekliśmy z groty i pobiegliśmy ku naszym okrętom. Obrzuciłem ślepego olbrzyma obelgami.

„Dzięki, że podarowałaś nam swoje owce, ty głupi Cyklopie – drwiłem zeń bezlitośnie. – A kiedy twoi przyjaciele zapytają, jak zraniłeś się w oko, powiedz im, że przechytrzył cię Odyseusz, król Itaki”.

– Potem twój okręt się rozbił i morze przyniosło cię do brzegów Korcyry? – zapytał król Feaków.

Odyseusz przecząco pokręcił głową.

– Zanim się to stało, minęło jeszcze wiele miesięcy. – Pociągnął łyk wina, po czym podjął swoją opowieść. – Silne prądy i wiatry zagnały nas daleko na zachód. Udało się nam znaleźć ląd i zarzuciliśmy kotwicę przy brzegu wyspy zwanej Ajolia. Żył tam dobry król Eol, syn Hippotasa i ulubieniec bogów. Miał sześć córek i sześciu lubieżnych synów, więc nakłonił ich do poślubienia swoich sióstr. Wszyscy mieszkali razem i brakowało im chyba tylko ptasiego

mleka, ich życie było nieustającym świętowaniem.

Kazał swym ludziom zaopatrzyć nas w żywność i wodę i wkrótce znowu pożeglowaliśmy przez wzburzone fale. Siódmego dnia, kiedy morze się uspokoiło, dotarliśmy do portowego miasta Lajstrygonów. Przepłynąwszy przez wąski przesmyk między dwoma skalistymi cyplami, zarzuciliśmy kotwicę. Wdzięczni bogom, że pozwolili nam znów stanąć na twardym gruncie, ruszyliśmy w głąb lądu i spotkaliśmy piękną dziewczynę, która niosła wodę.

Kiedy zapytaliśmy ją, kto jest królem tej krainy, wskazała nam drogę do domu swojego ojca. Ale gdy tam przybyliśmy, okazało się, że jego żona była olbrzymką wielką jak ogromne drzewo. Wyglądała upiornie, oniemieliśmy na jej widok.

Zawołała swojego męża, Antyfatesa. Był jeszcze większy od niej, dwakroć większy niż Cyklopi. Ujrawszy takie monstrum, przerażeni pobiegliśmy z powrotem ku naszym okrętom. Ale Antyfates podniósł alarm i wkrótce pojawiły się tysiące potężnych Lajstrygonów. Wyrosli niby las i zaczęli ze szczytów urwisk miotać na nas kamienie z wielkich proc. Nie zwykłe kamienie, lecz głazy niemal tak wielkie jak nasze okręty. Ocalał tylko mój okręt, reszta floty została zatopiona.

Moi ludzie powpadali do wody w porcie i Lajstrygonowie zakłuli ich oszczepami jak ryby, następnie wyciągnęli ciała na brzeg, ograbili zwłoki i je pożarli. Mój okręt w ciągu kilku minut znalazł się na otwartym morzu, byliśmy już bezpieczni, ale ogarnął nas wielki smutek. Straciliśmy nie tylko przyjaciół i towarzyszy, lecz także okręty z wszystkimi skarbami zrabowanymi w Ilium. Większa część dardańskiego złota, które przypadło nam w udziale, spoczęła na dnie morza w lajstrygońskim porcie.

Pożeglowaliśmy dalej, zrozpaczeni i przybici dotarliśmy do wyspy Kirke, siedziby sławnej i pięknej królowej, którą czczono jako boginię. Urzekł mnie jej niezwykły wdzięk, oczarowała jej uroda, zostaliśmy przyjaciółmi. Spędziłem w jej towarzystwie trzy obroty księżyca. Miałem chęć zostać tam dłużej, ale moi ludzie zaczęli nalegać, bym ruszył z nimi w powrotną podróż do naszych domów w Itace i zagrozili, że, jeśli się na to nie zgodzę, odpłyną beze mnie.

Kirke ze łzami w oczach zgodziła się, bym odjechał, ale błagała, żebym odbył jeszcze jedną podróż. „Musisz pożeglować do Hadesu i zobaczyć się z tymi, którzy tam trafili, to pozwoli ci zrozumieć, czym jest śmierć. W dalszej drodze strzeż się śpiewu Syren, gdyż z pewnością będą chciały zwabić ciebie i twoich ludzi na zabójcze skaliste wyspy. Zasłoń uszy, byś nie słyszał ich wesołych pieśni. Gdy już bezpiecznie oddalisz się od kuszących Syren, miniesz poszarpane skały zwane Wędrowcami. Nawet ptak nie może nad nimi przelecieć. Wszystkie statki, które próbowały tamtędy przepłynąć, zatoneły wraz z załogami. Z wyjątkiem jednego”.

„Komu się to udało?” – zapytałem.

„Słynnemu Jazonowi na statku «Argo»,,.

„Czy potem już wypłyniemy na spokojne wody?”

Kirke pokręciła głową.

„Potem napotkacie następną skalistą górę. Sięga nieba, ma zbocza tak gładkie, jak szklivo na dzbanie i nie sposób się na nią wspiąć. W jej wnętrzu znajduje się jaskinia, w której żyje straszliwy potwór Scylla, zagrażający każdemu, kto się do niego zbliży. Ma sześć długich, węzowatych szyj i przerażających głów ze szczękami o trzech rzędach zębów, które potrafią zmiażdżyć człowieka w mgnieniu oka. Uważaj, żeby Scylla nie wysunęła głów i nie pochwyciła ludzi z twojej załogi. Wiosłujcie szybko, bo inaczej wszyscy zginiecie. Potem będziecie musieli pożeglować przez wody, gdzie czai się Charybda, ogromny wir, który może wciągnąć wasz okręt w głębiny. Wyliczcie czas tak, by przepłynąć tamtędy, wtedy gdy śpi”.

Pożegnałem się czule z Kirke, zajęliśmy nasze miejsca na okręcie i zaczęliśmy wiosłować.

Piękna żona króla Alkinoosa pobladła na twarzy.

– Naprawdę popłynąłeś do podziemnego świata? – szepnęła.

– Tak, posłuchałem Kirke i pożeglowaliśmy w kierunku Hadesu, przerażającej krainy zmarłych. Po pięciu dniach otoczyła nas gęsta mgła i znaleźliśmy się na rzece Okeanos otaczającej cały świat. Niebo zniknęło i zamknęła się wokół nas wieczna ciemność, której nigdy nie przenikają promienie słońca. Przybiliśmy do brzegu. Zszedłem na ląd sam jeden i kroczyłem przed siebie w niesamowitej upiornej poświacie, aż dotarłem do rozległej groty w zboczu góry. Usiadłem i czekałem.

Wkrótce zaczęły się zbierać duchy, wydając przerażające jęki. Omal nie postradałem zmysłów, gdy pojawiła się moja matka. Nie wiedziałem, że umarła, bo żyła jeszcze, kiedy wyruszałem do Ilium.

„Mój synu – wyszeptała cicho – czemu przybyłeś do krainy ciemności, skoro żyjesz? Nie dotarłeś jeszcze do swojego domu w Itace?”

Ze łzami w oczach opowiedziałem jej o koszmarnej podróży i strasznym losie moich wojowników w drodze powrotnej z Ilium.

„Umarłam, bo pękło mi serce z trwogi, że już nigdy nie zobaczę mojego syna”.

Zapłakałem, słysząc te słowa, i próbowałem ją objąć, lecz była jak obłok mgły i moje ramiona pozostały puste.

Duchy przybywały grupami, niegdyś znałem i szanowałem te kobiety i tych mężczyzn. Podchodzili, rozpoznawali mnie, a milcząc witali skinieniem głowy i wracali do swojej groty. Zaskoczył mnie widok mego starego towarzysza, króla Agamemnona, który był naszym wodzem pod Ilium.

„Zginałeś na morzu?” – zapytałem.

„Nie, napadła na mnie moja żona ze swoim kochankiem i bandą zdrajców. Walczyłem dzielnie, ale uległem ich przeważającym siłom. Zamordowali również Kasandrę, córkę Priama”.

Następnie zjawił się szlachetny Achilles z Patroklesem i Ajaksem i pytali mnie o swoje

rodziny, ale nie potrafiłem im nic powiedzieć. Porozmawialiśmy o starych czasach, potem oni też wrócili do podziemnego świata. Stawały przy mnie duchy innych przyjaciół i wojowników, każdy opowiadał swoją ponurą historię.

Zobaczyłem tyłu zmarłych, że moje serce przepełniło się głębokim żalem. W końcu nie mogłem dłużej znieść tego widoku, opuściłem owo smutne miejsce i wróciłem na okręt. Nie oglądając się za siebie, popłynęliśmy przez mgłę, w końcu zobaczyliśmy słońce i wzięliśmy kurs na wyspę Syren.

– Minęliście ją szczęśliwie? – zapytał król.

– Tak – odrzekł Odyseusz. – Ale zanim podjęliśmy tę próbę, wyszukałem dużą bryłę wosku i pokroiłem mieczem na małe kawałki. Potem ugniotłem je i kiedy zmiękły, kazałem moim ludziom, by zatkali sobie nimi uszy. Kazałem im też, żeby przywiązali mnie do masztu i nie zwracali na mnie uwagi, gdybym błagał ich o zmianę kursu, bo inaczej rozbijemy się o skalisty brzeg.

Syreny zaczęły śpiewać, gdy tylko zobaczyły, że nasz okręt pojawił się obok ich skalistej wyspy.

„Przybądź do nas i posłuchaj naszej słodkiej pieśni, sławny Ulisesie. Poddaj się brzmieniu jej melodii i pójdź w nasze ramiona. Będiesz oczarowany i staniesz się jeszcze mądrzejszy niż jesteś”.

Melodia i ich głosy były tak urzekające, że błagałem swoich ludzi, by wzięli kurs na syrenią wyspę, ale oni tylko przywiązali mnie mocniej do masztu i zaczęli szybciej wiosłować. Dopiero gdy oddaliliśmy się od wyspy na tyle, że nie słychać już było śpiewu Syren, wyjęli wosk z uszu i odwiązali mnie.

Zaraz potem napotkaliśmy wielkie fale i usłyszeliśmy głośny ryk morza. Ponagliłem ludzi, by szybciej wiosłowali, i poprowadziłem okręt przez wzburzone wody. Nie powiedziałem załodze o strasznym potworze Scylli, bo wtedy porzuciliby wiosła i stłoczyliby się przerażeni w ładowni. Dotarliśmy do cieśniny między skałami, wpłynęliśmy na wody Charybdy i dostaliśmy się w wir. Czuliśmy się jak w oku cyklonu, spodziewaliśmy się, że lada moment zginiemy. Nagle z góry zaatakowała Scylla, jej żmijowate głowy porwały sześciu moich najlepszych wojowników. Słyszałem ich rozpaczliwe krzyki, gdy unosili się ku niebu i miażdżyły ich szczęki pełne ostrych zębów. Wyciągali do mnie ręce, umierając w męczarniach, i wrzeszczeli z przerażenia. To była najstraszniejsza scena, jaką widziałem w czasie tej koszmarnej podróży.

Uciekliśmy na otwarte morze, ale niebo zaczęły przecinać błyskawice. Trafił w nas piorun, rozszedł się zapach siarki. Potworna siła rozerwała okręt na kawałki i rzuciła załogę w rozszalałe fale. Wszyscy moi ludzie szybko utonęli.

Udało mi się uchwycić złamanego masztu, wokół którego był owinięty mocny rzemień. Przywiązałem się w pasie do części roztrzaskanego kila. Wdrapałem się okrakiem na moją prowizoryczną tratwę i dryfowałem tam, dokąd niosły mnie prąd i wiatr. Po wielu dniach, gdy

byłem już ledwo żywy, morze wyrzuciło mnie na brzeg wyspy Ogygia, którą władała kusząco piękna i mądra nimfa Kalipso. Znaleźli mnie jej czterej poddani i zanieśli do pałacu, a ona zajęła się mną troskliwie i przywróciła do zdrowia.

Przez pewien czas żyłem szczęśliwie na Ogygii otaczany czułą opieką Kalipso, która sypiała u mojego boku. Spędzaliśmy razem całe dni w bajecznym ogrodzie z czterema fontannami, tryskającymi wodą w przeciwnych kierunkach. Wyspę porastały bujne lasy, stada kolorowych ptaków fruwały wśród gałęzi drzew, Przez spokojne ciche łąki między winnicami płynęły czyste jak kryształ strumienie.

– Jak długo pozostałeś u Kalipso? – zainteresował się król.

– Kilka lat.

– Dlaczego po prostu nie znalazłeś łodzi i nie odpłynąłeś? – zapytała królowa Arete.

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Bo na wyspie nie było żadnej łodzi – odparł.

– Więc jak się stamtąd wydostałeś?

– Dobra, łagodna Kalipso знаła powody mojego smutku. Obudziła mnie pewnego ranka i powiedziała, że pragnie, abym wrócił do domu. Ofiarowała mi narzędzia, zabrała mnie do lasu i pomogła ściąć drzewa do budowy tratwy. Uszyła żagle ze skóry wołowej i zaopatrzyła mnie w wodę i jedzenie. Po pięciu dniach byłem gotowy do drogi. Choć się zgodziła, bym odjechał, gdy nadeszła chwila rozstania, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Była niezwykłą kobietą, o jakiej marzą wszyscy mężczyźni. Gdybym nie kochał Penelopy bardziej niż jej, chętnie zostałbym z nią na zawsze. – Odyseusz przerwał na chwilę swą opowieść, w jego oku zakłęciła się łza. – Bałem się, że kiedy ją opuszczę, umrze z tęsknoty.

– A co się stało z twoją tratwą? – spytała Nauzykaa. – Kiedy cię znalazłam, leżałeś na brzegu.

– Po siedemnastu dniach spokojnej żeglugi morze nagle się rozszalało. Gwałtowny sztorm z ulewnym deszczem i porywistym wiatrem podarł mi żagiel. Wielkie fale miały wątlą tratwę, omal się nie rozpadła. Dryfowałem przez dwa dni, aż wreszcie wydostałem się na brzeg waszej wyspy, gdzie mnie znalazłaś, słodka i piękna Nauzykao. – Odyseusz zamilkł znowu na chwilę. – Tak kończy się opowieść o moich przygodach i niedolach.

Niewiarygodna historia Odyseusza urzekła wszystkich, którzy jej wysłuchali.

– To dla nas wielki zaszczyt, że możemy gościć tak znakomitą postać – oświadczył król Alkinoos. – Uraczyłeś nas wspaniałą, niezwykłą opowieścią, jesteśmy przeto twoimi dłużnikami. W podzięcie ofiaruję ci mój najszybszy statek wraz z załogą, byś mógł wrócić na nim do swego domu w Itace.

Odyseusz podziękował gorąco za okazaną mu łaskę, wzruszony i oszołomiony taką hojnością, ale pragnął już niecierpliwie wyruszyć w drogę.

– Żegnajcie, szlachetny królu Alkinoosie, miłościwa królowo Arete i ty, Nauzykao – powiedział. – Dzięki za waszą dobroć. Bądźcie szczęśliwi, oby bogowie zawsze wam

sprzyjali.

Opuścił pałac i odprowadzono go na statek. Przy pomyślnym wietrze i spokojnym morzu dotarł wreszcie do swego królestwa na wyspie Itaka, gdzie powitał go syn Telemach. Został tu również swą żonę Penelopę w otoczeniu zalotników i wszystkich co do jednego pozabijał.

Tak kończy się *Odyseja*, poemat epicki, który przetrwał wieki, rozpalając niezmiennie ciekawość i wyobraźnię każdego, kto czytał tę historię lub jej słuchał. Tyle że owa opowieść nie jest całkiem prawdziwa lub przynajmniej jest prawdziwa tylko w części.

Albowiem Homer nie był Grekiem. A wydarzenia, które opiewają Iliada i Odyseja, nie rozgrywały się tam, gdzie umiejscawiają je legendy.

Prawdziwa historia Odyseusza jest zupełnie inna i miała zostać ujawniona dużo, dużo później...



**CZEŚĆ I**

**GNIEW MORZA**

# 1

**15 sierpnia 2006**

**Key West, Floryda**

Doktor Heidi Lisherness zamierzała za chwilę pojechać z mężem na kolację do miasta, lecz jeszcze po raz ostatni zerknęła na obraz satelitarny. Siedziała przy swoim biurku w zielonej bluzce i szortach, żeby móc łatwiej znosić sierpniowy florydzki upał. Była kobietą o bujnych kształtach, srebrzystoszare włosy upięła z tyłu w kok.

Uniosła się z fotela i już miała wyłączyć komputer, gdy zaintrygowało ją to, co zobaczyła na monitorze. Przekaz pochodził z satelity znajdującego się nad Atlantykiem na południowy zachód od Wysp Zielonego Przylądka u wybrzeży Afryki. Heidi usiadła znowu i wpatrzyła się uważnie w ekran.

Niewprawne oko zobaczyłoby tam tylko kilka niewinnych obłoków sunących nad lazurowym morzem, ale Heidi dostrzegła coś, co było groźne. Porównała ów obraz z tym sprzed dwóch godzin. Cumulusy gromadziły się znacznie szybciej niż wszystkie chmury burzowe, które oglądała w ciągu osiemnastu lat swojej pracy w Centrum Badań Huraganów NUMA – Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych – gdzie monitorowała i prognozowała huragany tropikalne nad Atlantykiem. Zaczęła powiększać dwa obrazy rodzącego się sztormu.

Do pokoju wszedł jej mąż Harley, pogodny, łysy mężczyzna z sumiastymi wąsami i w okularach bez oprawki. Jego twarz zdradzała lekkie zniecierpliwienie. Harley był także meteorologiem, ale pracował w Narodowej Służbie Meteorologicznej jako analityk danych klimatycznych, które przekazywano w formie prognoz pogodowych komercyjnym i prywatnym samolotom, łodziom i statkom na morzu.

– Co ty jeszcze robisz? – zapytał i spojrzał znacząco na zegarek. – Mamy rezerwację w Crab Pot.

Nie odrywając wzroku od ekranu monitora, Heidi wskazała mu ruchem dłoni dwa obrazy komputerowe.

– Dziela ją dwie godziny. Co o tym sądzisz?

Harley przyglądał się im przez dłuższą chwilę. Potem zmarszczył brwi, poprawił okulary i przysunął się bliżej. W końcu spojrzął na żonę i skinął głową.

– Tworzy się cholernie szybko – powiedział.

– Zbyt szybko – odrzekła Heidi. – Jeśli tak dalej pójdzie, Bóg jeden wie, jaki potężny będzie ten sztorm.

– Nigdy nie wiadomo – powiedział w zamyśleniu Harley. – Może nadciągnąć groźny jak lew, a odejść łagodny jak owieczka. Tak już bywało.

– To prawda, ale większość sztormów osiąga taką siłę w ciągu dni, czasem tygodni. Ten narósł w ciągu godzin.

– Jest za wcześnie, żeby można było przewidzieć jego kierunek i rejon, w którym dokona największych zniszczeń.

– Mam nieprzyjemne uczucie, że jest nieprzewidywalny.

Harley uśmiechnął się.

– Będziesz mnie informowała na bieżąco?

Żona poklepała go lekko po ramieniu.

– Narodowa Służba Meteorologiczna dowie się pierwsza.

– Wymyśliłaś już jakieś imię dla swojego nowego przyjaciela?

– Jeśli okaże się taki paskudny, jak podejrzewam, nazwę go Lizzie, od tej morderczyni z siekierą, Lizzie Borden.

– O tej porze roku trochę za wcześnie na nazwę zaczynającą się od litery L, ale pasuje. – Harley wręczył żonie torebkę. – Jutro zobaczysz, co z tego wyniknie. Umieram z głodu. Chodźmy wreszcie na te kraby.

Heidi posłusznie wyszła za mężem z biura, zgasła światło i zamknęła drzwi.

Ale wsiadając do samochodu, czuła nadal rosnący niepokój. Nie myślała w ogóle o jedzeniu, tylko o nadciągającym huraganie, który mógł uderzyć z niespotykaną siłą.

Na Atlantyku huragan to huragan. Ale nie na Pacyfiku, gdzie jest nazywany tajfunem, ani na Oceanie Indyjskim, gdzie zwą go cyklonem. Huragan to najstraszniejsza siła przyrody. Często powoduje większe zniszczenia niż erupcje wulkanów i trzęsienia ziemi, gdyż pustoszy dużo większe rejony.

Narodziny huraganu – podobnie jak narodziny człowieka czy zwierzęcia – wymagają nieodzownie zaistnienia wielu określonych okoliczności. Najpierw wody tropikalne wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki ogrzewają się do temperatury powyżej dwudziestu sześciu stopni Celsjusza. Potem prażące słońce powoduje parowanie ogromnych ilości wody do atmosfery. Wilgoć unosi się do chłodniejszej warstwy powietrza i kondensuje w postaci mas cumulusów, co wywołuje ulewne deszcze i burze z piorunami. To połączenie wytwarza ciepło, które wzmacnia rosnącą nawałnicę i przekształca ją w dojrzewającą

kataklizm.

Powietrze porusza się spiralnie i przemieszcza z prędkością trzydziestu trzech węzłów, czyli sześćdziesięciu jeden kilometrów na godzinę. Wzmagający się wiatr powoduje spadek powierzchniowego ciśnienia powietrza – im większy jest ów spadek, tym intensywniejsza staje się cyrkulacja wiatru – aż wreszcie powstaje wir. Ten system, jak to nazywają meteorolodzy, wytwarza potężną siłę odśrodkową, która obraca ścianę wiatru i deszczu wokół zdumiewająco spokojnego oka cyklonu. Wewnątrz oka świeci słońce, morze jest stosunkowo gładkie i jedyną oznaką potwornej energii są szalejące wokół białe ściany o wysokości piętnastu kilometrów.

Zjawisko jest nazywane depresją tropikalną, dopóki wiatr nie osiągnie prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę, a wtedy staje się huraganem. Potem, zależnie od swojej szybkości, otrzymuje odpowiedni numer w skali od jednego do pięciu. Jeśli wieje z prędkością od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zalicza się go do kategorii pierwszej i uważa za minimalny. Kategoria druga to „umiarkowane” wichury o szybkości do stu siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Wiatry kategorii trzeciej wieją z prędkością od stu siedemdziesięciu sześciu do dwustu dziesięciu kilometrów i są określane mianem ekstensywnych. Kiedy wichur osiąga szybkość do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jest nazywany ekstremalnym. Taką prędkość miał huragan Hugo, który w 1989 roku zburzył większość nadmorskich domów położonych na północ od Charlestonu w Karolinie Południowej. Kategoria piąta to wiatry o szybkości powyżej dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, nazywane katastrofalnymi. Należał do nich huragan Camille, który w 1969 roku uderzył w Luizjanę i Missisipi. Zginęło dwieście pięćdziesiąt sześć osób. Kropla w morzu w porównaniu z ośmioma tysiącami ofiar z roku 1900, gdy wielki huragan kompletnie zniszczył Galveston w Teksasie. Ale rekord należy do tropikalnego cyklonu z roku 1970, który zaatakował wybrzeża Bangladeszu i stał się sprawcą śmierci prawie pół miliona osób.

Wielki huragan z roku 1926 spowodował na południowym wschodzie Florydy i w Alabamie straty w wysokości osiemdziesięciu trzech miliardów dolarów, co wywołało inflację. O dziwo, były tylko dwieście czterdzieści trzy śmiertelne ofiary.

Nikt, łącznie z Heidi Lishemess, nie spodziewał się, że huragan Lizzie ma własny diaboliczny umysł i jego furia zawstydzi poprzednie huragany atlantyckie. Już wkrótce nabrawszy siłę, miał rozpocząć morderczą podróż w kierunku Morza Karaibskiego, by siać chaos i niszczyć wszystko na swojej drodze.

## 2

Potężny i szybki rekin młot o długości ponad czterech i pół metra sunął z gracją przez przejrzystą wodę niczym szara chmura nad łąką. Z końców płaskiego płata biegnącego w poprzek pyska spoglądało dwoje wyłupiastych oczu. Dostrzegły ruch, obróciły się i spoczęły na stworzeniu płynącym przez koralowy las poniżej. Nie przypominało żadnej ryby znanej rekinowi. Miało z tyłu dwie równoległe płetwy, czarne ciało z czerwonymi pasami wzdłuż boków. Nie wyglądało zbyt smakowicie i wielki rekin oddalił się, kontynuując swe niekończące się poszukiwania bardziej apetycznej zdobyczy. Nie wiedział, że dziwne stworzenie byłoby pysznym kąskiem.

Summer Pitt zauważyła rekina, ale zignorowała go, pochłonięta całkowicie badaniem raf koralowych Navidad Bank, położonych siedemdziesiąt mil morskich na północny wschód od Republiki Dominikańskiej. Niebezpieczne rafy zajmowały obszar ponad dwóch tysięcy trzystu kilometrów kwadratowych, głębokość morza wahała się od jednego do trzydziestu metrów. Przez cztery wieki zatonoło tu co najmniej dwieście statków. Rozbiły się o rafy koralowe wieńczące szczyt podwodnej góry wyrastającej z przepastnych głębin Atlantyku.

W tej części Navidad Bank nienaruszone i piękne koralowce wyrastały w niektórych miejscach z piaszczystego dna na wysokość piętnastu metrów. Delikatne wachlarze morskie i wielkie korale mózgowo o żywych kolorach i pięknie rzeźbionych konturach rozciągały się w błękitnej pustce niczym wspaniałe ogród z mnóstwem łukowych sklepień i grot. Summer miała wrażenie, że płynie przez labirynt alejek i tuneli; jedne okazywały się ślepymi zaułkami, inne otwierały się na kaniony i wąwozy, tak szerokie, iż mogłaby przejechać nimi duża ciężarówka.

Choć temperatura wody przekraczała dwadzieścia sześć stopni, Summer Pitt miała na sobie pełny skafander Viking Pro Turbo 1000 z wytrzymałej, wulkanizowanej gumy, osłaniający całe jej ciało od stóp do głów. Włożyła ten czarno-czerwony strój zamiast lżejszego skafandra częściowego nie dlatego, że obawiała się chłodu; chciała zabezpieczyć się

przed skażeniem chemicznym i biologicznym, którego źródło zamierzała wykryć w trakcie dokonywania oceny i monitoringu koralowców.

Zerknęła na kompas i skrzyła nieco w lewo. Posuwała się naprzód, poruszając płetwami i trzymając ręce z tyłu za dwiema butlami tlenowymi, żeby zmniejszyć opór wody. Wydawać by się mogło, że w pękatym skafandrze i pełnej masce oddechowej łatwiej byłoby chodzić jej po dnie, niż pływać, ale ostra i nierówna w wielu miejscach powierzchnia rafy koralowej prawie wykluczała tę pierwszą możliwość.

Workowaty strój płetwonurka i maska na twarzy skrywały figurę i rysy twarzy Summer. Tylko piękne szare oczy za szybą maski i kosmyk rudych włosów na czole pozwalały się domyślać jej wspaniałej urody.

Summer uwielbiała morze i pływanie w tajemniczej pustce pod jego powierzchnią. Każde nurkowanie było nową przygodą w nieznanym świecie. Często wyobrażała sobie, że jest rusałką ze słoną wodą w żyłach. Za namową matki podjęła studia w Instytucie Oceanograficznym Scrippsa, wyróżniała się w nauce i otrzymała stopień magistra biologii morskiej. W tym samym czasie jej brat bliźniak, Dirk, uzyskał dyplom inżyniera morskiego na Uniwersytecie Atlantyckim Stanu Floryda.

Wkrótce po powrocie do domu na Hawajach dowiedzieli się od swojej umierającej matki, że ich ojciec, którego dotąd nie znali, jest dyrektorem projektów specjalnych w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych w Waszyngtonie. Matka nigdy im dotąd o nim nie mówiła, dopiero teraz, na łożu śmierci, opowiedziała dorosłym dzieciom o miłości, jaka łączyła ich ojca i ją i dlaczego chciała, żeby myślał, iż zginęła w podwodnym trzęsieniu ziemi przed dwudziestoma trzema laty. Została wówczas ciężko ranna i oszpecona i uznała, że będzie lepiej, jeśli uwolni go od siebie. Kilka miesięcy później urodziła bliźniaki. Dla upamiętnienia jej wiecznej miłości nadała córce swoje imię Summer, a synowi imię ojca Dirk.

Po pogrzebie matki Dirk i Summer polecili do Waszyngtonu, by po raz pierwszy w życiu spotkać się z ojcem. Ich nagłe pojawienie się było dla niego szokiem. Oszołomiony widokiem córki i syna, o których istnieniu nie miał pojęcia, nie posiadał się z radości. Przez ponad dwadzieścia trzy lata sądził, że jego największa miłość już dawno nie żyje. Bardzo posmutniał, gdy się dowiedział, że przez te wszystkie lata była inwalidką, nie chciała, żeby o tym wiedział, i zmarła zaledwie przed miesiącem.

Objął dzieci i wprowadził je do starego hangaru, w którym urządził sobie dom i w którym zgromadził dużą kolekcję zabytkowych samochodów. Kiedy usłyszał, że matka nalegała, by rodzeństwo poszło w jego ślady, zatrudnił oboje w NUMA.

Teraz, po dwóch latach pracy nad morskimi projektami specjalnymi na całym świecie, Summer i jej brat wybrali się w niezwykłą podróż, żeby zebrać dane o dziwnym toksycznym skażeniu niszczącym delikatne podwodne formy życia na Navidad Bank i innych rafach na całych Karaibach.

Na większości raf nadal roiło się od zdrowych ryb i koralowców. Jaskrawo ubarwione

lucjany mieszały się z papugorybami, niewielkie, opalizujące, żółto-purpurowe ryby tropikalne śmigają wokół maleńkich, brązowo-czerwonych koników morskich. Z otworów w koralowcach wystawiały głowy mureny, groźnie rozwierały i zaciskały szczęki, jakby tylko czekały, żeby zatopić ostre zęby w pożywieniu. Ale Summer wiedziała, że nie były niebezpieczne – po prostu w taki sposób oddychały, bo nie miały skrzeli szyjnych ani grzbietowych. Rzadko atakowały ludzi, chyba że zostały sprowokowane. Żeby zostać ugryzionym przez murenę, trzeba było niemal włożyć jej rękę do pyska. Nad piaszczystą przestrzenią między koralowcami przesunął się cień i Summer spojrzała w górę, sądząc, że wrócił rekin, żeby przyjrzeć się jej bliżej, ale zobaczyła pięć nakrapianych płaszczynek. Jedna odłączyła się od reszty i okrążyła Summer, popatrzyła na nią z zaciekawieniem, potem uniosła się i wróciła do pozostałych.

Summer pokonała jeszcze czterdzieści metrów, przepłynęła nad kolonią koralowców ośmiopromiennych i dostrzegła wrak statku. Nad szczątkami unosi się niemal dwumetrowa barrakuda, obserwując zimnymi, czarnymi, paciorkowatymi oczami wszystko, co działo się w jej królestwie.

Parowiec „Vandalia” wpadł na rafy Navidad Bank w roku 1876 podczas silnego sztormu. Ze stu osiemdziesięciu pasażerów i trzydziestu członków załogi nikt się nie uratował. Londyński Lloyd uznał statek za zaginiony bez śladu. Los parowca pozostawał tajemnicą, dopóki w roku 1982 nurkowie amatorzy nie odkryli jego szczątków. Ze wspañiałej „Vandalii” niewiele się zachowało. W ciągu stu trzydziestu lat spoczywania na rafach pokryła ją warstwa morskiej roślinności i koralowców o grubości dochodzącej w niektórych miejscach do jednego metra. O tym, że wrak był kiedyś dumnym statkiem, świadczyły tylko kotły i silniki, które zachowały się między pogiętymi burtami i odsłoniętymi wręgami. Większość drewna zniknęła, przegniła w słonej wodzie lub pożarły ją stworzenia morskie żywiące się każdą substancją organiczną.

„Vandalię” zbudowano w roku 1864 dla Zachodnioindyjskiego Towarzystwa Żeglugowego. Mierzyła dziewięćdziesiąt osiem metrów długości i trzynaście szerokości. Zabierała dwustu pięćdziesięciu pasażerów i miała trzy duże ładownie. Kursowała między Liverpooliem i Panamą, gdzie kolej przewoziła pasażerów i ładunek na wybrzeże przesmyku po stronie Oceanu Spokojnego, a stamtąd parowce zabierały do Kalifornii.

Niewielu nurków wydobyło artefakty z „Vandalii”. Trudno ją było znaleźć wśród koralowców i mało z niej pozostało po katastrofie tamtej strasznej nocy, gdy ogromne fale sztormowe zwały się na nią na otwartym morzu, zanim zdążyła dopłynąć do bezpiecznego portu w Republice Dominikańskiej lub na pobliskich Wyspach Dziewiczych.

Summer dryfowała nad starym wrakiem, niesiona łagodnym prądem. Patrzyła w dół i próbowała sobie wyobrazić ludzi, którzy kiedyś chodzili po pokładach. Miała dziwne doznania, czuła się tak, jakby szybowała nad cmentarzem i jego mieszkańcy przemawiali do niej z przeszłości.

Nie spuszczała z oka wielkiej barrakudy wiszącej nieruchomo w wodzie. Groźnej rybie nie brakowało pożywienia. Wewnątrz i wokół statku było tyle form życia morskiego, że wystarczyłoby ich do zapełnienia encyklopedii ichtiologicznej.

Summer przestała w końcu myśleć o dawnej tragedii, ostrożnie ominęła barrakudę, która przez cały czas czujnie ją obserwowała, zatrzymała się w bezpiecznej odległości i sprawdziła na wskaźniku zapas powietrza w butlach. Oznaczyła swoją pozycję na satelitarnym minikomputerze GPS, porównała ustawienie igły kompasu z kierunkiem do podwodnej bazy, w której mieszkała z bratem od czasu, gdy rozpoczęli badania nad rafami, i zerknęła na zegar sterujący. Uznała, że ma trochę za dużą wyporność i zneutralizowała ją, wypuszczając niewielką ilość powietrza z kompensatora na plecach.

Po przepłynięciu następnych stu metrów zauważyła, że koralowce tracą jaskrawe kolory i stają się bezbarwne. Im dalej się zapuszczała, tym bardziej szkliste i chore były gąbki, potem napotykała już tylko obumarłe, w końcu zniknęły w ogóle. Jednocześnie drastycznie spadała widoczność, aż wreszcie Summer mogła dostrzec tylko to, co znajdowało się w zasięgu jej ręki.

Summer czuła się jak w gęstej mgle. Zagadkowe zjawisko nazywane brązową zawiesiną występowało od pewnego czasu na całych Karaibach. Woda tuż pod powierzchnią stanowiła dziwną brunatną masę, która zdaniem rybaków wyglądała jak ścieki. Na razie nikt dokładnie nie wiedział, co to jest i skąd się bierze. Oceanolodzy uważali, że to rodzaj glonów, ale jeszcze tego nie dowiedli.

Rzecz dziwna, zawiesina nie zabijała ryb, jak podobny do niej „czerwony przypływ”. Nie doznawały najgorszych skutków skażenia toksycznego, ale zaczynały głodować i tracić schronienie. Summer zauważyła, że piękne anemony morskie z odnogami wyciągniętymi ku prądowi są również atakowane przez dziwną zarazę. Postanowiła natychmiast pobrać kilka wstępnych próbek, Później zamierzała zrobić zdjęcia martwej strefy Navidad Bank i zbadać skład chemiczny wody. Miała nadzieję, że dzięki analizom uda się jej w końcu znaleźć przeciwśrodk.

Pierwsze nurkowanie miało charakter rozpoznawczy. Chciała zobaczyć na własne oczy skutki skażenia, żeby móc potem wraz z kolegami naukowcami przebywającymi na pokładzie znajdującego się w pobliżu statku badawczego, ocenić skalę problemu i stworzyć precyzyjny plan przyszłych studiów nad tą sprawą.

Pierwsze ostrzeżenie o inwazji brązowej zawiesiny nadesłał w roku 2002 zawodowy nurek pracujący u wybrzeży Jamajki. Dziwne zanieczyszczenie dryfowało z Zatoki Meksykańskiej wokół Florida Keys. Podwodne zniszczenia były w zasadzie niewidoczne z powierzchni morza i nikt ich nie zgłaszał. Summer przekonała się, że tutaj sytuacja jest inna. Zawiesina na Navidad Bank była dużo bardziej toksyczna. Summer zaczęła znajdować martwe rozgwiazdy i skorupiaki – krewetki i homary. Zauważyła też, że ryby pływające w mętnej wodzie wydają się ospałe, jakby zupełnie otepiały.



Wyjęła kilka szklanych buteleczek z torby na udzie i zaczęła pobierać próbki wody. Zebrała również martwe rozgwiazdy i skorupiaki i wrzuciła do siatki przy pasie balastowym. Kiedy szczelnie zamknięte słoiczki spoczęły bezpiecznie w torbie, znów sprawdziła zapas powietrza. Powinno go jej wystarczyć jeszcze na co najmniej dwadzieścia minut. Ponownie spojrzała na kompas i ruszyła w stronę, z której przyплыnęła. Po chwili znów otoczyła ją czysta woda.

Summer obserwowała od niechcienia piaszczyste dno i dostrzegła nagle małą grootę w rafach koralowych. Nie zauważyła jej dotychczas. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak dwadzieścia innych, które Summer mijała w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut. Ale ta grot różniła się czymś od tamtych, miała prostokątne wejście. Summer wyobraziła sobie dwie koralowe kolumny.

Do wnętrza prowadził pas piasku. Zaciekawiona Summer wplynęła do środka – pamiętała, że pozostał jej jeszcze spory zapas powietrza – i spojrzała w głąb.

Tuż za wejściem, w promieniach słońca wpadających z góry, skrzyły się ściany o barwie indygo. Summer wolno poplynęła wzdłuż piaszczystego dna. Po kilku metrach błękit pociemniał i zmienił się w brąz. Odwróciła się i spojrzała nerwowo przez ramię, ale widząc jasność wokół otworu wejściowego, odzyskała spokój. Bez lampy do nurkowania Summer niewiele widziała, ale łatwo było sobie wyobrazić niebezpieczeństwa, które mogły czaić się w atramentowej głębi. Wykonała zręczny zwrot i ruszyła z powrotem ku wejściu.

Nagle zawadziła płetwą o coś, co było do połowy zagrzebane w piasku. Summer pomyślała, że to kawałek rafy koralowej i już chciała to zlekceważyć, ale pokryte koralowcem znalezisko miało symetryczne kształty, jakby zrobił je człowiek. Wydobyla przedmiot z piasku, przesunęła się ku światłu i opłukała go w wodzie. Obiekt miał wielkość staromodnego pudła na kapelusze damskie i był ciężki, nawet pod wodą. Z górnej części sterczały dwa uchwyty, dół pokryty morską naroślą wyglądał na podstawę. Środek wydawał się wydrążony – jeszcze jedna oznaka, że nie było to dzieło natury.

Summer przyglądała się sceptycznie swojej zdobyczy. Postanowiła zabrać przedmiot do bazy, by tam dokładnie go oczyścić i zobaczyć, co się kryje pod warstwą koralowca.

Dodatkowy ciężar tajemniczego obiektu i martwych stworzeń zebranych na dnie morza zmienił jej wyporność, wpuściła więc powietrze do kompensatora, po czym ścisnęła przedmiot pod pachą i poplynęła do bazy, nie zwracając uwagi na pęcherze powietrza, które pozostawiała za sobą.

Wkrótce w połyskującej, błękitnej wodzie zobaczyła tymczasowy dom, w którym ona i jej brat mieli mieszkać przez najbliższych dziesięć dni.

„Pisces”, tak często nazywano tajną stacją kosmiczną, ale baza była podwodnym laboratorium do badań oceanicznych. Prostokątna konstrukcja zaokrąglona na końcach ważyła sześćdziesiąt pięć ton, miała dwanaście metrów długości, trzy metry szerokości i dwa i pół metra wysokości. Stała na nogach przymocowanych do ciężkiej płyty, która zapewniała

stabilność na dnie morskim piętnaście metrów pod powierzchnią. Wejściowa komora powietrzna służyła za magazyn i przebieralnię dla pływaczy. W pomieszczeniu głównym, gdzie utrzymywano różnicę ciśnień między dwoma przedziałami, znajdowały się mała pracownia naukowa, kuchnia, ciasna jadalnia, cztery koje oraz konsola komputerowa i telekomunikacyjna połączona z anteną zewnętrzną do kontaktowania się ze światem na górze.

Summer zdjęła butle tlenowe i połączyła je ze zbiornikiem napełniającym, usytuowanym na dnie morza obok bazy. Wstrzymała oddech i wpłynęła do komory powietrznej w górze, gdzie ostrożnie włożyła do małego pojemnika torbę i siatkę z próbkami. Tajemniczy przedmiot porośnięty koralowcem umieściła na złożonym ręczniku. Nie chciała ryzykować skażenia. To, że będzie musiała jeszcze przez kilka minut wytrzymać tropikalny upał i pocić się intensywnie, wydawało się jej niewielką ceną za uniknięcie choroby, która mogła spowodować śmierć.

Po pływaniu w brązowej zawieszce jedna kropla na skórze mogła być zabójcza. Summer na razie nie odważyła się zdjąć skafandra Viking z kapturem Turbo, butami, uszczelnionymi rękawicami i pełną maską. Odpięła pas balastowy, ściągnęła z pleców kompensator wyporności i otworzyła dwa zawory natryskowe. Silne strumienie specjalnego roztworu dezynfekującego zmyły z jej skafandra wszelkie pozostałości brązowej zawieszki. Kiedy nabrała pewności, że jest już odpowiednio odkażona, zamknęła zawory i zastukała we wąż do pomieszczenia głównego.

Choć męska twarz po drugiej stronie wizjera należała do jej brata bliźniaka, nie było między nimi dużego podobieństwa. Urodzili się w odstępach kilku minut, ale bardzo różnili się wyglądem. Szczupły, muskularny i mocno opalony Dirk junior liczył sobie prawie dwa metry wzrostu i był zdecydowanie wyższy od Summer. W odróżnieniu od rudej, szarookiej siostry, miał gęste, czarne włosy i zielone, hipnotyzujące oczy, które opalizowały, gdy światło padało pod odpowiednim kątem.

Kiedy Summer wyszła z komory, Dirk usunął z jej szyi uszczelnienie kołnierzone między skafandrem a kapturem. Poznała po jego świdrującym spojrzeniu i ponurej minie, że zaraz będzie awantura.

Zanim zdążył otworzyć usta, wyrzuciła ręce do góry.

– Wiem, wiem, nie powinnam nurkować sama.

– Zawsze jesteś mądrzejsza – powiedział z irytacją jej brat. – Gdybyś nie wymknęła się błędym światem, kiedy jeszcze spałem, dogoniłbym cię i zaciągnął za kołnierz z powrotem.

Summer udała skruchę.

– Przepraszam. Ale mogę więcej działać, gdy nie muszę się martwić o partnera.

Dirk pomógł jej rozpiąć ciężkie suwaki wodoszczelne przynitowane do skafandra Viking. Zdjęła rękawice i zsunęła za głowę kaptur wewnętrzny, zaczęła ściągać skafander z ramion i tułowia, potem z nóg i stóp. Jej włosy opadły miedzianorudą kaskadą. Nosila pod spodem obcisłe body z nylonu polipropylenowego, które ładnie uwydatniało apetyczne krągłości jej

ciała.

– Wpłynęłaś w zawieszinę? – zapytał z niepokojem Dirk.

Skinęła głową.

– Wzięłam próbki.

– Jesteś pewna, że nie miałaś przecieku w skafandrze?

Uniosła ręce nad głowę i wykonała piruet.

– Sprawdź sam. Nie zobaczysz jednej kropli toksycznego szlamu.

Dirk położył jej dłoń na ramieniu.

– Nigdy więcej nie nurkuj sama, zapamiętaj to sobie. Przynajmniej nie wtedy, kiedy będę w pobliżu – powiedział z naciskiem.

– Tak jest, braciszku – odparła, uśmiechając się protekcyjnie.

– Włóżmy twoje próbki do szczelnego pojemnika. Kapitan Barnum zabierze je do pracowni analitycznej na statku.

– Będzie tutaj? – zapytała zaskoczona.

– Wprosił się na lunch – odrzekł Dirk. – Uparł się, żeby osobiście dostarczyć nam prowiant. Powiedział, że musi odpocząć od dowodzenia statkiem.

– Zawiadom go, żeby nie pokazywał się bez butelki wina.

Dirk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Miejmy nadzieję, że ta wiadomość dotrze do niego przez osmozę.

Chudy jak kościotrup kapitan Paul T. Barnum mógłby uchodzić za brata legendarnego Jacquesa Cousteau, gdyby nie to, że był prawie zupełnie łysy. Miał na sobie niepełny skafander nurka i nie zdjął go po wejściu do pomieszczenia głównego. Dirk pomógł mu postawić na kontuarze kuchennym metalową skrzynię z prowiantem na dwa dni. Summer zaczęła wkładać żywność do małej szafki i lodówki.

– Przyniosłem wam prezent – oznajmił Barnum i uniósł do góry butelkę jamajskiego wina. – Nie tylko ten. Kucharz na statku zrobił wam na obiad smażonego homara z kremem szpinakowym.

– To wyjaśnia pańską obecność – powiedział Dirk i poklepał kapitana po plecach.

– Alkohol w pracy? – mruknęła drwiąco Summer. – Co by na to powiedział nasz szanowny szef, admirał Sandecker? Łamie pan jego żelazną zasadę, że nie pije się na statkach NUMA.

– Wasz ojciec miał na mnie zły wpływ – odparł Barnum. – Nigdy nie wchodził na pokład bez butelki dobrego wina. A jego kumpel Al Giordino nie pokazywał się bez skrzyneczki pełnej cygar admirała.

Dirk uśmiechnął się.

– Chyba wszyscy oprócz admirała wiedzą, że Al potajemnie kupuje cygara z tego samego źródła.

– Co będzie na przystawkę? – zainteresował się Barnum.

– Świeża ryba po amerykańsku i sałatka z krabów.

– Kto czyni honory szefa kuchni?

– Ja – mruknął Dirk. – Jedyne, co potrafi Summer zrobić z owoców morza, to kanapka z tuńczykiem.

– Akurat – obruszyła się. – Jestem dobra w kuchni.

Dirk obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem.

– Więc czemu twoja kawa smakuje jak kwas akumulatorowy? – zapytał.

Homara usmażonego w maśle i krem szpinakowy popijali jamajskim winem. Barnum opowiadał o swoich morskich przygodach. Summer wykrzywiła się brzydko do brata, podając na deser merengę cytrynową, którą upiekła w mikrofalówce. Dirk musiał przyznać, że dokonała cudu kulinarnego, bo kuchenka mikrofalowa i pieczenie ciasta to dwie sprzeczności.

Barnum wstał, zamierzając wrócić już na statek. Summer dotknęła jego ramienia.

– Mam dla pana zagadkę – powiedziała.

Kapitan zmrużył oczy.

– Jakiego rodzaju zagadkę?

Wręczyła mu przedmiot znaleziony w grocie.

– Co to jest? – zapytał.

– Chyba jakiś dzban albo waza. Dowiemy się po usunięciu narośli. Mam nadzieję, że zabierze pan to na statek i poprosi kogoś z laboratorium, żeby tę rzecz dokładnie oczyścił.

– Na pewno znajdzie się chętny – odrzekł Barnum i zważył obiekt w obu dłoniach. – Za ciężki na terakotę.

Dirk wskazał podstawę przedmiotu.

– Tu jest miejsce bez narośli. Widać metal.

– Dziwne, że nie ma ani śladu rdzy.

– Nie dałbym głowy, ale to może być brąz.

– Ma zbyt ładny kształt jak na miejscowy wyrób – dodała Summer. – Mimo narośli widać figury na obwodzie.

Barnum przyjrzał się naczyniu.

– Masz więcej wyobraźni niż ja. Może jakiś archeolog rozwiąże tę zagadkę, kiedy wrócimy do portu. Jeśli naukowcy nie wpadną w histerię, że zabrałaś to stamtąd, gdzie leżało.

– Nie musimy czekać tak długo – powiedział Dirk. – Możemy przesłać zdjęcia Hiramowi Yaegerowi do centrum komputerowego NUMA w Waszyngtonie. Powinien umieć ustalić, gdzie i kiedy ten przedmiot zrobiono. Może wypadł z jakiegoś statku, który tędy przepływał, lub pochodzi z wraka.

– W pobliżu spoczywa „Vandalia” – podsunęła Summer.

– To jest prawdopodobne źródło – zgodził się Barnum.

– Ale jak ten obiekt trafił do groty oddalonej o sto metrów? – To pytanie Summer nie było skierowane do konkretnej osoby.

Jej brat uśmiechnął się chytrze.

– Magia, moja droga. Magia wudu.

Nad morzem zapadła noc, kiedy Barnum wreszcie się pożegnał. Gdy przechodził przez włącz komory wejściowej, Dirk zapytał go:

– Jaka jest prognoza pogody?

– Przez kilka dni ma być dość spokojnie – odparł Barnum. – Ale na Azorach tworzy się huragan. Meteorolodzy uważnie śledzą sytuację. Jeśli sztorm skieruje się tutaj, ewakuuj was oboje i tak szybko, jak to będzie możliwe, zejdziemy mu z drogi.

– Miejmy nadzieję, że nas ominie – powiedziała Summer.

Barnum włożył naczynie do siatki i wziął torbę z próbkami wody pobranymi przez Summer. Potem wydostał się z komory powietrznej i zanurzył w czarnej toni. Dirk włączył światła zewnętrzne, w ich blasku widać było ławice jaskrawozielonych papugoryb, które pływały, zataczając kręgi, i najwyraźniej obojętnie przyjmowały obecność ludzi w ich środowisku.

Barnum nie pomyślał nawet o tym, żeby skorzystać z butli tlenowych, zrobił głęboki wdech, skierował przed siebie zapaloną latarkę i uniósł się swobodnie ku powierzchni morza piętnaście metrów w górę, wypuszczając po drodze powietrze z płuc. Jego mała aluminiowa łódź pneumatyczna o sztywnym kadłubie zakotwiczona w bezpiecznej odległości od podwodnej bazy kołysała się na falach. Dopłynął do niej, wdrapał się do środka i podniósł kotwicę. Włączył zapłon, uruchomił dwa doczepne silniki Mercury o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych, po czym pomknął przez morze w kierunku statku, którego nadbudowa oświetlona mocnymi reflektorami i czerwonymi oraz zielonymi lampami nawigacyjnymi widoczna była z daleka.

Większość pełnomorskich jednostek pływających jest pomalowana na białe i ma czerwone, czarne lub niebieskie wykończenia. Niektóre statki handlowe są pomalowane na pomarańczowo. Ale „Sea Sprite” był jaskrawoturkusowy od dziobu do rufy, jak cała flota Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Taką barwę wybrał lubiący zawsze stawiać na swoim dyrektor agencji, admirał James Sandecker, żeby jego statki odróżniały się od innych. Mało który marynarz nie rozpoznawał jednostek NUMA na morzu lub w porcie.

„Sea Sprite” był duży, jak na ten rodzaj statku. Miał dziewięćdziesiąt cztery metry długości i dwadzieścia metrów szerokości. Ten cud techniki rozpoczął swoje życie jako holownik lodolamacz i przez pierwsze dziesięć lat pływał wokół bieguna północnego.

Zmagając się z silnymi sztormami, uwalniał z kry uszkodzone statki i holował je wokół gór lodowych. Mógł się przebić przez dwumetrową pokrywę lodową i bezpiecznie holować lotniskowiec przez wzburzone morze.

Był wciąż w doskonałym stanie, gdy Sandecker kupił go dla NUMA i kazał przerobić na wielozadaniowy statek badawczy i jednostkę wsparcia dla nurków. Przy wielkiej przebudowie nie oszczędzano na niczym. Elektronikę, skomputeryzowaną automatykę i systemy telekomunikacyjne zaprojektowali inżynierowie NUMA.

Statek miał najnowocześniejsze laboratoria i pomieszczenia do pracy posiadające niezbędną przestrzeń roboczą. Ograniczono wibracje.

Sieć komputerowa mogła monitorować, gromadzić i przekazywać przetwarzane dane do pracowni NUMA w Waszyngtonie do natychmiastowych analiz, których wyniki wносиły niezwykle cenny wkład do wiedzy o morzu.

„Sea Sprite” wyposażono w najnowocześniejszy napęd, jaki potrafiła stworzyć technika. Dwa wielkie silniki magnetohydrodynamiczne zapewniały mu szybkość niemal czterdziestu węzłów. I jeśli niegdyś mógł holować przez niespokojne morze jeden lotniskowiec, teraz z łatwością poradziłby sobie z dwoma. Nie dorównywała mu żadna jednostka badawcza na świecie.

Barnum był dumny ze swojego statku. Dowodził tylko jedną z trzydziestu jednostek badawczych NUMA, ale z pewnością najbardziej niezwykle. Admirał Sandecker powierzył mu kierowanie przebudową „Sea Sprite” i Barnum z radością podjął się tego zadania, zwłaszcza że usłyszał od admirała, iż koszty nie grają roli. Nigdy nie wątpił, że dowodzenie tą jednostką stanowiło ukoronowanie jego marynarskiej kariery.

„Sea Sprite” pełnił służbę przez dziewięć miesięcy w roku i naukowcy zmieniali się przy każdym nowym projekcie. Przez pozostałe trzy miesiące statek podróżował z rejonów badań lub do nich, przechodził w doku modernizację lub poddawano go konserwacji.

Zbliżając się do „Sea Sprite”, Barnum patrzył na ośmiopoziomową nadbudowę i wielki dźwig na rufie, który opuścił „Pisces” na dno, używany do podnoszenia z morza zrobotyzowanych i załogowych pojazdów podwodnych. Kapitan przyglądał się też dużej platformie helikopterowej na dziobie oraz antenom telekomunikacyjnym i satelitarnym, wyrastającymi jak las wokół wielkiej kopuły systemów radarowych.

Skupił się na sterowaniu i podpłynął do burty. Kiedy wyłączył silniki, w górę obrócił się mały dźwig i opuścił linę z hakiem. Barnum przyczepił hak do pasa wyciągowego i wkrótce mała łódź znalazła się na statku.

Po zejściu na pokład natychmiast zaniósł zagadkowy obiekt do przestronnego laboratorium „Sea Sprite”. Wręczył przedmiot parze studentów archeologii morskiej z Teksasu.

– Oczyszczenie to dokładnie – polecił. – Ale bardzo ostrożnie. Ten artefakt może być bardzo cenny.

– Wygląda na stary garnek pokryty naroślą – powiedziała blondynka w obcisłym T-shircie Uniwersytetu Stanu Teksas i wystrzępionych szortach. Najwyraźniej nie paliła się do tej roboty.

– Zobaczmy, co to jest – odrzekł lodowatym tonem Barnum. – Nigdy nie wiadomo, jakie tajemnice kryją się w rafie koralowej. Uważajcie na złego ducha w środku.

Zadowolony, że ostatnie słowo należało do niego, odwrócił się i poszedł do swojej kajuty. Studenci przez chwilę popatrzyli za nim podejrzliwie, potem zaczęli w skupieniu oglądać naczynie.

O dziesiątej wieczorem artefakt leciał helikopterem ku lotnisku w Santo Domingo w Republice Dominikańskiej, gdzie miał być załadowany do odrzutowca odlatującego do Waszyngtonu.

### 3

Trzydziestopiętrowy budynek centrali NUMA stojący przy wschodnim brzegu rzeki Potomac górował nad Kapitelem. Ośrodek komputerowy na dziesiątym piętrze przypominał dekoracje do hollywoodzkiego filmu science fiction. To niezwykle miejsce było królestwem Hiramusa Yaegera, komputerowego guru NUMA. Sandecker dał mu wolną ręką w tworzeniu największej na świecie biblioteki morskiej i nie ograniczał budżetu. Ogromna liczba danych zgromadzonych i skatalogowanych przez Yaegera obejmowała wszystkie znane prace, badania naukowe i analizy od starożytności do czasów współczesnych. Nigdzie na świecie nie istniał podobny zbiór.

Yaeger nie podzielił przestronnego pomieszczenia na boksy. Uważał, że klitki spotykane w większości rządowych i firmowych centrów komputerowych nie sprzyjają wydajnej pracy. Kierował rozległym kompleksem zza wielkiej półkolistej konsoli umieszczonej na podwyższonej platformie w centralnym punkcie ośrodka komputerowego. Jedynym tutaj oprócz sali konferencyjnej i łazienek zamkniętym pomieszczeniem była przezroczysta cylindryczna komora wielkości toalety, która stała obok konsoli z monitorami.

Yaeger nigdy nie przeistoczył się całkowicie z hipisa w urzędnika. Zamiast garnituru w prążki nosił komplet dżinsowy Levisa i bardzo stare, zniszczone buty kowbojskie. Siwiejące włosy wiązał z tyłu w kucyk i patrzył na swoje ukochane monitory przez szkła okrągłych okularów w drucianej oprawce. O dziwo, komputerowy geniusz NUMA nie prowadził takiego życia, jakie mógł sugerować jego wygląd.

Yaeger miał piękną żonę, która była uznaną malarką. Mieszkali na farmie w Sharpsburgu w Marylandzie i hodowali tam konie. Ich dwie córki chodziły do prywatnej szkoły i zamierzały studiować w college'u. Yaeger jeździł do pracy drogim bmw V-12, jego żona wolała cadillaca esplanade i woziła nim swoje dziewczynki oraz ich koleżanki do szkoły i na prywatki.

Yaegera zaintrygowało naczynie przysłane samolotem przez kapitana Barnuma. Wyjął je



ze skrzynki i postawił w cylindrycznym pomieszczeniu usytuowanym w odległości kilkudziesięciu centymetrów od jego skórzanego krzesła obrotowego. Potem wystukał kod na klawiaturze. Po chwili w komorze pojawiła się trójwymiarowa postać – atrakcyjna kobieta w kwiecistej bluzce i spódnicy. Niematerialna piękność stworzona przez Yaegera była mówiącym, samodzielnie myślącym i mającym własną osobowość komputerowym wizerunkiem jego żony.

– Cześć, Max – powitał ją Yaeger. – Gotowa do przeprowadzenia skromnych badań naukowych?

– Jestem do twojej dyspozycji – odrzekła matowym głosem Max.

– Widzisz ten obiekt, który umieściłem u twoich stóp?

– Widzę.

– Chciałbym, żebyś ustaliła, z jakiego okresu pochodzi?

– Bawimy się teraz w archeologów?

Yaeger skinął potwierdzająco głową.

– Ten przedmiot został znaleziony przez biologów NUMA w grocie koralowej na Rafie Navidad.

– Mogli go lepiej oczyścić – zauważyła oschłym tonem Max, patrząc w dół na naczynie.

– Spieszyło im się.

– To oczywiste.

– Pogrzeb w uniwersyteckich bazach danych archeologicznych i znajdź coś bardzo podobnego.

Obrzuciła go chytrym spojrzeniem.

– Chyba wiesz, że namawiasz mnie do przestępstwa?

– Włamywanie się do cudzych baz danych w celach naukowych to nie przestępstwo.

– Zawsze mi imponuje twoja umiejętność usprawiedliwiania własnych nielegalnych działań.

– Robię to z czystej życzliwości do ludzi.

Max przewróciła oczami.

– Oszczędź mi tego.

Yaeger dotknął palcem wskazującym klawisza i Max wolno zniknęła, jakby wyparowała. Naczynie opadło do pojemnika pod podłogą cylindrycznej komory.

W tym samym momencie zadzwonił niebieski telefon w rzędzie kolorowych aparatów. Yaeger podniósł słuchawkę, nie przestając pisać na klawiaturze.

– Tak, panie admirale?

– Hiram – rozległ się głos admirała Jamesa Sandeckera – są mi potrzebne akta tego pływającego monstrum przycumowanego w pobliżu Cabo San Rafael w Republice Dominikańskiej.

– Zaraz je przyniosę do pańskiego gabinetu.

Sześćdziesięcioletni James Sandecker robił pompki, kiedy sekretarka wpuściła do jego gabinetu Yaegera. Admirał miał niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu, gęste rude włosy i rudą bródkę à la Van Dyck. Spojrzał w górę na Yaegera niebieskimi, chłodnymi oczami. Dbał o zdrowie, codziennie rano biegał, każdego popołudnia ćwiczył w sali gimnastycznej NUMA i był wegetarianinem. Pozwalał sobie tylko na luksus palenia wielkich cygar zwijanych na jego specjalne zamówienie. Od lat należał do waszyngtońskiej elity i zrobił z NUMA najlepszą agencję rządową. Choć większość prezydentów, którym służył, pełniąc od wielu już lat funkcję dyrektora NUMA, nie znajdowała w nim dobrego partnera do współpracy, jego imponujące osiągnięcia i uznanie, jakim się cieszył w Kongresie, zapewniały mu posadę do końca życia.

Admirał dosłownie skoczył na równe nogi i wskazał Yaegerowi krzesło na wprost swojego biurka, które wcześniej stało w kajucie kapitańskiej komfortowego francuskiego liniowca „Normandie”, dopóki w 1942 roku nie spłonął w porcie nowojorskim.

Dołączył do nich Rudi Gunn, zastępca Sandeckera. Niezwykle inteligentny były komandor marynarki wojennej, w której służył pod dowództwem Sandeckera, był zaledwie dwa centymetry wyższy od niego, nosił grube okulary w rogowej oprawie. Nadzorował realizację projektów naukowych NUMA na morzach całego świata. Skinął głową Yaegerowi i usiadł na sąsiednim krześle.

Yaeger uniósł się z miejsca i położył przed Sandeckerem grubą teczkę z dokumentami.

– Tu jest wszystko, co mamy na temat Ocean Wanderera.

Admirał otworzył teczkę i wpatrzył się w plany luksusowego hotelu, który zgodnie z projektem był pływającym ośrodkiem wypoczynkowym, samowystarczalnym i dającym się holować do różnych egzotycznych miejsc na świecie. Po miesięcznym cumowaniu w jednym punkcie miał być przenoszony w inną malowniczą okolicę. Sandecker przez całą minutę studiował dane, po czym spojrzał z ponurą miną na Yaegera.

– To coś samo się prosi o katastrofę – powiedział.

– Zgadza się – przytaknął Gunn. – Nasi inżynierowie zapoznali się dokładnie z tą konstrukcją i doszli do wniosku, że nie wytrzyma gwałtownego sztormu.

– Dlaczego? – zapytał niewinnie Yaeger.

Gunn wstał, pochylił się nad biurkiem i rozwinął plany. Liny kotwiczne hotelu biegły do słupów wbitych w dno morskie. Wskazał ołówkiem miejsca, gdzie cumy były przymocowane do wielkich złączy pod niższymi piętrami budowli.

– Silny huragan zerwie je – wyjaśnił.

– Według tego, co jest napisane w specyfikacji technicznej, powinny wytrzymać wiatr o szybkości dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę – zauważył Yaeger.

– Nie taki, jakiego się obawiamy – powiedział Sandecker. – Hotel, zamiast stać mocno na twardym gruncie, jest zacumowany na morzu. Będzie na łasce wysokich fal, które mogą

wyrosnąć na płytkich wodach. Rozwałą tę konstrukcję na kawałki razem z gośćmi i personelem w środku.

– I architekci nie brali tego wszystkiego pod uwagę? – zdziwił się Yaeger.

Sandecker skrzywił się.

– Sygnalizowaliśmy im ten problem, ale założyciel firmy turystycznej, a zarazem właściciel hotelu zignorował nasze ostrzeżenia.

– Wystarczyła mu opinia międzynarodowej grupy inżynierów morskich, że obiekt jest bezpieczny – dodał Gunn. – A ponieważ zagraniczne inwestycje nie znajdują się pod jurysdykcją Stanów Zjednoczonych, nie mogliśmy przeszkodzić w budowie.

Sandecker włożył specyfikację z powrotem do teczki i zamknął ją.

– Miejmy nadzieję, że huragan tworzący się u wybrzeży zachodniej Afryki ominie hotel albo, że nie urośnie do kategorii piątej i nie przekroczy prędkości dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Tam jest kapitan Barnum – przypomniał Gunn. – Wspiera badania raf koralowych prowadzone przez „Pisces” niedaleko Ocean Wanderera. Już go zaalarmowałem, żeby śledził uważnie ostrzeżenia o huraganie, bo wszyscy w tamtym rejonie mogą się znaleźć na jego drodze.

– Nasz ośrodek w Key West właśnie obserwuje narodziny sztormu – powiedział Yaeger.

– Informujcie mnie na bieżąco – polecił Sandecker. – Podwójna katastrofa to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba.

Wróciwszy do swojej konsoli komputerowej, Yaeger zobaczył na panelu pulsujące zielone światełka. Usiadł i wpisał dwa kody wywoławcze. Pojawiła się Max, spod podłogi wyłoniło się naczynie.

– Dowiedziałas się czegoś o artefakcie z „Pisces”? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała bez wahania Max.

– Co ustaliłaś?

– Ludzie na pokładzie „Sea Sprite”, którzy usuwali narośl, kiepsko to zrobili – poskarżyła się Max. – Na powierzchni naczynia zostawili wapienną skorupę. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby oczyścić zarośnięte wnętrze. Musiałam wykorzystać wszystkie systemy otrzymywania obrazu, do jakich udało mi się dotrzeć. Rezonans magnetyczny, rentgen cyfrowy, trójwymiarowy skaner laserowy, sieci neuronowe o sprzężonych impulsach. Wszystko, co pozwalało uzyskać porządną segmentację obrazu.

– Oszczędź mi szczegółów technicznych – westchnął Yaeger. – Jakie są wyniki?

– Zacznę od tego, że nasze naczynie to amfora, bo ma małe ucha przy otworze. Pochodzi z epoki brązu i z tego metalu została odlana.

– Stara – powiedział Yaeger.

– Bardzo stara – poprawiła go Max.

- Jesteś pewna?
- Czy kiedykolwiek się myliłam?
- Nie – odrzekł Yaeger. – Muszę przyznać, że nigdy mnie nie zawiodłaś.

– Więc teraz też mi zaufaj. Przeprowadziłam bardzo dokładną analizę chemiczną metalu. Utwardzanie miedzi zaczęło się mniej więcej trzy tysiące pięćset lat przed naszą erą. Miedź wzbogacano wtedy arsenem. Jedyne problemy polegały na tym, że ówczesni górnicy i kowale umierali młodo od oparów arsenu. Dużo później, mniej więcej dwa tysiące dwieście lat przed naszą erą – zapewne przez przypadek – odkryto, że mieszanka dziewięćdziesięciu procent miedzi i dziesięciu procent cyny tworzy bardzo twardy i wytrzymały metal. To był początek epoki brązu. Na szczęście, miedź znajdowano w dużych ilościach w całej Europie i na Bliskim Wschodzie. Ale cyna występowała rzadko w przyrodzie i była dużo trudniejsza do zdobycia.

– Więc była drogim towarem.

– Wtedy, tak – potwierdziła Max. – Handlarze cyną przemierzali antyczny świat, kupowali rudę w kopalniach i sprzedawali właścicielom kuźni. Produkcja brązu umożliwiła rozwój gospodarczy i wielu ludzi tej epoki wzbogaciło się na niej. Z brązu robiono wszystko, od broni – grotów włóczni, noży i mieczy – po małe naszyjniki, bransolety, pasy i spinki do włosów dla kobiet. Siekiery i dłuta z brązu znacznie unowocześniły obróbkę drewna. Rzemieślnicy zaczęli odlewać dzbany i wazy. Epoka brązu bardzo przyspieszyła rozwój cywilizacji.

– Więc jaka jest historia tej amfory?

– Odlano ją w XII wieku przed naszą erą. I jeśli cię to interesuje, formę wykonano metodą traconego wosku.

Yaeger wyprężył się w fotelu.

– Więc ta amfora ma ponad trzy tysiące lat!

Max uśmiechnęła się sarkastycznie.

– Jesteś niezwykle spostrzegawczy.

– Gdzie została odlana?

– W Galii, przez starożytnych Celtów. Konkretnie, w regionie znanym dziś jako Egipt.

– Egipt? – powtórzył z niedowierzaniem Yaeger.

– Trzy tysiące lat temu ojczyzna faraonów nie nazywała się Egipt, lecz Al-Khem lub Kemi. Dopiero Aleksander Wielki po wkroczeniu do tego kraju nazwał go Egiptem, nawiązując do opisu w *Iliadzie* Homera.

– Nie wiedziałem, że Celtowie żyli tak dawno temu – powiedział Yaeger.

– Celtowie byli luźnym zbiorem plemion, które zajmowały się handlem i sztuką już dwa tysiące lat przed naszą erą.

– Ale mówisz, że ta amfora pochodzi z Galii. Skąd więc tutaj Celtowie?

– Rzymscy najeźdźcy nazwali ziemię Celtów Galią – wyjaśniła Max. – Moja analiza

wykazała, że miedź wydobyto w kopalniach niedaleko Hallstatt w Austrii, a cynę w Kornwalii w Anglii. Ale styl zdobnictwa sugeruje, że to wyrób plemienia celtyckiego z południowo-zachodniej Francji. Figury na zewnętrznej płaszczyźnie amfory są prawie takie same, jak te na kotle wykopanym przez francuskiego rolnika w tamtym regionie w roku 1972.

– Przypuszczam, że jesteś w stanie podać mi nazwisko rzemieślnika, który odlał amforę.

Max posłała Yaegerowi lodowate spojrzenie.

– Nie prosiłeś mnie o grzebanie w archiwach genealogicznych.

Yaeger zastanawiał się przez chwilę nad informacjami podanymi przez Max.

– Masz może jakąś hipotezę wyjaśniającą, jak galijska amfora z epoki brązu mogła trafić do groty koralowej na rafach Navidad Bank u wybrzeży Dominikany?

– Nie zostałam zaprogramowana do zajmowania się ogólnikami – odparła wyniośle Max.

– Nie mam bladego pojęcia, skąd się tam wzięła.

– Spróbuj się zastanowić, Max – poprosił uprzejmie Yaeger. – Wypadła ze statku czy może jest częścią rozsypanego ładunku jakiegoś wraka?

– Raczej to drugie, bo statki nie mają żadnego powodu, żeby przepływać nad rafami Navidad Bank, chyba że szukają śmierci. Amfora mogłaby być częścią ładunku antycznych artefaktów płynącego do bogatego antykwariusza lub muzeum w Ameryce Łacińskiej.

– To chyba równie dobre wyjaśnienie, jak każde inne.

– Prawdę mówiąc, żadne – odrzekła obojętnie Max. – Według mojej analizy, skorupa narośli na zewnątrz jest za stara, żeby amfora mogła pochodzić z wraka jakiegokolwiek statku pływającego po morzach od czasów Kolumba. Oceniam wiek składu organicznego na ponad dwa tysiące osiemset lat.

– To niemożliwe. Do XV wieku na półkuli zachodniej nie było żadnych wraków.

Max wyrzuciła ręce do góry.

– Nie wierzysz mi?

– Musisz przyznać, że twoja skala czasu graniczy ze śmiesznością.

– Skorzystasz z niej lub nie, twoja sprawa. Ja zostanę przy swoim.

Yaeger rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić z amforą i wnioskami Max.

– Wydrukuj mi swoje ustalenia, Max – powiedział. – Teraz ja się tym zajmę.

– Zanim odeślesz mnie do Krainy Niebytu – odrzekła Max. – Jest jeszcze coś.

Yaeger spojrzał na nią podejrzliwie.

– To znaczy?

– Kiedy oczyścisz wnętrze amfory, znajdziesz tam złotą figurkę w kształcie kozy.

– Co takiego?!

– Żegnaj, Hiram.

Max zniknęła z powrotem w swoich obwodach. Yaeger siedział bez ruchu w fotelu, całkowicie zagubiony. Jego myśli dryfowały ku abstrakcji. Próbował sobie wyobrazić, jak

trzy tysiące lat temu starożytny żeglarz wyrzucił za burtę statku naczynie z brązu cztery tysiące mil morskich od Europy, ale jakoś tego nie potrafił.

Sięgnął po amfore, podniósł ją, zajrzał do środka i odwrócił głowę, poczuwszy docierający z wnętrza straszliwy fetor gnijących stworzeń morskich. Włożył naczynie z powrotem do skrzynki, a potem długo siedział pogrążony w zadumie. Nie przemawiały do niego wnioski Max.

Postanowił, że zanim przedstawi je Sandeckerowi, sprawdzi najpierw systemy Max. Wolał mieć pewność, że się nie pomyliła.

## 4

Przeciętny huragan osiąga pełną siłę po sześciu dniach. W przypadku Lizzie wystarczyły cztery.

Wiatr poruszał się spiralnie z coraz większą prędkością. Szybko przekroczył stadium „depresji tropikalnej” i prędkości sześćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę. Wkrótce wiał z szybkością stu osiemnastu kilometrów na godzinę i stał się huraganem kategorii pierwszej według skali Saffira-Simpsona. To go nie zadowoliło, nie chciał być nawałnicą gorszego rzędu. Wkrótce zwiększył prędkość do dwustu ośmiu kilometrów na godzinę, szybko osiągnął kategorię drugą, a potem kategorię trzeciej.

W Centrum Badań Huraganów NUMA Heidi Lisherness studiowała ostatnie obrazy transmitowane przez satelity geostacjonarne orbitujące wokół Ziemi trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad równikiem. Dane trafiały do komputera, który wykorzystywał jeden z kilku modeli numerycznych do przewidywania prędkości, trasy i siły Lizzie. Obrazy satelitarne nie pokazywały wszystkiego. Heidi wolałaby bardziej szczegółowe zdjęcia, ale było za wcześnie na wysłanie tak daleko nad ocean samolotu wojskowego do obserwacji sztormów. Na dokładniejsze fotografie musiała jeszcze poczekać.

Pierwsze meldunki nie brzmiały optymistycznie.

Wszystko wskazywało na to, że sztorm przekroczy próg kategorii piątej i wiatr osiągnie prędkość ponad dwustu pięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę. Heidi mogła mieć tylko nadzieję i modlić się, żeby Lizzie nie dotarł do zaludnionego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Tylko dwa huragany kategorii piątej były równie groźne. Jeden przeszedł przez Florida Keys w Święto Pracy w roku 1935. Drugi, o nazwie Camille, uderzył w Alabamę i Missisipi w roku 1969 i porzewracał całe dwudziestopiętrowe bloki mieszkalne.

Heidi poświęciła parę minut na napisanie faksu do męża, analityka danych klimatycznych, pracującego w Narodowej Służbie Meteorologicznej, żeby ostrzec go, podając ostatnie dane.

*Harley,*

*huragan Lizzie posuwa się na wschód i przyspiesza. Jak podejrzewaliśmy, przerodził się już w niebezpieczny sztorm. Model komputerowy przewiduje wiatr o prędkości 150 węzłów i fale o wysokości od 12 do ponad 15 metrów w promieniu 350 mil morskich. Przesuwa się z niewiarygodną szybkością 20 węzłów.*

*Będę cię informowała na bieżąco.*

*Heidi*

Wróciła do przekazów nadchodzących z satelitów. Kiedy patrzyła na powiększony obraz huraganu, była zafascynowana groźnym pięknem gęstych, białych chmur pierzastych. Poruszały się spiralnie, ich powłoka rozwijała się z burzowej ściany wokół oka cyklonu. Żadna siła przyrody nie mogła się równać z potęgą huraganu. Oko uformowało się wcześniej i wyglądało jak krater na białej planecie. Oka cyklonu mogą mieć średnicę od ośmiu do ponad stu sześćdziesięciu kilometrów. Średnica oka Lizzie sięgała osiemdziesięciu kilometrów.

Uwagę Heidi przykuły odczyty ciśnienia atmosferycznego. Im jest ono niższe, tym groźniejszy sztorm. Przy huraganie Hugo w 1989 roku i Andrew w 1992 zarejestrowano odpowiednio dziewięćset trzydzieści cztery i dziewięćset dwadzieścia milibary. Teraz wynosiło już dziewięćset czterdzieści pięć milibarów i szybko spadało. Tworzyło w centrum Lizzie próżnię i z godziny na godzinę, milibar po milibarze, niebezpiecznie spadało.

Lizzie poruszał się też w rekordowym tempie, sunąc przez ocean na zachód.

Huragany przemieszczają się wolno, zwykle nie szybciej niż w tempie dwudziestu kilometrów na godzinę, to znaczy mniej więcej z przeciętną prędkością rowerzysty. Ale Lizzie nie trzymał się zasad określonych przez wcześniejsze sztormy. Pędził przez morze z godną uwagi szybkością trzydziestu dwóch kilometrów na godzinę i w odróżnieniu od swoich poprzedników, którzy zygzakowali w kierunku półkuli zachodniej, Lizzie posuwał się po linii prostej, jak gdyby zmierzał do określonego celu.

Sztormy dość często skręcają i całkowicie zmieniają kierunek. Lizzie znów nie przestrzegał reguł. Jeśli jakikolwiek huragan rozumuje jednotorowo, pomyślała Heidi, to na pewno ten.

Nigdy nie wiedziała, kto i na jakiej wyspie wymyślił nazwę huragan. Ale po karaibsku słowo to znaczy wielki wiatr. Lizzie miał energię największej bomby nuklearnej i pędził naprzód z grzmotami, błyskawicami i ulewnym deszczem.

Statki w tamtym rejonie oceanu już czuły jego gniew.

Było południe, nienormalne, niesamowite, zwariowane południe. Na stosunkowo gładkim morzu wyrosły nagle dziesięciometrowe fale. Kapitan nikaraguańskiego kontenerowca „Mona Lisa” odniósł wrażenie, że nastąpiło to dosłownie w mgnieniu oka. Poczul się tak, jakby



otworzył drzwi na pustynię i ktoś chlusnął na niego wodą z wiadra. W ciągu kilku minut powierzchnia morza stała się stroma i lekka bryza przerodziła się w wichurę. Nigdy jeszcze w swojej wieloletniej karierze marynarskiej kapitan nie widział, żeby sztorm nadszedł tak szybko.

Nie było w pobliżu żadnego portu, w którym mógłby szukać schronienia, skierował więc statek prosto w paszczę żywiołu. Uznał, że powinien podjąć ryzyko, mając nadzieję, że im szybciej przepłynie przez środek sztormu, tym większe ma szansę na uratowanie ładunku.

Trzydzieści mil morskich na północ od „Mony Lisy”, tuż za horyzontem, egipski supertankowiec „Ramses II” dostał się nagle w gwałtowne turbulencje. Kapitan Warren Meade zmarł z przerażenia, gdy prawie trzydziestometrowa fala zbliżająca się z niewiarygodną szybkością przewaliła się nad rufą i zerwała relingi. Tęże wody wdarły się przez włazy i zalały kwatery załogi i kajuty oficerów. Wachta w sterowni patrzyła oszołomiona, jak fala omywa nadbudowę i przetacza się przez wielki pokład o długości dwustu trzynastu metrów położony osiemnaście metrów nad linią wodną kadłuba. Fala uszkodziła instalacje rurowe i opadła za dziobem.

Dwudziestoczworometrowy jacht, będący własnością twórcy pewnej firmy komputerowej, płynął do Dakaru z dziesięcioma pasażerami i pięciosobową załogą. Zniknął pod powierzchnią wzburzonego morza, zanim zdążył nadać SOS.

Nim zapadła noc, kilkanaście innych statków doświadczyło skutków niszczącej siły Lizzie.

Heidi i jej koledzy meteorolodzy z ośrodka NUMA zaczęli przesiadywać na konferencjach i studiować ostatnie dane o żywiole nadciągającym ze wschodu. Lizzie nie osłabł po przekroczeniu czterdziestego południka długości geograficznej zachodniej na środkowym Atlantyku. Nadal posuwał się po linii prostej z tak minimalnymi wahaniami, że wszystkie wcześniejsze przewidywania okazały się błędne.

O trzeciej Heidi odebrała telefon od męża.

– Jaka jest sytuacja? – zapytał Harley.

– Nasz naziemny system przetwarzania danych już przekazuje informacje do twojego ośrodka – odrzekła. – W nocy zaczęliśmy wysyłać ostrzeżenia dla statków.

– Jak wygląda trasa Lizzie?

– Wierz mi lub nie, ale biegnie prosto jak strzała.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– To coś nowego – powiedział Harley.

– W ciągu ostatnich dwunastu godzin Lizzie nie zoczył nawet o dziesięć mil.

– To niemożliwe – odrzekł z powątpiewaniem w głosie.

– Sam się przekonasz, gdy dostaniesz nasze dane – zachnęła się Heidi. – Lizzie bije wszelkie rekordy. Statki już meldują o trzydziestometrowych falach.

– Rany boskie! A co mówią wasze prognozy komputerowe?

– Wyrzucamy je do kosza, jak tylko wyjdą z drukarki. Lizzie nie naśladuje swoich poprzedników. Nasze komputery nie potrafią przewidzieć jego trasy i ostatecznej siły.

– Więc to huragan stulecia.

– Obawiam się, że raczej tysiąclecia.

– Czy jesteś w stanie dać mi jakiegokolwiek wskazówki, gdzie może uderzyć, żeby mój ośrodek mógł zacząć wysyłać ostrzeżenia? – zapytał Harley poważnym tonem.

– Może dotrzeć do lądu wszędzie między Kubą i Portoryko. W tej chwili typowałabym Dominikanę. Ale nie ma sposobu, żeby się upewnić wcześniej niż za dwadzieścia cztery godziny.

– Więc trzeba ogłosić alarm.

– Przy tej szybkości Lizzie na pewno nie jest za wcześnie.

– Moi współpracownicy i ja zaraz się tym zajmiemy.

– Harley?

– Tak, kochanie?

– Nie będę dziś w domu na kolacji.

– Ja też nie, kochanie – odpowiedział i Heidi wyobraziła sobie jowialny uśmiech męża przy słuchawce w momencie, kiedy wymawiał te słowa.

Wyłączyła się. Przez chwilę siedziała przy biurku i patrzyła na wielką mapę regionu aktywności huraganów na północnym Atlantyku. Najbliżej nadciągającego kataklizmu znajdowały się wyspy karaibskie. Kiedy się im przyglądała, coś jej przyszło do głowy, wpisała do komputera polecenie i na monitorze pojawiła się lista z nazwami, krótkimi opisami i pozycjami statków przebywających w tamtym rejonie oceanu. Sztorm zagrażał dwudziestu dwóm jednostkom pływającym. Heidi studiowała listę z obawą, że na trasie huraganu może się znajdować wielki transatlantyk z tysiącami pasażerów na pokładzie. Nie znalazła żadnego w pobliżu najniebezpieczniejszej strefy, ale jej uwagę przykuła pewna nazwa. W pierwszej chwili Heidi myślała, że to statek, potem ją olśniło. To nie był statek.

– O Boże – jęknęła.

Sam Moore, piegowaty meteorolog pracujący przy sąsiednim biurku, podniósł wzrok.

– Coś się stało? – zapytał.

Heidi zapadła się w fotelu.

– Tam jest Ocean Wanderer – powiedziała zmienionym głosem.

– Statek pasażerski?

Heidi pokręciła głową.

– Pływający hotel. Jest zacumowany dokładnie na drodze sztormu. Nie ma mowy, żeby zdążyli go przesunąć w bezpieczne miejsce. Jest jak kaczka na strzelnicy.

– Jeden ze statków zameldował o trzydziestometrowej fali – przypomniał Moore. – Jeśli taka uderzy w ten hotel... – Nie dokończył.

– Trzeba ostrzec dyrekcję, że muszą się ewakuować.

Heidi zerwała się z miejsca i pobiegła do sali telekomunikacyjnej. Miała nadzieję, że dyrekcja hotelu zacznie natychmiast działać. W przeciwnym razie gości, których liczba sięgała tysiąca, i personel czekałaby straszna śmierć.

## 5

Nigdy jeszcze nie wyrastała z morza taka wspaniała i elegancka konstrukcja. Nie zbudowano wcześniej niczego, co choćby w przybliżeniu przypominało ten piękny i wyjątkowy obiekt. Pobyt w podwodnym ośrodku wypoczynkowym Ocean Wanderer był dla gości hotelowych ekscytującą przygodą i stanowił jedyną w swoim rodzaju okazję do podziwiania podmorskich cudów. Budowla wznosiła się dumnie nad falami w odległości dwóch mil morskich od krańca półwyspu Cabo Carbon na południowo-wschodnim wybrzeżu Dominikany.

Uznawany w branży turystycznej za najbardziej niezwykły hotel na świecie Ocean Wanderer został zbudowany w Szwecji i miał niespotykany dotąd standard. Nie oszczędzono na niczym. Zatrudniono najwyższej klasy fachowców i użyto najlepszych materiałów. Śmiałe wzornictwo ilustrowało życie morza. Bogactwo zieleni, błękitu i złota tworzyło wspaniałą strukturę zewnętrzną i zapierające dech wewnątrz. Część budowli znajdująca się nad powierzchnią morza przypominała miękkimi kształtami płynący nisko po niebie obłok. Pięć górnych pięter wznosiło się na wysokość sześćdziesięciu metrów. Mieściły się tam pokoje i biura dyrekcji i czterystuosobowego personelu, obszerne magazyny, kuchnie, urządzenia grzewcze i systemy klimatyzacyjne.

Gastronomia hotelowa oferowała nieskończony wybór wykwintnych dań. Pięciu szefów światowej klasy prowadziło pięć restauracji. Egzotyczne owoce morza serwowano zaledwie kilka minut po złowieniu. O zachodzie słońca goście mogli zjeść romantyczną kolację, płynąc katamaranem.

Trzy kondygnacje hotelu zajmowały dwa lokale rozrywkowe, w których występowali znani artyści, wielka sala balowa, gdzie do tańca grała liczna orkiestra, oraz eleganckie sklepy i butik z luksusowymi artykułami rzadko spotykanymi w centrach handlowych. Wszystkie towary były wolne od cła.

W kinie wyposażonym w pluszowe fotele wyświetlano najnowsze filmy przekazywane

przez satelitę. Kasyno zapewniało atrakcje przewyższające wszystko, co miało do zaoferowania Las Vegas. Między stołami i automatami do gry ciągnęły się akwaria z rybami. Stworzenia morskie widać też było przez szklany sufit.

Na środkowych piętrach hotelu ulokowano światowej klasy kompleks odnowy biologicznej z wysoko kwalifikowanym personelem, gabinetami masażu ciała, saunami i łaźniami parowymi o wystroju imitującym dżunglę tropikalną, pełnymi egzotycznych roślin i kwiatów. Spragnionym aktywnej rozrywki oferowano korty tenisowe na dachu kompleksu odnowy. Otaczał je kręty tor do minigolfa, gdzie goście mogli posyłać piłki do pływających celów rozmieszczonych daleko na morzu w pięćdziesięciometrowych odstępach.

Bardziej odważni mieli do dyspozycji kilka spiralnych zjeżdżalni wodnych z wejściami na różnych piętrach i windami na górę. Szalona jazda zaczynała się na dachu hotelu i kończyła w wodzie piętnaście pięter niżej. Można było uprawiać windsurfing, jeździć na skuterach i nartach wodnych i oczywiście nurkować z akwalungiem pod kierunkiem instruktorów. Goście mogli zwiedzać rafy i górne warstwy głębin morskich na łodzi podwodnej, a także oglądać ryby z podwodnych pięter hotelu. Oceanolodzy prowadzili wykłady o morzu i jego mieszkańcach.

Ale największą przygodą był sam pobyt w wielkiej podwodnej budowli. Ocean Wanderer przypominał górę lodową stworzoną ręką człowieka. Goście nie mieszkali w pokojach, lecz w czterystu dziesięciu apartamentach z oknami z grubego szkła biegnącymi od podłogi do sufitu, przez które mogli oglądać zapierający dech podwodny pejzaż. Apartamenty miały wystrój w kolorze soczystej zieleni i błękitu. Nastrojowe oświetlenie o regulowanej barwie potęgowało w gościach poczucie, że naprawdę żyją pod wodą.

Mogli stanąć twarzą w twarz z potworami morskimi, barrakudami i rekinami, pływającymi w błękitnej pustce. Za szybami apartamentów krążyły kolorowe ryby tropikalne i przyjazne delfiny. Olbrzymie graniki i ośmiornice przesuwają się między pełnymi wdzięku meduzami igrającymi wśród barwnych koralowców. W nocy goście mogli leżeć w łóżkach i obserwować rybi balet w blasku kolorowych reflektorów.

W odróżnieniu od statków pasażerskich przemierzających morza świata, Ocean Wanderer nie miał silników. Był pływającą wyspą przycumowaną do gigantycznych stalowych słupów wpuszczonych głęboko w morskie dno. Biegły od nich cztery grube liny, których złącza można było automatycznie zwierać i rozwierać.

Ale hotel nie był przycumowany na stałe. Jego konstruktorzy, wiedząc, że bogaci turyści rzadko spędzają wakacje dwa razy w tym samym miejscu, sprytnie zainstalowali urządzenia cumownicze w ponad dwunastu malowniczych regionach świata. Ustalono, że pięć razy w roku do hotelu przyplyną dwa trzydziestoseściometrowe holowniki. Przewidziano, iż po opróżnieniu do sucha gigantycznych zbiorników balastowych, budowla uniesie się tak, że pod wodą pozostaną tylko dwie kondygnacje. Liny cumownicze zostaną zwolnione i holowniki z dieslowskimi silnikami Hunnewella o mocy trzech tysięcy koni mechanicznych pociągną

plywający hotel do nowego miejsca w tropikach, gdzie ponownie będzie przycumowany. Goście będą mogli wybierać: wrócą do domów, nim hotel wyruszy w podróż, lub w nim pozostaną.

Co cztery dni goście i załoga obowiązkowo ćwiczyli ewakuację na tratwach ratunkowych. Specjalne windy z własnym źródłem zasilania, które wykorzystano, by w razie jakiejś awarii mogły zabrać wszystkich na pokład biegnący wokół drugiego piętra, gdzie czekały najnowocześniejsze niezatapialne tratwy przystosowane do ekstremalnych warunków na morzu.

Wszystkie apartamenty w niezwykłym hotelu zarezerwowano dwa lata wcześniej.

Ale dziś był wyjątkowy dzień. Po raz pierwszy od uroczystego otwarcia pływającego hotelu przed miesiącem, miał przyjechać człowiek, dzięki któremu powstał Ocean Wanderer. Niezwykły gość miał spędzić tutaj cztery dni. Był tajemniczy jak samo morze. Fotografowano go tylko z daleka, nigdy nie odsłaniał twarzy poniżej nosa, jego oczy zawsze pozostawały ukryte za ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi. Nie znano jego narodowości, wieku ani nazwiska. Był enigmatyczny niczym widmo i tak właśnie ochrzciły go media: Specter<sup>\*1</sup>. Dziennikarzom prasowym, telewizyjnym i radiowym nie udało się poznać jego historii. Wiedzano tylko tyle, że kieruje firmą Odyssey, gigantycznym imperium naukowo-badawczym i budowlanym z filiami w trzydziestu krajach. Uważano go za jednego z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi w cywilizowanym świecie.

Nie istnieli akcjonariusze Odyssey, nie publikowano rocznych raportów o zyskach i stratach. Firmę i jej szefa otaczała nieprzenikalna mgła tajemnicy.

O czwartej po południu ciszę i spokój na niebieskawozielonym morzu i lazurowym niebie zburzył ryk turbośmigłowca. Duży samolot pasażerski, który nadleciał z zachodu, miał barwę lawendy, był to firmowy kolor Odyssey. Zaciekawieni goście hotelowi patrzyli z zadartymi głowami na niezwykłą maszynę. Pilot okrążył Ocean Wanderer, żeby umożliwić pasażerom obejrzenie pływającego obiektu z lotu ptaka.

Żaden z gości hotelowych jeszcze nie widział takiego samolotu. Budowane w Rosji górnopłaty beriew Be-200 były hydroplanami pożarniczymi. Ale ten był luksusowym środkiem transportu dla osiemnastu pasażerów i czteroosobowej załogi. Napędzały go dwa silniki BMW/Rolls-Royce, rozwijał szybkość ponad sześciuset czterdziestu kilometrów na godzinę, mógł bezpiecznie startować i lądować przy metrowych falach na morzu.

Pilot przechylił hydroplan w skręcie i podszedł do lądowania. Duży kadłub dotknął fal jednocześnie z pływakami zewnętrznymi i samolot osiadł na wodzie jak ocieęzały łabędź. Potem podkołował do pływającego pomostu przed frontowym wejściem do hotelu. Rzucono liny i załoga beriewa przycumowała maszynę do platformy ogrodzonej złotymi sznurami.

Przy wejściu czekał komitet powitalny, na którego czele stał wysoki mężczyzna w

---

<sup>1\*</sup> Specter (ang.) – „widmo” (przyp. tłum.).

niebieskiej kurtce sportowej. Nosił okulary, jego łysą czaszkę otaczał wianuszek gęstych starannie uczesanych jasnych włosów siwiejących na skroniach. Hobson Morton, dyrektor Ocean Wanderer, był człowiekiem całkowicie oddanym swojej pracy i swemu pracodawcy. Miał prawie dwa metry wzrostu – pracownicy, gdy tego nie słyszali, nazywali go Tyką – trzymał się prosto i ważył tylko osiemdziesiąt kilogramów. Specter, którego zasadą było otaczanie się ludźmi mądrzejszymi od siebie, wybrał Mortona osobiście spośród kandydatów na stanowisko dyrektora swego pływającego hotelu. Z samolotu wysiadło sześciu mężczyzn towarzyszących Specterowi w tej podróży, za nimi wyłonili się czterej ochroniarze w niebieskich kombinezonach i zajęli strategiczne pozycje wzdłuż pomostu.

Dopiero po kilku minutach z hydroplanu wygramolił się sam Specter. Pod względem fizycznym stanowił przeciwieństwo Mortona. Miał metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ale sprawiał wrażenie niższego, bo jego ogromna tusza nie pozwalała mu się wyprostować. Kiedy szedł – lub raczej człapał – przypominał ciężarną żabę szukającą bagna. Wielki brzuch rozsadzał podwójne szwy białego garnituru uszytego na zamówienie, który zawsze nosił. Specter miał na głowie biały jedwabny turban zasłaniający również brodę i usta. Rysy twarzy były zupełnie niewidoczne, oczy zakrywały ciemne, nieprzenikliwe okulary przeciwsłoneczne. Kobiety i mężczyźni z bliskiego otoczenia Spectera nie potrafili nigdy zrozumieć, jak on może przez nie cokolwiek widzieć. Nie wiedzieli, że szkła były fałszywymi lustrami i zapewniały doskonałą widoczność.

Morton wystąpił naprzód i skłonił się.

– Witamy w hotelu Ocean Wanderer.

Nie było uścisku dłoni. Specter zadarł głowę i popatrzył na imponującą konstrukcję. Choć interesował się nią od chwili powstania koncepcji do dnia zakończenia budowy, nie widział jej jeszcze w ostatecznym kształcie zacumowanej na morzu.

– To przekracza moje najśmielsze oczekiwania – powiedział miękko i melodyjnym głosem, z ledwo słyszalnym akcentem charakterystycznym dla amerykańskiego południa, zupełnie niepasującym do jego wyglądu.

– Jestem pewien, że wewnątrz też się panu spodoba – odrzekł Morton nieco protekcjonalnym tonem. – Proszę ze mną. Wszystko panu pokażę, a potem odprowadzę pana do apartamentu królewskiego na ostatnim piętrze.

Specter tylko skinął głową i podreptał na czele swojego orszaku przez pomost do hotelu.

W sali telekomunikacyjnej oddzielonej od przestronnych biur dykcji szerokim korytarzem operator monitorował i łączył satelitarne rozmowy telefoniczne, odbierał telefony z centrali Spectera w brazylijskim mieście Laguna zbudowanym przez jego firmę i z biur na całym świecie. Na konsoli rozbłysła lampka kontrolna. Zgłosił się.

– Ocean Wanderer, czym mogę służyć?

– Mówi Heidi Lisherness z Ośrodka Badania Huraganów NUMA w Key West. Czy

mogłabym rozmawiać z dyrektorem?

– Przykro mi, ale jest zajęty. Oprowadza właściciela Ocean Wanderer po hotelu.

– To sprawa niezwykle pilna. Proszę mnie połączyć z jego zastępcą.

– Niestety cała dyrekcja jest na tym obchodzie.

– W takim razie, bardzo, bardzo proszę – powiedziała błagalnym tonem Heidi – o przekazanie im, że zbliża się do was huragan kategorii piątej. Przesuwa się z niewiarygodną szybkością i może uderzyć w hotel jutro rano. Musicie, powtarzam, musicie zacząć się ewakuować. Będę was na bieżąco informowała o sytuacji. Gdyby wasz dyrektor miał jakiegokolwiek pytania, może mnie zastać pod tym numerem.

Operator posłusznie zapisał numer Centrum Badań Huraganów NUMA. Potem odebrał kilka innych telefonów, bo, kiedy rozmawiał z Heidi, zaczęły dzwonić inne osoby. Nie potraktował jej ostrzeżenia poważnie i przekazał wiadomości Mortonowi dopiero po dwóch godzinach, gdy jego dyżur dobiegł końca.

Morton popatrzył na tekst napisany przez drukarkę głosową operatora. Przeczytał wiadomość raz jeszcze, potem wręczył Specterowi.

– Ostrzeżenie sztormowe z Key West. Informują, że w naszym kierunku nadciąga huragan, i sugerują ewakuację hotelu.

Specter przestudiował tekst, poczłapał do wielkiego okna widokowego i spojrzął na wschód. Niebo było bezchmurne, morze wyglądało całkiem spokojnie, grzbiety fal wznosiły się na wysokość zaledwie pół metra.

– Nie będziemy podejmowali pochopnych decyzji. Jeśli sztorm posuwa się zwykłą trasą huraganów, powinien skrócić na północ i minąć nas o setki mil morskich.

Morton nie był tego taki pewien. Jako człowiek ostrożny i sumienny, wolał się zabezpieczyć, niż potem żałować.

– Uważam, że narażanie życia gości i personelu nie leży w naszym interesie. Z całym szacunkiem proponuję, żebyśmy zawiadomili wszystkich o konieczności rozpoczęcia ewakuacji i jak najszybciej załatwili transport do bezpiecznego portu w Republice Dominikańskiej. Powinniśmy też wezwać holowniki, żeby zabrały nas z rejonu sztormu.

Specter znów spojrzął przez okno na piękną pogodę, jakby chciał się uspokoić, że nie ma niebezpieczeństwa.

– Zaczekamy trzy godziny. Nie życzę sobie, żeby media zepsuły wizerunek Ocean Wanderera historiami o masowej ucieczce z hotelu. Rozdmuchają to i porównają do opuszczenia tonącego statku. – Wyrzucił ręce do góry, jakby chciał objąć wspaniałą pływającą konstrukcję niczym unoszący się balon. – Poza tym, mój hotel jest tak zbudowany, że wytrzyma każdy sztorm.

Morton miał przez moment ochotę wspomnieć o „Titanicu”, ale ugryzł się w język. Zostawił Spectera w apartamencie na ostatnim piętrze i wrócił do swojego gabinetu, żeby rozpocząć przygotowania do ewakuacji. Był pewien, że bez tego się nie obejdzie.



Pięćdziesiąt mil morskich na północ od Ocean Wanderera kapitan Barnum studiował prognozy meteorologiczne nadchodzące od Heidi Lisherness i podobnie jak Specter patrzył na wschód. Ale w przeciwieństwie do szczerów lądowych, dobrze znał morze. Czuł, że bryza wolno przybiera na sile i widział, jak fale rosną. W ciągu swojej długiej kariery marynarskiej przeżył wiele sztormów i wiedział, że potrafią zaskoczyć niepodjejrzejącą niczego załogę statku.

Podniósł słuchawkę radiotelefonu i połączył się z „Pisces”. Odpowiedział niewyraźny, zniekształcony głos.

– Summer? – zapytał Barnum.

– Nie, jej brat – odrzekł wesoło Dirk i dostroił częstotliwość. – Czym mogę służyć, kapitanie?

– Jest z tobą Summer?

– Nie, sprawdza na zewnątrz laboratoryjne zbiorniki tlenowe.

– Dostaliśmy z Key West ostrzeżenie o sztormie. Chce się do nas dobrać huragan kategorii piątej.

– Kategorii piątej? To prawdziwy brutal.

– Najgroźniejszy, jaki może być. Dwadzieścia lat temu widziałem na Pacyfiku kategorię czwartą. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego.

– Kiedy ma nas dopaść? – zapytał Dirk.

– Ośrodek przewiduje, że o szóstej rano. Ale informacje o jego prędkości wskazują, że może nadciągnąć dużo wcześniej. Musimy jak najszybciej zabrać ciebie i Summer z „Pisces” na pokład „Sea Sprite”.

– Chyba nie muszę robić panu wykładu o nurkowaniu saturacyjnym, kapitanie? Moja siostra i ja jesteśmy tu od czterech dni. Potrzebowalibyśmy co najmniej piętnastu godzin na dekompresję, żeby potem móc przejść rekompresję do ciśnienia otaczającej nas wody i wynurzyć się na powierzchnię. Nie ma mowy, żebyśmy zdążyli przed huraganem.

Barnum doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Być może będziemy musieli przerwać wsparcie z góry i uciekać stąd.

– Na tej głębokości powinniśmy bez problemu przetrwać sztorm – odparł z przekonaniem Dirk.

– Nie chcę was zostawiać – powiedział ponuro Barnum.

– Może będziemy musieli przejść na dietę, ale mamy zapas energii elektrycznej i tlenu na cztery dni. Przez ten czas sztorm powinien osłabnąć.

– Oby.

Zapadła cisza.

– Mamy inne wyjście? – dobiegło się w końcu z „Pisces”.

– Nie – westchnął ciężko Barnum. – Chyba nie.

Spojrzał w górę na duży zegar cyfrowy nad zautomatyzowaną konsolą okrętową w sterowni. Najbardziej obawiał się tego, że sztorm zepchnie „Sea Sprite” zbyt daleko od dotychczasowej pozycji i nie zdążą wrócić na czas, żeby uratować Dirka i Summer. Obawiał się, że sytuacja jest bez wyjścia. Wolał sobie nie wyobrażać wybuchu gniewu Dirka Pitta seniora, dyrektora projektów specjalnych NUMA, gdyby dopuścił do śmierci jego dzieci na morzu.

– Róbcie wszystko, żeby oszczędzać tlen – powiedział.

– Bez obaw, kapitanie. Summer i ja będziemy bezpieczni w naszym małym domku w koralowym wąwozie.

Barnum poczuł niepokój. Nie dawał „Pisces” dużych szans, jeśli w rafy uderzą trzydziestometrowe fale wzbudzone przez huragan kategorii piątej. Spojrzał przez szyby sterowni na wschód. Niebo już zasłaniały groźne chmury, fale miały półtora metra wysokości.

Z wielkim żalem, przeczuwając nieszczęście, rozkazał podnieść kotwicę „Sea Sprite” i wziąć kurs, którym płynąc, statek zaczął się oddalać od przewidywanej trasy sztormu.

Kiedy Summer wróciła do pomieszczenia głównego, Dirk powiedział jej o sztormie zbliżającym się do nich zza horyzontu. Poinstruował ją, że muszą oszczędzać tlen i jedzenie.

– Powinniśmy też przymocować wszystkie luźne przedmioty na wypadek uderzenia wysokich fal – dodał.

– Ile mamy czasu? – zapytała Summer.

– Kapitan twierdzi, że do rana.

– Więc zdążymy jeszcze razem zanurkować, zanim zamkniemy się tutaj i będziemy czekać, żeby pogoda się poprawiła.

Dirk spojrzał na siostrę. Inny mężczyzna, oczarowany urodą Summer, zapewne uległby jej urokowi. Ale brat bliźniak był odporny na jej makiaweliczne sztuczki.

– Co ty kombinujesz? – zapytał obojętnym tonem.

– Chcę się bliżej przyjrzeć wnętrzu groty, w której znalazłam naczynie.

– Trafisz tam w ciemności?

– Jak lis do swojej nory – odparła z przekonaniem. – Zresztą ty zawsze lubisz oglądać nocne gatunki ryb, których nie można zobaczyć za dnia.

Dirk połknął haczyk.

– No dobrze, tylko zróbmy to szybko – powiedział. – Mamy masę roboty przed sztormem.

Summer wzięła go pod rękę.

– Na pewno nie będziesz żałował.

– Dlaczego tak mówisz?

Spojrzała w górę na brata swoimi łagodnymi szarymi oczami.

– Bo im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że w grocie czeka na

odkrycie większa tajemnica niż tamto naczynie.

## 6

Summer pierwsza wy dostała się z komory wejściowej. Sprawdzili wzajemnie swój sprzęt, po czym zagłębili się w morze, czarne jak kosmos. Włączyli lampy do nurkowania i spłoszyli nocne ryby, które po zmroku wyruszyły na łowy wśród koralowców. Księżyc nie świecił w górze, powierzchni wody nie rozjaśniał jego srebrzysty blask. Gwiazdy zasłaniały groźne chmury, zapowiadające nadchodzący sztorm.

Dirk płynął za siostrą przez ciemną pustkę. Wiedział, że Summer rozkoszuje się podwodnym światem. Poznawał to po jej powolnych, pełnych wdzięku ruchach. Pęcherze powietrza, unoszące się nad nią jak roje baloników, świadczyły o regularnym oddechu doświadczonego płetwonurka. Obejrzała się i przez maskę uśmiechnęła do brata. Potem wskazała na prawo i wzniosła się nad różnobarwne koralowce oświetlone jej lampą.

Nocą w spokojnej wodzie pod powierzchnią morza nie czaiło się żadne niebezpieczeństwo. Światło wabiło ryby, wynurzały się ze swoich kryjówek w koralowcach i obserwowały z zainteresowaniem intruzów – nieznane, niezgrabne stworzenia, które płynęły przez ich królestwo w szczelnych skorupach i świeciły jak słońce. Obok Dirka przepłynęła wielka papugoryba i przyjrzała mu się jak zaciekawiony kot. Sześć ponadmetrowych barrakud wyłoniło się z mroku, ich wysunięte dolne szczęki odsłaniały rzędy ostrych zębów. Zignorowały nurków i minęły ich.

Summer płynęła przez koralowe kaniony tak pewnie, jakby korzystała z mapy samochodowej. Przestraszona blaskiem lampy mała jeżówka nappełniła się powietrzem i przybrała kształt kuli najeżonej kolcami jak kaktus. Chyba żaden duży drapieznik nie byłby na tyle głupi, żeby próbować połknąć taką kłującą przekąskę.

Światło lamp rzucało niesamowite, migotliwe cienie na zdeformowane koralowce, niektóre z nich miały poszarpaną ostrą powierzchnię, inne zaokrąglona i kulistą. Różnorodność barw i kształtów przypominała Dirkowi obrazy abstrakcjonistów. Zerknął na głębokościomierz. Wskazywał czternaście metrów. Spojrzał uważnie przed siebie, bo

Summer opadła nagle w dół do wąskiego kanionu koralowego o stromych ścianach. Popłynął za nią i zauważył kilka otworów w koralowcach. Prowadziły do płytkich grot. Próbował odgadnąć, która z nich zainteresowała wczoraj jego siostrę.

Summer zatrzymała się w końcu przed pionowym prostokątnym otworem i jakby się zawahała. Był wciśnięty między dwie kolumny, które nie wyglądały na dzieło natury. Summer obejrzała się szybko, by sprawdzić, czy Dirk nadal podąża za nią, po czym bez wahania wpłynęła do groty. Tym razem, mając lampę do nurkowania i ochronę brata, śmiało popłynęła w głąb jaskini, minęła miejsce, w którym znalazła naczynie, i ruszyła dalej.

Jaskinia miała regularne kształty. Ściany, sufit i podłoga były niemal idealnie równe. Ciągnęły się w głąb ciemności jak korytarz bez zakrętów. Summer i Dirk posuwali się coraz dalej.

Zgubienie się w labiryncie grot to główny powód nieszczęść, jakie się zdarzają podczas nurkowania jaskiniowego. Pomyłki okazują się fatalne w skutkach. Ale tutaj na szczęście nie było problemu z orientacją. To nie było niebezpieczne nurkowanie jaskiniowe i rodzeństwo nie musiało się obawiać, że zgubi drogę w gąszczu sąsiednich grot. Korytarz nie miał żadnych odgałęzień, żeby się stąd wydostać, wystarczyło po prostu zawrócić. Byli wdzięczni losowi, że na dnie nie zalegał drobny muł, który po zmąceniu płetwami mógłby uniemożliwić widoczność, a opaść dopiero po godzinie. Podłogę koralowego korytarza pokrywał gruboziarnisty piasek, zbyt ciężki, żeby unosić się w wodzie.

Tunel skończył się nagle i to, co ujrzała przed sobą na wprost, podziało na jej wyobraźnię. W górę prowadziły schody porośnięte organizmami morskimi. Nad głową Summer zawirowała w korkociągu ławica aniołów morskich, kiedy dziewczyna zaczęła się wznosić, ryby pierzchły. Poczła dreszcz emocji. Powróciło wcześniejsze przeczucie, że grot kryje jakąś tajemnicę.

Koralowców ubywało. Tak głęboko pod rafą nie rozrastały się z braku światła, warstwa narośli na ścianach szybu miała zaledwie dwa centymetry grubości i więcej w niej było wątlých organizmów niż twardych skorup. Dirk stał rękawicą śliską powłokę i poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Rozpoznał rowki w granitowej skale i zaczął przypuszczać, że wyżłobili je ludzie w czasach starożytnych, kiedy poziom morza był niższy.

W następnej chwili usłyszał zniekształcony przez wodę pisk Summer. Popłynął w górę i ku swojemu zaskoczeniu wynurzył głowę w kieszeni powietrznej. Summer oświetlała lampą kopulaste sklepienie zbudowane z ociosanych kamieni, spasowanych ciasno bez zaprawy murarskiej.

- Co to jest? – zapytał Dirk, posłużwszy się podwodnym systemem łączności.
- Albo wybryk natury, albo starożytna budowla – mruknęła oszołomiona Summer.
- To nie wybryk natury.
- Musiała to zalać woda po epoce lodowcowej.
- Dziesięć tysięcy lat temu? Niemożliwe, żeby to było takie stare. Bardziej

prawdopodobne, że ta krypta została zatopiona podczas trzęsienia ziemi. Jak Port Royal na Jamajce, raj dla piratów, który osunął się do morza po wstrząsie tektonicznym w 1692 roku.

– Może to zapomniane wymarłe miasto? – powiedziała podekscytowana Summer.

Dirk pokręcił głową.

– Instynkt mi mówi, że to rodzaj świątyni. Chyba że jest tego dużo więcej pod koralowcami.

– Świątynia zbudowana przez antyczny lud karaibski?

– Wątpię. Archeolodzy nie znaleźli jeszcze dowodów na istnienie w Indiach Zachodnich kamiennych budowli sprzed czasów Kolumba. A tubylcy na pewno nie potrafili robić naczyń z brązu. Stworzyła to wszystko inna kultura, zaginiona lub nieznana cywilizacja.

– To chyba nie jest kolejna mityczna Atlantyda? – powiedziała sarkastycznie Summer.

– Nie. Tata i Al kilka lat temu zakończyli tę sprawę na Antarktydzie.

– Wydaje się niewiarygodne, żeby starożytni Europejczycy przepłynęli ocean i zbudowali świątynię na rafie koralowej. – Dirk powoli przesunął rękawicą po ścianie. – Navidad Bank prawdopodobnie był wtedy wyspą.

– I pomyśleć, że oddychamy tu powietrzem, które ma tysiące lat.

Dirk zrobił głęboki wdech, a potem wydech.

– Jest w porządku – powiedział. Summer wskazała swoje plecy.

– Pomóż mi wyjąć aparat fotograficzny. Musimy zrobić zdjęcia.

Dirk podpłynął do niej z tyłu, odczepił aluminiowy pojemnik przypięty pod jej butlami tlenowymi i wyjął aparat cyfrowy Sony PC-100 w przezroczystej obudowie akrylowej. Ustawił go na tryb manualny i przymocował reflektory na wysięgnikach. W ciemności nie potrzebował światłomierza.

Summer była doświadczonym fotografem i potrafiła uchwycić piękno podwodnej groty. Gdy tylko włączyła reflektory, ponure wnętrza ożywiło się, ściany nabrały zielonej, żółtej, czerwonej i purpurowej barwy morskiej narośli. Woda była niemal tak przejrzysta, jak szkło.

Kiedy Summer fotografowała kryptę nad i pod wodą, Dirk zanurkował, żeby zbadać podłogę wzdłuż ścian. Blask reflektorów przy aparacie Summer tworzył w wodzie dziwaczne, drżące obrazy. Dirk posuwał się powoli wokół groty.

Omal nie przeoczył otwartej przestrzeni między dwiema ścianami. Narożne wejście miało niewiele ponad pół metra szerokości. Dirk ledwo się tamtędy przecisnął z butlami tlenowymi na plecach. Lampę do nurkowania trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce. Znalazł się w drugiej krypcie, trochę większej od pierwszej. W ścianach były wykute miejsca do siedzenia, na środku stało kamienne łóżko. Dirk początkowo nie zauważył żadnych artefaktów, ale potem światło lampy wydobyło z ciemności wypukły przedmiot z dużymi otworami z obu stron i jednym mniejszym na górze. Obiekt spoczywał na łóżku i przypominał zbroję osłaniającą tors. Powyżej, na kamieniu Dirk dostrzegł złoty naszyjnik, po jego obu stronach leżały dwie szerokie bransolety. Nad naszyjnikiem widać było metalowy hełm o skomplikowanym

kształcie, nad nim ozdobny diadem.

Dirk wyobraził sobie ciało spoczywające kiedyś wewnątrz tego stroju. Tam, gdzie powinny być nogi zobaczył dwie nagolennice z brązu, starożytne ochraniacze noszone poniżej kolan. Z lewej strony leżały ostrza miecza i sztyletu, z prawej grot włóczni. Jeśli było tu ciało, dawno uległo rozkładowi lub zostało zjedzone przez morskie stworzenia, pożerające wszelkie substancje organiczne.

W nogach łoża stał wielki kocioł.

Miał wysokość około stu trzydziestu centymetrów i zbyt dużą średnicę, żeby Dirk mógł go opasać ramionami w obwodzie. Postukał w naczynie rękojeścią noża i usłyszał głuchy, metaliczny odgłos. Brąz, pomyślał. Starł z powierzchni narośl i odsłonił wyrzeźbioną postać wojownika rzucającego włócznię. Oczyszczył rękawicą kocioł dookoła i odkrył całą armię mężczyzn i kobiet. Nosili zbroje i stali w takich pozach, jakby walczyli w bitwie. Trzymali tarcze wysokości człowieka i długie miecze, kilkoro miało krótkie włócznie z bardzo długimi, spiralnymi grotami. Część z nich walczyła w pancerzach osłaniających tors, część nago, ale większość nosiła duże hełmy, często z rogami na szczycie.

Dirk wzniosł się nad krawędź naczynia, oświetlił lampą wielki otwór i zajrzał do środka.

Wnętrze kotła prawie po brzegi wypełniały przemieszane i zniszczone, ale jeszcze rozpoznawalne artefakty. Dirk dostrzegł groty włóczni z brązu, miecze z rękojeściami przeżartymi rdzą, jednosieczne i obosieczne topory, zwinięte bransolety i pasy łańcuchowe. Niczego nie dotknął, wziął tylko jeden przedmiot. Wyjął go delikatnie z kotła, uniósł w dwóch palcach i wypłynął z pomieszczenia łukowym przejściem w przeciwległej ścianie. Przyjął, że prawdopodobnie w czasach starożytnych ta izba była pierwotnie sypialnią, a potem służyła za grobowiec!

Wyłonił się po drugiej stronie i szybko zorientował, że jest w kuchni. Była całkowicie zatopiona. Jego pęcherze powietrza unosiły się pod sufit i odpływały jak wzburzony strumień rtęci. Na podłodze walały się brązowe wazy, amfory, dzbany i potłuczone gliniane garnki. Obok paleniska zauważył szczypce i dużą chochlę z brązu. Wszystko leżało zagrzebane częściowo w mule nagromadzonym przez tysiące lat. Dirk pływał nad szczątkami i przyglądał się uważnie artefaktom. Szukał wzrokiem jakichś charakterystycznych cech lub znaków, ale przedmioty do połowy były pokryte przez małe, twarde skorupiaki, które przez stulecia docierały do izby, i muł.

Nie znalazł więcej przejść ani bocznych pomieszczeń do spenetrowania, więc wrócił przez sypialnię do Summer, która zawzięcie regulowała ostrość i fotografowała każdy szczegół krypty pod powierzchnią wody.

Dirk dotknął jej ramienia i uniósł palec w górę. Kiedy się wynurzyli, oznajmił z podnieceniem:

– Odkryłem jeszcze dwie izby.

– Z każdą minutą ta wyprawa staje się coraz bardziej intrygująca – odrzekła Summer, nie

odrywając oka od wizjera aparatu.

Dirk wyszczerzył zęby w uśmiechu i uniósł do góry damski grzebień z brązu.

– Uczesz się i spróbuj sobie wyobrazić ostatnią kobietę, która tego używała.

Summer opuściła aparat i popatrzyła na przedmiot trzymany przez brata. Kiedy delikatnie wzięła grzebień w dwa palce, rozwarła szerzej oczy.

– Piękny – szepnęła i już miała przeczesać kilka kosmyków swoich płomiennorudych włosów założonych za uszy, gdy nagle coś sobie uprzytomniła i spojrzała poważnie na Dirka.

– Powinieneś to odłożyć na miejsce. Kiedy archeolodzy zbadają te wnętrza, a na pewno zbadają, oskarżą cię o kradzież.

– Założę się, że gdybym miał dziewczynę, zatrzymałaby to.

– Ostatnia z długiego korowodu twoich kobiet ukradłaby puszkę z datkami z kościoła.

Dirk udał urażonego.

– Dlatego nie mogłem się oprzeć Sarze.

– Masz szczęście, że tata zna się lepiej na kobietach niż ty.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Wykopał Sarę ze swojego hangaru, kiedy przyszła cię szukać.

– A ja się zastanawiałem, dlaczego nie odpowiadała na moje telefony – powiedział Dirk bez cienia żalu.

Summer obrzuciła go groźnym spojrzeniem i przyjrzała się uważnie grzebieniowi. Próbowwała sobie wyobrazić jego właścicielkę. Zastanawiała się, jaki kolor włosów i fryzurę mogła mieć tamta kobieta. Po chwili ostrożnie ułożyła antyczny przedmiot na otwartych dłoniach brata, żeby go sfotografować.

Kiedy tylko zrobiła kilka zbliżeń, Dirk popłynął odłożyć grzebień z powrotem do kotła. Summer wkrótce dołączyła do niego i wykonała aparatem cyfrowym ponad trzydzieści zdjęć sypialni i antycznych artefaktów. Potem przeniosła się do kuchni. Zadowolona, że ma szczegółową dokumentację fotograficzną trzech pomieszczeń i wszystkich przedmiotów, wręczyła aparat bratu. Dirk zdemontował reflektory i schował cały sprzęt. Ale zamiast przyczepić aluminiowy pojemnik z powrotem do pleców Summer, nie wypuścił go z ręki i mocno zacisnął dłoń na uchwycie, żeby go nie zgubić ani nie uszkodzić.

Sprawdził wskaźniki akwalungów i stwierdził, że oboje mają aż nadto powietrza na powrót do bazy. Dirk i Summer byli ostrożnymi płetwonurkami, ojciec dobrze ich wyszkolił. Jeszcze nigdy im się nie zdarzyło, żeby zostali bez powietrza. Tym razem Dirk popłynął przodem, pamiętał wszystkie zakręty między koralowcami na trasie z bazy do grotu.

W końcu bezpiecznie dotarli do „Pisces” i weszli do głównego pomieszczenia. Tymczasem nad nimi wciąż rosły fale. Pędzone coraz silniejszym wiatrem, uderzały w rafy niczym kafar w pal. Dirk przyrządził kolację. Oboje nie mogli się doczekać rozwiązania zagadki wymarłej, podwodnej świątyni. Odpoczywali, jedli i czuli się zupełnie bezpieczni, nie mając pojęcia, co im teraz zagrażało piętnaście metrów pod powierzchnią rozszalałego morza.



Nie wiedzieli, że fale osiągną wkrótce wysokość trzydziestu metrów, ich głębokie doliny odsłonią bazę i wystawiają na działanie ogromnej siły zabójczego sztormu.

Samolot przedzierał się przez wirującą ścianę huraganu, smagany przez wyjący wichur, sieczony deszczem, tłuczony gradem. Maszyną miotały wznoszące się i opadające prądy powietrzne. Ale dwudziestodziewięcioletni Orion P-3 Hurricane Hunter radził sobie z łatwością z atakami żywiołów. Skrzydła wyginały się i wibrowały jak ostrze szpady szermierza. Wielkie śmigła czterech silników Allison o mocy czterech tysięcy sześćset koni mechanicznych ciągnęły samolot przez ulewę z szybkością pięćset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Marynarka Wojenna, Narodowy Instytut Oceanologii i Meteorologii oraz NUMA nigdy nie znalazły lepszej maszyny do lotów w ekstremalnych warunkach pogodowych niż zbudowany w roku 1976 Orion.

Samolot był wyjątkowo stabilny. Nazwano go pieszczotliwie Galloping Gertie i namalowano na dziobie dziewczynę w stroju kowbojskim, ujeżdżającą narowistego konia. Na pokładzie znajdowało się dwadzieścia osób – dwóch pilotów, nawigator, meteorolog pokładowy, trzech mechaników i jednocześnie specjalistów od łączności elektronicznej, dwunastu naukowców i pasażer z lokalnej stacji telewizyjnej, który poprosił o zabranie go na pokład, kiedy się dowiedział, że huragan Lizzie przeradza się w sztorm o rekordowej mocy.

Jeff Barrett siedział zupełnie spokojny w fotelu pilota i co dwie minuty spoglądał na panel instrumentów. Po sześciu godzinach dziesięciogodzinnego lotu mógł obserwować tylko wskaźniki i kontrolki, ponieważ to, co było widać za szybą kokpitu, przypominało mydliny w wirującej pralce. Choć Barrett miał żonę i troje dzieci, nie uważał swojej pracy za bardziej ryzykowną niż prowadzenie śmieciarki.

Ale w chmurze wilgoci wirującej wokół oriona czaiły się niebezpieczeństwo i śmierć. Zwłaszcza kiedy Barrett schodził tak nisko nad morze, że śmigła rozpylały słoną wodę, która osiadała na szybach jak szron, a potem wznosił się spiralnie na wysokość ponad dwóch tysięcy stu metrów, penetrując najgorszą strefę sztormu. Lot korkociągiem był najbardziej skuteczną metodą rejestrowania i analizowania siły huraganu.

Bojaźliwi nie nadawali się do tej pracy. Ci, którzy wlatywali w huragany i tajfuny, należeli do wyjątkowego gatunku naukowców. Nie mogli obserwować sztormów z daleka. Musieli się dostać w sam środek wiru powietrznego. Nie raz, lecz dziesięć razy.

Lecieli bez narzekania w niewiarygodnie trudnych warunkach, żeby poznać szybkość i kierunek wiatru, intensywność opadów, ciśnienie powietrza i sto innych czynników. Dane wysyłali do ośrodka meteorologicznego. Ich informacje trafiały do modeli komputerowych i dzięki nim meteorolodzy mogli przewidzieć siłę sztormu i ostrzec ludzi na jego prognozowanej trasie. Ewakuacja mogła uratować życie olbrzymiej liczbie mieszkańców wybrzeża.

Barrett z łatwością panował nad sterami, zmodyfikowanymi tak, żeby wytrzymały ekstremalne turbulencje. Sprawdził wskazania satelitarnego odbiornika GPS i lekko skorygował kurs. Odwrócił się do drugiego pilota.

– Naprawdę jest kiepsko – powiedział, kiedy w oriona uderzył nagły podmuch wiatru.

Żałoga komunikowała się przez mikrofony i słuchawki. Gdyby nie rozmawiali przez radio, musieliby krzyczeć sobie do ucha. Wycie wiatru zagłuszało nawet ryk silników.

Wysoki mężczyzna rozpostarty wygodnie w fotelu drugiego pilota popijał przez słomkę kawę z zakrytego kubka. Zawsze schludny, pedantyczny Jerry Boozer szczyił się tym, że nigdy w czasie huraganu nie wylał w kokpicie kropli płynu, nie spadł mu też na podłogę nawet jeden okruch kanapki. Skinął potwierdzająco głową.

– To najgorszy sztorm, jaki widziałem w mojej ośmioletniej karierze tropiciela huraganów – przyznał.

– Nie chciałbym być na jego trasie, kiedy dotrze do lądu.

Boozer podniósł swój mikrofon.

– Hej, Charlie, co mówią twoje magiczne zabawki o szybkości wiatru?

Za jego plecami znajdowała się kabina badawcza. Stłoczono tam zestawy instrumentów i konsole zapchane elektronicznymi systemami meteorologicznymi. Przed sensorami mierzącymi temperaturę, wilgotność, ciśnienie i przepływ powietrza siedział przypięty do fotela Charlie Mahoney, naukowiec z Uniwersytetu Stanforda.

– Nie uwierzysz – odrzekł z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Georgii. – Ostatnia opadowa sonda wiatrowa, którą zrzuciłem, zarejestrowała po przejściu przez sztorm w kierunku morza poziomą szybkość wiatru trzysta pięćdziesiąt dwa kilometry na godzinę.

– Nic dziwnego, że biedna stara Gertie dostaje wycisk.

Ledwo Boozer skończył mówić, samolot wleciał w strefę ciszy. Aluminiowy kadłub i skrzydła załśniły w słońcu.

Byli w oku cyklonu. W niespokojnym morzu w dole odbijał się błękit nieba. Otoczenie przypominało gigantyczną rurę z owalnymi ścianami kłębiących się, nieprzeniknionych chmur. Boozer poczuł się tak, jakby znalazł się w ogromnym wirze, którego czeluść prowadzi do Hadesu.

Barrett przechylił maszynę w skrajnie i poleciał po wewnętrznym obwodzie oka. Meteorolodzy na pokładzie zbierali dane. Po blisko dziesięciu minutach Barrett skierował oriona w szarą ścianę chmur. Samolot znów zaczął drżeć, jakby potrząsali nim wściekli bogowie. Wiatr uderzył nagle w prawą stronę kadłuba niczym gigantyczna pięść. Maszyna przechyliła się na skrzydło. Wszystkie luźne przedmioty w kokpicie – dokumenty, kubki do kawy, nesesery – posypały się w prawo. Zanim napór wichru osłabł, jeszcze silniejszy podmuch odrzucił samolot w przeciwną stronę jak lekki latawiec. Luźne przedmioty poleciały w lewo. Barrett i Boozer zamarli, zupełnie zaszokowani. Jeszcze nigdy nie doznali uderzenia tak potężnych porywów wiatru i to w dodatku w odstępie dwóch sekund. Mieli wrażenie, że samolot przez moment był piłką tenisową między dwiema raketami.

Orion opadł w niekontrolowanym przechyle na lewe skrzydło.

Barrett poczuł nagłą utratę mocy. Zmagając się ze sterami, żeby wypoziomować samolot, spojrzał szybko na panel instrumentów.

– Nie mam odczytu z silnika numer cztery. Możesz sprawdzić, czy śmigło się obraca?

– Rany boskie! – wymamrotał Boozer, kiedy wyjrzał przez szybę. – Czwartym silnik diabli wzięli!

– Więc go wyłącz! – warknął Barrett.

– Nie ma co wyłączać! Odpadł.

Barrett skoncentrował wszystkie myśli i siły na wyprostowaniu oriona. Obracał wolantem na kolumnie sterowniczej i naciskał pedały. Jeszcze nie zrozumiał tego, co mu doniósł Boozer. Czuł, że z aerodynamiką dzieje się coś niedobrego. Samolot prawie nie reagował na jego ruchy. Stery działały przeraźliwie wolno. Barrett miał wrażenie, jakby prawe skrzydło ciągnął w dół jakiś gigantyczny ciężar.

W końcu udało mu się wrócić do lotu poziomego. Dopiero wtedy dotarł do niego sens słów Boozer. Stracili silnik, gwałtowny atak sztormu wyrwał go z uchwytów, dlatego orion wymknął się spod kontroli i ściągał w prawo. Barrett pochylił się do przodu i wyjrzał zza Boozer.

Tam, gdzie turbośmigłowy Allison był przymocowany do skrzydła, widniała teraz dziura z rozerwanymi i pociętymi uchwytami, przeciętymi przewodami hydraulicznymi, olejowymi i paliwowymi, uszkodzonymi pompami i splątanymi kablami. Barrett nie wierzył własnym oczom. To nie miało się prawa zdarzyć, pomyślał. Silniki po prostu nie odpadają od samolotów. Nawet przy najgorszych turbulencjach.

Potem naliczył prawie trzydzieści małych pustych otworków w skrzydle w miejscach, gdzie wyskoczyły nity. Owładnęły nim złe przecucia, gdy zauważył kilka pęknięć naprężeniowych na aluminiowym poszyciu.

W jego słuchawkach odezwał się głos z głównej kabiny.

– Mamy tu rannych. Większość sprzętu jest uszkodzona i nie działa.

– Niech ci, którzy mogą, zajmą się rannymi. Wracamy do domu.

– Jeżeli potrafimy – powiedział Boozer i wskazał widok za szybą po stronie Barretta. – Mamy pożar trójki.

– Wyłącz ją!

– Już się robi – spokojnie odrzekł Boozer.

Barrett miał ochotę zadzwonić do żony i pożegnać się, ale wcale nie zamierzał się poddawać. By udało mu się wyprowadzić tak poważnie uszkodzoną Gertie ze sztormu i bezpiecznie dotrzeć do lądu, musiałby nastąpić jakiś cud. Zaczął szeptać pod nosem modlitwę. Wykorzystywał całe swoje doświadczenie, starając się przelecieć orionem przez wir i wydostać na otwartą przestrzeń. Gdyby udało im się uciec ze strefy najgorszego chaosu, z resztą jakoś by sobie poradził.

Po dwudziestu minutach wiatr i deszcz zaczęły słabnąć, chmury się przerzedziły. W momencie kiedy Barrett pomyślał, że najgorsze mają już za sobą, huragan Lizzie wymierzył im ostatni cios. Gwałtowne uderzenie wiatru zablokowało ster kierunku i prawie pozbawiło Barretta i Boozer resztek kontroli nad maszyną.

Szansa na szczęśliwy powrót do domu zmalała prawie do zera.

## 8

Przez większość czasu morza wydają się odpoczywać. Niekończące się fale nie są wyższe niż łeb owczarka niemieckiego, powierzchnia wody unosi się wolno i opada jak pierś przy oddychaniu. Ocean sprawia wrażenie drzemającego olbrzyma. Ale jest to iluzja, której ulegają nieostrożni. Marynarze mogą zasnąć na swoich kojach pod pogodnym niebem, na spokojnym morzu a obudzić się wśród szalejącego żywiołu, który szybko ogarnia tysiące kilometrów kwadratowych i wchłania każdy statek na swojej drodze.

Huragan Lizzie miał wszystkie cechy prawdziwej katastrofy. Rano wyglądał niebezpiecznie, w południe bardzo groźnie, wieczorem przerażająco. Prędkość wiatru wzrosła wkrótce z trzystu pięćdziesięciu do ponad czterystu kilometrów na godzinę. Smagał powierzchnię morza, miotał wodą i zmieniał spokojny dotąd ocean w gigantyczny wir. Fale wznosiły się na wysokość trzydziestu metrów i zbliżały nieubłaganie do Navidad Bank i Dominikany, pierwszego lądu na trasie sztormu.

Ledwo podniesiono kotwicę i „Sea Sprite” ruszył w drogę, Paul Barnum odwrócił się chyba po raz dwudziesty i spojrzął na wschód. Poprzednio nie zauważył żadnej zmiany. Ale teraz na horyzoncie, gdzie granatowe morze stykało się z lazurowym niebem, dostrzegł ciemnoszarą smugę. Widok przypominał odległą burzę piaskową nad prerią.

Barnum wpatrywał się w nadciągający koszmar, był oszołomiony, że tak szybko rośnie i wypełnia niebo. Czegoś takiego jeszcze dotąd nie widział. Nigdy nie przypuszczał, że sztorm może się poruszać z prędkością pociągu ekspresowego. Zanim Barnum zdążył zaprogramować skomputeryzowany system sterowniczy na automatyczne utrzymywanie kursu i szybkości, złowrogie chmury przesłoniły słońce i niebo przybrało barwę ołowiu.

Przez następnych osiem godzin „Sea Sprite” uciekał. Barnum starał się maksymalnie oddalić od ostrych raf koralowych Navidad Bank. Wyglądało na to, że jego usiłowania były daremne. Kiedy zdał sobie sprawę, iż sztorm go dogoni, postanowił skierować statek w sam środek żywiołu. Był to, o czym dobrze wiedział, najlepszy sposób na przetrwanie. Wierzył, że

przebiję się przez nawałnicę. Poklepał czule koło sterowe, jakby statek był żywą istotą, nie zimną stalą. Jego wierny „Sea Sprite” doświadczył już wszystkich kaprysów morza przez lata trudnej żeglugi w rejonie podbiegunowym. Mógł teraz zostać pokiereszowany, poważnie ucierpieć, ale Barnum nie miał wątpliwości, że wytrzyma.

Odwrócił się do swojego pierwszego oficera. Sam Maverick wyglądał jak nastolatek, który porzucił szkołę. Miał długie rude włosy, zmierzwioną brodę i złoty kolczyk w lewym uchu.

– Proszę zaprogramować nowy kurs, panie Maverick – polecił Barnum. – Zwrot na wschód, kierunek osiemdziesiąt pięć stopni. Nie uciekniemy przed tym sztormem, więc wpłyniemy w jego środek.

Maverick spojrział na morze. Fale wyrastały dobre piętnaście metrów ponad rufę. Pokręcił głową i popatrzył na Barnuma takim wzrokiem, jakby kapitan stracił nagle połowę szarych komórek.

– Chce pan obrócić statek w tych warunkach? – zapytał, wmawiając powoli każde słowo.

– Teraz albo nigdy – odparł Barnum. – Lepiej to zrobić, zanim uderzą wielkie fale.

Manewr był bardzo ryzykowny. Przez przeraźliwie długi czas obracający się statek byłby ustawiony burtą do fal i całkowicie bezbronny. Wielka fala mogłaby się nad nim przetoczyć. W ciągu stuleci wiele statków przewróciło się podczas takiego manewru i poszło na dno bez śladu.

– Kiedy zobaczę przerwę między falami, dam rozkaz do pełnej szybkości – powiedział Barnum i sięgnął po mikrofon radiowęzła. – Obracamy statek przy wzburzonym morzu. Niech wszyscy się przygotowują i mocno trzymają.

Zgarbił się nad konsolą przed szybą sterowni i wpatrzył w morze. Przyglądał się powierzchni oceanu bez mrugnięcia okiem, czekał cierpliwie i wreszcie zobaczył, że nadciąga fala wyższa od wszystkich poprzednich.

– Pełna szybkość, panie Maverick.

Maverick natychmiast wykonał rozkaz Barnuma, ale był przerażony. Czekał na katastrofę, kiedy ogromna fala zvaliła się na statek badawczy. Już miał przekląć Barnuma za zbyt wczesny manewr, gdy nagle zrozumiał, o co chodzi kapitanowi. Nie było przerw między falami. Monstrualne góry wody niemal się stykały, jak żołnierze maszerujący w zwartej kolumnie. Barnum zrobił coś w rodzaju falstartu, zaczął skręcać wcześniej, zyskał cenną minutę i fala uderzyła w statek pod kątem.

Uniosła dziób i omal nie przewróciła „Sea Sprite” na lewą burtę, potem go zalała. Przez piętnaście sekund statek otaczała biała kipiela, kiedy wydostawał się z masy wody górującej nad sterownią. Potem przechylił się gwałtownie na sterburtę i woda zalała relingi na pokładzie. Niemal cudem, przeraźliwie wolno „Sea Sprite” wyprostował się i przyjął na dziób następną falę. Przebił się przez nią i wrócił do poziomu.

Maverick pływał na statkach od osiemnastu lat, ale jeszcze nie widział manewru

wykonanego tak profesjonalnie i z takim wyczuciem. Spojrzał na Barnuma i zaskoczył go uśmiech na twarzy kapitana – być może ponury, ale jednak uśmiech. Mój Boże, pomyślał Maverick. Tego faceta to naprawdę bawi.

Pięćdziesiąt mil morskich na południe od „Sea Sprite” huragan Lizzie miał za kilka minut uderzyć w Ocean Wanderera. Nadciągnęły złowrogie chmury, przesłoniły słońce i morze pograżyło się w upiornym szarym mroku. Zaczęła się ulewa. Krople deszczu waliły w szyby pływającego hotelu niczym pociski z tysiąca karabinów maszynowych.

– Za późno! – jęknął do siebie Morton.

Stał w swoim gabinecie i patrzył na sztorm, który pędził w kierunku jego hotelu jak rozjuszony *Tyrannosaurus rex*. Mimo ostrzeżeń i informacji Heidi Lisherness z Ośrodka Meteorologicznego NUMA, Morton nie spodziewał się, że kataklizm pokona od rana tak wielką odległość. Choć Heidi podawała mu na bieżąco prognozowaną siłę i prędkość huraganu, wydawało się nieprawdopodobne, żeby pogoda mogła się zmienić tak szybko. Nie mógł uwierzyć, że Lizzie już zaczyna atakować budynek.

– Wezwij tu natychmiast szefów wszystkich działów! – warknął do swojego asystenta, gdy ten wszedł do gabinetu.

Morton był wściekły na Spectera, że nie zarządził ewakuacji tysiąca stu gości i personelu, kiedy była jeszcze szansa na przetransportowanie ich do bezpiecznej Dominikany, oddalonej zaledwie o kilka mil morskich. Wpadł w jeszcze większą furję, gdy szyby zawibrowały od huku rozgrzewanych silników samolotowych. Podbiegł do okna w samą porę, by zobaczyć w dole, jak Specter i jego świta wsiadają do beriewa. Ledwo zamknął się włącz, silniki zwiększyły obroty i maszyna zaczęła nabierać szybkości. Sunęła po rosnących falach w wielkich rozbryzgach wody, potem wzbila się w powietrze, przechyliła w skrajnie i wzięła kurs na Dominikanę.

– Ty cholerny, tchórzliwy gnoju – wycodził Morton, wzburzony zachowaniem pracodawcy – Specter uciekł i nic go nie obchodził los tysiąca stu osób, które zostawił w hotelu.

Morton patrzył przez okno, dopóki samolot nie zniknął w złowrogich chmurach. Odwrócił się, gdy weszli jego podwładni i zajęli miejsca wokół stołu konferencyjnego. Poznał po ich wystraszonych minach, że są bliscy paniki.

– Nie doceniliśmy szybkości huraganu – zaczął. – Uderzy z pełną siłą za niecałą godzinę. Ponieważ jest za późno na ewakuację, musimy przenieść wszystkich gości i pracowników na górne piętra hotelu. Tam jest najbezpieczniej.

– Holowniki nie mogą nas stąd odciągnąć? – zapytała wysoka, elegancka, trzydziestopięcioletnia szefowa działu rezerwacji.

– Są wezwane i powinny niedługo przyplłynąć, ale rosnące fale bardzo im utrudnią dostęp do naszych kabestanów holowniczych. Jeśli nie zdołają zaczepić lin, nie będziemy mieli



innego wyjścia, niż przeczekać sztorm.

Szef recepcji podniósł rękę.

– Czy nie byłoby bezpieczniej zostać na piętrach mieszkalnych pod powierzchnią wody?

Morton powoli pokręcił głową.

– Jeśli zdarzy się najgorsze i fale sztormowe zerwą nasze liny cumownicze, hotel zacznie dryfować... – urwał i wzruszył ramionami. – Wolę nie myśleć, co by było, gdybyśmy wpadli na rafy Navidad Bank odległe o czterdzieści mil morskich na wschód od nas lub na skaliste wybrzeże Dominikany. Uderzenie roztrzaskałoby szklane ściany niższych pięter.

Szef recepcji skinął głową.

– Rozumiem. Po zalaniu przez morze dolnych kondygnacji zbiorniki balastowe mogłyby nie utrzymać hotelu w wodzie, fale rzuciłyby go na skały i rozpadłby się na kawałki.

– A jeśli to nam będzie groziło? – odezwał się zastępca Mortona.

Morton powiódł wzrokiem po twarzach osób siedzących wokół stołu konferencyjnego. Jego twarz przybrała bardzo poważny wyraz.

– Opuścimy hotel, wsiądziemy na tratwy ratunkowe i będziemy się modlili, żeby chociaż garstka z nas przeżyła.

## 9

Atakowani przez huragan, Barrett i Boozer walczyli o utrzymanie samolotu w poziomie. Dwa potężne i niemal jednoczesne uderzenia wiatru z przeciwnych kierunków omal nie straciły Galloping Gertie na ziemię. Obaj piloci razem zmagali się ze sterami i usiłowali utrzymać oriona na prostym kursie. Po awarii steru pionowego kierowali maszyną przez zwiększanie lub zmniejszanie obrotów dwóch ocalałych silników z jednoczesnym przestawianiem lotek.

Od lat tropili razem sztormy tropikalne, ale jeszcze nigdy nie spotkali huraganu o takiej niewiarygodnej sile. Mieli wrażenie, że Lizzie chce rozerwać świat na kawałki.

Wydawało się im, że upłynęło trzydzieści godzin, choć w rzeczywistości minęło trzydzieści minut, gdy w końcu ciemnoszare niebo stopniowo nabrało brudnobiałej, a potem błękitnej barwy. Mocno uszkodzony orion wydostał się wreszcie ze sztormu i wleciał w rejon dobrej pogody.

– Nie dolecimy do Miami – odezwał się Boozer, studiując mapę nawigacyjną.

– Byłoby trudno na dwóch tylko silnikach, z kadłubem, który ledwo się trzyma w kupie, i zablokowanym sterem kierunku – przyznał ponuro Barrett. – Lepiej usiąść w San Juan.

– Tak jest, kapitanie. San Juan, Portoryko.

– Gertie jest twoja – powiedział Barrett i zdjął ręce ze sterów. – Pójdę sprawdzić, co z naszymi naukowcami. Diabli wiedzą, co tam zastaną.

Odpiął pasy bezpieczeństwa i przeszedł z kokpitu do głównej kabiny oriona. Zobaczył istne pobojoisko. Sterty rozrzuconych komputerów, monitorów i elektronicznych przyrządów pomiarowych przypominały składowisko surowców wtórnych. Urządzenia zamontowane tak, żeby wytrzymały najsilniejsze turbulencje, wypadły z uchwytów mocujących, jakby śruby i wkręty wyrwała gigantyczna ręka. Naukowcy leżeli w różnych pozycjach. Kilku było nieprzytomnych, paru ciężko rannych. Ci, którzy trzymali się na nogach, udzielali pierwszej pomocy najbardziej poszkodowanym.

Ale nie to najbardziej przeraziło Barretta. Kadłub oriona pękł w stu miejscach. Nity wystrzeliły z otworów jak pociski. Przez niektóre dziury Barrett widział światło dzienne. Było oczywiste, że gdyby zostali w środku sztormu jeszcze pięć minut, samolot rozleciałby się i spadł w postaci tysiąca kawałków do zabójczego morza.

Meteorolog Steve Miller podniósł wzrok znad złamanego przedramienia elektryka, którego opatrywał.

– Nie do wiary – powiedział, wskazując ruchem dłoni dokonane zniszczenia. – Z prawej strony uderzył w nas wiatr o prędkości trzystu trzydziestu sześciu kilometrów na godzinę. A kilka sekund później jeszcze silniejszy z lewej.

– Jeszcze nie słyszałem o takim huraganie – mruknął ze zgrozą Barrett.

– Możesz mi wierzyć na słowo: nigdy wcześniej nie zmierzono czegoś takiego. A dwa przeciwne podmuchy wiatru zderzające się ze sobą w jednym sztormie to meteorologiczna rzadkość. Ale się zdarza. Gdzieś w tym bałaganie mamy dowód. Zarejestrowaliśmy to.

– Galloping Gertie nie doleci w tym stanie do Miami – oznajmił Barrett, wskazując ruchem głowy podziurawiony kadłub. – Wylądujemy w San Juan. Zawiadomię lotnisko, żeby przygotowali pojazdy ratownicze.

– Nie zapomnij o karetkach pogotowia – odrzekł Miller. – Wszyscy mają co najmniej skaleczenia i siniaki. Delbert i Morris są ciężko ranni, ale na szczęście nie są w stanie krytycznym.

– Muszę wracać do kokpitu i pomóc Boozerowi. Jeśli mógłbym się na coś przydać...

– Poradzimy sobie – odpowiedział Miller. – Utrzymajcie nas tylko w powietrzu i nie wrzućcie do oceanu.

– Postaramy się.

Dwie godziny później zobaczyli lotnisko w San Juan. Barrett po mistrzowsku podchodził do lądowania. Leciał z minimalną prędkością, żeby, na ile to było możliwe, ograniczyć naprężenia osłabionego kadłuba. Opuścił klapy i długo zbliżał się do pasa startowego. Musiał usiąść za pierwszym razem. Wiedział, że jeśli się nie uda, ma małe szanse na powtórkę.

– Podwozie w dół – powiedział, kiedy za szybą kokpitu pojawił się pas startowy.

Boozer wypuścił koła. Na szczęście wysunęły się i zarygłowały. Wzdłuż pasa startowego stały wozy strażackie i karetki pogotowia. Ich załogi słyszały przez radio, w jakim stanie jest samolot i przypuszczano, że lada moment dojdzie do katastrofy.

Obsługa wieży kontrolnej obserwowała oriona przez lornetki, odkąd pojawił się na horyzoncie. Nie wierzyli własnym oczom. Wydawało się niemożliwe, żeby samolot z jednym nieczynnym i dymiącym silnikiem a drugim całkowicie wyrwanym ze skrzydła mógł się utrzymać w powietrzu. Zamknięto lotnisko dla wszystkich przylotów do chwili zakończenia dramatu.

Orion szybował nisko i wolno. Boozer manipulował przepustnicami i nadawał maszynie kierunek na wprost, Barrett obsługiwał stery. Wyhamował i usiadł najdelikatniej jak potrafił

zaledwie dwieście metrów za początkiem pasa startowego. Było tylko minimalne dobiecie, gdy koła z piskiem opon dotknęły asfaltu. Boozer nie odwrócił ciągu śmigieł. Kiedy maszyna toczyła się po pasie, pociągnął dźwignie przepustnic do oporu i pozwolił dwóm ocalałym silnikom pracować na biegu jałowym.

Barrett delikatnie nacisnął pedały hamulców. Wpatrywał się w ogrodzenie, wyrastające na wprost za pasem startowym. Gdyby miało się zdarzyć najgorsze, mógł wcisnąć lewy pedał i skrócić ostro na trawę. Ale wszystko poszło dobrze. Gertie zwolniła i zatrzymała się niecałe sześćdziesiąt metrów przed końcem pasa.

Barrett i Boozer odchyliłi się do tyłu w fotelach i odetchnęli z ulgą. Nagle samolot zadygotał. Odpięli pasy i szybko weszli do głównej kabiny. Na końcu pomieszczenia z rannymi naukowcami i zniszczonym sprzętem badawczym zobaczyli wielką dziurę. W otworze widać było pas startowy, na którym przed chwilą wylądowali.

Cała część ogonowa oderwała się i spadła na ziemię.

Wiatr uderzał z ogromną siłą w płaską powierzchnię Ocean Wanderera od strony pełnego morza. Konstruktorzy dobrze się spisali. Budynek z mocnymi oknami płytowymi miał wytrzymać wiatr o prędkości dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, ale opierał się podmuchom o szybkości trzystu dwudziestu. Nie było żadnych zniszczeń. W pierwszych godzinach huraganu ucierpiał jedynie kompleks sportowy na dachu. Wiatr zmiotł pola golfowe, boiska do koszykówki, korty tenisowe oraz stoliki i krzesła restauracyjne. Pozostała tylko pływalnia. Woda przelewała się przez krawędzie przepelnionego basenu i spływała zjeżdżalniami do morza daleko w dole.

Morton był dumny ze swojego personelu. Jego podwładni spisywali się doskonale. Najbardziej obawiał się paniki. Ale szefowie działów, recepcjoniści i pokojówki razem przenosili gości z apartamentów położonych pod powierzchnią wody do sali balowej, pomieszczeń rekreacyjnych, sali kinowej i restauracji na górnych kondygnacjach. Rozdawano kamizelki ratunkowe, pokazywano którądy się idzie do tratw, tłumaczono, na które należałoby wsiadać.

Nikt z personelu, łącznie z Mortonem, nie wiedział jednak – bo żaden z pracowników nie zaryzykował wyjścia na dach przy wietrze o szybkości trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę – że tratwy ratunkowe zostały zmiecione z dachu razem z kompleksem sportowym dwadzieścia minut po uderzeniu huraganu w pływający hotel.

Morton był w stałym kontakcie ze służbami technicznymi, które krążyły po hotelu, meldowały o uszkodzeniach i organizowały naprawy. Na razie mocny budynek wytrzymywał ataki żywiołu. Widok i odgłosy sztormu stanowiły dla gości przerażające przeżycie. Monstrualne fale sięgały dziesiątego piętra i rozbijały się o ścianę hotelu, w dole trzeszczały liny cumownicze, skrzypiały przeraźliwie skręcane i naprężane nitowane złącza szkieletu budynku.

Jak dotąd, zameldowano tylko o kilku małych przeciekach. Wszystkie generatory, instalacje elektryczne i wodno-kanalizacyjne nadal funkcjonowały. Ocean Wanderer mógł przetrwać jeszcze godzinę, ale Morton wiedział, że to tylko odwołanie tego, co było nieuniknione, los pięknej budowli wydawał się przesądzony.

Goście i ci pracownicy hotelu, którzy byli zwolnieni ze swoich normalnych obowiązków, patrzyli ze zgrozą jak zahipnotyzowani na spienione rozbryzgi wzburzonej wody smaganej porywistym wiatrem. Przyglądali się bezradnie gigantycznym, trzydziestometrowym falom o długości kilkuset metrów, pędzonym w kierunku hotelu przez huragan o prędkości trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. Wiedzieli, że od milionów ton wody odgradzają ich tylko cienkie tafle wzmocnionego szkła. Ta świadomość była przerażająca.

Nie byli w stanie pojąć, jak fale mogą mieć tak niesamowitą wysokość. Mogli tylko stać i patrzeć. Mężczyźni przytulali kobiety, kobiety przytulały dzieci. Wszyscy przyglądali się przerażeni i jednocześnie zafascynowani, jak kolejna fala zalewa hotel, a potem wpatrywali się w wodną pustkę, dopóki nie pojawiła się dolina fali. Zaszokowani ludzie nie ogarniali umysłem ogromu tego wszystkiego. Modlili się i mieli nadzieję, że następne fale będą mniejsze, ale te wydawały się jeszcze wyższe.

Morton pozwolił sobie na chwilę przerwy, usiadł za biurkiem i odwrócił się plecami do okna, żeby się nie rozpraszać. Na jego barki spadła lawina obowiązków i pragnął się na nich skoncentrować. Ale nie chciał patrzeć w okno przede wszystkim dlatego, że nie mógł znieść widoku zielonych mas wody atakujących jego bezbronny hotel. Wysyłał rozpaczliwe prośby o natychmiastową pomoc przy ewakuacji gości i personelu. Błagał o ratunek, zanim będzie za późno.

Jego wezwania odbierano, je ale ignorowano.

Każdy statek w promieniu stu mil morskich był w jeszcze gorszej sytuacji niż hotel. Prawie dwustumetrowy kontenerowiec już przestał nadawać sygnały SOS. Zły znak. Dwa inne statki też nie odpowiadały na wezwania radiowe. Rozwiały się wszelkie nadzieje na uratowanie niemal dziesięciu kutrów rybackich, które miały nieszczęście znaleźć się na drodze huraganu Lizzie.

Z Dominikany nie mógł wystartować żaden wojskowy ani cywilny samolot ratownictwa morskiego. Wszystkie statki ratownicze musiały zostać w portach. Morton słyszał tylko: „Przykro nam, Ocean Wanderer, ale jesteście zdani na siebie. Odezwiemy się, jak tylko sztorm osłabnie”.

Morton był w stałym kontakcie z Heidi Lishemess z Ośrodka Meteorologicznego NUMA. Informował ją o sile sztormu.

– Jest pan pewien, że fale są tak wysokie? – zapytała z niedowierzaniem po wysłuchaniu jego opisu.

– Niech mi pani wierzy. Siedzę trzydzieści metrów powyżej linii wodnej hotelu i co dziesięć sekund fala przelewa się przez dach.

– To wręcz niewiarygodne.

– Ma pani na to moje słowo.

– W porządku – odrzekła Heidi, w jej głosie dało się wyczuć głęboki niepokój. – Mogę jakoś pomóc?

– Niech mnie pani informuje na bieżąco, kiedy, według was morze i wiatr zaczną się uspokajać.

– Sądząc po meldunkach z naszego samolotu obserwacyjnego i przekazach satelitarnych, nie nastąpi to szybko.

Morton odwrócił się w końcu twarzą do okna i spojrzał na ścianę wody na zewnątrz.

– Gdybym się już więcej nie odezwał, będzie pani wiedziała, że stało się najgorsze.

Zanim Heidi zdążyła odpowiedzieć, wyłączył się, żeby odebrać telefon na innej linii.

– Pan Morton?

– Przy aparacie.

– Tu kapitan Rick Tapp z floty holowników Odyssey.

– Proszę mówić, kapitanie. Są zakłócenia z powodu sztormu, ale słyszę pana.

– Przykro mi, ale holowniki „Albatross” i „Pelican” nie mogą przyjść panu z pomocą. Fale są zdecydowanie za wysokie. Nikt jeszcze nie widział takiego sztorm. Nie dopłynęlibyśmy do pana. Nasze jednostki są naprawdę mocne, ale nie będą w stanie przedrzeć się przez tak wzburzone morze. Każda próba byłaby samobójstwem.

– Tak, rozumiem – powiedział ponurym głosem Morton. – Przyplyniecie, kiedy będziecie mogli. Nie wiem, jak długo wytrzymają nasze liny cumownicze. To cud, że przy takich falach hotel jeszcze stoi.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby do pana przyplłynąć, gdy tylko najgroźniejsza strefa sztormu minie port.

Morton coś sobie nagle przypomniał.

– Dostał pan jakieś instrukcje od Spectera?

– Nie. Nikt się nie odezwał. Ani on, ani żaden z jego dyrektorów.

– Dziękuję panu, kapitanie.

Czy to możliwe, żeby Specter z zimną krwią spisał na straty hotel i wszystkich ludzi w budynku? – pomyślał Morton. Nigdy nie przypuszczał, że ten człowiek może okazać się taką kanalią. Wyobraził sobie, jak grubas spotyka swoich doradców i dyrektorów, żeby ustalić, w jaki sposób firma odetnie się od całej sprawy i uchyli się całkowicie od odpowiedzialności za katastrofę.

Morton zamierzał właśnie opuścić gabinet, zrobić obchód hotelu, uspokoić gości i zapewnić ich, że przeżyją sztorm. Nigdy nie występował na scenie, ale teraz miał zagrać rolę swojego życia.

Nagle usłyszał głośny trzask i poczuł, że podłoga umyka spod jego stóp, nurkuje. Cały pokój przechylił się lekko.

Niemal w tym samym momencie odezwał się brzęczyk jego komunikatora osobistego.

– Tak, o co chodzi?

– Tu Emlyn Brown, panie dyrektorze. – Dobiegł go znajomy głos szefa działu technicznego. – Jestem na dole w kabinie wciągarki numer dwa. Pękła lina cumownicza. Urwała się sto metrów od nas.

Najgorsze obawy Mortona potwierdziły się.

– A inne nie puszcza? – spytał, starając się nie okazywać zdenerwowania.

– Wątpię, żeby teraz długo wytrzymały. Jednej brakuje, a reszta jest strasznie przeciążona.

Przy każdym uderzeniu wielkiej fali budynek drżał. Pogrążał się w rozszalałej zielonej wodzie i wylaniał z niej jak obłożona forteca, trwał niewzruszenie niczym skała. Widząc, że wytrzymuje bez szwanku kolejne ataki gigantycznych fal, goście nabrali otuchy, ich morale i zaufanie do Ocean Wanderera stopniowo rosły. W pływającym ośrodku wypoczynkowym spędzali wakacje głównie bogaci ludzie szukający przygód. Oswoili się już z groźącym im niebezpieczeństwem i odzyskali spokój. Nawet dzieci przestały się bać i bawiło je obserwowanie ogromnych mas wody obmywających luksusowy hotel.

Szefowie i pracownicy kuchni stanęli na wysokości zadania i zaczęli przyrządzać posiłki. Kelnerzy o nieskazitelnym manierach podawali je w zatłoczonej sali balowej i kinowej.

Morton jednak czuł się coraz gorzej. Był teraz przekonany, że tylko minuty dzieli hotel od katastrofy i że żaden człowiek nie jest w stanie przeciwstawić się szalejącym siłom przyrody.

Pękły następne liny, dwie ostatnie zerwały się w odstępie niecałej minuty. Odcumowany hotel, pędzony bezlitośnie przez okrutne morze, zaczął niebezpiecznie dryfować w kierunku skalistego wybrzeża Dominikany.

W dawnych czasach sternik – a często kapitan statku – stał w rozkroku na pokładzie z rękami zaciśniętymi mocno na szprychach koła sterowego i zmagał się z morzem przez długie godziny.

To już przeszłość.

Barnum musiał tylko zaprogramować kurs statku w komputerze, potem przypiął się pasami do podwyższonego skórzanego fotela w sterowni i czekał, aż elektroniczny mózg doprowadzi „Sea Sprite” do miejsca przeznaczenia.

Komputer natychmiast przeanalizował dane napływające nieprzerwanie z przyrządów meteorologicznych i systemów pokładowych i znalazł najbardziej skuteczną metodę przetrwania sztormu. Potem przejął dowodzenie zautomatyzowanym systemem sterowniczym i zaczął manewrować statkiem. Mierzył i przewidywał wysokość grzbietów ogromnych fal, głębokość ich przepastnych dolin oraz oceniał czas i dystans, by obliczyć najlepszy kąt i optymalną szybkość przebijania się przez żywioł.

Widoczność można było mierzyć w centymetrach. Wiatr miotał w szyby sterowni słonym pyłem wodnym i pianą w tych krótkich momentach, kiedy statek nie był przykryty niezliczonymi tonami wody. Monstrualne fale i huraganowy wiatr przeraziłyby każdego szczura lądowego. Barnum siedział jak skała i mogłoby się wydawać, że świdruje wzrokiem zdradzieckie fale, wypatrując tam jakiegoś rozwścieczonego boga mórz. Ale w rzeczywistości całkowicie pochłonął go jeden problem: jak przetrwać. Choć wierzył bez zastrzeżeń, że skomputeryzowany automatyczny system sterowniczy statku potrafi sobie doskonale radzić ze sztormem, mogło dojść do sytuacji alarmowej, kiedy musiałby przejąć dowodzenie.

Obserwował uważnie fale, kiedy przetaczały się nad statkiem, i przyglądał się ich grzbietom wznoszącym się wysoko nad sterownią. Śledził każdą ścianę wody, dopóki „Sea Sprite” nie przebił się na drugą stronę i nie zanurzył w dolinie fali.

Mijały godziny i nic się nie zmieniało. Paru członków załogi i większość naukowców dotknęła choroba morska, ale nikt się nie skarżył. Nikt nie myślał o wyjściu na pokład zalewany bez przerwy przez wielkie fale. Jedno spojrzenie przez bulaj na wzburzone morze wystarczyło, żeby stracić na to ochotę. Ludzie przywiązywali się do koi w swoich kajutach i modlili, żeby dożyć jutra.

Jedynym pocieszeniem była łagodna temperatura tropikalna. Ci, którzy wyglądali przez bulaje, widzieli fale o wysokości dziesięciopiętrowych budynków. Patrzyli ze zgrozą, jak przerażający wiatr rozbijał grzbiety fal w spieniony pył wodny, który znikał w ulewnym deszczu.

Ludzie pod pokładem – w kajutach załogi i w maszynowni – nie odczuwali ruchów statku tak gwałtownie, jak Barnum i jego oficerowie w sterowni. Kapitan zaczął się poważnie niepokoić – morze rzucało teraz tak gwałtownie, że jego ruchy przypominały ewolucje wagonika kolejki górskiej. Kiedy statek badawczy omal nie położył się na sterburcie, Barnum spojrział na wyświetlacz przechyłomierza. Odczytał kąt trzydziestu czterech stopni. Potem liczba stopni zaczęła maleć i wróciła do przedziału między pięć i zero.

– Jeszcze jeden taki przechył – mruknął do siebie – i na zawsze zostaniemy pod wodą.

Nie pojmował, jak statek potrafi się opierać tak szalonemu i dzikiemu morzu. Nagle, jakby błogosławionym zrządzeniem losu, wskazania przyrządu mierzącego prędkość wiatru zaczęły coraz szybciej spadać. W końcu wyświetlacz pokazał osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Sam Maverick z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Wygląda na to, że zaraz wpłyniemy w oko cyklonu, a morze szaleje bardziej niż kiedykolwiek.

Barnum wzruszył ramionami.

– Ktoś kiedyś powiedział, że najciemniej jest przed świtem.

Do kapitana podszedł oficer łączności, Mason Jar, niski i pulchny mężczyzna z siwymi włosami i wielkim kolczykiem zwisającym z lewego ucha. Wręczył Barnumowi wiadomość.



Kapitan przeczytał ją i podniósł wzrok.

– Kiedy to przyszło?

– Niecałe dwie minuty temu – odrzekł Jar.

Barnum podał wiadomość Maverickowi. Pierwszy oficer przeczytał głośno:

– Hotelowi Ocean Wanderer zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Pękły liny cumownicze. Budynek dryfuje w kierunku skał na wybrzeżu Dominikany. Wszystkie statki w tym rejonie są proszone o kontakt. W hotelu jest ponad tysiąc osób.

Zwrócił wiadomość Barnumowi.

– Sądząc po sygnałach SOS, jesteśmy jedynym statkiem, który mógłby przyjść im z pomocą.

– Nie podali swojej pozycji – zauważył oficer łączności.

– Nie są marynarzami. To hotelarze – odparł Barnum z ponurą miną.

Maverick pochylił się nad stołem nawigacyjnym i wziął do ręki cyrkiel.

– Byli pięćdziesiąt mil morskich na południe od nas, zanim podnieśliśmy kotwicę, żeby uciec przed sztormem – powiedział po chwili. – Nie będzie łatwo podejść do nich między rafami Navidad Bank i przeprowadzić akcję ratowniczą.

Jar pojawił się znowu z następną wiadomością, która brzmiała:

*Centrala NUMA w Waszyngtonie do „Sea Sprite”. Jeśli to możliwe, spróbujcie uratować ludzi znajdujących się w pływającym hotelu Ocean Wanderer. Zdaję się na waszą ocenę sytuacji i poprzę waszą decyzję. Sandecker.*

– Przynajmniej mamy teraz oficjalną zgodę – powiedział Maverick.

– I tylko czterdziestu ludzi na pokładzie – dodał Barnum. – W tamtym hotelu jest ponad tysiąc. Nie miałbym sumienia uciec.

– A co z Dirkiem i Summer w „Pisces”?

– Pod wodą powinni przetrwać sztorm. Chronią ich rafy.

– Jaki mają zapas tlenu? – zapytał Maverick.

– Wystarczy im jeszcze na sześć dni – odparł Barnum.

– Jeśli ten cholerny sztorm przejdzie, powinniśmy wrócić na miejsce za dwa.

– O ile uda nam się dotrzeć do Ocean Wanderer i odholować go na bezpieczną odległość od wybrzeża.

Maverick spojrział przez szybę sterowni.

– Po wplynięciu do oka cyklonu powinniśmy mieć dobrą szybkość.

– Niech pan wprowadzi do komputera ostatnią pozycję hotelu i przewidywaną trasę dryfu, a potem zaprogramuje kurs do Ocean Wanderera – polecił Barnum.

Zaczął wstawać z fotela, bo chciał polecić radiooperatorowi, by wysłał do Sandeckera wiadomość o swojej decyzji, gdy ku swemu przerażeniu zobaczył monstrualną falę, dużo wyższą niż wszystkie poprzednie. Mimo że sterownia znajdowała się piętnaście metrów powyżej linii wodnej, fala wyrosła nad nią na wysokość dwudziestu czterech metrów. Zwaliała

się w dół z niewyobrażalną siłą i zalała cały statek. Ale „Sea Sprite” przebił się dzielnie przez ścianę wody, zanurzył w przepastnej dolinie fali i uniósł z powrotem.

Barnum i Maverick spojrzeli na siebie zupełnie oszołomieni. Nagle uderzyła jeszcze potężniejsza fala i przykryła statek.

Miażdżony milionami ton wody „Sea Sprite” nurkował dziobem coraz niżej i głębiej, jakby nigdy nie miał się zatrzymać.

## 10

Uwolniony z cum pływający hotel znalazł się na łasce huraganu. Ocean Wanderer był teraz zupełnie bezbronny. Ludzie w budynku nie mogli już nic zrobić, żeby uratować swoje rodziny i pływający hotel.

Mortona z minuty na minutę ogarniała coraz większa desperacja. Musiał podejmować zasadnicze decyzje, jedną po drugiej. Mógł kazać napełnić zbiorniki balastowe do wyższego poziomu, żeby hotel osiadł niżej w wodzie, co zmniejszyłoby szybkość dryfu w porywistym wietrze, albo mógł wydać polecenie opróżnienia zbiorników i pozwolić, żeby fale miotły luksusowym budynkiem i ludźmi wewnątrz jak tornado domami w Kansas.

Pierwsza opcja wydawała się bardziej sensowna. Ale gdyby ją wybrał, żywioł atakowałby z ogromną siłą prawie nieruchomy budynek. Niektóre części konstrukcji już puściły, woda zalewała dolne piętra i pompy ledwo sobie radziły z powodzią.

Jednakże druga opcja byłaby bardzo uciążliwa dla wszystkich w hotelu i przyspieszyłaby nieuchronne zderzenie ze skalistym wybrzeżem karaibskiej wyspy.

Morton już miał wydać polecenie napełnienia zbiorników po brzegi, gdy wiatr nagle zaczął słabnąć. Pół godziny później niemal całkowicie ustał i nad hotelem zaświeciło słońce. Ludzie zgromadzeni w sali balowej i kinowej zaczęli wiwatować, wierząc, że najgorsze mają już za sobą.

Morton lepiej orientował się w sytuacji. Porywisty wiatr wprawdzie osłabł, ale morze nadal było wzburzone. Przez poplamione solą okna dyrektor widział szarą ścianę wnętrza huraganu. Sięgała nieba. Sztorm przesunął się dokładnie nad hotelem, byli teraz w oku cyklonu.

Najgorsze miało dopiero nadejść.

W ciągu kilku krótkich godzin, jakie pozostały do przejścia oka cyklonu, Morton zebrał całą ekipę techniczną budynku i wszystkich mężczyzn, zarówno członków personelu, jak i gości. Potem podzielił ich na grupy i niektóre wysłał do napraw uszkodzeń, inne skierował do

uszczelniania mocno przeciekających okien na dolnych piętrach, gdzie szyby mogły puścić lada chwila. Wszyscy ofiarnie pracowali i ten wysiłek wkrótce przyniósł rezultaty. Przecieki zmalowały, pompy zaczęły jakoś dawać sobie radę z wodą zalewającą statek.

Morton wiedział, że to tylko chwilowa poprawa sytuacji do czasu przejścia oka cyklonu. Ale chciał podnieść morale wszystkich znajdujących się na statku i przekonać ich, że mają szansę przeżycia, choć sam w to nie wierzył.

Wrócił do swojego gabinetu i zaczął studiować mapy wybrzeża Dominikany. Próbował przewidzieć, gdzie Ocean Wanderer może wpaść na brzeg. Przy dużym szczęściu mogli wylądować na jednej z wielu plaż, ale większość ich była zbyt mała. W niektórych miejscach nawet wysadzono w powietrze skały, żeby zbudować tam hotele. Morton obawiał się, że prawdopodobieństwo uderzenia w skały wulkaniczne powstałe z lawy przed milionami lat wynosiło niestety dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Perspektywa była koszmarna, ale Morton nie potrafił sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób mógłby ewakuować tysiąc osób z hotelu pchanego przez gigantyczne fale na skały i przetransportować wszystkich bezpiecznie na ląd.

Katastrofa wydawała się nieunikniona.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny. W momencie, gdy po raz kolejny przecierał zaczerwienione ze zmęczenia oczy, do gabinetu wpadł operator z centrali telekomunikacyjnej.

– Panie dyrektorze, nadeszła pomoc! – krzyknął.

Morton skierował w jego stronę spojrzenie bez wyrazu.

– Statek ratowniczy?

Operator pokręcił głową.

– Nie, helikopter.

Morton przymknął powieki. Nadzieja, którą poczuł przed chwilą, zgasła.

– Co nam da jeden helikopter?

– Nadali przez radio, że chcą opuścić na dach dwóch ludzi.

– To niemożliwe – odparł Morton.

Ale natychmiast zdał sobie sprawę, że to jest możliwe, dopóki są w oku cyklonu. Minął szybko operatora, wsiadł do swojej prywatnej windy i wjechał na dach hotelu. Kiedy drzwi się rozsunęły i wyszedł z kabiny, doznał szoku. Huragan zmiotł cały kompleks sportowy, został tylko basen pływacki. Ale najbardziej przeraziło go to, że zniknęły wszystkie tratwy ratunkowe.

Morton widział teraz doskonale wszystko wokoło. Był oszołomiony groźnym pięknem wnętrza huraganu. Zadarł głowę i zobaczył turkusowy helikopter. Maszyna zniżala się, na jej kadłubie widniał dumny napis NUMA. Zawisła sześć metrów nad dachem hotelu i na linach opuszczono dwóch mężczyzn w turkusowych kombinezonach i hełmach ochronnych. Kiedy ratownicy uwolnili się z uprząży, na innej linie zjechały dwa duże pakunki owinięte pomarańczową folią. Mężczyźni szybko odczepili hak i zasygnalizowali w górę, że wszystko

w porządku.

Operator wciągarki w helikopterze nawinał liny na bęben i uniósł kciuk, pilot przechylił maszynę w skłęcie i odleciał przez oko cyklonu. Dwaj nieoczekiwani goście spostrzegli Mortona i ruszyli w jego stronę, niosąc z łatwością pękate tobołki.

Wyższy z mężczyzn zdjął hełm. Miał gęste, czarne włosy siwiejące na skroniach i ogorzałą twarz. Opalizujące zielone oczy zdawały się przewiercać Mortona na wylot.

– Proszę nas zaprowadzić do pana Hobsona Mortona – powiedział tonem w tych okolicznościach zadziwiająco spokojnym.

– To ja – odrzekł Morton. – Kim panowie są? Skąd się tu wzięliście?

Mężczyzna zdjął rękawicę i wyciągnął ku niemu dłoń.

– Nazywam się Dirk Pitt. Jestem dyrektorem projektów specjalnych w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. – Odwrócił się do kolegi, który był dość niski. Miał ciemne, kręcone włosy, krzaczaste brwi i wyglądał na potomka rzymskiego gladiatora. – To mój zastępca, Al Giordino. Przylecieliśmy odholować hotel w bezpieczne miejsce.

– Podobno holowniki naszej firmy nie mogą wyjść z portu.

– Nie zrobią tego holowniki Odyssey, tylko statek badawczy NUMA, który może holować jednostki pływające wielkości pańskiego hotelu.

Morton gotów był przyjąć pomoc od samego diabła, zwiózł Pitta i Giordina prywatną windą dyrektorską i zaprosił ich do swojego gabinetu.

– Przepraszam za chłodne przyjęcie – powiedział, wskazując gościom krzesła – ale nikt mnie nie uprzedził o waszym przylocie.

– Nie mieliśmy wiele czasu na przygotowania – odrzekł obojętnym tonem Pitt. – Jaka jest sytuacja?

Morton ponuro pokręcił głową.

– Niedobra. Nasze pompy ledwo sobie radzą z zalewającą hotel wodą, budynkowi grozi zawalenie, a kiedy wpadniemy na skały sterczące wzdłuż wybrzeża Dominikany... – urwał i wrzucił ramionami. – Zginie tysiąc osób, łącznie z wami, panowie.

Rysy Pitta stwardniały.

– Na nic nie wpadniemy – powiedział stanowczo.

– Będziemy potrzebowali pomocy pańskich służb technicznych, żeby przyczepić hol do naszego statku – odezwał się Giordino.

– A gdzie jest ten statek? – zapytał z wyraźną nutą powątpiewania w głosie Morton.

– Radar w naszym helikopterze pokazywał, że niecałe trzydzieści mil morskich stąd.

Morton spojrział przez okno na złowrogą ścianę piętrzącą się wokół oka cyklonu.

– Nie zdąży tu dopłynąć przed następnym atakiem sztormu.

– Nasz ośrodek meteorologiczny obliczył, że oko cyklonu ma średnicę sześćdziesięciu mil morskich i przesuwa się z szybkością trzydziestu dwóch kilometrów na godzinę. Przy odrobinie szczęścia nasz statek dotrze tu na czas.

Giordino zerknął na zegarek.

– Ma dwie godziny na podróż i godzinę na przyczepienie holu.

– Rozumiem, że musimy przedyskutować warunki finansowe tej akcji ratowniczej – powiedział Morton oficjalnym tonem.

– Nie ma o czym dyskutować – odparł Pitt zirytowany, że tracą czas. – NUMA jest amerykańską agencją rządową powołaną do badań oceanicznych. Nie jesteśmy firmą ratownictwa morskiego. Nie zawrzemy z panem umowy, że w razie niepowodzenia operacji nic nam nie zapłacicie. Jeśli akcja się uda, nasz szef, admirał James Sandecker, nie weźmie od pańskiego szefa, pana Spectera, ani centa.

Giordino wyszczerzył zęby w znaczącym uśmiechu.

– Wspomnę tylko, że admirał uwielbia drogie cygara.

Morton bez słowa popatrzył na Giordina. Nie wiedział, jak ma rozmawiać z tymi dwoma mężczyznami. Spadli nieoczekiwanie z nieba i oświadczyli spokojnie, że zamierzają uratować hotel i wszystkie osoby znajdujące się wewnątrz. Nie wyglądali na wybawicieli.

– Co będzie wam potrzebne, panowie? – zapytał w końcu.

„Sea Sprite” nie poddał się.

Zanurzył się tak głęboko, że trudno było uwierzyć, by mógł jeszcze powrócić na powierzchnię. Dziób i rufa całkowicie zniknęły pod wodą. Przez kilkanaście dręczących sekund wydawało się, że statek zawisł zawieszony w szarozielonej pustce. Potem wolno i z wysiłkiem dziób zaczął się podnosić, wirujące wściekle śruby wgrzyły się w wodę i popchnęły „Sea Sprite” naprzód. W końcu dziób wystrzelił do góry, kil opadł, aż zadrżały wszystkie płyty poszycia kadłuba obciążonego tonami wody przelewającej się przez pokłady i spływającej do morza.

Diabelski sztorm zadał małemu, mocnemu statkowi potężny cios, ale „Sea Sprite” stawiał opór wirującym masom powietrza i wody, jakby miał ludzką determinację i wiedział, że poradzi sobie z każdym atakiem morza, i przetrwa w kipiącym kotle.

Maverick patrzył na wprost przez szybę, która cudem ocalała. Był błąd jak płótno.

– Makabra – powiedział. – Nie miałem pojęcia, że zamustrowałem na okręt podwodny.

Inny statek nie przeżyłby czegoś podobnego i poszedłby na dno. Ale „Sea Sprite” nie był zwykłym statkiem. Zbudowano go do żeglugi po morzach dalekiej północy. Stal kadłuba miała grubość znacznie większą od przeciętnej, żeby mogła rozbijać krę. „Sea Sprite” nie wyszedł jednak z tej przygody bez szwanku. Morze zmyło prawie wszystkie szalupy, została tylko jedna.

Barnum spojrział w kierunku rufy i nie mógł uwierzyć, że jakimś cudem ocalały urządzenia telekomunikacyjne. Ludzie męczący się pod pokładem nie mieli pojęcia, jak niewiele brakowało, żeby zakończyli życie na dnie morza.

Nagle sterownię oświetliło słońce. „Sea Sprite” przebił się do gigantycznego oka cyklonu.

Miało ono w sobie coś paradoksalnego – niebo było błękitne, a morze wzburzone. Barnum wręcz nie mógł się pogodzić z tym, że piękny widok jest zarazem tak niezwykle groźny.

Zerknął na swojego oficera łączności. Mason Jar oparty o stół nawigacyjny zaciskał dłonie na relingu, aż zbieły mu kostki i wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Jeśli może się pan wziąć w garść, Mason – powiedział Barnum – niech pan nada wiadomość do Ocean Wanderer, że płyniemy do nich najszybciej jak możemy w tych warunkach.

Jar ciągle jeszcze wstrząśnięty tym, co przeżył, ale powoli otrząsnął się z szoku, skinął w milczeniu głową i ruszył w stronę kabiny telekomunikacyjnej.

Barnum popatrzył uważnie na ekran radaru. Był pewien, że punkt oddalony o dwadzieścia sześć mil morskich na wschód to pływający hotel. Wprowadził do komputera kurs, znów przekazał dowodzenie automatycznemu systemowi sterownicemu i otarł czoło starą czerwoną chustą.

– Nawet jeśli dotrzemy do nich, zanim wpadną na skały – mruknął – to co potem? Nie mamy łodzi, żeby podpłynąć do hotelu, a zresztą, gdybyśmy mieli, nie utrzymałyby się na wodzie przy tych falach. Nie mamy też dużej wciągarki holowniczej z grubą liną.

– Niezbyt przyjemna perspektywa – odrzekł Maverick – patrzeć bezradnie, jak hotel rozbija się o skały z tymi wszystkimi kobietami i dziećmi w środku.

– Z całą pewnością fatalna perspektywa – westchnął ciężko Barnum.

## 11

Heidi nie nocowała w domu od trzech dni. Drzemała po parę godzin na dobę na kozetce w swoim biurze, wypijała hektolitry kawy i nie jadła prawie niczego prócz kanapki z wędliną i serem. Jeśli krążyła po Ośrodku Badania Huraganów jak lunatyczka, to nie z braku snu, lecz z powodu stresu i dręczącej świadomości, że zbliża się katastrofa, która spowoduje śmierć setek tysięcy ludzi i zniszczenia na niespotykaną skalę. Choć od początku trafnie prognozowała przerażającą siłę huraganu Lizzie i zawczasu wysłała ostrzeżenia, miała poczucie winy, że nie zrobiła więcej.

Z drżeniem serca śledziła projekcje i obrazy na swoich monitorach, gdy huragan pędził w kierunku najbliższego lądu.

Dzięki niej w Dominikanie i na sąsiednim Haiti ewakuowano w górzyste rejony w środkowej części wyspy ponad trzysta tysięcy osób. Mimo to liczba ofiar mogła być zatrważająca. Heidi obawiała się, że sztorm może skręcić na północ i uderzyć w Kubę, a potem w południową Florydę.

Zadzwonił telefon. Zmęczonym ruchem podniosła słuchawkę.

– Żadnych zmian w twoich przewidywaniach kierunku? – zapytał jej mąż Harley z Narodowej Służby Meteorologicznej.

– Nie. Lizzie nadal pędzi na wschód jak po szynach kolejowych.

– To niezwykle, żeby huragan pokonywał tysiące mil morskich w linii prostej.

– Więcej niż niezwykle. To niebywałe. Wszystkie poprzednie huragany meandrowały.

– Sztorm doskonały?

– Nie Lizzie – odparła Heidi. – Jest daleki od doskonałości. Sklasyfikowałabym go jako zabójczy kataklizm o największej mocy. Zaginęła cała flotylla rybacka. Osiem innych statków – tankowców, kontenerowców i prywatnych jachtów – przestało nadawać. Nie odbieramy już ich sygnałów SOS. Cisza. Spodziewamy się najgorszego.

– Jakie są ostatnie wiadomości o pływającym hotelu? – zapytał Harley.



– Kiedy nadawał ostatni meldunek, miał zerwane cumy i dryfował przy porywistym wietrze i wysokich falach w kierunku skalistego wybrzeża Dominikany. Admirał Sandecker wysłał tam jeden ze statków badawczych NUMA, żeby spróbował odholować hotel w bezpieczne miejsce.

– To wygląda na przegraną sprawę.

– Obawiam się, że mamy w perspektywie katastrofę morską, jakiej jeszcze nie było – odrzekła ponuro Heidi.

– Wybieram się do domu na kilka godzin. Może zrobisz sobie przerwę i też przyjedziesz? Przygotuję dobrą kolację.

– Nie mogę, Harley. Jeszcze nie teraz. Muszę tu zostać, dopóki nie uda mi się przewidzieć następnej fazy Lizzie.

– Przy jego niewyczerpanej sile to mogą być dni lub nawet tygodnie.

– Wiem – odpowiedziała wolno Heidi. – Właśnie to mnie przeraża. Jeśli nie zacnie słabnąć po przejściu nad Dominikaną i Haiti, uderzy z pełną siłą w kontynent.

Summer zafascynowało morze, kiedy mając zaledwie sześć lat, za namową matki zaczęła brać lekcje nurkowania. Zrobiono dla niej na zamówienie mały akwalung dostosowany do ciała dziecka, uczyli ją najlepsi instruktorzy, podobnie jak jej brata, Dirka. Stała się stworzeniem morskim. Studiowała życie mieszkańców głębin, ich zachowania i zwyczaje. Pływając pod wodą, zrozumiała morze. Poznała też jego potęgę podczas tajfunu na Pacyfiku. Ale podobnie jak żona, która po dwudziestu latach małżeństwa odkrywa nagle, że mąż ulega nieraz odruchom gwałtownej nienawiści i ma skłonności sadystyczne, Summer przekonała się na własne oczy, jak okrutne i złośliwe potrafi być morze.

Brat i siostra siedzieli wewnątrz „Pisces” i patrzyli przez dużą przezroczystą kopułę na żywioł szalejący nad nimi. Kiedy huragan dotarł do Navidad Bank, zagrożenie początkowo wydawało się odległe. Ale gdy przybrał na sile, wkrótce stało się jasne, że mała przytulna baza znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie i nie została dobrze przygotowana do ochrony jej mieszkańców.

Dirk i Summer przebywali na głębokości dwunastu metrów i grzbiety fal wędrujące w górze początkowo mijały ich spokojnie. Jednak fale szybko rosły, osiągnęły wkrótce ogromną wysokość i kiedy ich doliny opadały do dna, baza była całkowicie odsłonięta i wystawiona na deszcz, dopóki nie przykryła jej następna masa wody.

Niekończące się wielkie fale raz po raz waliły w „Pisces”. Bazę skonstruowano tak, by mogła wytrzymać ciśnienie głębinowe, i powłoka z grubej stali znosiła bez problemu napór wody. Ale ogromna siła uderzająca w powierzchnię zewnętrzną „Pisces” zaczęła wkrótce przesuwać bazę po dnie. Cztery nogi, na których stała konstrukcja, nie były połączone z podłożem. Zostały tylko wpuszczone w rafę koralową na głębokość zaledwie kilku centymetrów. Gdyby nie sześćdziesięciopięcioletnia masa bazy, żywioł uniósłby ją i

cisnął przez rafy jak pustą butelkę.

Nagle w Navidad Bank uderzyła ta sama para monstualnych fal, które przykryły „Sea Sprite” zaledwie dwadzieścia mil morskich dalej. Ogromna siła roztrzaskała delikatną strukturę raf koralowych na miliony kawałków. Pierwsza z dwóch fal przewróciła „Pisces” na bok i potoczyła ją niczym beczkę przez skalistą pustynię. Dirk i Summer próbowali się czegoś trzymać, ale wirowali wewnątrz jak szmaciane lalki w palce.

Baza zatrzymała się dopiero po przebyciu stu osiemdziesięciu metrów i zawisła niebezpiecznie na krawędzi wąskiej rozpadliny w rafach koralowych. Potem druga z fal zepchnęła ją w dół.

„Pisces” spadła z wysokości ponad trzydziestu pięciu metrów na dno wąwozu. Odbijała się po drodze od koralowych ścian i uderzyła w podłoże, powodując wielką eksplozję drobin piasku. Wylądowała płasko na prawym boku i zaklinowała się między ścianami rozpadliny. Wszystkie luźne przedmioty wewnątrz zostały rozrzucone w różne strony. Wszędzie wały się ubrania, naczynia, zapasy jedzenia, sprzęt do nurkowania i rzeczy osobiste.

Dirk nabił sobie kilkanaście siniaków i skręcił kostkę. Nie zwracając uwagi na ból, natychmiast podczołgał się do siostry. Leżała zwinięta w kłębek między przewróconymi kojami. Spojrzał jej w oczy i po raz pierwszy, odkąd oboje nauczyli się chodzić, zobaczył w nich prawdziwy strach. Delikatnie uniósł jej głowę i uśmiechnął się z przymusem.

– Jak ci się podobała ta szaleńcza jazda?

Podniosła na niego wzrok, zobaczyła ów sztuczny uśmiech i odetchnęła głęboko, strach zaczął słabnąć.

– W czasie tego szaleństwa myślałam ciągle o tym, że razem się urodziliśmy i razem umrzemy.

– Moja siostrzyczka jest pesymistką. Jeszcze przez siedemdziesiąt lat będziemy się drażnili wzajemnie. – Dirk nagle spoważniał. – Nie jesteś ranna?

Pokręciła głową.

– Wcisnęłam się pod koje i nie miało mną tak bardzo jak tobą. – Popatrzyła przez kopułę widokową w górę. – Co z bazą?

– Wytrzymała. Nie ma przecieków. Żadna fala, nawet wyjątkowy gigant, nie rozwali „Pisces”. Stalowa powłoka ma dziesięć centymetrów grubości.

– A sztorm?

– Jeszcze szaleje, ale tutaj na dole będziemy bezpieczni. Fale przechodzą nad kanionem bez turbulencji.

Rozejrzała się wokoło.

– Boże, co za bałagan – westchnęła.

Uradowany tym, że siostrze nic się nie stało, Dirk poszedł sprawdzić systemy podtrzymywania życia. Summer wzięła się do sprzątanía. Nie miała możliwości ulokowania wszystkich rzeczy z powrotem na ich właściwych miejscach, bo baza leżała na boku. Summer

po prostu ułożyła starannie przedmioty w stosy i przykryła kocami ostre części wystające z przyrządów badawczych, a także zawory, wskaźniki i uchwyty. Wobec braku podłogi, aby się poruszać, musieli przechodzić nad nimi. Summer dziwnie się czuła w miejscu, gdzie wszystko było odwrócone o dziewięćdziesiąt stopni.

Uspokajała ją świadomość, że dotąd jakoś przetrwali. W koralowym kanionie o stromych ścianach sztorm nie mógł im już zagrozić. Głęboko w dole nie słychać było wycia wiatru, huragan nie uderzał w „Pisces” jak przedtem, gdy doliny fal odsłaniały bazę. Strach i napięcie minęły. Byli bezpieczni do powrotu „Sea Sprite”. Obecność brata podnosiła Summer na duchu. Dirk miał odwagę i siłę ich legendarnego ojca.

Ale nie zobaczyła na jego twarzy oczekiwanej pewności siebie, kiedy wszedł i ostrożnie usiadł obok niej, starając się nie urazić tych miejsc na ciele, gdzie były ciemniejące siniaki.

– Czemu masz taką ponurą minę? – zapytała. – O co chodzi?

– Kiedy spadaliśmy na dno kanionu, urwały się przewody powietrzne łączące butle tlenowe z systemami podtrzymywania życia. Ciśnieniomierze czterech ocalałych zbiorników wskazują, że wystarczy nam powietrza tylko na czternaście godzin.

– A co z akwalungami, które zostawiliśmy w komorze wejściowej?

– W środku został tylko jeden z zaworem do naprawy. W najlepszym razie, jest w nim zapas tlenu dla nas obojga na czterdzieści pięć minut.

– Moglibyśmy go wykorzystać do wyjścia na zewnątrz po resztę akwalungów – powiedziała z nadzieją w głosie Summer. – Potem poczekalibyśmy dzień lub dwa, aż osłabnie sztorm, wydostalibyśmy się stąd i dryfowalibyśmy na powierzchni w naszej pneumatycznej tratwie ratunkowej do czasu aż nadejdzie pomoc.

Dirk pokręcił głową.

– Mam złą wiadomość. Jesteśmy w pułapce. Właz do komory wejściowej nie otworzy się. Blokują go rafa. Tylko eksplozja dynamitu mogłaby nas stąd uwolnić.

Summer westchnęła ciężko.

– Wygląda na to, że nasz los spoczywa w rękach kapitana Barnuma.

– Na pewno o nas pamięta. Nie zostawi nas samych.

– Powinniśmy go zawiadomić o naszej sytuacji.

Dirk wyprostował się i położył jej ręce na ramionach.

– Radio nie działa. Roztrzaskało się, kiedy spadaliśmy na dół.

– Ale moglibyśmy wypuścić boję sygnalizacyjną, żeby wiedzieli, że żyjemy. – Summer wciąż nie traciła nadziei.

– Była zamontowana na tym boku bazy, na którym leżymy – odrzekł spokojnym tonem Dirk. – Na pewno jest zmiążdżona. Nawet jeśli ocalała, nie ma sposobu, żeby ją wystrzelić.

– Kiedy zaczną nas szukać – powiedziała Summer z napięciem w głosie – nie będą mieli łatwego zadania. Trudno będzie nas znaleźć w tej rozpadlinie.

– Możesz być pewna, że Barnum wyśle każdą łódź i każdego nurka na pokładzie „Sea

Sprite”, żeby przeczesać rafy.

– Mówisz tak, jakbyśmy mieli zapas tlenu na dni, nie na godziny.

– Nie martw się, siostrzyczko – pocieszył ją Dirk. – Na razie jesteśmy bezpieczni. Kiedy tylko morze się uspokoi, załoga „Sea Sprite” ruszy ku nam tak szybko, jak biegnie pijak po skrzynkę szkockiej, która wypadła z ciężarówki z alkoholem. W końcu jesteśmy ich numerem jeden.

W tym momencie „Pisces” i jej dwuosobowa załoga były ostatnią rzeczą, jaka interesowała Barnuma. Wiercił się niecierpliwie w swoim fotelu i bez przerwy przenosił wzrok z ekranu radaru na szybę sterowni i z powrotem. Fale straciły swą przerażającą potęgę, nie były już gigantyczne, lecz po prostu wysokie. Nadciągały jedna za drugą jak szeregi żołnierzy maszerujących w kolumnie. „Sea Sprite” bezustannie unosił się i opadał, jego ruchy stały się monotonne. Statek już nie wspinał się powyżej trzydziestu metrów, jak przedtem. Przeciętna odległość między grzbietami i dolinami fal nie przekraczała teraz dwunastu, nadal była co prawda duża, ale w porównaniu z tym, co się działo niedawno, morze przypominało jezioro. Jakby wiedziało, że wymierzyło statkowi badawczemu najsilniejszy cios, jaki mogło zadać, i nie zdołało go zatopić. Zawstydzone przyznało się do porażki i złagodniało.

Mijały godziny. „Sea Sprite” płynął naprzód z największą szybkością, jaką odważył się z niego wycisnąć Barnum. Zawsze wesoły i przyjazny kapitan stał się poważny i chłodny. Wciąż myślał o beznadziejnym zadaniu, które go czekało, nie widział sposobu na przyłączenie holu do Ocean Wanderera. Wielka wciągarka holownicza z liną grubości męskiego ramienia została wymontowana dawno temu, kiedy „Sea Sprite” przerabiano na statek badawczy NUMA. Obecna wciągarka służyła do opuszczania i podnoszenia pojazdów głębinowych, była zainstalowana za dużym dźwigiem na pokładzie rufowym i nie nadawała się do holowania pływającego hotelu o wyporności większej od pancernika.

Barnum starał się przeniknąć wzrokiem ulewę.

– Zobaczylibyśmy ich, gdybyśmy coś widzieli przez to gównno.

– Radar wskazuje, że są niecałe dwie mile od nas – poinformował Maverick.

Barnum wszedł do kabiny telekomunikacyjnej.

– Hotel się nie odzywał? – zapytał Masona Jara.

– Nie, panie kapitanie. Grobowa cisza.

– Boże, mam nadzieję, że się nie spóźniłyśmy.

– Nie chcę nawet o tym myśleć.

– Niech pan spróbuje ich wywołać jeszcze raz. Przez satelitę. Goście i dyrekcja najprawdopodobniej komunikują się z łodem przez telefon, nie przez radio okrętowe.

– Najpierw spróbuję przez radio morskie, panie kapitanie. Przy takiej odległości powinno być mniej zakłóceń. Hotel na pewno ma sprzęt najwyższej klasy do kontaktowania się z innymi statkami, kiedy jest holowany jak barka.

– Niech pan przełączy na mostek, żebym mógł z nimi porozmawiać, jeśli odpowiedzą.

– Tak jest.

Barnum zdążył wrócić do sterowni w momencie, gdy Jar podjął kolejną próbę.

– „Sea Sprite” do Ocean Wanderera. Jesteśmy dwie mile morskie na południowy wschód od was i zbliżamy się. Odbiór.

Przez pół minuty w głośnikach trzeszczały zakłócenia. Potem zadudnił jakiś głos.

– Paul, jesteś gotowy wziąć się do roboty?

Barnum w pierwszej chwili nie rozpoznał tego głosu, zakłócenia były wciąż silne. Podniósł mikrofon radia na mostku.

– Kto mówi?

– Twój stary kumpel z pokładu, Dirk Pitt. Jestem w hotelu razem z Alem Giordinem.

Barnum był zupełnie oszołomiony, nie wierzył własnym uszom.

– Jak się tam znaleźliście, na Boga, przy tym huraganie?

– Wyglądało na to, że szykuje się tu niesamowita impreza. Nie mogliśmy jej sobie darować.

– Chyba wiecie, że nie mamy sprzętu do holowania Ocean Wanderera?

– Wszystko, czego potrzebujemy, to wasze potężne silniki.

Lata pracy w NUMA nauczyły kapitana, że Pitt i Giordino nigdy nie działają bez planu.

– Co wy kombinujecie?

– Zorganizowaliśmy już grupy robocze, które pomogą nam wykorzystać cumy hotelu jako hol. Kiedy będziecie mieli liny na pokładzie „Sea Sprite”, połączycie je razem, potem przymocujecie do kabestanów rufowego i gotowe.

Barnum znowu nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Wasz plan to szaleństwo! Jak chcecie dostarczyć na mój statek tony lin, wlec je po dnie takiego wzburzonego morza?

Zapadła cisza. Kiedy po chwili Barnum usłyszał odpowiedź, niemal zobaczył diabelski uśmiech na twarzy Pitta.

– Mamy błogą nadzieję, że się uda.

Deszcz osłabł i widoczność wzrosła z dwustu metrów do prawie mili. Ze sztormu wyłonił się nagle Ocean Wanderer.

– Boże, niech pan tylko spojrzy – powiedział Maverick. – To jak szklany zamek z bajki.

Hotel wyglądał wspaniale w otoczeniu szalejącego morza. Naukowców i załogę „Sea

Sprite” ogarnęło podniecenie. Wszyscy wyszli ze swoich kajut i stłoczyli się na mostku, żeby zobaczyć nowoczesny budynek wznoszący się w miejscu, gdzie nic nie powinno się znajdować.

– Piękny – szepnęła drobna blondynka, chemik morski. – Nie spodziewałam się takiej kreatywnej architektury.

– Ja również – powiedział jej wysoki kolega. – Tyle na nim soli morskiej, że można by go wziąć za górę lodową.

Barnum spojrział na hotel przez lornetkę. Budynek kołysał się wśród fal tam i z powrotem.

– Dach zmyło całkowicie – zauważył.

– To cud, że ten hotel przetrwał – mruknął z podziwem Maverick. – Chyba nikt się tego nie spodziewał.

Barnum opuścił lornetkę.

– Niech pan go okrąży i ustawi nas rufą do jego nawietrznej.

– Znów powalczymy ze sztormem, żeby zająć pozycję do holowania, i co potem?

Barnum patrzył w zamyśleniu na Ocean Wanderer.

– Poczekamy – odrzekł powoli. – Poczekamy i zobaczymy, co Pitt wyciągnie z rękawa, kiedy machnie swoją czarodziejską różdżką.

Pitt studiował szczegółowe plany systemu cumowniczego dostarczone przez Mortona. On, Giordino, Morton i Emlyn Brown, szef hotelowego działu technicznego, stali wokół stołu w gabinecie dyrektora.

– Liny trzeba będzie nawinać na bębny wciągarek, żebyśmy zobaczyli, jaką mają długość po zerwaniu.

Brown, zbudowany jak uniwersytecki lekkoatleta startujący w biegach na jedną milę, przecesał dłonią gęste, kruczoczarne włosy.

– Jak tylko trzasnęły, nawinęliśmy to, co z nich zostało – powiedział. – Bałem się, że jeśli zahaczą o skały, mogą obrócić hotel przy tych cholernych falach i uszkodzić konstrukcję.

– Jak daleko od budynku pękły liny trzecia i czwarta?

– Zastrzegam się, że mogę tylko zgadywać, ale oceniam, że obie puściły jakieś sto osiemdziesiąt do dwustu metrów od hotelu.

Pitt spojrział na Giordina.

– Barnumowi nie wystarczy miejsca na bezpieczny manewr. A jeśli Ocean Wanderer zacznie tonąć, załoga „Sea Sprite” nie zdąży odciąć holu. Statek pójdzie na dno razem z hotelem.

– Na ile znam Paula – odrzekł Giordino – nie zawaha się zaryzykować, kiedy stawką jest życie tylu ludzi.

– Mam rozumieć, panowie, że zamierzacie użyć lin cumowniczych jako holu? – zapytał Morton. – Mówiono mi, że ten wasz statek NUMA to holownik oceaniczny.

– Był nim kiedyś – odparł Pitt. – Teraz już nie jest. Przerobiono go z holownika lodołamacza na statek badawczy. Podczas przebudowy usunięto wielką wciągarkę z liną holowniczą. Teraz ma tylko dźwig do podnoszenia pojazdów głębinowych. Będziemy musieli improwizować i zadowolić się tym, co mamy.

– Więc po co nam ten statek? – zapytał gniewnie Morton.

– Niech pan nam zaufa. – Pitt spojrzał mu w oczy. – „Sea Sprite” ma silniki o takiej mocy, że jeśli zdołamy przyczepić hol, pociągnie hotel.

– Jak dostarczycie końce lin na pokład statku? – zainteresował się Brown. – Kiedy je odwinimy, pójda na dno.

Pitt spojrzał na niego.

– Zrobimy tak, że będą pływały – odparł.

– Pływały?

– Chyba macie tutaj dwustulitrowe beczki?

– Już rozumiem. Bardzo sprytnie, panie Pitt. – Brown urwał i zastanawiał się przez chwilę. – Mamy ich całkiem sporo. Jest w nich ropa do generatorów, olej do smażenia dla kuchni i mydło w płynie dla sprzątaczek.

– Weźmiemy tyle pustych, ile pan znajdzie.

Brown odwrócił się do czterech podwładnych, którzy stali w pobliżu.

– Zbierzcie wszystkie puste beczki i opróżnijcie pełne. Jak najszybciej.

– Kiedy pan i pańscy ludzie będziecie odwijali cumy – zaczął tłumaczyć Pitt – przywiążecie beczki co pięć metrów. Liny utrzymają się na wodzie i podamy je na pokład „Sea Sprite”.

Brown skinął głową.

– Załatwione.

– Skoro wcześniej pękły cztery nasze cumy – wtrącił się Morton – to dlaczego pan sądzi, że te dwie wytrzymają takie naprężenie?

– Po pierwsze – zaczął wyjaśniać cierpliwie Pitt – sztorm znacznie osłabł. Po drugie, te dwie liny będą krótsze i mniej narażone na przeciążenie. I po trzecie, będziemy holowali hotel najwęższą częścią do przodu. Kiedy był przycumowany, sztorm uderzał w całą frontową ścianę.

Nie czekając na komentarz Mortona, Pitt odwrócił się znowu do Browna.

– Będę potrzebował dobrego mechanika, który zrobi pętle na końcach lin, żeby można je było połączyć razem i założyć na zaczep holowniczy statku.

– Sam sobie z tym poradzę – zapewnił Brown, po czym powiedział – Chyba ma pan plan, jak dostarczyć liny na pokład waszego „Sea Sprite”? Nie dopłyną tam same, na pewno nie przez tak wzburzone morze.

– Pobawimy się z tym – odrzekł Pitt. – Będziemy potrzebowali kilkudziesięciu metrów linki. Najlepiej cenniejszej, ale wytrzymałej jak gruba lina stalowa.



– Mam w magazynie dwa stu pięćdziesięciometrowe zwoje linki z falcronu. Drobnopłeciona, cienka i lekka, ale można na niej podnieść czołg Patton.

– Niech pan przywiąże dwa stumetrowe kawałki do końców obu lin cumowniczych.

– Rozumiem, że w ten sposób wciągnięcie ciężkie liny na wasz statek, ale jak zamierzacie je tam dostarczyć?

Pitt i Giordino wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Na tym właśnie polega nasze zadanie – odrzekł Pitt z ponurym uśmiechem.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo – wtrącił się Morton i wskazał okno. – Zostało nam niewiele czasu.

Wszyscy – jak widzowie na meczu tenisowym – odwrócili jednocześnie głowy i zobaczyli, że niebezpieczne wybrzeże znajdowało się już nie dalej niż około dwóch mil od pływającego hotelu. Wzdłuż brzegu, w obu kierunkach aż po horyzont, ciągnęły się nieprzerwaną linią skały, o które rozbijały się z impetem wielkie rozszalałe fale.

W narożnym pomieszczeniu hotelowym, gdzie znajdowały się urządzenia klimatyzacyjne, Pitt rozłożył na podłodze zawartość swojego wielkiego pakunku. Najpierw wciągnął na siebie zrobiony na zamówienie neoprenowy skafander płetwonurka z krótkimi rękawami i nogawkami. Taki strój najlepiej nadawał się do czekającego go zadania, bo nie krępował ruchów, a tropikalne morze było ciepłe. Potem włożył kompensator wyporności i maskę do nurkowania ScubaPro. Zapiął pas balastowy i sprawdził klamrę bezpieczeństwa.

Usiadł na podłodze i jeden z techników hotelowych pomógł mu umocować na plecach aparat oddechowy z zamkniętym obiegiem powietrza. Pitt i Giordino byli zgodni co do tego, że kompaktowe urządzenie pozwala na większą swobodę ruchów niż dwie duże stalowe butle tlenowe. Płetwonurek oddycha przez regulator – jak w zwykłym akwalungu – czerpiąc ze zbiornika sprężony tlen. Ale potem wydychane powietrze wraca do pojemników, które oczyszczają je z dwutlenku węgla i uzupełniają zapas tlenu w zbiorniku. Aparaty oddechowe SIVA-55, których używali Pitt i Giordino, skonstruowano do tajnych wojskowych operacji podwodnych.

Na koniec Pitt sprawdził działanie podwodnego systemu łączności. Słuchawka interkomu była umocowana do paska jego maski.

– Al, słyszysz mnie?

Giordino przygotowywał się w przeciwległym narożniku hotelu.

– Każde słowo – odrzekł przytłumionym głosem.

– Wydajesz się dziś wyjątkowo zgodny.

– Zacznij się mnie czepiać, to zrezygnuję i pójdę do koktajlbaru.

Pitt uśmiechnął się. Jego przyjaciel nigdy nie tracił poczucia humoru. Jeśli Pitt mógł na kimkolwiek polegać, to właśnie na Giordinie.

– Gotowy? Możemy ruszać?

– Powiedz, kiedy.

– Panie Brown?

– Emlyn.

– Okay, Emlyn. Niech twoi ludzie czekają przy wciągarkach na nasz sygnał odwinienia lin.

– W porządku – odrzekł Brown z pomieszczenia, w którym zamontowano wielkie wciągarki lin cumowniczych.

– Trzymaj kciuki – powiedział Pitt i włożył płetwy.

– Powodzenia, panowie – odparł Brown.

Pitt skinął głową ku jednemu z ludzi Browna, stojącemu obok zwoju linki z falcronu. Technik był niski i silny, nalegał, żeby nazywać go Critter.

– Popuszczaj powoli. Jeśli poczujesz naprężenie, poluzuj szybko, bo mnie zastopujesz.

– Wszystko pójdzie dobrze – zapewnił Critter.

Pitt wywołał „Sea Sprite”.

– Paul, jesteś gotowy do przyjęcia lin?

– Czekam, żebyś mi je podał – odezwał się w słuchawce mocny głos Barnuma. Jego słowa transmitował przetwornik opuszczony do morza za rufą „Sea Sprite”.

– Al i ja możemy przeciągnąć pod wodą tylko sześćdziesiąt metrów liny. Będziesz musiał podpłynąć bliżej.

Pitt i Barnum wiedzieli, że przy takim sztormie jedna monstrualna fala może rzucić statek na hotel i posłać je na dno. Ale Barnum nie zawahał się zaryzykować.

– Dobra, do roboty – odpowiedział.

Pitt założył na siebie pętlę falcronowej linki jak uprzęż. Wstał i spróbował otworzyć drzwi, które prowadziły na mały balkon znajdujący się sześć metrów nad wodą, napór wiatru z zewnątrz był jednak zbyt silny. Zanim Pitt zdążył zawołać kogoś do pomocy, podbiegł jeden z techników hotelowych.

Razem uderzyli ramionami w drzwi. Kiedy tylko się uchyliły, wiatr wdarł się do szczeliny i otworzył je gwałtownie na całą szerokość, jakby kopnął je muł. Uderzony podmuchem powietrza technik wpadł do pomieszczenia jak wystrzelony z katapulty.

Pitt zdołał utrzymać się na nogach. Ale kiedy spojrział w górę i zobaczył falę nadciągającą w jego kierunku, szybko skoczył nad poręczą do wody.

Najgorsze minęło. Oko cyklonu przesunęło się dalej godziny temu i Ocean Wanderer jakoś przetrwał ostatni atak huraganu Lizzie. Prędkość wiatru spadła do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, przeciętna wysokość fal zmniejszyła się do dziesięciu metrów. Morze nadal było wzburzone, ale nie aż tak, jak przedtem. Huragan Lizzie przemieścił się na zachód, by siać śmierć i zniszczenie na wyspie Haiti, a potem osłabnąć nad Morzem Karaibskim. Dwadzieścia cztery godziny później morze miało się uspokoić po przejściu największego

sztormu w historii.

Fale przyboju z każdą minutą wyglądały coraz groźniej. Dryfujący hotel był już tak blisko, że goście i pracownicy widzieli chmury wodnego pyłu wzbijające się pod niebo, gdy morze waliło w skalisty brzeg, z siłą górskiej lawiny. Kiedy nadciągająca fala zderzała się z poprzednią, w powietrze wystrzeliwały rozbryzgi piany. Śmierć czaiła się w odległości mili i taki dystans pokonywał w ciągu godziny dryfujący Ocean Wanderer.

Wszyscy przenosili wzrok z wybrzeża na „Sea Sprite” i z powrotem. Statek kołysał się na morzu jak tłusta kaczka. Był kilkaset metrów od hotelu.

Barnum tkwił w żółtym sztormiaku pod dużym dźwigiem, nie zwracając uwagi na ulewę smagającą w podmuchach porywistego wiatru rufę „Sea Sprite”. Spojrzał w dół na pokład, gdzie niegdyś znajdowała się wielka wciągarka, i pomyślał, że bardzo by się teraz przydała. Ale musiał wystarczyć zaczep holowniczy. Liny trzeba było jakoś umocować ręcznie.

Stojąc pod osłoną dźwigu, obserwował przez lornetkę dolną część hotelu. On i czterej członkowie załogi przywiązali się do relingów, żeby nie wypaść za burtę. Kapitan zobaczył, że Pitt i Giordino zanurzają się w wodzie i znikają pod rozkołysaną powierzchnią. Widział ludzi stojących w wejściach, atakowanych przez morze i popuszczających czerwoną falcronową linę, którą ciągnęli płetwonurkowie zmagający się z żywiołem pod wściekłymi falami.

– Wyrzucie dwie liny z bojami – rozkazał, nie opuszczając lornetki – i przygotujcie haki abordażowe.

Modlił się, żeby nie musiał wyciągać hakami płetwonurków, gdyby przeżywali kryzys, stracili przytomność lub nie mogli osiągnąć wysokiej rufy statku. Haki abordażowe były umocowane na dwuipółmetrowych aluminiowych trzonkach wpuszczonych w rury, co zwiększało ich długość o dodatkowe dziewięć metrów.

Barnum i jego ludzie czekali z nadzieją i zarazem niedowierzaniem. Nie widzieli Pitta i Giordina, ukrytych pod powierzchnią wzburzonego morza, ani pęcherzy powietrza z ich akwalungów, gdyż aparaty oddechowe z zamkniętym obiegiem nie zdradzały pozycji płetwonurka.

– Silniki stop – rozkazał Barnum głównemu mechanikowi.

– Chce pan zastopować silniki, panie kapitanie? – Upewnił się spod pokładu szef maszynowni.

– Tak. Płyną tu płetwonurkowie z linami. Fale muszą nas do nich zbliżyć na taką odległość, żeby mogli nam podać hol.

Barnum skierował lornetkę na zabójcze wybrzeże, które zdawało się rosnąć w oczach z niebywałą szybkością.

Pitt wynurzył się na chwilę trzydzieści metrów od hotelu, żeby zobaczyć, gdzie jest. Fale i wiatr nieubłaganie oddalały od niego Ocean Wanderer, który wyrastał jak wieżowiec na

Manhattanie. Pitt widział „Sea Sprite” tylko wtedy, gdy unosił się na grzbiecie fali; wydawało mu się, że statek znajduje się o półtora kilometra od niego, choć w rzeczywistości kołysał się na morzu w odległości niecałych stu metrów. Pitt zapamiętał jego pozycję na swoim kompasie i z powrotem zanurkował głęboko pod wzburzoną powierzchnię morza.

Ciągnięcie falcronowej linki stało się wkrótce trudnym zadaniem, z każdym zwolnionym metrem stawiała coraz większy opór. Na szczęście była lekka, cienka i giętka. By zmniejszyć opór hydrodynamiczny, Pitt trzymał nisko głowę, ręce miał złączone za plecami pod aparatem oddechowym.

Starał się płynąć na takiej głębokości pod dolinami fal, żeby wzburzone morze nie utrudniało mu posuwania się do przodu. Czasem tracił orientację, ale natychmiast zerkał na kompas i wracał na właściwy kurs. Machał płetwami z całej siły i ciągnął zawzięcie wrzynającą mu się w ramię oporną linkę. Silny prąd sprawiał, że przesuwiał się naprzód o dwa metry i cofał o metr.

Rozbolały go mięśnie nóg i musiał zwolnić. Miał zawroty głowy od głębokiego wdychania zbyt dużej ilości tlenu. Serce waliło mu z wysiłku płuca ledwo wytrzymywały. Nie pozwolił sobie jednak na krótki nawet odpoczynek i nie zatrzymał się, bo się bał, że prąd zepchnie go w złym kierunku. Nie mógł się spóźnić. Bezlitosne morze popychało Ocean Wanderera ku katastrofie. Liczyła się każda chwila.

Po kolejnych dziesięciu minutach maksymalnego wysiłku Pitt zaczął słabnąć. Czuł, że ciało odmawia mu posłuszeństwa. Umysł przynaglał go, żeby bardziej się starał, ale mięśnie nie mogły mocniej pracować. Zdesperowany zaczął płynąć, używając rąk, żeby odciążać nogi, które z każdą minutą drętwiały coraz bardziej.

Zastanawiał się, czy Giordino ma takie same problemy. Ale wiedział, że Al prędzej umrze, niż się podda, gdy stawką jest życie tylu kobiet i dzieci. Poza tym, jego przyjaciel był zbudowany jak byk Brahma. Jeśli ktokolwiek zdołałby płynąć przez wzburzony ocean z jedną ręką przywiązaną za plecami, to tylko Al.

Pitt mógł zapytać przyjaciela przez interkom, w jakiej jest formie, ale nie chciał marnować na to oddechu. Chwilami miał straszne uczucie, że nie dopłynie do celu, ale odpychał je natychmiast i starał się wykrzesać z siebie jeszcze trochę sił.

Oddychał jak miech. Linka stawiała coraz większy opór, jakby bawił się w przeciąganie sznura ze stadem słoni. Przypominał sobie uparcie stare reklamy z siłaczem Charlesem Atlasem ciągnącym po szynach lokomotywę. Zaniepokoił się, że może zboczył z kursu, i znów zerknął na kompas. Jakimś cudem płynął prosto na „Sea Sprite”.

Z wyczerpania zaczęło mu się robić ciemno przed oczyma, gdy nagle usłyszał swoje imię.

– Jeszcze kawałek, Dirk – krzyczał przez interkom Barnum. – Widzimy cię pod wodą. Wynurzaj się!

Pitt posłusznie wypłynął do góry i przebił powierzchnię.

– Spójrz w lewo – krzyknął znów Barnum.

Pitt odwrócił się. Trzy metry od niego unosiła się pomarańczowa boja połączona liną z „Sea Sprite”. Nie odpowiedział, że ją widzi, darował to sobie. Miał jeszcze siłę na pięć mocnych ruchów płetwami i wykorzystał ją. Chwycił się liny ratunkowej i poczuł tak wielką ulgę fizyczną, jak jeszcze nigdy dotąd. Przełożył ramię nad liną, zablokował ją pod pachą i oparł się plecami o boję.

Wreszcie mógł odpocząć. Barnum i jego załoga przyciągnęli go do rufy statku. Potem ostrożnie wsunęli hak abordażowy pod linę metr za Pittem i unieśli go na pokład.

Pitt wyciągnął ręce do góry i Barnum zdjął z niego pętlę falcronowej linki. Potem przyczepił ją do wciągarki dźwigu razem z linką dostarczoną wcześniej na statek przez Giordina. Dwaj członkowie załogi uwolnili Pitta od ustnika aparatu oddechowego i maski. Odetchnął głęboko słonym pełnomorskim powietrzem i zobaczył uśmiechniętego szeroko Giordina.

– Powolny jesteś – mruknął skrajnie wyczerpany Al. – Wyprzedziłem cię o dobre dwie minuty.

– Jestem szczęśliwy, że w ogóle tu dopłynąłem – wysapał Pitt.

Byli teraz tylko biernymi obserwatorami. Osunęli się na pokład pod górną część nadburcia, gdzie nie docierał wodny pył niesiony wiatrem, i czekali, aż tętno i oddech wrócą im do normy. Przyglądali się, jak Barnum daje sygnał Brownowi i dwustulitrowe beczki przywiązane do lin cumowniczych niewidocznych pod powierzchnią wylaniają się spod hotelu. Wciągarka dźwigu obróciła się, cienka linka falcronowa naprężyła i beczki zaczęły płynąć. Liny zawieszane pod stalowymi pływakami wiły się w prądzie morskim jak węże. Dziesięć minut później pierwsze beczki objęły się o kadłub statku. Dźwig uniósł je na pokład rufowy razem z końcami obu lin. Załoga szybko połączyła szekłą pętle zrobione przez Browna. Pitt i Giordino już doszli do siebie i pomogli założyć liny na duży zaczep holowniczy zamontowany z przodu dźwigu.

– Gotowy do holowania, Ocean Wanderer? – wysapał Barnum.

– Jesteśmy gotowi – odpowiedział Brown.

– Maszynownia gotowa? – wywołał Barnum swojego głównego mechanika.

– Tak jest, panie kapitanie – oznajmił mechanik z wyraźnym szkockim akcentem.

Barnum połączył się ze swoim pierwszym oficerem na mostku.

– Panie Maverick, będę prowadził statek stąd.

– Przyjąłem, panie kapitanie. Jest pański.

Barnum stanął za konsolą sterowniczą zamontowaną przed dużym dźwigiem, rozstawił nogi i jego twarz przybrała skupiony wyraz. Zaciśnął dłonie na dwóch chromowanych dźwigniach przepustnic i delikatnie przesunął je do przodu. Odwrócił się trochę i spojrzał na hotel, który wznosił się nad statkiem badawczym jak olbrzym nad karzełkiem.

Pitt i Giordino stali po obu stronach Barnuma. Cała załoga i wszyscy naukowcy zgromadzili się w deszczu na skrzydle mostka i patrzyli z napięciem i nadzieją na Ocean

Wanderera. Dwa wielkie silniki magnetohydrodynamiczne nie były połączone z wałami śrub. Wytwarzały energię, która przepompowywała wodę przez pędniki. Zamiast zielonej kipieli spod rufy, powierzchnię morza mąciły tylko dwa strumienie wody przypominające poziome tornada.

Rufa „Sea Sprite” osiadła i statek, zmagając się z ciężarem na holu, porywistym wiatrem i wciąż wzburzonym morzem, zadrżał z wysiłku. Zaczął skręcać, ale Barnum szybko zmienił kąt ustawienia pędników i wyprostował kurs. Nerwowe minuty ciągnęły się w nieskończoność. Nic się nie działo, hotel nadal uparcie dryfował ku katastrofie.

Silniki pod pokładem rufowym nie wibrowały i nie hałasowały jak diesle, za to pompy napędzające wirniki wyły jak wściekłe. Barnum patrzył na wskaźniki rejestrujące obciążenie silników i nie był wcale zachwycony tym, co widział.

Pitt podszedł bliżej i stanął przy nim. Kapitan zaciskał zbielełe ręce na dźwigniach przepustnic i dopychał je do ograniczników.

– Nie wiem, ile jeszcze wytrzymają silniki – krzyknął przez głośny szum wiatru i przeraźliwy gwizd z maszynowni.

– Wypruj z nich flaki – doradził Pitt twardym, lodowatym tonem. – Biorę na siebie odpowiedzialność, jeśli się rozlecą.

Nie podlegało dyskusji, że to Barnum jest kapitanem statku, ale Pitt miał dużo wyższe stanowisko w hierarchii NUMA.

– Łatwo ci mówić – odparł Barnum. – Jeśli się rozlecą, my też skończymy na skałach.

Pitt posłał mu złowrogi uśmiech.

– Będziemy się tym martwili, jak przyjdzie na to czas.

W odczuciu ludzi, którzy zgromadzili się na pokładzie „Sea Sprite”, sytuacja z każdą sekundą stawała się coraz bardziej beznadziejna. Statek wydawał się tkwić nieruchomo w wodzie.

– Rusz się! – powiedział Pitt do „Sea Sprite”. – Dasz radę!

Gości hotelowych ogarniało coraz większe przerażenie, gdy patrzyli jak zahipnotyzowani na fale przyboju, rozbijające się o pobliskie skały wśród eksplozji wodnego pyłu. Ich strach spotęgował jeszcze nagły wstrząs, który nastąpił w momencie, gdy dół budynku zawadził o wznoszące się dno morskie. Ludzie nie rzucili się w panice do wyjść awaryjnych, jak to się dzieje w razie pożaru lub trzęsienia ziemi. Tu nie było dokąd uciekać. Skakanie do wody byłoby samobójstwem, groziło straszną i bolesną śmiercią – utonięciem lub roztrzaskaniem się o ostre skały wulkaniczne.

Morton krążył po hotelu, starając się uspokoić gości i swoich pracowników, ale mało kto liczył się z nim teraz. Czuł się sfrustrowany i przegrany. Wystarczyło jedno spojrzenie przez okno, by najodważniejszy człowiek upadł na duchu. Dzieci łatwo rozpoznawały strach na twarzach rodziców i zaczynały płakać. Kilka kobiet krzychało, niektóre łkały, inne

zachowywały kamienny spokój. Większość mężczyzn milczała. Przytulali swoich bliskich i próbowali być dzielni.

Uderzenia fal o skały w dole rozlegały się teraz jak grzmoty, ale dla wielu brzmiały jak werble towarzyszące konduktowi pogrzebowemu.

W sterowni „Sea Sprite” Maverick patrzył z niepokojem na prędkościomierz. Czerwony wyświetlacz wciąż pokazywał zero. Pierwszy oficer widział, jak z wody wynurzają się liny holownicze. Przywiązane do lin beczki wyglądały jak rybnie łuski na morskim potworze. Nie tylko Maverick przynaglał w myślach statek. Skoncentrował się na wskazaniach GPS-u, który rejestrował pozycję jednostki z dokładnością do kilkudziesięciu centymetrów. Liczby się nie zmieniły. Zerknął przez tylne szyby w dół na Barnuma, stojącego niby posąg przy rufowej konsoli sterowniczej, potem spojrzął w górę na Ocean Wanderera wciąż atakowanego przez wściekłe morze.

Pierwszy oficer rzucił okiem na anemometr i zauważył, że wiatr znacznie osłabł w ciągu ostatnich trzydziestu minut.

– Dzięki Bogu – mruknął do siebie.

W następnej chwili spojrzął znów na GPS, wskazania były inne.

Przetarł oczy, żeby się upewnić, że nie śni. Liczby zmieniały się powoli. Spojrzął na prędkościomierz. Z prawej strony pojawiały się na przemian: zero i jeden węzeł.

Maverick oniemiał; bardzo chciał wierzyć w to, co widział, lecz nie był pewien, czy to nie wytwór jego wyobraźni. Ale prędkościomierz nie kłamał. Statek posuwał się naprzód, choć z minimalną szybkością.

Maverick niemal oszalał ze szczęścia. Chwycił megafon i wybiegł na skrzydło mostka.

– Ruszyliśmy! – krzyknął podniecony. – Płyniemy!

Nikt nie wiwatował. Jeszcze nie. Ruch statku naprzód przez kłębiące się fale był niedostrzegalny gołym okiem. Ludzie na pokładzie nie wyczuwali go, mogli tylko wierzyć Maverickowi na słowo. Mijały minuty trudne do zniesienia, nadzieja i podniecenie rosły. Potem Maverick znów krzyknął.

– Jeden węzeł! Płyniemy z szybkością jednego węzła!

To nie była iluzja. Efekt bardzo powoli stawał się widoczny. Odległość między Ocean Wandererem a niebezpiecznym wybrzeżem powoli, ale stale, rosła.

Tego dnia na skałach nie doszło do katastrofy.

Statek zmagał się z linami cumowniczymi i parł naprzód. Silniki „Sea Sprite” wirowały szaleńczo powyżej dopuszczalnych obrotów przewidzianych przez konstruktorów. Nikt na pokładzie rufowym nie patrzył na zabójcze wybrzeże ani na zagrożony hotel. Wszyscy utkwili wzrok w kabestanie i grubych linach cumowniczych, które zgrzytały i trzeszczały od maksymalnego naprężenia. Gdyby pękły, nie byłoby już ratunku dla Ocean Wanderera i ludzi przebywających w jego szklanym wnętrzu.

Nikt nie mógł tego pojąć, ale liny wytrzymały. Tak, jak przewidział Pitt.

Bardzo wolno, niemal niezauważalnie, „Sea Sprite” osiągnął prędkość dwóch węzłów. Dziób wzbijał wielkie chmury wodnego pyłu, który opadał na cały statek. Dopiero po odholowaniu hotelu na odległość niemal dwóch mil od klifów, Barnum cofnął dźwignie przepustnic i zmniejszył obroty przeciążonych silników. Niebezpieczeństwo malało z każdym przebytym metrem i w końcu złowrogie skały i rozszalałe morze przestały zagrażać hotelowi.

Załoga „Sea Sprite” odpowiadała gestami rąk szczęśliwym gościom Ocean Wanderera, którzy wiwatowali i machali jak szaleni zza szklanych ścian w stronę statku. Strach przed śmiercią minął i wybuchła ogólna euforia. Morton kazał otworzyć piwnice z winem i wkrótce w całym hotelu szampan popłynął strumieniami. Dla gości i pracowników Morton stał się bohaterem. Goście otaczali go bez przerwy i dziękowali za uratowanie ich od straszliwej śmierci. Nie zastanawiali się, czy to istotnie była jego zasługa.

Morton uwolnił się wreszcie od rozentuzjasmowanego tłumu, wrócił do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem. Był ogromnie zmęczony, ale szczęśliwy. Po chwili uczucie ulgi zaczęło przygasać, jego myśli pobiegły w innym kierunku, zaczął się zastanawiać nad swoją przyszłością. Choć wcale nie miał ochoty zrezygnować ze stanowiska dyrektora hotelu, wiedział, że nie będzie w stanie pracować dłużej dla Spectera. Nie chciał mieć nic wspólnego z tajemniczym osobnikiem, który pozostawił na pastwę losu tylu ludzi, choć był przecież



odpowiedzialny za to, co się z nimi może stać.

Morton rozmyślał długo i w skupieniu. Był pewien, że jeśli rola, jaką odegrał w tym dramacie, stanie się powszechnie znana, każda międzynarodowa sieć luksusowych hoteli przyjmie go do pracy. Ale to, czy opinia publiczna dowie się o jego dokonaniach i postawie, co gwarantowałyby mu ogólny szacunek i rozgłos, otóż to stało pod znakiem zapytania.

Nie potrzeba było Nostradamusa, by przewidzieć, że kiedy Specter dowie się o uratowaniu Ocean Wanderer, każe swoim ludziom od kontaktów z mediami natychmiast zorganizować konferencje prasowe oraz wywiady telewizyjne i przypisze sobie wszystkie zasługi w ocaleniu sławnego hotelu wraz z gośćmi i personelem.

Morton postanowił wykorzystać swoją przewagę czasową i ubiec Spectera. Po osłabnięciu huraganu telefony hotelowe znów działały bez zakłóceń, więc zadzwonił do dawnego przyjaciela z college'u, który prowadził w Waszyngtonie firmę public relations. Opowiedział mu barwnie całą historię, wspaniałomyślnie chwalał NUMA, ludzi, którzy zorganizowali holowanie, oraz Emlyna Browna i techników hotelowych. Mówiąc o roli, jaką on sam odegrał, nie był zbyt skromny, podkreślił też kilkakrotnie, że to on wszystkim kierował.

Czterdzieści pięć minut później odłożył słuchawkę, splótł ręce za głową i uśmiechnął się jak Kot z Cheshire. Nie miał wątpliwości, że Specter zareaguje i to szybko. Ale był pewien, że gdy już jego relację powieli większość mediów i reporterzy przeprowadzą wywiady z uratowanymi osobami, kontratak niczego już nie zmieni.

Wypił jeszcze jeden kieliszek szampana i zasnął.

– Boże, mało brakowało – powiedział cicho Barnum.

Pitt poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota, Paul.

– Szybkość dwa węzły – krzyknął Maverick ze skrzydła mostka do wiwatującego w dole tłumu.

Deszcz ustał, morze uspokoiło się, fale na jego powierzchni zmalały do wysokości niecałych trzech metrów. Huraganowi Lizzie najwyraźniej znudziło się zatapianie statków i teraz wylądowywał swoją wściekłość na miastach Dominikany i sąsiedniego Haiti.

W Dominikanie wycięto wiele drzew, ale większość ludzi ewakuowano w głąb kraju, gdzie pozostały jeszcze lasy. Liczba śmiertelnych ofiar nie przekroczyła trzystu.

Biedniejsi Haitańczycy, najuboższe społeczeństwo na półkuli zachodniej, ogołocili swój kraj z drzew, żeby mieć budulec i opał. Zaniedbane, walące się domy stanowiły marne schronienie. Zginęło prawie trzy tysiące osób, zanim huragan Lizzie przemieścił się z wyspy z powrotem na pełne morze.

– Wstydź się, kapitanie – powiedział ze śmiechem Pitt.

Barnum popatrzył na niego pytająco.

– O co ci chodzi? – wymamrotał z trudem. Był wyczerpany psychicznie i fizycznie

– Tylko ty jeden z całej twojej załogi nie nosisz kamizelki ratunkowej.

Barnum spojrział w dół na swój sztorniak i uśmiechnął się.

– Pewnie byłem taki podniecony, że zapomniałem ją włożyć. – Odwrócił się twarzą w kierunku dziobu i wywołał przez radio sterownię. – Panie Maverick?

– Tak, panie kapitanie?

– Statek jest pański. Przekazuję panu ster.

– Tak jest. Mostek przejmuje dowodzenie.

Barnum odwrócił się do Pitta i Giordina.

– Cóż, panowie. Uratowaliście dzisiaj życie wielu ludziom. Przeciągnięcie tych lin do „Sprite” wymagało wielkiej odwagi.

Przez chwilę Pitt i Giordino sprawiali wrażenie szczerze zakłopotanych. Potem Pitt uśmiechnął się.

– To naprawdę drobiazg. Po prostu jeden z wielu naszych sukcesów.

Barnuma nie zmylił sarkastyczny ton głosu. Znał obu mężczyzn wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie pochwalą się tym, czego dziś dokonali.

– Możecie sobie lekceważyć wasz wyczyn, jeśli chcecie, ale ja osobiście uważam, że odwaliliście kawał cholernie dobrej roboty. No, dosyć gadania. Chodźmy do sterowni, tam jest sucho. Napiłbym się kawy.

– Nie masz nic mocniejszego? – zapytał Giordino.

– Coś się znajdzie. W ostatnim porcie kupiłem dla szwagra flaszkę rumu.

Pitt spojrział na niego autentycznie zaskoczony.

– Kiedy się ożeniłeś?

Barnum nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i ruszył w kierunku drabinki wiodącej na mostek.

Zanim Pitt poszedł odpocząć, wstąpił do kabiny telekomunikacyjnej i poprosił Jara o połączenie go z Dirkiem juniorem i Summer. Po kilku próbach Jar podniósł wzrok i pokręcił głową.

– Przykro mi, panie Pitt. Nie odpowiadają.

– Nie podoba mi się to – odrzekł w zamyśleniu Pitt.

– Mogą mieć jakieś drobne problemy – pocieszył go Jar. – Sztorm pewnie uszkodził ich anteny.

– Miejmy nadzieję, że tylko to.

Pitt poszedł korytarzem do kajuty Barnuma. Kapitan i Giordino siedzieli przy stole i rozkoszowali się rumem Gosling.

– Nie ma kontaktu z „Pisces” – powiedział Pitt.

Barnum i Giordino wymienili zaniepokojone spojrzenia. Dobry nastrój nagle prysł. Potem

Giordino zaczął pocieszać Pitta.

– Ta baza jest jak czołg. Zaprojektowaliśmy ją we dwóch: Joe Zavała i ja. Wbudowaliśmy wszystkie możliwe systemy bezpieczeństwa. Nie ma mowy, żeby powłoka pękła. Nie piętnaście metrów pod powierzchnią morza. Skonstruowaliśmy ją tak, żeby wytrzymała ciśnienie na głębokości stu pięćdziesięciu.

– Zapominasz o trzydziestometrowych falach – odparł Pitt. – „Pisces” mogła być bezpieczna, gdy przechodziła dolina fali, ale potem następna ściana wody mogła ją wyrwać z zamocowań i rzucić na odsłoniętą skałę wśród koralowców. Takie uderzenie mogło bardzo łatwo roztrzaskać bulaj.

– Możliwe – przyznał Giordino. – Ale mało prawdopodobne. Zastosowałem w bulaju wzmocniony plastik, który wytrzymałby trafienie z moździerza.

Zadzwoił telefon Barnuma. Kapitan wysłuchał Jara, wyłączył się i usiadł.

– Odezwał się kapitan jednego z holowników Ocean Wanderera – poinformował. – Wyszli już z portu i powinni tu być za półtorej godziny.

Pitt podszedł do stołu nawigacyjnego i podniósł cyrkiel, zmierzył na mapie odległość między obecną pozycją „Sea Sprite” a punktem X oznaczającym „Pisces”.

– Półtorej godziny oczekiwania na holowniki – powiedział w zamyśleniu. – Następne pół godziny minie, zanim odczepimy cumy i wyruszymy w drogę. Potem dwie godziny rejsu do „Pisces”. Może mniej przy pełnej szybkości. Bylibyśmy na miejscu za cztery godziny. Modłę się do Boga, żeby dzieciaki były całe i zdrowe.

– Mówisz jak przerażony ojciec, który wpadł w rozpacz, bo córka nie wróciła o północy do domu – powiedział Giordino, chcąc trochę złagodzić obawy Pitta.

– Zgadza się – dorzucił Barnum. – Rafa koralowa na pewno ochroniła ich przed sztormem.

Pitt nie był o tym przekonany, zaczął spacerować w milczeniu po sterowni.

– Może macie rację – odrzekł cicho po chwili. – Ale najbliższe godziny będą najdłuższymi w moim życiu.

Summer leżała na przechylonej ścianie „Pisces” na materacu zdjętym ze swojej koi. Oddychała wolno i płytko. Unikała wszelkich wysiłków, chcąc zaoszczędzić jak najwięcej powietrza. Przyglądała się przez bulaj jaskrawo-kolorowym rybom, nie mogła się od tego powstrzymać. Powróciły po sztormie, śmigły wokół bazy i zaglądały ciekawie do środka. Zastanawiała się wciąż od nowa, czy to będzie ostatni obraz, jaki zobaczy przed śmiercią przez uduszenie.

Dirk rozważał każdy sposób ewakuacji, który przychodził mu do głowy. Żaden nie wyglądał zachęcająco. Mogliby wykorzystać rezerwową butlę tlenu i próbować wypłynąć na powierzchnię, ale nie był dobry pomysł. Nawet gdyby udało mu się jakoś wyłamać główny właz – co zresztą wydawało się niemożliwe, choćby dysponował młotem kowalskim – woda,

której ciśnienie na głębokości trzydziestu sześciu metrów wynosiło ponad cztery kilogramy na centymetr kwadratowy, runęłyby do wnętrza bazy z siłą wystrzału armatniego i zginęłyby oboje.

– Ile powietrza nam zostało? – zapytała cicho Summer.

Dirk spojrział na wskaźniki.

– Na dwie godziny. Może z minutami.

– Co się stało z „Sea Sprite”? Dlaczego Paul nas nie szuka?

– Prawdopodobnie już tu jest – odrzekł Dirk bez przekonania. – Tylko na razie nie mogą nas znaleźć w tej rozpadlinie.

– Myślisz, że sztorm go nie zatopił?

– Nie ma mowy – uspokoił ją Dirk. – Żaden huragan nie pośle tego statku na dno.

Oboje umilkli i Dirk zabrał się do naprawy rozbitego radia podwodnego. Miał nadzieję, że sobie poradzi. Bez pośpiechu, spokojnie, w pełni skoncentrowany na swym zadaniu składał z powrotem rozłączone części. Nie gorączkował się, miał opanowane ruchy i był skupiony na swoim zajęciu. Nie rozmawiali więcej, żeby nie marnować powietrza. Świadomość, że są razem, dodawała im otuchy.

Następne dwie godziny wlokły się bez końca. W górze pojawiło się słońce i rozjaśniło swym blaskiem morze, które niestrudzenie przetaczało się nad rafami Navidad Bank. Wszystkie wysoki i upór Dirka okazały się daremne, nie był po prostu w stanie uruchomić aparatu. W końcu dał za wygraną.

Zaczynał mieć trudności z oddychaniem. Po raz setny spojrział na wskaźniki ilości powietrza w ocalałych zbiornikach. Wszystkie wskazówki stały na zerze. Obniżony poziom tlenu powodował senność i Summer zapadła w drzemkę. Dirk przysunął się do niej i potrząsnął nią delikatnie.

– Obudź się, siostrzyczko.

Zamrugła, uniosła powieki i spojrzała na niego. W jej szarych oczach był wielki spokój. Dirk poczuł nagły przypływ braterskiej miłości, często bardzo silnej między bliźniakami.

– Obudź się, śpiochu. Musimy zacząć oddychać powietrzem z akwalungu. – Położył butlę między nimi i wręczył siostrze ustnik regulatora. – Panie pierwsze.

Summer uświadamiała sobie z bólem, że nie mają żadnej możliwości zmiany w jakikolwiek sposób swojej sytuacji. Bezradność była czymś zupełnie jej obcym. Przez całe życie zawsze panowała nad wszystkim. Tym razem była zupełnie bezsilna i to spowodowało, że zaczęło w niej narastać przygnębienie graniczące z rozpaczą.

Dirk czuł się bardziej sfrustrowany niż bezradny. Miał wrażenie, że los wziął się, żeby przeszkodzić mu w ucieczce z podwodnego więzienia. Uważał, że musi być sposób na wydostanie się na zewnątrz, ale każda próba prowadziła donikąd.

Zdał sobie sprawę, że koniec jest już bardzo bliski.

Słońce chowało się za horyzontem, do zmierzchu pozostało zaledwie kilka minut. Gwałtowny wiatr stracił siłę i stał się orzeźwiająca bryzą, która wiejąc ze wschodu, muskała tylko ciemniejące morze. Od momentu, gdy się okazało, że nie ma żadnych możliwości nawiązania kontaktu z „Pisces”, wśród załogi „Sea Sprite” wciąż rosło napięcie. Mogło się wydawać, że nad statkiem zawisła gęstniejąca czarna chmura. Wszyscy niepokoili się o Dirka i Summer.

Huragan przetrwała tylko jedna, mocno uszkodzona łódź pneumatyczna o sztywnym kadłubie. Pozostałe trzy zostały zmyte przez wielkie fale. W czasie szybkiego powrotu „Sea Sprite” do poprzedniego miejsca zakotwiczenia przy Navidad Bank łódź naprawiono na tyle, że mogła zabrać trzy osoby. Akcję poszukiwawczo-ratowniczą mieli przeprowadzić Pitt, Giordino i Cristiano Lelasi, włoski instruktor nurkowania i inżynier, który testował z pokładu „Sea Sprite” nowy zrobotyzowany pojazd głębinowy.

Cała trójka stała teraz w kabinie konferencyjnej statku, w której znajdowała się także większość załogi i naukowców. Wszyscy słuchali uważnie, gdy Barnum opisywał Pittowi i Giordinowi geologię podwodną rejonu. Przerwał i zerknął na duży zegar na przegrodzie.

– Za godzinę powinniśmy być na miejscu.

– Przy braku kontaktu radiowego z „Pisces” – powiedział Giordino – musimy zakładać, że baza została uszkodzona. I jeśli teoria Dirka jest słuszna, trzeba się liczyć z tym, że wielkie fale zepchnęły ją z ostatniej znanej pozycji.

Głos zabrał Pitt.

– Jeśli po dotarciu na miejsce okaże się, że bazy nie ma na poprzednim miejscu, zaczniemy poszukiwania według wzorców wprowadzonych do programów naszych komputerów GPS. Rozdzielimy się. Ja będę w środku, Al z mojej prawej strony, Cristiano z lewej. Będziemy przeczesywali rafy w kierunku wschodnim.

– Dlaczego wschodnim? – zapytał Lelasi.

– Bo w tamtym kierunku posuwał się sztorm, kiedy uderzył w Navidad Bank – wyjaśnił Pitt.

– Podejdę „Sprite” tak blisko do raf, jak tylko się da – obiecał Barnum. – Nie zarzucę kotwicy, żebym w razie potrzeby mógł szybko odpłynąć. Jak tylko zauważycie bazę i określicie jej pozycję, dacie mi znać, w jakim jest stanie.

– Masz jakieś pytania? – zwrócił się Pitt do Lelasiego.

Muskularny Włoch pokręcił przecząco głową.

Wszyscy spojrzeli na Pitta z głębokim współczuciem. To nie było poszukiwanie jakichś obcych osób. Dirk i Summer od dwóch miesięcy należeli do zespołu, dla zebranych w tej sali stali się kimś więcej niż tymczasowymi znajomymi, byli bliskimi przyjaciółmi. Cała grupa na pokładzie „Sea Sprite” wspólnie badała i chroniła morza. Nikt nie dopuszczał do siebie myśli, że rodzeństwo mogło zginąć.

– Więc do roboty – powiedział Pitt. – I niech Bóg was wszystkich błogosławi za wsparcie.

Pitt pragnął tylko jednego – znaleźć swoje dzieci całe i zdrowe. Choć przez pierwsze dwadzieścia dwa lata ich życia nawet nie wiedział, że istnieją, pokochał je, kiedy tylko stanęły po raz pierwszy w jego drzwiach. Bardzo żałował, że nie był częścią ich dzieciństwa i że dowiedział się za późno, iż przez te wszystkie długie lata ich matka żyła.

Jedyną osobą na świecie, która kochała Dirka i Summer niemal tak samo jak Pitt, był Giordino. Dzieci traktowały go jak ukochanego wujka, mogły mu się zwierzyć i znajdowały w nim oparcie, kiedy ojciec okazywał się zbyt stanowczy lub nadopiekuńczy.

Trzej płetwonurkowie wyszli z sali i ruszyli w stronę pochylni zwisającej z kadłuba nad wodą. Jeden z członków załogi opuścił się na powierzchnię morza w poobijanej sztywnokadłubowej łodzi pneumatycznej, uruchomił dwa silniki doczepne i zostawił je na biegu jałowym.

Pitt i Giordino tym razem wciągnęli na siebie pełne skafandry neoprenowe z mocnymi ochraniaczami kolan, łokci i ramion, żeby nie pokaleczyły ich ostre rafa koralowe. Zdecydowali się również na klasyczne akwalungi, zamiast aparatów oddechowych z zamkniętym obiegiem powietrza. Włożyli na twarze maski i sprawdzili łączność podwodną. Wzięli płetwy, zeszli po pochylni i wsiedli do łodzi. Towarzyszący im członek załogi przeskoczył na statek i mocno przytrzymał łódź przy pochylni. Pitt stanął za konsolą z kołem sterowym i przesunął do przodu dźwignie przepustnic, kiedy tylko tamten mężczyzna rzucił cumy.

Pitt wprowadził do komputera GPS współrzędne ostatniej znanej pozycji „Pisces” i zaprogramował bezpośredni kurs do celu odległego o niecałe ćwierć mili morskiej. Chciał dotrzeć na miejsce jak najszybciej, choć jednocześnie niemal bał się tego, co tam może zastać. Oparł się na dźwigniach przepustnic i mała łódź przeskakiwała nad falami z prędkością prawie czterdziestu węzłów. Kiedy GPS pokazał, że są już blisko celu, Pitt zwolnił i dopłynął

tam na biegu jałowym.

– Powinniśmy być na miejscu – oznajmił.

Ledwo wypowiedział te słowa, Lelasi zsunął się za burtę z cichym pluskiem i zniknął. Po trzech minutach wrócił na powierzchnię. Chwycił się liny na nadburciu, mimo ciężaru akwalungu podciągnął do góry tylko jedną ręką i wtoczył się do łodzi.

Giordino obserwował ten wyczyn z uśmiechem zainteresowania.

– Ciekawe, czy jeszcze potrafiłbym zrobić coś takiego.

– Ja na pewno nie – powiedział Pitt i przyklęknął obok Lelasiego.

Płetwonurek pokręcił głową.

– Przykro mi, signore – odezwał się z włoskim akcentem przez interkom. – Baza zniknęła. Zostało tylko kilka porzrzuconych zbiorników powietrza i trochę drobnych, szczątków.

– Nie ma sposobu na dokładne ustalenie ich pozycji – zauważył ponuro Giordino. – Gigantyczne fale mogły ich przesunąć o ponad milę.

– Więc ruszamy za nimi – odrzekł z nadzieją Cristiano. – Miał pan rację, signor Pitt. Koralowce w paśmie biegnącym w kierunku wschodnim są połamane i pokruszone.

– Żeby zaoszczędzić czas będziemy szukali bazy z powierzchni. Wystawcie głowy za burty. Al, ty z prawej strony, Cristiano z lewej. Prowadźcie mnie głosem i wskazujcie szlak zniszczonych koralowców. Będę sterował według waszych sygnałów.

Giordino i Lelasi przewiesili się przez burty łodzi pneumatycznej, wpatrzyli przez maski w wodę i zaczęli śledzić drogę porwanej przez sztorm bazy. Pitt sterował jak w transie. Podświadomie kierując dziób łodzi tam, gdzie pokazywali tamci dwaj. Powrócił myślą w przeszłość, do okresu, który rozpoczął się dwa lata temu, w dniu gdy syn i córka pojawili się w jego pełnym przygód, lecz czasami samotnym życiu. Potem przypominał sobie pierwsze spotkanie z ich matką w starym hotelu Ala Moana przy plaży Waikiki. Siedział w koktajlbarze i rozmawiał z córką admirała Sandeckera, i nagle zobaczył Summer Moran. Wydawała mu się cudownym zjawiskiem. Długie, płomiennorude włosy opadały kaskadą na jej plecy. Zachwycające doskonałością kształtów ciało opinała jedwabna obcisła zielona sukienka i w chińskim stylu, z rozcięciami wzdłuż boków odsłaniającymi nogi. Kontrast barw zapierał dech. Pitt był zatwardziałym kawalerem i nigdy nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, ale wtedy natychmiast poczuł, że byłby gotów umrzeć dla tej kobiety. Później sądził, że utonęła, gdy podwodna siedziba jej ojca w pobliżu północnego wybrzeża Hawajów zaważyła się podczas trzęsienia ziemi. Summer wypłynęła z Pittem na powierzchnię, ale potem, zanim zdążył ją zatrzymać, wróciła pod wodę, bo chciała uratować ojca.

Pitt już nigdy więcej jej nie zobaczył.

Giordino uniósł głowę znad wody.

– Roztrzaskane koralowce kończą się piętnaście metrów przed nami! – Krzyknął.

– Zauważyłeś bazę? – zapytał ostrym tonem Pitt.

– Nie widać śladu po niej.

Pitt nie mógł w to uwierzyć.

– Przecież nie mogła się rozpląnąć. Musi tu być.

Po minucie odezwał się Lelasi.

– Widzę ją! – zawołał. – Widzę ją!

– Ja też – potwierdził Giordino. – Wpadła do wąskiego kanionu. Wygląda na to, że leży na głębokości około trzydziestu pięciu metrów.

Pitt wyłączył zapłon i silniki zamilkły. Skinął głową w stronę Lelasiego.

– Wyrzuć boję, żeby oznaczyć pozycję i pilnuj łodzi – polecił. – Al i ja schodzimy w dół.

Byli w pełni gotowi, musieli tylko włożyć płetwy. Pitt wciągnął je na buty i, nie tracąc czasu, wyskoczył za burtę. Uniósł stopy i opadł w dół wśród pęcherzy powietrza. Wąwóz był taki wąski, że Pitt nie bardzo rozumiał, czemu baza nie utkwiała między jego ścianami, ale wylądowała aż na dnie.

Ogarnęło go przecucie, że stało się coś złego. Na chwilę zastygł w bezruchu i wziął głęboki oddech, żeby przygotować się na najgorsze. Nie mógł się pozbyć myśli, że być może za późno przybył na ratunek.

Z góry baza wyglądała na nietkniętą. Nie był tym zaskoczony; miała mocną konstrukcję. Zjawił się Giordino i wskazał naruszoną komorę wejściową przyciśniętą do skały. Pitt odpowiedział gestem, że też to widzi. Potem spostrzegł poważnie uszkodzone zbiorniki tlenu, na moment przestał oddychać i zamarło mu serce. O Boże, nie – pomyślał i popłynął w dół do dużego bulaja. Błagam, niech mają jeszcze trochę powietrza.

Przerazony, że jest za późno, przywarł maską do grubej plastikowej szyby i próbował przeniknąć wzrokiem mrok panujący wewnątrz bazy. Sączyła się tam upiorna poświata, która docierała do wąwozu z powierzchni morza. Miał wrażenie, że zagłębia do zasnutej mgłą jaskini.

Dostrzegł Summer. Leżała nieruchomo na kocach na dnie bazy. Dojrzał również syna; Dirk oparty plecami o wznoszącą się pionowo podłogę, pochylał się nad siostrą. Serca Pitta zabiło żywiej, gdy zobaczył, że syn się poruszył. Dirk wyjął z ust regulator akwalungu i włożył do ust siostry. Pitta ogarnęła szalona radość – jego dzieci żyły! Zastukał gwałtownie rękojęścią noża w szybę bulaja.

Wskazówka ciśnieniomierza na butli akwalungu stała na czerwonym polu. Koniec był coraz bliżej. Zostały im tylko minuty życia.

Summer i Dirk wykonywali powolne, odmierzone wdechy i wydechy, żeby możliwie jak najdłużej korzystać z malejącego zapasu powietrza. Blask zachodzącego słońca przygasł i woda na zewnątrz zmieniła się z niebieskozielonej w szarozieloną. Dirk zerknął na pomarańczową tarczę zegarka do nurkowania, który dostał od ojca. Doxa SUB 300T wskazywała, że jest siódma czterdzieści siedem. Byli odcięci od świata od prawie szesnastu



godzin.

Summer leżała w półśnie. Otwierała oczy tylko wtedy, gdy nadchodziła jej kolej na kilka oddechów przez regulator akwalungu. Dirk zatrzymywał wówczas powietrze w płucach i czekał. Summer wydało się nagle, że dostrzega ruch za szybą bulaja. Najpierw myślała, że to jakaś wielka ryba, ale później usłyszała stukanie w twarde, przezroczysty plastik. Usiadła gwałtownie i spojrzała ponad ramieniem Dirka.

Na zewnątrz unosił się płetwonurek. Przyciskał twarz w masce do szyby bulaja i energicznie machał ręką. Kilka sekund później pojawił się drugi. Gestykulował z ożywieniem, jakby cieszył się, że zastał życie wewnątrz bazy.

Summer pomyślała, że ma przyjemne halucynacje. Ale potem zdała sobie sprawę, że tamci mężczyźni w wodzie to nie przywidzenia.

– Dirk! – krzyknęła. – Oni tu są, znaleźli nas!

Dirk odwrócił się i zamrugał, czując oszałamiającą ulgę. Po chwili rozpoznał obu płetwonurków.

– O mój Boże! To tata i wujek Al! – zawołał.

Brat i siostra przycisnęli dłonie do szyby bulaja i wybuchnęli radosnym śmiechem, kiedy po drugiej stronie Pitt przyłożył rękawice w tych samych miejscach. Potem ich ojciec wyciągnął zza pasa małą tabliczkę, napisał trzy słowa i uniósł ją do góry.

ILE MACIE TLENU?

Dirk gorączkowo przeszukał bałagan wewnątrz „Pisces”, znalazł flamaster i kartkę papieru. Wypisał wielkimi literami odpowiedź i przycisnął do szyby.

NA 10 DO 15 MINUT.

– To przecinanie idzie raczej marnie – zauważył Giordino przez interkom.

– Cholernie marnie – zgodził się Pitt.

– Nie ma mowy, żebyśmy się przebili przez ten bulaj, zanim zabraknie im powietrza. – Giordino nie chciał wypowiedzieć tych słów, ale musiały zostać wypowiedziane. – Tej szyby nie rozwali nic poza pociskiem raketowym. A nawet gdyby się udało, woda na tej głębokości ma takie ciśnienie, że eksploduje wewnątrz bazy jak dynamit w rurze. Zmiażdży ich.

Giordino podziwiał opanowanie Pitta. Ktoś inny, dowiedziawszy się, że jego syna i córkę za kilka minut czeka bolesna śmierć, pewnie wpadłby w panikę. Ale nie on. Pitt zanurzył się w wodzie, jakby kontemplował ospałe ruchy tropikalnych ryb. Przez kilka sekund wydawało się, że brakuje mu motywacji. Potem odezwał się spokojnym tonem:

– Paul, słyszysz mnie?

– Słyszę i rozumiem twój dylemat. Jak mogę ci pomóc?

– Przypuszczam, że masz w magazynie narzędzi świder podwodny Morphona?

– Tak, na pewno jest na pokładzie.

– Przygotuj go i przynieś na pochylnię. I zamontuj wiertło z okrągłą krawędzią tnącą o największej średnicy.

– Coś jeszcze?

– Przydadzą się nam dwie dodatkowe butle tlenowe z regulatorami.

– Wszystko będzie przygotowane.

Pitt napisał na tabliczce wiadomość i uniósł ją do góry przed bulajem. TRZYMAJCIE SIĘ. WRÓCIMY ZA 10 MINUT.

Potem on i Giordino unieśli się do góry i zniknęli z pola widzenia rodzeństwa.

Kiedy Pitt i Giordino odплыnęli ku powierzchni i przestali być widoczni, Dirk i Summer poczuli się tak, jakby podczas urodzinowego przyjęcia na otwartym powietrzu nagle lunął deszcz. Gdy zobaczyli ojca i jego najlepszego przyjaciela, wstąpiła w nich nadzieja, ale po ich zniknięciu znów poczuli przygnębienie.

– Wolałabym, żeby nas nie zostawiali – powiedziała cicho Summer.

– Bez obaw. Wiedzą, ile mamy powietrza. Zanim się zorientujesz, będą z powrotem.

– Ciekawe, jak zamierzają nas stąd wydostać?

– Jeśli ktoś potrafi dokonać cudu, to tylko tata i Al.

Summer spojrzała na wskazówkę ciśnieniomierza na butli tlenowej, drgającą w pobliżu zera.

– Lepiej niech się pospieszą – mruknęła.

Kiedy Pitt pędził łodzią z powrotem w kierunku statku, Barnum już czekał z zapasowymi akwalungami i podwodnym świdrem Morphona. Pitt po mistrzowsku wykonał nawrót i podплыnął do pochylni.

– Dzięki, Paul – powiedział.

Barnum uśmiechnął się lekko.

– Nie ma za co.

Gdy tylko sprzęt znalazł się na pokładzie, Pitt pchnął dźwignie przepustnic do oporu i pomknął w kierunku boi unoszącej się nad „Pisces”.

Lelasi rzucił kotwicę. Pitt i Giordino poprawili maski i opadli do wody plecami w dół. Pitt nie napełnił powietrzem swojego kompensatora, żeby mieć neutralną wyporność z ciężkim, dziewięciokilogramowym świdrem Morphona. Pozwolił, żeby narzędzie pociągnęło go na dno, i dotarł na dół po niecałej minucie. Podczas opadania wyrównywał ciśnienie w uszach. Kiedy tylko stanął na piaszczystym dnie wąwozu, przycisnął okrągłą krawędź tnącą do szyby bulaja.

Zanim włączył świder, zajrzał do środka. Summer wyglądała na półprzytomną. Dirk pomachał mu słabo. Pitt szybko odłożył narzędzie i napisał na tabliczce:

WYWIERCIMY OTWÓR NA BUTLE TLENOWE. ODSUŃCIE SIĘ,  
BO ZALEJE WAS WODA.

Miał bardzo mało czasu. Naparł wiertłem na bulaj i wcisnął włącznik w nadziei, że ostrze

przetnie przezroczysty materiał o wytrzymałości stali. Spotęgowany przez wodą warkot silnika i zgrzyt wiertła atakującego twardego plastik wypłoszyły wszystkie ryby w promieniu stu metrów. Rozpierzchły się między rafy.

Pitt pochylił się nad świderem i pchał z całej siły. Był wdzięczny Giordinowi, gdy ten wbił kolana w piasek, zgarbił się za nim, położył ręce na przedniej, cylindrycznej części narzędzia i napiął swoje mięśnie.

Mijały minuty. Obaj napierali na świder najmocniej jak mogli. Nie odzywali się do siebie, nie musieli. Znali się od ponad czterdziestu lat i rozumieli bez słów. Pracowali razem jak dobrana para koni pociagowych.

Pitt omal nie oszalał, kiedy zobaczył, że wewnątrz bazy nikt się nie porusza. Im głębiej ostrze wrzynało się w plastik, tym szybciej cięło. W końcu Pitt i Giordino poczuli, że szyba puściła. Natychmiast wyszarpnęli wiertło z powrotem. Ledwo Pitt wyłączył świder, Giordino wepchnął przez okrągły otwór o średnicy dwudziestu pięciu centymetrów butlę tlenową i regulator. Pomogła mu woda, która wdarła się do przestrzeni o niższym ciśnieniu.

Pitt chciał zawołać do swoich dzieci, ale nie usłyszałyby go. Summer nie dawała znaku życia. Już zaczął podnosić świder, żeby powiększyć otwór i dostać się do środka, gdy Dirk powolnym ruchem sięgnął po regulator i zacisnął zęby na ustniku. Po dwóch głębokich oddechach doszedł do siebie. Natychmiast delikatnie wsunął ustnik między wargi Summer.

Pitt miał ochotę krzyczeć z radości, kiedy Summer otworzyła oczy i jej pierś zaczęła się wznosić i opadać. Choć wewnątrz bazy szybko zalewała woda, rodzeństwo miało teraz aż nadto powietrza do oddychania. Pitt i Giordino znów podnieśli świder i przystąpili do roboty, chcąc powiększyć otwór na tyle, żeby uwięziona dwójka mogła się wydostać na zewnątrz. Obecnie pracowali już bez gorączkowego pośpiechu, wiercili na zmianę, dopóki okrągłe wycięcie nie nabrało kształtu czterolistnej koniczyny o takiej szerokości, że człowiek mógł się przez nie przecisnąć.

– Paul – rzucił Pitt do interkomu.

– Jestem – odezwał się Barnum.

– Co z komorą hiperbaryczną?

– Jest gotowa do ich przyjęcia, kiedy tylko wejdą na pokład.

– Jak długo byli w „Pisces” i na jakiej głębokości?

– Byli na osiemnastu metrach przez trzy dni i czternaście godzin.

– Więc będą potrzebowali co najmniej piętnastu godzin na dekompresję.

– Nie ma sprawy – odrzekł Barnum. – Mam na pokładzie lekarza specjalistę. Obliczy im czas dekompresji.

Giordino zasygnalizował, że skończył wiercić ostatni otwór. Wnętrze bazy było już niemal pełne wody, ciśnienie uwięzionego powietrza blokowało jej dalszy napływ. Giordino sięgnął do środka, wziął Summer za rękę i wyciągnął córkę na zewnątrz. Dirk podał jedną z butli tlenowych. Summer opasała ją ramionami i zaczęła oddychać przez ustnik regulatora.

Potem nagle zamachała rękami, dając sygnał, żeby zaczekali, zniknęła wewnątrz bazy, ale szybko pojawiła się z powrotem ze swoimi notatnikami, dyskietaami komputerowymi i cyfrowym aparatem fotograficznym w plastikowej torbie wodoszczelnej. Giordino wziął ją za ramię i oboje unieśli się ku powierzchni.

Dirk wyłonił się z drugą zapasową butlą tlenową. Pitt uściśnął go szybko, po czym popłynęli razem do góry. Gdy tylko rodzeństwo zostało ulokowane w łodzi pneumatycznej, Cristiano pchnął dźwignię przepustnic do przodu i pomknął w kierunku statku badawczego. Pitt i Giordino, którzy zostali w wodzie, żeby Lelasi mógł szybciej odpłynąć, ledwo zdążyli odepchnąć się od burt, by nie posiekały ich wirujące śruby.

Kiedy Włoch wrócił po nich, Dirk i Summer przebywali już w komorze hiperbarycznej, co było niezbędne, jeśli mieli uniknąć choroby dekompresyjnej z porażeniem mięśni. Przy ciśnieniu atmosferycznym organizm zużywa nadmiar azotu podczas oddychania. Ale kiedy nurek opuszcza się w głąb morza, wzrost ciśnienia powoduje podniesienie poziomu azotu w krwiobiegu. Gdy nurek wraca ku powierzchni i ciśnienie otaczającej go wody maleje, we krwi tworzą się pęcherzyki azotu, które w końcu powodują zatory w małych naczyniach krwionośnych. Żeby je odblokować, nurek musi przebywać w pomieszczeniu, gdzie bardzo powoli spada ciśnienie, i oddychać czystym tlenem.

Dirk i Summer spędzili w komorze hiperbarycznej długie godziny. Cały czas byli pod obserwacją lekarza specjalisty; czytali i pisali raporty o swoich badaniach ginących koralowców i brązowej zawiesiny, notowali też swoje wrażenia z pobytu w grocie z antycznymi artefaktami.

Gwiazdy iskrzyły się jak diamenty, w wysoko położonych budynkach mieszkalnych błyszczały światła. „Sea Sprite” wchodził do portu Everglades w Fort Lauderdale, jednego z najbardziej ruchliwych portów głębokowodnych świata. Płynął w blasku swoich reflektorów pokładowych i wolno mijał długi rząd luksusowych statków pasażerskich przygotowujących się do porannego wyjścia w morze. Uprzedzone przez Straż Przybrzeżną załogi wszystkich jednostek w porcie pozdrowiały „Sea Sprite” trzema gwizdkami lub sygnałami syren okrętowych.

Wiadomość o uratowaniu przed dwoma dniami Ocean Wanderera i tysiąca gości hotelowych obiegła już cały świat i Pitt obawiał się, że na nabrzeżu NUMA będzie czekał tłum reporterów. Stał oparty o reling dziobowy i wpatrywał się w czarną wodę. Powierzchnię przecinały smugi światła odbijającego się od kadłuba. Kątem oka dostrzegł czyjąś sylwetkę obok, odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą twarz syna. Zawsze zdumiewało go ich wzajemne podobieństwo – to było tak, jakby patrzył na swoje lustrzane odbicie dwadzieścia pięć lat wcześniej.

– Jak myślisz, co z nią zrobią? – zapytał Dirk.

Pitt zmarszczył brwi.

– Z kim? Z czym?

– Z „Pisces”.

– Decyzję, czy ją wydobyć, czy nie, podejmie admirał Sandecker. Dostarczenie nad rafę koralową barki z dźwigiem może okazać się niemożliwe. A nawet gdyby się udało, wyciąganie sześćdziesięciu pięciu ton złomu z wąskiego kanionu może być nieopłacalne. Bardzo możliwe, że admirał po prostu spisze ją na straty.

– Szkoda że nie widziałem, jak ty i Al przeciągaliście tamte linki przywiązane do cum hotelu na „Sea Sprite”.

Pitt uśmiechnął się.

– Wątpię, czy któryś z nas zgłosiłby się na ochotnika, gdyby trzeba było zrobić, to raz jeszcze.

Teraz Dirk się uśmiechnął.

– Mogę się założyć, że tak.

Pitt odwrócił się i oparł plecami o reling.

– Czy ty i Summer wróciliście już do pełnej formy?

– Bez problemu przeszliśmy testy równowagi i czuciowo-ruchowe. Nie mamy żadnych objawów następczych.

– Mogą wystąpić po kilku dniach lub tygodniach. Przez jakiś czas lepiej się nie przemęczajcie. A na razie, skoro tak bardzo się rwiecie, żeby coś zrobić, dam wam zadanie.

– Jakie zadanie? – Dirk spojrzał podejrzliwie na ojca.

– Umówię was z St. Julienem Perlmutterem. Spróbujecie wspólnie rozwiązać zagadkę tych antycznych artefaktów, które znaleźliście na Navidad Bank.

– Tato, musimy wrócić do tamtej groty i dokładnie ją zbadać.

– To też da się załatwić – zapewnił go Pitt. – Ale wszystko w swoim czasie. Nie ma pośpiechu.

– A brązowa zawiesina, która zabija życie morskie wokół rafy? – nie ustępował Dirk. – Nie można tego pozostawić.

– NUMA zorganizuje następną ekspedycję. Wróci tam nowa załoga na innym statku badawczym.

Dirk odwrócił się i spojrzał na światła portu tańczące na powierzchni wody.

– Szkoda że jesteśmy tak rzadko razem – westchnął.

– Może powędrujemy trochę na północy Kanady? – zaproponował Pitt.

– Brzmi zachęcająco.

– Pogadam z Sandeckerem. W nagrodę za nasze ostatnie wyczyny powinien dać nam wszystkim krótki urlop.

Podeszli Giordino i Summer, stanęli przy relingu i zaczęli machać do mijanych statków, które głośnymi sygnałami wyrażały „Sea Sprite’owi” uznanie za wykonanie dobrej roboty. Zza zakrętu wyłonił się basen portowy NUMA. Obawy Pitta sprawdziły się. Na brzegu roило

się od furgonetek ekip telewizyjnych i reporterów.

Barnum przybił do nabrzeża, rzucono cumy i założono pętle na pachołki. Potem opuszczono trap. Admirał James Sandecker wtargnął na statek jak lis do kurnika. Przypominał zresztą lisa ze swoją wąską twarzą, płomiennorudymi włosami i bródką a la Van Dyck. Towarzyszył mu jego zastępca, Rudi Gunn, geniusz administracyjny NUMA.

Barnum czekał na Sandeckera u szczytu trapu.

– Witam na pokładzie, panie admirale. Nie spodziewałem się pana.

Sandecker wskazał zamaszystym gestem tłum dziennikarzy na nabrzeżu i rozpromienił się.

– Nie mogłem przepuścić takiej okazji – oznajmił. Potem mocno potrząsnął dłonią Barnuma. – Wspaniała robota, kapitanie. Cała NUMA jest dumna z pana i pańskiej załogi.

– To był sukces zespołowy – odrzekł skromnie Barnum. – Gdyby Pitt i Giordino nie przeciągnęli lin cumowniczych na nasz statek, Ocean Wanderer z pewnością roztrzaskałby się o skały.

Sandecker spostrzegł Pitta i Giordina i podszedł do nich.

– Znowu wy dwaj – powiedział cierpkim tonem. – Wygląda na to, że zawsze musicie się pchać w tarapaty, nigdy się tego nie oduczycie.

Pitt wiedział, że usłyszeli największy komplement, jakim potrafił ich obdarzyć admirał.

– Powiedzmy, że po prostu mieliśmy szczęście. Akurat byliśmy służbowo w Portoryko, kiedy zadzwoniła Heidi Lisherness z naszego ośrodka meteorologicznego w Key West i opisała nam sytuację.

– Dzięki Bogu, że zdążyliście w porę dolecieć na miejsce – wtrącił się Rudi Gunn. – Pomogliście zapobiec wielkiej tragedii.

Nosił grube okulary w rogowej oprawce, był drobny, niski i nastawiony przyjaźnie do całego świata. Wszyscy go lubili.

– Mieliśmy rzeczywiście szczęście i to było najważniejsze – powiedział Giordino.

Podeszli Dirk i Summer.

– Wygląda na to, że już doszliście do siebie po ciężkiej próbie – powitał ich Sandecker.

– Gdyby tata i Al nie wydostali nas z „Pisces” na czas – odparła Summer – nie byłoby nas tutaj.

Uśmiech Sandeckera mógł się wydawać mocno sceptyczny, ale w jego oczach błyszczała duma.

– Widzę, że dobrym uczynkom nie ma końca.

– Skoro już o tym mowa, mam prośbę – powiedział Pitt.

– Prośba odrzucona – odrzekł Sandecker, jakby czytał w jego myślach. – Wybierzcie się na wakacje po następnej robocie.

Giordino spojrzał na niego ponurym.

– Jest pan złym starym człowiekiem.

Sandecker zignorował te obraźliwe słowa.

– Jak tylko spakujecie swoje rzeczy, Rudi zawiezie was wszystkich na lotnisko. Czeka tam nasz, samolot. Polecicie do Waszyngtonu. W kabinie jest takie ciśnienie, że Dirk i Summer nie powinni mieć komplikacji po dekompresji. Jutro w południe spotkamy się wszyscy w moim gabinecie.

– Mam nadzieję, że w tym samolocie są łóżka, bo to chyba jedyna okazja, żebyśmy się przespali – odrzekł z nutą sarkazmu w głosie Giordino.

– Pan nie leci z nami, admirale? – zapytała Summer.

Sandecker uśmiechnął się chytrze.

– Ja? Nie. Polecę za wami innym samolotem. – Wskazał czekających reporterów. – Ktoś musi złożyć siebie w ofierze na ołtarzu mediów.

Giordino wyciągnął cygaro z kieszeni na piersi. Podejrzanie przypominało ulubiony gatunek Sandeckera. Spojrzał wyzywająco na admirała i zapalił.

– Niech pan dopilnuje, żeby nie przekreśli naszych nazwisk – powiedział.

Heidi Lisherness patrzyła niewidzącym wzrokiem na monitory. Pokazywały zamierający huragan Lizzie. Sztorm skręcił na południowy wschód, uszkodził statki na Morzu Karaibskim i uderzył we wschodnie wybrzeże Nikaragui między Puerto Cabezas i Punta Gorda, na szczęście z dwukrotnie mniejszą siłą i w słabo zaludnionym rejonie. Zanim pokonał osiemdziesięciokilometrową trasę przez bagna na nizinach i dotarł do podnóży wzgórz, osłabł i w końcu zmarł. Ale przedtem zatoneło osiemnaście statków wraz z załogami, zginęło trzy tysiące osób, dziesięć tysięcy odniosło obrażenia i straciło dach nad głową.

Heidi mogła sobie tylko wyobrażać, ile byłoby ofiar, gdyby w porę nie wysłała prognoz i ostrzeżeń. Siedziała zgarbiona przy biurku zavalonym zdjęciami, wydrukami analiz komputerowych i papierowymi kubkami po kawie, gdy w pokoju biurowym, który wyglądał jak po przejściu huraganu Lizzie pojawił się jej mąż.

– Heidi – powiedział i delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

Podniosła zaczerwienione oczy.

– O, Harley – powiedziała cicho, zmęczonym głosem. – Cieszę się, że przyszedłeś.

– Chodź, dziewczyno. Wykonałaś kawał dobrej roboty. Czas, żebym zabrał cię do domu.

Wyczerpana, jak jeszcze nigdy dotąd, Heidi wstała i z wdzięcznością oparła się na mężu, a Harley wyprowadził ją z zaśmieconego papierami biura Ośrodka Badania Huraganów NUMA. Odwróciła się w progu i po raz ostami spojrzała na szeroki pas papieru przypięty do ściany. Ktoś napisał na nim drukowanymi literami: GDYBYŚCIE ZNALI LIZZIE TAK, JAK MY GO ZNAMY... HO, HO, HO, CO ZA SZTORM.

Uśmiechnęła się do siebie i zgasiła światło, w dużym pokoju sztabu meteorologicznego zapadła ciemność.

**CZEŚĆ II**

**CO TERAZ?**



**23 sierpnia 2006**

**Waszyngton**

Dzień był gorący i parny, wilgotne powietrze zastygło w bezruchu. Białe obłoki na kobaltowym niebie wyglądały jak stado owiec. Z wyjątkiem turystów, w środku lata wszyscy w mieście żyli w zwolnionym tempie. Kongresmani korzystali z każdej okazji, żeby wziąć urlop i uciec od upału. Sesje odbywały się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne lub gdy politycy dochodzili do wniosku, że należałoby odświeżyć własny wizerunek szalenie zapracowanych ludzi. Kiedy Pitt wysiadł z odrzutowca NUMA, różnica temperatury między Waszyngtonem a tropikami, skąd wracał, okazała się raczej niewielka. Prywatne lotnisko rządowe położone kilka kilometrów na północ od miasta świeciło pustkami. Giordino, Dirk i Summer zeszli za Pittem po schodkach samolotu na gorący jak patelnia czarny asfalt.

Na parkingu czekał tylko jeden samochód – wspaniały, elegancki marmon, rocznik 1931, z silnikiem V-16. Miał styl i klasę, w swoim czasie stanowił doskonałość techniczną. Wyprodukowano tylko trzysta dziewięćdziesiąt sztuk tego modelu. Toczył się gładko i cicho, napędzał go silnik o mocy stu dziewięćdziesięciu dwóch koni mechanicznych i potężnym momencie obrotowym pięćset pięćdziesięciu niutonometrów. Szaroróżowa karoseria odpowiadała idealnie sloganowi reklamowemu marmona: NAJNOWOCZEŚNIEJSZY SAMOCHÓD ŚWIATA.

Kobieta stojąca obok samochodu nie ustępowała mu ani na jotę urodą i stylem. Była wysoka i urzekająco piękna. Miała delikatne rysy, wystające kości policzkowe modelki i łagodne fiołkowe oczy, jej cynamonowe sięgające do ramion włosy lśniły w słońcu. Parlamentarzystka Loren Smith sprawiała olśniewające wrażenie. Krój białej koronkowej bluzki uwydatniał naturalne krągłości jej ciała, białe spodnie z szerokimi nogawkami opadały lekko na białe sportowe buty. Pomachała ręką, uśmiechnęła się i podbiegła do Pitta. Spojrzała na niego i pocałowała go lekko w usta, po czym się cofnęła.

– Witaj w domu, żeglarzu.

– Chciałbym dostawać dolara za każdym razem, kiedy to mówisz.

– Byłbyś bogaty. – Roześmiała się uroczo. Potem uściskała Giordina, Summer i Dirka. – Słyszałam, że przeżyliście wielką przygodę.

– Gdyby nie tata i Al – odrzekł Dirk – Summer i ja bylibyśmy teraz wśród aniołków.

– Opowiecie mi wszystko w domu.

Zanieśli swoje rzeczy do samochodu; część z nich włożyli do wystającego bagażnika, resztę upchnęli na podłodze przed tylnym siedzeniem. Loren wsunęła się na odkryte miejsce kierowcy, Pitt usiadł obok. Pozostali zajęli zakrytą część pasażerską oddzieloną od przedniej szyby.

– Podrzucimy Ala do jego mieszkania w Alexandrii? – zapytała Loren.

Pitt skinął głową.

– Potem pojedziemy do hangaru, żeby się odświeżyć. W południe mamy być w gabinecie admirała.

Zerknęła na zegar na tablicy przyrządów. Wskazywał dziesiątą dwadzieścia pięć. Zmarszczyła czoło, gładko i z wprawą wrzuciła bieg i trochę sarkastycznym tonem zapytała:

– Żadnego odpoczynku, od razu z powrotem do pracy po tym, co wszyscy przeszliście? Czy admirał trochę was przypadkiem nie wykorzystuje?

– Wiesz równie dobrze jak ja, że pod jego szorstką powierzchownością bije serce człowieka, który zawsze troszczy się o innych. Nie naciskałby, gdyby to nie było ważne.

– Mimo to – odrzekła Loren, gdy uzbrojony wartownik przy bramie lotniska pokazał jej, że może jechać – mógłby wam dać dwadzieścia cztery godziny oddechu.

– Niedługo się dowiemy, o co mu chodzi – mruknął Pitt, starając się nie zasnąć.

Piętnaście minut później Loren zatrzymała się przed ogrodzonym blokiem, gdzie mieszkał Giordino. Wciąż był kawalerem i nie spieszyło mu się do małżeństwa, twierdził, że woli uszczęśliwiać wiele kobiet. Loren rzadko widywała go dwa razy z tą samą partnerką. Przedstawiała go swoim przyjaciółkom i wszystkie uważały, że jest interesujący i czarujący, ale zawsze po pewnym czasie odchodził do innej. Pitt często porównywał go do poszukiwacza złota w tropikalnym raju, który nigdy nie znajduje kruszcu pod palmami na plaży.

Giordino zabrał swój worek marynarski i pomachał im dłonią.

– Do zobaczenia. Spotkamy się prędko, zbyt prędko.

Na trasie do hangaru Pitta w odosobnionym krańcu Narodowego Portu Lotniczego imienia Ronalda Reagana nie było ruchu. I tym razem strażnik przy bramie przepuścił ich, gdy rozpoznał Pitta. Loren podjechała do starego hangaru, z którego w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku korzystało dawno nieistniejące towarzystwo lotnicze. Pitt kupił budynek, żeby trzymać tu swoją kolekcję starych samochodów, a biura na piętrze przerobił na mieszkanie. Dirk i Summer mieszkali na dole, gdzie stało pięćdziesiąt zabytkowych samochodów, dwa stare samoloty i pullmanowski wagon kolejowy znalezione przez Pitta w

Nowym Jorku.

Loren zatrzymała marmona przed głównym wejściem i Pitt wyłączył pilotem skomplikowane systemy alarmowe. Potem drzwi się uniosły, Loren wjechała do środka i zaparkowała wóz pomiędzy całą plejadą pięknych zabytkowych samochodów. Najstarszy był cadillac V-8 z roku 1918, najmłodszy rolls-royce silver dawn rocznik 1955 z karoserią Hoopera. Pojazdy stały na białej lśniącej podłodze i błyszcząły całą gamą kolorów w słońcu wpadającym przez świetliki w dachu.

Dirk i Summer poszli do swoich oddzielnych przedziałów w wagonie kolejowym. Pitt i Loren wspięli się po schodach do mieszkania. Pitt wziął prysznic i się ogolił, Loren przygotowała lekkie śniadanie dla całej czwórki. Pół godziny później Pitt wyszedł z sypialni w luźnych spodniach i cienkim golfie i usiadł przy kuchennym stole.

– Słyszałaś kiedykolwiek o korporacji Odyssey? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

Loren spojrzała na niego jakby trochę zaskoczona.

– Tak, jestem w komisji kongresowej, która bada działalność tej firmy. Nie ujawniamy niczego mediom. Co wiesz o naszym dochodzeniu?

Pitt wzruszył ramionami.

– Zupełnie nic. Nie miałem pojęcia, że Kongres interesuje się Specterem.

– Tajemniczym założycielem korporacji? Więc dlaczego pytasz?

– Z ciekawości. Wyłącznie. Specter jest właścicielem hotelu, który Al i ja pomogliśmy uratować przed zepchnięciem na skały przez huragan Lizzie.

– Niewiele o nim wiadomo, poza tym że kieruje ogromnym ośrodkiem naukowo-badawczym w Nikaragui i prowadzi wielkie roboty budowlane i górnicze na całym świecie. Niektóre jego międzynarodowe przedsięwzięcia są legalne, inne bardzo podejrzane.

– Co buduje w Stanach?

– Kanały wodne przez pustynie na południowym zachodzie i kilka tam. To wszystko.

– Jakie badania naukowe prowadzi Odyssey? – zapytał Pitt.

Loren wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo wiadomo. A ponieważ ich ośrodek jest w Nikaragui, nie mają prawnego obowiązku składania u nas raportów o swoich eksperymentach. Podobno pracują nad ogniwami paliwowymi, ale nikt nie wie tego na pewno. Nasze służby wywiadowcze nie uważają Odyssey za cel priorytetowy.

– A te roboty górnicze?

– To głównie podziemne magazyny – odpowiedziała Loren. – Ludzie z CIA słyszeli pogłoski, że Specter draży grotty do składowania tajnej broni nuklearnej i biologicznej produkowanej w takich krajach jak Korea Północna, ale nie ma na to dowodu. Prowadzi też roboty dla Chińczyków, którzy chcą trzymać w tajemnicy swoje wojskowe programy badawcze i zapasy broni. Wygląda na to, że Odyssey specjalizuje się w budowie podziemi, gdzie można ukrywać przed satelitami szpiegowskimi obiekty wojskowe i produkcję broni.

– Ale Specter zbudował też pływający hotel.  
– To atrakcja, żeby jego klienci mieli rozrywkę – wyjaśniła Loren. – Wszedł do branży turystycznej, bo to go bawi.

– Kim on jest? Dyrektor Ocean Wanderera nie ma o nim dobrego zdania.

– Widocznie nie jest zadowolony z tej pracy.

– Nie dlatego. Powiedział mi, że rezygnuje z posady, bo Specter uciekł z hotelu przed huraganem swoim prywatnym samolotem i zostawił gości i pracowników, nie przejmując się tym, że wszyscy mogą zginąć.

– Specter to bardzo tajemnicza osoba. Jest chyba jedynym szefem gigantycznej korporacji, który nie ma osobistego agenta od reklamy ani swojej firmy public relations. Nigdy nie udziela wywiadów i rzadko pokazuje się publicznie. Nic nie wiadomo o jego przeszłości, rodzinie czy wykształceniu.

– Nie jest nawet znany jego akt urodzenia?

Loren pokręciła przecząco głową.

– Ani w archiwach amerykańskich, ani w żadnych innych na całym świecie nie znaleziono takiego dokumentu. Mimo wysiłków naszych służb wywiadowczych nie udało się dotąd ustalić jego prawdziwej tożsamości. Kilka lat temu FBI starała się czegoś dokopać, ale bez skutku. Nie ma zdjęć jego twarzy, bo zawsze zasłania ją szalikiem i chodzi w ciemnych okularach. Nawet jego najbliżsi współpracownicy nigdy jej nie widzieli. Próbowali zdobyć jego odciski palców, ale nosi rękawiczki. Wszyscy wiedzą tylko to, że jest bardzo gruby. Waży chyba ponad sto osiemdziesiąt kilogramów.

– Niczyje życie lub interesy nie mogą pozostawać aż w takim stopniu tajemnicą.

Loren bezradnie rozłożyła ręce. Pitt nalał sobie kawy.

– Gdzie jest centrala jego firmy?

– W Brazylii – odrzekła Loren. – Ma też wielkie centrum administracyjne w Panamie. A ponieważ dużo tam inwestuje, prezydent republiki nadał mu obywatelstwo tego państwa. Mianował też Spectera dyrektorem Kanału Panamskiego.

– Więc co bada twoja komisja? – zapytał Pitt.

– Jego kontakty z Chińczykami. Specter ma układy z Chińską Republiką Ludową od piętnastu lat. Będąc dyrektorem Kanału Panamskiego, pomógł hongkońskiej spółce Whampoa Limited, powiązanej z Chińską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą, uzyskać dwudziestopięcioletni kontrakt na zarządzanie portami Balboa i Cristobal przy wejściach do kanału z Pacyfiku i Atlantyku. Whampoa będzie miała również wyłączność na załadunek i rozładunek wszystkich statków i całkowitą kontrolę nad linią kolejową przewożącą towary między tymi dwoma portami. Niedługo zacznie też budować nowy wiszący most drogowy do transportu nadwymiarowych kontenerów na północ i południe strefy kanału.

– I co nasz rząd robi w tej sprawie?

Loren pokręciła głową.

– Nic, o ile mi wiadomo. Prezydent Clinton dał Chińczykom wolną rękę w Ameryce Środkowej. – Po chwili dodała: – Jeszcze jedną intrygującą rzeczą w Odyssey Corporation jest to, że firmą rządzą prawie same kobiety.

Pitt uśmiechnął się.

– Specter musi być idolem ruchu feministycznego.

Do kuchni weszli Dirk i Summer. Po szybkim spóźnionym śniadaniu ojciec, córka i syn pojechali do centrali NUMA na spotkanie z Sandeckerem. Tym razem Pitt usiadł za kierownicą jednego z turkusowych navigatorów agencji. Po drodze podwiózł Loren do domu.

– Wybierzemy się gdzieś na kolację? – zapytał, zatrzymawszy samochód przed jej miejską siedzibą.

– Z Dirkiem i Summer?

– Mogę przywlec dzieciaki – uśmiechnął się Pitt – ale tylko wtedy, jeśli będziesz nalegała.

– Nalegam. – Loren ścisnęła jego rękę, zgrabnie wysiadła z navigatora na podjazd i pobiegła po schodach do swych drzwi.

Trzydziestopiętrowy budynek centrali NUMA wzniesiono na wzgórzu nad rzeką Potomac i rozciągał się zeń wspaniały widok na miasto. Sandecker osobiście wybrał to miejsce, kiedy Kongres przyznał mu fundusze na budowę siedziby agencji. Wieżowiec okazał się bardziej imponujący, niż politycy pierwotnie sobie to wyobrażali, i koszty przekroczyły budżet o kilka milionów dolarów. Ponieważ owo wybrane miejsce znajdowało się na wschodnim brzegu rzeki, tuż poza granicami dystryktu Kolumbii, gdzie nie obowiązywały ograniczenia wysokości budynków, admirał polecił zbudować cylindryczną konstrukcję z zielonego szkła widoczną ze wszystkich stron z odległości wielu kilometrów.

Pitt wjechał na zatłoczony parking podziemny i zostawił samochód na zarezerwowanym dla niego miejscu. Wszyscy troje weszli do windy i wysiedli na ostatnim piętrze w recepcji wyłożonej drewnem tekowym z wraków starych statków. O dziwo, Giordino już tu był. Miał na sobie luźne spodnie i hawajską koszulę w kwiaty. Sekretarka Sandeckera poprosiła, żeby chwilę poczekali, bo admirał kończy właśnie spotkanie.

Ledwo to powiedziała, drzwi gabinetu Sandeckera otworzyły się i z pokoju wyszli dwaj starzy przyjaciele Pitta i Giordina – przedwcześnie posiwiały Kurt Austin, dyrektor Zespołu Specjalnego NUMA, i Joe Zawała, szczupły inżynier, który często współpracował z Giordinem przy projektowaniu i konstruowaniu pojazdów podwodnych. Uścisnęli sobie ręce.

– Gdzie was wysłał stary dziad? – zapytał Giordino.

– Na północ Kanady. Podobno w kilku tamtejszych jeziorach pojawiły się jakieś ryby mutanty. Admirał prosił, żebyśmy to sprawdzili.

– Słyszeliśmy o uratowaniu przez was Ocean Wanderera w samym centrum huraganu Lizzie – powiedział Zawała. – Nie spodziewałem się, że tak szybko wrócicie do kieratu.

Pitt uśmiechnął się lekko.

– W regulaminie Sandeckera nie ma odpoczynku dla zmęczonych.

Austin wskazał głową Dirka i Summer.

– Po powrocie zaproszę ciebie i dzieciaki na grilla.

– Chętnie wpadniemy – odrzekł Pitt. – Zawsze chciałem zobaczyć twoją kolekcję starych pistoletów.

– A ja jeszcze nie widziałem twojej kolekcji samochodów.

– Może to połączymy? Koktajle i zakaśki u mnie, a potem grill u ciebie.

– Dobry pomysł, zgoda.

Podeszła sekretarka Sandeckera.

– Admirał jest już wolny – powiedziała.

Pozegnali się. Austin i Zawała poszli do windy, grupka Pitta weszła do gabinetu. Sandecker siedział za wielkim biurkiem zrobionym z uratowanej kłapy wjazdu okrętu wojennego Konfederatów.

Admirał był dżentelmenem starej daty. Na widok Summer wstał i wskazał jej fotel na wprost biurka. Dołączył Rudi Gunn, który przyszedł ze swojego gabinetu na dwudziestym ósmym piętrze.

Sandecker rozpoczął spotkanie bez żadnych wstępów.

– Musimy się zająć dwoma intrygującymi problemami. Najważniejsza jest sprawa brązowej zawieszki, która rozprzestrzeniła się na Karaibach. Wróć do tego za chwilę. – Spojrzał swoim świdrującym wzrokiem najpierw na Summer, potem na Dirka. – Wy dwoje otworzyliście puszkę Pandory waszymi odkryciami na Navidad Bank.

– Od momentu, kiedy kapitan Barnum wysłał amforę do zbadania, nie słyszałam już o niej – odrzekła Summer. – Nie znam wyników testów laboratoryjnych.

– Amforę jeszcze czyszczą – wyjaśnił Gunn. – Ale Hiram Yaeger i jego magiczny komputer już ustalili jej pochodzenie.

Summer otworzyła usta, ale Sandecker ubiegł jej pytanie.

– Hiram ustalił, że to naczynie celtyckie z XI wieku przed naszą erą.

– Celtyckie? – zdziwiła się Summer. – Jest tego pewien?

– Jest to taka sama amfora, jak wszystkie wytwarzane przez starożytnych Celtów trzy tysiące lat temu.

– A co z grzebieniem, który sfotografowaliśmy? – zapytała Summer.

– Nie mając możliwości jego zbadania – odrzekł Sandecker – komputer Hiram nie potrafi precyzyjnie określić wieku. Ale Hiram przypuszcza, że grzebień też ma około trzech tysięcy lat.

– Skąd, według Hiram, pochodzi ten artefakt? – zapytał Pitt.

Sandecker wpatrzył się w sufit.

– Ponieważ Celtowie nie byli żeglarzami i nie dowiedziono, że podróżowali przez

Atlantyk do nowego świata, ten grzebień musiał wypaść z przepływającego statku.

– Nad Navidad Bank nie przepływają żadne statki – zauważył Pitt. – Chyba że jakiś kapitan chce rozpruć kadłub o rafy koralowe, żeby wyłudzić odszkodowanie od firmy ubezpieczeniowej. Jest tylko taka możliwość, że jakiś statek został zepchnięty na rafy przez sztorm.

Gunn utkwiał wzrok w dywanie, jakby coś mu przyszło do głowy.

– Według dokumentów ubezpieczeniowych o tamte rafy rozbił się stary parowiec „Vandalia”.

– Oglądałam jego wrak – pochwaliła się Summer i spojrzała wyczekująco na brata.

Dirk przytaknął i uśmiechnął się szeroko.

– Znaleźliśmy nie tylko amforę.

– Dirk ma na myśli grotę lub raczej komnaty wydrążone w skale, które odkryliśmy – wyjaśniła Summer. – Są teraz zarośnięte koralowcami. – Sięgnęła do torebki i wyjęła cyfrowy aparat fotograficzny. – Zrobiliśmy zdjęcia wewnątrz i wielkiego kotła z wyrzeźbionymi wojownikami. Były w nim drobne przedmioty codziennego użytku.

Sandecker popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Podwodne miasto na półkuli zachodniej sprzed czasów Olmeków, Majów i Inków? To niemożliwe.

– Nie znajdziemy odpowiedzi, dopóki dokładnie nie zbadamy tamtych grot. – Summer trzymała aparat fotograficzny tak, jakby to był drogi klejnot. – Przypominają świątynię.

Sandecker odwrócił się do Gunna.

– Rudi?

Gunn skinął głową, wziął od Summer aparat i wcisnął przycisk na ścianie. Jeden z paneli odsunął się i odsłonił duży monitor cyfrowy. Gunn połączył przewodem aparat z monitorem, sięgnął po pilota i zaczął wyświetlać zdjęcia zrobione przez Dirka i Summer w zatopionej świątyni.

Trzydzieści ujęć pokazywało łukowe wejście, schody, wewnątrz z kamiennym łóżem i wielki kocioł pełen artefaktów.

Dirk i Summer komentowali każde zdjęcie. Kiedy Gunn wyświetlił ostatnie, zapadła cisza.

Pierwszy odezwał się Pitt.

– Powinniśmy wciągnąć do współpracy St. Juliana Perlmuttera.

– St. Julien nie jest archeologiem. – Gunn przybrał sceptyczną minę.

– Fakt, ale jeśli ktokolwiek ma jakieś teorie na temat starożytnych żeglarzy podróżujących przez Atlantyk trzy tysiące lat temu, to właśnie on.

– Warto spróbować – zgodził się Sandecker.

Spojrzał na Dirka i Summer.

– Macie robotę na następne dwa tygodnie. Rozwiążcie tę zagadkę. Potraktujcie to jako

pracę wakacyjną. – Obrócił się w swoim wysokim skórzanym fotelu dyrektorskim w kierunku Pitta i Giordina. – Wracamy do brązowej zawiesiny. Na razie wiemy tylko tyle, że to nie rodzaj diatomitu ani glonów. Również nie biotoksyna związana ze zjawiskiem czerwonego przypływu. To coś niszczy życie morskie, wydostaje się na otwarty Atlantyk i dryfuje na północ ku Zatoce Meksykańskiej i Florydzie z południowym prądem równikowym. Oceanolodzy uważają, że zawiesina jest już na wodach amerykańskich. Z Key West przychodzą raporty, że z niewiadomych przyczyn obumierają gąbki.

– Przykro mi, że przepadły słoiczki z moimi próbkami wody i martwymi stworzeniami morskimi – powiedziała Summer. – Roztrzaskały się, kiedy „Pisces” runęła do kanionu.

– Nie przejmuj się. Codziennie dostajemy próbki wody i martwe okazy z pięćdziesięciu różnych miejsc na całych Karaibach.

– Czy cokolwiek wskazuje, gdzie powstaje zawiesina? – zapytał Pitt.

Gunn zdjął okulary i przetarł ściereczką szkła.

– Nie. Nasi naukowcy analizują próbki wody, dane o wiatrach i prądach morskich, zdjęcia satelitarne i meldunki statków. Przypuszczają, że zawiesina może się tworzyć gdzieś u wybrzeży Nikaragui. Ale to tylko domysły.

– A może to jakieś chemikalia spływające rzeką do morza? – zasugerował Dirk.

Sandecker obracał w palcach jedno ze swoich wielkich cygar, lecz go nie zapalał.

– Możliwe – odparł – ale musimy znaleźć trop prowadzący do źródła.

– Dzieje się coś niedobrego – powiedział Gunn. – To świństwo jest śmiertelnie niebezpieczne dla stworzeń morskich i raf koralowych. Musimy szybko zadziałać, bo inaczej sytuacja wymknie się spod kontroli. Ta zaraza rozprzestrzeni się na całe Karaiby i będziemy tam mieli jeden wielki ściek i martwą strefę.

– Nie roztaczasz przed nami zbyt przyjemnej perspektywy... – Pitt popatrzył na niego uważnie.

– Trzeba znaleźć i zlikwidować źródło – oświadczył Sandecker. – To zadanie dla ciebie i Ala. Sprawdźcie wody wzdłuż zachodniego wybrzeża Nikaragui. Dostaniecie jeden z naszych statków badawczych klasy Neptune. Nie muszę wam mówić, że to mała jednostka i wystarczy pięcioosobowa załoga. Statek ma na pokładzie najnowocześniejszy specjalistyczny sprzęt badawczy i jest najszybszy w całej flocie NUMA.

Pitt notował coś na żółtym bloczku.

– Jak „Calliope”, którą musieliśmy zniszczyć kilka lat temu na rzece Niger? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Powinienem wam to potrącić z pensji.

– Jeśli nie zrobi to panu różnicy, admirale, Al i ja wolelibyśmy tym razem nie rzucać się tak bardzo w oczy.

– I nie będziecie – odrzekł Sandecker i w końcu zapalił cygaro, nie przejmując się tym, że tylko on jeden pozwolił sobie na to. – „Poco Bonito” to moja duma i radość. Ma dwadzieścia



trzy metry długości i wygląd, który dezorientuje. Nikt nie zwróci na was uwagi, bo kadłub, pokład i sterownia przypominają szkocki trawler „Buckie”.

Pitt zawsze podziwiał fascynację Sandeckera nietypowymi i dziwnymi konstrukcjami.

– Statek do badań oceanograficznych zakamuflowany tak, że wygląda jak kuter rybacki, to coś nowego.

– Szkocki trawler będzie się wyróżniał na Karaibach jak bezdomny włóczęga na balu debiutantów – zauważył sceptycznie Giordino.

– Bez obaw – uspokoił go Sandecker. – Dzięki elektronice nadbudowa „Poco Bonito” może się automatycznie zmieniać i dopasowywać wyglądem do każdej floty rybackiej świata.

Pitt wpatrzył się w dywan i spróbował wyobrazić sobie taki statek.

– Jeśli dobrze pamiętam hiszpański ze szkoły średniej, „Poco Bonito” znaczy mały tuńczyk.

Sandecker skinął potwierdzająco głową.

– Taka nazwa wydawała mi się odpowiednia.

– Ale po co ten cały kamuflaż? – zapytał Pitt. – Nie wybieramy się w rejon działań wojennych.

Sandecker posłał mu chytre spojrzenie, które Pitt znał aż za dobrze.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy można spotkać okręt-widmo z załogą piratów-upiórów.

Pitt i Giordino popatrzyli na admirała, jakby właśnie oznajmił, że niedawno był na Marsie.

– Okręt-widmo? – powtórzył wyraźnie ironicznym tonem Pitt.

– Nie słyszałeś nigdy legendy o Zabłąkanym Piracie?

– Nie przypominam sobie.

– Pod koniec XVII wieku w Indiach Zachodnich grasował pozbawiony skrupułów pirat, Leigh Hunt. Rabował wszystkie napotkane statki – hiszpańskie, angielskie, francuskie... Był to prawdziwy olbrzym; Czarnobrody wyglądały przy nim jak wymoczek. Na Morzu Karaibskim krążyły legendy o brutalności Hunta. Marynarze na statkach handlowych, które zagarniał, popełniali samobójstwo, żeby nie wpaść w jego łapy. Ulubioną rozrywką Hunta było ciągnięcie nieszczęsnych jeńców na linach za okrętem, dopóki nie pożarły ich reki.

– Znów te opowieści starego wilka morskiego – mruknął Giordino.

– Hunt siał postrach na morzu przez piętnaście lat, dopóki nie zaatakował brytyjskiego okrętu wojennego, który sprytnie zamaskowano, nadając mu wygląd bezbronnego statku handlowego – Sandecker mówił dalej, jakby tego komentarza nie usłyszał. – Wciągnął na maszt swoją piracką flagę, trupa czaszkę na czarnym tle z krwią ciekącą z oczodołów i spomiędzy zębów, i strzelił Brytyjczykom przed dziób. Kiedy zrównał się z nimi, unieśli klapy furt armatnich i dali ognia z całej burty do jego okrętu o nazwie „Scourge”. Po zacieklej walce piraci zostali pokonani. Kompania brytyjskiej piechoty morskiej wdarła się na ich okręt i szybko rozprawiła się z nimi.

– A Hunt przeżył? – zapytała Summer.

– Na swoje nieszczęście, tak.

Dirk przesunął palcami po zniszczonym blacie biurka Sandeckera.

– Brytyjczycy potraktowali go odpowiednio i pociągnęli na linie za swoim okrętem? – zapytał.

– Nie – odparł Sandecker. – Ich kapitan pragnął zemsty, bo dwa lata wcześniej Hunt zabił jego brata. Kazał odrąbać Huntowi stopy. Potem załoga powiesiła pirata na linie i opuściła za burtę tak nisko, że jego krwawe kikuty dyndały tuż nad wodą. Rekiły poczuły krew i zaczęły wyskakiwać do góry z rozwartymi szczękami, aż w końcu z liny zwisały tylko ręce i ramiona Hunta.

Summer skrzywiła się ze wstrętem.

– To obrzydliwe.

– Według mnie dostał to, na co zasłużył – zaproponował Dirk.

– Niech pan mnie oświeci, admirale. Co tamten pirat ma wspólnego z czymkolwiek? – odezwał się Giordino, walcząc z ogarniającą go sennością.

Sandecker uśmiechnął się krzywo.

– Podobnie jak Latający Holender, Leigh Hunt i jego załoga krwiożerczych piratów nadal krążą po wodach, na których będziecie działać.

– Ale numer.

– Od trzech lat giną tam statki, jachty i kutry rybackie. Niektóre zdążyły nadać przez radio, że atakuje je upiorny żaglowiec piracki, zanim zniknęły bez śladu.

Pitt spojrział na Sandeckera.

– Pan chyba żartuje.

– Nie – odparł stanowczo admirał. – Jeśli nie wierzycie, przyślę wam raporty.

– Niech pan nie zapomni o drewnianych kołkach i srebrnych pociskach – powiedział kwaśno Giordino.

Pitt w zamyśleniu popatrzył przez okno na rzekę Potomac płynącą daleko w dole.

– Okręt-widmo z załogą kościotrupów żeglujący przez morze brązowej zawiesiny – podsumował. Potem z rezygnacją wzruszył ramionami. – Widok do zapamiętania na całe życie.

Pitt postanowił zawieźć wszystkich do restauracji starym, eleganckim marmonem. Wieczór był ciepły, więc trzej mężczyźni siedzieli obok siebie na odkrytych przednich siedzeniach. Kobiety jechały z tyłu, żeby wiatr nie potargał im włosów. Mężczyźni mieli na sobie lekkie marynarki sportowe i luźne spodnie, kobiety włożyły letnie sukienki.

Giordino zabrał swoją ostatnią przyjaciółkę, Micky Levy. Pracowała w firmie górniczej z siedzibą w Waszyngtonie. Miała delikatne rysy twarzy, ciemną cerę i duże piwne oczy. Długie czarne włosy zaplotła w warkoczyki i upięła w koronę. Za lewe ucho wsunęła małą różę chińską. Mówiła cichym głosem z lekkim izraelskim akcentem.

– Co za wspaniały samochód – zachwyciła się, kiedy Giordino skończył przedstawiać jej towarzystwo i otworzył tylne drzwi. Usiadła obok Summer.

– Będziesz musiała jakoś wytrzymać z moim przyjacielem – zadrwił Giordino. – Nie potrafi się nigdzie ruszyć bez pompacyjnej oprawy.

– Przepraszam za brak trąbek i bębnow – odparował Pitt. – Moja orkiestra ma dziś wolne.

Dla ochrony przed wiatrem kobiety podniosły szybę oddzielającą tylne siedzenie od przedniego i gawędziły o tym i owym w drodze do restauracji. Loren i Summer dowiedziały się, że Micky pochodzi z Jerozolimy i ukończyła Wyższą Szkołę Górniczą w Kolorado.

– Więc jesteś geologiem – powiedziała Summer.

– Geologiem strukturalnym – uściśliła Micky. – Specjalizuję się w wykonywaniu analiz dla inżynierów planujących roboty kopalniane. Badam przenikanie wody do głębszych warstw ziemi i uprzedzam ich o ewentualnym niebezpieczeństwie zalania drażnionych tuneli.

– To chyba nudne? – zauważyła uprzejmie Loren. – W college’u zapisałam się na kurs geologii, żeby zdobyć wiedzę wymaganą do zrobienia dyplomu z ekonomii społecznej. Myślałam, że to będzie ciekawe. Myliłam się. Geologia jest mniej więcej tak fascynująca jak księgowość.

Micky roześmiała się.

- Na szczęście praca w terenie nie jest taka nudna.
  - Czy tata powiedział, dokąd nas zabiera na kolację? – zapytała Summer.
- Loren pokręciła przecząco głową.
- Mnie nic nie mówił.

Dwadzieścia pięć minut później Pitt skręcił na parking przed restauracją L'Auberge Chez Francois w Great Falls w Wirginii. Alzacka architektura i wystrój wewnątrz stwarzały ciepłą atmosferę. Weszli frontowymi drzwiami i członek rodziny, do której należała restauracja, sprawdził nazwisko Pitta na liście rezerwacji. Potem zaprowadził ich do stolika na sześć osób w małej niszy.

Pitt zauważył starych przyjaciół, Clyde'a Smitha i jego uroczą żonę, Paulę. Pogawędził z nimi chwilę. Clyde pracował w NUMA niemal tak długo jak Pitt, ale w dziale finansowym. Kiedy już wszyscy usiedli, podszedł kelner i zaproponował dania specjalne wieczoru. Pitt zrezygnował z koktajli i od razu zamówił doskonale wino Sparr Pinot Noir. Potem poprosił o półmisek dziczyzny na przystawki: sarninę, mięso antylopy, pierś bażanta, królika i przepiórki z grzybami i kasztanami.

Kiedy delektowali się winem i przystawkami, Loren relacjonowała im, o czym się ostatnio mówi w waszyngtońskich kręgach politycznych. Wszyscy słuchali z uwagą członkini Kongresu. Potem Dirk i Summer opowiedzieli o odkryciu antycznej świątyni i artefaktów, a następnie o swojej niebezpiecznej przygodzie na Navidad Bank podczas huraganu. Pitt przerwał na moment tę opowieść, by im powiedzieć, że dzwonił do St. Julienna Perlmuttera i uprzedził go, że jego syn i córka wybierają się do niego, by skorzystać z jego rozległej wiedzy o morzu i statkach.

Wybór dań głównych zadowoliłby każdego miłośnika kuchni francuskiej. Pitt zamówił cynaderki z grzybami w sosie z sherry i musztardy. W menu znajdowały się również mózdzki i ozorki cielęce, ale panie nie miały na nie ochoty. Giordino i Micky wzięli żeberka jagnięce. Dirk i Summer zdecydowali się na *choucroute garni*, duży półmisek kapusty kiszzonej z kiełbaskami, bażantem, kaczką i gołębiem, specjalność szefa kuchni. Loren zadowolona się *petite choucroute* z kapusty kiszzonej, wędzonego pstrąga, łososia, żabnicy i krewetek.

Przy dużym deserze i porto wszyscy oznajmili, że nazajutrz będą na diecie. Kiedy odpoczywali po obfitym posiłku, Summer zapytała Micky, w jakich częściach świata prowadzi badania geologiczne. Micky opisała ogromne groty w Brazylii i Meksyku i trudności, jakie często się wiążą z penetracją najgłębszych ich poziomów.

- Znalazłaś kiedyś złoto? – zażartowała Summer.
- Tylko raz – odrzekła Micky. – Odkryłam śladowe jego ilości w podziemnej rzece między pustynią a Zatoką Kalifornijską.

Kiedy tylko wspomniała o tej rzece, Pitt, Giordino i Loren wybuchnęli śmiechem. Micky była bardzo zaskoczona, słuchając opowieści o odkryciu przez Pitta i Giordina tej samej rzeki

i uratowaniu Loren przed gangiem złodziei artefaktów w czasie realizacji projektu „Złoto Inków”. Historia ta zrobiła na niej duże wrażenie.

– Rio Pitt – powiedziała. – Powinam była się domyślić. – Po czym podjęła relację o swoich podróżach po świecie. – Jedną z najbardziej fascynujących przygód było badanie poziomów wody w wapiennych grotach w Nikaragui.

– Wiedziałam, że w Nikaragui są jaskinie z nietoperzami – wtrąciła Summer – ale nic nie słyszałam o wapiennych grotach.

– Odkryto je dziesięć lat temu. Są dość rozległe. Niektóre ciągną się kilometrami. Firma, która zleciła mi badania, miała w planie zbudowanie suchego kanału między oceanami.

– Suchy kanał przecinający Nikaraguę? – zainteresowała się Loren. – To coś nowego.

– Inżynierowie nazywali go właściwie podziemnym mostem.

– Kanał, który biegnie pod ziemią? – zapytała sceptycznym tonem Loren. – Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Zamierzano zbudować od strony Morza Karaibskiego i Pacyfiku głębokowodne porty kontenerowe i utworzyć strefę wolnego handlu. Połączyłaby je superszybka kolej podziemna kursująca tunelami o dużej średnicy pod górami i jeziorem Nikaragua. Pociągi jeździłyby z prędkością do pięciuset sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Dobry pomysł – przyznał Pitt. – To mogłoby znacznie zmniejszyć koszty transportu morskiego.

– Pozwoliłoby zaoszczędzić kupę dolców – zgodził się Giordino.

– Budżet oszacowano na siedem miliardów dolarów. – Micky skinęła potwierdzająco głową.

– Dziwne, że Departament Transportu nie podawał żadnych informacji o takiej ogromnej inwestycji. – Loren wciąż miała sceptyczną minę.

– Ani media – dodał Dirk.

– To dlatego że nic z tego nie wyszło – odrzekła Micky. – Powiedziano mi, że firma budowlana wycofała się. Nie wiem dlaczego. Podpisałam poufną umowę, że nikomu nawet nie wspomnę o mojej pracy dla nich i nie zdradzę żadnych szczegółów projektu, ale to było cztery lata temu. Pomysł najwyraźniej upadł, więc nie widziałam powodu, żeby nadal przestrzegać tamtej umowy i nie opowiedzieć tej historii moim przyjaciołom przy wspólniej kolacji.

– Fascynująca sprawa – przyznała Loren. – Ciekawe, kto miał to wszystko sfinansować? Micky pociągnęła łyk porto.

– O ile dobrze zrozumiałam, część pieniędzy mieli wyłożyć Chińczycy. Dużo inwestują w Ameryce Środkowej. Gdyby ukończono tę podziemną sieć transportową, staliby się zagraniczną potęgą ekonomiczną w Ameryce Północnej i Ameryce Południowej.

Pitt i Loren spojrzeli po sobie. Zaczynali rozumieć.

– Jak nazywała się firma budowlana, która cię wtedy wynajęła? – zapytała Loren.

– Odyssey – odrzekła Micky.

Pitt ścisnął pod stołem kolano Loren.

– Nazwa wydaje mi się znajoma.

– Co za zbieg okoliczności – powiedziała Loren. – Zaledwie kilka godzin temu Dirk i ja rozmawialiśmy o Odyssey.

– Dziwna nazwa dla firmy budowlanej – zauważyła Summer.

Loren uśmiechnęła się lekko.

– Zagadka otoczona labiryntem tajemniczych interesów – sparafrazowała Winstona Churchilla. – Założyciel i prezes korporacji, który nazywa siebie Specterem, jest tak niedostępny jak formuła podróży w czasie.

– Ciekawe, dlaczego zrezygnował z tego projektu? Zabrakło mu pieniędzy? – powiedział Dirk.

– Na pewno nie – odparła Loren. – Brytyjscy dziennikarze ekonomiczni oceniają jego osobisty majątek na ponad pięćdziesiąt miliardów dolarów.

– Zastanawiające – mruknął Pitt – dlaczego nie ukończył tych tuneli. Jest o co walczyć.

– A skąd wiecie, że sobie odpuścił? Może potajemnie ryje w ziemi pod Nikaraguą, kiedy mu tu popijamy porto?

– Niemożliwe – zaprzeczyła kategorycznie Loren. – Satelity wykryłyby to. Nikt nie byłby w stanie prowadzić robót podziemnych na taką skalę i utrzymywać tego w tajemnicy.

Giordino wpatrzył się w swój pusty kieliszek.

– To byłaby sprytna sztuczka, gdyby potrafił ukryć miliony ton wykopanej ziemi i kamieni.

– Mogłabyś zdobyć dla mnie mapę rejonu, gdzie miały się zaczynać i kończyć tunele? – Pitt spojrzał na Micky.

– Bardzo chętnie – odrzekła. – Rozbudziliście moją ciekawość. Podaj mi numer twojego faksu, to prześlę ci te plany.

– Co ty kombinujesz, tato? – zapytał Dirk.

Pitt uśmiechnął się chytrze.

– Al i ja za kilka dni będziemy u wybrzeży Nikaragui. Moglibyśmy tam wpaść i zbadać teren.

Dirk i Summer pojechali do domu St. Julienu Perlmuttera w Georgetown odkrytym hot rodem Dirka. Meteor z 1952 roku został zbudowany na zamówienie w Kalifornii. Miał karoserię z włókna szklanego, silnik V-8 DeSoto FireDome o mocy podwyższonej z fabrycznych stu sześćdziesięciu koni mechanicznych do dwustu siedemdziesięciu i amerykańskie barwy wyścigowe – przez środek białej karoserii biegł niebieski pas. Samochód właściwie nigdy nie miał dachu. Kiedy padało, Dirk po prostu wyciągał spod siedzenia plastikową płachtę z dziurą na głowę i rozpościarał ją nad kabiną kierowcy.

Skręcił z jezdni malowniczej ulicy obsadzonej drzewami na podjazd wokół wielkiej, starej, dwupiętrowej rezydencji z ośmioszczytowym dachem. Okrążył ją i zaparkował przed dawną wozownią i stajnią. W dużym budynku trzymano niegdyś dziesięć koni i pięć powozów, na górze znajdowały się pokoje dla stangretów i stajennych. St. Julien Perlmutter kupił wozownię czterdzieści lat temu i przerobił wnętrze na domowe archiwum z kilometrami półek wypełnionych po brzegi książkami, dokumentami i prywatnymi papierami. Wszystkie dotyczyły historii niemal trzystu tysięcy statków i wraków. Perlmutter, łasuch i *bonvivant*, przechowywał w szafie chłodniczej przysmaki z całego świata i miał w piwnicy cztery tysiące butelek wina.

Przy wejściu nie było dzwonka, na drzwiach wisiała duża kołatka w kształcie kotwicy. Summer zastukała trzy razy. Po pełnych trzech minutach drzwi się otworzyły i stanął w nich rośły, prawie dwumetrowy mężczyzna. Perlmutter ważył ponad sto osiemdziesiąt kilogramów, ale nie był otyły – był po prostu potężny.

Gdyby nie był tak ogromny ze swoją okrągłą, rumianą twarzą, siwymi, zmierzwionymi włosami, brodą, podkręconymi wąsami, czerwonym nosem i niebieskimi oczyma, zapewne przypominałby dzieciom Świętego Mikołaja. Miał na sobie jedwabny, purpurowo-złocisty szlafrok. Wokół jego stóp biegał malutki jamnik i zajadle czekał na gości.

– Summer! – wykrzyknął Perlmutter. – Dirk! – Objął rodzeństwo, zgniółł w

niedźwiedzim uścisku i uniósł do góry. Summer złękła się, że pękną jej żebra, Dirk ledwo łapał oddech. Perlmutter nie zdawał sobie sprawy ze swojej siły. Ku ich wielkiej uldze, postawił oboje na ganku i zaprosił gestem do środka. – Wchodźcie, wchodźcie. Nie macie pojęcia, jak się cieszę. Fritz! – przywołał do porządku szczeniaczka. – Jak nie przestaniesz ujadać, zmniejszę porcję twojego smakowitego psiego żarcia.

Summer rozmasowała żebra.

– Mam nadzieję, że tata uprzedził cię o naszej wizycie?

– Tak, tak – zapewnił wesoło Perlmutter. – Co za radość... – Urwał i jego oczy nagle zwilgotniały. – Kiedy patrzę na Dirka, widzę waszego ojca, kiedy był w waszym wieku, nawet trochę młodszy. Przychodził tu i buszował w mojej bibliotece... Zupełnie, jakby czas się zatrzymał.

Dirk i Summer bywali czasem u Perlmuttera z ojcem. Ogromne archiwum zawsze robiło na nich wielkie wrażenie. Książki były tu wszędzie – półki ugięły się pod ich ciężarem, całe ich stopy leżały w korytarzach, pokojach, nawet w łazienkach. Kolekcję uważano za największy zbiór historycznej literatury marynistycznej na świecie. Słynne biblioteki i archiwa czekały w kolejce, gotowe zapłacić każdą sumę, gdyby Perlmutter zdecydował się sprzedać swoje materiały.

Summer zdumiewała jego niewiarygodna pamięć. Wydawałoby się, że taka masa danych powinna być skatalogowana w komputerze. Ale Perlmutter twierdził, że nie potrafi myśleć abstrakcyjnie i nigdy nie kupił terminalu. O dziwo, zawsze wiedział, gdzie leży każda książka, chwalił się, że może znaleźć dowolny tytuł w ciągu sześćdziesięciu sekund.

Wprowadził rodzeństwo do pięknej jadalni z boazerią z drewna sandałowego, jedyne tutaj pokoju bez książek.

– Siadajcie, siadajcie – zagrzmiął i wskazał okrągły stół. Gruby blat został wycięty z płetwy steru słynnego okrętu-widma, „Mary Celeste”, którego szczątki znaleziono u wybrzeża Haiti. – Przyrządziłem lekki lunch według własnego pomysłu: smażone krewetki z guawą. Popijemy to Martin Ray Chardonnay.

Jamnik Fritz siedział obok stołu i zamiatał ogonkiem podłogę. Perlmutter schylał się co kilka minut i dawał mu kawałek krewetki. Piesek połykał kęsy bez przeżuwania.

Po pewnym czasie Dirk poklepał się po płaskim brzuchu.

– Krewetki były tak pyszne, że chyba obżarłem się jak świnia – oznajmił.

– Nie tylko ty – jęknęła cicho Summer.

– Więc w czym mogę wam pomóc, dzieciaki? – zapytał Perlmutter. – Wasz tata mówił, że znaleźliście jakieś celtyckie artefakty.

Summer otworzyła neseser i wyjęła zdjęcia antycznych przedmiotów i wnętrz. Dołączyła do nich raport, który napisali wspólnie podczas lotu do Waszyngtonu.

– To mniej więcej podsumowuje nasze odkrycia. Są tu również wnioski Hirama Yaegera dotyczące amfory i grzebienia.



Perlmutter dolał sobie wina, zsunął na nos okulary i zaczął czytać.

– Czestujcie się krewetkami – powiedział. – Jest ich mnóstwo.

– Chyba więcej nie zmieścimy – mruknął Dirk, trzymając się za brzuch.

Perlmutter czytał, milcząc i skubiąc brodę. Od czasu do czasu przerywał lekturę i spoglądał w zamyśleniu w sufit, potem wracał do raportu. W końcu odłożył go na stół i popatrzył na dwoje gości.

– Zdajecie sobie sprawę ze znaczenia tego, coście znaleźli?

Summer wzruszyła mimo woli ramionami.

– Sądzymy, że nasze odkrycie archeologiczne ma pewną wartość.

– Pewną wartość? – powtórzył jak papuga Perlmutter z nutą sarkazmu w głosie. – Jeśli te artefakty to oryginały, można wyrzucić do kosza tysiąc uznanych teorii naukowych.

– O rany! – powiedziała Summer i spojrzała na brata, który z trudem hamował śmiech. – Jest aż tak źle?

– To zależy od punktu widzenia – odparł Perlmutter między łykami wina. Jak na kogoś, kto właśnie dowiedział się o epokowym odkryciu, zachowywał się zadziwiająco spokojnie. – Bardzo mało wiadomo o kulturze celtyckiej z okresu V wieku przed naszą erą. Pierwsze źródła pisane pochodzą dopiero z epoki średniowiecza. Wiemy tylko tyle, że Celtowie zamieszkiwali pierwotnie tereny wokół Morza Kaspijskiego i mniej więcej dwa tysiące lat przed naszą erą zaczęła się ich migracja z Europy Wschodniej. Niektórzy historycy uważają, że Celtowie i Hindusi mieli wspólnych przodków, bo ich języki były podobne.

– Gdzie się osiedlali? – zapytał Dirk.

– Najpierw na północy Włoch i w Szwajcarii, potem we Francji, w Niemczech, Anglii i Irlandii, wreszcie w Danii, a na południu w Hiszpanii i Grecji. Archeolodzy znaleźli ich artefakty nawet w Maroku. W pomocnych Chinach odkryto dobrze zachowane mumie ludzi z kultury nazywanej Urumczy. Zmarli najprawdopodobniej byli Celtami, bo mieli kaukaskie rysy i cerę, blond i rude włosy oraz stroje tkane w kratę.

Dirk odchylił się do tyłu, tak że uniosły się przednie nogi krzesła.

– Czytałem o Urumczy. Ale nie miałem pojęcia, że Celtowie dotarli do Grecji. Zawsze myślałem, że Grecy byli tubylcami.

– Część z nich pochodziła z tamtego regionu, ale powszechnie uważa się, że większość przybyła z Europy Środkowej. – Perlmutter przyjął wygodniejszą pozycję i mówił dalej. – Celtowie opanowali w końcu tereny niemal tak rozległe, jak Cesarstwo Rzymskie. Wypierali ludzi z epoki neolitu, którzy budowali w Europie monumenty megalityczne w rodzaju Stonehenge. Kontynuowali tradycje druidów i byli wyznawcami mistycyzmu. Nawiasem mówiąc, słowo „druid” oznacza kogoś bardzo mądrego.

– Dziwne, że przez tyle wieków dowiedziano się o nich tak mało – powiedziała Summer.

Perlmutter przytaknął skinieniem głowy.

– W przeciwieństwie do Egipcjan, Greków i Rzymian, nigdy nie zbudowali imperium ani

nie osiągnęli jedności narodowej. Ich plemiona tworzyły luźną konfederację i często walczyły ze sobą, ale występowały razem przeciwko wspólnemu wrogowi. Po piętnastu wiekach ich wsie zastąpiły w końcu pobudowane na wzgórzach, otoczone wałami ziemnymi i drewnianymi palisadami, twierdze, które dały początek dużym społecznościom lokalnym. Na ruinach celtyckich fortec powstało wiele współczesnych miast, na przykład Zurych, Paryż, Monachium czy Kopenhaga. Połowa miast w całej Europie stoi na terenach dawnych wsi celtyckich.

– Trudno uwierzyć, że lud, który nie budował pałaców i cytadel, stworzył dominującą kulturę Europy Zachodniej.

– Celtowie zajmowali się głównie pasterstwem. Najważniejsza była dla nich hodowla bydła i owiec. Trudnili się rolnictwem, ale mieli małe plony. Uprawiali ziemię tylko po to, żeby wyżywić rodziny. Nie byli koczownikami i żyli podobnie jak Indianie amerykańscy. Często napadali na sąsiednie wioski, żeby zdobyć bydło i kobiety. Dopiero w III wieku przed naszą erą zaczęli siał zboża, żeby mieć paszę dla swoich zwierząt podczas srogich zim. Ci, którzy mieszkali na wybrzeżach, stali się kupcami. Handlowali bronią z brązu i sprzedawali innym ludom drogocenną cynę do wytwarzania metalu. Większość złota do wyrobu ozdób dla wodzów plemion i wyższej kasty pochodziła z importu.

– Dziwne, że w takim stopniu pozbawiona dynamizmu kultura rozprzestrzeniła się na tak wielkim terytorium – zauważył Dirk.

– Nie można powiedzieć, że kulturze Celtów zupełnie brakowało dynamiki rozwoju – odparł Perlmutter. – Otworzyli drogę do epoki brązu. Wynaleźli stop metalu z miedzi i cyny, którą wydobywali z dużych złóż w Anglii. Potem zaczęli wytapiać żelazo i to im zawdzięczamy przejście do epoki żelaza. Doskonale jeździli konno i rozpowszechnili w Europie znajomość koła. Budowali rydwany bojowe i jako pierwsi używali czterokołowych wozów i metalowych narzędzi rolniczych. To oni wymyślili znane dziś obcęgi i szczypce. Pierwsi podkuwali konie podkowami z brązu i zakładali na koła rydwanów i wozów metalowe obręcze. Nauczyli starożytny świat używania mydła. Ich wyroby metalowe nie miały sobie równych. Po mistrzowsku ozdabiali złotem klejnoty, hełmy, miecze i topory. Wytwarzali doskonale garnki, interesującą ceramikę i opanowali sztukę produkcji szkła. Nauczyli również Greków i Rzymian sztuki emaliowania. Zajmowali się poezją i muzyką. Ich poeci cieszyli się większym szacunkiem niż kapłani. A celtycki pomysł, żeby doba rozpoczynała się o pomocy, przetrwał do dziś.

– Dlaczego ich kultura upadła? – zapytała Summer.

– Głównym powodem były najazdy Rzymian, którzy nazwali ich Galami. Świat Celtów zaczął ginać, gdy w Europie zaczęły się rozprzestrzeniać inne ludy, takie jak Germanie, Goci i Sasi. W pewnym sensie największymi wrogami Celtów stali się oni sami. Byli szalonymi, porywczymi, nieposkromionymi i kompletnie niezdyscyplinowanymi ludźmi. Kochali przygody i wolność osobistą. To przyspieszyło ich koniec. Zanim upadło Cesarstwo

Rzymskie, zostali zepchnięci za Morze Północne do Anglii i Irlandii, gdzie jeszcze dziś czuje się ich dawną obecność.

– Jak wyglądali... i jak traktowali swoje kobiety? – spytała Summer z figlarnym uśmiechem.

Perlmutter westchnął.

– Czekałem, aż o to zapytasz. – Rozlał resztkę wina do kieliszków. – Celtowie byli twardymi facetami o jasnej cerze i głębokim, szorstkim głosie, hałaśliwymi i niesfornymi. Jeśli chodzi o kobiety, będziesz zadowolona. W społeczeństwie celtyckim stawiano je na piedestale. Mogły dziedziczyć majątki i wychodzić za mąż, za kogo chciały. I, w przeciwieństwie do kobiet w większości późniejszych kultur, miały prawo domagać się odszkodowania, jeśli były molestowane. Według opisów, dorównywały wzrostem mężczyznom i walczyły razem z nimi w bitwach. – Perlmutter wyszczerzył zęby. – Taka armia złożona z celtyckich mężczyzn i kobiet to dopiero musiał być widok.

– Dlaczego? – Summer dała się złapać w pułapkę.

– Bo często szli do boju nago.

Summer nie była wcale przesadnie skromna, więc się nie zaczerwieniła, ale przewróciła oczami i utkwiała wzrok w podłódze.

– Wracajmy do celtyckich artefaktów, które znaleźliśmy na Navidad Bank – powiedział poważnym tonem Dirk. – Jeśli nie wypadły ze statku trzy tysiące lat później, to znaczy w czasach współczesnych, to skąd się tam wzięły?

– I co z podwodnymi pomieszczeniami wydrążonymi w skale? – dodała Summer.

– Jesteście pewni, że są wydrążone, a nie zbudowane z kamieni? – zapytał Perlmutter.

Dirk spojrzał na siostrę.

– To chyba możliwe. Narośl mogła zasłonić szczeliny między kamiennymi blokami.

– Celtowie nie drążyli pomieszczeń w skałach i rzadko wznosili kamienne budowle – powiedział Perlmutter. – Ale możliwe, że nie było tam drzew do ścięcia na budulec, kiedy Navidad Bank wystawała ponad powierzchnię morza. Palmy tropikalne, na przykład, nie nadają się do budowy domów, bo mają wykrzywione i włókniste pnie.

– Ale jak przepłynęli sześć tysięcy mil morskich oceanu w XI wieku przed naszą erą?

– Dobre pytanie – przyznał Perlmutter. – Ci, którzy mieszkali na wybrzeżach Atlantyku, byli żeglarzami. Nazywano ich często ludźmi wiosł. Wiadomo że docierali na Morze Śródziemne z portów na Morzu Północnym. Ale żadne legendy nie mówią o Celtach przemierzających Atlantyck. Dokonał tego może tylko Święty Brendan, irlandzki mnich. Wielu uważa, że po swoim siedmioletnim rejsie dopłynął do wschodniego wybrzeża Ameryki.

– Kiedy to było? – zapytał Dirk.

– Między rokiem 520 a 530 naszej ery.

– Tysiąc pięćset lat za późno, jak na nasze potrzeby – zauważyła Summer.

Dirk schylił się i pogłaskał Fritza. Piesek, który od dłuższej chwili leżał rozciągnięty na podłodze, natychmiast usiadł i polizał jego rękę.

– Wygląda na to, że każdy nasz strzał jest chybiony.

– I co dalej? – Summer spojrzała w dół i wygładziła sukienkę.

– Pierwszą pozycją na waszej liście zagadek do rozwiązania powinno być ustalenie, czy trzy tysiące lat temu Navidad Bank wystawała ponad powierzchnię morza – doradził Perlmutter.

– Mogliby nam pomóc geomorfolodzy – powiedziała Summer.

Perlmutter wpatrzył się w model słynnego okrętu podwodnego Konfederatów „Hunley”.

– Zaczniście od Hirama Yaegera i jego komputerowej magii. Ma największy na świecie zbiór danych naukowych o morzach. Jeśli ktoś kiedykolwiek prowadził badania geologiczne Navidad Bank, Yaeger będzie miał odpowiedni protokół – powiedział.

– A jeśli prowadzili je naukowcy niemieccy albo rosyjscy?

– Będzie to miał po angielsku. Możecie być pewni.

– Zaraz po powrocie do centrali NUMA wpadniemy do Hirama i poprosimy, żeby zajrzał do swojego archiwum. – Dirk wstał i zaczął spacerować po pokoju.

– A co potem? – Summer uśmiechnęła się.

– Pójdziemy do admirała Sandeckera. Jeśli mamy rozwiązać naszą zagadkę, musimy go przekonać, żeby dał nam statek badawczy z załogą i sprzętem niezbędnym do dokładnego spenetrowania zatopionej świątyni i wydobycia artefaktów.

– Chcesz tam wrócić?

– A jest inne wyjście?

– Chyba nie – powiedziała Summer. Z jakiegoś nieznanego jej samej powodu poczuła nagle lęk. – Ale wątpię, żebym mogła się zmusić do spojrzenia raz jeszcze na „Pisces”.

– O ile znam Sandeckera – wtrącił się Perlmutter – żeby zmniejszyć koszty, połączy waszą ekspedycję z jakimś innym projektem.

– To prawdopodobne – przyznał Dirk, po czym odwrócił się do siostry. – Idziemy? Zabraliśmy St. Julienowi wystarczająco dużo czasu.

Summer ostrożnie objęła Perlmuttera.

– Dzięki za wspaniały lunch.

– Stary kawaler zawsze cieszy się z towarzystwa pięknej młodej kobiety.

Dirk uściskał mu dłoń.

– Dzięki i do zobaczenia.

– Pozdrówcie tatę i powiedzcie mu, żeby do mnie wpadł.

– Jasne.

Po wyjściu rodzeństwa Perlmutter długo siedział pogrążony w zadumie. Ocknął się na dźwięk telefonu. Dzwonił Pitt.

– Twoje dzieci właśnie wyszły, Dirk.

- Skierowałeś je we właściwym kierunku? – zapytał Pitt.
- Pobudziłem trochę ich apetyt. Niewiele mogłem im pomóc. Mało wiadomo o żeglujących Celtach.
- Mam pytanie.
- Mów.
- Słyszałeś kiedykolwiek o piracie nazwiskiem Hunt?
- Tak. Grasował pod koniec XVI wieku i nie cieszył się dobrą sławą. Dlaczego pytasz?
- Podobno jest potępionym duchem krążącym po morzach świata, znanym jako Zabłąkany Pirat.
- Czytałem raporty. – Perlmutter westchnął. – Drugi Latający Holender. Choć załogi kilku statków i łodzi meldowały przez radio, że widziały jego okręt znikający bez śladu.
- Więc na wodach nikaraguańskich lepiej uważać?
- Chyba tak. Dlaczego się tym interesujesz?
- Z ciekawości.
- Mogę ci dać wszystko, co mam o Huncie.
- Byłbym wdzięczny, gdybyś przysłał to przez kuriera do mojego hangaru. Rano mam samolot.
- Już wysyłam.
- Dzięki, St. Julien.
- Za dwa tygodnie organizuję małe spotkanie towarzyskie. Zdążysz wrócić?
- Nie przepuszczam żadnego z twoich bajecznych przyjęć.

Perlmutter odłożył słuchawkę, zebrał dokumenty o Huncie i zadzwonił do firmy kurierskiej. Potem poszedł do sypialni, stanął przed szafą zapchaną książkami. Wyjął jedną z półki, poczłapał do gabinetu i ułożył swoje wielkie ciało w pozycji pólężącej na skórzanej kozetce lekarskiej Recamier, wyprodukowanej w Filadelfii w roku 1840. Fritz wskoczył mu na brzuch, położył się i wpatrzył w pana smutnymi, brązowymi oczkami.

Perlmutter otworzył książkę Imana Wilkensa *Gdzie kiedyś stała Troja* i zaczął czytać. Po godzinie skończył i spojrzął na Fritza.

- Czy to możliwe? – mruknął do pieska. – Czy to możliwe?
- Potem poddał się działaniu wypitego chardonnay i zasnął.

Następnego dnia Pitt i Giordino odlecieli do Managui odrzutowcem citation należącym do NUMA. W stolicy Nikaragui przesiedli się do rejsowego turbośmigłowca Cassa 212 produkcji hiszpańskiej. Po godzinie i dziesięciu minutach lotu nad górami i nizinami znaleźli się nad Morzem Karaibskim i Wybrzeżem Moskitów. Prędzej wprawdzie dotarliby tu odrzutowcem NUMA, ale Sandecker uważał, że będzie lepiej, jeśli przylecą na miejsce jak zwykli turyści i znikną w tłumie.

Zachodzące słońce złociło swym blaskiem wierzchołki gór, dopóki jego promieni nie pochłonęły cienie na wschodnich zboczach. Pitt nie umiał sobie wyobrazić, jak można zbudować kanał na tak trudnym terenie, a jednak zawsze uważano, że Nikaragua byłaby lepszym miejscem dla międzyoceanicznej drogi wodnej niż Panama. Miała zdrowszy klimat, kanał dałoby się tutaj łatwiej wykopać i przebiegałby on prawie pięćset kilometrów bliżej Stanów Zjednoczonych; niemal tysiąc kilometrów, gdyby liczyć odległość do przeprawy panamskiej i z powrotem.

Przed nadejściem kolejnego stulecia – jak w zbyt wielu momentach zwrotnych historii – przeważały względy polityczne i podjęto złą decyzję. Potężne lobby panamskie starało się przeforsować swoją sprawę i doprowadzić do zerwania stosunków między Nikaraguą i Stanami Zjednoczonymi. Przez pewien czas żadna ze stron nie miała przewagi. Ale kiedy Teddy Roosevelt prowadził swoje zakulisowe działania, chcąc wytargować od Panamczyków jak najwięcej, szala przechyliła się na stronę Nikaragui. Wtedy nastąpiła erupcja wulkanu Pelee na karaibskiej wyspie Martynika. Zginęło ponad trzydzieści tysięcy osób. Nikaraguańczycy nie mogli wybrać gorszego momentu na wypuszczenie serii znaczków pocztowych reklamujących ich ojczyznę jako kraj wulkanów. Na jednym z nich pokazano pociąg i nabrzeże portowe na tle erupeji. To przesądziło sprawę. Senat Stanów Zjednoczonych przegłosował budowę kanału w Panamie.

Pitt zaczął studiować raport o Wybrzeżu Moskitów wkrótce po tym, jak wystartowali z

Waszyngtonu. Nikaraguańską nizinę nad Morzem Karaibskim oddzielały od bardziej zaludnionej zachodniej części kraju poszarpane góry i gęste tropikalne lasy deszczowe. Region nigdy nie stanowił części imperium hiszpańskiego, ale do roku 1905 były tu silne wpływy brytyjskie. Potem całe wybrzeże znalazło się pod jurysdykcją rządu nikaraguańskiego.

Punktem docelowym Pitta było Bluefields, główny nikaraguański port karaibski. Miasto zawdzięczało tę nazwę holenderskiemu piratowi o złej sławie, który zwykle ukrywał swój okręt w pobliskiej lagunie. W rejonie mieszkali głównie Indianie Miskito. Ich przodkowie pochodzili z Ameryki Środkowej, Europy i Afryki. Drugą grupę stanowili czarni potomkowie niewolników z czasów kolonialnych, trzecią Metysi – półkrwi Indianie, półkrwi Hiszpanie.

Tutejsza gospodarka opierała się na rybołówstwie. Łowiono głównie krewetki, homary i żółwie. Wielka przetwórnia w mieście pracowała na eksport, w rozległym porcie obsługiwano, tankowano i zaopatrywano we wszelkiego rodzaju produkty międzynarodowe flotyle rybackie.

Kiedy Pitt podniósł wzrok znad raportu, niebo było czarne jak smoła. Odgłos śmigieł i silników obudził w nim nostalgię. Twarz, którą codziennie rano widział w lustrze, już nie miała gładkiej cery bez głębokich bruzd, jak dwadzieścia pięć lat temu. Czas, przeżyte przygody i zmaganie z żywiołami zrobiły swoje.

Patrzył w ciemną pustkę za szybą i pobiegł myślą w przeszłość, ku temu dniu, gdy to wszystko się zaczęło. Leżał w słońcu na odludnej piaszczystej plaży w Kaena Point na hawajskiej wyspie Oahu. Przyglądał się beczynnemu morzu za falami przyboju i naraz spostrzegł unoszący się na jego powierzchni żółty cylinder. Przepłynął przez zdradliwą wzburzoną wodę, chwycił przedmiot i wrócił na brzeg. Wewnątrz cylindra znalazł wiadomość od kapitana zaginionego atomowego okrętu podwodnego. To był punkt zwrotny w jego życiu. Spotkał swoją pierwszą miłość. Zakochał się w tamtej kobiecie, kiedy tylko ją zobaczył. Nosił w sercu jej obraz, myśląc, że zginęła. Nie wiedział, że przeżyła, dopóki w jego drzwiach nie stanęli Dirk i Summer.

Jego ciało dobrze znosiło upływ czasu. Mięśnie może nie były już takie twarde jak kiedyś, ale nie miał bólów w stawach, które często pojawiają się z wiekiem. Czarne, gęste, falujące włosy nie przerzedziły się, posiwiały tylko trochę na skroniach. Hipnotyzujące zielone oczy nie utraciły blasku. Wciąż kochał morze i praca w NUMA nadal absorbowała jego czas i uczucia. Wspomnienia własnych wyczynów – i te przyjemne, i te koszmarne – jeszcze nie zatarły mu się w pamięci. Podobnie jak nie zniknęły jeszcze liczne blizny na jego ciele.

Przypomniawszy sobie, ile to razy udało mu się wymknąć, odżyły w jego pamięci te niezwykle chwile: ryzykowna podróż podziemną rzeką w poszukiwaniu złota Inków, walka z przeważającymi siłami przeciwnika w starym forcie francuskiej Legii Cudzoziemskiej na Saharze, pojedynek z gigantycznym pojazdem śnieżnym na Antarktydzie i wydobywanie

„Titanica”. To, czego dokonał w ciągu owych dwudziestu lat, dawało mu poczucie spełnienia i satysfakcji. Miał prawo uważać, że nie zmarnował życia i że było ono dość barwne i interesujące.

Ale stracił dawny pociąg do rzucania wyzwań nieznanemu. Miał teraz rodzinę i obowiązki. Szalone czasy się skończyły. Odwrócił, głowę i spojrzał na Giordina. Al potrafił spać w każdych warunkach, zapadał szybko w głęboki sen, jakby leżał we własnym łóżku w swoim waszyngtońskim mieszkaniu. O ich wspólnych wyczynach krążyły legendy. Choć na płaszczyźnie prywatnej nie łączyły ich bliskie więzi, w obliczu niebezpieczeństwa działali razem jak jeden organizm, uzupełniali się i mobilizowali wzajemnie i znacznie częściej zwycięzali, niż przegrywali.

Pitt uśmiechnął się do siebie na wspomnienie tego, co kiedyś napisał o nim pewien reporter w jednym z tych rzadkich momentów, gdy jego wyczyny zyskiwały rozgłos: „Każdy, kto kocha przygody, ma w sobie coś z Dirka Pitta. Ale nikt nie kocha ich bardziej niż on”.

Samolot wypuścił podwozie i Pitt ocknął się z zadumy. Spojrzał przez szybę w dół.

Reflektory lądowania odbijały się w rzekach i lagunach otaczających lotnisko. Padał drobny deszcz. Maszyna usiadła i podkołowała do terminalu. Orzeźwiający wiatr o szybkości ośmiu kilometrów na godzinę zwiewał krople w bok, wilgotne powietrze pachniało świeżością. Pitt zszedł za Giordinem po schodkach i temperatura zaskoczyła go trochę: było niewiele ponad dwadzieścia stopni Celsjusza, a spodziewał się około trzydziestu.

Przeszli szybko przez płytę lotniska do terminalu, gdzie czekali dwadzieścia minut, zanim na wózku pojawił się ich bagaż. Sandecker powiedział im tylko tyle, że przed wejściem będzie czekał samochód. Pitt pociągnął dwie walizki na kółkach, Giordino zarzucił na ramię ciężki worek marynarski ze sprzętem do nurkowania. Przeszli chodnikiem pięćdziesiąt metrów do zatoki parkingowej. Na pasażerów czekało pięć samochodów i dziesięć taksówek. Kierowcy polowali na klientów. Pitt i Giordino spławili ich, po czym stali cierpliwie przez minutę. Wreszcie z końca kolejki zamigotał światłami zdezelowany, porysowany i powgniatany stary ford escort. Pitt podszedł do drzwi pasażera i schylił się.

– Czeka pan na... – zaczął.

Nie dokończył. Zamurowało go. Zza kierownicy wysiadł Rudi Gunn. Okrążył samochód, ucisnął mu dłoń i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jak widać nie możemy się rozstać – powiedział.

Pitt nic nie rozumiał.

– Admirał nic nie wspominał, że będziesz brał w tym udział.

Giordino był tak samo zaskoczony.

– Skąd się tu wziąłeś? I jakim cudem zdążyłeś przed nami?

– Znudziło mi się siedzenie za biurkiem, więc przekonałem Sandeckera, żeby mnie też przydzielił do tej roboty. Odleciałem do Nikaragui niedługo po naszym zebraniu u niego.



Pewnie uznał, że nie warto was uprzedzać.

– Musiał zapomnieć – odparł drwiąco Pitt i otoczył ramieniem Gunna. – Przeżyliśmy razem różne szalone przygody, Rudi. Lubię z tobą pracować.

– I dlatego w Mali wyrzuciłeś mnie za burtę na rzece Niger?

– O ile sobie przypominam, to było konieczne.

Pitt i Giordino darzyli wielkim szacunkiem wicedyrektora NUMA. Wyglądem i zachowaniem przypominał wykładowcę akademickiego, ale nigdy nie wahał się pobrudzić sobie rąk, jeśli to mogło pomóc w realizacji projektu NUMA. Lubili go zwłaszcza dlatego, że bez względu na to, jak bardzo narozrabiali, nigdy nie doniósł na nich admirałowi.

Wrzucili rzeczy do bagażnika i wsiedli do zajęzzonego escorta. Gunn manewrował zręcznie między samochodami przed terminalem i skręcił na drogę z lotniska do portu. Pojechali wzdłuż dużej zatoki w Bluefields otoczonej szerokimi plażami. Delta rzeki Escondido rozgałęziała się na kilka szlaków wodnych, które okrężały miasto i prowadziły przez cieśninę Bluffs do morza. Laguna, zatoczki i port pełne były opuszczonych kutrów rybackich.

– Chyba cała flota rybacka ściągnęła do miasta – zauważył Pitt.

– Brązowa zawiesina powoduje zastój w rybołówstwie – odrzekł Gunn. – Krewetki i homary wymierają, ryby migrują na bezpieczniejsze wody. Zagraniczne flotylle rybackie, jak na przykład kutry z Teksasu, przenoszą się na inne łowiska.

– Miejscowa gospodarka musi być na dnie – powiedział Giordino, rozparty wygodnie na tylnym siedzeniu.

– To klęska. Zarobki wszystkich mieszkańców nizin związane są w ten czy inny sposób z morzem. Nie ma ryb, nie ma pieniędzy. Ale to dopiero połowa problemu. Bluefields i całe okoliczne wybrzeże co dziesięć lat nawiedzają huragany. Regularnie jak w zegarku. Huragan Joan zniszczył port w roku 1988, a to, co odbudowano, zmiotł huragan Lizzie. Ale jeśli brązowa zawiesina nie zniknie lub nie zostanie zneutralizowana, mnóstwo ludzi będzie głodowało. Już przed sztormem było bardzo złe. Bezrobocie wynosiło sześćdziesiąt procent. Teraz sięga dziewięćdziesięciu. Zachodnie wybrzeże Nikaragui to obok Haiti najuboższy rejon na półkuli zachodniej. Żebym nie zapomniał. Jedliście coś?

– Lekką kolację na lotnisku w Managui – odparł Giordino.

– Zapomniałeś o dwóch kolejkach tequili – uśmiechnął się Pitt.

– Wcale nie zapomniałem.

Escort toczył się przez prymitywne miasto i podskakiwał na wybojach, które sprawiały wrażenie głębokich jak studnie. Rozpadające się budynki w mieszanym stylu angielsko-francuskim miały niegdyś jaskrawe kolory, ale od dawna nikt ich nie odnawiał.

– Miałeś rację, że tutejsza gospodarka jest w katastrofalnym stanie – powiedział Pitt.

– Główną przyczynę biedy stanowi całkowity brak infrastruktury, ale miejscowi liderzy nie rozumieją tego – wyjaśniał Gunn. – Młodzi nie mają żadnych perspektyw. Dziewczynki w

wieku czternastu lat zostają prostytutkami. Chłopcy sprzedają kokainę. Nikogo nie stać na płacenie rachunków za prąd, więc ludzie przeciągają kable ze swoich ruder do latarni ulicznych. Nie ma kanalizacji, a mimo to gubernator przeznaczył cały roczny budżet na budowę pałacu, bo uznał, że ważniejsze jest wywieranie dobrego wrażenia na zagranicznych dygnitarzach. Kwitnie przemysł narkotykowy, ale miejscowi nie dorabiają się na tym, ponieważ przemytnicy załatwiają interesy głównie na morzu lub w odludnych zatoczkach.

Gunn wjechał do portu handlowego w El Bluff położonego przy wejściu do laguny, po przeciwnej stronie zatoki niż Bluefields. Odór był tutaj nie do wytrzymania. W brudnej wodzie mieszały się odpadki, ścieki i ropa. Mijali rozładowywane statki wyglądające tak, jakby za chwilę miały się rozpaść i zatonać. Z dachów większości magazynów pozostały tylko resztki. Pitt zauważył, że z jednego z kontenerowców wyładowywano wielkie drewniane skrzynie z napisami MASZYNY ROLNICZE. Zabierały je ogromne, lśniące, nieskazitelnie czyste ciężarówki z naczepami, które zupełnie nie pasowały do obskurnego otoczenia. Nazwa statku, widoczna w świetle reflektorów pokładowych, brzmiała „Dong He”. Na środku kadłuba widniał napis Cosco. Pitt wiedział, że skrót oznacza Chińskie Przedsiębiorstwo Transportu Morskiego.

Zastanawiał się, co naprawdę mieści się w skrzyniach zawierających rzekomo maszyny rolnicze.

– To jest tutejszy port? – zapytał z niedowierzaniem Giordino.

– Tylko tyle zostało po przejściu huraganu Lizzie – odrzekł Gunn.

Czterysta metrów dalej escort wtoczył się na stare drewniane nabrzeże wypełnione mnóstwem przycumowanych kutrów, pogrążonych w mroku i pustych, Gunn nacisnął hamulec i zatrzymał samochód przy jedynym, który był oświetlony. Trawler wyglądał tak, jakby pamiętał lepsze czasy. W żółtym blasku reflektorów pokładowych widać było wyblakłą czarną farbę, na kadłubie widniały rdzawe zacieki, na pokładzie roboczym walał się sprzęt rybacki. Kuter nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród łodzi zacumowanych dookoła.

Pitt przyjrzał się trawlerowi od dziobu do rufy, gdzie zwisała bandera nikaraguańska z dwoma poziomymi niebieskimi pasami przedzielonymi jednym białym. Sięgnął za koszulę, wymacał małą, zawiniętą w jedwab paczuszkę. Uspokojony, że była na swoim miejscu, odwrócił się nieznacznie i zerknął kątem oka na lawendowego pikapa zaparkowanego w cieniu pobliskiego magazynu. Kabina kierowcy nie była pusta. Za mokrą od deszczu przednią szybą dostrzegł ciemną sylwetkę kierowcy i ognik papierosa.

Odwrócił się z powrotem w stronę kutra.

– Więc to jest „Poco Bonito”? – powiedział.

– Niewiele do oglądania, co? – odrzekł Gunn, otworzył bagażnik i pomógł wyjąć zeń rzeczy. – Ale jest napędzany dwoma tysiakkonnymi dieslami i ma sprzęt badawczy, za który większość naukowców oddałaby wszystko.

– Ale coś tu nie gra – powiedział Pitt.

– Jak to? – Gunn spojrzał pytająco na niego.

– To chyba jedyny statek NUMA w innym kolorze niż turkusowy.

– Znam te małe statki klasy Neptune – wtrącił się Giordino. – Są zbudowane jak transporter opancerzony i bardzo stabilne na wzburzonym morzu. – Zawahał się i spojrzał w prawo i w lewo na inne kutry wzdłuż nabrzeża. – Dobry kamuflaż. Gdyby nie większa nadbudowa, czego nie da się zamaskować, nie różniłyby się wcale od innych.

– Kiedy go zwodowano? – zapytał Pitt.

– Pół roku temu – odrzekł Gunn.

– Jak naszym inżynierom udało się zrobić z niego taką starą łajbę?

Gunn roześmiał się.

– Efekty specjalne. Sztuczna rdza i odpowiednio spreparowana farba.

Pitt przeskoczył z nabrzeża na pokład. Odwrócił się i zaczął odbierać od Giordina bagaże. Odgłos stóp uderzających o pokład zaalarmował dwie osoby znajdujące się na statku – mężczyznę i kobietę. Wyłonili się szybko z tylnych drzwi nadbudowy trawlera. Mężczyzna, który prawdopodobnie przekroczył niedawno pięćdziesiątkę, miał starannie przystrzyżoną siwą brodę i krzaczaste brwi. Jego gładko wygolona, spocona głowa zalśniła w blasku reflektora pokładowego. Był niewiele wyższy od Giordina i lekko się garbił.

Opalona kobieta o wydatnych kościach policzkowych miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupłą figurę modelki i gęste jasne włosy spadające na ramiona. Odsłoniła w uśmiechu białe równe zęby. Jak większość kobiet pracujących na świeżym powietrzu, związywała włosy z tyłu i nie używała makijażu. Mimo to wyglądała atrakcyjnie, tak przynajmniej ocenił ją Pitt. Dostrzegł u niej dbałość o pewien szczegół kobiecej urody. Malowała paznokcie u nóg.

Mężczyzna i kobieta mieli na sobie bawełniane koszulki w pionowe paski i szorty khaki. Sportowe buty mężczyzny wyglądały tak, jakby podziurawiła je seria pocisków. Kobieta nosiła sandały z szerokich pasków.

Gunn dokonał prezentacji:

– Doktor Renee Ford, nasz ichtiolog i biolog morski, i doktor Patrick Dodge, czołowy geochemik morski NUMA. Na pewno znacie Dirka Pitta, dyrektora projektów specjalnych, i Ala Giordina, inżyniera morskiego.

– Nigdy nie pracowaliśmy razem przy wspólnym projekcie – powiedziała Renee ochryplym głosem, zaledwie o parę decybeli bardziej donośnym od szeptu. – Ale siedzieliśmy blisko siebie na kilku konferencjach.

– Zgadza się – przytaknął Dodge, kiedy wymieniali uściski dłoni.

Pitta kusilo, żeby zapytać, czy Ford i Dodge mają wspólny garaż, ale powstrzymał się od kiepskiego żartu.

– Miło was znowu widzieć – powiedział szczerze.

Giordino zaprezentował jeden ze swoich uśmiechów rezerwowanych na takie okazje.

- Na pewno będzie nam dobrze razem.
- A dlaczego miałyby być inaczej? – zapytała słodko Renee.

Giordino nie odpowiedział. Stało się coś, co zdarzało mu się niezwykle rzadko – nie wiedział, jak zareagować.

Pitt stał przez chwilę na pokładzie i słuchał plusku wody uderzającej o pale nabrzeża. Wokoło nie widać było żywej duszy. Nabrzeże sprawiało wrażenie prawie pustego. Prawie, ale nie całkiem.

Zszedł do swojej kajuty na rufie, wyjął z walizki mały czarny futerał i wrócił na górę po schodkach biegnących przy tej burcie, która była położona dalej od nabrzeża. Ukrył się za nadbudową, otworzył futerał i wyciągnął przyrząd wyglądem przypominający kamerę wideo. Kiedy go włączył, rozległ się stłumiony, wysoki dźwięk. Pitt zarzucił na głowę koc, uniósł się powoli i wyrzwał zza zwoju liny na dachu nadbudowy. Przycisnął wizjer noktowizora do oczu i urządzenie automatycznie wyregulowało wzmocnienie obrazu, jasność i podczerwień. Wpatrzył się w ciemność za nabrzeżem, rozjaśnioną teraz zielonkawym blaskiem. Widział jak sowa w nocy.

Pikap marki Chevrolet, który zauważył przed wejściem na pokład „Poco Bonito”, nadal stał w mroku. Światło gwiazd i dwóch słabych lamp znajdujących się sto metrów dalej na nabrzeżu zostało wzmocnione tysiąc razy. Kierowca pikapa był teraz widoczny tak dobrze, jakby siedział w jasnym pokoju. Kiedy Pitt przyjrzał mu się uważnie, przekonał się, że tym kierowcą była kobieta. Obserwowała przez nocną lornetkę oświetlone bulaje statku, najwyraźniej nie podejrzewając, że została zauważona. Pitt widział nawet, że miała mokre włosy.

Obniżył nieco noktowizor i popatrzył na drzwi pikapa od strony kierowcy. Niezbyt profesjonalna inwigilacja, pomyślał. Żadnego kamuflażu. Pewnie ktoś dorabia po godzinach jako szpieg, skoro na samochodzie jest nazwa firmy budowlanej.

Na drzwiach kierowcy widniał złocisty napis ODYSSEY.

Nic więcej. Przy nazwie nie było słowa „Korporacja”, „Spółka”, czy „Firma”.

Ale pod napisem Pitt dostrzegł logo – stylizowanego konia w pełnym galopie. Odniosł wrażenie, że gdzieś już widział taki rysunek, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego Odyssey interesowała się ekspedycją naukową NUMA. Jakim potencjalnym zagrożeniem dla tej firmy mogli być oceanolodzy? Co może zyskać ta gigantyczna organizacja dzięki potajemnej inwigilacji?

Nie potrafił się powstrzymać – wstał, podszedł do burty od strony nabrzeża i pomachał do kobiety siedzącej w pikapie. Natychmiast skierowała na niego lornetkę. Pitt uniósł noktowizor i popatrzył na nią. Zdecydowanie nieprofesjonalna inwigilacja, pomyślał, kiedy zaskoczona kobieta rzuciła lornetkę na siedzenie, pospiesznie uruchomiła silnik, wcisnęła pedał gazu i ruszyła z piskiem tylnych opon w ciemność.

Renee, Giordino i Dodge podnieśli jednocześnie wzrok.

– Co to było? – zapytała Renee.

– Komuś się spieszyło – odrzekł z rozbawieniem w głosie Pitt.

Renee odcumowała dziób i rufę, Gunn zajął miejsce w sterowni. Potężne diesle ożyły i pokład zaczął lekko wibrować. „Poco Bonito” odbił od nabrzeża i wpłynął na farwater prowadzący przez cieśninę Bluffs do morza. Skomputeryzowane urządzenia nawigacyjne skierowały dziób według zaprogramowanego kursu na północny wschód. Ale Gunn – podobnie jak większość pilotów linii lotniczych, którzy wolą sami startować i lądować odrzutowcami pasażerskimi, zamiast powierzać to komputerowi – przejął ster i poprowadził statek ku morzu.

Pitt zszedł po drabince do swojej kajuty, schował noktowizor do walizki i wyjął telefon satelitarny Globalstar o potrójnym trybie pracy. Potem wrócił na pokład i wyciągnął się na zniszczonym leżaku. Odwrócił się i uśmiechnął, gdy Renee wysunęła przez bulaj kuchni rękę z kubkiem.

– Może kawy? – zapytała z wnętrza trawlera.

– Jesteś aniołem – odrzekł Pitt. – Dzięki.

Pociągnął łyk kawy i wybrał numer na klawiaturze telefonu. Admirał odebrał po trzech sygnałach.

– Sandecker – warknął.

– Nie zapomniał mi pan o czymś powiedzieć, admirale?

– Mów jaśniej.

– Odyssey.

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili znowu zabrzmiał głos Sandeckera:

– Dlaczego pytasz?

– Ktoś od nich szpiegował nas, kiedy wchodziliśmy na pokład kutra. Jestem ciekaw, dlaczego.

– Później się dowiesz – odrzekł zagadkowo Sandecker.

– Czy to ma coś wspólnego z podziemną budową Odyssey w Nikaragui? – zapytał niewinnie Pitt.

Znowu cisza. Potem jak echo:

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości.

– Skąd masz tę informację?

Pitt nie mógł się powstrzymać.

– Później się pan dowie – odparł.

A potem się rozłączył.

Gunn prowadził „Poco Bonito” przez czarne wody cieśniny o wysokich, urwistych brzegach. Płynął środkiem zupełnie pustego farwateru. W oddali kołysały się na falach boje wskazujące wejście do portu – po jednej stronie błyskała zielona lampa, po przeciwnej czerwona.

Pitt siedział na leżaku i rozkoszował się tropikalnym wieczorem na morzu. Patrzył, jak żółty blask świateł Bluefields gaśnie w ciemności za rufą i rozmyślał leniwie o szpiegu Odyssey na nabrzeżu. Nie przejmował się tym, że byli obserwowani, kiedy odcumowywali kuter. Uznał, że nie miało to znaczenia. Sam pikap nie wzbudzał w nim niepokoju. Ale zastanawiał go pośpiech, z jakim kobieta odjechała znad basenu portowego. Nie musiała uciekać. Przestraszyła się załogi NUMA? Nie próbowali do niej podejść. Powód musiał być inny.

Wszystko stało się jasne, gdy Pitt przypomniał sobie, że kobieta miała mokre włosy.

Gunn położył prawą rękę na dwóch dźwigniach przepustnic, żeby pchnąć je do przodu i zwiększyć prędkość kutra na niskich falach nadciągających z Morza Karaibskiego. Nagle Pitt usiadł prosto na leżaku.

– Zatrzymaj statek, Rudi! – krzyknął.

Gunn odwrócił się.

– Co? – zapytał.

– Zatrzymaj statek! Ale już!

Pitt zawołał to takim tonem, że Gunn natychmiast cofnął przepustnice do ograniczników.

– Al! – krzyknął Pitt do Giordina, który siedział z Renee i Dodgem w kuchni pod pokładem, delektując się kawą i ciastem. – Przynieś na górę mój sprzęt do nurkowania!

– Co się dzieje? – zapytał zdezorientowany Gunn, wyłoniwszy się z bocznych drzwi sterowni. Renee i Dodge też pojawili się na pokładzie wyraźnie zaskoczeni.

– Nie mam stuprocentowej pewności, ale podejrzewam, że na statku jest bomba –

wyjaśnił Pitt.

– Skąd taki wniosek? – zapytał sceptycznym tonem Dodge.

– Kobieta w pikapie bardzo chciała odjechać jak najszybciej. Skąd ten pośpiech? Musiała mieć jakiś powód.

– Jeśli masz rację – powiedział Dodge – to lepiej szybko znajźmy tę bombę.

– Też tak myślę – Pitt przytaknął. – Rudi, ty, Renee i Patrick przeszukajcie dokładnie kabiny. Al, ty sprawdź maszynownię. Ja wyskoczę za burtę i obejrzę kadłub.

– No to bierzemy się do roboty – powiedział Giordino. – Ładunek może mieć zegar sterujący ustawiony tak, żeby detonacja nastąpiła zaraz po naszym wyjściu z portu na pełne morze.

Pitt pokręcił głową.

– Wątpię. Skąd by wiedzieli, że nie zostaniemy w porcie do rana? Nikt nie mógł przewidzieć, kiedy odpłyniemy. Podejrzewam, że na jednej z boi farwaterowych jest nadajnik, który ma wysłać sygnał do odbiornika przy ładunku wybuchowym, gdy tylko minimy wejście do portu.

– Cierpisz chyba na nadaktywność szarych komórek – orzekła Renee. – Któż mógłby mieć jakiś motyw, żeby zabić nas wszystkich i zniszczyć statek?

– Ktoś się boi, że coś odkryjemy – ciągnął Pitt. – W tej chwili naszym głównym podejrzanym jest Odyssey. Muszą mieć dobry wywiad, skoro rozszyfrowali plan admirała, żeby przemycić naszą piątkę i statek do Bluefields.

Spod pokładu wyłonił się Giordino ze sprzętem do nurkowania dla Pitta. Zgadzał się z hipotezą swojego partnera. Znali się od czasów szkoły podstawowej i wiedział, że Pitt rzadko źle interpretuje fakty. Ufali sobie bez zastrzeżeń. W przeszłości wiele razy rozmawiali dokładnie tak samo.

– Lepiej się pospieszmy – doradził Pitt. – Im dłużej tu będziemy, tym szybciej nasi przyjaciele zorientują się, że ich rozgryźliśmy. Spodziewają się, że najpóźniej za dziesięć minut zobaczą fajerwerki.

Wszyscy zrozumieli. Nikogo nie musiał przynaglać. Szybko skoordynowali działania i ustalili, kto będzie przeszukiwał poszczególne części statku. Pitt tymczasem rozebrał się do szortów i włożył akwalung. Uznał, że nie ma czasu i nie musi wciągać skafandra. Bez kompensatora wyporności nie potrzebował też pasa balastowego. Wsunął ustnik regulatora między zęby, przypasał do lewej nogi mały zestaw narzędziowy, chwycił prawą ręką lampę do nurkowania, przeszedł przez burtę i zanurzył się w ciemnej toni.

Morze wydawało się cieplejsze niż powietrze, widoczność była doskonała. Pitt skierował snop światła w dół i zobaczył płaskie, piaszczyste dno dwadzieścia pięć metrów pod sobą. W letniej wodzie czuł się świetnie. Kadłub poniżej linii wodnej nie był zarośnięty, oczyszczono go w suchym doku, zanim Sandecker wysłał „Poco Bonito” na południe:

Pitt posuwał się od steru i śrub w kierunku dziobu i omiatał światłem lampy kil statku od

lewej burty do prawej i z powrotem. Blask mógł zwabić zaniepokojonego rekina, ale Pitt, który nurkował często i od wielu lat, jak dotąd rzadko spotykał na swojej drodze te głębinowe maszyny do zabijania. Zamiast martwić się rekinem, skoncentrował się na obiekcie sterującym niczym na kilu w śródkręciu. Jego podejrzenia potwierdziły się, powoli podpływał bliżej, aż jego maska znalazła się w odległości dwudziestu pięciu centymetrów od wypukłego przedmiotu. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że widzi przed sobą ładunek wybuchowy.

Pitt nie był ekspertem od bomb. Wiedział tylko tyle, że w miejscu, gdzie aluminiowy kadłub styka się z kilem, przymocowany został owalny pojemnik długości około metra i szerokości dwudziestu centymetrów. Ktoś przykleił go taśmą odporną na zamoczenie i na tyle mocną, że wytrzymała opór wody, kiedy statek płynął fatwaterem.

Pitt nie potrafił określić, jaki rodzaj materiału wybuchowego użyto, ale ilość wydawała się przesadzona. Wyglądało na to, że wystarczyłoby aż nadto do rozerwania „Poco Bonito” i całej załogi na tysiąc kawałków. Nie była to zbyt przyjemna perspektywa.

Pitt wsunął lampę pod pachę i ostrożnie położył obie dłonie na pojemniku. Wziął głęboki oddech i spróbował oderwać ładunek od kadłuba. Nie udało się. Pociągnął mocniej, lecz i tym razem wysiłek okazał się daremny. Bez twardego oparcia dla nóg nie mógł wykorzystać całej siły rąk. Cofnął się, sięgnął do zestawu narzędziowego na lewej nodze i wydobył mały nóż rybacki z zakrzywionym ostrzem.

W świetle lampy zerknął na pomarańczową tarczę swojej starej doxy do nurkowania. Był pod wodą od czterech minut. Musiał się pospieszyć, żeby agent Spectera na brzegu nie zorientował się, że coś nie gra. Bardzo delikatnie wsunął ostrze noża pod pojemnik tak głęboko, jak się odważył, i zaczął przecinać taśmę, jakby piłował drewno. Ktoś przykleił jej tyle, że wystarczyłoby do zakneblowania wieloryba. Choć Pitt przedziurawił ją w czterech różnych miejscach, ładunek nadal przywierał do kadłuba.

Pitt schował nóż, chwycił pojemnik za oba końce, wygiął ciało w ten sposób, że oparł się mocno stopami o kil, i modląc się, żeby ładunek był detonowany tylko sygnałem elektronicznym, pociągnął mocno. Pojemnik oderwał się od kadłuba tak gwałtownie, że Pitt opadł prawie dwa metry w dół. Kiedy trzymał ładunek w rękach, zdał sobie sprawę, że zasysa powietrze z butli jak pompa. Serce waliło mu tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Nie czekając, aż tętno i oddech wrócą do normy, popłynął wzdłuż kadłuba ku rufie i wynurzył się obok steru. Na pokładzie nie było nikogo. Wszyscy przeszukiwali wnętrze statku. Pitt wypluł ustnik regulatora, żeby kogoś zawołać.

– Przydałaby mi się pomoc! – krzyknął.

Nie był zaskoczony, że pierwszy zareagował Giordino. Niski Włoch wypadł z włazu maszynowni i przechylił się przez burłę.

– Co masz?

– Tyle materiału wybuchowego, że można by rozwalić pancernik.



– Mam to wciągnąć na pokład?

– Nie. – Pitt gwałtownie złapał oddech, kiedy fala przetoczyła się nad jego głową. – Przywiąż długą linę do tratwy ratunkowej i wyrzuć ją za burtę.

Giordino nie zadawał żadnych pytań. Wbiegł szybko po drabince na dach nadbudowy i pospiesznie wyciągnął z uchwytów jedną z dwóch tratw. Nie była przywiązana, bo chodziło o to, żeby mogła pozostać na powierzchni, gdyby statek tonął. Renee i Dodge pojawili się na pokładzie w samą porę, żeby złapać tratwę, którą Giordino zepchnął z dachu sterowni w dół.

– Co się dzieje? – zapytała Renee.

Ruchem głowy Giordino wskazał Pitta zanurzonego po szyję w wodzie za rufą.

– Dirk znalazł ładunek wybuchowy przymocowany do kadłuba.

Renee spojrzała w dół na oświetlony lampą Pitta pojemnik.

– Dlaczego go nie zostawił, żeby opadł na dno? – zapytała ze strachem.

– Bo ma plan – odrzekł spokojnie Giordino. – Pomóżcie mi wyrzucić tratwę za burtę.

Dodge nie odezwał się słowem. We troje unieśli ciężką tratwę ratunkową nad reling i rzucili w fale. Woda rozprysła się i zalała Pittowi głowę. Zamachał gwałtownie płetwami, wynurzył się do połowy, uniósł wysoko ciężki pojemnik i ostrożnie położył na dnie tratwy. Wiedział doskonale, że kusi los, pocieszał się tylko tym, że gdyby nastąpiła eksplozja, zanim zdążyłby to sobie uświadomić, byłoby po nim.

Dopiero kiedy pojemnik był już bezpiecznie przymocowany do tratwy, Pitt wydał z siebie przeciągłe westchnienie ulgi.

Giordino opuścił drabinkę i pomógł mu wejść na pokład, potem zdjął z niego akwalung.

– Wlej do tratwy kilkanaście litrów paliwa – polecił Pitt – i popuść linę najdalej jak możesz.

– Mamy holować tratwę pełną materiału wybuchowego zalanego paliwem? – zapytał z niepokojem Dodge.

– Taki mam pomysł.

– A co będzie, jeśli na którejś boi farwaterowej jest nadajnik?

Pitt spojrzał na Dodge'a i uśmiechnął się krzywo.

– Wielkie bum – odparł spokojnie.

Kiedy wchodzi się do portu z morza, boja po lewej stronie farwateru jest zwykle zielona. Ma na szczycie lampę w tym samym kolorze i numer nieparzysty. Czerwona boja po prawej stronie ma czerwoną lampę i numer parzysty. Gdy „Poco Bonito” wypływał z portu w Bluefields, boje farwaterowe wydawały się przestawione – czerwona była z lewej burty, zielona z prawej.

Giordino stał za sterem, pozostała czwórka, skulona na pokładzie rufowym, patrzyła wyczekująco ponad burtami, jak boje zrównują się z dziobem „Poco Bonito”.

Renee i Dodge widzieli na własne oczy, że Pitt znalazł ładunek wybuchowy i umieścił go na tratwie ratunkowej holowanej teraz za rufą, wciąż jednak obawiali się eksplozji, która mogła zniszczyć statek. Zerkali niepewnie na małą pomarańczową tratwę na tle czarnej wody sto pięćdziesiąt metrów za kutrem i odetchnęli z ulgą, kiedy kadłub „Poco Bonito” minął bezpiecznie boje.

Napięcie wzrosło znowu, gdy do boi zaczęła się zbliżać holowana tratwa. Pięćdziesiąt metrów, potem dwadzieścia pięć. Renee instynktownie schyliła głowę i zasłoniła rękami uszy. Dodge odwrócił się plecami do rufy. Pitt i Giordino obserwowali spokojnie tratwę, jakby czekali na spadającą gwiazdę.

– Natychmiast po wybuchu – polecił Pitt Dodge’owi – wyłącz światła nawigacyjne, żeby tamci myśleli, że wyparowaliśmy.

Ledwo zdążył to powiedzieć, tratwa wyleciała w powietrze.

Huk eksplozji przetoczył się jak grzmot między urwistymi ścianami cieśniny, wstrząs przetoczył się po wodzie, uderzył ich w twarze i zakołysał statkiem. Ciemność rozświetlił pomarańczowy blask, płonące szczątki rozprysły się wokół, biała kipiąca woda jak gejzer trysnęła w górę. Paliwo wlane do tratwy zamieniło się w słup ognia. Załoga „Poco Bonito” patrzyła jak zahipnotyzowana na kawałki tratwy spadające z nieba niczym deszcz meteorów. Pokład zasypały drobne odłamki, ale na szczęście nikogo nie zraniły i niczego nie uszkodziły.

Potem nagle zapadła cisza, woda za rufą zamknęła się nad powstałym lejem i znów zrobiło się pusto.

Kobieta siedziała w pikapie i czekała. Spojrzała na zegarek po raz dwunasty od chwili odpłynięcia statku od nabrzeża. Odetchnęła głęboko z zadowoleniem, gdy wreszcie usłyszała odległy grzmot i zobaczyła w ciemności krótki błysk trzy kilometry dalej. Wszystko trwało dłużej, niż się spodziewała, wybuch nastąpił osiem minut później. Może sternik był ostrożny i płynął wolno przez wąski farwater. A może coś się zepsuło i załoga zatrzymała statek, żeby go szybko naprawić. To zresztą, jaka była przyczyna zwłoki, nie miało już znaczenia. Ona mogła zawiadomić swoje koleżanki, że zadanie zostało wykonane.

Zamiast pojechać prosto na lotnisko, gdzie czekał firmowy odrzutowiec Odyssey, postanowiła wpaść do nędznego śródmieścia Bluefields na szklaneczkę rumu. Uważała, że po dzisiejszej nocnej robocie należy jej się krótki relaks.

Znów zaczęło padać. Włączyła wycieraczki, wyjechała z portu i skręciła w stronę miasta.

Farwater został za nimi, wypłynęli na morze. Wzięli kurs na wyspę Punta de Perlas i położony dalej archipelag Cayos de Perlas. Niebo zaczęło się przecierać, przez chmury przeświecały gwiazdy, wiała lekka południowa bryza. Pitt objął na ochotnika wachtę od północy do trzeciej nad ranem. Zajął miejsce w sterowni i pozwolił myślom biec swobodnie. Skomputeryzowany automatyczny system sterowniczy precyzyjnie utrzymywał zaprogramowany kurs. Przez pierwszą godzinę Pitt całą siłą woli bronił się przed snem.

Oczyma wyobraźni zobaczył Loren Smith. Ich związek trwał już prawie dwadzieścia lat. Rozstawali się i wracali do siebie z powrotem. Dwukrotnie omal nie doszło do małżeństwa, ale każde z nich wzięło wcześniej ślub ze swoją pracą: Pitt z NUMA, Loren z Kongresem. Teraz jednak, kiedy Loren postanowiła nie ubiegać się o piątą kadencję, Pitt zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zrezygnować ze swojego stanowiska i znaleźć inne, mniej odpowiedzialne i niezmuszające go do ciągłych podróży po wszystkich morzach i oceanach. Zbyt często ocierał się o śmierć, pozostały mu po tym blizny fizyczne i psychiczne. Szczęście nie mogło mu sprzyjać wiecznie. Gdyby pikap Odyssey nie wzbudził jego podejrzeń i nie przyszło mu do głowy, że na statku jest bomba, on, Giordino i reszta byliby teraz martwi. Może rzeczywiście nadszedł czas, żeby się wycofać. W końcu był teraz ojcem, miał dwoje dorosłych dzieci i obowiązki, o jakich nawet mu się nie śniło dwa lata temu.

Problem polegał na tym, że Pitt kochał morze. Na powierzchni i pod powierzchnią. Nie mógł po prostu odwrócić się plecami i zrezygnować. Musiał znaleźć jakiś kompromis.

Wrócił myślami do brązowej zawieszyny. Czułe sensory detektorów chemicznych pod kadłubem wciąż wykrywały tylko nikłe ślady tej substancji. Mimo braku światła jakichkolwiek statków na horyzoncie Pitt uniósł lornetkę i wpatrzył się w ciemność na wprost.

„Poco Bonito” płynął z szybkością dwudziestu węzłów i minął wyspy Cayos de Perlas ponad godzinę temu. Pitt odłożył lornetkę i przestudiował mapę nawigacyjną. Ocenił, że znajdują się mniej więcej trzydzieści mil morskich od miasta Tasbapauni na wybrzeżu nikaraguańskim. Zerknął na przyrządy pomiarowe. Wskazówki i wyświetlacze ciągle stały na zerze. Zaczął się zastanawiać, czy ta wyprawa to przypadkiem nie robota głupiego.

Podszedł do niego Giordino z kubkiem kawy w dłoni.

– Pomyślałem, że przyda ci się coś na rozbudzenie – powiedział.

– Dzięki. Masz jeszcze godzinę do swojej wachty – odparł Pitt.

Giordino wzruszył ramionami.

– Obudziłem się i już nie mogłem zasnąć.

Pitt wypił łyk kawy.

– Al, jak to się stało, że jeszcze się nie ożeniłeś?

Giordino podejrzliwie zmrużył ciemne oczy.

– Dlaczego akurat teraz mnie o to pytasz?

– Nie miałem co robić i rozmyślałem o różnych rzeczach.

Giordino znowu wzruszył ramionami.

– A co ci zawsze mówię? Nie znalazłem jeszcze odpowiedniej dziewczyny.

– Raz byłeś blisko.

Giordino skinął potwierdzająco głową.

– Pat O’Connell. Wycofaliśmy się oboje w ostatniej chwili.

– Co byś powiedział, gdybym ci zdradził, że zastanawiam się, czy nie powinienem odejść z NUMA i ożenić się z Loren?

Giordino odwrócił się i spojrzał na Pitta z taką miną, jakby dostał w pierś indiańską strzałą.

– Powtórz.

– Słyszałeś.

– Uwierzę w to, gdy słońce zacznie wschodzić na zachodzie.

– Nigdy się nie zastanawiałeś, czy nie zwinąć żagli i nie odpuścić sobie tej roboty?

– Nie – odparł w zamyśleniu Giordino. – Nie mam wielkich ambicji. Odpowiada mi to, co robię. Nie pociąga mnie rola męża i ojca. Poza tym osiem miesięcy w roku jestem poza domem. Która kobieta poszłaby na to? Nie, chyba zostawię wszystko jak jest, dopóki nie wtoczą mnie na wózku do domu starców.

– Nie wyobrażam sobie ciebie konającego w domu starców.

– Rewolwerowiec Doc Holliday tak skończył. Jego ostatnie słowa brzmiały: „A niech mnie”. Powiedział tak, kiedy spojrzał na swoje nagie stopy i zdał sobie sprawę, że umiera bez butów.

– Jaki chciałbyś napis na nagrobku? – zapytał żartem Pitt.

– „To była do końca wspaniała zabawa. Mam nadzieję, że dalej będzie trwała gdzie

indziej”.

– Będę o tym pamiętał, kiedy wybije twoja godzina...

Pitt nagle zamilkł. Przyrządy ożyły i zaczęły pokazywać ślady skażenia chemicznego w wodzie.

– Chyba coś mamy.

Giordino ruszył ku schodkom prowadzącym do kajut załogi.

– Obudzę Dodge’a.

Kilka minut później do sterowni wspiał się, ziewając, Dodge i zaczął studiować monitory komputerowe i rejestratory. Kiedy w końcu się wyprostował na jego twarzy malowało się zdziwienie, niemal zdumienie.

– Jeszcze nie widziałem takiego skażenia spowodowanego przez człowieka – oznajmił.

– Co z tego rozumiesz? – zapytał Pitt.

– Dopóki nie zrobię testów, nie będę miał pewności, ale to wygląda na istny koktajl minerałów z tablicy Mendelejewa.

Podniecenie zaczęło narastać, pojawili się Renee i Gunn, zwabieni nagłym ruchem w sterowni. Zaproponowali, że zrobią śniadanie. Wszyscy czekali z nadzieją, aż Dodge skończy zestawiać nadchodzące dane i analizować liczby.

Do wschodu słońca pozostały trzy godziny, kiedy Pitt wyszedł na pokład i przyjrzał się czarnemu morzu omywającemu kadłub. Położył się na brzuchu, wyciągnął rękę pod relingiem i zanurzył w wodzie. Kiedy cofnął dłoń i uniósł do oczu, zobaczył na swoich palcach brązowy szlam. Wrócił do sterowni i pokazał wszystkim rękę.

– Wpłynęliśmy w zawiesinę – oznajmił. – Woda zamieniła się w brązowawe błoto, jakby ktoś wzburzył muł na dnie.

– Jesteś bliżej prawdy niż przypuszczasz – odrzekł Dodge, który nie odzywał się od pół godziny. – Pierwszy raz widzę taką miksturę.

– Wiesz już, jaki ma skład chemiczny? – zapytał Giordino. Czekał cierpliwie, aż Renee nałoży mu na talerz jajecznicę na bekonie.

– Składniki nie są takie, jakich się pewnie spodziewaliście.

Renee zrobiła zdumioną minę.

– Więc co to za skażenie chemiczne? – spytała Renee, wyraźnie zaintrygowana.

Dodge spojrzał na nią poważnie.

– To nie są toksyczne chemikalia przemysłowe.

– Chcesz powiedzieć, że sprawcą tego zanieczyszczenia nie jest człowiek? – Gunn przyparł chemika do muru.

Dodge wolno pokręcił głową.

– Nie. W tym wypadku winna jest Matka Natura.

– Jeśli to nie chemikalia, to co? – naciskała Renee.

– Koktajl – odparł Dodge i nalał sobie kawy. – Koktajl z niektórych najbardziej

toksycznych minerałów w skorupie ziemskiej. Są tu składniki zawierające bar, antymon, kobalt, molibden i wanad. Te pierwiastki otrzymuje się z takich toksycznych minerałów, jak antymonit, baryt, molibdenit i arsenopiryt.

Renee zmarszczyła brwi.

– Arsenopiryt?

– Ruda arsenu.

Pitt w zamyśleniu popatrzył na Dodge'a.

– Duża koncentracja toksycznych minerałów. Jak to jest możliwe, że takiego koktajlu, jak to nazywasz, stale przybywa? Przecież nie reprodukuje się sam.

– Nagromadzenie bierze się z ciągłego uzupełniania – wyjaśnił Dodge. – Mogę dodać, że są tu wyraźne ślady magnezu, które wskazują na niebywałe stężenie rozpuszczonego dolomitu.

– Co to sugeruje? – zapytał Gunn.

– Przede wszystkim obecność wapienia – odrzekł Dodge. Zamilkł i przez chwilę studiował wydruk. – Następnym czynnikiem jest siła grawitacyjna, która przyciąga minerały czy związki alkaliczne w wodzie w kierunku północy magnetycznej. Minerały łączą się ze sobą i tworzą rdzę lub oksydację. Związki alkaliczne przyciągają inne związki chemiczne do swojej powierzchni i powstają gazy lub odpady toksyczne. Dlatego większość tej brązowej zawiesiny dryfuje na północ w kierunku Key West.

Gunn pokręcił głową.

– To nie wyjaśnia, skąd część zawiesiny wzięła się na Navidad Bank od strony atlantyckiego wybrzeża Dominikany, gdzie badali ją Dirk i Summer.

Dodge wzruszył ramionami.

– Wiatry i prądy morskie musiały ją znieść do cieśniny Mona między wyspami Haiti i Puerto Rico i stamtąd przydryfowała do Navidad Bank.

W Renee odezwał się ekolog.

– Bez względu na skład chemiczny, ten koktajl jest szkodliwy i niebezpieczny dla wszystkich organizmów żywych korzystających z wody. Dla ludzi, zwierząt, gadów, ryb, nawet ptaków na lądzie. Nie mówiąc o świecie drobnoustrojów.

– Zastanawia mnie – mruknął Dodge, jakby jej nie usłyszał – jak substancja o konsystencji mułu może tworzyć spoistą masę, która przepływa tak wielką odległość i nie sięga głębiej niż czterdzieści metrów pod powierzchnię wody. – Zapisał coś w notesie. – Podejrzewam, że pewną rolę w jej rozprzestrzenianiu gra zasolenie morza. Być może to wyjaśni, dlaczego zawiesina nie opada na dno.

– To nie jedyna zagadka – powiedział Giordino.

– Co masz na myśli? – zapytał Pitt.

– Woda ma dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, a więc temperaturę o prawie trzy stopnie niższą niż jej normalna temperatura w tej części Morza Karaibskiego.

– Następny problem do rozwiązania – westchnął ze znużeniem Dodge. – Takie ochłodzenie morza to niespotykane zjawisko.

– Dużo już zdziałałeś – pochwalił chemika Gunn. – Nie wszystko naraz. Pobierzemy próbki i wyślemy do naszego laboratorium w Waszyngtonie. Niech oni dalej wyjaśniają tę tajemnicę. Naszym zadaniem jest teraz wytropienie źródła.

– Możemy tego dokonać tylko w jeden sposób – powiedziała Renee. – Musimy posuwać się tropem prowadzącym do największego stężenia.

Pitt uśmiechnął się ze znużeniem.

– Po to tu jesteśmy... – Urwał nagle, zeszywniał i wpatrzył się w przednią szybę sterowni. – I po to, żeby odwiedzić Disneyland – dokończył cicho.

– Lepiej się prześpij – doradził Giordino. – Zaczynasz bredzić.

– Tu nie ma Disneylandu – zauważyła Renee, tłumiąc ziewanie.

Pitt odwrócił się i wskazał ruchem głowy morze przed dziobem.

– Więc skąd się tutaj wzięli Piraci z Karaibów?

Wszyscy jednocześnie spojrzeli w tamtym kierunku. Na linii horyzontu między ciemną wodą i rozgwieżdżonym niebem zobaczyli nikły żółty blask, który rozjaśniał się powoli, w miarę jak odległość między nim a „Poco Bonito” stopniowo malała. Stali nieruchomo i patrzyli w milczeniu, jak blask powoli przybiera mglisty kształt starego żaglowca. Okręt z każdą minutą stawał się coraz wyraźniejszy.

Przez chwilę myśleli, że mają przywidzenia, dopóki Pitt nie powiedział:

– Byłem ciekaw, kiedy stary Leigh Hunt wreszcie się pokaże.

Nastrój na pokładzie „Poco Bonito” nagle się zmienił. Przez prawie minutę wszyscy przyglądali się niepewnie dziwnemu zjawisku i nikt się nie poruszył ani nie odzywał. W końcu Gunn przerwał milczenie.

– Ten korsarz, przed którym ostrzegał nas admirał?

– Nie, pirat.

Przerażona Renee nie wierzyła własnym oczom.

– To nie może być realne. Naprawdę patrzymy na okręt-widmo?

Pitt uśmiechnął się lekko.

– Złudzenie optyczne. – Potem sparafrazował zdanie z książki *Rymy antycznego żeglarza*:

– Bez jednego szmeru mknie po morzu okręt Odyssey.

– Kim był Hunt? – zapytał niemal drżącym głosem Dodge.

– Piratem, który grasował na Morzu Karaibskim w latach 1665-1680. Schwyciła go załoga brytyjskiego okrętu Królewskiej Marynarki Wojennej i nakarmiła nim rekiny.

Dodge wolał nie patrzeć na dziwaczne zjawisko i odwrócił się. Jego umysł przestał na chwilę funkcjonować.

– Jaka jest różnica między piratem a korsarzem? – wymamrotał.

– Piraci, głównie brytyjscy, holenderscy i francuscy, napadali na statki handlowe, zwłaszcza hiszpańskie, dla własnego zysku – wyjaśnił Pitt. – Korsarze mieli upoważnienia swoich rządów do prowadzenia wojny morskiej i zatrzymywania dla siebie części łupów.

Upiorny żaglowiec był już w odległości zaledwie pół mili od „Poco Bonito” i szybko się zbliżał. Żółty blask nadawał mu surrealistyczny wygląd. Kiedy dystans zmalał, szczegóły okrętu stały się wyraźniejsze. Z pokładu dobiegały męskie okrzyki.

Trójmasztowiec z ożaglowaniem rejowym był barkentyną o małym zanurzeniu – ulubionym okrętem piratów sprzed XVIII wieku. Foki i groty wydymała bryza, która w rzeczywistości w ogóle nie wiała w tym momencie. Z każdej burty sterczało pięć dział.



Mężczyźni w chustach na głowach, stojący na pokładzie rufowym wymachiwali szablami. Wielka piracka flaga wysoko na grotmaszcie sterczała prosto, jakby okręt płynął pod wiatr. Z białej trupiej czaszki na czarnym tle kapłała krew.

Reakcje członków załogi „Poco Bonito” na ów widok były różne: od rosnącego przerażenia przez niepewność i lęk po chłodny spokój akademickiej kontemplacji. Twarz Giordina miała taki wyraz, jakby patrzył na wystygłą pizzę. Pitt przyglądał się barkentyńce przez lornetkę z miną wielbiciela filmów science fiction. Potem opuścił lornetkę i zaczął się śmiać.

– Gorzej ci? – zapytała ostro Renee.

Pitt wręczył jej lornetkę.

– Przyjrzyj się facetowi w czerwonym ubraniu ze złotą szarfą – powiedział.

– Temu w kapeluszu z piórami? – spytała, nie odrywając wzroku od szkła.

– Tak. Czym się różni od innych?

– Ma drewnianą nogę i hak zamiast prawej ręki.

– I przepaskę na oku.

– To też.

– Brakuje mu tylko papugi na ramieniu.

Renee opuściła lornetkę.

– Nie rozumiem.

– Jest zbyt stereotypowy, nie sądzisz?

Gunn, były oficer marynarki wojennej z piętnastoletnim stażem na morzu, dostrzegł zmianę kursu żaglowca niemal moment wcześniej, niż nastąpiło.

– Chce nam przeciąć drogę.

– Mam nadzieję, że nie odda do nas salwy z burty – odrzekł Giordino pół żartem, pół serio.

– Pchnij przepustnice do oporu i staranuj mu śródkręcie – powiedział Pitt do Gunna.

– Nie! – krzyknęła przerażona Renee. – To samobójstwo!

– Dirk ma rację – oświadczył lojalnie Giordino. – Wbijemy dziób w tego frajera.

Gunn zaczął się uśmiechać, kiedy zrozumiał, co sugeruje Pitt. Stanął za sterem i dał pełną moc silników. Dziób uniósł się metr nad wodę. „Poco Bonito” runął do przodu jak koń wyścigowy dźgnięty widłami w zad. Po stu metrach mknął przez morze z szybkością pięćdziesięciu węzłów prosto ku lewej burcie pirackiego okrętu. Działa barkentyńcy w otwartych furtach armatnich wypaliły, z luf buchnęły płomienie, po wodzie przetoczył się grzmot.

Pitt szybko zerknął na ekran radaru i zbiegł do swojej kajuty no noktowizor. Po niecałej minucie wrócił na pokład, przywołał gestem Giordino i dał mu znak, by podążył za nim. Giordino bez wahania wspiął się za Pittem po drabince na dach sterowni. Położyli się płasko, oparli na łokciach i zaczęli na zmianę patrzeć przez noktowizor. Co dziwne, nie obserwowali

samego żaglowca, lecz ciemność przed nim i za nim.

Renee i Dodge doszli do wniosku, że, być może, dwaj faceci z NUMA stracili rozum i przykucnęli instynktownie za sterownią. Nad nimi, Pitt i Giordino nie przejmowali się w ogóle nadciągającą katastrofą.

– Mam mój cel – oznajmił Giordino. – Wygląda na małą barkę. Jest około trzystu metrów na zachód.

– Ja też – odparł Pitt. – Duży jacht, ponad trzydzieści metrów długości. Kawalek na wschód.

Sto metrów, pięćdziesiąt, na kolizyjnym kursie z nieznanym. Potem „Poco Bonito” przebił sylwetkę starej barkentyny. Żółty blask rozbłysnął na moment jak światła laserowe na koncercie rockowym i otoczył mały statek badawczy. Renee i Dodge zobaczyli nad sobą piratów strzelających wściekle z pistoletów. O dziwo, żaden z nich nie zwracał uwagi na statek przebijający ich okręt.

„Poco Bonito” pędził dalej sam po czarnym morzu. Za jego rufą żółty blask nagle zgasł. Strzały ucichły. Wszystko zniknęło bez śladu.

– Nie odejmuj gazu – doradził Gunnowi Pitt. – To nie jest zdrowa okolica.

– Mieliliśmy halucynacje, czy jak? – mruknęła pod nosem blada jak papier Renee. – A może naprawdę przebiliśmy na wylot okręt-widmo?

Pitt otoczył ją ramieniem.

– To był trójwymiarowy obraz, kochanie. Wysokość, szerokość, głębia i ruch. Wszystko zarejestrowane i wyświetlone w hologramie.

Wciąż oszołomiona Renee wpatrywała się w ciemność.

– Wyglądał tak prawdziwie, tak przekonująco...

– Mniej więcej tak prawdziwie, jak ten pirat na pokładzie z drewnianą nogą Długiego Johna Silvera z *Wyspy Skarbów*, hakiem Kapitana Hooka z *Piotrusia Pana* i przepaską na oku Horatio Nelsona. A na fladze krew kapała w złych miejscach.

– Ale po co to wszystko? – zapytała Renee. – Po co taka projekcja na środku morza?

Pitt patrzył przez otwarte drzwi sterowni na ekran radaru wewnątrz.

– Mamy tu przypadek współczesnego piractwa – wyjaśnił.

– Ale kto wyświetlił ten obraz holograficzny?

– No, właśnie – wtrącił się Dodge. – Nie widziałem żadnego innego statku.

– Skupiliście całą uwagę na tej zjawie – odparł Giordino. – Dirk i ja zauważyliśmy duży jacht na lewo od nas i małą barkę z prawej burty. Obie łodzie w odległości około trzystu metrów. Bez świateł.

Renee wreszcie pojęła.

– To oni wyświetlili hologram?

Pitt skinął potwierdzająco głową.

– Stworzyli iluzję okrętu-widma z załogą skazaną na wieczną tułaczkę po morzach. Tylko

że ich projekcja to nęcza. Chcieli zrobić kopię okrętu Hunta, ale chyba widzieli za dużo starych filmów z Errolem Flynnem.

– Radar pokazuje, że jacht nas ściga – ostrzegł Giordino.

Stojący za sterem Gunn przyjrzał się dwóm punktom widocznym na ekranie.

– Jeden się nie rusza. To na pewno barka. Jacht płynie około pół mili za nami, ale zostaje w tyle. Muszą być cholernie wkurzeni, że nie mogą dogonić starego kutra rybackiego.

Giordino zepsuł nastrój odprężenia, który zapanował przed chwilą na pokładzie „Poco Bonito”.

– Lepiej się módlmy, żeby nie mieli moździerzy albo wyrzutni raketowych.

– Do tej pory już by ich użył... – Odpowiedź Gunna przerwał nadlatujący pocisk raketowy. Wyłonił się nagle z ciemności, minął z gwizdem „Poco Bonito”, musnął kopułę radaru i głucho uderzył w wodę pięćdziesiąt metrów przed dziobem.

Pitt spojrział na Gunna.

– Wolałbym, żebyś nie podsuwał im takich pomysłów.

Gunn nic nie odpowiedział, skupił się całkowicie na kole sterowym. Skręcił ostro na lewą, potem na prawą burtę. Wykonywał nieprzewidywalne uniki przed następnymi raketami, które zaczęły nadlatywać jedna za drugą w trzydziestosekundowych odstępach.

– Zgas światła nawigacyjne! – krzyknął do niego Pitt.

Wicedyrektor NUMA natychmiast przestawił włącznik główny i zapadła ciemność. Fale wzrosły do metra i szeroki kadłub „Poco Bonito” prześlizgiwał się teraz po ich grzbietach z szybkością prawie czterdziestu pięciu węzłów.

– Jaką bronią dysponujemy? – zapytał spokojnie Giordino.

– Mamy dwa karabiny M4 z podwieszonymi granatnikami czterdzieści milimetrów.

– Nic cięższego?

– Admirał pozwolił zabrać na pokład tylko to. Mniejszą broń łatwiej ukryć, gdyby zatrzymała nas nikaraguańska łódź patrolowa.

– Czy my wyglądamy na przemytników narkotyków? – oburzyła się Renee.

Dodge spojrział na nią i uśmiechnął się krzywo.

– A jak wyglądają przemytnicy narkotyków?

– Mam mojego starego colta 45 – zwrócił się Pitt do Giordina. – A ty, Al?

– Automatycznego desert eagle kaliber 50.

– Pewnie nie uda nam się ich zatopić – powiedział Pitt – ale może przynajmniej zniechęcimy ich do abordażu.

– Jeśli wcześniej nie rozwałą nas w drobny mak – mruknął Giordino, kiedy następna rakietka wylądowała w kilwaterze „Poco Bonito” piętnaście metrów za rufą.

– Ich pociski raketowe najwyraźniej nie mają przyrządów naprowadzających. Nie trafiają nas, dopóki nas nie widzą.

W ciemności za statkiem pojawiły się błyski wystrzałów z broni automatycznej.

Współcześni piraci kierowali się na cel według radaru. Pięćdziesiąt metrów od sterburty nad powierzchnią morza pojawiła się nadlatująca seria pocisków smugowych. Gunn na chwilę odbił w lewo, potem wrócił na prosty kurs. Seria chybiła i pociski podziurawiły czarną wodę.

Z ciemności wyłoniły się dwie kolejne rakiety. Piraci wystrzelili je w kierunku punktu na ich radarze w ten sposób, że leciały po niemal równoległych torach. Pomysł był dobry, ale odpalili pociski w momencie, kiedy Gunn chwilowo płynął prosto, zanim zamarkował manewr w lewo przed skrętem w prawo. Rakiety wylądowały po obu stronach statku w odległości piętnastu metrów od burt i pokład załapały dwie kaskady wody.

Nagle piraci przerwali ogień i wokoło zapadła cisza, słychać było tylko szybki warkot potężnych silników „Poco Bonito”, pomruk z rur wydechowych i szum wody przecinanej dziobem.

– Zrezygnowali? – zapytała z nadzieją Renee.

Gunn spojrzał na radar.

– Zmieniają kurs. Zawracają! – zawołał wesoło ze sterowni.

– Ale kim oni są?

– Lokalni piraci nie używają hologramów i nie odpalają rakiet z jachtów – odparł ponuro Giordino.

Pitt wpatrywał się uważnie w ciemność za rufą.

– Głównymi podejrzanymi są nasi przyjaciele z Odyssey. Oczywiście, są przekonani, że nie żyjemy, co do tego nie ma wątpliwości. Po prostu wpadliśmy w pułapkę zastawioną na każdy statek przepływający przez ten rejon.

– Nie będą zachwyceni – powiedział Dodge – kiedy się dowiedzą, że wymknęliśmy się im nie raz, ale już dwukrotnie.

Renee nadal nie rozumiała niczego.

– Ale dlaczego my? Co im takiego zrobiliśmy, że chcą nas zabić?

– Podejrzewam, że weszliśmy na ich tereny łowieckie – odrzekł Pitt. – W tej części Morza Karaibskiego musi być coś, czego ani my, ani nikt inny nie powinien zobaczyć.

– Może przemycają tędy narkotyki? – podsunął Dodge. – Czy Specter może być zamieszany w coś takiego?

– To jest możliwe – przyznał Pitt. – Ale o ile wiem, jego imperium robi kokosy na podziemnych robotach budowlanych. Przemysł narkotyków nie byłby wart ich czasu i zachodu, nawet jako działalność uboczna. Nie, tutaj chodzi o coś więcej niż przemysł czy piractwo.

Gunn włączył autopilota, wyszedł ze sterowni i opadł ciężko na leżak.

– Więc jaki kurs wprowadzimy do komputera?

Nikt się nie odezwał.

Pitt nie chciał dłużej narażać załogi „Poco Bonito” na niebezpieczeństwo ale mieli tu zadanie do wykonania.

– Sandecker wysłał nas tutaj, żebyśmy dowiedzieli się prawdy o brązowej zawieszynie. Musimy kontynuować poszukiwania jej największego stężenia i mieć nadzieję, że w ten sposób dotrzemy do jej źródła.

– A jeśli tamci znów będą nas ścigać? – zapytał Dodge.

Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Będziemy uciekać. Jesteśmy w tym dobrzy.

Nad pustym morzem wstał świt. Radar nie pokazywał żadnych statków w promieniu trzydziestu mil. Godzinę wcześniej przeleciał helikopter, poza tym nic nie zakłócało poszukiwań źródła brązowej zawiesiny. Dla bezpieczeństwa „Poco Bonito” całą noc płynął bez świateł.

Wkrótce po spotkaniu z fałszywym okrętem-widmem skręcili na południe. Wchodzili teraz do zatoki Babia Punta Gorda – doprowadził ich tutaj coraz wyraźniejszy ślad toksycznego skażenia. Jak dotąd, pogoda im sprzyjała, wiała tylko leciutka bryza.

Wybrzeże nikaraguańskie znajdowało się w odległości zaledwie dwóch mil. Wzdłuż horyzontu ciągnęła się cienka linia nizin, wyglądała jak równa kreska narysowana czarnym tuszem przez gigantyczną rękę. Nad lądem wisiała mgła, która dryfowała na tle niskich gór ku zachodowi.

– Bardzo dziwne – powiedział Gunn, patrząc przez lornetkę.

Pitt podniósł wzrok.

– Co?

– Według mapy morskiej, jedynym zamieszkanym miejscem nad zatoką Punta Gorda jest mała wioska rybacka o nazwie Barra del Rio Maiz.

– I...?

– Sam zobacz. – Gunn wręczył Pittowi lornetkę.

Pitt uniósł ją do oczu i przyjrzał się linii brzegowej.

– Ta wioska rybacka na odludziu wygląda na duży głębokowodny port kontenerowy. Widzę dźwigi i rozładunek dwóch statków. Dwa następne czekają na kotwicy na swoją kolej.

– Są również rozległe magazyny.

– Duży tam ruch.

– Co o tym myślisz? – zapytał Gunn.

– Podejrzewam, że dostarczają tu sprzęt i materiały do budowy szybkiej kolei między

oceanami.

– Cholernie się z tym kryją – odrzekł Gunn. – Nic mi nie wiadomo, że ten projekt został w końcu sfinansowany i że rozpoczęto jego realizację.

– Dwa z tamtych statków mają czerwone bandery Chińskiej Republiki Ludowej – powiedział Pitt. – To wyjaśnia kwestię funduszy.

Woda w wielkiej zatoce Punta Gorda, do której wpływali, zmieniła nagle kolor na brunatny. Wszyscy wpatrzyli się w morze, nikt się nie odzywał, zastygli w bezruchu. Z porannej mgły wyłaniała się powoli gęsta brązowa zawiesina przypominająca owsiankę.

Stali i przyglądali się w milczeniu, jak dziób „Poco Bonito” przecinał skażoną powierzchnię morza, która była podobna do skóry trędowatego.

Giordino trzymał ster, żując koniec niezapalonego cygara. Zmniejszył obroty silników i Dodge zaczął gorączkowo rejestrować i analizować skład chemiczny wody.

W ciągu długiej minionej nocy Pitt poznał trochę bliżej Renee i Dodge’a. Renee pochodziła z Florydy i została instruktorką nurkowania, gdy była jeszcze młodą dziewczyną. Kochała podwodny świat i zdobyła dyplom biologa morskiego. Kilka miesięcy przed rozpoczęciem pracy na „Poco Bonito” rozwiodła się i boleśnie to przeżyła. Dużo czasu spędzała daleko od domu, prowadząc badania naukowe. Po powrocie z długiego pobytu służbowego na Wyspach Salomona dowiedziała się, że mężczyzna jej życia odszedł do innej kobiety. Mężczyźni, oświadczyła, przestali być dla niej najważniejszą sprawą.

Pitt starał się ją rozweselić, kiedy tylko przychodziło mu do głowy coś śmiesznego.

Jego dowcipy niemal zupełnie nie działały na Dodge’a. Małomówny chemik był wdowcem, miał pięcioro dzieci i czworo wnucząt. Pracował w laboratoriach NUMA od chwili powstania agencji, specjalizował się w skażeniach wody. Rok temu, kiedy po trzydziestu latach szczęśliwego małżeństwa stracił żonę, zgłosił się na ochotnika do badań naukowych w terenie. Czasem uśmiechał się lekko, słysząc jakiś żart Pitta, ale nigdy nie śmiał się głośno.

Weszło słońce i oświetliło brązową zawiesinę wokół statku. Miała konsystencję bardzo gęstej plamy ropy i wygładzała powierzchnię morza, nie tworzyły się żadne fale. Giordino zwolnił i utrzymywał szybkość dziesięciu węzłów.

Po uniknięciu eksplozji w pobliżu Bluefields i późniejszej ucieczce przed jachtem piratów, na „Poco Bonito” przez całą noc rosło napięcie, a teraz atmosfera stała się tak gęsta jak nieprzenikniona mgła, wydawało się, że każdy może wyciągnąć rękę i dotknąć jej. Pitt i Renee wciągnęli na pokład kilka wiader zawiesiny i napełnili nią szklane pojemniki – miano ją później poddać analizom w waszyngtońskich laboratoriach NUMA. Wyłowili również martwe stworzenia morskie, żeby Renee mogła je zbadać.

Nagle Giordino podniósł alarm.

– Przed dziobem z lewej burty! – krzyknął ze sterowni, gestykulując z włoskim temperamentem. – Coś się dzieje w wodzie!

Zobaczyli w morzu ruch, jakby gigantyczny wieloryb miotał się w śmiertelnych konwulsjach. Wszyscy zamarli. Giordino skręcił dziób statku o dwanaście stopni w kierunku turbulencji.

Pitt wszedł do sterowni i spojrzął na głębokościomierz. Dno morskie podnosiło się szybko, jakby było stromą ścianą Wielkiego Kanionu. Zawiesina na powierzchni morza bulgotała niczym wrzące błoto.

– Nie do wiary – mruknął Dodge jak w hipnozie. – Według mapy morskiej, głębokość wokół naszej pozycji wynosi sto osiemdziesiąt metrów.

Pitt nic nie powiedział, wyszedł na zewnątrz, stanął na dziobie i uniósł lornetkę do oczu.

– Woda wygląda tak, jakby się gotowała – poinformował Giordina przez otwarte okno sterowni. – To nie może być wulkan. Nie ma pary ani fali gorąca.

– Dno podnosi się coraz bardziej! – zawołał Dodge. – Zupełnie jak przy erupcji wulkanu, tylko brakuje roztopionej lawy.

Brzeg był już niecałe dwie mile od nich. Morze burzyło się, fale przewalały się dookoła i kołysały gwałtownie statkiem. Brązowa zawiesina zgęstniała i nabrała teraz wyglądu spoistego błota.

Giordino podszedł do drzwi sterowni i zawołał Pitta.

– Temperatura wody wzrosła. Na odcinku ostatniej mili wróciła do normy. Wynosi dwadzieścia osiem stopni.

– Jak byś to wyjaśnił?

– Wiem tyle, co ty.

Dodge nic z tego nie rozumiał. Cóż to mogło być? Nagły wzrost temperatury wody, nieoznaczone wypiętrzenie dna morskiego, ogromna ilość brązowej zawiesiny, która brała się nie wiadomo skąd... To było po prostu niepojęte.

Pitt też nie potrafił tego wytłumaczyć. Wszystko, co tu odkryli, przeczyło całej jego wiedzy o morzu. Wulkany wyrastają z głębin, ale nie na wzniesieniach z mułu i szlamu. Woda powinna być płynnym środowiskiem, w którym żyją różne gatunki ryb. Tu nie było żywych stworzeń. Kiedyś mogły tutaj pływać czy pełzać po dnie. Teraz były martwe i zagrzebane pod zawiesiną lub przeniosły się gdzie indziej. Nic nie rosło, nic nie egzystowało. Strefa śmierci pod toksycznym błotem niewiadomego pochodzenia.

Giordino z trudem utrzymywał statek w poziomie. Fale nie przekraczały półtora metra, ale nie nadciągały z jednego kierunku, jak podczas sztormowego wiatru. Atakowały „Poco Bonito” ze wszystkich stron. Po następnych dwustu metrach morze zmieniło się w żywioł o niepohamowanej gwałtowności.

– Masa rozszalałego błota – powiedziała Renee z takim wyrazem twarzy jakby patrzyła na miraż. – Niedługo utworzy tu wyspę.

– Szybciej niż myślisz – zawołał Giordino i przestawił przepustnice na ciąg wsteczny. – Trzymajcie się mocno. Dno podchodzi pod kil.



Statek przyhamował, ale było już za późno. Dziób uderzył w błotniste wzniesienie i wszyscy polecili do przodu. Kadłub zarył w muł. Śruby wirowały szaleńczo i rozbijały błoto na brązową pianę, próbując wyciągnąć „Poco Bonito” z pułapki.

– Wyłącz silniki – polecił Pitt. – Za godzinę będzie wysoki przypyływ. Zaczekamy i wtedy spróbujemy. Przenieśmy tymczasem wszystkie ciężkie rzeczy na rufę.

– Naprawdę myślisz, że jeśli przeniesiesz do tyłu kilkaset kilogramów, uda ci się podnieść dziób na tyle, że się stąd wydostaniemy? – zapytała z powątpiewaniem w głosie Renee.

Pitt już ciągnął wielki zwój liny w kierunku rufy.

– Dodaj do tego ciężar naszych ciał. Kto wie? Może będziemy mieli szczęście...

Choć czterej mężczyźni i jedna kobieta pracowali w takim tempie, jakby od niego zależało ich życie, prawie godzinę zajęło im zgromadzenie na tylnym krańcu pokładu rufowego swoich bagaży, zapasów prowiantu, ruchomego sprzętu i umeblowania statku. Sieci rybackie służące jako kamuflaż wyrzucili za burtę. Kotwice też.

Pitt spojrzał na wskazówki swojej doxy.

– Za trzynaście minut przypyływ, a potem wybije godzina prawdy.

– Wybiła wcześniej niż sądziłeś – powiedział Giordino. – Mamy na radarze jakiś statek. Zbliża się szybko z północy.

Pitt chwycił lornetkę i spojrzał w tamtym kierunku.

– To jacht – oznajmił.

Gunn osłonił oczy przed słońcem od wschodu i popatrzył ponad brązową zawiesiną.

– Ten sam, który nas zaatakował w nocy?

– W ciemności nie przyjrzałem mu się dobrze przez noktowizor. Ale bezpieczniej jest przyjąć, że to ten sam. Nasi przyjaciele wytropili nas.

– Wiejemy stąd – powiedział Giordino. – Teraz albo nigdy. Odpalam silniki.

Pitt zebrał pozostałą trójkę na rufie. Giordino stanął za sterem i obejrzał się. Pitt sprawdził, czy wszyscy trzymają się mocno relingu, i dał mu znak, by włączył całą wstecz. Giordino pociągnął przepustnicę do oporu. Rozległ się ryk potężnych diesli, kadłub obrócił się w bok, ale dziób tkwił głęboko w mule. Gęsta zawiesina trzymała kil „Poco Bonito” jak klej. Mimo iż na krańcu rufy znajdowały się przedmioty ważące łącznie około tony i stało tam czworo ludzi, przednia część statku uniosła się tylko pięć centymetrów. Za mało, by się mogli uwolnić.

Pitt miał nadzieję, że któraś z fal uniesie dziób, ale nie napłynęła nawet jedna. Gęsta brązowa substancja unosząca się na powierzchni morza była gładka jak stół. Silniki pracowały na maksymalnych obrotach, śruby wkręcały się w muł, ale nie dawało to żadnych efektów. Wszyscy przenieśli wzrok na jacht, który pruł prosto na nich z dużą szybkością.

Dopiero teraz, w świetle dziennym, Pitt mógł mu się dobrze przyjrzeć. Ocenił jego długość na czterdzieści pięć metrów, lecz megajacht nie miał standardowej białej barwy, lecz

kolor lawendy, jak pikap Odyssey zaparkowany w porcie. Wyglądał na cud techniki i superluksusową jednostkę pełnomorską. Na jego pokładzie Pitt dostrzegł sześciometrową motorówkę i sześciuosobowy helikopter.

Był dostatecznie blisko, by Pitt mógł odczytać nazwę wypisaną złotymi literami: EPONA. Poniżej, na poziomie drugiego pokładu, widniało logo Odyssey – galopujący koń. Taki sam emblemat, złocisty koń na lawendowym tle, zdobił flagę łopoczącą na antenie telekomunikacyjnej.

Pitt widział, jak dwaj członkowie załogi gorączkowo przygotowywali motorówkę do spuszczenia na wodę. Kilku innych, z bronią w ręku, zajęło miejsca na długim pokładzie dziobowym. Nikt nie próbował się kryć, byli przekonani, że kuter rybacki jest zupełnie niegroźny i nie zastosowali żadnych środków ostrożności. Pittowi zjeżyły się włosy na karku, gdy zobaczył, że dwaj mężczyźni ładują wyrzutnię raketową.

– Idzie prosto na nas – wymamrotał z niepokojem Dodge.

– Nie przypominają piratów, których znam z książek! – krzyknął ze sterowni Giordino przez ryk silników. – Tamci nigdy nie atakowali statków z eleganckiego jachtu. Założę się o sto dolców, że jest kradziony.

– Nie jest – zaprzeczył Pitt. – Należy do Odyssey.

– Tak mi się tylko zdaje, czy oni rzeczywiście są wszędzie?

Pitt odwrócił się.

– Renee! – zawołał. – Zejdź do kuchni, opróżnij wszystkie butelki, jakie znajdziesz, i napełnij je paliwem do generatora.

– Dlaczego nie paliwem do silników? – zapytał Dodge.

– Bo benzyna zapala się łatwiej niż olej napędowy – wyjaśnił Pitt. – Po napełnieniu butelek wetknij do nich kawałki szmat i okręć wokół szyjek.

– Koktajle Mołotowa?

– Właśnie.

Ledwo Renee zniknęła pod pokładem, „Epona” zatoczyła szeroki łuk w ich kierunku. Zbliżała się szybko dziobem na wprost. Pitt zobaczył teraz, że był to katamaran.

– Jeśli nie wydostaniemy się z tej kupy mułu, sytuacja stanie się niewesoła – powiedział.

– Przestań narzekać! – odkrzyknął Giordino. – Tylko na to cię stać?

Ku zaskoczeniu wszystkich, wypadł nagle ze sterowni, wdrapał się po drabince na dach, zamarł na moment w pozie pływaka olimpijskiego i opadł na pokład rufowy między Pitta i Gunna.

Może zawdzięczali to szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, może przeznaczeniu, a może pomysłowości Giordina, w każdym razie jego ciężar i siła, z jaką uderzył w pokład, uwolniły statek. Powoli, centymetr po centymetrze, dziób zaczął się wydostawać z pułapki. Kil wysunął się z gęstego błota i „Poco Bonito” wystrzelił wstecz jak na sprężynie.

– Nie słuchaj mnie, gdybym kiedykolwiek namawiał cię do odchudzania – powiedział

Pitt.

– Nie ma obawy. – Giordino szeroko się uśmiechnął.

– Rozpoczynamy dobrze przeciwzoną ucieczkę – oznajmił Pitt. – Rudi, do steru. Trzymaj się najniżej jak możesz. Renee, ty i Patrick kładźcie się na pokładzie za stertą rzeczy, które przenieśliśmy na rufę. Al i ja schowamy się pod brezentem.

Zaledwie zdążył to powiedzieć, jeden z członków załogi luksusowego jachtu odpalił raketę z wyrzutni ręcznej. Pocisk wleciał lewymi drzwiami do sterowni, wyleciał przez prawe okno, wpadł do wody pięćdziesiąt metrów od sterburty i eksplodował.

– Dobrze, że jeszcze mnie tam nie było – powiedział Gunn, starając się zachować spokój.

– Teraz rozumiesz, dlaczego mówiłem, żebyś się trzymał jak najniżej.

Gunn wskoczył do sterowni, obrócił kołem i oddalił dziób od podwodnej góry błota. Ale zanim zdążył rozpedzić statek, następna rakietą przebiła burtę w śródkręciu i trafiła w prawy silnik. Jakimś cudem nie eksplodowała, ale wywołała pożar paliwa wyciekającego z roztraskanego diesla. Gunn wykazał się refleksem i natychmiast zamknął przepustnicę, żeby ropa z uszkodzonych przewodów paliwowych nie tryskała do ognia.

Dodge dał nura przez właz do maszynowni i chwycił gaśnicę zamontowaną na przegrodzie. Wyszarpnął zawleczkę, wdusił przycisk i stłumił płomień. Po chwili z otwartego włazu unosił się już tylko czarny dym.

– Nabieramy wody? – zawołał Pitt spod brezentu.

– Na dole jest bajzel jak cholera, ale zęza jest sucha! – odkrzyknął z maszynowni Dodge między atakami kaszlu.

Na widok słupa dymu wznoszącego się z wnętrza „Poco Bonito” piraci na jachcie uznali, że kuter rybacki został śmiertelnie trafiony. Przekonany, że członkowie załogi nie żyją lub odnieśli zbyt ciężkie rany, by mogli stawiać opór, kapitan „Epony” zmniejszył obroty silników, zwolnił i wpłynął przed dziób małego statku.

– Mamy jeszcze napęd, Rudi?

– Prawy silnik padł, ale lewy nadal chodzi.

Pitt uśmiechnął się z satysfakcją.

– Więc tamci popełnili właśnie fatalny błąd.

– Jaki? – zdziwił się Gunn.

– Pamiętasz okręt piracki?

– Jasne.

Gunn zrozumiał. Cofnął przepustnicę sprawnego silnika i „Poco Bonito” znieruchomiał na wodzie. Podstęp się udał. Kapitan jachtu, pewien, że ofiara zaraz zatonie, podpłynął wolno bliżej.

Mijały sekundy, w końcu jacht znalazł się w zasięgu strzału. Nie widząc żadnego ruchu na pokładzie dymiącego statku, piraci nie otworzyli ognia z broni ręcznej. Przez okno sterowni jachtu wychylił się brodacz z megafonem.

– Do wszystkich, którzy mnie słyszą – powiedział z akcentem charakterystycznym dla głębokiego amerykańskiego południa. – Jeśli nie opuścicie swojej łajby, rozwalimy ją na kawałki. Nie próbujcie wzywać pomocy. Mamy na pokładzie detektory i natychmiast to wykryjemy. Daję wam dokładnie sześćdziesiąt sekund na zejście do wody. Obiecuję wszystkim bezpieczny transport do najbliższego portu.

– Odpowiemy im? – zapytał Gunn.

– Może powinniśmy zrobić to, co każą – mruknął Dodge. – Chciałabym jeszcze zobaczyć moje dzieci i wnuki.

– Jeśli wierzysz słowu pirata – powiedział lodowatym tonem Pitt – to mam kopalnię złota w Newark w New Jersey. Tanio ci ją sprzedam.

Jakby nie przejmował się w ogóle bliskością jachtu, wstał, przedarł się przez stertę rzeczy zgromadzonych na rufie do bandery nikaraguańskiej, opuścił ją, odpiął i zdjął. Potem wyciągnął spod koszuli małe zawiniątko i po chwili nad „Poco Bonito” załopotąła inna bandera.

– Teraz wiesz, skąd jesteśmy – powiedział, gdy wszyscy wpatrywali się z szacunkiem w gwiazdy i paski trzepoczące wyzywająco na wietrze.

Renee wróciła na pokład z butelkami i słoikami pełnymi benzyny. Rozejrzała się i nagle zrozumiała.

– Chcesz ich staranować? – zapytała z przerażeniem.

– Powiedz, kiedy – zawołał niecierpliwie Gunn z miną blefującego pokerzysty.

– Nie! – krzyknęła Renee. – To nie hologram. To prawdziwy statek. Jeśli w niego uderzymy, złożymy się jak akordeon.

– Na to liczę – warknął Pitt. – Ty i Patrick podpalcie knoty i bądźcie gotowi do rzucenia koktajli, gdy tylko dojdzie do kolizji.

Nikt się już więcej nie wahał. Jacht przesuwał się powoli przed dziobem „Poco Bonito” w odległości niecałych trzydziestu metrów.

Nagle Giordino rzucił Pittowi jeden z karabinów M4 i natychmiast otworzyli ogień do piratów. Giordino strzelał seriami i dziurawił sterownię jachtu natowskimi pociskami kaliber 5,56 milimetra. Pitt dokładnie wycelował, po czym oddał dwa pojedyncze strzały do mężczyzny z ręczną wyrzutnią raketową i zlikwidował go drugim pociskiem. Po upuszczonej broń schylił się inny pirat, ale Pitt zastrzelił i jego.

Niespodziewana obrona „Poco Bonito” zaskoczyła i oszołomiła załogę jachtu. Zamiast odpowiedzieć ogniem, piraci zaczęli się kryć. Giordino trafił w ramię kapitana, choć nie wiedział o tym. Tamten zniknął z widoku – upadł na pokład sterowni. W tym samym momencie krótka seria zwała z nóg sternika, jacht zszedł z kursu i zaczął się oddalać. Na jednym silniku „Poco Bonito” mógł rozwinąć tylko niecałą połowę swojej prędkości maksymalnej, ale pruł fale z szybkością wystarczającą do wykonania zadania.

Nikom nie trzeba było mówić, że powinien usiąść pod burtą i osłonić rękami głowę.

Renee i Dodge z obawą spojrzeli na pomarańczowe kamizelki ratunkowe, które wręczył im Gunn, zanim stanął w sterowni w rozkroku i zacisnął dłonie na kole, aż zbieleły mu kostki. Pojedyncza śruba mieliła wodę i pchała statek prosto na wielki, luksusowy jacht. Piraci patrzyli na „Poco Bonito” ze zgrozą i niedowierzaniem, bo zdali sobie nagle sprawę, że niewinnie wyglądający kuter rybacki nie poddał się, lecz atakował i zamierzał ich staranować. Nadziali się na wilka w owczej skórze, to był dla nich kompletny szok, jak dotąd żaden statek nie stawiał im oporu. Byli też zaskoczeni nieoczekiwanym pojawieniem się bandery amerykańskiej.

Pitt i Giordino nie przerywali morderczego ostrzału i wymiatali załogę jachtu z pokładów. „Poco Bonito” zmniejszał dystans i celował w śródkręcie tuż za sterownią. „Epona” rosła w oczach. Pokłady były puste. Piraci pochowali się na dole jak szczury. Woleli nie ryzykować, że zostaną trafieni skutecznym ogniem z nadpływającego kutra.

„Poco Bonito” wyglądał jak statek z piekła. Z włazu maszynowni wydobywała się chmura spalin zmieszanych z dymem, wiatr od dziobu zwiewał ją pod kątem dziewięćdziesięciu stopni ku rufie. Gunn służył jako oficer wykonawczy na niszczycielu rakietowym, który podczas wojny z Saddamem Husajnem staranował na Morzu Śródziemnym iracki okręt podwodny. Ale wtedy widoczny był tylko kiosk tamtego okrętu. Teraz Gunn miał przed sobą dużą, solidną jednostkę pływającą, znacznie wyższą od jego statku. Od kolizji dzieliły ich tylko sekundy.

Pitt i Giordino odłożyli karabiny i przygotowali się do zderzenia. Renee, skulona pod przegrodą nadbudowy, widziała stąd twarze obu mężczyzn. Nie dostrzegła na nich śladu napięcia czy strachu. Jej towarzysze sprawiali wrażenie tak obojętnych, jak dwie kaczki siedzące w ulewnym deszczu.

W sterowni Gunn obmyślał kolejne ruchy. Wycelował w dziób tak, by uderzyć w maszynownię jachtu tuż za główną jadalnię. Po zderzeniu zamierzał odwrócić ciąg śruby i modlić się, żeby mu się udało wydobyć „Poco Bonito” z dziury w kadłubie „Epony” i utrzymać go na wodzie, kiedy przeciwnik będzie szedł na dno. Smukły jacht był już tak blisko, że Gunn miał wrażenie, iż mógłby wysunąć ramię przez roztrzaskaną szybę sterowni i dotknąć dłonią namalowanego konia.

„Epona” urosła i przesłoniła słońce. Potem wszystko rozegrało się jakby w zwolnionym tempie, tępy zgrzyt, który się rozległ, wydawał się brzmieć bez końca. „Poco Bonito” przeciął burtę dużo większego przeciwnika, wybił dziurę w kształcie litery V, zdemolował przegrody maszynowni w prawym kadłubie wielkiego katamarana i zmiażdżył obsługę.

Renee i Dodge wstali i cisnęli butelki wypełnione benzyną z zapalonymi szmacianymi lontami. Jedna odbiła się od tekowego pokładu i nie stłukła, ale druga roztrzaskała się i zamieniła w kulę ognia. Burta jachtu stanęła w płomieniach. Renee i Dodge natychmiast rzucili słoiki. Pożar ogarnął połowę „Epony”. Piękna przed chwilą jednostka wyglądała teraz jak koszmarny sen chorego psychicznie człowieka.

Zanim mały statek badawczy stracił rozpęd, Gunn pociągnął dźwignię przepustnicy do pozycji całej wstecz. Przez kilkanaście dręczących sekund zgnieciony dziób „Poco Bonito”, wbity na dwa metry w „Eponę”, tkwił w niej uwięziony niczym pięść w imadle. Śruba konwulsyjnie rozbijała wodę. Pięć sekund, dziesięć, piętnaście... W końcu, z przeraźliwym piskiem rozdzieranych szczątków, statek zaczął się cofać. Kiedy zmiażdżony dziób wydobył się z otworu w kadłubie, do wnętrza jachtu wdarła się jak rozszalała rzeka brązowa zawiesina.

„Epona” natychmiast zaczęła się mocno przechylać.

Dwaj członkowie jej załogi, bezpieczni na przeciwległym kadłubie katamarana, oprzytomnieli nagle i otworzyli ogień z broni automatycznej. Strzelali chaotycznie i zbyt nisko, ponieważ jacht przechylił się już bardzo w dół na prawą burzę. Prawie wszystkie pociski uderzały w wodę wokół „Poco Bonito”, ale kilka przedziurawiło kadłub i powstały przecieki.

Pitt i Giordino strzelali na ślepo w dym i ogień, dopóki nie ustał opór załogi jachtu. Nadbudowę przesłaniała ściana pożaru, z wnętrza dobiegały krzyki i wrzaski. Lekka bryza rozdmuchiwała płomienie wydobywające się z wielkiej dziury w prawym kadłubie. Katamaran osiadał w wodzie coraz niżej, ocalały lewy kadłub wznosił się ponad powierzchnię.

Wszyscy na pokładzie „Poco Bonito” stłoczyli się przy relingu i patrzyli zafascynowani na tonący jacht. Załoga „Epony” gramoliła się pospiesznie do helikoptera. Pilot wcześniej uruchomił silnik i teraz zwiększył obroty. Skompensował kąt przechyłu jachtu, uniósł maszynę z płonącego katamarana i odleciał łukiem w kierunku lądu, pozostawiając rannych na pastwę ognia i wody.

– Podejź do ich burty – rozkazał Gunnowi Pitt.

– Na jaką odległość? – zapytał z niepokojem Gunn.

– Na taką, żebym mógł przeskoczyć na pokład.

Gunn wiedział, że dyskusja z Pittem nie ma sensu. Wzruszył ramionami i zaczął podpływać mocno uszkodzonym statkiem do jachtu ogarniętego pożarem od dziobu do śródkręcia. Utrzymywał silnik na obrotach wstecz i cofał się, żeby zmniejszyć ciśnienie wody wlewającej się do zniszczonej części dziobowej.

Giordino tymczasem pracował gorączkowo w znajdującej się w opłakanym stanie maszynowni „Poco Bonito”, dokonując niezbędnych napraw, żeby statek nie zatonął i nie utracił napędu. Renee usunęła z pokładu cały niepotrzebny sprzęt i wyrzuciła za burzę. Brudny i czarny od dymu Dodge zszedł na dół i zaciągnął do części dziobowej przenośną pompę. Zaczął walczyć z wodą wpływającą przed dziób zgnieciony aż do pierwszej przegrody.

Gunn manewrował ostrożnie „Poco Bonito”, chcąc ustawić go wzdłuż burty „Epony”. Pitt czekał i kiedy statek niemal zetknął się z jachtem, stanął na relingu, przeskoczył na katamaran i wylądował na odkrytym tekowym pokładzie za główną jadalnią. Na szczęście bryza zwiewała ogień w kierunku dziobu i część rufowa jeszcze nie płonęła. Pitt musiał się spieszyć, jeśli chciał znaleźć kogoś żywego, zanim jacht zatonie. Szalejący pożar huczał przeraźliwie – przypominało to odgłosy parowozu pędzącego po szynach.

Pitt przebiegł przez jadalnię. Była pusta. Szybko przeszukał kajuty pod pokładem, lecz tu także nie znalazł nikogo. Chciał się wspiąć do sterowni, ale na schodach wyłożonych pluszowym dywanem zatrzymała go ściana ognia. Gryzący dym wdzierał się przez nos do

płuc. Oczy łzawiły mu, piekły, jakby ktoś je wypalał, włosy i brwi miał osmalone. Zamierzał już zrezygnować i wycofać się, gdy naraz potknął się w kuchni o czyjeś ciało. Sięgnął w dół i ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że była to kobieta. Miała na sobie tylko bikini. Podniósł ją, położył sobie na ramieniu i chwiejnym krokiem przeszedł na pokład rufowy, kaszląc i wycierając co chwila oczy wolną ręką.

Gunn natychmiast zorientował się w sytuacji i przysunął statek jeszcze bliżej jachtu. Kiedy kadłuby uderzyły o siebie, wybiegł ze sterowni i przyjął od Pitta nad relingiem bezwładne ciało. Od żaru płomieni farba na burcie „Poco Bonito” zaczęła się pokrywać pęcherzami. Gunn delikatnie położył kobietę na pokładzie. Zdążył zauważyć tylko że miała rude, długie, proste włosy, musiał w pośpiechu wracać do sterowni i jak najszybciej odpłynąć statkiem od płonącego katamarana.

Pitt, który ledwo widział załzawionymi oczami, sprawdził kobiecie puls. Miała regularne tętno i oddech. Odgarnął jej włosy z czoła i zobaczył duży siniak. Pomyślał, że prawdopodobnie uderzyła się o coś, gdy nastąpiło zderzenie i straciła przytomność. Była ładnie opalona i bardzo atrakcyjna, miała gibkie ciało tancerki, długie zgrabne nogi, piękne rysy, nieskazitelną cerę, pełne, zmysłowe usta i zadarty nos, który dodawał jej uroku.

Renee skończyła wyrzucać za burtę pełną skrzynkę boi rybackich i podbiegła do leżącej na pokładzie kobiety.

– Pomóż mi ją zabrać na dół – powiedziała. – Zajmę się nią.

Pitt jeszcze nie całkiem dobrze widział. Zniósł kobietę po schodkach do swojej kajuty i ułożył ją na koi.

– Ma paskudnego siniaka na czole, ale chyba nic jej nie będzie – powiedział. – Możesz podłączyć jej butlę tlenową akwalungu, żeby szybciej usunąć dym z płuc.

Wrócił na górę w samą porę, by zdążyć zobaczyć zatonięcie jachtu.

Katamaran szedł pod wodę, lawendowy kadłub i nadbudowa, poczerniałe teraz od pożaru i poplamione brązową zawiesziną, wyglądały żałośnie. Smutny i wzruszający był koniec pięknego statku, Pittowi zrobiło się żal, że przyłożył do tego rękę. Ale potem zimna logika wzięła górę nad tym uczuciem. Wyobraził sobie taki sam los „Poco Bonito” tonącego z martwą załogą i smutek zmienił się w ulgę, że on i jego przyjaciele żyją i nikomu nic się nie stało.

Prawy kadłub katamarana pogrążył się całkowicie w brązowym morzu. Lewy wisiał przez chwilę w powietrzu, pozostawiając za sobą wirującą spiralę pary zmieszanej z dymem, gdy nadbudowa zanurzała się w wodzie. Ku niebu unosiły się para i dym. W słońcu załśniły wypolerowane śruby z brązu, potem zniknęły pod powierzchnią. Jeśli nie liczyć syku wody gaszącej płomień, jacht tonął cicho, bez protestu, jakby chciał ukryć swoją deformację. Pozostał tylko wizerunek złotego konia, później jego też pochłonęło obojętne brunatne morze.

Kiedy „Epona” zniknęła, na powierzchnię wypłynęła czarna plama ropy i rozlała się po błocie, mieniła w słońcu kolorami tęczy. Pojawiły się pękające pęcherze powietrza i



zniekształcone szczątki zawisły w wodzie i wydawało się, że czekały, aż prądy i przypływy zanoszą je do jakiegoś odległego brzegu.

Pitt odwrócił się od miejsca dramatu i wszedł do sterowni, pod jego butami zachrzącało potłuczone szkło rozsypane na pokładzie.

– Jaka sytuacja, Rudi? Dopłyniemy do brzegu, czy przesiadamy się do tratw ratunkowych?

– Mogłoby się nam udać, gdyby Al utrzymał silnik na chodzie, a Patrick spowolnił zalew części dziobowej. Ale to mało prawdopodobne. Wody napływa tak szybko, że pompy nie nadążają.

– Mamy też przecieki przez dziury po pociskach poniżej linii wodnej.

– W schowku na dole jest duży kawał brezentu. Gdyby udało nam się zasłonić nim dziób, może nabieralibyśmy mniej wody i pompy poradziłyby sobie.

Pitt zauważył, że kraniec części dziobowej jest obniżony o ponad pół metra.

– Popracuję nad tym – powiedział.

– Tylko nie za długo – ostrzegł Gunn. – Będę nadal płynął wstecz, żeby spowolnić zalew.

Pitt pochylił się nad włazem maszynowni.

– Al, jak się bawisz na dole?

Pojawił się Giordino i spojrzał w górę. Stał po kolana w brunatnej wodzie, miał przemoczone ubranie, a ręce, ramiona i twarz umazane ropą.

– Ledwo sobie radzę i możesz mi wierzyć, że wcale się nie bawię.

– Możesz mi pomóc na górze?

– Daj mi pięć minut na odblokowanie pompy zęzy. Zawiesina ją zatka, jeśli co kilka minut nie będę czyścił filtrów.

Pitt opuścił się na dół i poszedł obok kajut do schowka, gdzie znalazł wielką zwiniętą płachtę z brezentu. Była pękata i ciężka, ale udało mu się wciągnąć ją po drabince i przez właz na pokład dziobowy. Po chwili Giordino pospieszył z pomocą. Wyglądał, jakby wpadł do dołu ze smołą. Razem rozwinęli brezent i przywiązali do czterech rogów kawałki nylonowej linki. Dwa rogi obciążyli częściami silnika roztrzaskanego rakieta. Kiedy byli gotowi, Pitt odwrócił się i dał Gunnowi znak, żeby zredukował prędkość.

Zrzucili płachtę ze zgniecionego dziobu do wody, trzymając linki na czterech rogach. Potem zaczekali, aż obciążona krawędź brezentu zatonie wolno w brązowej zawieszynie, a gdy się to stało, Pitt odwrócił się do Gunna.

– Okay, mała naprzód!

Stanęli po przeciwnych stronach pokładu i ciągnęli linki, dopóki obciążona krawędź płachty nie zawisała pod resztkami dziobu. Przywiązali dolne linki i naciągnęli górne rogi. Brezent zakrył dziurawą część kadłuba i znacznie ograniczył napływ wody do wnętrza. Kiedy tylko umocowali linki, Pitt otworzył właz dziobowy w pokładzie i zajrzał do Dodge'a.

– Jaka sytuacja, Patrick?

– Udało się – zawołał zmęczony, ale szczęśliwy Dodge. – Zmniejszyliście zalew o dobre osiemdziesiąt procent. Teraz pompa powinna sobie poradzić.

– Muszę wracać na dół – powiedział Giordino. – Sytuacja w maszynowni kiepsko wygląda.

– Ty też – uśmiechnął się Pitt i otoczył go ramieniem. – Daj mi znać, gdybyś potrzebował pomocy.

– Przeszkadzałbyś mi tylko. Za kilka godzin będę miał wszystko pod kontrolą.

Pitt wszedł do sterowni.

– Możemy już ruszać w drogę, Rudi. Nasza łata chyba spełni swoje zadanie.

– Mamy szczęście, że skomputeryzowany system nawigacyjny przetrwał nietknięty. Zaprogramowałem kurs na Barra del Colorado w Kostaryce. Mój dawny kumpel z marynarki osiedlił się tam po przejściu na emeryturę. Mieszka obok ośrodka wędkarskiego. Będziemy mogli zacumować w jego przystani i dokonać niezbędnych napraw przed dalszym rejssem do stoczni remontowej NUMA w Fort Lauderdale.

– Mądry wybór – powiedział Pitt i wskazał wielki, tajemniczy kontenerowiec na morzu. – Moglibyśmy mieć kłopoty, gdybyśmy tam popłynęli. Lepiej uważać, niż potem żałować.

– Masz rację. Gdyby władze nikaraguańskie dowiedziałyby się, że zatopiliśmy jacht na ich podwórku, aresztowano by nas. – Gunn przyłożył ściereczkę do strużki krwi z przeciętego policzka. – Jaka jest historia tej uratowanej kobiety?

– Dowiem się, kiedy tylko odzyska przytomność.

– Chcesz się skontaktować z admirałem i złożyć mu raport czy ja mam to zrobić?

– Zajmę się tym – odrzekł Pitt.

Wszedł do mesy i usiadł przy komputerze, który służył załodze głównie do rozrywki, wysyłania e-mailów do domu i sporadycznych poszukiwań w Internecie. Wpisał nazwę „Epona” i czekał. Po minucie na ekranie pojawił się wizerunek konia i krótki opis jachtu. Pitt zapamiętał dane, wyłączył terminal i wyszedł.

W korytarzu między kajutami spotkał Renee.

– Jak nasza uratowana? – zapytał.

– Gdyby to ode mnie zależało, wywaliłabym jej arogancki tyłek za burzę.

– Aż tak?

– Ledwo się ocknęła, zaczęła się na mnie wyżywać. Nie dość, że ma wielkie wymagania, to jeszcze w dodatku mówi tylko po hiszpańsku. – Renee uśmiechnęła się chytrze. – Udaje.

– Skąd wiesz?

– Znam hiszpański lepiej niż ona. Matka mnie nauczyła.

– Nie odpowiada na pytania po angielsku? – zapytał Pitt.

Renee wzruszyła ramionami.

– Jak powiedziałam, udaje. Chce, żebyśmy uwierzyli, że jest tylko biedną Meksykanką, która harowała w kuchni. Ale zdradza ją makijaż i bikini z drogiego butiku. Ta dziwka ma

klasę. Nie jest pomywaczką.

– Pogadam z nią po swojemu – powiedział Pitt, wyciągnął swojego starego colta 45 z kabury przy pasie, wszedł do kajuty, w której znajdowała się tajemnicza kobieta, zbliżył się do niej i delikatnie przycisnął lufę do jej nosa. – Przykro mi, że będę musiał cię zabić, kochanie, ale nie możemy zostawić żadnych świadków. Chyba to rozumiesz?

Piwnie oczy kobiety rozwarły się szeroko, spojrzała z ukosa na pistolet i nagle, kiedy poczuła zimną, twardą stal, zaczęły drżeć jej wargi. Popatrzyła w nieodgadnione zielone oczy Pitta.

– Nie, błagam, nie! – krzyknęła po angielsku. – Nie zabijaj mnie! Mam pieniądze. Dam ci je, będziesz bogaty.

Pitt podniósł wzrok na Renee. Stała z otwartymi ustami. Nie była całkiem pewna, czy Pitt nie zastrzelił kobiety.

– Chcesz być bogata, Renee?

Renee włączyła się do gry.

– Mamy już tonę złota ukrytą na statku.

– Nie zapominaj o rubinach, szmaragdach i diamentach – skarcił ją Pitt.

– Moglibyśmy okazać jej trochę litości i jeszcze przez kilka dni nie nakarmić nią rekinów, gdyby opowiedziała nam o fałszywym okręcie pirackim i wyjaśniła, dlaczego jacht ścigał nas przez pół nocy, żeby nas zabić i zatopić nasz statek.

– Tak, tak, błagam! – kobieta wydała stłumiony okrzyk. – Powiem wam wszystko, co wiem!

Pitt spostrzegł w jej oczach dziwny błysk, który nie wzbudzał zaufania.

– A zatem słuchamy – odparł spokojnie.

– Jacht należał do mnie i mojego męża – zaczęła. – Płynęliśmy z Savannah przez Kanał Panamski do San Diego. Zbliżył się do nas niewinnie wyglądający kuter rybacki. Jego kapitan poprosił o środki opatrunkowe dla rannych członków załogi. Niestety mój mąż dał się na to nabrać i zanim zdążyliśmy zareagować, na nasz jacht wtargnęli piraci.

– Zanim dowiemy się więcej – przerwał Pitt – nazywam się Dirk Pitt, a to jest Renee Ford.

– Przepraszam, że nie podziękowałam wam za ratunek. Rita Anderson.

– Co się stało z twoim mężem i załogą?

– Piraci wszystkich zabili i wrzucili ciała do morza. Mnie oszczędzili, bo uznali, że będę dobrą przynętą dla przepływających statków.

– Jak to? – zapytała Renee.

– Wymyślili sobie, że widok kobiety w bikini na pokładzie zachęci ich załogi do podpłynięcia tak blisko, że będzie można ich łatwo zaatakować.

– I tylko dlatego cię nie zabili? – zapytał z powątpiewaniem w głosie Pitt.

Skinęła w milczeniu głową.

– Orientujesz się, kim mogli być i skąd przyплыnęli?

– To byli lokalni piraci, bandyci nikaraguańscy. Męża i mnie ostrzegano, żebyśmy nie przepływali przez ten rejon, ale morze wzdłuż wybrzeża wydawało się bezpieczne.

– Dziwne, że lokalni piraci potrafią pilotować helikopter – mruknęła pod nosem Renee.

– Ile statków zaatakowali i zatopili z twojego jachtu? – naciskał Ritę Pitt.

– Wiem o trzech. Zabili załogi, splądrowali statki w poszukiwaniu cennych rzeczy, a potem zatopili.

– Gdzie byłaś, kiedy zderzyliśmy się z twoim jachtem? – zapytała Renee.

– Więc to było tak? – powiedziała Rita raczej obojętnym tonem. – Siedziałam zamknięta w mojej kajucie. Słyszałam strzały i eksplozje. Potem poczułam silny wstrząs, jacht zadrżał i pojawił się ogień. Ostatnie, co pamiętam, to walącą się ścianę mojej kajuty. Potem straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, byłam na waszym statku.

– Przypominasz sobie coś jeszcze? Chodzi mi o to, co się działo przed zderzeniem i pożarem?

Rita wolno pokręciła głową.

– Nie. Uwięzili mnie w mojej kajucie i wypuszczali tylko wtedy, gdy przygotowywali się do ataku na jakiś statek.

– Po co ten hologram okrętu pirackiego? – zapytała Renee. – To bardziej odstraszenie statków niż piractwo.

Rita zrobiła taką minę, jakby nie rozumiała.

– Hologram? Nie wiem nawet dokładnie, co to jest.

Pitt uśmiechnął się w duchu. Było jasne, że Rita Anderson kłamie. Renee miała rację. Makijaż Rity nie pasował do kobiety, która widziała na własne oczy, jak mordują jej męża i była okrutnie traktowana przez piratów. Usta miała zbyt starannie umalowane perłową beżoworóżową szminką, oczy precyzyjnie podkreślone brązowym ołówkiem, czoło rozjaśnione opalizującym pudrem. Pitt postanowił ją przycisnąć i uważnie obserwować reakcję.

– Co cię łączy z Odyssey? – zapytał nagle.

W pierwszej chwili nie pojęła znaczenia nagłej zmiany tematu. Potem zaczęło do niej docierać, że ci ludzie nie byli zwykłymi rybakami.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła.

– Twój mąż nie pracował dla tego konglomeratu?

– Dlaczego pytasz? – rzuciła zaczepnym tonem. Już się zorientowała w sytuacji.

– Na waszym jachcie był taki sam wizerunek konia, jaki jest na logo Odyssey.

Dokładnie wyskubane i wyrysowane brwi uniosły się niemal niedostrzegalnie. Jest dobra, pomyślał Pitt. Bardzo dobra. Nie poddaje się łatwo. Zaczął zdawać sobie sprawę, że Rita nie była po prostu elegancką żoną bogatego faceta, lecz kobietą przyzwyczajoną do rządzenia i rozkazywania. Rozbawiła go, kiedy spróbowała zaatakować z flanki i odwrócić role.

– Kim wy jesteście? – natarła nagle. – Nie jesteście rybakami.

– Nie – odrzekł wolno Pitt. – Jesteśmy ekspedycją naukową Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych ze Stanów Zjednoczonych. Szukamy źródła brązowej zawiesiny w morzu.

Jego słowa wywarły taki efekt, jakby ją spoliczkował. Nagle straciła zimną krew.

– To niemożliwe. – wyrwało się jej, nim zdążyła odzyskać kontrolę nad sobą. Powinniście... – Ugryzła się w język i zamilkła.

– Już nie żyć po eksplozji w pobliżu Bluefields? – dokończył za nią Pitt.

– Wiedziałaś? – wycedziła Renee i ruszyła w stronę Rity, jakby chciała ją udusić.

– Wiedziała – powiedział Pitt, delikatnie ujął Renee za ramię i przytrzymał.

– Ale dlaczego? – zapytała Renee. – Za co chcieliście nas zabić?

Rita milczała. Wyraz jej twarzy zmienił się raptownie, zaskoczenie ustąpiło miejsca wściekłości i nienawiści. Renee miała teraz ochotę walnąć ją pięścią w twarz.

– Co z nią zrobimy? – zapytała.

Pitt wzruszył lekko ramionami.

– Nic – odparł. Wiedział, że nie wyciągnie już z Rity niczego więcej, bo powiedziała już wszystko, co chciała powiedzieć. – Zamknij ją w kajucie i nie wypuszczaj, dopóki nie dopłyniemy do Kostaryki. Rudi skontaktuje się z tamtejszymi władzami, poprosi, żeby w porcie czekała policja i aresztowała ją.

Pitta ogarnęło zmęczenie. Czuł się wykończony, ale inni byli w podobnym stanie. Miał wielką ochotę uciąć sobie krótką drzemkę, musiał jednak przedtem coś jeszcze załatwić. Rozejrzał się za leżakiem, lecz szybko przypomniał sobie, że Renee wyrzuciła go za burtę. Wyciągnął się na pokładzie, oparł plecami o burtę i wybrał numer na swoim telefonie satelitarnym Globalstar.

Sandecker wydawał się poirytowany.

– Dlaczego odzywacie się dopiero teraz?

– Byliśmy zajęci – mruknął Pitt.

Przez następne dwadzieścia minut zdawał admirałowi szczegółowe sprawozdanie. Sandecker słuchał cierpliwie i nie przerywał. Pitt zakończył wreszcie swój raport relacją z rozmowy z Ritą Anderson.

– Co Specter może mieć wspólnego z tym wszystkim? – zapytał zdziwiony admirał.

– W tej chwili przychodzi mi do głowy tylko to, że chce zachować coś w tajemnicy i wymorduje załogę każdego statku, który pozwoli sobie wpląć na jego teren.

– Słyszałem, że podpisał z Chińczykami kontrakty na jakieś wielkie prace budowlane w Nikaragui i Panamie.

– Loren wspominała mi o tym któregoś dnia przy kolacji.

– Zażądam śledztwa w sprawie działalności Odyssey – oznajmił Sandecker.

– Może pan również sprawdzić Ritę i Davida Andersenów i jacht o nazwie „Epona”.

- Jutro rano przydzielę to Yaegerowi.
- Chętnie się dowiem, jakie powiązania z całą sprawą ma ta kobieta.
- Odkryliście źródło brązowej zawiesiny?
- Natrafiliśmy na miejsce, gdzie unosi się z dna morskiego.
- Więc to zjawisko naturalne?
- Patrick Dodge uważa, że nie. – Pitt stłumił ziewnięcie. – Twierdzi, że nie ma mowy, żeby składniki mineralne tworzące zawiesinę mogły odrywać się od dna jak wystrzeliwane z działa. Mówi, że to jest wywoływane sztucznie. Musi się tu dziać coś dziwnego.
- Więc jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia – powiedział Sandecker.
- Niezupełnie – odrzekł cicho Pitt. – Chciałbym się wybrać na małą wyprawę.
- Przyślę odrzutowy transportowiec NUMA na lotnisko w pobliżu tego ośrodka wędkarskiego nad Rio Colorado. Przyleci nim załoga, która naprawi „Poco Bonito” i popłynie na północ. Gunn, Dodge i Ford wrócą tym samolotem do Waszyngtonu. Chciałbym, żebyś dołączył do nich z Alem.
- Robota nie jest jeszcze skończona.
- Sandecker nie protestował. Nauczył się już dawno temu, że Pitt z reguły ma rację.
- Co zamierzasz? – zapytał.
- Pitt popatrzył ponad morzem w kierunku zielonych lasów na przybrzeżnych górach widocznych za białymi piaszczystymi plażami.
- Myślę, że podróż rzeką San Juan do jeziora Nikaragua to niezły pomysł.
- Co spodziewasz się znaleźć tak daleko od morza i brązowej zawiesiny?
- Odpowiedź – odrzekł Pitt, płynąc już w myślach w górę rzeki. – Odpowiedź na pytanie, o co w tym wszystkim chodzi.

**CZEŚĆ III**

**OD ODYSEI DO ODYSEI**

**23 sierpnia 2006**

**Navidad Bank**

Jeśli huragan Lizzie miał jakieś pozytywne skutki, to tylko takie, że odsunął brązową zawieszinę, od Navidad Bank. Woda nad rafami koralowymi znów była niebieskozielona, widoczność sięgała niemal sześćdziesięciu metrów i znów roiły się tu tysiące ryb, jakby żaden sztorm nie wygnał ich z miejsca, które zamieszkiwały.

„Sea Sprite” zastąpił nad podwodną budowlą inny statek badawczy, noszący nazwę „Sea Yesteryear”. Był specjalnie skonstruowaną jednostką przeznaczoną do wspierania nurków w eksploracjach archeologicznych na płytkich wodach i rzadko operował daleko od wybrzeża. Wykorzystywano go już wcześniej w badaniach podwodnych ruin Biblioteki Aleksandryjskiej w Egipcie, chińskiej floty zatopionej przez kamikaze u wybrzeży Japonii, dawnych statków handlowych z Rosji i Szwecji na dnie Bałtyku i wielu innych miejsc historycznych.

Statek wyróżniał się tym, że mógł być przycumowany w czterech punktach i wykorzystywany jako baza do nurkowania saturacyjnego i w systemie gaz/powietrze z powierzchni. Basen zanurzeniowy w centralnej części kadłuba był wyposażony w sprzęt do operacji podwodnych, opuszczania i podnoszenia pojazdów głębinowych i wydobywania artefaktów z dna morskiego. Całą część dziobową zajmowało przestronne laboratorium z najnowocześniejszą aparaturą do analiz naukowych i konserwacji antycznych obiektów.

„Sea Yesteryear” był krótszy od większości jednostek badawczych, ale wystarczająco pojemny, miał czterdzieści sześć metrów długości i niemal czternaście szerokości. Dwa wielkie silniki diesla zapewniały mu szybkość dwudziestu węzłów. Pracowała na nim dziesięcioosobowa ekipa naukowców oraz czteroosobowa załoga. Wszyscy na pokładzie szczylicili się tym, że już kilkakrotnie poprawili historię mórz. Podczas eksploracji Navidad Bank nabrali przekonania, że są o krok od największego odkrycia, jakiego dotąd dokonali.

Początkowo archeolodzy morscy badający kamienne pomieszczenia nie mieli pewności, czy budowla jest dziełem człowieka. Liczba artefaktów była raczej niewielka. Oprócz



obiektów znajdujących się na kamiennym łożu i w kotle, natrafiono jedynie na przedmioty w kuchni. Ale stopniowo odkrywano coraz więcej niewiarygodnych archeologicznych skarbów. Geolodzy należący do zespołu stwierdzili, że budowla stała kiedyś na małym wzgórzu. Doszli do tego wniosku, gdy delikatnie oczyścili z narośli niewielki fragment ściany w sypialni i wtedy okazało się, że pomieszczeń nie wykuto w skale, lecz zbudowano je z kamieni w czasach, kiedy Navidad Bank była jeszcze wyspą wznoszącą się ponad powierzchnię z morza.

Dirk i Summer stali w laboratorium i uważnie oglądali artefakty, które ostrożnie przetransportowano na statek i na razie przed poddaniem ich długiemu procesowi konserwacji przechowywano w pojemnikach wypełnianych wodą morską. Dirk delikatnie uniósł piękny złoty naszyjnik znaleziony na kamiennym łożu.

– Wszystkie przedmioty na łożu i w kotle należały do kobiety.

– Ta biżuteria jest bardziej misterna niż dzisiejsza – zauważyła Summer, podziwiając złoty łańcuch, który lśnił w promieniach słońca wpadających przez bulaje statku.

– Dopóki nie porównam tego z kartotekami archeologicznymi w archiwach europejskich, muszę zakładać, że pochodzi z epoki brązu – odezwał się cichym, lecz wyraźnym głosem, który brzmiał jak letni deszcz padający na blaszany dach, Jeffrey Parks. Doktor zawsze chodził z opuszczoną i wysuniętą do przodu głową i przypominał czujnego wilka. Miał ponad dwa metry wzrostu i stale się schylał. Niegdyś grał w koszykówkę, występował w uniwersyteckiej drużynie gwiazd, ale po ciężkiej kontuzji kolana musiał zrezygnować ze sportowej kariery. Zajął się archeologią morską i zrobił doktorat, jego praca doktorska dotyczyła antycznych miast podwodnych. Admirał Sandecker zaprosił go do udziału w ekspedycji, ponieważ wysoko cenił jego specjalistyczną wiedzę.

Parks minął długi stół zastawiony otwartymi pojemnikami z antycznymi artefaktami i zatrzymał się przed dużą tablicą zamontowaną na przegrodzie. Wisiało tam ponad pięćdziesiąt zdjęć zrobionych wewnątrz podwodnej budowli. Postukał końcem ołówka w fotografię pokazujące podłogę.

– To nie jest miasto ani forteca. Poza pomieszczeniami, które odkryliście, nie ma innych. Nazwałbym to ówczesną rezydencją czy małym pałacem, który stał się grobowcem kobiety należącej z pewnością do elity. Być może królowej lub zajmującej wysoką pozycję w hierarchii kapłanki, na tyle bogatej, że mogła zamawiać dla siebie drogie ozdoby.

– Szkoda że nie pozostało z niej zupełnie nic – powiedziała Summer. – Nie ma nawet czaszki. Zęby też się nie zachowały.

Parks lekko wykrzywił usta.

– Jej kości zniknęły wieki temu, razem z ubraniem, wkrótce po zalaniu budowli przez morze. – Podeszedł do dużego zdjęcia zrobionego przed zabraniem artefaktów z kamiennego łoża i postukał ołówkiem w powiększony obraz zbroi z brązu. – Musiała być wojowniczką, która prowadziła mężczyzn do boju. Wydaje się, że pancerz na zdjęciu zrobiono z jednego kawałka, i wkładała go przez głowę jak metalowy sweter.

Summer zastanawiała się przez chwilę, czy zbroja pasowałaby na nią. Czytała, że Celtowie byli potężnie zbudowani, ale pancerz wyglądał na o wiele dla niej za mały.

– Jak ona się tu znalazła, na Boga? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Parks. – Jako archeolog tradycjonalista, który nie powinien wierzyć w dyfuzję kulturową, a więc kontakt między obu Amerykami i pozostałymi częściami świata przed Kolumbem, muszę powiedzieć, że to chyba jakiś wymyślny żart Hiszpanów z okresu po XV wieku.

Summer zmarszczyła brwi.

– Naprawdę pan tak uważa?

Parks uśmiechnął się lekko.

– Nie. Nie po tym, co tu zobaczyliśmy. Ale dopóki nie wyjaśnimy ponad wszelką wątpliwość, jak te artefakty trafiły na Navidad Bank, to odkrycie będzie wywoływało ciągle głębokie spory w środowisku badaczy historii antycznej.

– Ale starożytni żeglarze mogliby przepłynąć ocean – powiedziała Summer.

– Nikt nie twierdzi, że to było niemożliwe. Ludzie przemierzali Atlantycką i Pacyficką na czym się dało, od łodzi z wołowej skóry do dwumetrowych żaglówek. To całkiem prawdopodobne, że sztormy spychały japońskich czy irlandzkich rybaków do wybrzeży obu Ameryk. Archeolodzy przyznają, że jest wiele ciekawych śladów sugerujących wpływy europejskie i azjatyckie w sztuce i architekturze Ameryki Środkowej i Ameryki Południowej. Ale jeszcze nie znaleziono tam takiego obiektu pochodzącego z tej strony oceanu.

– Nasz ojciec znalazł dowód obecności wikingów na terenie dzisiejszych Stanów Zjednoczonych – zaoponowała Summer.

– I razem z Alem Giordinem odkrył w Teksasie artefakty z Biblioteki Aleksandryjskiej – dodał Dirk.

Parks wzruszył ramionami.

– To nie zmienia faktu, że wykopaliska w Europie czy Afryce nie ujawniły dotąd artefaktów pochodzących z Ameryk.

– A ślady nikotyny i kokainy w egipskich mumiach? – zaatakowała Summer. – Tytoń i liście koki pochodziły tylko z Ameryki.

– Spodziewałem się, że padnie taki argument – westchnął Parks. – Egiptolodzy wciąż się o to spierają.

Summer zmarszczyła czoło.

– Czy jest możliwe, że odpowiedzi na te najważniejsze pytania kryją się wciąż jeszcze w budowli na dole?

– Owszem, jest to możliwe – odparł Parks. – Nasi biolodzy morscy przeprowadzają testy narośli na ścianach, a fitochemicy badają szczątki roślin, żeby spróbować ustalić, od jak dawna budowla znajduje się pod wodą.

Summer miała zamyśloną minę.

– Czy pod naroślą mogą się znajdować jakieś inskrypcje, które archeolodzy mogliby przeoczyć?

Parks roześmiał się.

– Wcześni Celtowie nie zostawiali po sobie napisów ani rysunków obrazujących ich kulturę. Znalezienie inskrypcji nie wchodzi absolutnie w grę, chyba że mylimy się w ocenie wieku Navinii.

– Navinii?

Parks spojrzął na wydruk komputerowy pokazujący przypuszczalną architekturę zatopionej budowli w czasach, kiedy powstała.

– Równie dobra nazwa, jak każda inna, prawda?

– Równie dobra nazwa, jak każda inna – powtórzył jak echo Dirk i spojrzął na siostrę. – Co ty na to, żebyśmy zanurkowali tam jutro rano i poszukali inskrypcji na ścianach? Poza tym chyba wypada po raz ostatni złożyć hołd naszej wysoko postawionej kapłance?

– Tylko żeby nie trwało to zbyt długo – ostrzegł Parks. – Kapitan uprzedzał, że podnosi kotwicę najpóźniej w południe. Chce jak najszybciej dostarczyć artefakty do Fort Lauderdale.

Kiedy wyszli z laboratorium, Summer spojrzała na brata z błyskiem ciekawości w oczach.

– Odkąd to ulegasz nostalgii? – zapytała zdziwiona.

– W tym szaleństwie jest metoda – odparł krótko.

– Czyżby? – zadrwiła.

Dirk uśmiechnął się krzywo do siostry.

– Mam przeczucie, że przeoczono coś ważnego.

Teraz, gdy wiedzieli, gdzie kontynuować poszukiwania, popłynęli prosto do przedsionka. Antyczne pomieszczenia były już puste. Jeszcze wczoraj wyglądały jak poczekalnia portu lotniczego. Naukowcy ze statku zbadali każdy zakamarek. Po zabraniu wszystkich artefaktów na pokład „Sea Yesteryear” i zakończeniu oględzin budowli zajęli się oceną znalezionych przedmiotów i nie opuszczali już statku. Dirk i Summer mieli teraz podwodne izby wyłącznie dla siebie. Archeolodzy nie zaglądali im przez ramię, więc oboje nie widzieli powodu, żeby obchodzić się ze ścianami delikatnie jak z jajkiem.

Zgodnie z planem, zaczęli poszukiwania w pomieszczeniu wejściowym. Summer sprawdzała jedną ścianę, Dirk drugą. Zeskrobywali nożami narośl morską tak głęboko, dopóki nie pojawił się nagi kamień, choć wiedzieli, że archeolodzy uznaliby to za świętokradztwo. Pracowali półtora metra nad podłogą i odsłaniali długie, poziome pasy. Ponieważ trzy tysiące lat temu ludzie byli niżsi niż obecnie, poziom ich wzroku znajdował się także niżej. Dirk i Summer wykorzystali ten fakt i zawężili obszar poszukiwań.

Posuwali się naprzód bardzo powoli. Po godzinie bezowocnej pracy wrócili na „Sea Yesteryear”, żeby wymienić niemal puste butle tlenowe na pełne. Choć wszystkie statki NUMA będące jednostkami wsparcia nurków miały komory hiperbaryczne, Dirk często i

skrupulatnie sprawdzał w swoim komputerze tabele czasu przebywania pod wodą, żeby uniknąć choroby dekompresyjnej.

Dwadzieścia minut po drugim zanurzeniu, kiedy przenieśli się z przedsionka w głąb długiego korytarza, Summer nagle zastukała ręką noża w ścianę, żeby zwrócić uwagę Dirka. Natychmiast podpłynął do niej i wpatrzył się w oskrobany kawałek muru, który pokazywała z podnieceniem.

Wydrapała w narośli napis PIKTOGRAMY.

Podeksycytowany Dirk skinął głową i uniósł do góry kciuk. Zaczęli gorączkowo czyścić zarośnięte kamienie, robili to jednak bardzo ostrożnie, nie chcąc uszkodzić cennego reliktu, powoli wyłaniającego się z mroku. W końcu odsłonili rysunki wyryte w ścianie. Ogarnęło ich oboje uczucie triumfu, okazali się lepsi od zawodowców i teraz mogli patrzeć na coś, czego nie widział nikt od trzech tysięcy lat.

Piktogramy były bardzo poszukiwaną wskazówką ułatwiającą rozwiązanie zagadki zatopionej budowli. Dirk oświetlił rysunki swoją lampą, żeby mogli się przyjrzeć szczegółom. Obrazy ciągnęły się wzdłuż obu ścian korytarza w dwóch pasach o szerokości sześćdziesięciu centymetrów każdy na wysokości około półtora metra od podłogi. Bardzo przypominały słynną tkaninę z Bayeux ilustrującą bitwę pod Hastings, którą stoczono w 1066 roku.

Unosząc się w wodzie niemal z czcią, Dirk i Summer patrzyli na wyrytych w kamieniu żeglarzy na okrętach. Mężczyźni wyglądali dziwnie, mieli wielkie okrągłe oczy i gęste brody. Trzymali w dłoniach długie sztylety, krótkie zagięte miecze i topory bojowe o zaokrąglonych ostrzach. Kilku wojowników stało na rydwanach, ale większość walczyła pieszo.

Sceny batalistyczne przypominały krwawe rzezie. Wyglądało na to, że obrazują kilka bitew długiej wojny. Wśród walczących były też kobiety z nagimi piersiami ciskające włóczniami w przeciwników.

Summer delikatnie przesunęła rękawicą po sylwetkach wojowniczek. Odwróciła się do Dirka i uśmiechnęła bardzo kobieco.

Dalsze sceny pokazywały odwrót floty z płonącego miasta. Następne obrazy przedstawiały okręty miotane sztormem oraz walki lądowe z dziwnymi stworzeniami. Blisko podłogi widniał już tylko jeden okręt, który pozostał z całej floty; reszta została zniszczona. Kolejny rysunek ukazywał jego zatonięcie w czasie sztormu. Na ostatnich obrazach mężczyzna obejmował kobietę, potem odpływał w dal na tratwie z żaglem.

Znaleźli klasyczną kronikę wyrytą w kamieniu przez starożytnego rzemieślnika, która przetrwała tysiące lat pod powierzchnią morza niewidoczna dla człowieka. Dirk i Summer spojrzeli na siebie przez szyby masek. Nawet nie marzyli, że odkryją coś tak nadzwyczajnego i niewiarygodnego.

Dirk wskazał wyjście prowadzące na zewnątrz między rafy. Zgasił lampę, odwrócili się i popłynęli ku powierzchni, zostawiwszy bezcenny skarb dla tych, którzy niedługo mieli sfotografować piktogramy i przedstawić je w całej okazałości.

Wczesnym popołudniem do ujścia Rio Colorado wpłynął „Poco Bonito”. Ślady brązowej zawiesiny zniknęły, rzeka była zielona od glonów. Po błękitnym niebie płynęły białe chmury, czasami przesłaniały słońce i zaczynał padać przełomy deszcz. Załoga NUMA stała na pokładzie i machała w stronę małej flotylli łodzi rybackich mijających statek. Doczepne silniki bzyczały jak rój szerszeni, rybacy z dumą pokazywali złowione tarpony, belony i barrakudy. Na jednej z łodzi świętowano i pozdrawiano uszkodzony statek badawczy uniesionymi butelkami piwa. Dwaj wędkarze trzymali w górze tarpona, który wyglądał tak, jakby ważył pięćdziesiąt kilogramów.

Gunn prowadził statek powoli blisko brzegu rzeki, żeby nie blokować drogi fiberglasowym łodziom rybackim, minął boje i pokonał łagodny zakręt. Wykonał pół obrotu kołem sterowym i „Poco Bonito”, minawszy ośrodek wędkarski, wpłynął do położonej dalej przystani. Nabrzeże łączyło się z zadaszonym chodnikiem obsadzonym kwiatami, który prowadził do dużego domu stojącego wśród palm.

– Bosko tutaj – zachwyciła się Renee, podziwiając bujny las tropikalny wokół zbudowanego z bloków czarnej skały wulkanicznej domu krytego wielką strzechą z liści palmowych.

– Raj dla wędkarzy – odezwał się ze sterowni Gunn. – Ten dom zbudował mój dawny kumpel z akademii, Jack McGee. Jeśli lubisz owoce morza, najesz się tutaj egzotycznych ryb. Jack zgromadził tysiące przepisów kulinarnych z całego świata i napisał kilka książek kucharskich.

Pitt przeskoczył na nabrzeże, złapał liny rzucone przez Giordina i przycumował „Poco Bonito”. Zgodnie z prawem pozostali przy statku, dopóki miejscowa straż graniczna nie sprawdziła ich dokumentów. Żołnierze byli zaskoczeni uszkodzeniami „Poco Bonito”. Renee wykorzystała swój hiszpański i opowiedziała im barwną historię o ucieczce przed piracką flotyllą przemycającą narkotyki, strasznymi bandziorami podobnymi do swoich przodków

grasujących kiedyś na Morzu Karaibskim.

Ponieważ incydent zdarzył się na wodach nikaraguańskich, straż graniczna nie żądała raportu. Ale mógłby być problem z Ritą Anderson. Nie miała dokumentów, a Pitt i Gunn woleli nie wyjaśniać jej obecności na pokładzie. Żeby uniknąć kłopotów, Renee związała ją i zakneblowała, a potem z pomocą Giordina zamknęła w schowku w maszynowni. Żołnierze dokonali pobieżnej inspekcji statku i, mając na sobie świeżo wyprasowane mundury, stracili ochotę na dokładniejsze przeszukanie, kiedy zobaczyli, że Giordino wygląda jak James Dean w filmie *Olbrzym* w scenie po tryśnięciu ropy z szybu.

Gdy straż graniczna już odeszła, Dodge zapytał Pitta.

– Dlaczego traktujemy panią Anderson jak przestępczynię i trzymamy w zamknięciu jak więźniarkę? Przecież piraci zamordowali jej męża i zagarnęli jej jacht.

– Ona jest kimś innym, niż myślisz – odparła krótko Renee.

Pitt nie spuszczał z oka żołnierzy oddalających się nabrzeżem, dopóki nie wsiedli do land-rovera i nie odjechali błotnistą drogą.

– Renee ma rację – powiedział. – Pani Anderson nie jest pionkiem, tkwi po uszy w jakichś ciemnych machinacjach. Admirał Sandecker skontaktował się z władzami kostarykańskimi. Zgodziły się ją aresztować i wszcząć śledztwo. Ich przedstawiciele powinni się tu wkrótce zjawić.

Renee zaczęła schodzić po drabince do kajuty.

– Lepiej przygotuję naszą księżniczkę do drogi – oznajmiła.

Ledwo zniknęła pod pokładem, na chodniku pojawił się mężczyzna i wszedł sprężystym krokiem na nabrzeże. Jack McGee dobiegał pięćdziesiątki. Był blondynem, miał ogorzałą twarz i nosił wąsy w stylu Wyatta Earpa. Szeroko rozstawione piwne oczy nadawały mu wygląd zwierzęcia stale wypatrującego drapieżnika. Był w niebieskich szortach, kwiecistej koszuli i starej zniszczonej czapce oficera marynarki wojennej, która wyglądała tak, jakby pochodziła z czasów drugiej wojny światowej.

Gunn wyszedł mu naprzeciw, uścisnęli sobie dłonie, potem objęli się serdecznie.

– Jack, przy każdym naszym spotkaniu wyglądasz o dziesięć lat starzej.

– Bo widzujemy się raz na dziesięć lat – odparł McGee. Miał głos chórzysty śpiewającego basem.

Gunn dokonał prezentacji. Giordino tylko pomachał dłonią z włazu maszynowni.

– Przedstawię ci jeszcze jednego członka naszej załogi, Renee Ford – powiedział Gunn do McGee. – Chwilowo jest zajęta pod pokładem.

McGee uśmiechnął się domyślnie.

– Zajmuje się waszym niespodziewanym gościem?

Gunn skinął głową.

– Ritą Anderson. Mówiłem ci o niej, kiedy dzwoniłem, że tu wpadniemy.

– Inspektor tutejszej policji, Gabriel Ortega, to mój dobry kumpel – odrzekł McGee. –

Będzie chciał, żebyś pojechał z nim do komendy i złożył raport, ale to równy facet.

– Czy na waszych wodach grasują piraci? – zapytał Pitt.

McGee roześmiał się i energicznie pokręcił głową.

– Tutaj nie. Ale pienią się jak zaraza u wybrzeży Nikaragui.

– Dlaczego tam, a nie tu?

– Kostaryka to środkowoamerykański kraj sukcesu. Standard życia jest tutaj wyższy niż w większości państw latynoskich. Dominuje wprawdzie rolnictwo, ale rozkwita turystyka i – o dziwo – szybko rośnie eksport elektroniki i mikroprocesorów. Nikaragua natomiast ma za sobą trzydzieści lat rewolucji, która zrujnowała gospodarkę. Kiedy wreszcie sytuacja się ustabilizowała, większość rebeliantów pozostała bez pracy. Potrafili tylko walczyć w partyzantce i nie chcieli być rolnikami ani najemną siłą roboczą, odkryli, że bardziej opłacalny jest przemyt narkotyków. To prowadziło do piractwa, bo musieli stworzyć flotę do transportu kokainy.

– Słyszał pan jakieś pogłoski o brązowej zawieszynie?

McGee pokręcił lekko głową.

– Wiem tylko tyle, że zalega na północy i wschodzie Morza Karaibskiego. Grasujący bandyci, ginące statki i skażenie wód to śmierć dla nikaraguańskiego rybołówstwa. – McGee odwrócił się i zdjął czapkę, gdy od strony domu nadszedł umundurowany policjant. – A, jesteś, Gabriel.

– Cześć, Jack – przywitał go Ortega. – W co się znów wpakowałeś?

– Nie ja – roześmiał się McGee. – Moi przyjaciele ze Stanów.

Mimo zdecydowanie latynoskiego wyglądu Ortega przypominał Herculesa Poirota z powieści Agathy Christie. Miał takie same czarne, proste włosy zaczesane gładko do tyłu, starannie przycięty czarny, cienki wąsik i ciemne, wszystkowidzące oczy. Mówił po angielsku z ledwo słyszalnym akcentem hiszpańskim. Podczas prezentacji odsłonił w uśmiechu białe, równe zęby.

– Wasz admirał Sandecker poinformował mnie, w jakiej sytuacji jesteście – powiedział. – Mam nadzieję, że złożycie mi szczegółowy raport o waszej przygodzie z piratami.

Pitt skinął głową.

– Oczywiście, inspektorze.

– Gdzie ta kobieta uratowana z pirackiego jachtu?

– Pod pokładem – odrzekł Pitt i z niepokojem zmarszczył czoło. Odwrócił się do Giordina. – Al, skocz na dół i zobacz, dlaczego Renee nie przyprawia naszego gościa.

Giordino bez słowa wytarł ręce tłustą szmatą i zniknął w otworze włazu. Wrócił po niecałej minucie z ponurą miną.

– Rity nie ma, a Renee nie żyje. Została zamordowana.

Wszyscy byli zaszokowani, nie wierzyli własnym uszom. Przez chwilę stali jak posagi i patrzyli na Giordina, nie będąc w stanie zrozumieć tego, co powiedział. Dopiero po kolejnych kilku sekundach sens jego słów dotarł w pełni do ich świadomości.

– Co?! – wyrzucił z siebie Dodge.

– Renee nie żyje – powtórzył Giordino. – Rita ją zamordowała.

Pitta ogarnęła gwałtowna, dzika wściekłość.

– Gdzie ona jest? – zapytał ostro.

– Rita? – Giordino miał taką minę, jakby obudził się z koszmarne snu. – Uciekła.

– Niemożliwe. Jak mogła opuścić statek niezauważona?

– Nigdzie jej nie znalazłem – odparł Giordino.

– Mogę zobaczyć ciało? – wtrącił się oficjalnym tonem Ortega.

Pitt rzucił się do włazu i omal nie wpadł na Giordina.

– Tędy, inspektorze – zawołał z drabinki. – Obie były w mojej kajucie.

Czuł się winny. Nie pomyślał, że Rita może być niebezpieczna. Przeklinał siebie za to, że nie towarzyszył Renee, pozwolił, by poszła sama uwolnić tę, która okazała się morderczynią.

– O Boże, nie! – wymamrotał pod nosem na widok Renee.

Leżała naga na koi z rozpostartymi rękami i złączonymi nogami. Na brzuchu miała wryte logo Odyssey, celtyckiego białego konia z Uffington.

Rita udawała uległą i posłuszną, kiedy Renee przecinała taśmę samoprzylepną na jej nadgarstkach. Ale gdy Renee nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, wiedząc, że parę metrów od niej znajduje się pięciu mężczyzn, jej współtowarzyszy, uklękła, żeby oswobodzić kostki Rity, ta złączyła dłonie i z całej siły trzasnęła ją w kark. Renee upadła, nie wydawszy żadnego dźwięku.

Rita szybko zdjęła z niej ubranie, ułożyła ją na koi i przycisnęła jej poduszkę do twarzy.



Obeszło się bez walki, nieprzytomna Renee nawet nie poczuła, że umiera uduszona. Rita weszła do łazienki, znalazła w przyborach toaletowych Pitta nożyczki i wryła na brzuchu Renee wizerunek celtyckiego konia. Odrażający akt zajął jej niecałe cztery minuty.

Przemknęła do części dziobowej statku i wydostała się na górę przez właz dziobowy. Zasłaniała ją sterownia, rozmawiający na pokładzie rufowym mężczyźni nie mogli jej zobaczyć. Przeszła przez burtę i opuściła się cicho do wody. Dopłynęła pod powierzchnią do przeciwległego krańca przystani i wyczołgała się na brzeg w gęstych zaroślach. W tym samym momencie gdy Giordino znalazł ciało Renee, Rita zniknęła w dżungli.

– Ta kobieta nie mogła daleko uciec – powiedział Ortega. – Tu nie ma żadnych dróg. W dżungli nie przeżyłaby. Moi ludzie złapią ją, zanim dotrze do lotniska lub portu.

– Ma na sobie tylko bikini – poinformował go Pitt.

– Nie wzięła żadnego ubrania?

– Szafa Renee jest zamknięta, a jej rzeczy leżą rozrzucone na podłodze – powiedział Gunn, wskazując dłonią w dół.

– Ma jakieś pieniądze? – zapytał Ortega.

Pitt pokręcił głową.

– Chyba że Renee miała coś przy sobie, ale wątpię.

– Bez pieniędzy i paszportu może się ukrywać tylko w dżungli.

W drzwiach stanął McGee.

– Raczej nie przetrwa tam w samym bikini – zauważył.

– Proszę zamknąć kajutę – polecił Ortega. – I niczego nie dotykać.

– Nie możemy jej przynajmniej ubrać? – zapytał Pitt.

– Na razie nie. Musi ją obejrzeć ekipa dochodzeniowa.

– Kiedy będziemy mogli odesłać ją samolotem do Stanów?

– Za dwa dni – odrzekł uprzejmie Ortega. – Do tego czasu proszę tu zostać i korzystać z gościnności pana McGee. Przesłuchamy was i sporządzimy raporty. – Spojrzał obojętnie na Renee. – To Amerykanka?

Dodge nie mógł patrzeć na zwłoki, odwrócił się.

– Mieszkała w Richmond w Wirginii – wyszeptał zdławionym głosem.

Pitt spojrzał na Gunna.

– Lepiej dajmy znać admirałowi o tym, co się stało – powiedział.

– Nie przyjmie tego spokojnie. O ile go znam, zażąda od Kongresu wypowiedzenia wojny i wysłania marines.

Oczy Ortegi po raz pierwszy rozwarły się szeroko.

– Zrobiłby to naprawdę, *señor*?

– Gra słów – odparł Pitt, zignorował jego zakaz i przykrył kocem ciało Renee.

Rita pospiesznie przedzierała się przez dżunglę. Trzymała się blisko rzeki Rio Colorado. W końcu dotarła do ośrodka wędkarskiego i kierując się znakami na chodniku doszła do pływalni. W bikini doskonale pasowała do otoczenia. Wokół basenu wylegiwały się żony wędkarzy łowiących w rzece tarpony i belony.

Zignorowała spojrzenia ratowników i kelnerów, z wolnego leżaka wzięła ręcznik i zarzuciła sobie na ramię. Potem pomaszzerowała alejką między domkami letniskowymi. W jednym z nich zauważyła sprzątającą pokojówkę i weszła do środka.

– *Tome su tiempo* – odezwała się do kobiety, jakby tu mieszkała. Powiedziała jej, żeby się nie spieszyła.

– *Me casi acaban* – odrzekła pokojówka, zaniósła brudne ręczniki do wózka za progiem i zamknęła za sobą drzwi.

Rita usiadła za biurkiem, podniosła słuchawkę telefonu i powiedziała, że chce zadzwonić na zewnątrz.

– Tu Flidais – odezwała się, kiedy usłyszała czyjś głos.

– Moment.

Po chwili rozległ się inny głos.

– Linia jest wolna. Proszę mówić.

– Flidais?

– Tak, Epono, to ja.

– Dlaczego dzwonisz przez otwartą linię z jakiegoś ośrodka wypoczynkowego?

– Mieliliśmy nieprzewidziany problem.

– Tak?

– Statek badawczy NUMA poszukujący źródła brązowej zawiesiny nie dał się nabrać na hologram i zniszczył nasz jacht.

– Rozumiem – odrzekła kobieta nazywana Eponą bez najmniejszego śladu emocji. – Gdzie jesteś?

– Po zatonięciu naszego jachtu wpadłam w ręce ludzi z NUMA. Uwięzili mnie. Uciekłam i siedzę teraz w domku letniskowym w ośrodku wędkarskim nad Rio Colorado. Lada chwila wytropi mnie tutaj miejscowa policja. To kwestia minut.

– Co z naszą załogą?

– Część zginęła. Reszta uciekła helikopterem. Zostawili mnie samą.

– Zajmiemy się nimi. – Na chwilę zapadła cisza. – Przesłuchiwali cię?

– Próbowali. Opowiedziałam im zmyśloną historię i podałam fałszywe nazwisko, Rita Anderson.

– Zaczekaj przy telefonie.

Flidais, alias Rita, podeszła do szafy i znalazła letnią sukienkę w kwiaty o dwa numery za dużą. Może być, pomyślała. Lepsza za dużą niż za małą. Wciągnęła ją na bikini, potem znalazła apaszkę i zawiązała wokół głowy, żeby ukryć rude włosy. Nie przejmowała się w

najmniejszym stopniu tym, że kradnie rzeczy nieznaney kobiecie i nabija jej rachunek telefoniczny, przecież dopiero co bez wahania popełniła morderstwo. Wsunęła stopy w sandały, które miały właściwy dla niej rozmiar. Na nocnym stoliku leżały okulary przeciwsłoneczne, więc je włożyła.

Uśmiechnęła się do siebie, kiedy podczas przeszukiwania szuflad szafy natrafiła na torebkę damską. Nie rozumiała, dlaczego kobiety nigdy nie potrafią dobrze ukrywać cennych rzeczy. Wszyscy złodzieje hotelowi wiedzą, że kobiety zawsze chowają torebki i portfele w szufladach pod ubraniami. Znalazła osiemset dolarów amerykańskich i trochę kostarykańskich colonów. Przy kursie wymiany trzysta sześćdziesiąt colonów za dolara większość transakcji finansowych w Kostaryce przeprowadzano w obcej walucie.

Pod zdjęciami na prawie jazdy i w paszporcie widniało imię i nazwisko tamtej kobiety: Barbara Hacken. Posiadaczka dokumentów i Flidais mogłyby uchodzić za siostry, różniły się tylko kolorem włosów i nieznacznie wiekiem. Flidais uchyliła drzwi, żeby sprawdzić, czy nie nadchodzi Barbara Hacken. W tym momencie Epona wróciła na linię.

– Wszystko załatwione, siostró. Wysyłam po ciebie mój prywatny samolot. Zabierze cię z tamtejszego lotniska. Będę czekała na płycie, kiedy wylądujesz. Masz jakiś transport?

– Powinni tu mieć samochód do wożenia gości.

– Może będziesz musiała pokazać dokumenty ochronie lotniska.

– Z tym nie będzie problemu – odrzekła Flidais i zawiesiła pasek torebki na ramieniu. – Zobaczą się z tobą i naszymi siostrami za trzy dni podczas rytuału.

Wyłączyła się i wyszła na zewnątrz. W drodze do budynku recepcji minęła dwóch miejscowych policjantów rozglądających się po terenie. Szukając kobiety w bikini, ją uznali za mieszkankę ośrodka i tylko rzucili na nią okiem. Po chwili spostrzegła Barbarę Hacken opalającą się przy basenie. Wyglądała jakby drzemała. Flidais weszła do budynku. Stojący za ladą recepcyjną właściciel ośrodka, uśmiechnął się, kiedy poprosiła o transport na lotnisko.

– Mam nadzieję, że pani i mąż jeszcze nas nie opuszczacie.

Flidais podrapała się w nos, żeby zasłonić twarz.

– Nie – odpowiedziała jakby z roztargnieniem. – Mąż jest jeszcze na rzece. Ja mam spotkanie z przyjaciółmi; wylądują tu na krótko, żeby zatankować, potem polecą dalej do Panama City.

– Więc zobaczymy panią na kolacji?

Flidais odwróciła się tyłem.

– Oczywiście. A gdzie miałabym jeść?

Kiedy samochód dojechał do bramy lotniska, kierowca zatrzymał się. Z małej wartowni wyszedł żołnierz.

– Odlatuje pani? – zapytał przez opuszczoną szybę.

– Tak – odrzekła Flidais. – Do Managui.

– Poproszę o paszport.

Wręczyła mu dokument Barbary Hacken, wcisnęła plecy w oparcie i wpatrzyła się w przeciwległe okno.

Wartownik przez dłuższą chwilę porównywał zdjęcie z twarzą Flidais. Włosy miała zakryte apaszką, ale spod jedwabiu wystawało kilka rudych pasemek. Nie wzbudziło to jego podejrzeń. Kobiety często zmieniają kolor włosów. Nie mógł zobaczyć oczu za ciemnymi okularami, ale twarz była podobna do tej na zdjęciu.

– Proszę otworzyć bagaż.

– Przykro mi, nie mam bagażu. Jutro są urodziny mojego męża, a ja zapomniałam o prezencie dla niego, więc lecę na zakupy do Managui. Zamierzam wrócić jutro rano.

To wystarczyło. Wartownik oddał paszport i przepuścił samochód.

Pięć minut później wszyscy w promieniu kilometra od lotniska gapili się w osłupieniu na nadlatujący lawendowy samolot. Wydawał się za wielki, żeby mógł wylądować na tutejszym pasie startowym, lecz zszedł nad wierzchołki drzew i usiadł miękko na ziemi. Odwrócił ciąg silników, uruchomił hamulce i zatrzymał się sto metrów przez północnym krańcem pasa. Potem skręcił i podkołował do samochodu, w którym czekała Flidais. Pięć minut później leciała beriewem Be-210 do Panama City.

Dwaj mężczyźni, którzy siedzieli w niedbałych pozach w łodzi nazywanej przez miejscowych panga, wyglądali jak inni mieszkańcy tych okolic łowiących ryby w wodach Rio San Juan. Mieli na sobie białe workowate szorty, T-shirty i miękkie białe czapki baseballowe. Za rufę pangy wystawały dwie wędki; mężczyźni czekali, aż na błyszczki złapie się ich dzisiejsza kolacja. Nikt, kto spoglądałby z brzegu, z wyjątkiem jakiegoś doświadczonego i spostrzegawczego wędkarza, któremu chciałoby się poświęcić trochę uwagi, nie domyśliłby się, że na końcach linek nie ma haczyków. W rzece roiło się od ryb i każdy haczyk w kilka sekund po tym, jak zniknął pod powierzchnią, był przez nie atakowany.

Łódź napędzał silnik doczepny mariner o mocy trzydziestu koni mechanicznych, sterowany linkami z centralnej konsoli kolumnowej z kierownicą samochodową. Płaskodenna, sześciometrowa panga mknęła gładko w górę rzeki toczącej spokojnie swoje wody przez tropikalny las deszczowy. Mżyło, była połowa długiej pory deszczowej trwającej od maja do lutego. Wzdłuż brzegów rzeki ciągnęła się tak gęsta dżungla, jakby wszystkie rośliny nieustannie walczyły z sąsiednimi o każdy promień słońca, które niekiedy przebijało się przez pokrywającą niebo masę chmur.

Na dziobie łodzi widniała nazwa „Greek Angel”. Pitt i Giordino kupili pangę, paliwo i prowiant kilka godzin po odlocie do Waszyngtonu samolotu NUMA z Rudim Gunnem, Patrickiem Dodgem i ciałem Renee Ford na pokładzie. Ekipa naprawcza przysłana przez Sandeckera do Barra Colorado wyciągnęła „Poco Bonito” na brzeg podczas odpływu i remontowała teraz statek, przygotowując go do rejsu na północ.

Jack McGee wydał dla Pitta i Giordina przyjęcie pożegnalne i uparł się, żeby zaopatrzyć ich łódź w taką ilość piwa i wina, że wystarczyłoby na otwarcie baru. Inspektor Ortega ładnie się znalazł, podziękował im uprzejmie za pomoc w śledztwie i wyraził żal z powodu bezsensownej śmierci Renee. Był jednocześnie poirytowany i niepoczyszony tym, że kobieta podająca się za Ritę Anderson wymknęła się z jego policyjnej sieci. Kiedy ludzie Ortegi

dowiedzieli się o kradzieży paszportu Barbary Hacken, przesłuchali właściciela ośrodka wędkarskiego i wartownika przy bramie lotniska, nabrali pewności, że Rita odleciała do Stanów Zjednoczonych. Pitt dołożył swój kawałek do tej układanki, gdy usłyszał, że samolot miał lawendowy kolor. Ten fakt potwierdzał powiązania Rity z Odyssey. Ortega zapowiedział, że zarządzi międzynarodowe poszukiwania zabójczynie Renee i poprosi o pomoc władze amerykańskie.

Pitt siedział odchylony do tyłu w podwyższonym fotelu za kolumną sterowniczą i prowadził łódź jedną nogą wzdłuż cichych malowniczych lagun wychodzących na rzekę. Giordino pożyczył od McGee leżak i odpoczywał z nogami wystającymi za dziób, przyglądając się czujnie mijanym co pewien czas niemal sześciometrowym krokodylom wygrzewającym się w słońcu na brzegach rzeki.

Znał lasy deszczowe i przeczornie opatulił się moskitierą. W broszurach turystycznych nie zawsze wspomina się, że w tej części świata krwiożerczych owadów jest niemal tyle, co kropli deszczu. Pitt chciał mieć pełną swobodę ruchów, więc dokładnie posmarował odsłonięte części ciała środkiem przeciwko komarom.

Po pierwszych trzydziestu kilometrach podróży na północny zachód dopłynęli do miejsca, gdzie Rio Colorado łączy się z mętными wodami Rio San Juan, która stanowi meandrującą linię graniczną między Nikaraguą i Kostaryką. Po następnych osiemdziesięciu kilometrach żeglugi w górę rzeki dotarli do San Carlos nad jeziorem Cocibolca, lepiej znanym jako jezioro Nikaragua.

Giordino przyglądał się brzegowi przez lornetkę.

– Jak dotąd, nie widziałem żadnych śladów budowy – powiedział.

– Widziałeś – odparł Pitt, obserwując różnobarwne ptaki gnieźdzące się w gałęziach drzew nad płynącą wodą.

Giordino obrócił się na leżaku, zsunął w dół okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na Pitta jak na bukmachera, który stawia sto przeciwko jednemu, że następną gonitwę wygra faworyt.

– Powtórz.

– Pamiętasz swoją przyjaciółkę Micky Levy?

– To nazwisko coś mi mówi – mruknął Giordino, starając się nadażyć za tokiem rozumowania Pitta.

– Przy kolacji opowiadała o planach zbudowania „podziemnego mostu”, systemu tuneli kolejowych do podróży przez Nikaraguę między oceanami.

– Powiedziała również, że nic z tego nie wyszło, bo Specter się wycofał.

– Zmyłka.

– Zmyłka? – powtórzył jak echo Giordino.

– Kiedy inżynierowie i geolodzy, jak twoja przyjaciółka Micky, skończyli swoje badania, firma Odyssey zażądała od nich podpisania poufnej umowy, że nigdy nie ujawnią informacji o tym projekcie. Specter zagroził, że im nie zapłaci, dopóki się nie zgodzą. Potem ogłosił, że

po przestudiowaniu raportów uznał inwestycję za nieopłacalną.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Tuż przed naszym odlotem z Waszyngtonu zadzwoniłem do twojej przyjaciółki Micky, po tym jak przefaksowała mi plany – odparł jakby od niechcenia Pitt.

– Mów dalej.

– Zadałem jej kilka pytań na temat Spectera i podziemnego mostu. Nie powiedziała ci o tym?

– Pewnie zapomniała – odrzekł melancholijnym tonem Giordino.

– W każdym razie, okazuje się, że Specter nigdy nie zamierzał zrezygnować z tego projektu. Jego inżynierowie kopią gorączkowo pod ziemią od ponad dwóch lat. Potwierdza to ruch w porcie kontenerowym, który mijaliśmy. Statki wyładowują tam prawdopodobnie sprzęt górniczy.

– Czy to nie ja powiedziałem, że to byłaby sprytna sztuczka, gdyby potrafił ukryć miliony ton wykopanej ziemi i kamieni?

– I miałeś rację. To jest sprytna sztuczka.

Giordino nagle olśniło.

– Brązowa zawiesina?

– Odpowiedź za milion dolarów – przyznał Pitt. – Na zdjęciach satelitarnych nie ma żadnej budowy, bo jej nie widać. Jedyne sposoby na ukrycie milionów ton wydobytej ziemi i kamieni to skonstruowanie ogromnej rury, zmieszanie wykopanego materiału z wodą i wypompowanie tego błota do morza kilka kilometrów od wybrzeża.

Giordino otworzył kostarykańskie piwo i wytarł rękami spoconą twarz pod moskitierą. Przetoczył zimną puszkę wzdłuż czoła.

– Okay, panie cwaniak, ale po co ta tajemnica? Czemu Specter miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby ukryć swój projekt? Jaki miałby zysk z podziemnej linii transportowej między oceanami, o której nikt by nie wiedział?

Pitt chwycił puszkę, którą rzucił mu Giordino, i otworzył ją.

– Gdybym to wiedział, nie pływalibyśmy teraz we własnym pocie, podróżując w górę rzeki i podziwiając dziką przyrodę.

– Co się spodziewasz znaleźć?

– Przede wszystkim wejście do tuneli. Nie można całkowicie ukryć ludzi i maszyn transportowanych pod ziemię i z powrotem.

– Myślisz, że odkryjemy coś takiego w dżungli podczas rejsu naszą „Afrykańską Królową” przez to zielone piekło?

Pitt roześmiał się.

– Nie w dżungli, tylko pod nią. Według planów zdobytych przez Micky, tunel powinien przebiegać pod miastem El Castillo leżącym w połowie drogi w górę rzeki.

– I co cię tam ciągnie?

– Długie tunele muszą mieć szyby wentylacyjne, które dostarczają powietrze robotnikom, ogrzewają lub ochładzają wnętrze, odprowadzają spaliny z silników maszyn i dym w razie pożaru.

Giordino popatrzył niepewnie na wielkiego krokodyla zsuwającego się do wody. Potem utkwiał wzrok w nieprzeniknionej dżungli rosnącej wzdłuż północnego brzegu rzeki.

– Mam nadzieję, że nie planujesz marszu przez ten gąszcz. Mama Giordina już nigdy nie zobaczyłaby swojego ukochanego synka.

– El Castillo to zupełnie odludzie. Nie prowadzą tam żadne drogi. Jediną atrakcją jest stara forteca hiszpańska.

– I myślisz, że szyby wentylacyjne sterczą w górę tam, gdzie wszyscy w mieście mogą je zobaczyć? – zapytał z powątpiewaniem w głosie Giordino. – Wydaje mi się, że dżungla stanowi dużo lepsze miejsce do ich ukrycia. Jest tak gęsta, że żaden samolot ani satelita nic by nie wykrył.

– Większość szybów z pewnością znajduje się w dżungli, ale liczę na to, że jeden zbudowali bliżej terenów cywilizowanych, by w razie potrzeby móc go wykorzystać jako wyjście ewakuacyjne.

Pejzaż po obu stronach rzeki był tak urzekający, że zamilkli i podziwiali w milczeniu piękno dzikiej przyrody. Czuli się jak na wodnym safari w nietkniętym dotąd ludzką stopą zakątku tropików. Widzieli małpy o białych pyskach paplające do jaguarów skradających się pod drzewami. Wielkie mrówkojady przemykały przez zarośla w bezpiecznej odległości od wody, żeby nie paść ofiarą kajmanów i krokodyli. Wśród tęczowych motyli i orchidei fruwały tukany z kolorowymi dziobami i wielobarwne papugi. Dżunglę wokół Rio San Juan opisał Mark Twain, który podróżował kiedyś w dół rzeki. Nazwał to miejsce rajem na ziemi, najbardziej zachwycającą krainą, jaką można zobaczyć na świecie.

Pitt utrzymywał stale szybkość pięciu węzłów. Tutaj nie wolno było rozwijać dużych prędkości i powodować tworzenia się fal zalewających brzegi i niszczących równowagę w środowisku naturalnym. Bajeczne trzy tysiące akrów dziewiczego lasu deszczowego stanowiły rezerwat przyrody Indio Maiz, w którym żyło trzysta gatunków gadów, dwieście gatunków ssaków i ponad sześćset gatunków ptaków.

O czwartej po południu skręcili z Rio San Juan w Rio Bartola i wkrótce potem przybili do przystani ośrodka wypoczynkowego Refugio Bartola przy lokalnej placówce naukowej. Kompleks położony w deszczowym lesie miał jedenaście pokoi z łazienkami i moskitierami. Pitt i Giordino zajęli dwa pokoje.

Umyli się i poszli do restauracji z barem. Pitt zamówił nieznaną mu gatunek tequili z lodem. Giordino oświadczył, że widział kilkanaście filmów o Tarzanie, w których roilo się od Anglików na safari, i ich wzorem wybrał dżin. Pitt zauważył grubego mężczyznę w białym garniturze siedzącego samotnie przy stoliku w pobliżu baru. Wyglądał na szanowanego powszechnie mieszkańca tej okolicy i mógł się okazać bogatym źródłem informacji.



Pitt podszedł do niego.

– Przepraszam, ale może miałby pan ochotę przyłączyć się do nas?

Mężczyzna podniósł na niego wzrok. Był stary, dobiegał osiemdziesiątki. Miał czerwoną twarz i pocił się obficie, ale jakimś cudem na jego białym garniturze nie było ani śladu wilgoci. Wytarł chusteczką łysinę i skinał głowę.

– Oczywiście, oczywiście. Ale może byłoby prościej, gdyby panowie przyłączyli się do mnie – powiedział i wskazał swoje wielkie ciało wypełniające wiklinowy fotel.

– Dirk Pitt. A to mój przyjaciel Al Giordino.

– Miło mi. Percy Rathbone. – Uścisk spoconej dłoni był mocny. – Proszę siadać, proszę siadać.

Pitta rozbawił jego zwyczaj powtarzania słów.

– Wygląda pan na człowieka, który zna i lubi dżunglę.

Rathbone roześmiał się krótko.

– To widać, to widać, prawda? Spędziłem nad tą rzeką w Nikaragui i Kostaryce większość życia. Moja rodzina przyjechała tu w czasie drugiej wojny światowej. Ojciec był agentem wywiadu brytyjskiego, obserwował Niemców, którzy próbowali uruchomić w lagunach ukryte punkty tankowania i obsługi swoich u-bootów.

– Jeśli wolno spytać, jak można zarobić na życie nad rzeką w takiej głuszy?

Rathbone spojrzał chytrze na Pitta.

– Uwierzyłby pan, uwierzyłby pan, że postawiłem na turystykę?

Pitt nie był pewien, czy może mu wierzyć, ale ciągnął dalej swą grę.

– Więc prowadzi pan tutaj własny interes? – zapytał.

– Zgadza się, zgadza się. Zarabiam uczciwie na wędkarzach i miłośnikach przyrody, którzy odwiedzają te okolice. Mam sieć ośrodków wypoczynkowych między Managuą a San Juan del Norte. Po powrocie do domu zajrzyjcie, panowie, na moją stronę internetową.

– Ale ten zakątek to rezerwat przyrody.

Rathbone jakby lekko zeszywniał po tej uwadze Pitta.

– To prawda, to prawda. Jestem tu na wakacjach. Lubię czasem uciec od interesów i odpocząć od moich gości. A wy, panowie? Przyjechaliście powędkować?

Pitt skinał potwierdzająco głową.

– I zobaczyć dziką przyrodę. Wyruszyliśmy z Barra Colorado i zamierzamy dotrzeć do Managui.

– Wspaniała podróż, wspaniała podróż – pochwalił Rathbone. – Będziecie zachwyceni. Na tej półkuli nie ma drugiej takiej okolicy.

Podano drinki i Giordino podpisał rachunek na swój pokój.

– Niech mi pan powie, panie Rathbone, dlaczego o rzece, która płynie prawie od Pacyfiku do Atlantyku, cudzoziemcy wiedzą tak niewiele?

– Była bardzo znana na całym świecie, dopóki nie zbudowano Kanału Panamskiego.

Potem Rio San Juan poszła w zapomnienie. W 1524 roku podróżował nią hiszpański konkwistador nazwiskiem Hernandez de Cordoba. Dotarł aż do jeziora Nikaragua i założył na jego przeciwległym krańcu kolonialne miasto Granada. Hiszpanie, jego następcy, budowali w całej Ameryce Środkowej forty najeżone działami, żeby nie wpuścić tu Anglików i Francuzów. Jedną z tych twierdz to El Castillo położone kilka kilometrów stąd w górę rzeki.

– Udało się im? – zapytał Pitt.

– Rzeczywiście, rzeczywiście – odparł Rathbone, potem zamachał rękami. – Ale niezupełnie. Henry Morgan i sir Francis Drake popłynęli w górę rzeki, lecz nie przedostali się obok El Castillo na jezioro. Chyba sto lat później w ich ślady poszedł Horatio Nelson, gdy był jeszcze zwykłym kapitanem. Mała flotylla jego okrętów zaatakowała El Castillo, ale forteca odparła natarcie. To była jedyna przegrana bitwa w karierze Nelsona. Zapamiętał ją na całe życie.

– Dlaczego? – zapytał Giordino.

– Bo stracił w niej oko.

– Prawe czy lewe?

Rathbone nie zrozumiał żartu. Zastanawiał się przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam – powiedział.

Pitt pociągnął łyk tequili.

– Jak długo Hiszpanie kontrolowali rzekę?

– Do połowy XIX wieku i wybuchu gorączki złota w Kalifornii. Komodor Vanderbilt, potentat kolejowy i okrętowy, dostrzegł wtedy szansę na zrobienie świetnego interesu. Zawarł umowę z Hiszpanami, że jego statki będą przewoziły rzeką poszukiwaczy złota, którzy wyruszali jego parowcami z Nowego Jorku i Bostonu do Kalifornii. Pasażerowie parowców oceanicznych przesiadali się w San Juan del Norte na statki rzeczne. Płynęli stamtąd w górę San Juan i przez jezioro do La Virgen. Potem przejeżdżali wozami dziewiętnastokilometrową trasę do małego portu San Juan del Sur na wybrzeżu Pacyfiku, gdzie znów wsiadali na parowce Vanderbilt'a i docierali do San Francisco. Skracali sobie w ten sposób podróż o setki mil morskich, bo nie musieli opływać przylądka Horn, i zyskiwali kolejny tysiąc mil, omijając przesmyk panamski na południu.

– Kiedy zamarł ruch na rzece? – zapytał Pitt.

– Towarzystwo Tranzytu Pomocniczego, jak nazwał je Vanderbilt, upadło po otwarciu Kanału Panamskiego. Komodor zbudował sobie wielką rezydencję w San Juan del Norte. Stoi tam do dziś, choć jest opuszczona i zarośnięta chwastami. Rzeka popadła w zapomnienie na osiemdziesiąt lat, dopóki w latach dziewięćdziesiątych XX wieku nie stała się atrakcją turystyczną.

– Wygląda na to, że było bardziej racjonalne poprowadzenie kanału tą trasą niż przez Panamę.

Rathbone ze smutkiem pokręcił głową.

– O wiele bardziej, o wiele bardziej. Ale skomplikowana gra polityczna waszego prezydenta Teddy’ego Roosevelta doprowadziła do tego, że wybrano przesmyk oddalony o setki mil na południe stąd.

– Ale nadal można by puścić tędy kanał – odezwał się w zamyśleniu Giordino.

– Za późno. Wielki biznes jest zainteresowany Panamą, a ekolodzy broniliby rzeki do upadłego. Nawet gdyby rząd nikaraguański wydał zgodę, nikt nie wyłożyłby pieniędzy.

– Słyszałem o planach zbudowania międzyoceanicznego tunelu kolejowego przez Nikaraguę.

Rathbone popatrzył na rzekę.

– Takie pogłoski krążyły tu przez miesiące, ale nic z tego nie wyszło. Po dżungli łąziły ekipy miernicze z teodolitami, wszędzie latały helikoptery. W moich ośrodkach wypoczynkowych mieszkali geolodzy i inżynierowie i wypijali moją whisky. Ale po roku spakowali sprzęt, wynieśli się do domu i na tym się skończyło.

Giordino dopił dzin i zamówił szkocką.

– Nikt się już potem nie pojawił?

Rathbone pokręcił głową.

– Nic o tym nie wiem.

– Podali jakąś przyczynę rezygnacji z tego projektu? – zapytał Pitt.

Rathbone znów pokręcił głową.

– Nie wiedzieli chyba więcej niż ja. Ich kontrakty wygasły, zapłacono im i tyle. To wszystko wydawało się bardzo tajemnicze. Upiłem pewnego inżyniera wieczorem w przeddzień jego wyjazdu, ale wyciągnąłem z niego tylko to, że on i jego koledzy zobowiązali się do zachowania tajemnicy.

– Czy ta firma budowlana nazywała się Odyssey?

Rathbone zeszywniał lekko.

– Zgadza się, zgadza się, Odyssey. Jej szef nawet tu przyjechał i mieszkał w moim ośrodku w El Castillo. Ogromny facet. Wazył pewnie ze dwieście kilogramów. Nazywał się Specter. Bardzo dziwny. Nigdy nie pokazywał twarzy. Zawsze otaczała go jego świta, głównie kobiety.

– Kobiety? – zainteresował się Giordino.

– Ważne dyrektorki. Bardzo atrakcyjne, ale zupełnie nieprzystępne. Nigdy nie rozmawiały z miejscowymi ludźmi, nawet nie starały się być miłe.

– Czym przyjechali? – zapytał Pitt.

– Wylądowali na rzece wielkim hydroplanem w kolorze orchidei.

– Może lawendy?

– Chyba tak.

Giordino zawirował szkocką w szklance z kostkami lodu.

– Nigdy nie wpadł pan na żaden trop, dlaczego się wycofali?

– Słyszałem plotki i pogłoski o co najmniej pięćdziesięciu przyczynach, ale żadna nie miała sensu. Moi przyjaciele w rządzie w Managui byli tak samo zaskoczeni, jak wszyscy mieszkający wzdłuż rzeki. Twierdzili, że to nie ich wina. Podobno zaproponowali Odyssey najkorzystniejsze warunki z możliwych, bo ta inwestycja podbudowałaby bardzo gospodarkę nikaraguańską. Moim zdaniem, Specter zajął się po prostu bardziej opłacalnymi projektami.

Nagle ziemia zadrżała. Łód w szklankach zadźwięczała, alkohol zafalował lekko, jakby wpadły do niego niewidzialne krople deszczu. Wierzchołki drzew w dżungli zakołysały się, ptaki wrzasnęły, niewidoczne zwierzęta zawyły.

– Trzęsienie ziemi – powiedział obojętnym tonem Giordino.

– Lekkie drżenie – zgodził się Pitt i wypił łyk swojego drinka.

Rathbone był zaskoczony.

– Widzę, panowie, że nasze lokalne ruchy ziemi nie robią na was wrażenia.

– Pochodzimy z Kalifornii – wyjaśnił Giordino.

On i Pitt wymienili przelotne spojrzenia.

– Ciekawe, czy przydarzą się następne wstrząsy podczas naszej dalszej podróży w górę rzeki – powiedział Pitt.

Rathbone miał niepewną minę.

– Wątpię. Zdarzają się bardzo nieregularnie i jeszcze nigdy nie wyrządziły żadnych szkód. Miejscowi są zabobonni. Wierzą, że powrócili dawni bogowie ich przodków i znowu żyją w dżungli.

Wstał z trudem i zachwiał się lekko.

– Dziękuję za drinki, panowie. Bardzo przyjemnie, bardzo przyjemnie rozmawiało się z wami. Ale z wiekiem pojawia się potrzeba wczesnego chodzenia do łóżka. Zobaczymy się jutro?

Pitt podniósł się i uścisnął mu dłoń.

– Możliwe. Pewnie wybierzemy się rano na pieszą wycieczkę po okolicy, a po południu popłyniemy dalej.

– Chcielibyśmy spędzić dzień w El Castillo i obejrzeć ruiny fortecy, zanim skierujemy się w górę rzeki do jeziora Nikaragua – dodał Giordino.

– Obawiam się, że będziecie mogli zobaczyć twierdzę tylko z daleka – odrzekł Rathbone.

– Policja zabrania tam wstępu miejscowym i turystom. Podobno tłumy zwiedzających niszczą mury. Bzdura. Ruinom dużo bardziej szkodzi deszcz niż buty rzadkich turystów.

– Policja pilnuje murów?

– Forteca jest lepiej strzeżona niż zakłady produkujące bron nuklearną. Kamery, psy, dookoła ogrodzenie trzymetrowej wysokości z drutem kolczastym na górze... Jeden z mieszkańców El Castillo, Jesus Diego, z ciekawości chciał się tam dostać. Znalaziono biedaka powieszono na drzewie nad rzeką.

– Martwego?

– Całkiem sztywnego – odparł Rathbone i szybko zmienił temat. – Na waszym miejscu nie zbliżałbym się do twierdzy.

– Skorzystamy z pańskiej rady – obiecał Pitt.

– Miło było was poznać, panowie. Dobrej nocy.

Patrzyli przez chwilę, jak Rathbone odchodzi, powłócząc nogami.

– Co o nim myślisz? – zapytał Giordino.

– Nie jest tym, za kogo się podaje – odparł Pitt. – Nie wspomniał nic o porcie kontenerowym.

– Ty też zauważyłeś jego delikatne ręce?

– Miał zbyt gładką i nieskazitelną skórę, jak na faceta po siedemdziesiątce.

Giordino przywołał gestem ręki kelnera.

– A zwróciłeś uwagę na jego głos? Brzmiał nienaturalnie, jakby był nagrany.

– Pan Rathbone najwyraźniej wciskał nam ciemnotę.

– Chętnie bym sprawdził, w co on gra.

Kelner podał następną kolejkę drinków i zapytał, czy są już gotowi do kolacji. Kiedy skinęli głowami, zaprowadził ich do jadalni. Usiedli przy stoliku.

– Ja masz na imię? – zapytał kelnera Pitt.

– Marcus.

– Często zdarza się tutaj drżenie ziemi, Marcus?

– O, si, señor. Ale dopiero od trzech, może czterech lat. Przesuwa się w górę rzeki.

– Drżenie się przesuwa? – zapytał zdziwiony Giordino.

– Si, bardzo powoli.

– W którym kierunku?

– Zaczęło się przy ujściu rzeki w San Juan del Norte. Teraz ziemia drży w dżungli powyżej El Castillo.

– To zdecydowanie nie jest dziwaczne zjawisko wywoływane przez Matkę Naturę.

Giordino westchnął.

– Gdzie jest Sheena, Królowa Dżungli, kiedy jej potrzebujesz?

– Bogowie nigdy nie pozwolą, żeby człowiek poznał ich sekrety – powiedział Marcus i rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że skrada się do niego zabójca. – Nikt, kto zapuszcza się w dżungłę, nie wraca stamtąd żywy.

– Kiedy zaczęli tam znikać ludzie? – zapytał Pitt.

– Jakiś rok temu. Przyjechała tu ekspedycja z uniwersytetu, żeby zbadać dziką przyrodę, i przepadła bez śladu. Nikogo nie odnaleziono. Dżungla dobrze strzeże swoich tajemnic.

Po raz drugi tego wieczoru Pitt i Giordino spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się lekko.

– No, nie wiem... – powiedział wolno Pitt. – Tajemnice mają intrygujący zwyczaj wychodzenia na jaw.

Po śniadaniu zjedzonym w ośrodku – zgodnie z tym, co powiedzieli Rathbohe'owi – Pitt i Giordino wybrali się na pieszą wycieczkę z przewodnikiem, który oprowadzał po rezerwacie przyrody grupę turystów. Trzymali się na jej końcu, rozmawiali wyłącznie ze sobą i prawie nie zwracali uwagi na kolorowe ptaki i dziwne zwierzęta, od których roiło się wszędzie.

Po powrocie do ośrodka Pitt wypytał się dyskretnie o starego mężczyznę. Jego podejrzenia się potwierdziły – personel wiedział tylko tyle, że Rathborne jest po prostu gościem i przy rejestracji pokazał panamski paszport. Nikt nie słyszał, żeby był właścicielem sieci ośrodków wypoczynkowych usytuowanych wzdłuż rzeki.

W południe Pitt i Giordino załadowali do swojej łodzi sprzęt, kilka kanapek otrzymanych z kuchni i odbili od przystani. Silnik zaskoczył przy pierwszym obrocie rozrusznika i wypłynęli z laguny w główny nurt Rio San Juan. Dziewicza dżungla ustąpiła miejsca bardziej otwartym terenom z zielonymi wzgórzami i drzewami rosnącymi równo jak w parku.

El Castillo leżało tylko sześć kilometrów dalej w górę rzeki, więc podróżowali niemal na obrotach biegu jałowego. Po godzinie pokonali ostatni zakręt i minęli kolonialną fortecę górującą nad miastem. Twierdza stała na szczycie samotnego wzgórza, które bardziej wyglądało na wielki trawiasty kopiec otoczony kilkoma gatunkami drzew. El Castillo de la Inmaculada Concepcion – Zamek Niepokalanego Poczęcia – stanowił część linii fortyfikacji i miał bastiony w czterech narożnikach. Mimo że przez czterysta lat stawał czoło ulewnym deszczom, zachował się w zadziwiająco dobrym stanie. Kamienne ruiny porośnięte mchem szpeciły piękny krajobraz, ale leżące poniżej malownicze miasteczko, z czerwonymi blaszanymi dachami i kolorowymi pangami na brzegu rzeki, sprawiało wrażenie gościnnej oazy.

Gdyby nie rzeka, miasteczko El Castillo byłoby zupełnie odcięte od świata. Nie prowadziły tu żadne drogi, nie jeździły samochody, nie było lotniska. Mieszkańcy utrzymywali się przy życiu dzięki uprawie pól na zboczach okolicznych wzgórz, rybołówstwu

i pracy w tartaku lub wytwórni oleju palmowego położonych dwadzieścia kilometrów dalej w górę rzeki.

Pitt i Giordino chcieli, by widziano w małej społeczności rybackiej, jak tu przybyli i jak stąd odjechali podczas podróży w górę rzeki do jeziora Nikaragua, więc przycumowali pangę w małym porcie i przeszli około pięćdziesięciu metrów błotnistą drogą do hotelu z barem i restauracją. Minęli kilka kolorowych drewnianych domków i pomachali do trzech małych bosych dziewczynek w żółtych sukienkach, które bawiły się na ganku.

Zachowali nietknięte kanapki zabrane z ośrodka na nocną wyprawę i zamówili na lunch świeżą rybę z rzeki oraz miejscowe piwo.

Właściciel lokalu nazywał się Aragon. Czekał przy ich stoliku.

– Polecam gaspara – powiedział. – Nieczęsto go tu łowimy. Z moim specjalnym sosem to prawdziwy przysmak.

– Gaspara? – powtórzył Giordino. – Nigdy nie słyszałem.

– To żywy relikwiarz sprzed milionów lat, z łuskowym pancerzem, pyskiem i kłami. Zapewniam, że nie dostaniecie go, panowie, nigdzie indziej, tylko u mnie.

– Zawsze jestem ciekaw nowych potraw – odrzekł Pitt. – Niech będzie gaspar.

– Z wielką obawą, ale przyłączę się do ciebie – mruknął Giordino.

– Szkoda że nie można zwiedzić fortecy – zagadnął Pitt tonem towarzyskiej rozmowy. – Słyszałem, że muzeum jest warte obejrzenia.

Aragon lekko zeszywniał i zerknął ukradkiem przez okno na El Castillo.

– *Si, señor*, szkoda że będziecie musieli z tego zrezygnować. Ale rząd zamknął twierdzę. Podobno jest niebezpieczna dla turystów.

– Wygląda na całkiem solidną – zauważył Giordino.

Aragon wzruszył ramionami.

– Wiem tylko to, co powiedziała mi policja z Managui.

– Jej strażnicy mieszkają tutaj, w miasteczku? – zapytał Pitt.

Aragon pokręcił głową.

– W koszarach, wewnątrz fortecy. Rzadko ich tu widzimy, tylko wtedy, gdy helikopter przywozi nową zmianę z Managui.

– Nikt nie wychodzi z fortu nawet po to, żeby coś zjeść, wypić czy się zabawić?

– Nie, *señor*. Nie kontaktują się z nami. I nie pozwalają nikomu podchodzić do ogrodzenia bliżej niż na dziesięć metrów.

Giordino przelał swoje piwo z butelki do szklanki.

– Pierwszy raz słyszę, żeby jakieś władze zabraniały turystom wstępu do muzeum, bo może się zawalić.

– Chcecie, panowie, zanocować dziś w hotelu? – zapytał Aragon.

– Nie, dzięki – odrzekł Pitt. – Podobno w górze rzeki są progi i wolimy je pokonać, póki jeszcze jest widno.

– Nie powinniście mieć z tym problemu, jeśli tylko będziecie się trzymali środka farwataru. Łodzie rzadko się przewracają na tamtych progach, gdy ludzie są ostrożni. Bardziej niebezpieczne są krokodyle w spokojnej wodzie, kiedy ktoś wypadnie za burtę.

– Można u pana dostać stek? – zapytał Pitt.

– *Si, señor.* Życzy pan sobie?

– Kilka na wynos. Kiedy minimy progi na rzece, rozbijemy obóz na brzegu i upieczemy mięso nad ogniskiem.

Aragon skinał głową.

– Tylko obozujcie daleko od wody, bo skończycie jako karma dla głodnych krokodyli.

Pitt uśmiechnął się szeroko.

– Nie zamierzam karmić krokodyli – oświadczył.

Odплыnęli późnym popołudniem, pokonali bez problemu progi na rzece powyżej El Castillo i znaleźli się tak daleko od miasteczka, że nikt z jego mieszkańców nie mógłby już ich dostrzec. Między zakrętami rzeki nie zauważyli innych łodzi, przybili więc do brzegu, podnieśli silnik doczepny i wciągnęli pangę w gęste zarośla, gdzie była zupełnie niewidoczna z wody.

Skorzystali z tego, że było jeszcze widno, i znaleźli wąską ścieżkę prowadzącą w kierunku miasteczka. Zjedli kanapki, odpoczęli, po czym położyli się spać. Obudzili się po północy i ruszyli ostrożnie ścieżką, penetrując ciemność noktowizorem. Ominąwszy małe domy, dotarli do gęstych zarośli. Ukryli się w nich, przyrzekli dokładnie zabezpieczeniu fortecy i utrwalili sobie dobrze w pamięci rozmieszczenie kamer systemu bezpieczeństwa.

– Chyba wiesz – powiedział Giordino, leżąc na plecach i wpatrując się gwiazdy – że włamanie nie są w naszym stylu?

Wyciągnięty obok Pitt obserwował przez noktowizor ogrodzenie wokół twierdzy El Castillo.

– Wiem także, że NUMA nie płaci nam za takie ryzyko.

– Lepiej zadzwońmy do admirała i Rudiego i zdajmy im relację z naszych dotychczasowych przygód. Gdy zejdziemy pod ziemię, telefon stanie się bezużyteczny.

Pitt wyjął z plecaka telefon satelitarny i zaczął wybierać numer.

– Sandecker to ranny ptaszek, więc wcześniej chodzi spać. Rudi powinien być jeszcze uchwytany, bo tutaj jest tylko o godzinę później niż w Waszyngtonie.

Po pięciu minutach Pitt się wyłączył.

– Rudi przyśle helikopter do San Carlos na wypadek, gdybyśmy musieli się szybko ewakuować.

Giordino znowu skupił uwagę na fortecy.

– Nie widzę żadnych schodów, same pochylnie.

– Nadawały się lepiej do wciągania dział na mury obronne – wyjaśnił Pitt. – Ówcześni



budowniczo wieździeli tyle o wznoszeniu twierdz, ile dzisiejsi o stawianiu wieźowców.

– Widzisz coś podobnego do otworu szybu wentylacyjnego tunelu?

– Musi iść w górę przez blanki.

Giordino był zadowolony, że noc jest bezksiężycowa.

– Więć jak się przedostaniemy przez ogrodzenie, kamery, alarmy, ochroniarzy i psy?

– Wszystko po kolei. Nie możemy zająć się ochroniarzami, dopóki nie sforsujemy parkanu – odparł Pitt, pochłonięty studiowaniem otoczenia twierdzy.

– A jak to zrobimy? To ogrodzenie ma ze trzy metry wysokości.

– Możemy spróbować przeskoczyć nad nim o tyczce.

Giordino spojrział dziwnym wzrokiem na Pitta.

– Chyba żartujesz?

– Jasne, że żartuję – odpowiedział Pitt i wyjął z plecaka zwój liny. – Możesz jeszcze wspinać się na drzewa czy artretyzm już ogranicza twoją aktywność fizyczną?

– Moje starzejące się stawy nie są nawet w połowie takie sztywne jak twoje.

Pitt poklepał starego przyjaciela po ramieniu.

– Więć sprawdzmy, czy dwa stare pryki potrafią jeszcze dać ryzykowny pokaz zwinności.

Zaczeło mżyć i wkrótce ich cienkie ubrania zupełnie przemokły. Tropikalny deszczyk przypominał domowy prysznic. Temperatura wody była tak przyjemna dla skóry, jakby została wyregulowana zaworem w łazience.

Wspięli się na wysokie, ponadtrzydziestometrowe drzewo, którego pień miał półtorametrową średnicę. Stało kilkadziesiąt centymetrów od ogrodzenia wokół fortecy. Niższe gałęzie sięgały daleko w głąb zamkniętego terenu ponad spiralą z drutu kolczastego na szczycie parkanu. Giordino zarzucił pętlę z liny na grubą gałąź trzy metry nad sobą, wdrapał się na nią, przeczochał po mniejszych gałęziach poza ogrodzenie i zawisnął cztery metry nad ziemią, po czym zbadał teren pod sobą przez noktowizor.

Pitt wspiął się po linie w górę, opierając się stopami o pień. Dotarł do konaru, przedarł się przez cieńsze gałęzie i zrównał z Giordinem.

– Są jacyś ochroniarze z psami? – szepnął.

– To lenie – odparł Giordino. – Spuścili psy, żeby biegały same.

– Cud, że dotąd nas nie wywęszyły.

– Powiedziałeś to w złą godzinę. Trzy właśnie patrzą w naszym kierunku. Aha, już tu pędzą.

Zanim psy zaczęły szczekać, Pitt sięgnął do plecaka, wyjął steki zabrane z restauracji i rzucił na pochylnię prowadzącą do najbliższego bastionu. Mięso wylądowało z donośnym plaśnięciem, psy usłyszały odgłos i skreśliły w tamtą stronę.

– Jesteś pewien, że to zadziała? – mruknął Giordino.

– W filmach zawsze działa.

– Bardzo mnie uspokoiłeś – stęknął Giordino.

Pitt zeskoczył z drzewa na ziemię i podniósł się na nogi. Giordino poszedł w jego ślady, obserwując z obawą psy, które na szczęście pożerały z zapalem surowe mięso i nie zwracały najmniejszej uwagi na dwóch intruzów.

– Chyba już nigdy w ciebie nie zwątpię – wymamrotał pod nosem Giordino.

– Będę pamiętał, że to powiedziałeś.

Pitt ruszył pierwszy w kierunku jednej z kamiennych pochylni. Idąc, przyglądał się przez noktowizor najbliższej kamerze, żeby się zorientować, kiedy zatacza najszerszy łuk. W odpowiednim momencie gwizdnął. Giordino przebiegł przez jej martwe pole i zamalował obiektyw czarnym sprayem. Poszli dalej, zatrzymali się przed zamkniętym, ciemnym muzeum i zaczęli nasłuchiwać podejrzanych dźwięków. Zza murów obronnych biegnących wokół głównego dziedzińca dochodziły przytłumione głosy z tymczasowych koszar ochrony. Weszli do dawnego magazynu. Kamienne ściany wciąż były solidne, ale drewniane belki stropowe i dach dawno zniknęły.

Pitt wskazał środkową wieżę górującą nad fortem. Miała kształt piramidy z odciętą górną połową.

– Jeśli jest tu pionowy szyb wentylacyjny biegnący z dołu, musi wychodzić tamtędy – powiedział cicho.

– To jedyne logiczne miejsce – zgodził się Giordino, po czym nastawił uszy. – Co to za hałas?

Pitt zaczął czujnie nasłuchiwać. W końcu skinął w ciemności głową.

– Ten szum muszą powodować wiatraki wentylatorów.

Trzymając się w cieniu, wspięli się wąską kamienną pochylnią prowadzącą wzdłuż muru wieży do małych drzwi wejściowych. Przez wąski otwór wdarł się podmuch chłodnego powietrza i uderzył w nich niemal z taką siłą, jakby to był tunel aerodynamiczny. Pitt pochylił się nisko, wszedł do środka i stanął przy podstawie wielkiej klatki sporządzonej z drucianej siatki. Hałas łopat wiatraków wirujących poniżej porażał bębrenki w uszach.

– Głośne to cholerstwo! – zawołał Giordino.

– Bo stoimy na górze. Byłoby dużo gorzej, gdyby nie zainstalowali tłumików dźwięku. Odgłos jest całkiem dobrze wyciszony na zewnątrz wieży.

– Dmucha tu z siłą wichury – zauważył Giordino i sprawdził grubość drucianej siatki.

– Te wiatraki są tak skonstruowane, żeby dostarczały obliczoną komputerowo ilość powietrza pod odpowiednim ciśnieniem.

– Znów te twoje wykłady. Nie wmawiaj mi, że zaliczyłeś podstawowy kurs budowy tuneli.

– Zapomniałeś, że kiedyś podczas letniej przerwy między semestrami w Akademii Sił Powietrznych pracowałem w kopalni srebra w Leadville w Kolorado? – odparował Pitt.

– Pamiętam. – Giordino uśmiechnął się. – Ja spędziłem tamte wakacje jako ratownik w Malibu. – Spojrzał przez siatkę w dół. Z otworu dochodziło światło. Obszedł siatkę dookoła i

znalazł klamkę. – Zamknięte od wewnątrz – powiedział. – Będziemy musieli przeciąć siatkę.

Pitt wyjął z plecaka małe nożyce do cięcia drutu.

– Pomyślałem, że mogą się przydać, kiedy natrafimy na drut kolczasty.

Giordino uniósł je i obejrzał w świetle padającym z dołu.

– Powinny wystarczyć. A teraz proszę się cofnąć i mistrz zrobi wejście.

Zadanie tylko wydawało się łatwe. Giordino ociekał potem, kiedy po dwudziestu pięciu minutach wyciął w końcu dziurę wystarczająco dużą, żeby mogli się przez nią przeczołgać. Oddał nożyce Pittowi, rozciągnął siatkę i zajrzał do szybu. Kwadratowy kanał wentylacyjny odprowadzający zużyte powietrze z tunelu położonego daleko w dole miał cztery i pół metra szerokości. Wzdłuż jednego narożnika biegła okrągła metalowa rura z drabinką w środku, której szczeble zdawały się niknąć w bezdennej otchłani.

– Wejście i zejście dla obsługi technicznej na wypadek awarii wentylatorów – wyjaśnił Pitt, przekrzykując szum wiatraków. – I droga ewakuacyjna dla robotników na wypadek pożaru lub zaważenia się stropu.

Giordino opuścił się na pierwsze szczeble drabinki i spojrzał ponuro w górę na Pitta.

– Mam nadzieję, że nie będą tego żałować! – zawołał, przekrzykując hałas wentylatorów, po czym zaczął schodzić w głąb rury.

Szyb był oświetlony i Pitt dziękował za to losowi. Po piętnastu metrach zatrzymał się i spojrzał w dół. Zobaczył tylko drabinkę ciągnącą się bez końca jak szyny kolejowe. Ani śladu dna.

Wyjął z kieszeni papierowy ręcznik, oderwał dwa małe kawałki, zmiął je mocno i wetknął do uszu, żeby uwolnić się od irytującego szumu wiatraków. Hałas potęgowały dmuchawy pomocnicze zainstalowane co trzydzieści metrów, wytwarzające ciśnienie potrzebne do odpowietrzania tunelu.

Schodzenie zdawało się trwać wieczność. Wreszcie Giordino zatrzymał się na głębokości około stu pięćdziesięciu metrów i pomachał w górę; dostrzegł koniec drabinki. Obrócił się wolno i ostrożnie, i zawisnął głową w dół. Potem opuścił się niżej aż do miejsca, skąd mógł zajrzeć pod dach małego pomieszczenia, w którym znajdowało się centrum kontrolne do wykrywania gazów i tlenku węgla oraz monitorowania temperatury i działania systemu wentylacyjnego.

Pitt i Giordino byli teraz daleko od wiatraków w górze i mogli już rozmawiać przyciszonym głosem. Giordino z powrotem obrócił się stopami w dół. Pitt dołączył do niego.

– Jaka sytuacja? – zapytał cicho.

– Drabinka przechodzi przez centrum kontrolne systemu wentylacyjnego ulokowane niecałe pięć metrów nad dnem tunelu. Przy konsolach komputerowych siedzą kobieta i mężczyzna. Na szczęście są odwróceny plecami do drabinki. Powinniśmy zdążyć ich załatwić, zanim się zorientują, co się dzieje.

Pitt spojrzał prosto w ciemne oczy Giordino.

– Jak chcesz to zrobić?

– Wezmę faceta. – Giordino rozchylił usta w lekkim uśmiechu. – Jesteś lepszy ode mnie w poskramianiu kobiet.

Pitt spiorunował go wzrokiem.

– Cykor! – warknął.

Nie tracąc czasu, zeszli cicho po drabinie do centrum kontrolnego. Operatorzy systemu – kobieta w białym kombinezonie i mężczyzna w czarnym – byli tak pochłonięci obserwacją monitorów swoich komputerów, że spostrzegli w szybach ekranów odbicie napastników dopiero wtedy, gdy było już za późno. Giordino zaszedł mężczyznę z boku i walnął go prawym sierpowym w szczękę. Pitt wybrał atak z tyłu i uderzył kobietę w kark. Oboje wydali tylko słaby jęk i stracili przytomność.

Trzymając się poniżej linii okien, Pitt wyjął z plecaka rolkę taśmy samoprzylepnej i rzucił ją Giordino.

– Zwiąż ich, a ja zdejmę im kombinezony.

Trzy minuty później skrepowani i zakneblowani operatorzy systemu wentylacyjnego leżeli w samej bieliźnie pod swoimi blatami, niewidoczni z zewnątrz pomieszczenia. Pitt bez problemu wciągnął na siebie czarny kombinezon, Giordino z trudem zmieścił się w białym. Znaleźli na półce kaski i włożyli je na głowy. Pitt niedbale zarzucił plecak na ramię, Giordino z klipbordem i ołówkiem w dłoniach wyglądał bardzo oficjalnie. Zeszli jeden za drugim po drabinie na dno tunelu.

Gdy zorientowali się, gdzie się znaleźli, i rozejrzeli dookoła, mrużąc oczy od blasku niekończących się rzędów reflektorów, dosłownie ich zamurowało.

To nie był zwykły tunel kolejowy. To w ogóle nie był tunel kolejowy.

Ten tunel o przekroju podkowy miał rozmiary o wiele większe niż sobie wyobrażali. Pitt doznał wrażenia, że się znalazł w krainie fantazji Julesa Verne'a. Ocenił, że podziemny korytarz ma średnicę ponad piętnastu metrów, dużo większą niż jakikolwiek tunel kolejowy. Eurotunel między Francją i Anglią ma siedem i pół metra średnicy, a Seikan łączący wyspy Honsiu i Hokkaido niecałe dziesięć.

Szum wentylatorów zastąpiło buczenie dobiegające z obu stron tunelu. W górze przesuwał się nieustannie na wschód wielki przenośnik taśmowy zamontowany na rzędach stalowych belek. Ale zamiast brył o wielkości od trzydziestu do czterdziestu pięciu centymetrów, transportował skałę rozkruszoną niemal na piasek.

– Oto źródło naszej brązowej zawiesiny – powiedział Pitt. – Mielą kamienie, dopóki nie mają konsystencji mułu, i wypompowują rurą do Morza Karaibskiego.

Pod przenośnikiem taśmowym biegły równoległe tory kolejowe i betonowa jezdnia. Pitt przyklęknął i obejrzał szyny i złącza.

– Napęd elektryczny, jak w metrze w Nowym Jorku. – powiedział.

– Uważaj na trzecią szynę – ostrzegł Giordino. – Nie wiadomo, pod jakim jest napięciem.

– Co kilka kilometrów muszą mieć generatorowe podstacje zasilające.

– Chcesz położyć miedzianą monetę na torach? – zażartował Giordino.

Pitt wstał i spojrzał w dal.

– Nie ma mowy, żeby po tych szynach mogły jeździć szybkie pociągi towarowe rozwijające prędkość ponad trzystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jakość tych torów nie jest najwyższa, a metalowe złącza znajdują się zbyt daleko jeden od drugiego. Poza tym, standardowy rozstaw szyn to sto czterdzieści trzy i pół centymetra. Tutaj jest niecały metr. To kolejka wąskotorowa.

– Która służy do przewozu części do maszyny drążącej tunel.

Pitt uniósł brwi.

– Jak na to wpadłeś?

– Czytałem gdzieś o takich maszynach.

– Zostałeś prymusem klasowym. Ten tunel na pewno wydrążyła taka maszyna. I to duża.

– Może zamierzają potem wymienić szyny – podsunął Giordino.

– Po co mieliby czekać do zakończenia budowy tunelu? Ekipa ze sprzętem do układania torów powinna się posuwać za maszyną drążącą, zależy im przecież na czasie. – Pitt w zamyśleniu wolno pokręcił głową. – Tunel tej wielkości nie jest przeznaczony do ruchu kolejowego. Musi służyć do czegoś innego.

Zobaczyli wielki piętrowy autobus w kolorze lawendy. Nadjechał cicho, kierowca pomachał do nich dłonią. Odwrócili się i udawali przez chwilę, że dyskutują o czymś na klipbordzie Giordina. W autobusie siedzieli robotnicy w kombinezonach o różnych kolorach i w kaskach ochronnych. Wszyscy byli w ciemnych okularach. Pitt i Giordino zauważyli na burcie autobusu nazwę Odyssey i logo w kształcie konia. Kierowca zwolnił, nie wiedząc, czy chcą wsiąść, ale Pitt pokazał mu, żeby jechał dalej.

– Elektryczny napęd – powiedział Giordino.

– Eliminuje skażenie powietrza tlenkiem węgla ze spalin.

Giordino podszedł do dwóch pustych wózków golfowych z napędem akumulatorowym. Wyglądały jak miniaturowe samochody sportowe.

– Miło z ich strony, że zapewnili nam transport – powiedział i usiadł za kierownicą. – Dokąd?

Pitt zastanawiał się przez chwilę.

– Jedźmy za wykopaną ziemią na przenośniku taśmowym. To może być nasza jedyna szansa upewnienia się, czy znaleźliśmy źródło brązowej zawiesiny.

Przestronny tunel zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Wyglądało na to, że ruch drogowy ogranicza się do przewozu robotników, a sprzęt i materiały transportuje się kolejką wąskotorową. Na tablicy rozdzielczej wózka golfowego był prędkościomierz i Pitt sprawdził szybkość przenośnika taśmowego. Konwejer poruszał się w tempie dziewiętnastu kilometrów na godzinę.

Pitt skupił uwagę na ścianach i sklepieniu tunelu. Po przejściu maszyny drążącej górnicy instalowali tubingi, potem pneumatycznie natryskiwano grubą warstwę betonu. Wymagało to przemieszczania agregatów wysokociśnieniowych na dużą odległość od otworu wejściowego do drążonego w tym momencie miejsca. Przecieki wody gruntowej uszczelniano zastrzykami płynnego cementu. Powłoka zapobiegała zamknięciu tunelu, ale również ułatwiłaby przepływ cieczy przez jego wnętrze.

Jasne oświetlenie sufitowe niemal raziło w oczy. Pitt i Giordino rozumieli teraz, dlaczego robotnicy w autobusie podróżowali w ciemnych okularach. Obaj jednocześnie włożyli swoje.

Ukazał się elektrowóz ciągnący kilka platform, jechał w przeciwną stronę, gdzie obecnie drążono tunel. Na płaskich wagonach stały otwarte skrzynie pełne śrub do tubingów. Obsługa

pociągu pomachała do dwóch mężczyzn w wózku golfowym. Odpowiedzieli tym samym.

– Wszyscy są tutaj bardzo przyjaźnie nastawieni – odezwał się Giordino.

– Zauważyłeś, że faceci noszą czarne kombinezony, a kobiety białe lub zielone?

– Specter musiał być w poprzednim życiu dekoratorem wnętrz.

– To chyba jakiś system identyfikacyjny – odrzekł Pitt.

– Prędeż uciąłbym sobie ucho, niż włożył lawendowe ciuchy – mruknął Giordino i nagle przypomniał sobie, że jest ubrany na biało. – Zdaje się, że mam nie taki kombinezon, jak trzeba.

– Lepiej wypchaj sobie biust – doradził Pitt.

Giordino nic nie odpowiedział, ale gorzkie spojrzenie, jakie posłał Pittowi, wyrażało wszystko.

– Zastanawiam się, czy ci górnicy wiedzą o toksycznych minerałach zawartych w błocie, które wypompowują do morza? – Twarz Pitta spochmurniała.

– Dowiedzą się, kiedy zaczną im wypadać włosy i gnść wnętrzności – odparł Giordino.

Jechali dalej, czując wyraźnie, że powietrze głęboko pod ziemią i morzem było dziwne, nienaturalne. Minęli kilka mniejszych korytarzy odchodzących w bok po lewej stronie. Obudziły ich ciekawość, a jak się okazało, prowadziły do drugiego równoległego tunelu i były rozmieszczone co tysiąc metrów. Pitt przypuszczał, że drugim tunelem biegną przewody elektryczne.

– Mamy wyjaśnienie drgań ziemi na powierzchni – powiedział. – Nie zrobili tych poprzecznych korytarzy za pomocą maszyny drążącej, użyli świrdrów i materiałów wybuchowych.

– Skręcimy?

– Później – odparł Pitt. – Na razie jedźmy dalej za błotem na konwejerze.

Giordino był zdumiony mocą wózka golfowego. Rozpędził go do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i wkrótce zaczął wyprzedzać inne pojazdy na betonowej jezdni.

– Lepiej zwolnij – ostrzegł Pitt. – Nie wzbudzajmy podejrzeń.

– Myślisz, że mają tu gliniarzy z drogówki?

– Nie, ale wielki brat patrzy – odrzekł Pitt i wskazał dyskretnie głową kamerę zawieszoną wśród reflektorów pod sufitem.

Giordino niechętnie zwolnił i ulokował się za autobusem jadącym w tym samym kierunku. Pitt zorientował się szybko, że piętrusy kursują co dwadzieścia minut i zatrzymują się przy miejscach pracy na żądanie górników chcących wsiąść lub wysiąść. Zerknął na zegarek. Dobrze zdawał sobie sprawę, że niedługo technicy z nowej zmiany wejdą do pomieszczenia kontrolnego pod szybem wentylacyjnym i znajdą na podłodze swoich skrepowanych kolegów. Jak dotąd, nie słychać było żadnych alarmów, nie dostrzegli też strażników krążących po tunelu w poszukiwaniu intruzów.

– Zbliżamy się do czegoś – oznajmił Giordino.

Hałas narastał. Pitt szybko rozpoznał gigantyczną stację pomp. Rozkruszone na piasek skały spadały z przenośnika taśmowego do monstrualnego pojemnika. Pompy wielkości trzypiętrowych domów właczały je stamtąd do ogromnych rur. Pitt domyślał się, że skażone błoto trafia do morza w miejscu, gdzie „Poco Bonito” wpadł na mieliznę utworzoną z nagromadzonej ziemi. Za stacją pomp zobaczyli gigantyczne stalowe wrota.

– Zagadka staje się coraz bardziej intrygująca – powiedział w zamyśleniu Pitt. – Te pompy są takie wielkie, że mogłyby usuwać dziesięć razy więcej wykopanego błota. Muszą służyć do czegoś innego.

– Pewnie je zdemontują, kiedy skończą tunel.

– Wątpię. Wyglądają na zamontowane na stałe.

– Ciekawe, co jest za tamtymi wrotami? – zastanowił się głośno Giordino.

– Morze Karaibskie – odrzekł Pitt. – Musimy się teraz znajdować całe mile od brzegu i głęboko pod powierzchnią wody.

Giordino nie odrywał wzroku od wrót.

– Jak oni to wykopali, do cholery?

– Zaczęli odkrywkowo na lądzie. Początek tunelu wyłobila specjalna koparka do budowy dróg. Kiedy osiągnęli wyliczoną głębokość, wprowadzili do akcji dużą maszynę drążącą. Przywieźli ją w częściach i zmontowali w wykopie. Posuwała się pod morzem na wschód. Potem musieli ją rozebrać, przestawić i zmontować na nowo, żeby mogła drążyć w przeciwnym kierunku, na zachód.

– Jak mogli utrzymać w tajemnicy operację na taką skalę?

– Zapłacili górnikom i inżynierom kupę dolców, żeby trzymali gęby na kłódkę. Albo zmusili ich do milczenia groźbami lub szantażem.

– Rathbone wspominał, że nie wahają się zabijać intruzów. A dlaczego nie robotników, którzy mają za długie języki?

– Nie przypominaj mi o intruzach. W każdym razie nasze podejrzania się potwierdziły – powiedział wolno Pitt. – Brązowa zawiesina rozprzestrzenia się na morzu za sprawą człowieka, który ma gdzieś straszliwe konsekwencje tego zjawiska.

Giordino wolno pokręcił głową.

– Operacja rozsiewania odpadów toksycznych, jakiej wszyscy truciele środowiska mogliby mu pozazdrościć.

Pitt sięgnął do plecaka, wyjął mały cyfrowy aparat fotograficzny i zaczął robić zdjęcia gigantycznej stacji pomp.

– Twój magiczny zestaw nie stworzy pewnie nic do jedzenia i picia? – zapytał Giordino.

Pitt wyciągnął z głębi plecaka dwa batony regeneracyjne.

– Przykro mi, ale jest tylko to.

– Co tam jeszcze masz?

– Mojego niezawodnego starego colta 45.



– Zawsze możemy się zastrzelić, zanim nas powieszą – powiedział ponuro Giordino.

– Zobaczyliśmy to, co mieliśmy zobaczyć – odrzekł Pitt. – Pora wracać do domu.

Giordino wdepnął pedał gazu, zanim Pitt skończył zdanie.

– Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej. Nasz czas się kurczy.

Pitt pstrykał po drodze zdjęcia.

– Pojedziemy okrężną drogą. Chcę jeszcze zobaczyć, co jest w tych poprzecznych korytarzach.

Giordino przyspieszył. Czuł, że Pittowi chodzi o coś więcej. Był pewien, że chce dotrzeć do drugiego końca tunelu i zobaczyć w akcji maszynę drążącą. Pitt robił zdjęcia wszystkim mijanym urządzeniom. Fotografował najdrobniejsze szczegóły konstrukcyjne tunelu.

Giordino, nie zwalniając, skręcił w prawo w pierwszy poprzeczny korytarz i pokonał zakręt na dwóch kołach. Pitt przytrzymał się i posłał mu mordercze spojrzenie, ale nic nie powiedział. Po pięćdziesięciu metrach wyłonili się nagle w drugim tunelu. Zaskoczony Giordino zahamował ostro. Po raz drugi tego dnia zamurowało ich całkowicie.

– Same niespodzianki – mruknął pod nosem zdumiony Giordino.

– Nie stawaj, jedź dalej – rozkazał Pitt.

Giordino rozpędził wózek golfowy do maksymalnej szybkości i przeciął następny tunel. Nie wahał się ani nie czekał na przynaglenia Pitta. Nie zdejmował nogi z gazu, dopóki nie wpadli do czwartego tunelu. Droga skończyła się nagle, ale zdążył wyhamować, zanim uderzyli w przeciwległą ścianę. Siedzieli przez kilka sekund i patrzyli w niekończącą się pustkę. Z lewej i prawej strony, powoli docierał do nich ogrom tego, co widzą.

Sieć tworzyły cztery olbrzymie, połączone ze sobą tunele takiej samej wielkości.

Giordino niełatwo wpadał w osłupienie, ale teraz niemal odebrało mu mowę.

– To nie może być prawda – powiedział prawie szeptem.

Pitt powoli otrząsnął się z zaskoczenia, skupił się i odzyskał jasność umysłu. Musiał istnieć jakiś cel tego gigantycznego przedsięwzięcia. Musiało też być wyjaśnienie, jak mogło powstać coś podobnego. W jaki sposób Specterowi udało się zbudować cztery ogromne tunele pod nikaraguańskimi górami w tajemnicy przed służbami wywiadowczymi i mediami? Jakim cudem realizacja tak wielkiego projektu mogła trwać niezauważona przez ponad cztery lata?

– Ile linii kolejowych zamierza uruchomić Specter? – wymamrotał oszołomiony Giordino.

– Nie zbudował tych tuneli dla pociągów towarowych – odrzekł Pitt.

– A może dla barek?

– To byłoby nieopłacalne. Musi mu chodzić o coś innego.

– Najwyraźniej liczy na kolosalny zysk, skoro podjął się takiej inwestycji.

– Koszt na pewno przekroczył przewidywane siedem miliardów dolarów.

Ich głosy odbijały się echem w zupełnie pustym tunelu. Nie widać było żadnych ludzi ani

pojazdów. Gdyby nie idealnie wyprofilowane łukowe sklepienie, gładkie ściany i równa betonowa nawierzchnia, mogłoby się im wydawać, że znajdują się w rozległej naturalnej grocie. Pitt schylił głowę i przyjrzał się podłożu.

– To tyle, jeśli chodzi o system szybkiego tranzytu towarowego. Usunęli tory kolejowe.

Giordino wskazał dyskretnym ruchem głowy kamerę na słupie. Obiektyw był skierowany prosto na nich.

– Lepiej wiejmy stąd szybko z powrotem do głównego tunelu i zmienmy środek transportu. Ten wózek za bardzo rzuca się w oczy.

– Dobrze myślisz – zgodził się Pitt. – Tylko przyglupy nie zorientowałyby się do tej pory, że mają tu nieproszonych gości.

Wrócili przez trzy puste tunele i zatrzymali się tuż przed czwartym, skąd zaczęli podróż. Zaparkowali wózek golfowy w poprzecznym korytarzu poza zasięgiem kamery, poszli nonszalanckim krokiem wzdłuż betonowej jezdni i dotarli do przystanku, na którym ośmiu górników czekało na autobus. Z bliskiej odległości Pitt mógł dostrzec ich oczy za okularami przeciwsłonecznymi. Wszyscy byli Azjatami.

Pitt szturchnął Giordina. Al zrozumiał.

– Stawiam dziesięć dolców, że to Chińczycy – szepnął Pitt.

– Nie zakładam się.

Zanim na przystanku zatrzymał się piętrowy autobus, obok przemknęła kawalkada wózków golfowych z czerwonymi i żółtymi lampami błyskowymi i skręciła w poprzeczny korytarz, z którego przed chwilą wyszli.

– Kiedy znajdą nasz wózek, zorientują się w ciągu dziesięciu sekund, że jesteśmy w tym autobusie – powiedział Giordino.

Pitt przyglądał się pociągowi nadjeżdżającemu od strony wschodniej części tunelu.

– Też tak myślę – mruknął.

Gdy górnicy, którzy czekali na przystanku wsiedli do piętrusa, podniósł rękę i pokazał kierowcy, że może odjechać. Drzwi zasunęły się z sykiem i autobus ruszył.

– Kiedy po raz ostatni goniłeś pociąg towarowy? – zapytał Pitt, gdy szybko przebiegli przez drogę i stanęli obojętnie obok torów. Lokomotywa zbliżała się i po chwili znalazła się obok nich. Maszynista czytał magazyn ilustrowany.

– Kilka lat temu na Saharze. Tamten pociąg wiozł toksyczne chemikalia do fortu Foureau.

– O ile pamiętam, o mało nie spadłeś.

– Nie cierpię, kiedy się ze mnie nabijasz – Giordino wykrzywił wargi.

Gdy tylko lokomotywa minęła ich, popędzili wzdłuż torów. Pitt zdążył już obliczyć, że pociąg jedzie z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, musieli biec w tym samym tempie. Giordino był szybki, jak na swój wzrost. Pochylił głowę i gnał za platformą, jakby zmierzał z piłką do strefy końcowej boiska. Chwycił się mocno drabinki i pęd pociągu wciągnął go na płaski wagon. Pitt zrobił to samo.

Na platformie stały dwa pikapy niewiadomej marki o napędzie elektrycznym. Lśniły jak nowe i wyglądały tak, jakby właśnie zjechały ze statku. Pitt i Giordino zrozumieli się bez słów. Otworzyli drzwi jednego z samochodów, wśliznęli się do kabiny i przycupnęli pod tablicą przyrządów poniżej linii okien. Zdążyli w samą porę, obok pociągu przemknęły dwa pojazdy patrolowe z wyjącymi syrenami i błyskającymi światłami. Ścigały autobus.

– Kamery musiały nie zauważyć naszego manewru, bo inaczej goniliby nas zamiast piętrusa – powiedział Pitt, wyraźnie zadowolony.

– Najwyższy czas, żeby zaczęło nam dopisywać szczęście.

– Zostań tu – polecił Pitt. – Zaraz wrócę.

Otworzył drzwi po przeciwnej stronie niż droga i wypełził na czworakach z pikapa. Podkraść się do tylnych kół, usunął spod nich kliny i odczepił łańcuchy, którymi samochód był przypięty do platformy. Potem wrócił do kabiny.

Giordino spojrzał na niego dziwnie.

– Czytam w twoich myślach i nie wiem, jak i po co chcesz zjechać z pociągu w ruchu do tunelu, który jest zablokowany na obu końcach.

– Będziemy się o to martwili, kiedy nadejdzie czas – odparł spokojnie Pitt.

Nic na świecie nie jest podobne do wielkiej maszyny do drążenia tuneli.

Maszyna Spectera drążąca pod Nikaraguą tunel od wybrzeża Atlantyku do brzegu Pacyfiku miała sto dziesięć metrów długości. Następne dziewięćdziesiąt metrów zajmował pociąg ze sprzętem.

Niewiarygodnie skomplikowane monstrum wyglądało jak pierwszy stopień rakiety kosmicznej Saturn. Maszyna miała napęd elektryczny, co eliminowało wycieki oleju hydraulicznego i skażenie środowiska. Mogła się poruszać z różnymi prędkościami. Rzędy karbidowych ostrzy zamontowanych na masywnej stalowej głowicy odłupywały ruchem obrotowym warstwy twardej skały i wycinały w niej okrągły tunel o średnicy niemal szesnastu metrów w tempie ponad sześciuset pięćdziesięciu metrów dziennie. W obudowie głowicy tnącej mieściły się silniki napędowe o kolosalnej mocy potrzebnej do wgrzania się ostrzy w skałę i prasy hydrauliczne o ogromnym nacisku niezbędnym do wnikania maszyny w solidną ścianę i miażdżenia skały.

Operator gigantycznej wieloczołowej maszyny siedział z przodu i sterował nią automatycznie za pomocą lasera, monitorując jednocześnie operację. Usuwany materiał trafiał do tylnej części maszyny i przechodził przez kruszarkę, która rozdrabniała skałę. Piasek był transportowany przenośnikiem taśmowym na przeciwległy koniec tunelu i stamtąd wypompowywany do morza.

Pociąg zatrzymał się pod przenośnikiem taśmowym przy rampie wyładowczej dwieście metrów za maszyną drążącą. W sklepieniu tunelu znikwały wielkie windy towarowe. Z windy

osobowej wyszła grupa kobiet w białych kombinezonach. Ruszyły w stronę autobusu, zanim wsiadły, Pitt podsłuchał, co mówiła jedna z nich. Dowiedział się, że kontrola musi się zakończyć za osiem godzin, żeby można było wysłać raport do centrali firmy na górze.

To nie miało sensu. Centrala na górze? Gdzie?

Nikt nie zwrócił na Pitta uwagi, kiedy swobodnie zjechał samochodem z wagonu na rampę, a stamtąd po pochylni na betonową jezdnię. Potem zajął miejsce za trzema innymi elektrycznymi pikapami.

Giordino rozejrzał się po pełnym ruchu terenie, na którym co najmniej trzydziestu górników obsługiwało różne urządzenia.

– Zbyt łatwo to poszło – mruknął.

– Jeszcze nie jesteśmy w domu – zauważył Pitt. – Musimy się stąd wydostać.

– Zawsze możemy wyjść przez inny szyb wentylacyjny.

– A jeśli jesteśmy pod jeziorem Nikaragua?

– Więc może przez tamten, którym tu weszliśmy?

– Moim zdaniem, możemy o tym zapomnieć.

Giordino przyglądał się z zainteresowaniem pracy maszyny drążącej.

– Okay, mistrzu, więc jaki masz scenariusz?

– Nie możemy uciec z tego tunelu, bo nie jest jeszcze skończony. Nasza jedyna nadzieja to któryś z szybów wentylacyjnych od strony Pacyfiku w trzech pozostałych tunelach.

– A jeśli tamtędy się nie uda?

– Wtedy będę musiał ułożyć inny plan.

Giordino wskazał ochroniarzy sprawdzających przepustki górników przy bramce stacji kolejowej.

– Czas stąd znikać. Nie jesteśmy zbyt podobni do zdjęć na naszych identyfikatorach.

Pitt uniósł plakietkę przypiętą do górnej kieszeni jego kombinezonu i przyjrzał się jej z rozbawieniem.

– Mam jeszcze jeden problem. Ten facet ma metr pięćdziesiąt siedem wzrostu, a ja metr dziewięćdziesiąt.

– A co ze mną? – zapytał Giordino z chytrym uśmiechem. – Skąd mam wziąć długie włosy i cycki?

Pitt uchylił drzwi samochodu i zlustrował szybkim spojrzeniem rampę wyładowniczą. Była pusta.

– Tędy!

Giordino przesunął się za Pittem na drugi koniec siedzenia pikapa. Wydostali się z kabiny, przebiegli pochyleni przez rampę i wpadli do otwartego magazynu. Skradali się wśród zamkniętych skrzyń z częściami zamiennymi do maszyny drążącej i innych urządzeń, aż znaleźli tylne wyjście na tory kolejowe. Przycupnęli za rzędem przenośnych toalet i ocenili sytuację.

Giordino z obrzydzeniem zmarszczył nos.

– Przydałby się jakiś transport.

– Proście, a będzie wam dane – powiedział Pitt, szczerząc zęby w uśmiechu.

Nie czekając na Giordino, wstał, wyłonił się zza toalet i podszedł swobodnym krokiem do jednego z pojazdów ochrony pozostawionych bez opieki. Usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk i wcisnął pedał gazu. Prąd z akumulatorów popłynął do silnika elektrycznego, napęd dotarł do przednich kół i samochód cicho ruszył. Giordino wskoczył w biegu z drugiej strony.

Wciąż dopisywało im szczęście. Ochroniarze byli tak zajęci legitymowaniem górników, że nie zauważyli kradzieży swojego wozu patrolowego. Elektryczny samochód poruszał się niemal bezszmerowo, a hałas maszyny drażącej zagłuszył krzyki robotników, którzy próbowali zaalarmować ochroniarzy.

Żeby upozorować podróż służbową, Giordino sięgnął do tablicy przyrządów i włączył żółte lampy błyskowe na przedniej krawędzi dachu. Gdy tylko dojechali do pierwszego skrzyżowania, Pitt skręcił ostro w lewo w poprzeczny korytarz. Po chwili powtórzył manewr, znalazł się w głównym tunelu i skierował na zachód.

Przypuszczał, że cztery tunele biegną pod jeziorem Nikaragua i wznoszą się w drodze do morza w starym porcie San Juan del Sur za wąskim pasem lądu między jeziorem i oceanem. Tam powinny być szyby wentylacyjne.

Ale mylił się.

Po przejechaniu kilku kilometrów dotarli do wielkich pomp, takich samych jak tamte, które widzieli na wschodnim krańcu sieci tuneli. Droga urwała się nagle przed gigantycznymi wrotami. Wokół ich krawędzi przesączała się woda. Pitt zrozumiał, że tunele nie wyłaniają się z ziemi w pobliżu San Juan del Sur, lecz kończą się jak ślepa uliczka daleko pod Pacyfikiem.

Po porannym biegu ze swojego mieszkania w Watergate do centrali NUMA admirał Sandecker nie wstąpił nawet do sali gimnastycznej agencji, żeby wziąć prysznic i przebrać się w garnitur. Poszedł prosto do swojego gabinetu. Rudi Gunn czekał tam na niego z ponurą miną. Sandecker usiadł za biurkiem i wytarł ręcznikiem spoconą twarz i szyję. Gunn przyglądał mu się znad okularów w rogowej oprawce.

– Jakie są ostatnie wiadomości od Pitta i Giordino? – zapytał admirał.

– Nie odzywają się od ośmiu godzin – odrzekł zaniepokojony Gunn. – Odkąd weszli do szybu wentylacyjnego głębokiego tunelu, który według Pitta biegnie pod nikaraguańską dżunglą od Pacyfiku do Morza Karaibskiego.

– Żadnego kontaktu?

– Zupełna cisza – odparł Gunn. – Łączność telefoniczna nie działa, kiedy są głęboko pod ziemią.

– Tunel od morza do morza? – mruknął z powątpiewaniem Sandecker.

Gunn lekko skinął głową.

– Pitt jest tego pewien. Powiedział też, że buduje go konglomerat Odyssey.

Sandecker spojrział na niego wyraźnie zaskoczony.

– Znowu Odyssey?

Gunn skinął potwierdzająco głową.

– Wszędzie ich pełno. – Sandecker wstał zza biurka i podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na rzekę Potomac, popatrzył na zwinięte czerwone żagle swojego małego szkunera przycumowanego w rzeczonym porcie jachtowym. – Nie słyszałem o żadnym tunelu pod Nikaraguą. Owszem, mówiło się o podziemnej linii kolejowej dla szybkich pociągów towarowych. Ale to było kilka lat temu i o ile wiem, nic z tego nie wyszło.

Gunn otworzył akta, wyjął kilka fotografii i rozłożył na biurku admirała.

– To zdjęcia satelitarne małego sennego portu San Juan del Norte zrobione w ciągu

ostatnich paru lat.

– Skąd je masz? – zainteresował się Sandecker.

Gunn uśmiechnął się.

– Hiram Yaeger ściągnął je do swoich zbiorów z baz danych kilku agencji wywiadowczych.

Sandecker włożył okulary i zaczął oglądać zdjęcia, zerkając na daty wydrukowane na dolnych krawędziach. Po kilku minutach podniósł wzrok.

– Pięć lat temu ten port wyglądał na opuszczony – zauważył. – Teraz widać tam wyładunek ciężkiego sprzętu i urządzenia portowe dla kontenerowców.

– Wszystkie kontenery z zaopatrzeniem i sprzętem znikają natychmiast w magazynach z prefabrykatów i nie pojawiają się więcej.

– Nie do wiary, że takie wielkie przedsięwzięcie jest realizowane od tylu lat i nikt o tym nie wie.

Gunn położył akta na biurku.

– Yaeger zdobył również raport o projektach i operacjach Odyssey. Sytuacja finansowa korporacji jest tu przedstawiona tylko w ogólnym zarysie. Firma ma centralę w Brazylii, więc nie musi ujawniać u nas zysków i strat.

– A co z jej akcjonariuszami? Muszą dostawać roczne zestawienia.

– Odyssey nie jest notowana na żadnej giełdzie, bo jej jedynym właścicielem jest Specter.

– Sam to wszystko finansuje? – zdziwił się Sandecker.

– O ile nam wiadomo, ma ogromne fundusze. Ale Yaeger uważa, że inwestycję na taką skalę prawdopodobnie finansuje Chińska Republika Ludowa, która w przeszłości już wykladała środki na przedsięwzięcia Spectera w Ameryce Środkowej.

– To brzmi sensownie. Chińczycy dużo inwestują w tamtym regionie i tworzą tam swoją strefę wpływów.

– Jest jeszcze jedna korzyść z trzymania tej operacji w tajemnicy – wyjaśnił Gunn. – Nie ma problemu nacisków społecznych, ekonomicznych i ekologicznych. Rząd może po prostu ignorować protesty nikaraguańskich aktywistów, jeśli budowa jest prowadzona w ukryciu.

– Jakie jeszcze projekty realizują wspólnie Specter i Chińczycy?

– Budują porty na obu krańcach Kanału Panamskiego i most łączący jego brzegi, który ma być otwarty już na początku przyszłego roku.

– Ale po co ta cała tajemnica? – mruknął Sandecker i wrócił za biurko. – Co na tym zyskają?

Gunn bezradnie rozłożył ręce.

– Nie dowiemy się tego, dopóki nie zdobędziemy więcej danych wywiadowczych.

– Nie możemy siedzieć bezczynnie i czekać.

– Skontaktujemy się z CIA i Pentagonem w sprawie naszych podejrzeń? – zapytał Gunn.

Sandecker zastanawiał się przez moment.

– Nie. Pójdziemy z tym od razu do doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Słusznie – zgodził się Gunn. – Może się okazać, że sytuacja jest niezwykle poważna.

– Cholera! – wybuchnął nagle Sandecker. – Pitt i Giordino mogliby się wreszcie odezwać. Może mielibyśmy wtedy jakąś wskazówką, która pozwoliłaby nam dociec, co się tam dzieje.

Po dotarciu do końca drogi Pitt i Giordino nie mieli żadnego wyboru, mogli tylko zawrócić i pojechać z powrotem w kierunku, z którego przyjechali. Czwarty tunel okazał się zupełnie pusty, można by sądzić, że nie stworzył go wcale człowiek. Tylko nieczynne pompy stojące na obu jego krańcach świadczyły o tym, że ma służyć jakiemuś celowi, ale jaki to byłby cel, tego Pitt nie umiał odgadnąć.

Dziwiło go również to, dlaczego w pustym i ciemnym tunelu nie ściga ich kawalkada pojazdów ochrony z błyskającymi światłami. Nie było też kamer. Wszystkie usunięto po zakończeniu budowy.

Odpowiedź szybko stała się oczywista.

– Teraz rozumiem – odezwał się spokojnie Giordino – dlaczego ochroniarze nie spieszą się, żeby nas dorwać.

– Nie mamy dokąd uciec – dokończył za niego Pitt. – To koniec naszej małej przygody. Ludzie Spectera muszą tylko poczekać, aż poczujemy głód i pragnienie, wrócimy do głównego tunelu i poddamy się, licząc na ostatni posiłek przed powieszeniem.

– Pewnie woleliby, żebyśmy zdechli tutaj.

– Możliwe.

Pitt nagle zaczął się pocić. Wytarł mokre czoło rękawem.

– Zauważyłeś, że tutaj temperatura jest dużo wyższa niż w pozostałych tunelach?

– Zaczynam się tu czuć jak w saunie – odparł Giordino, którego twarz także lśniła od potu

– Powietrze cuchnie siarką.

– A propos głodu, jak wyglądają twoje zapasy batonów regeneracyjnych?

– Są zerowe.

Nagle obaj jednocześnie pomyśleli o tym samym, spojrzeli na siebie i wymówili unisono dwa słowa.

– Szyb wentylacyjny.

Giordino szybko jednak spowaźniał.

– A może nie. Nie widziałem żadnych podwyższonych kabin kontrolnych w tunelach zewnętrznych.

– Usunęli je razem z torami kolejowymi i oświetleniem sufitowym, bo po zakończeniu budowy przestały być potrzebne.

– Tak, ale szczeble drabinek są wpuszczone w ściany tuneli. Stawiam następną



miesięczną pensję, o ile dożyję wypłaty, że nie chciało im się ich likwidować.

– Niedługo się przekonamy – odrzekł Pitt.

Giordino wcisnął mocniej pedał gazu i samochód popędził naprzód, jego reflektory rozjaśniały mrok rozpościerający się przed nimi.

Po trzydziestu kilometrach Giordino zauważył szczelne drabinki biegnące w górę ściany. Zaparkował w odległości około dziesięciu metrów od tego miejsca, żeby oświetlić większy fragment muru.

– Szczelne dochodzą tam, gdzie kiedyś była kabina kontrolna szybu wentylacyjnego – powiedział i potarł zarost na brodzie i policzkach.

Pitt wysiadł z pojazdu i zaczął się wspinać po drabince. Minął rok lub więcej, od czasu, gdy ukończono i ogołociono tunel. Szczelne były śliskie od wilgoci i pokryte rdzą. Dotarł do szczytu i natrafił na okrągłą żelazną pokrywę wjazdu do szybu wentylacyjnego biegnącego powyżej. Była zaryglowana od dołu zasuwą.

Przełożył jedno ramię przez szczelbę drabinki, żeby nie stracić równowagi, chwycił oburącz zasuwę i pociągnął. Przesunęła się z niewielkim oporem. Napał barkiem na pokrywę i pchnął do góry.

Uniosła się najwyżej o milimetr.

– Musimy to zrobić we dwóch – zawołał w dół.

Giordino wszedł na drabinę i stanął jeden szczelbę wyżej od Pitta, żeby zrównoważyć różnicę ich wzrostu. Zaczęły się zmagania wilka z niedźwiedziem. Obaj mocno napałli barkami na ciężką żelazną pokrywę.

Uniosła się o dwa centymetry i znieruchomiła.

– Uparte cholerstwo – stęknął Giordino.

– Ale przynajmniej się rusza, nie jest przyspawana – odparł Pitt.

Giordino wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jeszcze raz, z czuciem.

– Na trzy.

Spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

– Jeden... – zaczął liczyć Pitt – dwa... trzy!

Z całej siły pchnęli pokrywę do góry. Przez moment stawiała opór, potem zaczęła powoli ustępować i nagle, zgrzytnąwszy głośno, otworzyła się gwałtownie, po czym uderzyła z metalicznym dźwiękiem w ścianę szybu wentylacyjnego. Wpatrzyli się w groźną czarną pustkę nad nimi, jakby zobaczyli tam schody do raju.

– Ciekawe, dokąd prowadzi ten szyb – wysapał Giordino.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Pitt. – Przekonajmy się.

Giordino złapał go lekko za ramię.

– Zaczekaj. Na wypadek, gdyby przygłupy Spectera chciały nas szukać, zapewnimy im trop.

Zszedł na dół i wsiadł do elektrycznego wozu patrolowego. Wyciągnął pasek ze swoich szortów i przywiązał kierownicę w takiej pozycji, że przednie koła były ustawione na wprost. Wysiadł, wyjął z samochodu siedzenie i ulokował je tak, że krawędź docisnęła pedał gazu do podłogi. W końcu przekręcił kluczyk i cofnął się szybko.

Pojazd runął tunelem przed siebie, reflektory rozświetliły ciemność. Po stu metrach odbił się od jednej ściany, potem od drugiej w szaleńczym pędzie zjeżdżał z lewej strony na prawą i z powrotem z przeraźliwym zgrzytem miażdżonego metalu.

– Ciekawe, jak Specter wyjaśni to inspektorowi ubezpieczeniowemu – powiedział Giordino i odwrócił się, ale Pitt już wchodził po drabince.

Pitt był zaskoczony, że jego mięśnie były tak zeszywniałe i zdrętwiałe, zapewne od napięcia i stresu w ciągu ostatnich kilku godzin. Wszedł wolno, chcąc oszczędzać siły. Brak światła sprawił, że zaczął odczuwać coś w rodzaju objawów klaustrofobii, posuwając się w górę w czarnej pustce. Liczył kroki i co pięćdziesiąt przystawał, żeby złapać oddech. Szczeble były umieszczone co trzydzieści centymetrów, mógł więc się łatwo zorientować, jaką odległość pokonał. W porównaniu z tą wspinaczką schodzenie w dół szybem wentylacyjnym w El Castillo, które ułatwiała mu siła grawitacji, wydawało się pływaniem w wannie. Zatrzymał się na trzysta pięćdziesiątym szczeblu i zaczął czekać na Giordina.

– Czy to się nigdy nie skończy? – wysapał Al.

– Wybacz tę grę słów – wymamrotał Pitt między ciężkimi oddechami – ale widzę światełko w tunelu.

Giordino spojrzał w górę i dostrzegł wysoko nad sobą nikłą poświatę. Wydawała się odległa o jakieś dziesięć kilometrów.

– Nie ma sposobu, żeby się do nas zbliżyło?

– Módl się, żeby się nie oddaliło.

Ruszyli dalej, z każdą chwilą mroczny szyb wydawał im się coraz bardziej upiorny. Blask w górze rósł i nabierał mocy przeraźliwie wolno. Ze ścian kapą na szczeble woda. Skóra na ich dłoniach, otarta od chwytania się zardzewiałego żelaza, piekła, jakby pocierali ją papierem ściernym.

Wreszcie daleka poświata zamieniła się w jasne światło i jego bliskość dodała im sił. Pitt zaczął pokonywać po dwa szczeble naraz, zużywając szybko resztki energii. Ale już tylko kilka metrów dzieliło ich od kresu wspinaczki.

Pitt ostatnim wysiłkiem dojrzał do drucianej siatki zawieszanej na szczycie szybu. Był wykończony. Zwisiał z drabinki, łapiąc gwałtownie oddech, krwawiły mu palce i dłonie.

– Udało się – wysapał.

Giordino po chwili dołączył do niego.

– Znowu mam przecinać siatkę? – powiedział, dysząc ciężko. – Nie dam rady.

Gdy tylko zdrętwienie i bóle zelzały, Pitt sięgnął do plecaka, wyjął nożyce i zaczął pomału ciąć drut.

– Będziemy się zmieniali – oznajmił.

Po kilku minutach i wycięciu paru centymetrów nie miał siły dłużej ścisnąć uchwytów nożyc, odsunął się na bok i przekazał je Giordinowi. Miał dłonie śliskie od krwi i omal nie upuścił cennego narzędzia. Giordino złapał je w ostatniej chwili, zanim spadło w czarną otchłań.

Pitt uśmiechnął się ponuro.

– Trzymaj je mocno. Chyba nie chcesz schodzić po nie na dół?

– Wolałbym tutaj zdechnąć – mruknął Giordino.

Ciął przez dziesięć minut, potem Pitt go zmienił.

Pracowali niemal godzinę, zanim wycięli otwór na tyle duży, by mogli nim przejść. Kiedy Pitt wydostał się poza siatkę, która przyciemniała światło z zewnątrz, oślepiło go słońce. Włożył okulary przeciwsłoneczne, żeby ochronić oczy przywykłe do ciemności, i zobaczył, że znajduje się w okrągłym pomieszczeniu oszklonym od podłogi do sufitu.

Kiedy Giordino gramolił się przez otwór, Pitt obszedł pomieszczenie dookoła. W dole wokół niego rozciągał się wspaniały widok na wielkie jezioro i okoliczne wyspy.

– Gdzie my wyszliśmy? – zdziwił się Giordino.

Pitt odwrócił się i spojrzał na niego z rozbawieniem.

– Nie uwierzysz, ale jesteśmy na szczycie latarni morskiej.

– Latarnia morska?! – wykrzyknął Sandecker po wysłuchaniu przez głośnik telefonicznej relacji Pitta. Odetchnął z ulgą, dowiedziawszy się, że Pitt i Giordino są cali i zdrowi.

– Zgadza się – odpowiedział przez telefon Pitt. – Ale to atrapa.

– Atrapa?

– Chodzi mu o konstrukcję, która udaje na przykład ruiny starego zamku czy jakąś historyczną budowlę – wyjaśnił Gunn i nachylił się do mikrofonu. – Mówisz, że Specter zbudował tę latarnię morską, żeby ukryć w niej szyb wentylacyjny wychodzący z tunelu?

– Otóż to – przytaknął Pitt.

Sandecker obrócił w palcach cygaro.

– Twoja opowieść brzmi jak bajka.

– Jest prawdziwa od początku do końca – zapewnił Pitt.

– Maszyna do drażnienia tuneli wycinająca ponad sześćset pięćdziesiąt metrów skały dziennie?

– To wyjaśnia, jak Specterowi udało się wykopać cztery prawie dwustuczterdziestokilometrowe tunele w ciągu czterech lat.

– Ale jeśli nie dla pociągów, to po co? – zapytał Gunn.

– Al i ja nie mamy bladego pojęcia. Pompy na obu końcach każdego tunelu sugerują, że popłynie tamtędy woda, ale to nie ma wielkiego sensu.

– Nagrałem twój krótki raport – oznajmił Sandecker. – Przekażę go Yaegerowi. Może na

coś wpadnie, zanim wrócisz i złożysz obszerne sprawozdanie z tej wyprawy.

– Mam też zdjęcia zrobione aparatem cyfrowym.

– To dobrze. Będzie nam potrzebny każdy możliwy dowód.

– Dirk? – odezwał się Gunn.

– Tak, Rudi?

– Namierzyłem waszą pozycję. Jesteście tylko pięćdziesiąt kilometrów od San Carlos. Wyczarterowany helikopter powinien być nad waszą latarnią morską za dwie godziny.

– Al i ja nie możemy się doczekać chwili, gdy będziemy się mogli umyć i zjeść coś porządnego.

– Nie ma czasu na luksusy – warknął Sandecker. – Helikopter zabierze was prosto do portu lotniczego w Managui, gdzie czeka odrzutowiec NUMA. Umyjcie się i najecie po powrocie.

– Twardy z pana facet, admirale.

– Ucz się ode mnie – odparł Sandecker z chytrym uśmiechem. – Pewnego dnia możesz zasiąść w moim fotelu.

Pitt nie miał pojęcia, o co chodziło admirałowi. Wyłączył się i usiadł obok drzemiącego Giordina. Wolał nie mówić przyjacielowi, że nieprędko coś zjedzą.

Po rozmowie z Pittem Sandecker zaczął cierpliwie, aż Gunn załatwi wysłanie do fałszywej latarni morskiej helikopter po jego dyrektora projektów specjalnych. Potem obaj wyszli z gabinetu admirała i zeszli piętro niżej do sali konferencyjnej, gdzie Sandecker zorganizował spotkanie w sprawie celtyckich artefaktów znalezionych na Navidad Bank.

Wokół wielkiego owalnego stołu z drewna tekowego, którego blat przypominał pokład statku, zasiedli: Hiram Yaeger, Dirk i Summer Pitt, St. Julien Perlmutter i wykładowca historii starożytnej na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, doktor John Wesley Chisholm. Wyglądał przeciętnie; miał przeciętną wagę, także wzrost, i przeciętnej długości ciemne włosy, których kolor harmonizował z barwą jego oczu. Ale posiadał nieprzeciętną osobowość. Stale się uśmiechał, zachowywał niezwykle uprzejmie i sympatycznie i był wybitnie inteligentny.

Wszyscy słuchali z uwagą doktora Elswortha Boyda, który stał przed wielkim monitorem wyświetlającym zmontowane zdjęcia i wygłaszał wykład o artefaktach i rysunkach naskalnych odkrytych i sfotografowanych na Navidad Bank. Zgromadzeni w sali konferencyjnej NUMA chłonili w ciszy każde słowo zaskakującej, wręcz bajecznej opowieści Boyda o przybliżonym wieku i miejscu pochodzenia artefaktów.

Boyd niedawno przekroczył czterdziestkę i był pełnym wigoru zwinnym mężczyzną o muskularnej sylwetce akrobata. Stał wyprostowany, od czasu do czasu odgarniał z czoła kosmyk rudawych włosów, po czym spoglądał na słuchaczy szarymi jak gołębie skrzydło oczami. Był profesorem honorowym nauk humanistycznych w dublińskim Trinity College, całą swoją energię poświęcał badaniom historii Celtów i opublikował kilka książek na ten temat. Kiedy admirał Sandecker zaprosił go do Waszyngtonu, żeby zbadał artefakty poddawane konserwacji, przyleciał tu pierwszym samolotem z Dublina. Gdy zobaczył na własne oczy relikty i zdjęcia rysunków naskalnych, omal nie doznał kompletnego szoku.

Początkowo nie chciał uwierzyć w autentyczność tego, na co patrzył. Sądził, że to jakiś

wymyślny żart, którego autor wykorzystał zręcznie wykonane falsyfikaty, ale po dwudziestogodzinnych oględzinach zmienił zdanie.

Summer czuła dreszcz podniecenia, gdy notowała dokładnie tekst wykładu, dając błyskotliwy popis zapomnianej sztuki stenografowania.

– W odróżnieniu od Egipcjan, Greków i Rzymian – mówił Boyd – Celtowie, zdaniem większości historyków, nie znajdowali się w głównym nurcie rozwoju ludzkości, mimo że dali początek zachodniej cywilizacji. Nasze dziedzictwo i tradycje religijne, polityczne, społeczne i literackie w dużym stopniu zawdzięczamy kulturze celtyckiej. Przemysłowe również, bo Celtowie pierwsi zaczęli wytwarzać brąz i żelazo.

– Więc dlaczego tak mało o tym wiemy? – zapytał Sandecker.

Boyd roześmiał się.

– Problem w tym, że trzy tysiące lat temu Celtowie przekazywali sobie wszelkie informacje, plotki i wiedzę tylko ustnie. Ich rytuały, zwyczaje i zasady etyczne przechodziły z pokolenia na pokolenie jedynie w ten sposób. Dopiero w VIII wieku przed naszą erą zaczęli zapisywać to i owo. Dużo później, kiedy Europę opanowali Rzymianie, uznali Celtów za prymitywnych barbarzyńców. Niewiele o nich napisali, a w dodatku nic dobrego.

– Nie mieli racji – wtrącił Perlmutter.

– Wbrew temu, co się powszechnie uważa, Celtowie byli w wielu dziedzinach bardziej zaawansowani w rozwoju niż starożytni Grecy. Tylko ich język pisany i wyszukana architektura pojawiły się później. Ale generalnie biorąc, kultura i cywilizacja celtycka wyprzedziła grecką o kilkaset lat – przytaknął Boyd.

Yaeger pochylił się do przodu.

– Czy pańska ocena wieku artefaktów zgadza się z moimi obliczeniami komputerowymi?

– Mniej więcej – odrzekł Boyd. – Różnica nie przekracza stu lat. Uważam też, że piktogramy doskonale pokazują, z jakiego okresu pochodzi Navinia.

Summer uśmiechnęła się.

– Podoba mi się ta nazwa.

Boyd włączył pilotem wielki monitor na jednej ze ścian sali konferencyjnej i wyświetlił trójwymiarowy obraz pokazujący przypuszczalny wygląd podwodnej budowli w chwili jej powstania.

– Interesujące – ciągnął – że ta budowla była nie tylko siedzibą jakiejś pełniącej niezwykle ważną funkcję społeczną kobiety, zapewne królowej lub zajmującej jedno z czołowych miejsc w hierarchii kapłanki, lecz stała się również jej grobowcem.

– Zajmującej jedno z czołowych miejsc w hierarchii kapłanki – powtórzyła Summer. – Jak u druidów?

Boyd skinął głową.

– Skomplikowane wzory jej złotych ozdób wskazują, że prawdopodobnie była osobą mającą wysoką pozycję w świętym świecie celtyckiego druidyzmu. Ale najwięcej mówi nam

jej zbroja z brązu. Jest tylko jeden znany kobiecy pancerz, który pochodzi z okresu między XI a VII wiekiem przed naszą erą. Musiała walczyć w bitwach. Za życia czczono ją zapewne jako boginię.

– Żywa bogini – powiedziała cicho Summer. – Musiała mieć ciekawe życie.

– Interesujące jest również to – Boyd uniósł zdjęcie kamiennego łoża pogrzebowego ze stylizowanym koniem wyrzeźbionym w nogach. – Widzimy tu finezyjny i mogący sprawiać wrażenie nowoczesnego piktogram galopującego konia, nazywanego białym koniem z Uffington. Taki sam znajduje się na zboczu kredowego wzgórza w angielskim hrabstwie Berkshire. Pochodzi z I wieku naszej ery. Symbolizuje celtycką boginię koni, Eponę. Czczono ją w całym celtyckim świecie i późniejszej Galii.

Summer przyjrzała się uważnie koniowi.

– Myśli pan, że nasza bogini to Epona?

Boyd pokręcił głową.

– Nie, nie sędzę. Eponę czczono jako boginię koni, mułów i wołów w czasach rzymskich. Uważa się, że tysiąc lat wcześniej mogła być boginią urody i płodności mającą moc rzucania uroku na mężczyzn.

– Chciałabym mieć taką moc – roześmiała się Summer.

– Co doprowadziło do upadku druidyzmu? – zapytał Dirk.

– Kiedy w Europie umacniało się i rozpowszechniało chrześcijaństwo, ośmieszano religię celtycką jako pogańską. Zwłaszcza kobietom nie okazywano takiego szacunku, jakim cieszyły się u druidów. Władze kościelne nie mogły pozwolić na lekceważenie mężczyzn czy sprzeciw wobec ich dominacji. Szczególnie zawzięci zwalczali druidów Rzymianie. Kapłanki druidzkie uważano za czarownice. Kobiety posiadające władzę przedstawiano jako diabelskie istoty współpracujące z szatanem. W świecie rządzonej przez mężczyzn boginie eliminowano.

– Ale Rzymianie sami czcili pogańskie bóstwa, zarówno bogów, jak i boginie – zauważył Gunn. – Więc dlaczego chcieli zniszczyć druidów?

– Bo widzieli w nich potencjalnych buntowników, którzy mogą zagrozić Cesarstwu Rzymskiemu. Ponadto obrzydzenie w Rzymianach budziły barbarzyńskie rytuały druidów.

– Jakże? – zapytał Sandecker.

– Pierwsi druidowie składali ofiary z ludzi. Mówi się, że okrucieństwo ich pogańskiego kultu nie miało granic. Krwawe obrzędy nie były niczym niezwykłym. Jest pewna ponura legenda o „wiklinowych ludziach”. Rzymianie znali wypadki palenia żywcem skazanych mężczyzn i kobiet w kukłach wyplatanych z trzciny.

Na twarzy Summer pojawił się wyraz niedowierzania.

– Czy druidzkie kapłanki brały w tym udział?

Boyd wzruszył ramionami.

– Można tylko przypuszczać, że były za to tak samo odpowiedzialne jak kapłani – odparł.

– Wróćmy do pytania, które zadawaliśmy sobie już setki razy – odezwał się Dirk. – Skąd zajmująca wysoką pozycję w hierarchii kapłanka celtycka wzięła się w grobowcu na dawnej wyspie karaibskiej pięć tysięcy mil morskich od swojej ojczyzny w Europie?

Boyd odwrócił się i skinął głową w stronę Chisholma.

– Myślę, że mój kolega John Wesley potrafi na to pytanie odpowiedzieć.

– Moment – wtrącił się Sandecker i spojrział na Yaegera. – Czy tobie i Max udało się ustalić, w jaki sposób ta budowla znalazła się piętnaście metrów pod wodą?

– Nie istnieją wczesne archiwa geologiczne Morza Karaibskiego – odrzekł Yaeger i rozłożył przed sobą luźne papiery. – Więcej wiemy o prehistorycznych uderzeniach meteorytów i przesunięciach lądów miliony lat temu niż o ruchach tektonicznych sprzed trzech tysięcy lat. Czołowi geolodzy, których pytaliśmy o dzieje Navidad Bank, uważają, że ta dawna wyspa zatonała na skutek podwodnego trzęsienia ziemi w XI wieku przed naszą erą.

– Skąd ten wniosek? – zapytał Perlmutter i zmienił pozycję swojego wielkiego ciała na zbyt małym dla niego krześle.

– Naukowcy przeprowadzili różne badania chemiczne i biologiczne, które pozwoliły określić wiek raf koralowych znajdujących się wokół budowli i narośli na jej kamiennych ścianach oraz stopień skorodowania i zniszczenia artefaktów.

Sandecker sięgnął do górnej kieszeni po cygaro. Nie znalazł go i zaczął stukać długopisem w blat stołu.

– Łowcy sensacji będą twierdzili, że została odnaleziona Atlantyda.

Chisholm z uśmiechem pokręcił głową.

– To nie Atlantyda. Od lat nie wierzę w tę historię. Moim zdaniem Platon opisał fikcyjną katastrofę, wykorzystując jako tło erupcję wulkanu Santoryn w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym przed naszą erą.

– Uważa pan, że Atlantyda nie leżała na Morzu Karaibskim? – zapytała żartobliwie Summer. – Ludzie twierdzą, że znajdują głęboko pod wodą zatopione drogi i miasta.

Chisholm nie wyglądał na rozbawionego.

– To formacje geologiczne, nic więcej. Jeśli Atlantyda istniała gdzieś na Morzu Karaibskim, to dlaczego nie odkryto tam choćby jednego antycznego artefaktu? Przykro mi, ale Atlantyda nie leżała po tej stronie oceanu.

– Według archiwów paleontologicznych znajdujących się w moich zbiorach – wtrącił się Yaeger – Indianie Arawakowie, których Hiszpanie spotkali po dotarciu do Nowego Świata, byli pierwszymi ludźmi, jacy żyli w Indiach Zachodnich. Przybyli z Ameryki Południowej mniej więcej w XXV wieku przed naszą erą, czyli tysiąc czterysta lat przed złożeniem naszej damy do grobu.

– Zawsze ktoś jest pierwszy – zauważył Perlmutter. – Kolumb twierdził, że widział kadłuby dużych europejskich statków porzuconych na brzegu jakiejś wyspy.

– Nie potrafię wyjaśnić, skąd się tam wzięła ta kobieta – powiedział Chisholm. – Ale



chyba mogę rzucić trochę światła na to, kim była.

Wcisnął przycisk na pilocie i na monitorze pojawił się pierwszy zmontowany obraz piktogramów odkrytych przez Dirka i Summer. Scena pokazywała flotyllę okrętów przybijających rzędem do brzegu. Przypominały długie łodzie wikingów, ale były dużo szersze i płaskodenne, co umożliwiało pływanie po płytkich wodach przybrzeżnych i rzekach. Z pojedynczych masztów zwisały prostokątne żagle uszyte ze skór, żeby nie podarły ich gwałtowne porywy wiatru na Atlantyku. Wysokie dzioby i rufy pozwalały na żeglugę po wzburzonym morzu. Z otworów w nadburciach wystawały rzędy wiosła.

– W pierwszej scenie flotylla okrętów wyładowuje wojowników, konie i rydwany – wyjaśnił Chisholm i wcisnął inny przycisk na pilocie. Ukazał się następny montaż. – W drugiej widzimy armię przeciwnika wychodzącą z wielkiego okopu biegnącego wokół cytadeli na wzgórzu. Następna pokazuje tę armię biegnącą przez płaską równinę i atakującą wroga, zanim ten zdążył rozładować swoje okręty. Czwarta scena obrazuje, jak walczy ona z obcą flotą, żeby ją zmusić do odwrotu.

– Gdyby nie umocnienia ziemne i chyba drewniana twierdza – odezwał się Perlmutter – pomyślałbym, że to wojna trojańska.

Chisholm miał minę wilka, który obserwuje stado owiec zbliżające się do jego legowiska.

– To jest wojna trojańska – powiedział z naciskiem.

Sandecker wpadł w pułapkę.

– Ci Grecy i Trojanie dziwnie wyglądają. Zawsze myślałem, że nosili brody, nie wielkie wąsy.

– Bo to nie są Grecy i Trojanie.

– A kto?

– Celtowie.

Na twarzy Perlmuttera pojawiła się satysfakcja.

– Ja też czytałem Imana Wilkensa.

Chisholm skinął głową.

– Więc zna pan jego rewelacje na temat największej pomyłki badaczy historii starożytnej.

– Mógłby pan łaskawie oświecić resztę z nas? – zapytał niecierpliwie Sandecker.

– Z przyjemnością – odparł Chisholm. – Bitwa o Troję...

– Tak?

– Nie toczyła się na zachodnim wybrzeżu Turcji od strony Morza Śródziemnego.

Yaeger spojrział na niego zaskoczony.

– A gdzie?

– Pod Cambridge w Anglii – odrzekł po prostu Chisholm. – Na wybrzeżu Morza Północnego.

Wszyscy z wyjątkiem Perlmuttera popatrzyli na Chisholma z wyraźnym niedowierzaniem.

– Sceptyzm, który dostrzegam w waszych oczach, jest zrozumiały – powiedział naukowiec. – Świat trwał w błędnym przekonaniu przez sto dwadzieścia sześć lat, odkąd niemiecki kupiec nazwiskiem Heinrich Schliemann oświadczył stanowczo, że znalazł ruiny Troi, kierując się wskazówkami zawartymi w *Iliadzie* Homera. Twierdził, że antyczny kopiec o nazwie Hisarlik był doskonałym miejscem na lokalizację ufortyfikowanego miasta Troja.

– Większość archeologów i historyków zgodziła się z nim – zauważył Gunn.

– Ta sprawa jest wciąż gorąco dyskutowana – wtrącił się Boyd. – Homer był bardzo tajemniczą postacią. Nie ma dowodu na to, że naprawdę istniał. Legenda mówi nam tylko, że ktoś nazywany Homerem zebrał poematy epickie o wielkiej wojnie – przekazywane ustnie przez setki lat – i spisał je w formie serii opowieści przygodowych, uznanej za najwcześniejsze dzieło literackie świata. Ale czy nie upiększył tych poematów? A może w następnych stuleciach robili to inni, aż w końcu *Iliada* i *Odyseja* stały się najbardziej klasycznymi dziełami w historii? Nigdy nie dowiemy się prawdy. Oprócz zagadki swojej tożsamości, zostawił po sobie inną wielką tajemnicę: czy wojna trojańska była faktem, czy mitem? A jeśli rzeczywiście toczyła się we wczesnej epoce brązu, czy prawdziwymi przeciwnikami Trojan byli Grecy, czy też Homer opisał zdarzenia, które rozegrały się ponad półtora tysiąca kilometrów stamtąd?

Perlmutter uśmiechał się szeroko. Boyd i Chisholm potwierdzali to, w co zawsze wierzył.

– Nikt przed Wilkensem nie wpadł na to – powiedział – że Homer nie był Grekiem, lecz celtyckim poetą, który opisał legendarną bitwę stoczoną czterysta lat wcześniej na wybrzeżu Morza Północnego, nie Śródziemnego.

Gunn wyglądał na zdezorientowanego.

– Więc opisana podróż Odyseusza...

– Miała miejsce na Atlantyku.

Summer zaczęło kręcić się w głowie.

– Sugerujecie, że tysiąc okrętów wypłynęło w morze nie z powodu Heleny?

Znużony uśmiech rozjaśnił twarz Boyda.

– Właśnie miałem powiedzieć, że prawdziwą przyczyną konfliktu nie była wściekłość króla i pragnienie zemsty za porwanie jego żony przez jej kochanka. Raczej trudno sobie wyobrazić, żeby tysiące ludzi walczyły i ginęły z powodu jednej niezbyt wiernej kobiety, prawda? Stary mądry Priam, król Troi, nigdy nie naraziłby na niebezpieczeństwo swojego królestwa i poddanych tylko dlatego, żeby nieobliczalny syn mógł żyć z kobietą, która podobno z własnej woli rzuciła męża dla innego mężczyzny. Nie chodziło też o skarby Troi. Patrząc realistycznie, walka toczyła się raczej o miękki, krystaliczny pierwiastek chemiczny, metal zwany cyną.

Dirk pilnie notował. Podniósł wzrok.

– St. Julien zrobił Summer i mnie wykład o tym, jak Celtowie zapoczątkowali epokę brązu i epokę żelaza.

Chisholm skinął głową.

– Byli pionierami przemysłu, choć wciąż nie wiadomo, kto naprawdę odkrył, że mieszanie dziesięciu procent cyny z dziewięćdziesięcioma procentami miedzi daje metal dwukrotnie twardszy niż jakikolwiek stop znany wcześniej. Nawet w miarę dokładna data jest nieznana. Brąz pojawił się prawdopodobnie dwa tysiące lat przed naszą erą.

– Wytapianie miedzi znano w środkowej Turcji już pięć tysięcy lat przed naszą erą – włączył się Boyd. – W starożytnym świecie miedzi nie brakowało. Wydobywano ją na wielką skalę w Europie i na Bliskim Wschodzie. Ale kiedy wynaleziono brąz, powstał problem. Ruda cyny występuje rzadko. Podobnie jak późniejsi poszukiwacze złota, starożytni szukali jej w całym antycznym świecie. W końcu największe złoża znaleźli w południowo-zachodniej Anglii. Brytyjskie plemiona Celtów szybko to wykorzystały. Zorganizowały międzynarodowy rynek cyny, wydobywały ją, wytapiały i sprzedawały w sztabach całemu starożytnemu światu.

– Zapotrzebowanie było duże, dawni Brytowie szybko stali się monopolistami i dyktowali wysokie ceny zagranicznym kupcom – dodał Chisholm. – Bogate imperia, jak na przykład Egipt, miały na wymianę drogie towary, ale Celtowie z Europy Środkowej mogli zaoferować tylko wytwarzane ręcznie przedmioty i wielkie ilości bursztynu. Bez przemysłu brązowniczego mieli niewielką szansę wyjścia poza etap społeczeństwa rolniczego.

– Więc postanowili się zjednoczyć i zagarnąć kopalnie cyny Brytów – domyślił się Yaeger.

– Właśnie tak – odparł Boyd. – Plemiona celtyckie na kontynencie zawarły sojusz, żeby napaść na południową Anglię i zdobyć kopalnie cyny na terytorium nazywanym Tróadą, a później Troją. Stolica regionu nosiła nazwę Ilium.

– Więc Achajowie nie byli Grekami – zauważył Perlmutter.

Boyd skinął lekko głową.

– Achajowie to luźny termin określający sprzymierzeńców. Trojanie najczęściej nazywali siebie Dardanami. Tak jak kraju faraonów nie nazywano Egiptem.

– Zaraz, zaraz... – powiedział Gunn. – To skąd się wzięła ta nazwa?

– Przed Homerem znano te ziemie jako Al-Khem, Misr lub Kemi. Dopiero setki lat później grecki historyk Herodot, patrząc na piramidy i świątynię w Luksorze, nazwał ginące imperium Egiptem, od kraju opisanego przez Homera w *Iliadzie*. I tak już zostało.

– Jakie dowody przedstawia Wilkens na poparcie swojej teorii? – zapytał Sandecker.

Boyd spojrział wyczekująco na Chisholma.

– Chce pan przejąć piłkę, doktorze?

– Wie pan zapewne tyle, ile ja – powiedział z uprzejmym uśmiechem Chisholm.

– Czy mógłbym panów wyręczyć? – zapytał Perlmutter. – Przestudiowałem dokładnie książkę Wilkensa *Gdzie kiedyś stała Troja*.

– Proszę bardzo – zgodził się Boyd.

– Jest cała masa dowodów – zaczął Perlmutter. – Przede wszystkim, prawie nic w dziełach Homera nie wskazuje na Greków. Flota inwazyjna nigdzie nie jest nazywana grecką. W XII wieku przed naszą erą, kiedy przypuszczalnie trwała tamta wojna, Grecja była słabo zaludniona. Nie istniały duże miasta zdolne do wystawienia wielkiej floty wojennej. Najstarsi Grecy nie cieszyli się jeszcze opinią znakomitych żeglarzy. Homerowscy wioślarze i ich okręty bardziej przypominają późniejszych o dwa tysiące lat wikingów. Jego opisy morza kojarzą się raczej z wodami wzdłuż europejskiego wybrzeża Atlantyku niż z Morzem Śródziemnym.

– Klimat też się nie zgadza. Homer opowiada o ciągłych ulewach, gęstej mgle i śniegu z deszczem. Taka pogoda jest bardziej typowa dla Anglii niż południowej Turcji oddzielonej od Sahary tylko Morzem Śródziemnym.

– No i roślinność – dodał Boyd.

Perlmutter skinął głową.

– Z pewnością. Drzewa opisywane przez Homera bardziej pasują do wilgotnej Europy niż suchej Grecji i Turcji. Mówi głównie o drzewach tracących liście, podczas gdy greckie byłyby raczej iglaste, wiecznie zielone. Mamy jeszcze konie. Celtowie je uwielbiali. Nic nie wiemy o tym, by starożytni Grecy wykorzystywali je w bitwach. Egipcjanie i Celtowie używali do walki rydwanów, Rzymianie i Grecy nie, woleli walczyć pieszo. Rydwany służyły im tylko do transportu i wyścigów.

– A jeźdźce? – zapytał Gunn.

– Homer wspomina o węgorzach i ostrygach. Węgorze wylęgają się na tarliskach w Morzu Sargassowym i migrują do zimnych wód wokół Europy. Używa terminu „nurkowanie po ostrygi”, a ostrygi występują znacznie częściej w oceanach poza Morzem Śródziemnym.

Jeśli Grecy nurkowali, to po gąbki, popularne wówczas w ich kraju.

– A bogowie? – zainteresował się Sandecker. – W *Iliadzie* i *Odysei* pełno jest opisów interwencji bogów na rzecz obu stron, trojańskiej i greckiej.

– Badacze są zdania, że bogowie sportretowani przez Homera byli pierwotnie bogami celtyckimi, a Grecy przejęli ich później z jego dzieł. – Perlmutter urwał na chwilę. – Jest jeszcze jedna ciekawostka. Homer stwierdza, że Grecy i Trojanie kremowali zwłoki. To był celtycki zwyczaj. Mieszkańcy rejonu śródziemnomorskiego generalnie grzebali zmarłych.

– Intrygująca hipoteza, ale to tylko przypuszczenia – powiedział wciąż nieprzekonany Sandecker.

– Teraz będzie najlepsze. – Perlmutter wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Wilkens przekonująco udowadnia, że miasta, wyspy i narody opisane przez Homera nie istniały albo nazywały się zupełnie inaczej. Geografia i topografia w *Iliadzie* po prostu nie pasują do żadnego istniejącego kraju i krajobrazów wokół Morza Śródziemnego. Wilkens odkrył, że homerowskie nazwy miast, regionów i rzek mają swoje źródła na kontynencie europejskim i w Anglii. Greckie nazwy nie pasują do okolic Troi i królestw greckich herosów, podobnie jak opisy tych miejsc do rzeczywistości geofizycznej.

– Lista jest długa – wtrącił się Chisholm. – Menelaos jest u Homera rudzielcem, Achilles blondynem, a Odyseusz ma włosy kasztanowate. Niektórzy wojownicy mają u niego jasną skórę. To nie są cechy charakterystyczne dla mieszkańców okolic Morza Śródziemnego. Mogłoby się wydawać, że jego bohaterowie pochodzili z innego czasu i wymiaru.

– Achajskie siły inwazyjne składały się z plemion przybyłych z regionów wyrobu brązu we Francji, w Szwecji, Danii, Hiszpanii, Norwegii, Holandii, Niemczech i Austrii. Ich flota zebrała się prawdopodobnie w dzisiejszym Cherbourgu i przepłynęła Morze Helle, które dało nazwę tureckiemu Hellespontowi i teraz nazywa się Morzem Północnym. Wylądowali w wielkiej zatoce zwanej kiedyś Morzem Trackim, która dziś widnieje na mapach po prostu jako The Wash w hrabstwie Cambridgeshire na wschodnim wybrzeżu Anglii.

– Homer wspomina o czternastu rzekach w Troi i wokół niej. – Włączył się Boyd. – Jest zadziwiająca korelacja z czternastoma rzekami na wschodzie Anglii. Wilkens odkrył, że nawet teraz, po trzydziestu wiekach, ich nazwy są bardzo podobne w wymowie i można je łatwo porównać. Homer wymienia na przykład rzekę Temese. To po grecku Tamiza.

Sandecker nie był jeszcze zupełnie przekonany.

– A Trojanie?

Głos znów zabrał Perlmutter.

– Ich armia składała się z wojowników przybyłych z całej Anglii, Szkocji i Walii. Dołączyli do nich sprzymierzeńcy z Bretanii i Belgii na kontynencie. Mamy zatem zatokę i równinę. Możemy zająć się polem bitwy i obroną. Na północny wschód od Cambridge znajdują się jeszcze do dziś dwa wielkie równoległe rowy. Przypominają okopy z pierwszej wojny światowej. Wilkens uważa, że wykopali je najeźdźcy, żeby powstrzymać obrońców

twierdzy przed atakiem na ich obóz i flotę.

– Więc gdzie stała cytadela trojańska? – naciskał Sandecker.

Perlmutter podjął wyzwanie.

– Najprawdopodobniej na wzgórzach Gog Magog, gdzie wykopaliska ujawniły rozległe umocnienia ziemne, okrągłe fortyfikacje otoczone głębokimi okopami obronnymi. Znaleziono tam drewniane palisady i wiele artefaktów z brązu. Odkryto również urny pogrzebowe i ludzkie szkielety ze śladami obrażeń.

– Skąd się wzięła ta dziwna nazwa Gog Magog? – zapytała Summer.

– Wiele lat temu, kiedy okoliczni mieszkańcy zaczęli przypadkowo natrafiać na ludzkie kości, których było tam mnóstwo, skojarzyli to z miejscem jakiejś wielkiej bitwy i straszliwej rzezi. Przypominało im to biblijne proroctwo Ezechiela o złych duchach w wojnie prowadzonej przez Goga, władcę ziemi Magog.

Sandecker spojrzał na Boyda, potem na Chisholma.

– W porządku. A teraz, kiedy już usłyszeliśmy, że wojna trojańska toczyła się o kopalnie cyny w południowej Anglii, chciałbym się dowiedzieć, co to ma wspólnego z pamiątkami po Celtach odkrytymi przez Dirka i Summer na rafach Navidad Bank?

Dwaj naukowcy wymienili rozbawione spojrzenia.

– Więcej niż wiele, admirale – odparł Boyd. – Skoro mamy już uzasadnione powody, by uważać, że prawdziwym miejscem wojny trojańskiej była Anglia, możemy zacząć łączyć wielką podróż Odyseusza z Navidad Bank.

W sali konferencyjnej można byłoby usłyszeć szpilkę spadającą na dywan. Bomba wybuchła tak nieoczekiwanie, że wszyscy zaniemówili na pół minuty.

– Słucham?! – przerwał w końcu milczenie Gunn.

Sandecker odwrócił się powoli do Perlmuttera.

– Ty też wierzysz w te szaleństwa, St. Julien?

– To nie są żadne szaleństwa. – Perlmutter uśmiechnął się szeroko. – Homer napisał, że Odyseusz był królem wyspy Itaka. Ale ta grecka wyspa nigdy nie była królestwem i nie ma tam żadnych ważnych ruin. Wilkens udowadnia, ku mojej wielkiej satysfakcji przynajmniej, że królestwo Odyseusza nie leżało w Grecji. Belgijski prawnik z francuskiego miasta Calais, niejaki Theophile Cailleux, po wielu badaniach stwierdził, że rzekoma Itaka Odyseusza to hiszpański Kadyks. Wprawdzie przez trzy tysiące lat zrosła się z lądem stałym, ale geolodzy potrafią wskazać zarysy kilku wysp, które są teraz częścią kontynentu. Cailleux i Wilkens zidentyfikowali większość portów odwiedzonych przez Odyseusza. Żaden nie jest portem śródziemnomorskim.

– Muszę się z tym zgodzić – powiedział Yaeger. – Max i ja wykorzystaliśmy wszystkie znane informacje o podróży Odyseusza, opisy Homera, teorie Cailleuxa i Wilkensa, metody nawigacyjne z epoki brązu, pływy i prądy i ułożyliśmy trasę jego rejsu.

Yaeger wziął pilota i wcisnął numer kodowy. Ekran wypełniła mapa morska północnego

Atlantyku. Z południowej Anglii biegła w dół, wzdłuż wybrzeża Afryki, czerwona linia. Przecinała wody za Wyspami Zielonego Przylądka i dochodziła do Karaibów. Yaeger zaczął przesuwając wskaźnik laserowy po trasie Odyseusza z Anglii.

– Odyseusz wylądował najpierw w miejscu opisanym przez niego jako kraj Lototagów. Wilkens uważa, że chodzi zapewne o Senegal na zachodnim wybrzeżu Afryki. Lotos jest tam chętnie jadany przez tubylców od tysięcy lat, bo wywołuje efekt narkotyczny. Odyseusz popłynął stamtąd na zachód do Wysp Zielonego Przylądka. Logiczne, że kojarzą się z krainą Cyklopów, bo wyspy te niemal idealnie odpowiadają jego opisowi.

– Kraj jednookich ludzi – zauważył z powściągliwym uśmiechem Sandecker.

– Homer nigdzie nie wspomina, że wszyscy mieli po jednym oku – wyjaśnił Yaeger. – Mieli dwoje oczu, tylko Polifem miał jedno, ale nie na środku czoła.

– Jeśli dobrze pamiętam *Odyseję* – wtrącił się Gunn – po ucieczce z krainy Cyklopów Odyseusz pożeglował dalej na zachód do wyspy Ajolia.

Yaeger skinął głową.

– Po dokonaniu analizy wiatrów i prądów doszedłem do wniosku, że musiał wylądować na jednej z wielu wysp położonych na południe od Martyniki i na północ od Trynidadu. Stamtąd sztorm zagnał jego flotę do kraju Lajstrygonów. Pasuje tu mała wyspa Branwen w pobliżu Gwadelupy. Wysokie klify po obu stronach wąskiego przesmyku odpowiadają jego opisowi.

– Tam Lajstrygonowie zniszczyli flotę Odyseusza – dodał Perlmutter.

– Gdyby to była prawda – powiedział Yaeger – okręty wylądowane skarbami leżałyby nadal na dnie portu zagrzebane w mule.

– Jak się nazywa ta wyspa?

– Branwen – powtórzył Yaeger. – Od imienia celtyckiej bogini, jednej z trzech matek Brytanii.

– Do jakiego państwa należy? – zapytał Dirk.

– Jest prywatną własnością.

– Wiesz, czyją? – zapytała Summer. – Gwiazdy rocka, filmu, a może jakiegoś bogatego biznesmena?

– Nie. Właścicielką Branwen jest pewna bogata kobieta – Yaeger urwał, żeby zajrzeć do notatek. – Nazywa się Epona Eliade.

– Epona to imię celtyckiej bogini – powiedziała Summer. – Co za dziwny zbieg okoliczności.

– Może to nie przypadek – odrzekł Yaeger. – Sprawdź to.

– Jaki był następny port Odyseusza? – zapytał Sandecker.

– Z dwunastu okrętów pozostał mu już tylko jeden – ciągnął Yaeger. – Odyseusz dopłynął do wyspy Kirke, zwanej Ajaja. Miejsce pasuje do Navidad Bank. Homer określił je jako kraniec świata.

– Kirke? – wydała stłumiony okrzyk Summer. – To ona żyła i zmarła w budowli, którą znaleźliśmy?

Yaeger wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. To wszystko domysły, nie sposób tego udowodnić.

– Ale po co przepłynęła ocean tyle wieków temu? – zadał sobie głośno pytanie Gunn.

Perlmutter położył splecione dłonie na swoim wielkim brzuchu.

– Wtedy było więcej podróży tam i z powrotem między kontynentami, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić.

– Ciekaw jestem, gdzie ulokowałaś Hades – zwrócił się do Yaegera Sandecker.

– Najlepiej pasują tu grotty Santo Tomas na Kubie.

Perlmutter zgrabnie wytarł nos.

– Po opuszczeniu Hadesu Odyseusz spotkał Syreny, potwora Scyllę i wir morski Charybdę – przypomniał. – Gdzie to było?

Yaeger rozłożył ręce.

– Przypisuję te zdarzenia bujnej wyobraźni Homera. Po tej stronie Atlantyku nie ma takich miejsc. – Przerwał na moment, potem mówił dalej. – Odyseusz pożegłował następnie na wschód i dotarł do wyspy zwanej Ogygia, gdzie mieszkała Kalipso. Wilkens i ja jesteśmy zgodni co do tego, że chodzi tu o wyspę Sao Miguel na Azorach.

– O ile pamiętam – powiedziała Summer – po przygodzie miłosnej z Kirke na jej wyspie Odyseusz spędził romantyczne chwile z Kalipso w jej rajskim ogrodzie.

Yaeger skinął potwierdzająco głową.

– Kiedy potem zostawił zapłakaną Kalipso na brzegu, przeciwne wiatry zagnały go w końcu do pałacu króla Alkinoosa. To kanaryjska wyspa Lanzarote. Opowiedział królowi i jego rodzinie o swoich przygodach, otrzymał statek i wreszcie powrócił do Itaki.

– Gdzie umiejscowiłeś Itakę? – zainteresował się Gunn.

– Tam, gdzie Cailleux. To port Kadyks w południowo-zachodniej Hiszpanii.

Wokół stołu zapadła cisza. Wszyscy porównywali w myślach antyczną epopcję z nowymi teoriami. W jakim stopniu była ona zgodna z prawdą? Wiedział to tylko Homer, ale on milczał od trzech tysięcy lat.

Dirk uśmiechnął się do Summer.

– Odyseusz musiał mieć dużo męskiego uroku. Uwiódł dwie najpiękniejsze i najbardziej wpływowe kobiety tamtych czasów. Zanim się u nich zjawił, obie były cnotliwe i niedostępne.

– Prawdę mówiąc – wtrącił się Chisholm – żadna nie była dziewicą czystą jak świeży śnieg. Obie są opisywane jako niezwykle piękne kobiety o magicznej osobowości. Kirke była czarodziejką, Kalipso nimfą. Zwykły śmiertelnik, Odyseusz, nigdy nie zadowoliliby żadnej z nich. Bardzo możliwe, że były druidzkimi kapłankami i uczestniczyły w dzikich i perwersyjnych rytuałach. I skrycie składały ofiary z ludzi, bo wierzyły, że to zapewni im



nieśmiertelność.

Summer pokręciła głową.

– Trudno w to uwierzyć.

– Ale to prawda – odparł Chisholm. – Druidskie kapłanki wciągały mężczyzn w obrzędy ofiarne i orgie. Były przywódczyniami wyznawców kultu kobiecości, miały władzę nad swoimi czcicielami i mogły ich zmuszać do wszelkich działań i aktów, jakich sobie życzyły.

Yaeger przytaknął.

– Na nasze szczęście, druidyzm upadł tysiąc lat temu.

– Otóż nie – zaprzeczył Chisholm. – I w tym problem. Druidyzm wciąż mocno się trzyma. Wyznawców kultu wzorowanego na tamtych dawnych rytuałach można spotkać w całej Europie.

Yaeger uśmiechnął się ponuro.

– Tyle że nie składają ludzi w ofierze.

– Składają – powiedział z powagą Boyd. – Mimo że takie obrzędy są czynami zbrodniczymi, podziemne zrzeszenia druidów nadal ich dokonują.

Gdy już wszyscy uczestnicy spotkania, oprócz Sandeckera, Dirka i Summer opuścili salę konferencyjną, admirał zabrał rodzeństwo do swojego gabinetu. Kiedy usiedli, przeszedł szybko do rzeczy.

– Chciałbym, żebyście oboje przeprowadzili badania archeologiczne.

Summer i Dirk wymienili zaskoczone spojrzenia. Nie mieli pojęcia, dokąd admirał chce ich wysłać.

– Mamy wrócić na Navidad Bank? – zapytał Dirk.

– Nie. Polecicie do Gwadelupy i zbadacie port na wyspie Branwen.

– Skoro to teren prywatny, czy nie będziemy potrzebowali na to zezwolenia? – zapytała Summer.

– Dopóki nie wejdziecie na ląd, nie będziecie na prywatnym terenie.

Dirk spojrział sceptycznie na Sandeckera.

– Chce pan, żebyśmy poszukali skarbów, które flotylla Odyseusza straciła w kraju Lajstrygonów?

– Nie, chcę żebyście znaleźli okręty i artefakty. Gdyby się wam udało, byłyby to najstarsze wraki na półkuli zachodniej i to historia starożytna została by zmieniona. Jeśli to możliwe, niech to będzie zasługa NUMY.

Summer splotła nerwowo dłonie.

– Zdaje pan sobie sprawę, admirale, że szansa dokonania takiego niewiarygodnego odkrycia jest jak jeden do miliona.

– Więc warto spróbować. Lepiej zaryzykować, niż siedzieć bezczynnie i nigdy się nie dowiedzieć, czy tam coś jest, czy nie.

– Jaki ma pan plan?

– Rudi Gunn zorganizuje dla was samolot, odleciecie jutro rano. Po wylądowaniu na lotnisku w pobliżu miasta Pointe-a-Pitre na Gwadelupie spotkacie się z tamtejszym przedstawicielem NUMA. Nazywa się Charles Moreau. Popłyniecie z nim wyczarterowaną łodzią na południe do brzegów wyspy Branwen. Musicie zabrać własny sprzęt do nurkowania. Rudi załatwi wam transport lotniczy, detektor do wykrywania anomalii pod dnem morskim.

– Skąd ten pośpiech? – zainteresował się Dirk.

– Jeśli sprawa się rozejdzie, a na pewno tak będzie, na wyspę zjadą się poszukiwacze skarbów z całego świata. Musimy działać szybko. Trzeba zbadać dno morskie i wynieść się stamtąd. Jeśli coś znajdziecie, dogadamy się z Francuzami, do których należy Gwadelupa, żeby zabezpieczyli rejon. Są pytania?

Dirk ujął dłoń siostry.

– Co o tym sądzisz?

– Brzmi ekscytująco.

– Wiedziałem, że tak powiesz – odrzekł Dirk zmęczonym głosem. – O której mamy być na lotnisku, admirale?

– Lepiej wstańcie wcześniej. Odlot jest o szóstej.

Summer straciła nagle entuzjazm.

– Rano?!

Sandecker uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli będziecie mieli szczęście, może jeszcze usłyszycie pianie kogutów w drodze na lotnisko.

Po spotkaniu w sali konferencyjnej Yaeger zjechał windą na dziesiąte piętro do swojego centrum komputerowego. Nigdy nie chodził na lunch do znanych restauracji waszyngtońskich, zawsze nosił ze sobą staromodną śniadaniówkę z owocami, warzywami i termosem napełnionym sokiem z marchwi.

Rano wolno się rozkręcał, nie potrafił rzucić się od razu w wir pracy. Usiadł i zaczął powoli sączyć kubek herbaty ziołowej, którą zaparzył w szafce stojącej obok biurka. Rozparł się wygodnie i przeczytał „Wall Street Journal”, żeby sprawdzić stan swoich inwestycji. W końcu odłożył gazetę i zabrał się do lektury raportu Pitta i Giordina o odkryciu wielkich tuneli pod Nikaraguą, przekazanego przez nich telefonicznie do biura Sandeckera. Potem uruchomił program komputerowy, który skopiował tekst i zapisał go na dyskietce. Pociągnął jeszcze jeden łyk herbaty i wywołał Max.

Pojawiła się dość powoli. Miała na sobie krótką niebieską jedwabną tunikę z żółtą szarfą, niebieskimi gwiazdami i napisem WONDER WOMAN na plecach.

– Jak ci się podobają moje ciuszki? – zapytała słodziutkim głosem.

– Skąd to wytrzasnęłaś? – zapytał ostro Yaeger. – Z pojemnika Armii Zbawienia z używanymi rzeczami?

– Posurfowałam w wolnym czasie po katalogach internetowych. Podałam konto bankowe twojej żony.

– Chciałabyś – uśmiechnął się Yaeger. Max była hologramem. Nie mogła zamawiać, kupować ani nosić rzeczy materialnych. Pokręcił głową. Podziwiał jej temperament. Czasami uważał, że popełnił błąd, dając Max wygląd i osobowość swojej żony. – Jeśli już skończyłaś się popisywać, Wonder Woman, mam dla ciebie małą robotę.

– Jestem gotowa, mistrzu.

Yaeger wprowadził plik na dyskietce do pamięci Max.

– Nie spiesz się i zobacz spokojnie, co z tego rozumiesz.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała po chwili.

– Po co Odyssey i Chińczycy zbudowali pod Nikaraguą cztery rozległe tunele od Atlantyku do Pacyfiku?

– To proste. Ta zagadka nawet nie rozgrzała moich obwodów.

Yaeger spojrział uważnie na Max.

– Jak możesz znać odpowiedź, skoro jeszcze nie przeanalizowałaś problemu?

Max rozchyliła wargi i ziewnęła.

– To przecież takie proste. Wciąż zdumiewa mnie fakt, że ludzie nie widzą dalej niż koniec ich własnego nosa.

Yaeger był pewien, że zrobił błąd w programie. Max odpowiedziała o wiele za szybko.

– W porządku. Czekam z niecierpliwością na twoją opinię.

– Tunele zbudowano do transportu ogromnych ilości wody.

– Ta rewelacja nie robi na mnie wrażenia. – Yaeger zaczynał podejrzewać, że Max jest na fałszywym tropie. – Tunele prowadzą do oceanów i mają wewnątrz wielkie pompy, więc taki wniosek jest oczywisty.

– Ach, tak? – Max uniosła do góry wyprostowany palec wskazujący. – A wiesz, dlaczego chcą przepompowywać tamtędy ogromne masy wody?

– Program odsalania morza? Nawadniania jakichś terenów? Skąd mam wiedzieć, do cholery.

– Jak ludzie mogą być tacy tępi? – powiedziała wyraźnie sfrustrowana Max. – Jesteś gotowy, mistrzu?

– Jeśli byłabyś tak uprzejma.

– Tunele zbudowano po to, żeby odwrócić Prąd Południoworównikowy, który płynie od Afryki do Morza Karaibskiego.

Yaeger był zaskoczony tą odpowiedzią.

– Jak to może zagrozić środowisku naturalnemu?

– Nie dostrzegasz tego?

– W Atlantyku jest aż nadto wody, żeby wyrównać ubytek kilku milionów litrów.

– To nie jest śmieszne.

– Więc o co chodzi?

Max wyrzuciła ręce do góry.

– Po odwróceniu Prądu Południoworównikowego temperatura Prądu Zatokowego spadłaby przed jego dotarciem do Europy o cztery i pół stopnia Celsjusza.

– I...? – zapytał Yaeger.

– Takie ochłodzenie wody ogrzewającej Europę zamieniłoby tamten kontynent w północną Syberię.

Yaeger nie od razu pojął znaczenie słów Max.

– Jesteś pewna?

– Czy kiedykolwiek się myliłam? – zapytała z urażoną miną.

– Cztery i pół stopnia to chyba przesadzona wielkość – zauważył powątpiewającym tonem Yaeger.

– U wybrzeży Florydy byłoby może tylko półtora stopnia mniej. Ale poniżej kanadyjskich prowincji morskich, gdzie zimny Prąd Labradorzski z Arktyki spotyka się z Prądem Zatokowym, spadek temperatury wody byłby większy. To, z kolei, spowodowałoby jej dalsze ochłodzenie u wybrzeży Europy i zmianę klimatu od Skandynawii po Morze Śródziemne.

Yaeger uświadomił sobie nagle z przeraźliwą jasnością straszliwe skutki owego planu. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer biura Sandeckera. Sekretarka admirała natychmiast połączyła go z szefem.

– Czy Max do czegoś doszła? – zapytał Sandecker.

– Tak.

– I...?

– Admirale – powiedział Yaeger ochrypłym głosem – obawiam się, że grozi nam katastrofa na niespotykaną skalę.

W oczekiwaniu na helikopter, który spóźniał się już ponad godzinę, Giordino smacznie spał, Pitt tymczasem obserwował przez lornetkę otaczającą latarnię morską wody jeziora Nikaragua. Brzeg od strony zachodniej był oddalony o niecałe pięć kilometrów i ze swego punktu obserwacyjnego Pitt mógł dostrzec małe miasteczko. Spojrzawszy na mapę uznał, że to Rivas. Potem zwrócił uwagę na wielką wyspę mającą kształt ósemki, leżącą w odległości około ośmiu kilometrów w kierunku zachodnim, która wyglądała na całkiem żyzną i gęsto zalesioną. Oceniał jej powierzchnię na mniej więcej czterysta kilometrów kwadratowych.

Według jego mapy, nazywała się Isle de Ometepe. Pitt przyjrzał się uważnie dwóm górom wulkanicznym połączonym wąskim paskiem lądu o długości paru kilometrów. Wulkan na północnym krańcu wyspy wznosił się na wysokość ponad tysiąca pięciuset metrów, wyglądało na to, że był czynny, z krateru na jego szczycie wydobywała się smuga pary i sięgała skłębionych chmur nad wyspą.

Wulkan z południowego krańca miał kształt idealnego stożka i wydawał się nieczynny. Pitt ocenił, że był o dobre trzysta metrów niższy od swojego północnego towarzysza. Domyślał się też, że cztery podziemne tunele biegną dokładnie pod przesmykiem wyspy blisko podnóża północnego wulkanu. To by wyjaśniało niezwykley wzrost temperatury, który on i Giordino odczuli w czwartym tunelu.

Rzucił okiem na mapę. Czynny wulkan nazywał się Concepcion, nieczynny Madera. Przesunął lornetkę i zupełnie nieoczekiwanie zobaczył rozległy kompleks przemysłowy na południowym zboczu Concepcion tuż powyżej przesmyku. Oceniał, że zajmuje od pięciuset do sześciuset akrów. Zaskoczyła go lokalizacja na takim odludziu, miejsce nie wydawało się odpowiednie, leżało z dala od dużych miast i linii komunikacyjnych i nie zachęcało stanowczo do inwestowania milionów dolarów w kompleks przemysłowy. Chyba że – przyszło Pittowi do głowy – chodziło o dyskrecję.

Zauważył nagle samolot. Nadleciał z północy nad pas startowy biegnący przesmykiem do

bramy kompleksu. Maszyna okrążyła szczyt Madery, wylądowała i podkołowała do dużego terminalu na krańcu lotniska.

Pitt opuścił lornetkę. Miał taką minę, jakby zobaczył coś, czego nie chciał zobaczyć. Starał się teraz maksymalnie skoncentrować. Przemył szkła lornetki kilkoma kroplami wody z manierki, wytarł je krawędzią koszuli, którą miał pod kombinezonem Odyssey, potem znów uniósł lornetkę i skierował na samolot, jakby chciał się upewnić, czy się nie mylił.

Zza chmur wyszło słońce i oświetliło wyspę jasnym blaskiem. Choć z tej odległości samolot wyglądał jak mrówka, w słońcu widać było wyraźnie lawendowy kolor kadłuba i skrzydeł.

– Odyssey – mruknął pod nosem Pitt. Dopiero teraz uświadomił sobie, że kompleks leży dokładnie nad tunelami. To wyjaśniało, dokąd kursują windy towarowe, które on i Giordino widzieli na stacji kolejowej. Kompleks mógł być w jakimś celu połączony z tunelami, ale jego wielkość sugerowała, że pełni jakąś odrębną funkcję.

Pitt popatrzył przez lornetkę ponad budynkami stojącymi wokół podnóża wulkanu i zauważył rozległy port z rzędem wielkich magazynów. Ich dachy zasłaniały nabrzeże, ale na tle błękitnego nieba odcinały się cztery dźwigi. Pitt zrozumiał, że kompleks nie potrzebował linii komunikacyjnych – był całkowicie samowystarczalny.

Potem, niemal jednocześnie, pojawiły się trzy zagrożenia.

Latarnia morska zaczęła się nagle kołysać jak w tańcu hula. Pitt powiedział Rathbone'owi prawdę – pochodził z Kalifornii i był przyzwyczajony do trzęsień ziemi. Jedno z nich przeżył kiedyś w trzydziestopiętrowym biurowcu przy Wilshire Boulevard, cały budynek drżał i dygotał. Na szczęście, stał na gigantycznych betonowych łożyskach rolkowych umieszczonych głęboko pod ziemią, gdyż architekci przewidzieli, że może się znaleźć w podobnych opałach. Teraz Pitt czuł mniej więcej to samo, tyle że latarnia morska trzęsła się i chwiała niczym palma atakowana przez przeciwne wiatry.

Odwrócił się natychmiast i spojrzał na wulkan Concepcion, sądząc, że może nastąpiła erupcja, ale z krateru nie wydobywał się ani dym, ani popiół. Zerknął w dół na jezioro i dojrzał, że powierzchnia wody marszczyła się, jakby pod spodem działał niewidoczny gigantyczny wibrator. Po minucie, która wydawała się trwać wieczność, trzęsienie ziemi ustało. Nic dziwnego, że nie obudziło Giordina.

Drugie zagrożenie stanowiła mała lawendowa łódź patrolowa zbliżająca się od strony wyspy. Sunęła prosto ku latarni morskiej. Ochroniarze na pokładzie musieli wiedzieć, że ich ofiary są w pułapce, bo płynęli w spacerowym tempie.

Trzecie i ostatnie niebezpieczeństwo pojawiło się pod stopami Pitta i Giordina. Uratował im życie ledwo słyszalny dźwięk: z szybu wentylacyjnego dobiegało ciche stuknięcie metalu o metal.

Pitt kopnął Giordina.

– Mamy gości. Wytropili nas.

Giordino natychmiast się obudził i wyciągnął spod białego kombinezonu swój automatyczny desert eagle kaliber 50. Pitt wyjął z plecaka starego colta 45 i przykucnął obok otworu szybu.

– Nie podchodźcie bliżej! – zawołał ostrzegawczo, nie wychylając się poza krawędź.

Odpowiedź była taka, jakiej się spodziewał. W dole zaterkotały serie z broni automatycznej i grad pocisków podziurawił jak sito metalowy dach latami morskiej. Kanonada była tak gwałtowna, że Pitt i Giordino wstrzymali się z otwarciem ognia. Woleli nie ryzykować wystawiania ręki poza krawędź otworu i odstrzelenia palców.

Pitt podczołgał się do jednego z okien i uderzył kolbą w szybę. Szkło było grube i musiał uderzyć kilka razy, żeby je rozbić. Większość odłamków spadła do jeziora w dole, ale Pitt szybko wyciągnął rękę na zewnątrz i wepchnął pozostałe kawałki do środka. Kiedy wylądowały na podłodze, zgarnął je butami w jedno miejsce i kopnął do szybu. Poleciały w dół jak ostre noże. Z otworu dobiegły wrzaski i okrzyki bólu, ostrzał ustał.

Pitt i Giordino wykorzystali chwilę przerwy i na ślepo otworzyli ogień w głąb szybu. Ich pociski rykoszetowały od betonowych ścian i trafiały ochroniarzy Odyssey wspinających się po drabince. Okrzyki bólu ucichły, zastąpiły je odgłosy ciał spadających do tunelu daleko w dole.

– To powinno pokrzyżować im plany – powiedział Giordino i zmienił magazynek, ton jego głosu zdradzał, że nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia.

– Mamy jeszcze innych nieproszonych gości – odrzekł Pitt i wskazał łódź patrolową, która gwałtownie przyspieszyła i teraz wręcz pędziła ku latami morskiej. Dziób sterczał nad wodą, w kilwaterze wyrastał „koguci ogon”.

– Nasi też są blisko – odparł Giordino i skinął głową w kierunku żółto-czerwonego helikoptera nadlatującego z północy.

Pitt szybko porównał odległość helikoptera i łodzi od latarni morskiej i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ptaszek jest szybszy. Wyprzedza rybkę o dobre półtora kilometra.

Giordino ostudził jego optymizm.

– Módl się, żeby nie mieli wyrzutni rakietowych.

– Niedługo się przekonamy. Przygotuj się do chwycenia uprzęży z helikoptera.

– Wciąganie nas pojedynczo zajmie za dużo czasu – odpowiedział Giordino. – Stanowczo nalegam, żebyśmy razem pożegnali się łzawo z latarnią morską.

– Masz rację. – Pitt skinął głową.

Wyszli na wąską galerijkę wokół szczytu latarni. Pitt rozpoznał – był to helikopter bell 430 z dwoma silnikami rolls-royce'a. Na kadłubie miał napis MANAGUA AIRWAYS. Pitt obserwował z uwagą, jak pilot zataczał krąg nad latarnią. Załogant w otwartych drzwiach zaczął opuszczać uprząż na linie wciągarki.

Pitt był wyższy od Giordina o prawie trzydzieści centymetrów. Podskoczył i za



pierwszym razem dosięgnął uprząży obracającej się w podmuchu rotora. Założył ją na ramiona Giordina.

– Jesteś lepiej zbudowany niż ja. Weźmiesz na siebie obciążenie. Będę się ciebie trzymał.

Giordino włożył ręce w pętlę i zacisnął dłonie na linie. Pitt chwycił go mocno w pasie. Załogant zaczął gorączkowo machać, żeby zasygnalizować, że może ich wciągnąć tylko pojedynczo. Coś krzyczał, ale jego słowa zagłuszał hałas turbin.

Spóźnił się z ostrzeżeniem. Pitt i Giordino zostali poderwani z galeryjki latarni morskiej i wisieli trzydzieści metrów nad wodą, gdy w helikopter uderzył podmuch wiatru. Pilota zaskoczył nagły przechył maszyny w prawo, spowodowany ciężarem dwóch mężczyzn. Skorygował to szybko i wypoziomował, załogant patrzył tymczasem, jak przeciążona wciągarka z trudem winduje w górę obu pasażerów.

Mieli szczęście i łódź patrolowa nie odpaliła pocisków raketowych. Ale odezwały się dwa ciężkie karabiny maszynowe na jej dziobie. Odległość była jednak za duża, kadłub odbijał się od grzbietów fal i serie mijały cel o jakieś pięćdziesiąt metrów.

Pilot przestraszył się ostrzału, zapomniał o wiszących na linie mężczyznach, których miał uratować, przechylił helikopter w przeciwną stronę niż ta, z której nadpływała łódź, i pospiesznie odleciał w kierunku bezpiecznego wybrzeża. Pitt i Giordino wirowali szaleńczo sześć metrów pod maszyną. Giordino miał wrażenie, że ramiona wyrwywają mu się ze stawów.

Pitt nie czuł bólu, ale niewiele mógł zrobić, trzymał się mocno Giordina i krzyczał do załoganta, żeby szybciej ich wciągnął. Widział napięcie i cierpienie na twarzy Giordina. Przez blisko dwie minuty, które wydawały mu się najdłuższymi minutami w jego życiu, z trudem opierał się chęci, by uwolnić przyjaciela od swego ciężaru, puścić go i spaść do jeziora. Ale kiedy zerknął na wodę ciemniejącą sto pięćdziesiąt metrów pod swoimi dyndającymi stopami, szybko zrezygnował z tego pomysłu.

W końcu zobaczył półtora metra nad sobą przerażone oczy załoganta helikoptera. Mężczyzna odwrócił się i krzyknął do pilota, a ten przechylił zgrabnie maszynę i Pitt z Giordino wpadli do wnętrza ładowni. Drzwi zasunęły się szybko.

Wciąż zaszokowany załogant popatrzył na dwóch pasażerów rozciągniętych na podłodze.

– *Wy loco, hombres* – wymamrotał z ciężkim hiszpańskim akcentem. – Ta wciągarka tylko do worków pocztowych. Waga pięćdziesiąt kilogramów.

– Mówi po angielsku – zauważył Giordino.

– Niezbyt dobrze – ocenił Pitt. – Przypomnij mi, żebym napisał list gratulacyjny do producenta tej wciągarki.

Podniósł się z podłogi, wpadł do kokpitu, wyrzwał przez boczną szybę i poszukał wzrokiem łodzi patrolowej. Zaprzestała pościgu i zawracała szerokim łukiem w kierunku wyspy.

– O co im chodziło, do cholery? – zapytał pilot. Był autentycznie wściekły. – Walili do nas, zasańcy.

– Mieliśmy fart, że kiepsko celowali.

– Kiedy brałem ten czarter, nie spodziewałem się kłopotów – powiedział pilot, nie spuszczać łodzi z oka. – Czego od was chcieli? Kim wy jesteście, koledzy?

– Ma pan to napisane w umowie czarterowej – odrzekł Pitt. – Jesteśmy z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Nazywam się Dirk Pitt.

Pilot zdjął jedną rękę ze sterów i wyciągnął ją ponad ramieniem.

– Marvin Huey.

– Amerykanin. Z Montany, sadząc po akcencie.

– Blisko. Wychowałem się na ranczo w Wyoming. Przez dwadzieścia lat latałem takimi zabawkami w Siłach Powietrznych, a potem, kiedy żona rzuciła mnie dla nafcjarza, przenieśliem się tutaj i założyłem małą firmę czarterową.

Pitt uściśnął pilotowi dłoń i przyjrzał mu się trochę. Siedząc za sterami, Huey wydawał się niski, łysiał od czoła i miał przerzedzone rude włosy. Nosił spłowiałe levi'sy, koszulę w kwiaty i kowbojskie buty. Miał chyba około pięćdziesiątki. Jasnoniebieskie oczy sprawiały takie wrażenie, jakby za dużo w ciągu tych lat widziały.

Huey spojrział z ciekawością na Pitta.

– Nie powiedział mi pan jeszcze, skąd ta wielka ucieczka.

– Zobaczyliśmy coś, czego nie powinniśmy byli zobaczyć – odparł Pitt bez wdawania się w szczegóły.

– Co można zobaczyć w opuszczonej latarni morskiej?

– Ta latarnia nie jest tym, na co wygląda.

Huey chyba nie bardzo w to wierzył, ale nie drażył tematu.

– Za dwadzieścia pięć minut będziemy w Managui – oznajmił.

– Im szybciej, tym lepiej – odrzekł Pitt i wskazał pusty fotel drugiego pilota. – Można?

– Proszę bardzo. – Huey lekko skinął głową.

– Pewnie nie mógłby pan przelecieć nad kompleksem Odyssey na wyspie?

Huey popatrzył na Pitta jak na wariata.

– Żartuje pan? To miejsce jest lepiej strzeżone niż Strefa 51 nad jeziorem Groom w Nevadzie. Gdybym zbliżył się na mniejszą odległość niż dziesięć kilometrów, zaraz ruszyłyby moim tropem helikopter ochroniarzy.

– Co tam się dzieje?

– Nikt nie wie. Kompleks jest do tego stopnia tajny, że Nikaraguańczycy zaprzeczają jego istnieniu. Zaczęło się od małego obiektu, który w ciągu ostatnich pięciu lat rozrósł się do ogromnych rozmiarów. Ochrona przechodzi ludzkie pojęcie. Zbudowali tam wielkie magazyny i podobno hale fabryczne. Chodzą słuchy, że mieszkają tam trzy tysiące osób. Rdzenni Nikaraguańczycy mieli kiedyś na wyspie plantacje kawy i tytoniu. Ale rząd zabrał im ziemię i przesiedlił ich siłą w góry na wschodzie. Główne miasta, Alta Garcia i Moyogalpa, zburzono i spalono.

- Rząd musi mieć duże udziały w tej inwestycji.
- Tego nie wiem, ale bardzo dba o to, żeby nikt się nie wtrącał do interesów Odyssey.
- Nikt się tam nigdy nie zakradł? – zapytał Pitt.

Huey uśmiechnął się z przymusem.

- Nikt żywy.
- Tak trudno się tam dostać?

– Całe wybrzeże patrolują pojazdy wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia obserwacyjne. Wokół wyspy krążą łodzie patrolowe i helikoptery. Na wszystkich szosach i drogach prowadzących do kompleksu są zainstalowane dalekosiężne czujniki ruchu. Podobno inżynierowie Odyssey doprowadzili detektory do perfekcji. Czujniki rozpoznają po zapachu, czy do budynku zbliża się człowiek, czy zwierzę.

- Muszą być jakieś zdjęcia satelitarne – nie ustępował Pitt.
- Można je kupić od Rosjan, ale nie widać na nich, co się dzieje wewnątrz budynków.
- Krążą chyba jakieś plotki?

– Jasne, mnóstwo. Jedyna sensowna jest taka, że ten kompleks to ośrodek badawczo-rozwojowy. Ale nie wiadomo, nad czym tam pracują.

- Ma jakąś nazwę?
- Tylko taką, jaką nadali mu miejscowi.
- To znaczy? – zniecierpliwiał się Pitt.
- W wolnym tłumaczeniu – odparł w końcu Huey – „dom niewidzialnych”.
- Dlaczego?
- Podobno dlatego że kto tam wejdzie, znika na zawsze.
- Władze lokalne nie prowadziły nigdy śledztwa? – zapytał Pitt.

Huey pokręcił głową.

– Nikaraguańscy urzędnicy umywają ręce. Chodzą słuchy, że zarząd Odyssey przekupił wszystkich polityków, sędziów i szefów policji w kraju.

- A co z Chińczykami? Są w to zaangażowani?

– Są dziś w całej Ameryce Środkowej. Trzy lata temu podpisali z Odyssey kontrakt na budowę krótkiego kanału przecinającego zachodni brzeg jeziora Nikaragua w Pena Blanca, żeby mogły tamtędy wpływać głębokowodne statki towarowe.

- Gospodarka narodowa powinna na tym zyskać.
- Nic z tego. Z kanału korzystają prawie same statki chińskiej marynarki handlowej.
- COSCO?

Huey skinął głową.

- Zgadza się. Zawsze cumują w porcie Odyssey.

Pitt spędził resztę podróży w milczeniu. Zastanawiał się nad mnóstwem sprzeczności i niewiadomych wokół Odyssey, jej zagadkowym właścicielem i tajemniczymi operacjami. Gdy tylko Huey wylądował przy hangarze swojej firmy trzy kilometry od Managui, Pitt

odszedł na bok i zadzwonił do admirała Sandeckera. Sandecker swoim zwyczajem wypalił prosto z mostu:

– Nie wystartowaliście jeszcze do Waszyngtonu?

– Nie – odparł Pitt. – I nie zamierzamy.

Sandecker zrozumiał, że Pitt coś planuje.

– Domyślam się, że macie ważny powód – powiedział neutralnym tonem.

– Słyszał pan o dużym tajnym kompleksie Odyssey na wyspie na jeziorze Nikaragua dokładnie nad tunelami?

– Czytałem tylko raport o połączeniu przez Odyssey oceanu i jeziora kanałem żegludowym. – Sandecker przerwał na chwilę. – Pamiętam, że wspomniano tam mgliście o budowaniu przez Nikaraguańczyków urządzeń portowych w nadmorskim mieście Granada kilka kilometrów na wschód od Managui.

– Wspomniano o tym mgliście, bo urządzenia portowe zbudowano w kompleksie Odyssey na wyspie Ometepe do wyłącznego użytku firmy.

– Co ty kombinujesz? – zapytał Sandecker, jakby już czytał w myślach Pitta.

– Proponuję, żebyśmy dostali się z Alem do kompleksu i zbadali, co tam się dzieje.

Sandecker zawahał się.

– Ledwo udało wam się uciec z tuneli. Nie kuście losu.

– Włamania idą nam coraz lepiej.

– Bardzo śmieszne – warknął Sandecker. – Na pewno mają doskonałą ochronę. Jak zamierzacie się tam dostać?

– Od strony jeziora.

– Nie uważasz, że mogą mieć podwodne sensory?

– Byłbym zaskoczony – odparł Pitt – gdyby ich nie mieli.

Dziesięć minut po rozmowie z Pittem Sandecker, siedząc za biurkiem w swym gabinecie, patrzył z niedowierzaniem na Hiramą Yaegera.

– Jesteś tego pewien? W twoich danych musi być jakiś błąd.

Yaeger nie dał się zbić z tropu.

– Max nie jest stuprocentowo nieomylna, ale uważam, że tym razem ma rację.

– Nie do wiary – powiedział Gunn, studiując projekcje Max.

Sandecker wolno pokręcił głową.

– Twierdzisz, że tunele zbudowano po to, żeby odwrócić Prąd Południoworównikowy, co spowodowałoby ochłodzenie Prądu Zatokowego?

– Według modelu komputerowego Max, o cztery i pół stopnia u wybrzeży Europy.

Gunn podniósł wzrok znad danych.

– To byłaby katastrofa. Na całym kontynencie zima trwałaby osiem miesięcy w roku.

– Nie zapominajmy o fatalnych skutkach ochłodzenia Prądu Zatokowego dla wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych i kanadyjskich prowincji morskich – dodał Sandecker. – W każdym stanie położonym na wschód od Missisipi i wzdłuż wybrzeża Atlantyku byłoby tak samo mroźno jak w Europie.

– Przyjemna perspektywa – zauważył sarkastycznie Gunn.

– Ilość ciepła w wodach powierzchniowych Prądu Atlantyckiego zależy od ich temperatury i zasolenia – wyjaśnił Yaeger. – W drodze na północ tropikalne wody prądu mieszają się z zimnymi wodami napływającymi z Arktyki. Ich gęstość zwiększa się i opadają w głąb morza na południowy wschód od Grenlandii. Potem wody stopniowo znów się ocieplają i unoszą na powierzchnię u wybrzeży Europy. Nagły spadek temperatury Prądu Zatokowego mogłyby zatrzymać tę cyrkulację na kilkaset lat.

– Jakie byłyby najbardziej bezpośrednie efekty takiego zjawiska? – zapytał Sandecker.

Yaeger rozłożył na biurku admirała kilka dokumentów i zaczął cytować dane.

– Najpierw tysiące bezdomnych straciłoby życie na skutek odmrożeń lub hipotermii. Znacznie większa liczba ludzi mogłaby umrzeć po wyczerpaniu się materiałów grzewczych, co musiałyby nastąpić, ponieważ wzrosłoby zapotrzebowanie na nie. Lód sparaliżowałby ruch na rzekach. Zamarzłyby porty na Bałtyku i Morzu Północnym, więc do Europy nie docierałyby statkami ani ropa, ani gaz płynny do ogrzewania, nie mówiąc już o milionach ton żywności importowanej z innych krajów. Większość plonów spadłaby o połowę, bo zmiana klimatu skróciłaby sezon wegetacyjny. Transport samochodowy zamarłby z powodu braku paliwa, oblodzonych dróg i zasp śnieżnych. Nie kursowałyby pociągi. Lotniska byłyby zamknięte. Ludzie byłoby mniej odporni na przeziębienia, grypę i zapalenie płuc. Upadłaby turystyka. Gospodarka europejska pogrążyłaby się w chaosie bez widoków na wyjście z kryzysu, a to dopiero połowa skutków.

– Skończyłyby się francuskie wina i holenderskie tulipany – mruknął Gunn.

– A co z gazem przesyłanym rurociągami z Bliskiego Wschodu i Rosji? – zapytał Sandecker. – Nie można byłoby zwiększyć dostaw?

– Przy takim wzroście zapotrzebowania to byłaby kropla w morzu. Brakowałyby też energii elektrycznej, bo burze śnieżne zrywałyby linie przesyłowe. Max ocenia, że co najmniej trzydzieści milionów gospodarstw domowych w całej Europie nie miałyby ogrzewania.

Gunn, który wszystko dokładnie notował, podniósł wzrok na Yaegera.

– Powiedziałeś, że to dopiero połowa skutków.

– Dalsze problemy spowodowałyby wzrost temperatury późną wiosną – ciągnął Yaeger. – Padałyby ulewne deszcze i wiały silne wiatry, czego efektem byłyby gwałtowne i nawiedzające ogromne tereny powodzie. Rzeki zasilane wielkimi masami topniejącego śniegu występowałyby z brzegów i zalewały tysiące miast i wsi, woda zrywałaby mosty i zatapiała miliony domów. Lawiny i osunięcia ziemi niszczyłyby całe aglomeracje i autostrady. Trudno sobie nawet wyobrazić liczbę ofiar takich kataklizmów.

Gunn i Sandecker milczeli przez chwilę. W końcu admirał przerwał ciszę.

– Ale dlaczego? – zapytał po prostu. Gunn wypowiedział głośno to, nad czym wszyscy się zastanawiali. – Co Specter i Chińczycy zyskają dzięki takiej katastrofie?

Yaeger bezradnie rozłożył ręce.

– Max jeszcze nie znalazła odpowiedzi.

– Może Specterowi chodzi o przejęcie kontroli nad dostawami gazu do Europy? – zasugerował Sandecker.

– Zadaliśmy sobie to samo pytanie – odrzekł Yaeger – i sprawdziliśmy wszystkich głównych producentów gazu, którzy zaopatrują kontynent. Odpowiedź była negatywna. Odyssey w ogóle nie działa w branży gazowniczej ani w branży naftowej. Jedyne minerały, jakie interesują Spectera, to platyna, pallad, iryd i rod. Ma duże złoża i kopalnie w Afryce Południowej, Brazylii, Rosji i Peru. Byłby światowym monopolistą, gdyby udało mu się

przejąć kontrolę nad kopalnią Halla w Nowej Zelandii, która wydobywa tyle, ile wszystkie inne kraje razem wzięte. Ale właściciel, Westmoreland Hall, odrzuca wszystkie oferty kupna.

– Jeśli dobrze pamiętam lekcje chemii w szkole średniej – powiedział wolno Sandecker – platyny używa się głównie do produkcji elektrod, stosowanych na przykład w samochodowych świecach zapłonowych, i do wyrobu biżuterii.

– Jest również bardzo potrzebna w laboratoriach chemicznych, bo odznacza się dużą odpornością na wysokie temperatury.

– Nie widzę związku między jego operacjami górniczymi a planem cofnięcia Europy do epoki lodowcowej.

– Musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie – powiedział Gunn. – Żeby inwestycja się opłacała, zwrot kosztów wydrążenia tuneli musiałby sięgnąć astronomicznej kwoty. Jeśli nie chodzi mu o zarabianie na dostawach energii, to co chce zyskać?

Sandecker odwrócił się do okna i popatrzył w zamyśleniu na Potomac. Potem spojrzął na Yaegera.

– Czy tamte wielkie pompy tłoczące wodą pod ogromnym ciśnieniem mogłyby służyć do wytwarzania prądu elektrycznego? Bo jeśli tak, wystarczyłyby do zaopatrywania w energię większej części Ameryki Środkowej.

– W raporcie Pitta nie ma wzmianki o generatorach – odrzekł Yaeger. – On i Giordino na pewno rozpoznałyby takie urządzenia, gdyby je zobaczyli.

Sandecker spojrzął twardym wzrokiem na Gunna.

– Ty na pewno wiesz, jaki numer chcą wyciąć tamci dwaj.

– Nie wiem – odparł niespeszony Gunn. – Myślałem, że są w drodze do Waszyngtonu.

– Zmieniły plany.

– Ach, tak?

– Zawiadomili mnie, że zamierzają dyskretnie spenetrować tajny kompleks Odyssey na wyspie położonej na środku jeziora Nikaragua.

Gunn uśmiechnął się chytrze.

– Zgodził się pan?

– Chyba ich znasz? Myślisz, że zrezygnowałiby z tego planu, gdybym powiedział „nie”?

– Mogą znaleźć jakieś odpowiedzi na nasze pytania.

– Owszem – przyznał ponuro Sandecker. – Ale też mogą zginąć.

**CZEŚĆ IV**

**KLUCZ**



**30 sierpnia 2006**

**Wyspa Branwen, Gwadelupa**

Na wyspie Branwen, oddalonej o piętnaście mil morskich na południe od Basse-Terre – jednej z głównych wysp Gwadelupy – lądowały kolejno prywatne i firmowe odrzutowce. Do samolotów podjeżdżały po pasażerów lawendowe luksusowe mikrobusy, kierowcy ładowali bagaże do samochodów i zawozili podróżnych do eleganckich, przeznaczonych dla gości apartamentów urządzonych w podziemnym pałacu Spectera. Wszystkie wysiadające z samolotów osoby były kobietami. Żadnej nie towarzyszyli przyjaciele ani współpracownicy, wszystkie były samotne.

Ostami samolot wylądował o szóstej wieczorem. Znajomym beriewem Be-210 przyleciał Specter, jedyny mężczyzna w tym gronie. Grubas z trudem przecisnął się przez drzwi i zszedł niezgrabnie po schodkach. Potem z maszyny wyniesiono na noszach ciało przykryte dokładnie kocem. Specter miał na sobie charakterystyczny biały garnitur. Usadowił się na tylnym siedzeniu samochodu, sięgnął do barku i nalał kieliszek beaujolais.

Kierowca, który woził go już wielokrotnie przy innych okazjach, zawsze się dziwił, jak ktoś tak gruby może być taki zwinny. Stał przez moment i przyglądał się z zaciekawieniem, jak ciało leżące na noszach wepchnięto bezceremonialnie na otwartą platformę pikapa, mimo że właśnie zaczęło lać.

Na południowym krańcu wyspy znajdowała się wydrążona w skale i rafie koralowej niecka przypominająca kształtem kocioł o średnicy około stu metrów. Miała głębokość dziesięciu metrów, dostateczną, by nikt, kto przepływał obok na statku czy łodzi, nie mógł widzieć, co się dzieje w środku.

Wewnątrz niecki stało w równych metrowych odstępach trzydzieści monolitów. Budowla była kopią słynnego megalitu Stonehenge, którego nazwa oznacza kamienny krąg. Każdy z monolitów miał dwa metry szerokości, metr grubości i cztery metry wysokości. Na ich szczytach spoczywały poziomo trzymetrowe bloki tworzące krzywiznę kręgu.

W środku kręgu wznosiło się pięć trylitów ustawionych w podkowę. W przeciwieństwie do angielskiego oryginału zbudowanego z piaskowca kopia była wykuta z czarnej skały wulkanicznej.

Nowa budowla różniła się od starej przede wszystkim obecnością wielkiego marmurowego bloku w kształcie sarkofagu, stojącego wewnątrz podkowy z trylitów na trzymetrowym podwyższeniu, do którego wiodły kamienne schody. Każdą ze ścian sarkofagu zdobił wyryty w marmurze, bogato zdobiony galopujący koń z Uffington.

Nocą nieckę oświetlały ukryte ruchome reflektory. Wokół monolitów obracały się lawendowej barwy promienie, na zewnątrz kręgu strzelały w niebo pojedyncze wiązki laserowe. Tego dnia światła włączono na krótko wczesnym wieczorem, potem zgasły.

Kilka minut przed północą deszcz ustał jak na komendę. Kiedy znów rozbłysły światła, w kręgu trylitów stało trzydzieści kobiet w długich szatach zwanych peplos, noszonych w starożytności przez Greczynki, tworzących tęczę barw, bo każda miała strój innego koloru. Długie rude tressy zdobiły ich głowy, na twarzach, szyjach i nagich ramionach połyskiwał srebrzysty pył. Makijaż nadawał rysom ich twarzy wygląd masek i stwarzał wrażenie, że wszystkie były podobne do siebie jak rodzone siostry.

Kobiety patrzyły w milczeniu na postać leżącą na marmurowym bloku. Mężczyzna był niemal szczelnie owinięty czarnym jedwabiem, mogły widzieć tylko górną połowę jego twarzy. Miał około sześćdziesiątki, ostry nos, głębokie zmarszczki na opalonym czole i gęste, siwe włosy. Rozwartymi szeroko oczyma obserwował wirujące światła i szczyty trylitów. Sprawiał wrażenie przytroczonego do marmurowej powierzchni, nie był w stanie się poruszyć ani obrócić głowy. Mógł patrzeć tylko w górę i przyglądał się z przerażeniem wiązkom laserowym przecinającym nocne niebo.

Naraz wirujące reflektory zgasły i pozostały tylko lasery. Po minucie światła znów rozbłysły. Przez chwilę wszystko wyglądało tak samo, potem nagle pojawiła się kobieta w złocistej szacie. Rozpuszczone, lśniące włosy opadały jej rudą kaskadą do pasa, na twarzy, szyi i ramionach połyskiwał biały, perłowy makijaż. Była szczupła i bardzo zgrabna. Podeszła do schodów i wspięła się po nich z kocią zwinnością do marmurowego bloku, który służył teraz za ołtarz ofiarny.

Uniosła ramiona i zaczęła śpiewnie recytować rytualny tekst:

– „O, córki Odyseusza i Kirke, odbierzcie życie niegodnym. Pławcie się w bogactwie i łupach mężczyzn, którzy próbują nas zniewolić. Szukajcie zamożnych i wpływowych. A kiedy takich znajdziecie, wykorzystajcie ich, rozniećcie ich pragnienia, zagarnijcie ich skarby i wkroczcie do ich świata”.

Pozostałe kobiety też uniosły ramiona i odśpiewały monotonie:

– „Wielkie jest nasze siostrzeństwo, bo jesteście filarami świata, wielkie są córki Odyseusza i Kirke, bo kroczą drogą chwały”.

Powtórzyły pieśń, śpiewając coraz głośniejszym głosem, i zakończyły ją niemal szeptem, po czym

opuściły ramiona.

Kobieta stojąca przy marmurowym ołtarzu sięgnęła w fałdy swojej szaty, wydobyła sztylet i uniosła nad głowę. Jej towarzyszki wspięły się po schodach i otoczyły miejsce pogańskiego obrzędu. One też wyciągnęły i uniosły wysoko sztylety.

Sprawiająca wrażenie najwyższej kapłanki kobieta zaśpiewała:

– „Tu leży ten, który nie powinien się być narodzić”.

Potem wbiła sztylet w pierś przerażonego mężczyzny unieruchomionego na ołtarzu. Wyjęła zakrwawione ostrze i odsunęła się na bok. Jej towarzyszki kolejno zagłębiały swe sztylety w ciało bezbronnej ofiary.

Zeszły na dół i stanęły kręgiem pod trylitami. Trzymały zakrwawione sztylety tak, jakby wręczały komuś prezent. Przez chwilę panowała upiorna cisza, później zaśpiewały chórem:

– Pod okiem naszych bogów triumfujemy.

Lasery i reflektory zgasły i pogańska świątynia zbrodni pogrążyła się w ciemności.

Następnego dnia świat biznesu zbulwersowała wiadomość, że magnat przemysłowy Westmoreland Hall prawdopodobnie nie żyje; wyszedł ze swojego luksusowego nadmorskiego domu na Jamajce, jak co rano wypłynął samotnie poza rafy i zaginął. Był znany z tego, że zawsze wypuszczał się daleko na głęboką wodę i wracał do brzegu na falach przyboju przez wąską cieśninę. Nie wiadomo, czy utonął, został zaatakowany przez rekina, czy zmarł z przyczyn naturalnych. Mimo usilnych poszukiwań władze jamajskie nie odnalazły ciała.

W artykule prasowym napisano:

*Westmoreland Hall, założyciel imperium wydobywczego i właściciel głównych światowych złóż platyny oraz pięciu innych metali z tej grupy w Nowej Zelandii, był twardym, energicznym biznesmenem. Zawdzięczał swój sukces przejmowaniu kopalni stojących na krawędzi bankructwa, doprowadzaniu ich do rozkwitu i nabywaniu nowych w Kanadzie i Indonezji. Był wdowcem; trzy lata temu stracił żonę w wypadku samochodowym. Osierocił syna Myrona, utalentowanego artystę, oraz córkę Rowenę, która jako dotychczasowy wiceprezes firmy stanie teraz na czele rady nadzorczej i przejmie zarządzanie konglomeratem.*

*Jest rzeczą zdumiewającą, że według większości ekonomistów z Wall Street, wartość akcji Hall Enterprises wzrosła po przypuszczalnej śmierci właściciela o dziesięć punktów. Zwykle zgon szefa wielkiej korporacji powoduje spadek notowań giełdowych firmy, ale brokerzy donieśli o dużych zakupach udziałów dokonanych przez nieznaną grupę spekulantów. Większość ekspertów z branży górniczej przewiduje, że Rowena Westmoreland sprzeda konglomerat ojca Odyssey Corporation, gdyż założyciel tej korporacji, pan Specter, zaproponował jej o wiele atrakcyjniejsze warunki niż inne koncerny wydobywcze.*

*Nabożeństwo żałobne dla rodziny i przyjaciół odbędzie się w najbliższą środę o godzinie 14.00 w katedrze Kościoła Chrystusowego.*

Dziesięć dni później w działach gospodarczych czołowych dzienników świata ukazała się następująca informacja:

*Pan Specter, szef Odyssey Corporation, nabył od rodziny zmarłego Westmorelanda Halla przedsiębiorstwo górnicze Hall Mining Company. Sumy transakcji nie ujawniono. Prezes i główny akcjonariusz sprzedanej firmy, Rowena Westmoreland, pozostanie w HMC na stanowisku dyrektora.*

Nie wspomniano o tym, że całą przetworzoną rudę platyny będzie teraz kupowała spółka Ling Ho Limited z Pekinu i przewoziła chińskimi statkami do kompleksu przemysłowego na wybrzeżu prowincji Fucien.

Wiatr od Pacyfiku podnosił na jeziorze łagodne fale. Choć miało ono znaczną powierzchnię, przyływ był minimalny, temperatura nie przekraczała dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza. Nocną ciszę zakłócało przytłumione wycie silnika skutera wodnego, pędzącego w ciemności z szybkością ponad pięćdziesięciu węzłów. Łódź była niewidoczna dla ludzkiego oka, a także dla radaru: miękka gumowa powłoka pochłaniała radiowe impulsy i nie pozwalała, by echo wróciło do ich nadawcy.

Skuterem Polaris Virage TX sterował Pitt, Giordino siedział z tyłu. W bagażniku dziobowym spoczywała torba z ekwipunkiem. Oprócz sprzętu do nurkowania, zabrali ze sobą ukradzione kombinezony Odyssey, tym razem jednak zdjęcia na identyfikatorach zgadzały się z ich wyglądem. Giordino był ucharakteryzowany na kobietę. Czekając na sprzęt do nurkowania, który miano im przysłać samolotem z Waszyngtonu, poszli do fotografa, kazali zrobić sobie zdjęcia, usunąć z plastikowych plakietek stare i zaalaminować nowe.

Właściciel zakładu sporo wziął za usługę, ale nie zadawał pytań. Okrążyli kraniec wyspy z wulkanem Madera i popłynęli wzdłuż przesmyku, trzymając się w odległości mili morskiej od piaszczystej plaży między dwiema górami. Światła kompleksu błyszcząły jasno na tle czerniejącego wulkanu Concepcion. Nikt nie zawracał sobie głowy zaciemnianiem. Szefostwo Odyssey czuło się bezpiecznie pod ochroną armii swoich ochroniarzy i zestawu znakomitych, nowoczesnych detektorów.

Pitt zwolnił w pobliżu portu, gdzie bateria mocnych reflektorów oświetlała wielki kontenerowiec COSCO. Dźwigi przeładowywały kontenery na ciężarówki zaparkowane wzdłuż kadłuba. Statek nie przyplął po ładunek, lecz go dostarczył. Pitt zaczął podejrzewać, że kompleks był czymś więcej niż tylko ośrodkiem badawczo-rozwojowym. Musiał być połączony z tunelami biegnącymi pod nim.

Sandecker w końcu zgodził się w zasadzie na tę akcję. Yaeger i Gunn wyjaśnili Pittowi i Giordinowi przeznaczenie tuneli. Teraz każda informacja zdobyta w kompleksie mogła

pomóc w rozwiązaniu zagadki, dlaczego Specter chce zamrozić Europę.

Virage TX miał kolor antracytu i stapiał się z tłem czarnej wody. Wbrew filmom, które pokazują agentów skradających się w czarnych, obcisłych strojach, kolor ciemnoszary jest mniej widoczny nocą w blasku gwiazd. Inżynierowie NUMA podwyższyli moc trzycylindrowego silnika skutera do stu siedemdziesięciu koni mechanicznych, zmodyfikowali również układ wydechowy i zredukowali hałas o dziewięćdziesiąt procent.

Kiedy pojazd pędził po jeziorze, słychać było tylko uderzenia dziobu o wodę i przytłumiony szum wydechu. Pitt i Giordino dotarli do Isle de Ometepe pół godziny po opuszczeniu pustej przystani na południe od Granady.

Pitt przymknął przepustnicę i Giordino spojrzał na przenośny wykrywacz radaru.

– No i co? – zapytał Pitt.

– Ich wiązka omiata nas bez zatrzymywania się, więc najwyraźniej nie widzą nas.

– Dobrze, że zaplanowaliśmy przepłynięcie ostatniego odcinka pod wodą – odrzekł Pitt i wskazał głową dwa reflektory, które przeszukiwały jezioro w promieniu pięciuset metrów od brzegu.

– Oceniam, że to prawie ćwierć mili.

– Sonda pokazuje, że dno jest zaledwie siedem metrów pod nami. Musimy być poza głównym farwaterem.

– Czas opuścić statek i zamoczyć się – powiedział Giordino na widok łodzi patrolowej, która wyłoniła się zza długiego nabrzeża.

Mieli już na sobie lekkie skafandry, szybko wyjęli ze schowka skutera sprzęt do nurkowania i ekwipunek. Virage był stabilną łodzią, więc mogli stać, kiedy pomagali sobie nawzajem włożyć aparaty oddechowe z zamkniętym obiegiem tlenu używane przez nurków wojskowych podczas operacji na płytkich wodach. Po szybkiej kontroli przedzanurzeniowej Giordino opuścił się do jeziora, Pitt unieruchomił kierownicę skutera w pozycji na wprost. Potem naprowadził pojazd na kurs ku zachodniemu brzegowi jeziora, otworzył przepustnicę i skoczył w dół. Żaden z nich nie obejrzał się przed zanurkowaniem na pędzący skuter. Choć korzystali z łączności radiowej, woleli nie ryzykować, że jeden zgubi drugiego w czarnej wodzie. Przyczepili do swoich pasów balastowych końce trzymetrowej linki.

Pitt wolał aparat oddechowy z zamkniętym obiegiem tlenu od tradycyjnego akwalungu, który co prawda sprawdzał się lepiej na większej głębokości, ale pęcherze powietrza na powierzchni zdradzały pozycję nurka. Aparat do oddychania czystym tlenem był jedynym sprzętem niepozostawiającym śladów i dlatego wojsko używało go w tajnych operacjach. Wobec braku jakichkolwiek pęcherzy powietrza na powierzchni wykrycie nurka było niemożliwe. Prawidłowe korzystanie z tego sprzętu wymagało specjalistycznego szkolenia, ale dla Pitta i Giordino nie stanowiło żadnego problemu. Używali takich aparatów od dwudziestu lat.

Płynęli w milczeniu. Giordino trzymał się z tyłu i obserwował ruchy Pitta w

przyćmionym blasku osłoniętej podwodnej latarki ołówkowej. Wąska smuga światła była zupełnie niewidoczna z powierzchni. Pitt zobaczył, że dno opada – dotarli do głównego farwateru dla statków. Wypoziomował, spojrzął na kompas i skręcił w kierunku portu Odyssey. On i Giordino słyszeli w oddali odgłos dwóch śrub łodzi patrolowej spotęgowany przez wodę.

Korzystając z kompasu i odbiornika GPS, wolno i spokojnie płynęli do celu. Woda ponad nimi stawała się stopniowo coraz jaśniejsza, w miarę jak zbliżali się do lamp płonących w porcie. Widzieli też żółte snopy światła ruchomych reflektorów omiatające powierzchnię jeziora.

Woda była coraz bardziej przezroczysta. Zaczęli dostrzegać pale nabrzeża. Ominęli z daleka duży kontenerowiec COSCO, żeby nie zauważył ich jakiś znudzony marynarz na pokładzie. W porcie nic się nie działo, wielkie dźwigi stały beczynnie, magazyny były zamknięte, ciężarówki już odjechały.

Nagle Pittowi zjeżyły się włosy na karku. Wyczuł w wodzie ruch. Z mroku wyłonił się duży kształt, zawadził ogonem o jego ramię i zniknął. Pitt zeszywniał i Giordino natychmiast poczuł luz linki.

- Co jest? – zapytał ostro.
- Chyba czai się tu jakiś potwór.
- Rekin?
- Miejscowy gatunek. Szary, dwuipółmetrowy, z tępym nosem.
- Słodkowodne gryzą?
- Pokaż mi takiego, który nie jest drapieżny.

Pitt zatoczył krąg latarką ołówkową, ale wąska smuga światła przenikała ciemną wodę tylko na odległość trzech metrów.

- Lepiej przygotujmy się do obrony.

Giordino szybko podpłynął do Pitta i ustawił się tak, że byli odwrócenii plecami do siebie. Patrzyli teraz w przeciwnych kierunkach i mieli widoczność w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Rozumieli się bez słów i obaj wyciągnęli noże z pochew na łydkach. Wycelowali ostrza przed siebie jak miecze.

Rekin wrócił i zaczął wolno pływać wokół nich. Z każdym kręgiem był coraz bliżej. W słabym świetle latarek ołówkowych szara, odrażająca bestia wyglądała groźnie, patrzyła na nich czarnym okiem o średnicy filiżanki do kawy i odsłaniała rzędy trójkątnych zębów jak warczący pies. Nagle skręciła ostro i minęła nurków, żeby lepiej im się przyjrzeć, jeszcze nigdy nie widziała takich dziwnych ryb, nie przypominały jej dotychczasowych ofiar. Żarłoczny potwór najwyraźniej nie wiedział, czy dwa stworzenia, które wtargnęły na jego teren, będą smacznym posiłkiem. Wydawał się zdziwiony, że intruzi nie uciekają przed nim.

Pitt wiedział, że mordercza bestia nie jest jeszcze gotowa do ataku, miała tylko częściowo rozwarte szczęki. Uznał, że najlepszą obroną będzie atak, natarł na potwora, pchnął go nożem

i przeciął mu nos, jedyne czułe miejsce na ciele rekina.

Bestia przechyliła się na bok i odpłynęła, zostawiając za sobą smugę krwi. Była zaskoczona i rozwścieczona nagłym oporem dziwnej istoty, którą uznała za łatwą zdobycz. Potem zawróciła, znieruchomiła na chwilę, zamachała płetwami ogonowymi i ruszyła z niesamowitą szybkością prosto na nich.

Pittowi została w zanadru już tylko jedna sztuczka. Skierował światło latarki prosto w prawe oko rekina. Niespodziewany blask na moment oślepił bestię, skreśliła w lewo i rozwarła paszczę, licząc na to, że zatopi zęby w ciele ofiary. Pitt rzucił się w przeciwną stronę i rekin minął go, jego szczęki zacisnęły się na wodzie. Pitt zamachnął się nożem i przebił czarne oko potwora. Teraz pojawiły się dwie ewentualności. Na wpół oślepiona, oszalała z bólu i wściekłości bestia mogła zaatakować raz jeszcze, mogła też zrezygnować z walki i odpłynąć w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy. Na szczęście odpłynęła i już nie wróciła.

– Jeszcze nigdy tak niewiele brakowało, żebyśmy zostali pożarci na kolację – powiedział Giordino głosem, w którym jeszcze dawało się wyczuć napięcie.

– Mnie by pewnie przeżuł, a ciebie wypluł, uznawszy za niezbyt smaczny kąsek – odrzekł Pitt.

– Już się nie dowiemy, czy lubi włoską kuchnię.

– Lepiej wynośmy się stąd, zanim zjawi się tu któryś z jego kumpli.

Popłynęli dalej, ale ostrożniej niż przedtem i poczuli się znacznie pewniej, kiedy blask portowych lamp zwiększył widoczność pod wodą do dziesięciu metrów. W końcu dotarli do pali nabrzeża, wpłynęli między nie, wynurzyli się i spojrzeli w górę na drewniany pomost. Unosili się w wodzie i czekali, żeby sprawdzić, czy sensory nie włączą alarmów. Po dziesięciu minutach wciąż nie było słyhać zbliżających się ochroniarzy.

– Dopłyniemy wzdłuż pomostu do brzegu i tam znów się wynurzymy – zdecydował Pitt.

Tym razem Giordino ruszył pierwszy, Pitt trzymał się za nim. Dno wzniosło się stromo i odetchnęli z ulgą, przekonawszy się, że na piaszczystej plaży nie było kamieni. Przykucnęli pod nabrzeżem, w miejscu, do którego nie docierało światło, i zdjęli aparaty oddechowe oraz skafandry. Otworzyli torby wodoszczelne, wyjęli z nich i włożyli na siebie kombinezony Odyssey i kaski ochronne, wciągnęli skarpetki i buty i sprawdzili jeszcze, czy identyfikatory są przypięte we właściwym miejscu, po czym wyszli ostrożnie z ukrycia.

W małej wartowni przy drodze biegnącej obok wjazdu na nabrzeże siedział samotny ochroniarz. Oglądał w telewizji stary film amerykański z dialogami po hiszpańsku. Pitt rozejrzał się wokoło, ale nie zauważył nikogo więcej.

– Przetestujemy nasz wygląd? – zapytał Giordino po raz pierwszy, od chwili gdy zanurzyli się w wodzie, nie korzystając z łączności radiowej.

– Chcesz sprawdzić, jak zareaguje ten koleś, kiedy przejdziemy obok?

– Teraz albo nigdy. Inaczej nie będziemy wiedzieli, czy możemy się tu swobodnie poruszać.



Minęli niedbałym krokiem wartownię. Ochroniarz w czarnym kombinezonie zobaczył ich i wyszedł na drogę.

– *La parada?* – zawołał, marszcząc czołem.

– *La parada?* – powtórzył Giordino.

– Każe nam się zatrzymać.

– *Para que esta usted aqui? Usted debe estar en sus cuartos.*

– Masz okazję błysnąć swoim hiszpańskim – powiedział Giordino i zacisnął palce na kolbie pistoletu ukrytego pod białym kombinezonem.

– Co to za hiszpański... – odrzekł lekceważąco Pitt. – Zapomniałem już prawie wszystko, czego nauczyłem się w szkole średniej.

– Spróbuj. O co mu chodzi?

– Chce wiedzieć, co tu robimy. Powiedział, że powinniśmy być w swoich kwaterach.

Giordino wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nieźle – ocenił, po czym ruszył swobodnie w kierunku ochroniarza. – *Yo no hablo el espaniol* – oświadczył piskliwym głosem, próbując naśladować głos kobiety z kiepskim, niestety, skutkiem.

– Bardzo dobrze – pochwalił Pitt.

– Byłem kiedyś w Tijuanie – odparł Giordino, podszedł do ochroniarza i wzruszył bezradnie ramionami. – Jesteśmy Kanadyjczykami.

Ochroniarz przyjrzał mu się i zmarszczył brwi. Pomyślał prawdopodobnie, że w życiu nie widział tak brzydkiej kobiety, jak stojąca teraz przed nim w białym jednoczęściowym kombinezonie. Potem uśmiechnął się.

– A, *si*, Kanadyjczycy. Znam angielski. – Wymówił to *Englais*.

Pitt odwzajemnił uśmiech.

– Wiem, że powinniśmy być w kwaterach. Chcieliśmy się tylko trochę przespacerować przed snem.

Ochroniarz pokręcił głową.

– Nie, nie, nie wolno, *amigos*. Po ósmej wieczorem nie możecie wychodzić poza swoją strefę.

Pitt rozłożył ręce.

– Przepraszam, *amigo*. Zagadaliśmy się i nie zauważyliśmy, gdzie jesteśmy. Zgubiliśmy się. Możesz nam wskazać drogę powrotną?

Ochroniarz oświecił latarką ich identyfikatory.

– Górnicy?

– *Si*, zgadza się. Szef wysłał nas na kilka dni na górę na odpoczynek.

– Rozumiem, *señor*, ale musicie wrócić do swoich kwater. Takie są przepisy. Idźcie prosto tą drogą i skróćcie przy wieży ciśnień w lewo. Do waszego budynku będzie stamtąd jakieś trzydzieści metrów stamtąd.

– *Gracias, amigo* – podziękował Pitt. – Już idziemy.

Zadowolony, że Pitt i Giordino nie byli intruzami, ochroniarz wrócił do wartowni.

– Przeszliśmy pozytywnie pierwszy test – zauważył Giordino.

– Lepiej schowajmy się gdzieś do rana. Spacerowanie tutaj po nocy nie jest chyba zdrowe. To zbyt podejrzane. Następny napotkany ochroniarz może nie być taki uprzejmy.

Poszli wskazaną drogą i zobaczyli długi rząd budynków. Zbliżyli się doń, idąc w mroku skrajem palmowego lasku, i przyjrzeni uważnie wejściom do kwater pracowników Odyssey.

Tylko ostatni z pięciu budynków był strzeżony. Dwaj ochroniarze pilnowali jego drzwi, dwaj inni przechadzali się na jego obrzeżach, na zewnątrz otaczającego ów budynek wysokiego ogrodzenia.

– Ktokolwiek tam mieszka, nie jest ulubieńcem Odyssey – odezwał się Pitt. – Wygląda to jak więzienie.

– Najwyraźniej trzymają tu ludzi wbrew ich woli.

– Właśnie.

– Więc włamiemy się do któregoś z tych niepilnowanych budynków?

Pitt pokręcił głową.

– Nie, wejdziemy do ostatniego. Chcę pogadać z tymi, którzy są tam więzieni. Może dowiemy się czegoś o operacji Odyssey.

– Nie widzę, sposobu, żebyśmy przechytrzyli ochroniarzy.

– Za budynkiem stoi mały barak. Podejźmy tam za drzewami i sprawdzimy, co jest w środku.

– Ty zawsze wybierasz najtrudniejszą drogę – jęknął Giordino, kiedy w świetle latarni ulicznych zobaczył skupioną minę Pitta.

– Jeśli jest łatwa, nie ma zabawy – odrzekł poważnym tonem Pitt.

Zaczęli się skradać między drzewami niczym włamywacze w dzielnicy mieszkalnej, kryjąc się za cienkimi, krzywymi pniami. Po chwili dotarli do skraju lasku, przebiegli skuleni ostatnie trzydzieści metrów i wpadli za barak. Tuż za rogiem znaleźli boczne wejście. Giordino nacisnął klamkę. Drzwi nie były zaryglowane. Wśliznęli się do środka, włączyli latarki ołówkowe i zobaczyli, że znajdują się w garażu, w którym stoi pojazd do sprzątania ulic. Pitt dostrzegł w słabym blasku, że Giordino wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chyba trafiliśmy na żyłę złota – powiedział.

– Myślisz o tym samym, co ja?

– Zgadza się – przytaknął Pitt. – Uruchomimy zamiatarkę i pošlemy ją wzdłuż ulicy. Ale najpierw usprawnimy ją tak, żeby przyciągnęła uwagę ochroniarzy.

– To znaczy?

– Podpalimy ją.

– Twoje szatańskie pomysły chyba nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

– To dar opatrności.

W ciągu dziesięciu minut spuścili jedenaście litrów benzyny do dwudziestolitrowego kanistra, który znaleźli w garażu. Pitt wdrapał się do kabiny zamiatarki i włączył zapłon. Giordino stanął przy dwuskrzydłowych drzwiach gotów otworzyć je w każdym momencie. Na szczęście silnik zaskoczył od razu i nie pracował zbyt głośno. Samochód miał cztery biegi. Pitt wyszedł na stopień kabiny. Zamierzał wrzucić dwójkę, żeby zamiatarka nabrała większej szybkości i czekał z tym do ostatniej chwili, chcąc uniknąć eksplozji oparów benzyny wewnątrz garażu. Obrócił kierownicę tak, żeby wielki pojazd pojechał w kierunku rzędu zaparkowanych ciężarówek. Giordino pchnął drzwi garażu i pobiegł po kanister. Wlał benzynę do pustej kabiny i uniósł palnik acetylenowy.

– Czas na przedstawienie – oznajmił.

Pitt wrzucił drugi bieg i zeskoczył ze stopnia. Giordino odkręcił do końca zawory butli tlenowej i acetylenowej i wcisnął starter palnika. Z dyszy buchnął półmetrowy płomień. Zanim samochód wypadł z garażu, kabina zamieniła się z głośnym szumem w kulę ognia.

Płonąca zamiatarka pomknęła ulicą jak kometa, wirujące szczotki wzbijały tumany kurzu. Po pięćdziesięciu metrach wielki pojazd uderzył w pierwszą ciężarówkę, oderwał ją do ziemi i wepchnął na pień palmy. Potem staranował drugą z przeraźliwym zgrzytem miażdżonego metalu i szkła, wbił ją w następne i wreszcie stanął. Płomienie strzelały w niebo, gęsta chmura czarnego dymu z każdą chwilą wznosiła się coraz wyżej.

Dwaj ochroniarze spacerujący przed budynkiem zupełnie zaszokowani zastygli w bezruchu, z niedowierzaniem patrząc na nagły pożar. W końcu ocknęli się, opuścili swoje posterunki i popędzili w głąb ulicy, by ratować kierowcę, sądzili bowiem, że pozostał jeszcze w szoferce. Po chwili dołączyli do nich koledzy, pełniący straż wewnątrz budynku.

Pitt i Giordino natychmiast skorzystali z zamieszania. Pitt wbiegł przez furtkę za ogrodzenie, dał nura w otwarte drzwi i wylądował na podłodze. Rozpędzony Giordino nie zdążył się zatrzymać i runął na niego.

– Powinieneś schudnąć – stęknął Pitt.

Giordino szybko podniósł go na nogi.

– Dokąd teraz, geniuszu?

Pitt nie odpowiedział, uznawszy, że to powinno być oczywiste, i pobiegł przed siebie długim korytarzem. Drzwi po obu stronach były zamknięte na klucz. Przystanął przy trzecich i odwrócił się do Giordina.

– To twoja specjalność – powiedział i odsunął się na bok.

Giordino posłał mu gniewne spojrzenie, cofnął się i wyłamał kopnięciem drzwi. Kiedy zawisły na zawiasach, dokończył robotę ramieniem. Drzwi nie wytrzymały uderzenia muskularnego Włocha i upadły płasko na podłogę z głośnym hałasem.

Pitt wszedł do środka i zobaczył dwoje ludzi, kobietę i mężczyznę, którzy siedzieli wyprostowani w łóżku i wpatrywali się z przerażeniem w niespodziewanych gości.

– Przepraszamy za najście – odezwał się łagodnym tonem – ale musimy się gdzieś ukryć.

Giordino zaczął wstawiać drzwi na swoje miejsce.

– Dokąd nas zabieracie? – zapytała wystraszona kobieta, wymawiając słowa z gardłowym niemieckim akcentem.

Podciągnęła koc pod brodę i zasłoniła koszulę nocną, ale Pitt zdążył zauważyć, że była dosyć tęga. Miała pulchną, rumianą twarz, piwne oczy i siwe włosy upięte z tyłu w kok. Wyglądała na czyjaś babcie i zapewne rzeczywiście miała już wnuki.

– To pomyłka – odrzekł. – Bierze nas pani za kogoś innego.

– Ale jesteście od nich.

– Nie, proszę pani – powiedział Pitt, starając się ją uspokoić. – Nie pracujemy w Odyssey. Siwy mężczyzna odzyskał już panowanie nad sobą.

– Więc kim, na Boga, jesteście? – spytał.

Wstał z łóżka. Miał na sobie staromodną koszulę nocną, na którą narzucił równie staromodny szlafrok. W przeciwieństwie do kobiety – zapewne żony, uznał Pitt – był chudy jak patyk i wyższy od Pitta co najmniej o siedem centymetrów. Błądą twarz z ostrym nosem i wąskimi wargami zdobił cienki wąsik.

– Nazywam się Dirk Pitt. To mój przyjaciel, Al Giordino. Pracujemy dla rządu Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy tu po to, żeby się dowiedzieć, dlaczego istnienie tego kompleksu stanowi tak wielką tajemnicę.

– Jak dostaliście się na wyspę? – zapytała kobieta.

– Wodą – odparł Pitt, nie wdając się w szczegóły. – Weszliśmy tutaj po zorganizowaniu małego przedstawienia, które miało na celu odwrócenie uwagi ochroniarzy. – Kiedy to mówił, przez otwarte drzwi frontowe budynku i korytarz dobiegł dźwięk syren alarmowych. – Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zrezygnował z obejrzenia porządnego pożaru.

– Dlaczego wybraliście nasz pokój?

– Czysty przypadek.

– Jeśli byliby państwo tak uprzejmi i wyrazili na to zgodę – wtrącił się Giordino – chcielibyśmy tu przenocować. Rano się wyniesiemy.

Starsza pani przyjrzała mu się podejrzliwie, jej oczy przesunęły się po jego białym kombinezonie.

– Pan nie jest przecież kobietą – powiedziała niepewnym tonem.

Giordino uśmiechnął się szeroko.

– Na szczęście. Noszę tylko damski uniform Odyssey. Ale to długa i nudna historia.

– Dlaczego mamy panu wierzyć?

– Nie umiem podać pani żadnego powodu.

– Czy mogliby nam państwo powiedzieć, dlaczego zamknięto was w tym budynku? – zapytał Pitt.

Kobieta odzyskała równowagę.

– Proszę nam wybaczyć, oboje z mężem mamy straszny zamęt w głowie. To jest doktor

Claus Lowenhardt, ja jestem doktor Hilda Lowenhardt. Zamykają nas tu tylko na noc. W dzień pracujemy pod silną strażą w laboratoriach.

Pitta rozbawił trochę sposób, w jaki przedstawiła męża i siebie.

– Jak się państwo tu znaleźli?

– Prowadziliśmy badania w Naukowym Instytucie Technicznym w Aachen w Niemczech – zaczął Lowenhardt – kiedy przedstawiciele pana Spectera reprezentujący Odyssey Corporation zaproponowali nam pracę konsultantów. Żona i ja znaleźliśmy się w gronie czterdziestu czołowych specjalistów z naszej dziedziny, których skusiły wielkie pieniądze i obietnice sfinansowania naszych projektów, kiedy skończymy pracę tutaj i wrócimy do domów. Powiedziano nam, że polecimy do Kanady, ale okazało się to kłamstwem. Po wylądowaniu naszego samolotu znaleźliśmy się na tej wyspie, na zupełnym odludziu. Od tamtej pory wszyscy harujemy tu jak niewolnicy.

– Jak długo to trwa?

– Pięć lat.

– Do jakich badań was zmuszają?

– Jesteśmy specjalistami od ogniwi paliwowych.

– Ten kompleks zbudowano po to, żeby prowadzić eksperymenty z ogniwiami paliwowymi?

Claus Lowenhardt skinął potwierdzająco głową.

– Odyssey zaczęła je konstruować sześć lat temu.

– Macie jakiś kontakt ze światem?

– Nie wolno nam telefonować ani do rodzin, ani do przyjaciół – odrzekła Hilda. – Możemy tylko wysłać listy, które są cenzurowane.

– Pięć lat to długa rozłąka z bliskimi. Nie próbowaliście celowo opóźnić badań?

Hilda pokręciła głową.

– Zagrozili, że sabotaż będzie karany śmiercią.

– I że śmierć poniosą nasze rodziny – dodał Claus. – Nie mamy wyboru, musimy się starać. Poza tym zależy nam na naprawę na kontynuowaniu dzieła naszego życia, stworzeniu czystego i wydajnego źródła energii dla wszystkich.

– Pewien mężczyzna bez rodziny posłużył za przykład – ciągnęła Hilda. – W nocy go torturowali, w dzień zmuszali do pracy. Pewnego ranka znaleziono go powieszzonego na lampie w jego pokoju. Wszyscy wiemy, że został zamordowany.

– Na polecenie szefów Odyssey?

– To była egzekucja – odrzekł Lowenhardt z ponurym uśmiechem i wskazał sufit. – Niech pan sam zobaczy, panie Pitt. Czy ten kawałek drutu z żarówką utrzymałby ciężar dorosłego mężczyzny?

– Rozumiem, o co panu chodzi – odparł Pitt.

– Robimy, co nam każą – powiedziała cicho Hilda. – Mamy syna, dwie córki i pięcioro

wnucząt. Nie chcemy, żeby coś im się stało. Inni są w takiej samej sytuacji.

– Czy wy i wasi koledzy naukowcy robicie jakieś postępy w konstruowaniu ogniw paliwowych? – zapytał Pitt.

Hilda i Claus spojrzeli po sobie, najwyraźniej bardzo zaskoczeni.

– Jak to? Świat nie wie o naszym sukcesie? – spytał Claus.

– Sukcesie?

– My i nasi koledzy opracowaliśmy wspólnie wydajne i bardzo tanie źródło energii elektrycznej, które działa na zasadzie łączenia się azotu otrzymanywanego z amoniaku z tlenem z atmosfery. Jedynym produktem odpadowym jest czysta woda.

– Myślałem, że praktyczne i wydajne ogniwa paliwowe to odległa przyszłość – wtrącił się Giordino.

– Ogniwa wykorzystujące do wytwarzania elektryczności wodór i tlen, tak. Tlen można brać z powietrza. Ale wodór nie jest łatwo dostępny i musi być magazynowany jako paliwo. Jednak szczęśliwie i niemal cudem udało nam się dokonać przełomu i mamy czyste źródło energii dostępne dla milionów ludzi.

– To, co pan mówi, brzmi tak, jakby je już produkowano – powiedział Giordino.

Lowenhardt popatrzył na niego jak na idiotę.

– Zostało doprowadzone do perfekcji i pomyślnie przetestowane ponad rok temu, po czym natychmiast rozpoczęto produkcję. Chyba wiecie o tym?

Po minach Pitta i Giordina Lowenhardtowie poznali, że dwaj mężczyźni nic o tym nie słyszeli.

– To dla nas coś nowego – odparł Pitt. – Nie znam żadnego cudownego źródła energii, które stoi na półkach w sklepach lub napędza samochody.

– Ja też nie – dodał Giordino.

– Nie rozumiem. Powiedziano nam, że w Chinach produkuje się już miliony naszych ogniw.

– Przykro mi, że musimy was rozczarować, ale wasz wielki wynalazek jest jeszcze tajemnicą – odrzekł współczującym tonem Pitt. – Mogę się tylko domyślać, że Chińczycy w jakimś celu magazynują wasze ogniwa paliwowe.

– Ale co to ma wspólnego z tunelami? – mruknął Giordino.

Pitt usiadł na krześle i wpatrzył się w zamyśleniu we wzór na dywanie. W końcu podniósł wzrok.

– Admirał powiedział, że analiza komputerowa Yaegera wykazała, że tunele mają służyć do obniżania temperatury Prądu Zatokowego, co spowoduje, że na wschodzie Stanów Zjednoczonych i w Europie zima będzie trwała osiem miesięcy. – Odwrócił się do Lowenhardtów. – Czy wasze ogniwa paliwowe są przeznaczone do napędu samochodów?

– Na razie nie. Ale po dalszym udoskonaleniu będą wytwarzały wystarczającą ilość czystej energii, żeby napędzać wszystkie pojazdy, łącznie z samolotami i pociągami.

Wyszliśmy już poza etap projektowania, jesteśmy w ostatniej fazie konstrukcyjnej i niedługo będziemy gotowi do testów.

– Więc jakie zastosowanie ma gadżet, który jest już w produkcji? – zapytał Pitt.

Claus skrzywił się na słowo gadżet.

– Macha jest generatorem, mogącym dostarczać taną energię elektryczną do każdego domu, biura, zakładu pracy i szkoły na całym świecie. Dzięki niemu skażenie środowiska to już przeszłość. Teraz każde gospodarstwo domowe, bez względu na jego wielkość, zarówno w dużym mieście, jak i na zupełnym odludziu, może mieć własne, niezależne źródło energii...

– Nazywacie to macha?

– Specter to wymyślił, kiedy zobaczył pierwsze gotowe urządzenie. Powiedział nam, że Macha była celtycką boginią sprytu, znaną również jako królowa upiórów.

– Znowu Celtowie – mruknął Giordino.

– Akcja się komplikuje – powiedział filozoficznie Pitt.

– Ktoś nadchodzi – ostrzegł Giordino ze swojego stanowiska przy drzwiach i oparł się o nie całym ciężarem. – Pewnie ochroniarze. Chyba dwóch.

W pokoju zrobiło się tak cicho, że słycać było zupełnie wyraźnie głosy zbliżających się mężczyzn, którzy szli korytarzem, sprawdzając drzwi więzionych naukowców. W oczach Lowenhardtów pojawiło się przerażenie, gdy kroki ucichły nagle – ochroniarze zatrzymali się przed ich pokojem – ale uspokoiłi się na widok pistoletów w rękach Pitta i Giordina. Zrozumieli, że ci dwaj mężczyźni panują nad sytuacją.

– *Este puerta aparece danada.*

– Mówi, że drzwi wyglądają na uszkodzone – szepnął Pitt.

Jeden z ochroniarzy poruszył klamką i pchnął drzwi, ale blokował je ciężar Giordina. Nie ustąpiły.

– *Se parece seguro* – odezwał się drugi głos.

– Chyba są zaryglowane – przetłumaczył Pitt.

– *Lo tendremos reparados por la maniana.*

– Powiedzieli, że jutro je naprawią.

Kroki i głosy oddaliły się. Ochroniarze poszli dalej.

Pitt odwrócił się i popatrzył twardo na Lowenhardtów.

– Musimy się wydostać z wyspy i zabrać was ze sobą – powiedział.

– Uważasz, że to mądry pomysł? – wtrącił się Giordino.

– Praktyczny – odparł Pitt. – Ci ludzie są kluczem do rozwiązania naszej zagadki. Dzięki ich wiedzy nie będziemy musieli węszyć tutaj i ryzykować, że nas złapią. Nie dowiedzielibyśmy się nawet jednej trzeciej tego, co wiedzą mili państwo Lowenhardtowie.

– Nie, nie! – zaprotestowała Hilda. – Nie ruszymy się stąd. Kiedy zauważą nasze zniknięcie, zabiją nasze dzieci.

Pitt ścisnął delikatnie jej rękę.

– Wasza rodzina będzie pod ochroną. Obiecuję, że nikomu nic się nie stanie.

Giordino rozważał szybko ewentualne konsekwencje planu Pitta.

– Wciąż nie jestem do końca przekonany, że masz rację – powiedział. – Pozbyliśmy się skutera wodnego i mieliśmy ukraść łódź lub samolot, bo ochroniarze nie dopuściliby do porwania helikoptera. Taka ucieczka z dwiema starszymi osobami do towarzystwa nie będzie łatwa.

Pitt znów odwrócił się do Lowenhardtów.

– Nie bierzecie pod uwagę tego, że kiedy wy i wasi koledzy przestaniecie być potrzebni, zlikwidują was. Specter nie dopuści, by ktoś z was ujawnił światu, co tu się dzieje.

Wyraz twarzy Clausa Lowenhardta świadczył o tym, że rozumie sytuację, ale naukowiec nie mógł jeszcze uwierzyć w pełni w słowa Pitta.

– To byłaby przecież potworna zbrodnia. Nie odważyliby się zabić nas wszystkich. Musimy pamiętać, że świat dowiedziałby się prawdy.

– Niekoniecznie. Samolot, którym lecielibyście do domu, mógłby z niewyjaśnionego powodu spaść do morza. A dochodzenie w sprawie katastrofy nie wykazałoby niczego podejrzanego.

Claus spojrział na żonę i otoczył ją ramieniem.

– Obawiam się, że pan Pitt ma rację. Specter nie pozwoli na to, żeby ktoś z nas przeżył.

– Kiedy opowiecie wszystko mediom, Specter nie ośmieli się zabić waszych kolegów naukowców. Wiedząc, że siły policyjne ze wszystkich zainteresowanych krajów połączyłyby wysiłki, żeby go dopaść i dostać się do jego imperium, ściagałyby go, posługując się wszelkimi możliwymi środkami. Wierzcie mi, że ucieczka z nami to dla was jedyne wyjście.

– Zagwarantuje nam pan, że wydostaniemy się bezpiecznie z wyspy? – zapytała z wahaniem Hilda.

– Nie mogę tego obiecać. Nie potrafię wszystkiego przewidzieć. Ale jeśli tu zostaniecie, zginiecie na pewno.

Claus przytulił żonę.

– To chyba jedyna szansa, żebyśmy jeszcze zobaczyli nasze dzieci i wnuki.

Hilda uniosła głowę i pocałowała go w policzek.

– Więc idziemy razem.

– Wracają – ostrzegł Giordino z uchem przy drzwiach.

– Bądźcie tak uprzejmi i ubierzcie się – powiedział Pitt do Lowenhardtów i odwrócił się tyłem. – Ja i mój przyjaciel zajmujemy się ochroniarzami.

Małżeństwo zaczęło się przebierać. Pitt dołączył do Giordina po przeciwnej stronie drzwi i wyciągnął colta 45.

Mijały sekundy, ochroniarze byli coraz bliżej. Pitt i Giordino czekali cierpliwie, dopóki kroki nie zatrzymały się tuż za progiem. Giordino szarpnął wówczas drzwi do wewnątrz – runęły na podłogę. Ochroniarze byli zbyt zaskoczeni, żeby stawiać opór, gdy zostali



wciągnięci do pokoju i zobaczyli przed sobą wyloty luf dwóch wielkich pistoletów.

– *En el piso, rapidamente!* – warknął Pitt.

Wykonali rozkaz i szybko położyli się na podłodze. Giordino zaczął drzeć prześcieradła. Po chwili oszołomieni ochroniarze byli rozbrojeni, związani i zakneblowani.

Pięć minut później Pitt, Claus, Hilda i Giordino wymknęli się gęsiego przez niestrzeżoną furtkę w ogrodzeniu. Przebiegli na drugą stronę ulicy niezauważeni przez nikogo spośród ochroniarzy i strażaków, otaczających płonąca zamiatarkę, i zniknęli w mroku.

Mieli przed sobą długą drogę. Hangary na krańcu pasa startowego biegnącego wzdłuż przesmyku były oddalone o prawie dwa kilometry od budynku, gdzie więziono Lowenhardtów. Pitt i Giordino posługiwali się jak przewodnikiem zdjęciem satelitarnym kompleksu i korzystali ze wskazówek małżeństwa naukowców, które znało topografię wyspy.

Claus Lowenhardt został z tyłu, bo chciał porozmawiać w cztery oczy z Giordinem.

– Czy pański przyjaciel na pewno panuje nad sytuacją? – zapytał cicho.

– Odpowiem panu tak: Dirk jest facetem o niewyczerpanej pomysłowości i potrafi wybrnąć prawie z każdej trudnej sytuacji.

– Ufa mu pan. – Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Powierzyłbym mu bez wahania własne życie. Znam go od czterdziestu lat i jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

– Jest agentem wywiadu?

– Niezupełnie. – Giordino nie potrafił stłumić cichego śmiechu. – Inżynierem morskim. Dyrektorem projektów specjalnych w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Jestem jego zastępcą.

– Boże, miej nas w opiece! – szepnął Lowenhardt. – Gdybym wiedział, że nie jesteście doskonale wyszkolonymi tajnymi agentami CIA, nie poszedłbym z wami i nie narażał życia mojej żony.

– Wasze życie nie mogłoby się znaleźć w lepszych rękach – zapewnił twardym tonem Giordino.

Pitt posuwał się naprzód od jednego budynku do drugiego. Starał się trzymać w cieniu poza zasięgiem światła lamp na dachach i latarni ulicznych. Nie było to łatwe. Cały kompleks był jasno oświetlony. Lampy zainstalowano na każdym budynku wzdłuż każdej ulicy, chcąc w ten sposób zniechęcić więźniów do ucieczki. Pitt mógł swobodnie obserwować teren, posługując się zwykłą lornetką, a nie noktowizorem. Cały czas sprawdzał, czy w mroku nie

czają się ochroniarze.

– Dziwnie pusto na ulicach – mruknął. – Żadnych patroli.

– Bo na noc spuszczają psy – wyjaśniła Hilda.

Giordino przystanął gwałtownie.

– Nic pani nie mówiła o psach.

– Bo nikt mnie nie pytał – odrzekła.

– Założę się, że mają dobermanów – jęknął Giordino. – Nie cierpię dobermanów.

– Mamy szczęście, że zaszliśmy tak daleko – powiedział Pitt. – Od tego miejsca musimy zachować podwójną ostrożność.

– I właśnie skończyło nam się mięso – szepnął Giordino.

Pitt już miał opuścić lornetkę, gdy dostrzegł wysokie ogrodzenie z siatki i biegnący wzdłuż jego górnej krawędzi spiralny drut kolczasty. Zauważył też, że bramy na drodze prowadzącej do pasa startowego pilnowali dwaj ochroniarze wyraźnie widoczni w świetle padającym z góry. Pitt wyregulował ostrość i okazało się, że były to kobiety ubrane w niebieskie kombinezony. Przed bramą węszyły dwa psy spuszczone ze smyczy. Pitt rozpoznał dobermanów i uśmiechnął się pod nosem. Ulubieńcy Giordina, pomyślał.

– Przed nami parkan, który zagraża drogę do pasa startowego – powiedział i przekazał lornetkę Giordinowi.

Giordino uniósł ją do oczu.

– Zauważyłeś to niższe ogrodzenie kilkadziesiąt centymetrów przed tym wysokim?

– Postawili je dla bezpieczeństwa psów?

– Żeby się nie usmażyły – przytaknął Giordino i powiódł wzrokiem wzdłuż siatki w obu kierunkach. – Ten wysoki parkan jest pewnie pod takim napięciem, że można by go używać zamiast grilla. I nie widzę w pobliżu wolnej zamiatarki ulic.

Nagle ziemia zaczęła drżeć i rozległ się odgłos podobny do dalekiego grzmotu. Zakołysały się drzewa i zadźwięczały szyby w oknach budynków. Wstrząs miał podobną moc jak ten, który odczuli w latarni morskiej na jeziorze. Ale ten trwał dłużej, ponad minutę. Dobermanów ujadają jak oszalałe, kobiety przy bramie wierciły się niespokojnie. Nie mieli teraz szans, by się dostać niepostrzeżenie na pas startowy.

– Czuliśmy już takie drżenie ziemi – powiedział Pitt do Clausa. – To wulkan?

– Pośrednio – odrzekł Lowenhardt. – Pewien naukowiec z naszej grupy, doktor Alfred Honorna, geofizyk z Uniwersytetu Hawajskiego, jest ekspertem w tej dziedzinie. Jego zdaniem, te wstrząsy nie mają nic wspólnego z wydobywaniem się gorącej lawy przez szczeliny wulkanu. Mówił, że grozi nam tu nagłe osunięcie zbocza góry.

– Kiedy zaczęły się te wstrząsy? – zapytał Pitt.

– Rok temu – odpowiedziała Hilda. – Zdarzały się coraz częściej i teraz powtarzają się mniej więcej co godzinę.

– I są coraz silniejsze – dodał Claus. – Według doktora Honorny pod górą zachodzi jakieś

niewyjaśnione zjawisko, które wywołuje ruchy jej powierzchni.

Pitt skinął głową do Giordina.

– Pod wulkanem biegnie czwarty tunel.

Giordino skinął potwierdzająco głową.

– Czy Honorna mówił, kiedy może nastąpić osunięcie? – Zainteresował się Pitt.

– Podobno w każdej chwili.

– Jakie byłyby skutki? – zapytał Giordino.

– Zdaniem doktora Honorny – odparł Claus – od zbocza oderwałyby się ponad cztery miliardy metrów sześciennych skały i zsunęły do jeziora z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

– Na wodzie powstałyby wówczas ogromne fale – powiedział Pitt.

– Tak, mogłyby z łatwością zalać wszystkie miasteczka i wsie wokół jeziora.

– A kompleks Odyssey?

– Zajmuje dużą część zbocza wulkanu, więc zostałby zasypany – odrzekł ponuro Claus. – Razem z ludźmi.

– Czy zarząd Odyssey zdaje sobie sprawę z zagrożenia?

– Wezwali swoich geologów, którzy oznajmili, że takie osunięcia są bardzo rzadkie. Zdarzają się raz na dziesięć tysięcy lat w niewielu miejscach na świecie. Podejrzewam, że Specter kazał im zbagatelizować niebezpieczeństwo.

Pitt przypomniał sobie incydent w hotelu Ocean Wanderer.

– Spectera nie obchodzi los jego pracowników.

Nagle w górze rozległ się warkot helikoptera. Wszyscy czworo zeszywnieli i spojrzeli na rozgwieżdżone niebo. Maszyna nadlatywała od strony terminalu lotniczego, w blasku świateł płonących na ziemi widzieli wyraźnie lawendowy kolor. Przywarli do ściany budynku i znieruchomieli. Helikopter zbliżał się.

– Szukają nas – wykrztusił przerażony Lowenhardt i mocno przytulił żonę.

– Mało prawdopodobne – uspokoił go Pitt. – Pilot nie krąży, jakby kogoś szukał. Jeszcze o nas nie wiedzą.

Maszyna przeleciała nad nimi na wysokości najwyższej sześćdziesięciu metrów. Giordino miał wrażenie, że mógłby w nią trafić celnie rzuconym kamieniem. Obawiał się, że lada moment rozbłyszczą jej reflektory lądowania i oświetlą ich jak szczury w stodole. Ale szczęście uśmiechnęło się do nich. Pilot włączył światła dopiero wtedy, gdy minął miejsce, w którym stali. Helikopter skręcił ostro w kierunku oszklonego biurowca, zawisnął na chwilę w powietrzu i wylądował na dachu.

Pitt wziął lornetkę od Giordina i przyjrzał się maszynie. Rotor stopniowo przestał się obracać, drzwi się otworzyły i wokół schodków stłoczyło się kilka postaci w lawendowych kombinezonach. Z helikoptera wyszła kobieta w złocistym kombinezonie. Pitt delikatnie wyregulował ostrość. Nie miał co prawda absolutnej pewności, ale założyłyby się o roczną

pensję, że tą kobietą była Rita Anderson.

Z wykrzywną wściekłością twarzą oddał lornetkę Giordinowi.

– Przyjrzyj się dobrze tej królowej w złotym kombinezonie.

Giordino obserwował przez chwilę, jak kobieta i jej orszak idą w stronę windy, docierającej na dach.

– Nasza kumpelka z jachtu – wycedził jadowitym tonem. – Zabójczym Renee. Królestwo za karabin snajperski!

– Nie możemy jej nic zrobić – powiedział z żalem Pitt. – Sprawą priorytetową jest bezpieczne dostarczenie Lowenhardtów do Waszyngtonu.

– Skoro o tym mowa, to jak przedostaniemy się przez ogrodzenie pod napięciem, dobermanów i dobrze uzbrojoną ochronę?

– Nie przez to wszystko, tylko nad tym – odrzekł cicho Pitt, rozważając szansę.

Lowenhardtowie przysłuchiwali się w milczeniu ich rozmowie i nie bardzo rozumieli, o co chodzi. Giordino spojrział tam, gdzie patrzył w skupieniu Pitt – na helikopter na dachu biurowca stojącego przy następnej przecznicy. Zrozumieli się bez słów. Pitt uniósł lornetkę i przyjrzał się dziesięciopiętrowemu budynkowi.

– Centrala kompleksu – powiedział. – Wygląda na niestrzeżoną.

– Tu nie muszą zamykać ludzi wewnątrz. Cały personel to na pewno lojalni pracownicy Odyssey.

– I nikt się nie obawia, że frontowymi drzwiami mogą wtargnąć nieproszeni goście. – Pitt przesunął lornetkę. Piloci zniknęli za Ritą w windzie i zostawili helikopter bez opieki. – Nie będzie lepszej okazji.

– Nie widzę żadnej okazji. Żeby ukraść helikopter, trzeba wejść do biurowca, nie wzbudzając podejrzeń, minąć pewnie ze dwustu pracowników i dostać się na dach.

– Może byłoby łatwiej, gdybym znalazł dla ciebie lawendowy kombinezon?

Giordino posłał Pittowi mordercze spojrzenie.

– Już wystarczająco się poświęcam – syknął. – Będziesz musiał wymyślić coś innego.

Pitt podszedł do Lowenhardtów. Stali przytuleni do siebie, wyglądali na spiętych, ale nie przerażonych.

– Musimy wejść do biurowca, dostać się na dach i zabrać helikopter – oznajmił. – Trzymajcie się blisko mnie. W razie kłopotów padnijcie na podłogę, żebyście nie byli na linii ognia, nie możecie nam zasłaniać pola ostrzału. Spróbujemy rozegrać to w sposób całkowicie bezczelny. Al i ja będziemy udawali, że eskortujemy was na zebranie lub przesłuchanie. Kiedy dotrzemy na dach, biegnijcie szybko do helikoptera, wsiądźcie do środka i zapnijcie pasy. Start może być bardzo nieprzyjemny.

Claus i Hilda zapewnili, że wykonają wszystkie polecenia. Nie mieli wyboru, spalili już mosty za sobą. Pitt był pewien, że będą się ściśle trzymali jego instrukcji.

Poszli skrajem ulicy i dotarli do schodów prowadzących do głównego wejścia budynku

centrali. Przejeżdżająca ciężarówka oświetliła ich reflektorami, ale kierowca nie zwrócił na nich uwagi. Przed wejściem stały, paląc papierosy, dwie kobiety – jedna w lawendowym, druga w białym kombinezonie. Giordino uśmiechnął się do nich uprzejmie i wszedł pierwszy przez oszklone drzwi. W holu spacerowało kilka kobiet i tylko jeden mężczyzna. Rozmawiali. Bardzo niewiele osób spojrzało na Pitta i pozostałą trójkę, nikt nie patrzył na nich podejrzliwie.

Giordino zachowywał się tak swobodnie, jakby wykonywał swoje rutynowe codzienne obowiązki. Wprowadził grupkę do pustej windy, ale zanim wszyscy wsiedli, dołączyła do nich atrakcyjna blondynka w lawendowym kombinezonie i wcisnęła guzik oznaczający ósme piętro.

Odwróciła się, przyjrzała Lowenhardtowi, w jej oczach błysnęła podejrzliwość.

– Dokąd ich zabieracie? – zapytała ostro po angielsku.

Giordino zawahał się. Nie był pewien, który wariant wybrać. Pitt przyszedł mu z pomocą.

– *Perdónenos para ingles no parlante* – wtrącił się łamanym hiszpańskim. Przeprosił, że nie znają angielskiego.

Blondynka zmiażdżyła go wzrokiem.

– Nie mówiłam do ciebie! – parsknęła wściekle. – Pytałam ją.

Giordino bał się odezwać, wiedząc że jego głos może zdradzić, że jest mężczyzną. Ale musiał odpowiedzieć.

– Mówię trochę *ingles* – zapiszczał cienko. Jego falset zabrzmiał dziwnie i niepokojąco wewnątrz windy.

Blondynka przyjrzała mu się uważnie, zauważyła zarost na policzkach i jej oczy rozwarły się nagle szeroko. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

– Jesteś mężczyzną! – wykrzyknęła. Odwróciła się do przycisków, chcąc zatrzymać windę na następnym piętrze, ale Pitt odbił jej rękę.

Spojrzała na niego zaszokowana.

– Jak śmiesz?

Uśmiechnął się szatańsko.

– Zrobiłaś na mnie takie wrażenie, że porywam cię do lepszego świata.

– Chyba oszalałeś! – wybuchnęła.

– Na twoim punkcie!

Winda zatrzymała się na ósmym piętrze, ale Pitt wcisnął przycisk zamykania drzwi. Nie rozsunęły się, zaszumiał silnik i winda ruszyła do góry.

– Co tu się dzieje? – Blondynka jeszcze raz przyjrzała się Lowenhardtowi, którzy wyglądali na rozbawionych wymianą zdań. Zmarszczyła brwi. – Znam ich. W nocy powinni być zamknięci w budynku więziennym. Dokąd ich zabieracie?

– Do najbliższej toalety – odrzekł nonszalancko Pitt.

Blondynka nie wiedziała, czy powinna próbować zatrzymać windę, czy narobić wrzasku.

Zdała się na kobiecy instynkt i otworzyła usta do krzyku. Pitt bez wahania walnął ją prawym sierpowym w szczękę. Runęła jak worek piasku. Giordino złapał ją pod pachami, zanim dotknęła podłogi, i pociągnął w róg windy, gdzie byłaby niewidoczna po otwarciu drzwi.

– Dlaczego nie zatkał jej pan po prostu ust? – zapytała Hilda zaszokowana brutalnym potraktowaniem kobiety.

– Bo mogłaby mnie ugryźć w rękę, a nie miałem na to ochoty.

Winda potwornie wolno pokonała ostatnie metry i w końcu zatrzymała się miękko na dachu. Drzwi rozsunęły się cicho. Pitt, Giordino i Lowenhardtowie wyszli.

Wpadli prosto na czteroosobową grupę umundurowanych ochroniarzy, którzy wyłonili się zza wielkiego klimatyzatora.

W luksusowym apartamencie Sandeckera na ostatnim piętrze waszyngtońskiego budynku Watergate panowała także nerwowa atmosfera. Admirał spacerował po pokoju w kłębach niebieskiego dymu z wielkiego cygara. Niejeden mężczyzna, będąc w towarzystwie kobiety, zachowałby się jak dżentelmen i zrezygnował z palenia. Ale nie Sandecker. Jego znajome musiały akceptować jego obrzydliwy nałóg, w przeciwnym razie nie były już nigdy więcej zapraszane. Lecz samotne panie zadziwiająco często przekraczały próg jego apartamentu.

Uważały admirała za dobrą partię, był wdowcem, jego córka mieszkała z trójką dzieci w Hongkongu. Sandecker nie mógł się opędzić od zaproszeń na różne kolacje, wciąż przedstawiano go samotnym damom szukającym męża lub partnera. O dziwo, potrafił spotykać się jednocześnie z pięcioma kobietami i to był jeden z powodów, dla których bardzo dbał o kondycję fizyczną.

Ten wieczór spędzał z parlamentarzystką Berthą Garcia, która zajęła w Kongresie miejsce swojego zmarłego męża Marcusa. Siedziała teraz na tarasie, popijała porto i patrzyła na światła miasta. Miała na sobie krótką czarną sukienkę koktajlową, w której była wcześniej z Sandeckerem na przyjęciu. Spojrzała z rozbawieniem na zdenerwowanego admirała.

– Usiądź, Jim, bo wydepczesz ścieżkę w dywanie.

Zatrzymał się, podszedł do niej i przesunął dłonią po jej policzku.

– Wybacz, że się tobą nie zajmuję tak, jak powinienem, ale mam problem z dwoma moimi ludźmi w Nikaragui. – Usiadł ciężko obok niej. – Jak byś zareagowała, gdybym ci powiedział, że nasze wschodnie wybrzeże i Europę czekają zimy, jakich jeszcze nie było.

– Ciężki rok zawsze można przeżyć.

– Mówię o stuleciach.

Odstawiła kieliszek na stolik.

– Na pewno nie przy globalnym ociepleniu.

– Właśnie przy globalnym ociepleniu – odparł z naciskiem.

Zadzwoił telefon. Sandecker przeszedł do gabinetu i podniósł słuchawkę.

– Tak?

- Tu Rudi, panie admirale – usłyszał głos Gunna. – Ciągle cisza.
- Dostali się tam?
- Nie mieliśmy od nich wiadomości, odkąd wypłynęli skuterem wodnym na jezioro.
- Nie podoba mi się to – mruknął Sandecker. – Powinni się już odezwać.
- Powinniśmy zostawiać taką robotę agencjom wywiadowczym – odparł Gunn.
- Zgadzam się z tym, ale spróbuj powstrzymać Dirka i Ala.
- Poradzą sobie – uspokoił admirała Gunn. – Jak zawsze.
- Zapewne – westchnął ciężko Sandecker – ale kiedyś prawo serii przestanie działać i ich dobra passa się skończy.



Ochroniarze byli tak samo zaskoczeni spotkaniem, jak czwórka, która wyszła z windy. Trzech spośród nich miało na sobie niebieskie kombinezony, jedyna kobieta w ich grupie nosiła kombinezon barwy zielonej. Pitt domyślił się, że ona dowodziła. W odróżnieniu od swoich kolegów nie miała karabinu szturmowego, tylko mały pistolet w kaburze na biodrze. Pitt szybko przejął inicjatywę. Podeszedł do kobiety.

– Pani jest dowódcą? – zapytał spokojnym, autorytatywnym tonem.

Na moment odjęło jej mowę, wpatrzyła się w niego szeroko rozwartymi oczami.

– Jestem dowódcą – potwierdziła w końcu. – Co tu robicie?

Pitt odetchnął z ulgą, kobieta mówiła po angielsku. Wskazał Lowenhardtów.

– Znaleźliśmy ich na czwartym piętrze. Kręcili się po korytarzu. Nikt nie wie, skąd się tam wzięli. Kazano nam przekazać ich ochronie na dachu, czyli chyba wam.

Kobieta przyjrzała się Lowenhardtom, którzy patrzyli teraz na Pitta z rosnącym przerażeniem.

– Znam ich – powiedziała. – To naukowcy, pracują nad naszym projektem. Powinni być zamknięci w swojej kwaterze.

– Było jakieś zamieszanie, zapalił się samochód. Pewnie wtedy uciekli.

Oszołomiona kobieta nawet nie zapytała, jak Lowenhardtowie znaleźli się w biurowcu.

– Kto wam kazał przyprowadzić ich na dach?

Pitt wzruszył ramionami.

– Jakaś pani w lawendowym kombinezonie.

Trzej ochroniarze z odbezpieczonymi karabinami odprężyli się już. Najwyraźniej uwierzyli w historijkę Pitta, choć ich szefowa miała jeszcze wątpliwości.

– Gdzie pracujecie? – zapytała ostro.

Giordino zrobił kilka kroków w kierunku helikoptera i przekrzywił głowę, jakby go podziwiał. Pitt patrzył kobiecie prosto w oczy.

– W tunelach. Szeft wysłał nas na górę na dwudniowy urlop. – Kątem oka spostrzegł, że Giordino wolno i niepostrzeżenie zachodzi ochroniarzy od tyłu.

Blef już raz się udał. Pitt miał nadzieję, że teraz też tak będzie. Nie mylił się. Kobieta skinęła głową.

– Ale to nie wyjaśnia, co robicie o tej porze w budynku centrali.

– Jutro wracamy na dół i dostaliśmy polecenie, żeby przyjść tutaj i wziąć przepustki.

To nie wypaliło.

– Jakie przepustki? Nic nie wiem o żadnych przepustkach dla pracowników tuneli. Powinny wystarczyć wasze identyfikatory.

– Robię tylko to, co mi kazano. – Pitt udawał poirytowanego. – Przejmuje pani tych więźniów czy nie?

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, Giordino błyskawicznym ruchem wyciągnął swój wielki pistolet i wałnął lufą w głowę jednego ochroniarza, potem drugiego. Trzeci zdjął ręce z karabinu, kiedy zobaczył, że Giordino celuje mu między oczy.

– Tak jest dużo lepiej – powiedział spokojnie Pitt. Odwrócił się do Giordina i uśmiechnął szeroko. – Dobra robota.

– Też tak myślę. – Giordino również wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zabierz im broń.

Ręka kobiety popęzła wolno w kierunku kabury.

Pitt pokręcił głową.

– Na pani miejscu nie robiłbym tego.

Jej twarz przybrała wściekły wyraz, ale wiedziała, że nie ma szans. Podniosła ręce do góry i Giordino zabrał jej pistolet.

– Kim jesteście? – wycodziła.

– Bardzo bym chciał, żeby ludzie wreszcie przestali mnie o to pytać. – Pitt wycelował broń w jednego wciąż stojącego ochroniarza. – Wyskakuj z kombinezonu. Ale już!

Mężczyzna szybko opuścił suwak z przodu uniformu i rozebrał się. Pitt zdjął czarny kombinezon i włożył niebieski.

– Połóżcie się obok waszych kolegów – rozkazał kobiecie i półnagiemu ochroniarzowi.

– Co zamierzasz? – zapytał niedbale Giordino.

– Jak wszystkie linie lotnicze, nie znoszę startować bez kompletu pasażerów.

Giordino nie zapytał o nic więcej. Już wiedział, co planuje Pitt. Stał przed swoimi leżącymi więźniami, żeby widzieli nad sobą lufę jego pistoletu. Spojrzał na Lowenhardtów.

– Czas wsiadać – powiedział stanowczym tonem.

Posłusznie i bez słowa skargi dwoje starszych ludzi wdrapało się do helikoptera. Pitt ruszył w kierunku windy. Kilka sekund później drzwi się zasunęły i zniknęły za nimi.

Na dziesiątym piętrze biurowca znajdowały się wspaniałe pokoje. Wystrój

„Lawendowego apartamentu”, jak go słusznie nazywano, utrzymany był w zasadzie w tym samym kolorze. Krawędzie ogromnych sklepień pomalowano na lawendowe, wielkie kopuły zdobiły sceny dziwnych obrzędów religijnych i tańców wykonywanych przez kobiety ubrane w zwiewne szaty na tle malowniczych lasów, które otaczały jeziora i mityczne góry. Podłogę pokrywał puszysty lawendowy dywan przetykany złotem. Fotele z białego marmuru wyściełane grubymi lawendowymi poduszkami przypominały kształtem trony znane z malowideł na wazach greckich. Kryształowe kandelabry, żarówki, ściany i ciężkie aksamitne kotary miały także lawendową barwę. Całość zmysłowa, egzotyczna, dekadenska w wyrazie wydawała się sennym marzeniem i sprawiała na widzach oszalamiające wrażenie.

Na długiej marmurowej sofie z miękkimi poduszkami siedziały w wygodnych pozach dwie kobiety. Między nimi stał ozdobny szklany stolik, w wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana z lawendową etykietką. Jedna z kobiet była ubrana w złocistą szatę, druga w purpurową. Obie miały rude włosy o identycznym odcieniu i długości, jakby używały tej samej farby i czesały się u tego samego fryzjera. Gdyby się nie poruszały, postronny obserwator mógłby pomyśleć, że to manekiny.

Dama w purpurowej szacie pociągnęła łyk szampana z wysokiego kieliszka.

– Wszystko przebiega zgodnie z planem. Dziesięć milionów sztuk machy trafi do sprzedaży detalicznej przed pierwszymi opadami śniegu. Po przygotowaniu tej partii linie montażowe w Chinach osiągną pełną moc produkcyjną. Do końca lata nasi przyjaciele uruchomią nowe fabryki i produkcja wzrośnie do dwóch milionów sztuk miesięcznie.

– Czy kanały dystrybucyjny są przygotowane? – zapytała uderzająco piękna kobieta w złocistej szacie.

– Magazyny zbudowane lub wynajęte w całej Europie i na północnym wschodzie Stanów Zjednoczonych już przyjmują transporty dostarczane przez chińską flotę handlową.

– Miałymy szczęście, że Druantii udało się zastąpić ojca i zwiększyć dostawy platyny.

– Bez tego nigdy byśmy nie zaspokoili naszego wciąż rosnącego zapotrzebowania.

– Przyjechałaś, żeby otworzyć tunele?

Kobieta w purpurze skinęła głową.

– Nasi naukowcy wyznaczyli termin: dziesiątego września. Obliczyli, że w ciągu sześćdziesięciu dni temperatura Prądu Zatokowego obniży się na tyle, że na północnych szerokościach geograficznych zrobi się mroźno.

Dama w złocistej szacie uśmiechnęła się i dołała sobie szampana.

– Więc wszystko dzieje się tak, jak powinno.

Jej towarzyszka skinęła potwierdzająco głową i uniosła kieliszek.

– Twoje zdrowie, Epono. Wkrótce będziesz najpotężniejszą kobietą w historii świata.

– Dziękuję ci, Flidais. Twoje zdrowie.

Pitt słusznie przypuszczał, że apartament dyrekcji mieści się na ostatnim piętrze tuż pod

dachem. Sekretarki i asystentki dawno skończyły pracę i kiedy wyszedł z windy, korytarze były puste. Dzięki niebieskiemu kombinezonowi, który miał na sobie, bez problemu minął dwóch przechodzących ochroniarzy. Ledwo na niego zerknęli, gdy wchodził do recepcji biura. Nikt jej nie pilnował, więc szybko uchylił drzwi do apartamentu, wśliznął się do środka i zamknął je za sobą. Odwrócił się i stanął jak wryty na widok wystroju wnętrza.

Z sąsiedniego pokoju dochodziły jakieś głosy. Wcisnął się ostrożnie między ścianę i lawendowe kotary udrapowane nad łukowym wejściem i ściągnięte złotymi szarfami. Zobaczył dwie kobiety rozparte na wygodnej sofie, przyjrzał się luksusowemu apartamentowi i pomyślał, że najbardziej ekstrawagancki burdel wyglądałby przy tym wyszukanyemu wnętrzu jak budka dróżnika. Wyszedł z ukrycia i, stanąwszy w wejściu, podziwiał urodę dwóch rozmawiających kobiet, które jeszcze nie zauważyły intruza.

– Kiedy wyjeżdżasz, Epono? – zapytała Flidais.

– Za kilka dni. Muszę się zająć pewnym drobnym problemem w Waszyngtonie. Komisja kongresowa bada nasze operacje górnicze w Montanie. Politykom nie podoba się, że zabieramy całą rudę irydu dla siebie i nie sprzedajemy nic amerykańskim firmom ani rządowi. – Epona wyciągnęła się wygodniej na miękkich poduszkach. – A ty, moja droga przyjaciółko, co masz w programie?

– Wynajęłam międzynarodową agencję detektywistyczną, żeby wytropiła dwóch mężczyzn, którzy przemknęli się przez naszą ochronę do tuneli, a potem uciekli szybem wentylacyjnym w latarni morskiej.

– Domyślasz się przynajmniej, kim są?

– Podejrzewam, że pracują w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. To chyba ci sami ludzie, którym się wymknęłam, kiedy zniszczyli nasz jacht.

– Czy uważasz, że wszystkie nasze wysiłki i starania, by nasz plan pozostał tajemnicą, zostały udaremnione?

Flidais pokręciła głową.

– Nie sędzę. Jeszcze nie. Nasi ludzie nie zaobserwowali zainteresowania amerykańskich agencji wywiadowczych tunelami. Panuje dziwna cisza. Jakby tamte dwa typy z NUMA zapadły się pod ziemię.

– Nie mamy się czym martwić. Już za późno, żeby Amerykanie powstrzymali naszą operację. Poza tym, wątpię, żeby rozszyfrowali prawdziwe przeznaczenie tuneli. Jeszcze tylko osiem dni i Prąd Południoworównikowy popłynie tamtędy do Pacyfiku.

– Mam nadzieję, że ta cisza oznacza, iż nie zorientowali się, o co chodzi, i nie zdają sobie sprawy z zagrożenia.

– To by wyjaśniało brak ich reakcji – powiedziała Epona. – Ale z drugiej strony powinni chyba szukać zemsty za zamordowanie członka ich załogi.

– Tamta egzekucja była koniecznością – powiedziała Flidais.

– Nie zgadzam się z tym – wtrącił się Pitt. – Zabójstwo z zimną krwią nigdy nie jest

koniecznością.

Wysoki kieliszek wysunął się z palców Epony i upadł cicho na puszysty dywan. Dwie głowy odwróciły się gwałtownie, długie rude włosy zatoczyły krąg jak bicze. Zaskoczenie, które odmalowało się na dwóch twarzach, ustąpiło miejsca irytacji, że ktoś z ochrony przerywa bez upoważnienia prywatną rozmowę. W następnej chwili obie kobiety doznały szoku na widok wycelowanego w nie scolta.

Pitt dostrzegł, że Epona zerknęła na małego złotego pilota leżącego na dywanie pod szklanym stolikiem. Jej stopa zaczęła sunąć w tamtym kierunku.

– To niezbyt dobry pomysł, kochanie – powiedział jakby od niechcenia.

Palce nogi zatrzymały się kilka centymetrów od przycisków. Potem stopa cofnęła się wolno. W tym momencie Flidais rozpoznała Pitta.

– To ty! – warknęła.

– Cześć, Rito czy jak tam się nazywasz – odrzekł Pitt i omiół spojrzeniem pokój. – Wygląda na to, że wysoko zaszłaś.

Piwnie oczy patrzyły na niego z wściekłością.

– Jak się tu dostałeś?

– Nie podoba ci się mój kombinezon? – Pitt obrócił się jak na pokazie mody. – Zdziwiająca, ile drzwi potrafi otworzyć.

– Flidais, kim jest ten człowiek? – zapytała Epona, przyglądając mu się jak okazowi w zoo.

– Nazywam się Dirk Pitt. Pani przyjaciółka i ja poznaliśmy się na morzu niedaleko wschodniego wybrzeża Nikaragui. O ile pamiętam, nosiła żółte bikini i miała elegancki jacht.

– Który zniszczyłeś – wycedziła Flidais.

– Nie przypominam sobie, żebyś zostawiła mi jakiś wybór.

– Czego pan chce? – zapytała Epona, patrząc na Pitta oczami w kolorze jadeitu nakrapianego złotem.

– Uważam, że Flidais – bo chyba tak ją pani nazywa? – powinna odpowiedzieć za swoje przestępstwa.

– Mogę spytać, co pan ma na myśli? – Oczy Epony przybrały nieprzenikniony wyraz.

Ma klasę, pomyślał Pitt. Nic na nią nie działa, nawet spluwa.

– Zamierzam ją zabrać w małą podróż na północ – odparł.

– Tak po prostu?

Pitt skinął głową.

– Właśnie.

– A jeśli odmówię? – prychnęła pogardliwie Flidais.

– Powiedzmy, że nie spodobają ci się konsekwencje.

– Jeśli nie zrobię, co mi każesz, zabijesz mnie? O to chodzi?

Pitt przystawił jej lufę colta do lewego policzka tuż pod okiem.

– Nie, przestrzelę ci tylko gałki oczne. Dożyjesz starości ślepa i brzydka jak ropucha.

– Jest pan prymitywny i wulgarny jak większość mężczyzn – powiedziała z niesmakiem Epona. – Ale nie spodziewałam się po panu niczego innego.

– Miło mi słyszeć, że nie rozczarowałam tak bystrej i pięknej kobiety.

– Niech pan nie zachowuje się protekcyjnie, panie Pitt.

– Nie zachowuję się protekcyjnie wobec pani, ja po prostu staram się panią tolerować, Epono. – Pitt pomyślał z zadowoleniem, że trafił ją w czuły punkt. – Może kiedyś spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach.

– Niech pan na to nie liczy, panie Pitt. Nie wróżę panu długiego i szczęśliwego życia.

– To zabawne, bo nie wygląda pani na Cygankę.

Szturchnął Flidais w plecy lufą pistoletu i wyprowadził z pokoju. Za progiem przystanął i odwrócił się do Epony.

– Byłbym zapomniał. Pomysł otwarcia tuneli, odwrócenia Prądu Południoworównikowego i zamrożenia Europy nie jest zbyt mądry. Wiem, że mógłby się nie spodobać wielu ludziom.

Wziął Flidais za ramię i szybko, ale bez pośpiechu poprowadził ją korytarzem do windy. Kiedy już wsiedli, Flidais wyprostowała się i wygładziła zwiewną szatę.

– Jesteś nie tylko prostakiem, ale również wyjątkowym idiotą.

– Aż tak? Dlaczego?

– Nie wydestaniesz się z budynku. Na każdym piętrze jest ochrona. Nie przejdziesz przez hol, zatrzymają cię natychmiast.

– Czy ktoś coś mówił o przechodzeniu przez hol?

Oczy Flidais rozwarły się szeroko ze zdumienia, kiedy winda ruszyła w górę i przystanąła na dachu. Drzwi się rozsunęły i Pitt delikatnie wypchnął ją na zewnątrz.

– Nie chcę cię popędzać, ale zaraz zaczniesz się tu robić gorąco.

Zobaczyła leżących ochroniarzy i stojącego nad nimi Giordina, który nonszalancko przesuwając lufę karabinu szturmowego od jednej głowy do drugiej. Potem przeniosła wzrok na helikopter i zdała sobie sprawę, że nie może już liczyć na to, iż ochrona zatrzyma Pitta i uwolni ją z jego rąk. Spojrzała wściekle na Pitta i nagle raz jeszcze zabłysła jej iskierka nadziei.

– Nie potrafisz pilotować tej maszyny – powiedziała triumfalnie.

– Przykro mi, że muszę cię rozczarować – odrzekł spokojnie Pitt – ale obaj umiemy tym latać.

Giordino zerknął na Flidais, przyjrzał się jej eleganckiej szacie i uśmiechnął złowrogo.

– Widzę, że znalazłeś Ritę. Wyrwałeś ją z imprezy?

– Z dwuosobowej imprezy z drogim szampanem. Nazywa się Flidais. Leci z nami. Miej ją na oku.

– Jasna sprawa – odparł lodowato Giordino.

Pitt podszedł do helikoptera i utkwiał wzrok w twarzy Flidais. Jej spojrzenie wyraźnie złagodniało, chłodna pewność siebie ustąpiła rezygnacji.

Zanim wsiadł do kokpitu i usadowił się w fotelu pilota, rzucił jeszcze okiem na wnętrze helikoptera. McDonnell-Douglas Explorer został zbudowany przez zakłady MD Helicopters w Mesie w Arizonie. Miał dwa silniki turbinowe Pratt & Whitney i tylko jeden rotor, co Pitt przyjął z zadowoleniem.

Sprawdził, czy zawór odcinający dopływ paliwa jest otwarty, i zwolnił drążki skoku okresowego i ogólnego. Poruszył pedałami, przesunął dźwignie przepustnic, zamknął przerywacze obwodów, wzbogacił mieszankę do maksimum i przekręcił włącznik główny. Uruchomił zapłon, oba silniki zaczęły pracować i po chwili osiągnęły obroty biegu jałowego. Pitt upewnił się, czy wszystkie kontrolki ostrzegawcze zgasły, po czym wychylił się przez boczne okienko.

– Wskakuj! – zawołał, przekrzykując wycie turbin, do Giordina.

Giordino nie był taki uprzejmy jak Pitt. Dosłownie oderwał Flidais od ziemi i wrzucił ją do helikoptera. Potem wspiął się do środka i zasunął duże drzwi. Stylowe i eleganckie wnętrze było wyposażone w cztery wygodne fotele, konsoli z drewna orzechowego i kompaktowy system biurowy z komputerem, faksem, telefonem i telewizją satelitarną. Między siedzeniami znajdował się barek z kryształowymi karafkami i szklaneczkami.

Lowenhardtowie siedzieli przypięci pasami i patrzyli w milczeniu na Flidais, wciąż leżącą na podłodze tam, gdzie rzucił ją Giordino. Al chwycił ją pod pachami, podniósł, pchnął na fotel i zapiął jej pas. Wręczył Clausowi Lowenhardtowi karabin szturmowy.

– Jeśli ruszy małym palcem, niech pan ją zastrzeli.

Claus z oczywistych powodów nie czuł sympatii do Flidais i spodobał mu się ten pomysł.

– Nasi ludzie będą na was czekali, kiedy wylądujemy w Managui – powiedziała pogardliwie.

– Poczyszająca wiadomość.

Giordino odwrócił się szybko, wszedł do kokpitu i opadł na fotel drugiego pilota. Pitt zerknął na drzwi windy i przekonał się, że były zamknięte. Kobieta ubrana w złotą szatę już zaalarmowała ochroniarzy, czekali piętro niżej na windę, żeby dostać się na dach. Pitt sięgnął w dół, pociągnął do góry drążek skoku ogólnego i helikopter uniósł się w powietrze. Potem pchnął naprzód drążek skoku okresowego, dziób explorera opadł i maszyna odleciała nad dach budynku. Pitt wziął kurs na pas startowy między dwiema górami wulkanicznymi i szybko osiągnął nad kompleksem maksymalną prędkość dwustu dziewięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę. Gdy tylko znalazł się nad zboczem wulkanu Madera, okrążył szczyt, zszedł dziesięć metrów nad wierzchołki drzew i skierował się nad jezioro.

Giordino włożył słuchawki z mikrofonem.

– Mam nadzieję, że nie wybierasz się do Managui. Jej Królewska Wysokość powiedziała,

że będą tam na nas czekali jej poddani.

Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie byłbym tym zaskoczony. Dlatego polecimy nad Pacyfikiem na zachód, a potem na południe do San Jose w Kostaryce.

– Wystarczy nam paliwa?

– Jeśli będziemy lecieć ze stałą prędkością, powinniśmy wylądować na miejscu z kilkoma litrami w zbiorniku.

Pitt trzymał się nisko nad wodą, żeby nie wykryły ich radary Odyssey. Potem przeleciał nad pasem lądu na zachodnim krańcu jeziora i znalazł się nad oceanem. Dziesięć mil morskich od wybrzeża skręcił na południe i stopniowo zwiększył wysokość. Giordino wprowadził kurs na San Jose i przez resztę lotu uważnie obserwował wskaźniki paliwa.

Niebo pokrywały gęste chmury, deszcz wprawdzie nie padał, ale nie było widać gwiazd. Pitt czuł się tak zmęczony jak nigdy dotąd. Przekazał stery Giordino, skulił się w fotelu, zamknął oczy i odetchnął głęboko. Mógł sobie wreszcie pozwolić na luksus drzemki, ale musiał jeszcze przedtem zadzwonić do szefa. Wyjął z torby wodoszczelnej telefon satelitarny i wybrał prywatny numer Sandeckera.

Admirał zgłosił się niemal natychmiast.

– Tak?

– Wydostaliśmy się – zawiadomił znużonym głosem Pitt.

– W samą porę.

– Musieliśmy trochę przedłużyć pobyt.

– Gdzie teraz jesteście?

– Lecimy ukradzionym helikopterem do San Jose w Kostaryce.

Sandecker milczał przez chwilę.

– Nie było potrzeby powęszyć w kompleksie w dzień?

– Nie – odrzekł Pitt, walcząc z sennością.

– Macie informacje, o które nam chodziło? – zapytał niecierpliwie Sandecker.

– Mamy wszystko – odparł Pitt. – Specter uwięził naukowców i dzięki nim zdobył technologię produkcji ogniwi paliwowych, wykorzystujących azot zamiast wodoru. Chińczycy produkują miliony elektrycznych generatorów grzewczych, które zaczną sprzedawać, kiedy otworzą tunele i nasze wschodnie wybrzeże oraz Europa będą skute mrozem.

– Chcesz mi powiedzieć, że ten cały obłądny plan wymyślono po to, żeby sprzedawać ogniwa paliwowe? – zapytał z niedowierzaniem Sandecker.

– Chodzi o setki miliardów dolarów, nie mówiąc o władzy, jaką daje monopol. Jakkolwiek na to spojrzeć, gospodarka światowa będzie w rękach Spectera, kiedy tylko zaczną padać pierwszy śnieg.

– Jesteś pewien, że Specter zdobył taką technologię, mimo iż najlepsi specjaliści na świecie jeszcze nie dokonali koniecznego przełomu? – nie ustępował Sandecker.



– To Specter ma najlepszych specjalistów – odparł Pitt. – Usłyszysz pan całą historię od dwojga z nich. Pracowali przy tym projekcie.

– Są z tobą? – zapytał z nadzieją w głosie Sandecker.

– Siedzą tuż za mną razem z kobietą, która zamordowała Renee Ford.

– Ją też masz?!

– Niech pan wyczarteruje dla nas samolot w San Jose, to jutro o tej porze posadzę ją panu na kolanach.

– Rudi zaraz się tym zajmie – obiecał zadowolony i podekscytowany Sandecker. – Czekam na was w biurze.

Nie było odpowiedzi.

– Dirk, jesteś tam?

Pitt zasnął i nawet nie wiedział, że przerwał połączenie.

Odrzutowiec Air Canada przebił się przez gęste białe chmury, których łagodne krzywizny zachodzące słońce zaczęło barwić pomarańczowo. Samolot schodził wolno do lądowania na Gwadelupie. Summer wyglądała przez okno i patrzyła, jak głębokie, granatowofioletowe morze w dole zmieniało kolor na błękitny, a później, gdy przelatywali nad rafami, woda stała się turkusowa. Dirk siedział obok siostry i studiował mapę wód otaczających Isles des Saintes, grupę wysp położonych na południe od Gwadelupy.

Summer przyglądała się z rosnącym zainteresowaniem dwóm głównym wyspom, Basse-Terre i Grande-Terre. Rozdzielone wąskim kanałem Riviere Salee, pełnym namorzynów, przypominały kształtem motyla. Gęsto zalesiona, pagórkowata i górzysta Basse-Terre tworzyła jego zachodnie skrzydło. W jej deszczowych lasach otoczonych bujnie rosnącymi paprociami znajdowały się jedne z najwyższych wodospadów na Karaibach. Spływały z najwyższego szczytu na wyspie, dymiącego wulkanu La Soufriere o wysokości prawie tysiąca pięciuset metrów. Obie wyspy łącznie miały powierzchnię Luksemburga.

Wyspa Grande-Terre, stanowiąca wschodnie skrzydło motyla, była przeciwieństwem Basse-Terre. Dominowały tu równiny i faliste wzgórza, na wielu z nich uprawiano trzcinę cukrową, główny surowiec dla trzech wytwórni doskonałego rumu.

Summer ogarnęło radosne podniecenie na myśl o ewentualnych wyprawach na romantyczne plaże z czarnego i białego piasku pod rozkołysanymi palmami. W głębi duszy wiedziała, że to zapewne pobożne życzenie, bo była pewna, że gdy ona i Dirk zakończą poszukiwania zaginionej floty Odyseusza, admirał Sandecker każe im natychmiast wracać do domu i nie będzie czasu na wypoczynek i przyjemności. Postanowiła jednak zostać tu kilka dni i nie przejmować się ani gniewem admirała, ani potencjalnymi konsekwencjami.

Samolot zatoczył szeroki krąg i znalazł się nad Pointe-a-Pitre, handlową stolicą Gwadelupy. Summer zobaczyła w dole dachy z czerwonej dachówki i blachy falistej. Ładne miasto zdobił malowniczy rynek w centrum, otoczony sklepami i ogródkami kawiarnianymi.

Na wąskich ulicach panował ożywiony ruch, ludzie wracali do domów na obiad. Tylko nieliczni korzystali z samochodów, wielu szło pieszo, najczęściej było takich, którzy jechali motocyklami i skuterami. W małych domach portowego miasta zapalały się światła. W porcie stały przycumowane statki, z morza wracały kutry rybackie.

Pilot podszedł do lądowania w porcie lotniczym Pole Caraibes. Podwozie wysunęło się z łoskotem, koła opadły i zostały zaryglowane, klapy skrzydeł opuściły się z szumem. W szybach odbił się ostatni błysk zachodzącego słońca, odrzutowiec podskoczył lekko i usiadł na pasie startowym, opony zapiszczały w proteście, rozległo się wycie wstecznego ciągu turbin. Maszyna wyhamowała i podkołowała do budynku terminalu.

Summer zawsze uwielbiała wczesne wieczory w tropikach. O tej porze zwykle nadciągała morską bryza i łagodziła dzienny upał i wilgotność. Summer kochała zapach mokrych roślin po deszczu i aromat wszechobecnych kwiatów tropikalnych.

– Jak twój francuski? – zapytał Dirk, gdy już wysiedli z samolotu i zeszli po schodkach na ziemię.

– Jest mniej więcej taki jak twój suahili – odrzekła Summer. Wyglądała promiennie w różnokolorowej kwiecistej bluzce i spódnicy. – Dlaczego pytasz?

– Tylko turyści mówią tu po angielsku, miejscowi po francusku albo dialektem francusko-kreolskim.

– Ponieważ oboje nie specjalizowaliśmy się w szkole w językach obcych, będziemy musieli rozmawiać na migi.

Dirk spojrzął na siostrę, roześmiał się i wręczył jej niewielką książkę.

– To jest słownik angielsko-francuski. Zdam się na ciebie przy tłumaczeniach.

Weszli do budynku terminalu i skierowali się za innymi pasażerami ich samolotu do stanowiska kontroli paszportowej. Urzędnik imigracyjny podniósł na nich wzrok.

– Służbowo czy turyści? – zapytał, prawdopodobnie mówił płynnie po angielsku.

Summer spojrzała wyzywająco na Dirka.

– W podróży poślubnej – odparła i błysnęła dużą diamentową obrączką na lewej ręce.

Urzędnik popatrzył nachalnie na jej biust, skinął z aprobatą głową i z uśmiechem ostemplował czyste strony paszportów.

– Miłego pobytu – powiedział znaczącym tonem.

Kiedy oddalili się na tyle, że nie mógł już ich usłyszeć, Dirk zapytał:

– Co to za numer z tą podróżą poślubną? I skąd wzięłaś tę obrączkę?

– Pomyślałam, że to dobry kamuflaż. A obrączka jest szklana. Kosztowała mnie całe osiem dolarów.

– Mam nadzieję, że nikt nie będzie się jej dokładnie przyglądał, bo inaczej uznają mnie za najbardziej skąpego męża na świecie.

Poszli po bagaż i musieli czekać dwadzieścia minut, zanim pojawiły się ich rzeczy. Włożyli je na wózek, przeszli przez kontrolę celną i znaleźli się w holu. Około trzydziestu

osób czekało na swoich krewnych lub przyjaciół. Niski Kreol w białym garniturze trzymał małą tabliczkę z napisem PITT.

– To my – powiedział do niego Dirk i przedstawił siostrę i siebie.

– Charles Moreau. – Niski mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie. Miał czarne oczy i ostry nos, był bardzo chudy i sięgał Summer do ramienia. – Wasz samolot spóźnił się tylko dziesięć minut. To chyba rekord. – Skłonił się i pocałował Summer w rękę w prawdziwie europejskim stylu. – Admirał Sandecker mówił, że jesteście ładną parą.

– Ale chyba dodał, że jesteście rodzeństwem?

– Owszem. A w czym problem?

Dirk zerknął na Summer.

– Po prostu chcemy, żeby to było jasne – powiedziała z uśmiechem.

Summer i Moreau wyszli na zewnątrz budynku terminalu, Dirk szedł za nimi, pchając wózek bagażowy. Nagle z boku wpadła na niego atrakcyjna brunetka w tradycyjnym stroju kreolskim – jaskrawej pomarańczowo-żółtej spódnicy z madrasu, takim samym nakryciu głowy, białej koronkowej bluzce i szalu na ramionach. Dirk dobrze wiedział, co się może zdarzyć w podróży, i natychmiast dotknął kieszeni, w której miał schowany portfel. Był na swoim miejscu. Kobieta stała obok, rozmasowując stłuczone ramię.

– Przepraszam. To moja wina – powiedziała.

– Nic się pani nie stało? – zapytał troskliwie Dirk.

– Teraz wiem, co to znaczy wpaść na drzewo – odparła, uśmiechając się mile i przyjrzała się mu ciekawie. – Simone Raizet. Może jeszcze się spotkamy.

– Może – odrzekł Dirk, ale się nie przedstawił.

Brunetka skinęła głową Summer.

– Ma pani przystojnego i czarującego męża.

– Czasami potrafi taki być – odpowiedziała Summer z nutą sarkazmu w głosie.

Kobieta odwróciła się i weszła do budynku terminalu.

– Co ty na to? – zapytał rozbawiony Dirk.

– Bezczelna – mruknęła Summer.

– Bardzo dziwne – wtrącił się Moreau. – Chce sprawiać wrażenie tutejszej. Urodziłem się tutaj, a nigdy jej dotąd nie widziałem.

Summer sprawiała wrażenie lekko zaniepokojonej.

– Moim zdaniem celowo zderzyła się z tobą – powiedziała, patrząc na brata.

– Masz rację – przytaknął Dirk. – To nie wyglądało na przypadek. O coś jej chodziło, ale nie wiem, o co.

Moreau zaprowadził ich na parking po drugiej stronie ulicy i zatrzymał się przy bmw 525. Odblokował zamek centralny pilotem przy kluczyku i otworzył bagażnik. Dirk załadował rzeczy i wsiedli do samochodu. Moreau wyjechał na drogę w kierunku miasta.

– Zarezerwowałem dla was mały dwupokojowy apartament w hotelu Canella Beach. To

jeden z naszych najpopularniejszych hoteli i całkiem niedrogi. W sam raz dla młodej pary. Admirał Sandecker powiedział, że poszukując skarbu, nie możecie się rzucać w oczy.

– Historycznego skarbu – poprawiła Kreola Summer.

– Admirał ma rację – przyznał Dirk. – Gdyby ktoś się dowiedział o naszej misji, zrobiłby się tu tłok.

– I wyrzucono by was z wyspy – dodał Moreau. – Tutejsze prawo bacznie chroni nasze podwodne dziedzictwo.

– Jeśli nam się uda – odrzekła Summer – odziedziczycie znalezisko będące epokowym odkryciem.

– Tym bardziej musicie trzymać waszą wyprawę w tajemnicy.

– Jest pan dawnym przyjacielem admirała?

– Poznałem Jamesa wiele lat temu, kiedy byłem konsulem Gwadelupy w Nowym Jorku. Odkąd przeszedłem na emeryturę, wynajmuje mnie czasami do załatwiania spraw NUMA w tej części Karaibów.

Moreau pojechał między zielonymi wzgórzami do portu, potem południowo-wschodnim wybrzeżem wyspy wokół Pointe-a-Pitre i dotarł do granic miasta Gosier. W końcu skręcił w boczną drogę, która prowadziła z powrotem do głównej arterii.

Summer wyglądała przez szybę i patrzyła z podziwem na domy w pięknie utrzymanych ogrodach.

– Urządza nam pan małą wycieczkę krajoznawczą? – zapytała.

– Od lotniska jedzie za nami ciągle jakaś taksówka – odparł Moreau. – Chcę zobaczyć, czy nas śledzi.

Dirk odwrócił się na siedzeniu i spojrzał przez tylną szybę.

– Zielony ford?

– Tak.

Moreau zostawił za sobą dzielnicę mieszkalną i wyprzedził długi sznur autobusów, turystów na skuterach i taksówek. Kierowca zielonego forda starał się utrzymać za nim, ale utknął między powoli jadącymi pojazdami. Moreau z wprawą ominął dwa autobusy blokujące obie strony drogi i skręcił ostro w prawo w wąską ulicę między rzędami domów w ciekawym francuskim stylu kolonialnym. Odbił w lewo, na następnym skrzyżowaniu zrobił to samo i wrócił na główną drogę. Taksówka wjechała na chodnik, ominęła autobusy, nadrobiła stratę i zbliżyła się do tylnego zderzaka bmw.

– Ktoś się nami interesuje – powiedział Dirk.

– Spróbuję go zgubić – odrzekł Moreau.

Zaczekał na lukę między pojazdami jadącymi poprzeczną ulicą i zamiast skręcić, niespodziewanie wystrzelił prosto. Taksówkarz musiał przepuścić potok skuterów, samochodów i autobusów i stracił trzydzieści sekund, zanim przebił się na drugą stronę i znów podjął pościg.

Moreau ściał zakręt i na moment stracił forda z oczu. Wpadł na podjazd jakiegoś domu i zaparkował za wielkim oleandrem. Kilka sekund później zielona taksówka przemknęła obok z dużą szybkością i wkrótce zniknęła w tumanie kurzu. Oczekali kilka minut, potem Moreau cofnął się na jezdnię i włączył do ruchu.

– Zgubiliśmy go, ale obawiam się, że tylko chwilowo.

– Kiedy się zorientuje, że nas nie ma – powiedział Dirk – może zrobić taką samą sztuczkę i zaczekać na nas.

– Wątpię – oznajmiła z przekonaniem Summer. – Założę się, że pojedzie dalej.

– Przegrałaś – roześmiał się Dirk i wskazał zielonego forda zaparkowanego przed nimi na poboczu. Kierowca rozmawiał z ozywieniem przez telefon komórkowy. – Niech pan się przy nim zatrzyma, Charles.

Moreau podjechał wolno do tylnego zderzaka taksówki, potem nagle skręcił i stanął tuż obok niej. Dirk wychylił się przez okno, zastukał w drzwi forda i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Szuka pan może nas?

Zaskoczony kierowca rzucił komórkę na siedzenie obok i wcisnął gaz. Samochód ruszył ostro wzdłuż rzędu rosnących przy drodze palm w kierunku miasta Sainte-Anne, opony zryły żwirowe pobocze, potem zapiszczały na asfalcie. Moreau zjechał na bok, zaparkował i odprowadził wzrokiem taksówkę znikającą wśród innych pojazdów.

– Najpierw tamta kobieta na lotnisku, a teraz to – powiedział cicho. – Kogo może interesować para nurków z NUMA?

– Słowo „skarb” to potężny afrodyzjak, a wszelkie informacje i plotki, w których się pojawia, szerzą się jak epidemia – odrzekła Summer. – Ktoś się dowiedział o naszym przylocie.

Pojechali dalej. Dirk wpatrywał się w zamyśleniu w daleki punkt na drodze, gdzie zniknęła taksówka.

– Jutro, kiedy popłyniemy na wyspę Branwen, przekonamy się, kto to jest.

– Zna pan wyspę Branwen? – zapytała Summer Moreau.

– Wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że lepiej się tam nie zbliżać. Kiedyś nosiła francuską nazwę Isle de Rouge – „czerwona wyspa” – z racji czerwonej gleby wulkanicznej. Nowy właściciel nazwał ją Branwen, podobno od imienia celtyckiej bogini znanej jako Wenus Północnych Mórz, bóstwa urody i miłości. Ale bardziej zabobonni tubylcy uważają Branwen za wyspę śmierci.

Dirk z przyjemnością wdychał przez otwarte okno zapach morskiej bryzy.

– Powodem są zdradliwe rafy czy wysokie fale przyboju?

Moreau zahamował, żeby przepuścić dwoje dzieci w kolorowych strojach, które chciały przejść przez jezdnię.

– Właściciel wyspy nie lubi intruzów.

– W bazie danych naszego centrum komputerowego – powiedziała Summer – mamy informację, że to kobieta, Epona Eliades.

– Bardzo tajemnicza. O ile wiem, nigdy nie bywa na Basse-Terre ani na Grande-Terre.

Summer rozczesała włosy, które zaczynały się lepić od wilgoci.

– Pani Eliades musi zatrudniać jakiś personel, jeśli mieszka w eleganckim domu na wyspie.

– Zdjęcia satelitarne pokazują lotnisko, kilka budynków, dziwny krąg wysokich kamiennych bloków i luksusową rezydencję – odrzekł Moreau. – Podobno rybacy czy turyści, którzy próbowali wylądować na wyspie, zginęli. Morze wyrzuciło ciała na brzeg wiele kilometrów dalej, na Basse-Terre.

– Co wykazało śledztwo?

Zapadał zmierzch, Moreau włączył światła i powoli pokręcił głową.

– Nie znaleziono dowodów na to, że byli na wyspie i zostali zamordowani.

– Czy miejscowi specjaliści od medycyny sądowej ustalili przyczyny zgonów?

Moreau roześmiał się krótko.

– Tutaj zwłoki zwykle ogląda internista albo nawet dentysta, zależnie od tego, kto jest w danym momencie uchwytany. Ciała znajdowały się w stanie rozkładu, więc można było tylko spekulować. Napisano, że utonęli. Ale chodziły plotki, że wycięto im serca.

– To makabryczne – szepnęła Summer.

– Nie wiadomo, jak było naprawdę – powiedział Dirk.

– Tym bardziej trzeba się trzymać w bezpiecznej odległości od brzegu.

– To niemożliwe, jeśli mamy zbadać dno w porcie.

– Po prostu uważajcie na siebie – doradził Moreau. – Dam wam numer mojej komórki, w razie kłopotów, dzwońcie natychmiast. W ciągu dziesięciu minut wyślę do was policyjną łódź patrolową.

Po następnych trzech kilometrach Moreau skręcił na podjazd do hotelu i zatrzymał się przed wejściem. Podbiegł portier i otworzył drzwi samochodu od strony Summer. Dirk wysiadł i uniósł pokrywę bagażnika, żeby portier mógł wziąć ich walizki i torby ze sprzętem do nurkowania.

– Macie stąd niedaleko do różnych restauracji, sklepów i klubów – powiedział Moreau. – Przyjadę po was jutro o dziewiątej rano i zabiorę was do portu. Wyczarterowałem łódź do waszych poszukiwań. Na pokładzie jest już sonda do badania podpowierzchniowego profilu dna morskiego, podwodny wykrywacz metali i próbnik strumieniowy, które komandor Rudi Gunn przysłał samolotem z Florydy. Urządzenia są sprawdzone i gotowe do pracy. Zamontowałem też mały kompresor do pogłębiarki i próbnika strumieniowego.

– Zadbał pan o wszystko – powiedział Dirk tonem pochwały.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc i uprzejmość – dodała Summer, kiedy Moreau szarmancko pocałował ją w rękę.

Dirk uściskał mu dłoń.

– I dziękujemy za interesującą przejażdżkę z lotniska.

– Niezupełnie tak to zaplanowałem – uśmiechnął się lekko Moreau, potem spoważniał. – Bądźcie ostrożni. Dzieje się tu coś, czego jeszcze nie rozumiemy. Nie chcę, żebyście skończyli tak jak inni.

Rodzeństwo stało w wejściu do hotelu i patrzyło, jak Moreau odjeżdża.

– Co o tym wszystkim myślisz? – zapytała Summer.

– Nie mam bladego pojęcia, o co tu chodzi – odrzekł wolno Dirk. – Ale dałbym wszystko, żeby tata i Al byli z nami.



Tym razem kiedy Pitt i Giordino wysiedli z odrzutowca, na waszyngtońskim lotnisku oczekiwał ich komitet powitalny zupełnie inny niż poprzednio. Nie było pięknej parlamentarzystki i eleganckiego zabytkowego samochodu. Samolot otaczały umundurowane siły bezpieczeństwa z pobliskiej bazy wojskowej. Na płycie lotniska stały trzy samochody: czarny lincoln town car, turkusowy navigator NUMA i biała nieoznakowana furgonetka.

Pitt i Giordino zeszli po schodkach na ziemię. Przy navigatorze czekał Rudi Gunn.

– Zastanawiam się, czy zobaczę jeszcze kiedyś prysznic i stek – jęknął Giordino, podejrzewał, że Sandecker przysłał Gunna, żeby zabrał ich do centrali NUMA.

– Sami jesteśmy sobie winni, że wpakowaliśmy się w to szambo – westchnął Pitt.

Gunn uśmiechnął się.

– Oszczędźcie mi tych żalosnych narzekań, panowie. Na pewno ucieszy was wiadomość, że będziecie potrzebni admirałowi dopiero jutro po południu. O drugiej jest spotkanie w Białym Domu. Przesłuchają was doradcy prezydenta.

Z samolotu wysiedli Lowenhardtowie i podeszli do Pitta i Giordina. Hilda wspięła się na palce i ucałowała Pitta w oba policzki, Claus mocno potrząsnął dłonią Giordina.

– Nie wiemy, jak wam dziękować – powiedziała Hilda zdławionym ze wzruszenia głosem.

– Nigdy nie zdołamy się wam odwdziżyć – dodał Claus, uszczęśliwiony widokiem budynków Waszyngtonu.

Pitt otoczył go ramieniem.

– Będziecie pod dobrą opieką. Otrzymałem gwarancję, że waszym dzieciom zapewnione zostanie pełne bezpieczeństwo i przylecą tutaj tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Obiecuję, że będziemy współpracowali z waszymi naukowcami – odrzekł Claus. – Podzielimy się z nimi całą naszą wiedzą o azotowych ogniwach paliwowych. – Odwrócił się do żony. – Prawda, Hildo?

– Oczywiście – przytaknęła z uśmiechem. – Nasz wynalazek będzie darem dla całego świata.

Pozegnali się i agent FBI zabrał Lowenhardtów do lincolna, żeby zawieźć ich do bezpiecznego lokum w Waszyngtonie.

Pitt, Giordino i Gunn przyglądali się, jak dwaj inni muskularni agenci FBI wyprowadzają z samolotu skutą kajdankami Flidais i wpychają ją do furgonetki. Zerknęła na Pitta z nienawiścią. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i pomachał jej, zanim drzwi się zamknęły.

– Przyślę ci do celi kruche ciasteczka! – zawołał.

Wsiedli do navigatora NUMA. Prowadził Gunn. Pojechał przez płytę lotniska do strzeżonej bramy, pokazał przepustkę i dostał zgodę na wyjazd. Skręcił w lewo w zadrzewioną ulicę i skierował się do najbliższego mostu nad Potomakiem.

Giordino skulił się na tylnym siedzeniu i, nie zwracając uwagi na malownicze, zielone, pełne liści drzewa, przymknął oczy.

– Może wreszcie będziemy mieli trochę spokoju – powiedział tęsknym głosem. – Mogłem być w domu cztery dni temu i spędzać romantyczne wieczory z piękną kobietą. Ale nie, ty się uparłeś, żebyśmy zostali i spenetrowali sanktuarium Spectera.

– Nie przypominam sobie jakoś, żebyś cię musiał błagać o to – odparł Pitt.

– Zaskoczyłeś mnie w chwili szaleństwa.

– Nie oszukuj się. Jeśli nasze informacje zostaną szybko wykorzystane, będziemy tymi, którzy uratowali Stany i Europę przed bardzo paskudną pogodą.

– Kto przeszkodzi Odyssey w otwarciu tuneli? – zapytał Giordino z wyraźną nutą sceptycyzmu w głosie. – Rząd nikaraguański, nasze siły specjalne? ONZ wystosuje apel? Europejscy dyplomaci zagadają się na śmierć, a przez ten czas ich kraje zamienią się w kostki lodu. Nikt nie będzie miał jaj, żeby uziemić Odyssey, zanim będzie za późno.

Pitt wiedział, że Giordino nie był wcale daleki od prawdy.

– Pewnie masz rację, ale nie mamy już na to wpływu. Ostrzeżyliśmy, kogo trzeba. Nie możemy zrobić nic więcej.

Gunn pojechał przez most w kierunku Alexandrii, gdzie mieszkał Giordino.

– Na pewno uszczęśliwicie admirała – powiedział. – Będzie miał swoje pięć minut w Białym Domu. Z oczywistych powodów nie ujawniono jeszcze tego, co odkryliście, ale gdy tylko doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa opracują plan powstrzymania Spectera i szaleńczej operacji Odyssey, rozpęta się piekło. Media dowiedzą się o wszystkim i oszaleją, a NUMA na tym skorzysta.

– Cieszę się – mruknął obojętnie Giordino. – Odwiedzisz najpierw mnie?

– Mieszkasz bliżej – odrzekł Gunn. – Potem pojedę na Mount Vernon Highway i podrzucę Dirka do jego hangaru.

Kilka minut później mocno zmęczony Giordino wyciągnął swój bagaż z tylnej części navigatora i wdrapał się po schodach do dawnego budynku magazynowego z czasów wojny

domowej, przerobionego potem na luksusowy dom mieszkalny. Odwrócił się, pomachał dość niemrawo i zniknął w drzwiach.

Po krótkiej jeździe wzdłuż rzeki Potomac Gunn skręcił w bramę Narodowego Portu Lotniczego imienia Ronalda Reagana i dojechał drogą gruntową do starego hangaru Pitta stojącego kilkaset metrów od krańca pasów startowych. Budynek pochodził z początku lat trzydziestych XX wieku i należał niegdyś do nieistniejących już od dawna linii lotniczych. Pitt kupił go, przebudował i ulokował tu kolekcję swoich zabytkowych samochodów i samolotów. Dzięki jego staraniom hangar wpisano do rejestru obiektów historycznych.

– Zabierzesz mnie jutro na to spotkanie? – zapytał Pitt, wysiadając z navigatora.

Gunn z uśmiechem pokręcił głową.

– Nie jestem zaproszony. Secret Service przyśle po ciebie samochód.

Navigator odjechał, zostawiając za tylnym zderzakiem obłoczek kurzu.

Pitt odwrócił się i wprowadził kilka kodów do swojego egzotycznego systemu zabezpieczeń. Otworzył drzwi, z których odłaziła popękana farba, i wszedł do środka.

Widok, jaki ujrzał za progiem, zawsze go ekscytował. Wnętrze wyglądało jak elegancki salon samochodowy sprzedający luksusowe auta. Podłoga, ściany i półkolisty dach były pomalowane na białą, co uwydatniało olśniewającą gamę żywych kolorów trzydziestu zabytkowych pojazdów. Obok marmona V-16 stał duesenberg rocznik 1929, cord L-29 z tego samego roku, stutz model 1932 i pierce-arrow rocznik 1936 z fabryczną przyczepką. W oddzielnym rzędzie parkowały: hot rod ford model 1936, sportowy meteor Dirka i jaskrawoczerwony allard J2X z roku 1953. W głębi hangaru stały dwa samoloty – ford trimotor z początku lat trzydziestych XX wieku i odrzutowy messerschmitt 262 z czasów II wojny światowej. Pod jedną ze ścian stał długi wagon pullmanowski z napisem MANHATTAN LIMITED biegnącym wzdłuż boku. Tylko dwa eksponaty, które wydawały się nie pasować do reszty kolekcji: górna kabina żagłówki, zamontowana na gumowej tratwie ratunkowej, i wanna z doczepnym silnikiem.

Zmęczony Pitt wspiał się po spiralnych żelaznych schodach do swojego mieszkania w północnym krańcu hangaru, dźwigając na ramionach torbę ze sprzętem i walizkę. Salon apartamentu przypominał antykwariat marynistyczny. Meble pochodziły ze starych żagłowców, na ścianach wisiały obrazy o tematyce marynistycznej, półki wypełniały modele statków. Podłoga z drewna tekowego była kiedyś pokładem parowca, który rozbił się u wybrzeży wyspy Kauai na Hawajach.

Pitt rozpakował się, zdjął ubranie i wrzucił wszystkie brudne rzeczy do kosza obok pralki. Z radością i ulgą wszedł do tekowej kabiny prysznicowej, puścił gorącą wodę, namydlił się i energicznie tarł skórę, dopóki nie zaczęła szczypać. Kiedy skończył ablucje, wytarł się ręcznikiem, poszedł do sypialni, rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął.

Było już ciemno, kiedy do hangaru weszła Loren Smith, otworzywszy sobie drzwi

własnym kluczem. Rudi Gunn zawiadomił ją o powrocie Pitta. Wspięła się na górę i zaczęła go szukać. Znalazła go w sypialni, leżał nagi na łóżku i smacznie spał. Uśmiechnęła się zmysłowo, schyliła się i przykryła go narzutą.

Pitt obudził się po sześciu godzinach i zobaczył przez świetliki gwiazdy. Poczul też zapach steku z grilla. Zorientował się, że jest przykryty narzutą i uśmiechnął się pod nosem, wiedział już, że przyszła Loren. Wstał, włożył jedwabną koszulę w kwiaty, szorty khaki i sandały.

Loren wyglądała cudownie w obcisłych białych szortach i jedwabnej bluzce w paski. Miała pięknie opalone nogi i ramiona, co zawdzięczała godzinom spędzonym na słońcu na tarasie swojego mieszkania. Westchnęła lekko, kiedy Pitt objął ją z tyłu w tali i pocałował w kark.

– Nie teraz – powiedziała z udawaną irytacją. – Jestem zajęta.

– Skąd wiedziałas, że od pięciu dni marzę o steku?

– Nie muszę być wróżką, aby wiedzieć, że tylko to jadasz. A teraz siadaj i rób puree z ziemniaków.

Pitt posłusznie usadowił się przy stole kuchennym wyciętym z kłapy luku ładunkowego starego statku. Rozgniótł ziemniaki w misce i nałożył łyżką na dwa talerze, Loren tymczasem przekroiła wielki stek na pół. Postawiła na stole surówkę i usiadła, a Pitt otworzył butelkę schłodzonego Martin Ray Chardonnay.

– Słyszałam, że dostaliście z Alem w kość – zagała i zaczęła jeść.

– To było kilka zadrapań, ale nic takiego, co wymagałoby pomocy lekarskiej.

Spojrzała mu prosto w oczy. Miała łagodną minę, ale zdecydowany ton, gdy powiedziała:

– Robisz się za stary na takie przygody. Czas, żebyś przyhamował.

– Mam odejść na emeryturę i pięć dni w tygodniu grać w klubie w golfa? To nie dla mnie.

– Nie musisz odchodzić na emeryturę. Mógłbyś kierować ekspedycjami naukowymi, które nawet w połowie nie byłyby tak niebezpieczne, jak twoje dotychczasowe wyprawy.

Napełnił jej kieliszek, oparł się wygodnie i patrzył, jak sączy powoli wino. Przyglądał się jej pięknym rysom i włosom, delikatnym uszom, wdzięcznemu noskowi, mocno zarysowanemu podbródkowi i wydatnym kościom policzkowym. Mogłaby mieć każdego mężczyznę w Waszyngtonie, członka gabinetu prezydenckiego, senatora, kongresmana, bogatego lobbystę lub prawnika, zagranicznego biznesmena czy dygnitarza, ale od dwudziestu lat, mimo kilku krótkich przygód, kochała tylko Pitta. Odchodziła od niego i wracała. Była teraz starsza, wokół jej oczu zaczęły się rysować drobniutkie zmarszczki. Dzięki ćwiczeniom, miała nadal jędrne ciało, choć krągłości figury rysowały się mniej wyraźnie. Ale nawet wtedy, gdy znajdowała się w otoczeniu pięknych młodych kobiet, wciąż przyciągała męski wzrok. Nie musiała się obawiać konkurencji.

– Owszem, mógłbym spędzać więcej czasu w domu – przyznał wolno Pitt, nie odrywając oczu od jej twarzy – ale musiałbym mieć motywację.

– Niedługo kończy się moja kadencja w Kongresie – odrzekła, jakby nie usłyszała jego słów. – I wiesz, że oficjalnie zrezygnowałam z ubiegania się o następną.

– Zastanawiałaś się już, co będziesz robiła?

Pokręciła wolno głową.

– Mam kilka propozycji od różnych organizacji, co najmniej czterech lobbystów i trzech firm prawniczych, ale chyba odejdę na emeryturę. Będę podróżowała, napiszę tę książkę o kulisach działania Kongresu, którą zawsze chciałam napisać, i poświęcę więcej czasu na malowanie.

– Minęłaś się z powołaniem – powiedział Pitt i dotknął przez stół jej ręki. – Twoje pejzaże są znakomite.

– A ty? – zapytała, choć domyślała się odpowiedzi. – Nadal będziesz znikał z Alem, ocierał się o śmierć i próbował ratować oceany świata?

– Nie mogę mówić za niego, ale dla mnie wojny się skończyły. Zamierzam zapuścić siwą brodę i bawić się moimi starymi samochodami, dopóki nie wtoczą mnie na wózku do domu starców.

Roześmiała się.

– Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Miałem nadzieję, że pójdziesz tam ze mną.

Zesztywniała i rozwarła szeroko oczy.

– Co ty mówisz?

Ścisnął mocno jej dłoń.

– Mówię, Loren, że chyba nadszedł czas, żebym poprosił cię o rękę.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Żartujesz... prawda? – zapytała zduszonym głosem.

– Jestem śmiertelnie poważny – zapewnił, dostrzegłszy łzy w jej oczach. – Kocham cię od tak dawna, że wydaje się to wiecznością, i chcę, żebyś została moją żoną.

Siedziała i trzęsła się, ona, żelazna dama Izby Reprezentantów, kobieta, która nigdy nie ulegała presji politycznej, silna jak każdy mężczyzna w Waszyngtonie, może nawet silniejsza. Cofnęła dłoń, zasłoniła rękami twarz i zaczęła spazmatycznie szlochać.

Pitt wstał, okrążył stół i otoczył ją ramieniem.

– Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować.

Podniosła na niego załzawione oczy.

– Ty głuptasie, nie wiesz, jak długo na to czekałam?

– Dotychczas zawsze mówiłaś, że małżeństwo nie wchodzi w grę, bo każde z nas wzięło już ślub ze swoją pracą – powiedział Pitt zdumiony.

– Zawsze wierzysz w to, co mówią ci kobiety?

Podniósł ją z krzesła i delikatnie pocałował w usta.

– Wybacz, że się spóźniłem i że byłem głupi. Ale jeszcze nie dostałem odpowiedzi.

Wyjdiesz za mnie?

Loren zarzuciła mu ręce na szyję i zasypała jego twarz pocałunkami.

– Tak, ty głuptasie. Tak, tak, tak! – powtarzała w ekstazie.

Kiedy obudził się rano, Loren już nie było. Pojechała do siebie wziąć prysznic i przebrać się przed kolejnym dniem zmagania w Kongresie. Na wspomnienie jej mocnych radosnych uścisków i pieszczot, którymi go obdarzyła w nocy, ogarnęła go fala gorącego uczucia. Choć miał spotkanie w Białym Domu, nie był w odpowiednim nastroju, by ubrać się w garnitur i odgrywać biurokrata. Poza tym zdecydował się odejść na emeryturę, więc uważał, że nie musi już robić dobrego wrażenia na doradcach prezydenta. Włożył luźne spodnie, golf i sportową marynarkę.

Przed hangarem czekał na niego czarny lincoln z agentem Secret Service za kierownicą. Mężczyzna miał szerokie bary, ale już wyraźnie zarysowany brzuch, nie odezwał się słowem i pozwolił, żeby Pitt sam otworzył sobie tylne drzwi. Dojechali w milczeniu do domu Giordina.

Al wsiadł z tyłu obok Pitta. Szybko stało się jasne, że kierowca nie wiezie ich normalną drogą do Białego Domu. Giordino pochylił się w jego stronę.

– Przepraszam, kolego, ale chyba jedziesz okrężną drogą? – zagadnął.

Agent patrzył prosto przed siebie, nie drgnął nawet i nic nie odpowiedział.

Giordino odwrócił się do Pitta.

– Gadatliwy facet – zauważył powściągliwie.

– Zapytaj go, dokąd nas wiezie.

– Słyszałeś? – Giordino nachylił się do ucha kierowcy. – Jeśli nie jedziemy do Białego Domu, to dokąd?

I tym razem nie doczekali się odpowiedzi. Agent zignorował Giordina i prowadził samochód tak, jakby był robotem.

– Jak myślisz? – mruknął Giordino do Pitta. – Może na następnym czerwonym świetle powinniśmy mu wetknąć do ucha lodowy kolec i porwać tę limuzynę?

– Nawet nie wiemy, czy on naprawdę jest z Secret Service – powiedział Pitt.

Twarz kierowcy w lusterku wstecznym była nadal zupełnie pozbawiona wyrazu, ale

pokazał przez ramię swój identyfikator. Giordino przyjrzał się legitymacji.

– Prawdziwa. Z takim imieniem i nazwiskiem jak Otis McGonigle nie może być fałszywa.

– Dobrze, że nie jedziemy do Białego Domu. – Pitt ziewnął, jakby był znudzony. – Tam są same ponure sztywniaki. Co gorsza, myślą, że bez nich ten kraj zszedłby na psy.

– Zwłaszcza ci wazeliniarze, te kiepasy, co pilnują prezydenta – dodał Giordino.

– Mówisz o tych frajerach, co stoją dookoła z małymi słuchawkami w uszach i noszą okulary przeciwsłoneczne, które wyszły z mody trzydzieści lat temu?

– Właśnie o nich.

Żadnej reakcji, nawet grymasu irytacji na twarzy.

Pitt i Giordino zrezygnowali z dalszych prób sprowokowania agenta i nie odzywali się już do końca podróży. McGonigle zatrzymał się wreszcie przed ciężką żelazną bramą. Umundurowany policjant z oddziału ochrony Białego Domu rozpoznał kierowcę, wszedł do wartowni i wcisnął przycisk. Brama otworzyła się i samochód zjechał po pochylni w dół. Pitt wiedział o tunelach biegnących głęboko pod Waszyngtonem, które prowadziły do większości budynków rządowych stojących wokół Kapitolu. Prezydent Clinton często z nich korzystał podczas swoich nocnych wypadów do miasta.

Pitt ocenił, że przejechali jeszcze około półtora kilometra, zanim McGonigle zatrzymał samochód obok windy, wysiadł i otworzył tylne drzwi.

– Okay, panowie, jesteśmy na miejscu.

– On mówi! – powiedział Giordino i rozejrzał się po tunelu. – Ale jak? Nie widzę tu jego brzuchomówcy.

McGonigle nie dał się w to wciągnąć.

– I tak nie zaangażują was nigdy do Comedy Club – mruknął i odsunął się na bok. – Czekam z zapartym tchem na wasz powrót.

Giordino poklepał go po plecach i wszedł do windy.

– Nie wiem dlaczego, ale cię lubię – powiedział. Nie zdążył zobaczyć reakcji agenta, bo drzwi natychmiast się zasunęły.

Winda nie ruszyła do góry, lecz w dół. Zjechała na głębokość pół kilometra, zwolniła, stanęła i otworzyła się bezszelestnie. Uzbrojony wartownik w mundurze marines pilnował jakichś stalowych drzwi. Sprawdził dokładnie dokumenty Pitta i Giordina i porównał ich twarze ze zdjęciami. Potem wprowadził kod otwierania drzwi, odsunął się i bez słowa pokazał im, żeby weszli.

Znaleźli się w długiej sali konferencyjnej. Ilość sprzętu telekomunikacyjnego znajdującego się tutaj wystarczyłaby do prowadzenia stąd wojny. Trzy ściany zajmowały ekrany telewizyjne i monitory wyświetlające mapy i zdjęcia. Sandecker podniósł się z krzesła, żeby ich przywitać.

– Tym razem naprawdę otworzyliście puszkę Pandory – oznajmił.



– Mam nadzieję, że wyniki naszego śledztwa okazały się użyteczne – odrzekł skromnie Pitt.

– Użyteczne to za słabo powiedziane. – Podeszedł do nich wysoki siwy mężczyzna w czarnym prążkowanym garniturze i czerwonym krawacie i Sandecker się odwrócił. – Chyba znasz doradcę prezydenta do spraw bezpieczeństwa, Maksa Seymoura?

Pitt uścisnął wyciągniętą dłoń.

– Poznaliśmy się kiedyś na sobotnim grillu u mojego ojca.

Seymour uśmiechnął się przyjaźnie.

– Znamy się z senatorem Pittem od wielu lat. Jak się miewa pańska wspiana matka?

– Poza artretyzmem, nic jej nie dolega – odparł Pitt.

Sandecker szybko przedstawił trzech innych mężczyzn stojących przy końcu długiego stołu: Jacka Martina – doradcę naukowego prezydenta, Jima Heckta – wicedyrektora CIA, oraz generała Arnolda Stacka, którego faktyczne stanowisko w Pentagonie nigdy nie zostało w pełni ujawnione. Usiedli i Sandecker poprosił Pitta o relację z wyprawy do tuneli i kompleksu Odyssey na Isle de Ometepe.

Sekretarka poinformowała, że jest gotowa do nagrywania i włączyła magnetofon. Pitt zaczął opowiadać. Co kilka minut zabierał głos Giordino, uzupełniali wzajemnie swoje relacje. Opisywali dokładnie wszystko, co widzieli, i przedstawiali własne wnioski. Nikt im nie przerywał pytaniami. Zakończyli sprawozdanie opisem ucieczki z wyspy w towarzystwie Lowenhardtów i kobiety z Odyssey, która zamordowała Renee Ford.

Ludzie prezydenta przetrwali przez chwilę wiadomość o nadciągającej katastrofie. Potem Max Seymour z lodowatym uśmiechem na twarzy spojrzął na Jima Heckta z CIA.

– Wygląda na to, Jim, że twoja agencja pokpiła sprawę.

Heckt z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– Nie dostaliśmy z Białego Domu polecenia, żeby podjąć czynności wywiadowcze. Nie widzieliśmy powodu, by wysłać w teren pracowników operacyjnych, bo na naszych zdjęciach satelitarnych nie znaleźliśmy żadnej dużej budowy, która mogłaby zagrozić bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych.

– A kompleks na Ometepe?

– Sprawdziliśmy ten obiekt – odrzekł Heckt, wyraźnie rozdrażniony pytaniami Seymoura.

– Ustaliliśmy, że to ośrodek naukowy zajmujący się alternatywnymi źródłami energii. Nasi analitycy nie znaleźli dowodów na to, że opracowuje się tam broń masowej zagłady. Więc daliśmy spokój Odyssey i zajęliśmy się naszym głównym zadaniem, czyli obserwacją i analizowaniem aktywności Chińskiej Republiki Ludowej w Ameryce Środkowej, zwłaszcza w strefie Kanału Panamskiego.

– To niepokojące – odezwał się Jack Martin – że nasi naukowcy nie zdołali dotąd skonstruować wydajnego ogniwa paliwowego. Odyssey wyprzedziła nas o całe lata, dokonała zadziwiającego przełomu technicznego, a Chińczycy już produkują miliony sztuk tych

urządzeń.

– Nie możemy być zawsze pierwsi we wszystkim – odparł generał Stack i odwrócił się do Pitta i Giordina. – Więc Odyssey zwerbowała część najlepszych światowych specjalistów od ogniwi paliwowych, potem zabrała ich do swojego ośrodka naukowego w Nikaragui i zmusiła do opracowania praktycznego i wydajnego urządzenia?

– Zgadza się – przytaknął Pitt.

– Mogę wymienić co najmniej czterech naszych naukowców, którzy po cichu zniknęli ze swoich pracowni na uniwersytetach – powiedział Martin.

Heckt spojrzał na Pitta.

– Jest pan pewien, że Lowenhardtowie będą z nami współpracowali i udostępnią nam dane techniczne azotowego ogniwa paliwowego?

– Zgodzili się na to, kiedy im obiecałem, że ich dzieci będą pod ochroną i przylecą bezpiecznie do Stanów.

– Dobrze posunięcie – pochwalił Sandecker z błyskiem z oku – nawet jeśli przekroczyłeś swoje kompetencje.

– Wydawało mi się słuszne – odrzekł Pitt z chytrym uśmiechem.

Jack Martin rysował coś machinalnie na bloczku do notatek.

– Kiedy tylko dojdą do siebie i odpoczną, zaczniemy z nimi rozmawiać. – Spojrzał na Pitta. – Co panu mówili o swoim wynalazku?

– Tylko to, że uznali, iż ze względów praktycznych wodór nie nadaje się zbyt na paliwo i zaczęli eksperymentować z azotem, bo stanowi ponad siedemdziesiąt osiem procent atmosfery ziemskiej. Pozyskiwanie go z powietrza razem z tlenem umożliwiło im stworzenie pomysłowego ogniwa paliwowego zasilanego gazami naturalnymi. Jedynym odpadem jest czysta woda. Według Clausa, skonstruowali genialnie proste urządzenie złożone zaledwie z ośmiu części. Dzięki tej prostocie budowy Chińczycy mogli szybko uruchomić produkcję na wielką skalę.

Generał Stack miał ponurą minę.

– Wyprodukowanie aż tylu sztuk w tak krótkim czasie jest zdumiewające.

– Wymagało dużej ilości platyny do pokrycia anod, które rozbijają gaz na protony i elektrony – wyjaśnił Martin.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat Odyssey stała się właścicielką osiemdziesięciu procent światowych złóż platyny – odparł Heckt. – Przemysł samochodowy dużo to kosztuje, od czasu gdy niektóre części osprzętu silników zawierają platynę.

– Kiedy dostaniemy od Lowenhardtów dokumentację techniczną, będziemy mieli taki sam problem ze zdobyciem wystarczającej ilości platyny, żeby dotrzymać kroku Chińczykom – zauważył Seymour.

– Mówili, że jeszcze nie przygotowali odpowiedniego ogniwa paliwowego do napędu samochodów – wtrącił się Giordino.

– Wykorzystując ich dane i przy pełnej mobilizacji sił i środków, moglibyśmy ubiec w tej dziedzinie Odyssey i Chińczyków – powiedział Martin.

– Na pewno warto spróbować, skoro podstawowe prace już zostały wykonane i będziemy mieć technologię – zgodził się generał Stack i popatrzył na Seymoura. – Musimy zdecydować, co zrobić z tunelami.

– Wysłanie sił Specjalnych z zadaniem ich zablokowania to nie to samo, co wysłanie oddziałów do kraju rządzonego przez dyktatora, który zgromadził arsenały broni jądrowej, biologicznej i chemicznej, jak Saddam w Iraku – odparł Seymour. – Nie mogę z czystym sumieniem doradzić prezydentowi użycia siły.

– Ale duże ochłodzenie klimatu powyżej trzydziestego równoleżnika może być równie groźne, jak taka broń.

– Max ma rację – powiedział Martin. – Przekonanie reszty świata o niebezpieczeństwie byłoby prawie niemożliwe.

– Bez względu na wasze stanowisko wobec tego problemu, panowie – włączył się Sandecker – tunele muszą być zablokowane i to szybko. Kiedy już zostaną otwarte i popłyną nimi miliony litrów wody z Atlantyku do Pacyfiku, dużo trudniej będzie je zniszczyć.

– Więc może wysłać mały oddział komandosów z materiałami wybuchowymi?

– Nie przedostaną się przez ochronę Odyssey – wtrącił się znów Giordino.

– Wam się udało – zauważył Sandecker.

– Nie dźwigaliśmy setek ton materiałów wybuchowych, a tyle potrzeba, żeby wykonać tę robotę.

Pitt wstał, zaczął spacerować po sali i przyglądał się uważnie monitorom i mapom na ścianach. Zainteresowało go zwłaszcza wielkie zdjęcie satelitarne ośrodka badawczo-rozwojowego Odyssey na wyspie Ometepe. Przysunął się bliżej, przyjrzał dokładnie zboczu góry Concepcion i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Odwrócił się i zajął z powrotem miejsce za stołem.

– B-52 mógłby zrzucić tonę bomb penetrujących – zasugerował Stack.

– Mimo zagrożenia nie możemy zbombardować zaprzyjaźnionego kraju – zwrócił mu uwagę Seymour.

– Więc przyznajesz, że ochłodzenie klimatu jest zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego – przyłapał go Stack.

– To nie podlega dyskusji – zgodził się Seymour, w jego głosie wyczuwało się znużenie.

– Ale trzeba ten problem rozwiązać tak, żeby prezydent i rząd Stanów Zjednoczonych nie wyglądali w oczach świata na bezdusznych potworów.

Heckt uśmiechnął się znacząco.

– I pamiętać o implikacjach politycznych i ewentualności porażki w przyszłych wyborach, jeśli podejmiemy złą decyzję.

– Być może znalazłoby się wyjście, które zadowoliloby wszystkich zainteresowanych –

odezwał się wolno Pitt, wciąż patrząc na zdjęcie satelitarne.

– No dobrze, panie Pitt – powiedział z powątpiewaniem w głosie generał Stack. – Więc jak mamy zniszczyć te tunele, nie wysyłając sił specjalnych lub eskadry bombowców?

Uwaga zebranych skupiła się na Pitcie, wszystkie oczy skierowały się w jego stronę.

– Proponuję powierzyć to zadanie Matce Naturze – odparł.

Patrzyli na niego, czekali na wyjaśnienia i zaczęli podejrzewać, że stracił nagle część szarych komórek. Milczenie przerwał naukowiec, Jack Martin.

– Mógłby pan łaskawie mówić jaśniej?

– Zdaniem geologów, zbocze wulkanu Concepcion na wyspie Ometepe może się osunąć. Bez wątplenia przyczyną jest tunel wydrążony pod jego podnóżem. Kiedy byliśmy z Alem pod ziemią, czuliśmy w tym miejscu wyraźny wzrost temperatury.

– Dochodziła do czterdziestu stopni – dodał Giordino.

– Lowenhardtowie mówili nam, że jeden z więzionych naukowców, niejaki doktor Honorna z Uniwersytetu Hawajskiego...

– Jest na naszej liście zaginionych – wtrącił Martin.

– Doktor Honorna uważa, że zbocze może się osunąć w każdej chwili. Skutki byłyby katastrofalne.

– To znaczy? – zapytał generał.

– Cały ośrodek badawczy Odyssey razem z personelem zostałby przysypany milionami ton skały. Na jeziorze powstałaby wysoka fala przyływu, która zmyłaby wszystkie miasteczka i wsie wzdłuż brzegu.

Heckt pokręcił głową.

– Takiej sytuacji na pewno nie braliśmy pod uwagę.

Seymour popatrzył przeciągle na Pitta.

– Jeśli to prawda, siły natury wykonają za nas robotę i zniszczą tunele.

– Zgadza się.

– Więc wystarczy zaczekać.

– Osunięcia zboczy wulkanów zdarzają się zbyt rzadko, żeby geolodzy mogli określić choćby w miarę dokładny termin. Czekanie może potrwać kilka dni lub kilka lat. Potem będzie za późno na odwrócenie procesu ochłodzenia klimatu.

– Nie możemy siedzieć beczynnie i patrzeć bezradnie, jak tunelami zaczyna płynąć woda – powiedział twardym tonem Stack.

– Moglibyśmy – poprawił go Pitt – ale jest inne wyjście.

– Więc wyjaśnij nam uprzejmie, o co ci chodzi – zażądał zniecierpliwiony Sandecker.

– O poinformowanie rządu nikaraguańskiego, że nasi naukowcy monitorują sytuację przez satelitę i osunięcie zbocza wulkanu Concepcion może nastąpić łąda chwila. Trzeba ich cholernie nastraszyć. Upредить, że mogą być tysiące ofiar śmiertelnych. A potem podsunąć przynętę.

– Przynęte? – zmarszczył brwi Seymour.

– Propozycję pomocy przy ewakuacji personelu kompleksu i mieszkańców okolic jeziora Nikaragua na wyżej położone tereny. Kiedy rejon opustoszeje, można będzie zrzucić bombę na zbocze wulkanu z wysokości piętnastu tysięcy metrów, żeby nikt się nie zorientował. Zbocze się osunie i zniszczy tunele.

Sandecker odchylił się na krześle do tyłu i wpatrzył w zamyśleniu w blat stołu.

– To chyba jest zbyt proste, żeby mogło się udać.

– O ile znam tamten rejon – powiedział Martin – wulkan Concepcion jest wciąż czynny. Wybuch bomby mógłby wywołać erupcję.

– Zrzucenie bomby do krateru mogłoby to spowodować – przytaknął Pitt. – Ale musielibyśmy mieć pewność, że eksplozja nastąpi poniżej podnóża zbocza wulkanu.

Generał Stack uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tego spotkania

– Pan Pitt chyba ma rację. Sposób jest prosty, wydaje się więc logiczny. Proponuję, żebyśmy sprawdzili możliwości.

– A co z robotnikami w tunelach? – zapytał Seymour. – Nie mieliby szansy uciec.

– Nie ma obawy – odparł Giordino. – Wyniosą się stamtąd dobre dwadzieścia cztery godziny przed otwarciem tuneli na morze.

– Czas nagli – ostrzegł Pitt. – W centrali kompleksu Odyssey podsłuchałem rozmowę dwóch kobiet. Mówiły, że tunele mają być otwarte za osiem dni. To było trzy dni temu, więc zostało nam pięć.

Heckt spojrzał ponad okularami do czytania na Seymoura.

– Teraz wszystko zależy od ciebie, Max. Będziemy potrzebowali zgody prezydenta.

– Załatwię to w ciągu godziny – zapewnił Seymour. – I muszę przekonać sekretarza stanu Hamptona, że konieczne są natychmiastowe negocjacje z rządem nikaraguańskim, żeby nasze siły ratownicze mogły wejść do tego kraju. – Zerknął na Stacka. – Liczę na to, generale, że zorganizujesz ewakuację i pokierujesz akcją. – Odwrócił się do Martina. – A ty, Jack, musisz cholernie nastraszyć Nikaraguańczyków. Powiedz im, że katastrofa jest bliska i nieunikniona.

– Mogę w tym pomóc – zaproponował Sandecker. – Znam bardzo dobrze dwóch oceanologów z tego kraju.

W końcu Seymour spojrzał na Pitta i Giordina.

– Mamy wobec was ogromny dług wdzięczności, panowie. Nie wiem tylko, jak moglibyśmy się wam zrewanżować.

Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu i wymienił z Giordinem spojrzenia.

– Jest pewien agent Secret Service. Nazywa się Otis McGonigle. Chcielibyśmy, żeby dostał awans.

Seymour wzruszył ramionami.

– Chyba będę mógł to załatwić. Wybraliście go z jakiejś szczególnej przyczyny?

– Jest bardzo kontaktowy – odparł Giordino. – Przynosi zaszczyt swojej służbie.

Pitt spojrział na Heckta.

– Mam jeszcze jedną prośbę. Chciałbym zobaczyć kartotekę wywiadowczą Spectera i konglomeratu Odyssey.

Heckt skinął głową.

– Jeden z moich kurierów dostarczy ją do centrali NUMA. Myśli pan, że jest tam coś, co może się przydać?

– Nie wiem – wyznał szczerze Pitt. – Ale postaram się coś znaleźć.

– Moi analitycy już to szczegółowo przestudiowali, ale na nic nie natrafili.

– Może uda mi się dostrzec coś, na co nie zwrócili uwagi – odrzekł Pitt.

Moreau był przed hotelem punktualnie o dziewiątej. Miał na sobie białą rozpiętą koszulę, białe szorty i podkolanówki. Dirk i Summer wyszli z holu z workami marynarskimi ze sprzętem do nurkowania. Portier włożył ich rzeczy do bagażnika i wszyscy troje wsiedli do samochodu. Z pojedynczej chmury na pogodnym niebie przez chwilę padał przelotny deszcz. Łagodny wiatr ledwo poruszał liśćmi palm.

Do portu, gdzie była przycumowana łódź, którą wyczarterował Moreau, prowadził trzykilometrowy odcinek krętej drogi. Moreau wjechał na wąskie kamienne molo. Kolor wody wzdłuż wysokiego nabrzeża zmieniał się wraz z jej rosnącą głębokością z żółtozielonego w niebieskozielony. Moreau zatrzymał samochód nad małą żaglówką, kołyszącą się na łagodnych falach nadpływających z laguny. Na fiberglasowym kadłubie widniała nazwa „Dear Heart” wypisana złotymi literami.

Jednomasztowa łódź z grotem i kliwerem o łącznej powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych miała niecałe osiem metrów długości, dwieście siedemdziesiąt cztery centymetry szerokości, zanurzenie niewiele ponad metr dwadzieścia i dziesięciokonny silnik diesla. W kabinie z toaletą, prysznicem i małą kuchnią mogły wygodnie spać dwie osoby. Zgodnie z obietnicą Moreau w kokpicie zainstalowano wykrywacz metali Fishera i sondę Kleina do badania podpowierzchniowego profilu dna morskiego. Dirk zszedł po drabinie na pokład, złapał worki rzucone przez Moreau i włożył je do kabiny.

– Bezpiecznego rejsu – powiedział Moreau do Summer. – Przez cały czas będę miał przy sobie komórkę. W razie kłopotów proszę dzwonić.

– Oczywiście – odrzekła Summer.

Zeszła zgrabnie po drabinie i dołączyła do brata. Dirk uruchomił małego diesla. Na jego sygnał Moreau rzucił cumy. Stał na nabrzeżu i patrzył z zatroskaną miną, jak łódź kieruje się przez lagunę ku morzu.

Gdy minęli ostatnią boję, Summer przejęła ster i Dirk postawił grot i kliwer. Czerwone

płótno odcinało się wyraźnie na tle błękitnego nieba. Żagle łopotały, dopóki nie złapały wiatru, potem wydeły się i łódź zaczęła pruć rosnące fale. Dirk zlustrował wzrokiem pokład. Wszystko lśniło czystością. Sądząc po wyglądzie, „Dear Heart” nie miała jeszcze roku, mosiądz i chrom błyszcząły w słońcu, łódź była bardzo zadbana.

Smukła żaglówka pokonywała fale niczym kot biegnący przez trawnik. Przypadkowy podmuch przechodzącego szkwału wzburzył niebieską wodę i na grzbietach fal wyrosły białe grzywy. Potem znów wpłynęli na spokojne morze i w suche powietrze. Ocean rozciągał się przed bukszprytem jak gigantyczny dywan.

– Jak daleko do Branwen? – zapytała Summer i zręcznie przechyliła „Dear Heart” na burłę, żeby zwiększyć jeszcze o węzeł szybkość. Spieniona woda z szumem omywała reling od zawietrznej.

– Około dwudziestu trzech mil – odpowiedział Dirk. – Płyn po prostu na południe. Nie ma potrzeby trzymać dokładnego kursu. Na wschodnim krańcu wyspy jest dobrze widoczna latarnia morska.

Zdjął koszulę i ustawiał żagle w samych szortach. Summer ściągnęła sukienkę i przebrała się w zielone bikini w kwiaty. Pewnie trzymała koło sterowe i z wprawą prowadziła łódź przez grzbiety i doliny fal, jednym okiem patrząc na wyspę wyłaniającą się na horyzoncie, drugim na kompas.

Wiatr zwiewał do tyłu jej rozpuszczone rude włosy, wyglądała jak żeglarka w jednodniowym rejsie z Newport Beach na wyspę Catalina. Po godzinie uniosła jedną ręką lornetkę do oczu i popatrzyła w dal.

– Chyba widzę latarnię morską – powiedziała.

Dirk spojrział w tamtym kierunku. Nie zobaczył zbyt wyraźnie latarni, ale smuga wzdłuż horyzontu wkrótce stała się płaską wyspą.

– To Branwen. Płyn prosto na nią. Port jest na południowym brzegu. Przed dziobem wystrzeliła z wody ławica latających ryb i rozproszyła się we wszystkich kierunkach. Niektóre poszybowały wzdłuż burty, jakby mając nadzieję, że otrzymają pożywienie. Potem zastąpiło je pięć delfinów, które popisywały się wokół łodzi jak cyrkowcy, którzy czekają na oklaski.

Do wyspy zostały trzy mile. Latarnia morska była już wyraźnie widoczna, podobnie jak trzypiętrowy dom przy najbliższej plaży. Dirk uniosł lornetkę i przyjrzał mu się. Nie zobaczył nikogo, okna wyglądały na zasłonięte. Od piaszczystej plaży biegło nabrzeże, ale nie cumowała tam żadna łódź.

Zamienili się miejscami. Dirk przejął ster, Summer przeszła na dziób i trzymając się takielunku, patrzyła na wyspę. Branwen była brzydka, co się wyspom zdarza. Na brzegu nie rosły palmy ani bujna zieleń pełna tropikalnych kwiatów. Większość wysp Ameryki Środkowej ma własny specyficzny zapach – roślinności, potraw przyrządzanych przez mieszkańców, dymu z wypalanych pól, kopry i oleju kokosowego. Ta wyspa zdawała się



cuchnąć złem, odorem śmierci. Summer usłyszała daleki huk fal przyboju uderzających w rafy wokół laguny przed domem. Zobaczyła niski budynek na końcu długiego pasa startowego i domyśliła się, że to hangar. Ale podobnie jak Dirk, nie dostrzegła śladów życia. Branwen sprawiała wrażenie opuszczonego cementarza.

Dirk trzymał się z dala od raf i uważnie obserwował wodę za burtą, przezroczystą jak w wannie. Widział wyraźnie gładkie piaszczyste dno wolne od koralowców. Co kilka sekund zerkał na echosondę, żeby sprawdzić, czy nie zbliżają się do mielizny. Trzymał mocno koło sterowe i okrążał wyspę, dopóki nie dotarł do jej południowego krańca. Spojrzał na mapę morską, zmienił trochę kurs i wpłynął według echosondy na farwater. Przez stumetrową lukę w zewnętrznym pasie raf przewalały się wysokie fale.

Wejście do portu było trudne, zdradliwe, prąd spychał łódź w lewo. Dirk pomyślał, że dla Odyseusza i jego żeglarzy, którzy przepłynęli Atlantyk, musiało się wydawać łatwe. Mieli tę przewagę, że na niespokojnych wodach mogli wiosłować. Dirk mógłby uruchomić silnik, ale podobnie jak lotnik, który nie chce korzystać z autopilota, wołał polegać na własnych umiejętnościach.

Po drugiej stronie cieśniny woda uspokoiła się i znów mógł obserwować dno przesuujące się wolno pod kilem. Oddał ster Summer i opuścił żagle. Potem odpalił małego diesla i rozpoczął operację.

Niewielki port miał niecały kilometr długości i taką samą szerokość. Summer wychyliła się za burtę i szukała anomalii na dnie, a Dirk kursował leniwie tam i z powrotem, starał się wyczuć prądy, wyobrażał sobie, że jest na pokładzie jednego z okrętów Odyseusza i próbował odgadnąć, gdzie starożytni żeglarze mogli przed wiekami rzucić kotwicę.

W końcu wpłynął do strefy osłoniętej od wiatru wzniesieniem na wyspie. Piaszczysty kopiec wznoszący się na brzegu miał wysokość około trzydziestu metrów. Dirk wyłączył silnik, przesunął włącznik w kokpicie i wciągarka opuściła kotwicę dziobową.

– Możemy tu zanurkować i zbadać dno.

– Jest płaskie jak stół – odrzekła Summer. – Nie widzę żadnych wypukłości ani rysujących się konturów. Oczywiście, drewno z celtyckich wraków zgniłoby tysiące lat temu, wszelkie pozostałości byłyby zagrzebane w piasku.

– Chodźmy. Sprawdźmy konsystencję piasku i mułu. Ty popłyniesz dookoła i przeprowadzisz badanie wizualne.

Włożyli akwalungi, po czym Dirk upewnił się, czy kotwica jest mocno zahaczona o dno i nie pozwoli łodzi odplłynąć, chociaż w porcie żaglówka nie mogłaby daleko uciec. Nie musieli zakładać skafandrów, bo woda była ciepła i nie potrzebowali chronić ciał przed ostrymi koralowcami, przeszli przez burtę w strojach kąpielowych i zanurzyli się w morzu. Woda miała głębokość trzech metrów i była przezroczysta jak szkło. Widoczność sięgała niemal sześćdziesięciu metrów, temperatura dochodziła do trzydziestu stopni Celsjusza. Mieli idealne warunki do nurkowania.

Czterdzieści minut później Dirk wspiał się po drabinie na pokład, zdjął akwalung i pas balastowy. Metalową sondą zbadał grunt pod powierzchnią dna, chcąc znaleźć twardszą glinę, ale pod pięciometrową warstwą miękkiego piasku natrafił na skałę. Siedział przez kilka minut i obserwował pęcherze powietrza z akwalungu siostry widoczne wokół łodzi. Summer wspięła się wkrótce na drabinę, przystanąła, i ostrożnie położyła na tekowym pokładzie jakiś zarośnięty koralowcami przedmiot. Potem weszła do łodzi, ociekając wodą, i zdjęła akwalung.

– Co znalazłaś? – zapytał Dirk.

– Nie wiem, ale ten przedmiot jest za ciężki na skałę. Wystawał z piasku sto metrów od lądu.

Dirk spojrział na wyspę. Wybrzeże wydawało się puste, ale miał dziwne wrażenie, że są śledzeni. Podniósł zdobycz Summer i delikatnie oskrobał nożem. Znaleźisko przypominało kształtem ptaka z rozpostartymi skrzydłami.

– Wygląda jak orzeł lub łabędź – powiedział Dirk i naciął przedmiot końcem ostrza. – Jest z ołowiu, dlatego tyle waży.

Summer wzięła od niego znaleziony obiekt i przyjrzała się uważnie skrzydłom i głowie ptaka zwróconej w prawo.

– Może to antyczny artefakt celtycki?

– To, że jest z ołowiu, stanowi dobry znak. Doktor Chisholm mówił mi, że oprócz cyny, jednym z głównych bogactw Kornwalii był ołów. Oznaczyłaś miejsce, w którym to znalazłaś?

Summer skinęła głową.

– Zostawiłam w piasku moją sondę z małą pomarańczową chorągiewką na końcu.

– Jak to daleko?

– Około piętnastu metrów w tamtą stronę – wskazała dłonią kierunek.

– Okay, zanim uruchomimy pogłębiarkę lub próbnik strumieniowy, sprawdzimy tamto miejsce wykrywaczem metalu. Sonar zaburtowy nie bardzo się przyda, jeśli wraki są zagrzebane pod dnem.

– Może Rudi powinien nam przysłać magnetometr?

Dirk uśmiechnął się.

– Magnetometr wykrywa pole magnetyczne żelaza lub stali. Odyseusz żeglował na długo przed epoką żelaza. Wykrywacz metalu, oprócz żelaza, rozpozna większość metali, łącznie z brązem i złotem.

Summer włączyła detektor Fisher Pulse 10 i Dirk połączył go z sensorem w obudowie do holowania. Potem opuścił urządzenie za burtę i skrócił hol, żeby nie ciągnąć sensora po dnie. Pozostało mu już tylko podnieść kotwicę.

– Gotowa? – zapytał.

– Tak.

Uruchomił diesla i zaczął przesuwac się nad badanym miejscem tam i z powrotem jak

kosiarka do trawy. Po piętnastu minutach wskazówka wykrywacza drgnęła i w słuchawkach Summer rozległ się brzęczyk.

– Coś mamy.

Nad wetkniętą w piasek metalową sondą Summer wskazówka przesunęła się na krótko i dźwięk nieco się zmienił.

– Masz dobry odczyt? – zapytał Dirk.

Summer już miała odpowiedzieć przecząco, gdy nagle wskazówka zaczęła się gwałtownie wychylać tam i z powrotem, sygnalizując obecność metalu pod kilem.

– Dużo tego. W jakim kierunku płyniemy?

– Ze wschodu na zachód – odrzekł Dirk i zaznaczył współrzędne celu według odbiornika GPS.

– Przepłyn nad tym miejscem jeszcze raz, ale z północy na południe. Sto metrów za celem.

Dirk skręcił o dziewięćdziesiąt stopni i skierował „Dear Heart” z północy na południe. Wykrywacz znowu gwałtownie zareagował. Summer zapisała odczyty w notesie i spojrzała na stojącego przy sterze Dirka.

– Cel jest linearny, ma ponad piętnaście metrów długości, szeroką sygnaturę dwubiegunową i małą, ale rozproszoną masę. To pasowałoby do rozbitego zagłowca.

– Lokalizacja chyba się zgadza. Sprawdźmy to.

– Jaka tu jest głębokość?

– Tylko trzy metry.

Dirk znów zawrócił „Dear Heart”, wyłączył silnik i zaczął dryfować z prądem. Kiedy wskazania odbiornika GPS pokryły się ze współrzędnymi anomalii, rzucił kotwicę. Potem odpalił kompresor.

Włożyli akwalungi i zanurzyli się w wodzie po przeciwnych stronach łodzi. Dirk otworzył zawór próbnika strumieniowego i wetknął wylot przyrządu w piasek tak jak dziecko wpycha wąż ogrodowy w ziemię, żeby zrobić dziurę. Po pięciu nieudanych próbach końcówka uderzyła nagle w coś twardego metr pod piaszczystą powierzchnią dna. Po kilku następnych sondowaniach Dirk natrafił na metalowy pręt Summer w rogu siatki poszukiwawczej.

– Coś tam jest – powiedział, kiedy się wynurzyli, i wypluł ustnik. – Wymiary mniej więcej pasują do starożytnego okrętu.

– To może być cokolwiek – odrzekła Summer. – Od wraka starego kutra do śmieci wyrzuconych z barki.

– Dowiemy się, kiedy wykopimy otwór pogłębiarką indukcyjną.

Popłynęli z powrotem do łodzi, podłączyli wąż do pogłębiarki i opuścili do wody. Dirk dobrowolnie podjął się wykopywania, roboty uciążliwej i brudnej, Summer została na pokładzie przy kompresorze.

Dirk pociągnął za sobą wąż połączony z metalową rurą, która wysysała piasek z dna i odrzucała drugim węzłem na bok. Poglębiarka działała jak odkurzacz. Podłoże było miękkie i po niecałych dwudziestu minutach Dirk wydrążył dół o średnicy stu dwudziestu centymetrów i głębokości metra. Niecałe dwadzieścia centymetrów głębiej odsłonił jakiś okrągły przedmiot i rozpoznał antyczny terakotowy dzban do oliwy podobny do tego, którego zdjęcie pokazywał doktor Boyd na konferencji w NUMA. Dirk ostrożnie usunął piasek z dzbanu i wyciągnął znalezisko z dołu, potem powrócił do swojej pracy.

Po chwili natrafił na terakotowy dzban do picia. Później na dwa następne. Potem znalazł miecz z mocno skorodowanym ostrzem. Już miał przerwać i zabrać swoje trofea na powierzchnię, gdy spostrzegł jakiś przedmiot w kształcie kopuły z dwoma wyrastającymi żeń rogami. Kiedy oczyścił połowę obiektu, tętno skoczyło mu z sześćdziesięciu do stu. Rozpoznał hełm z epoki brązu opisywany w dziełach Homera.

Dirk wydobyl antyczny artefakt z miejsca, w którym spoczywał od ponad trzech tysięcy lat, i położył ostrożnie na żółtym piasku obok innych przedmiotów. Stanie w dole w wirującym piasku i drażnienie dna spowodowane przez pogłębiarkę było męczące. Przebywał pod wodą już prawie pięćdziesiąt minut i znalazł to, czego szukał – dowody na to, że flota Odyseusza zatoneła w rejonie Indii Zachodnich, nie na Morzu Śródziemnym. Kończyło mu się powietrze. Mógłby zużyć cały zapas i bez trudu wypłynąć na powierzchnię trzy metry nad sobą, potrzebowałby na to zaledwie jednego oddechu, ale postanowił zrobić sobie przerwę. Musiał jeszcze bezpiecznie przetransportować artefakty na pokład „Dear Heart”. Trzymając hełm tak delikatnie jak noworodka, wznosił się do góry.

Summer czekała na drabince, żeby zabrać od niego pas balastowy i akwalung. Dirk uniósł nad wodę hełm i wręczył ostrożnie siostrze.

– Weź to – powiedział. – Ale bardzo uważaj. Jest mocno skorodowany. – Zanim zdążyła się odezwać, zanurkował po resztę przedmiotów.

Kiedy wdrapał się do łodzi, Summer opróżniła chłodziarkę z napojów i zanurzyła artefakty w słonej wodzie, żeby je zakonserwować.

– Super – powtórzyła trzy razy. – Nie wierzę własnym oczom. Prawdziwy antyczny hełm z brązu.

– Mielśmy wyjątkowe szczęście – odrzekł Dirk – że tak szybko znaleźliśmy te rzeczy.

– Więc pochodzą z okrętów Odyseusza?

– Nie będziemy mieli pewności, dopóki tacy eksperci jak doktor Boyd i doktor Chisholm nie zidentyfikują ich. Na szczęście leżały zagrzebane w mule i dzięki temu przechowały się przez tyle lat.

Po lekkim lunchu i godzinnym odpoczynku, kiedy Summer zajęła się ścieraniem zewnętrznych warstw narośli morskiej z artefaktów, Dirk wrócił pod wodę i przystąpił do dalszego pogłębiania dna.

Tym razem znalazł pięć metalowych sztabek w dziwnym kształcie – cztery miedziane i

jedną cynową. Wklęsłe krawędzie wskazywały, że odlewy pochodzą z epoki brązu. Potem odkrył kamienny młotek. Półtora metra pod powierzchnią dna natrafił na kawałki desek i drewnianych belek. Jedna z belek miała sześćdziesiąt centymetrów długości i prawie trzynaście grubości. Być może, pomyślał Dirk, w laboratorium dendrochronologicznym po zbadaniu pierścieni wzrostu drzewa udałoby się określić jego gatunek i wiek. Zanim wydobył na powierzchnię artefakty, zrobiło się późno, nadchodził wieczór.

Wielka ognista kula chowała się za horyzont, chmury miały czerwono-pomarańczową barwę. Summer podziwiała wspaniały zachód, ale oderwała wzrok od nieba i pomogła Dirkowi zdjąć akwalung.

– Zrobiłam kolację – oznajmiła. – Otwórz wino.

Dirk uśmiechnął się.

– A co byś powiedziała na mały koktajl dla uczczenia naszego sukcesu? Kupiłem w hotelu butelkę miejscowego rumu, jest też piwo imbirowe.

– Na pewno ma temperaturę pokojową. Kiedy wydobyłeś pierwsze artefakty, wyrzuciłam z chłodziarki lód, żeby je tam przechować.

– Teraz, kiedy natrafiliśmy na ich kopalnię – odrzekł Dirk – moglibyśmy jutro poszukać innych okrętów z floty Odyseusza.

Summer popatrzyła w zamyśleniu na wodę. Po zachodzie słońca morze przybrało granatową barwę.

– Ciekawe, ile jest tam skarbów.

– Może nie ma żadnych – odparł i w jego oczach dostrzegła powątpiewanie.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytała.

– Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że ktoś już je znalazł.

– Któż mógłby je znaleźć? Nie wierzę w to.

Dirk przyjrzał się niespokojnie budynkom na wyspie.

– Wydaje mi się, że artefakty zmieniły miejsce. Nie przesunęły ich ruchy morza i piasku, tylko człowiek. Leżały niemal na stercie, jakby ktoś je ułożył. Tego nie mogła zrobić natura.

– Jutro będziemy się tym martwili – odparła Summer. – Umieram z głodu i pragnienia. Rób te koktajle.

Było po zmroku, kiedy Summer skończyła podgrzewać zupę z mięczaków i gotować dwa homary, które złowiła podczas nurkowania. Na deser podała mus bananowy. Potem oboje położyli się na pokładzie. Patrzyli na gwiazdy i rozmawiali prawie do północy, wsłuchując się w plusk wody uderzającej lekko w kadłub „Dear Heart”.

Dirk i Summer byli bardzo zżyci ze sobą, ale w przeciwieństwie do typowych bliźniaków w życiu prywatnym chodzili własnymi drogami. Summer spotykała się z młodym dyplomatą z Departamentu Stanu, z którym zapoznał ją jej dziadek senator. Dirk nie był z nikim związany. Wolał zmieniać dziewczyny o różnym wyglądzie i osobowości. Miał też inne zainteresowania niż jego ojciec. Owszem, obaj uwielbiali stare samochody i samoloty i

kochali morze, ale na tym podobieństwo się kończyło. Dirk startował w rajdach motocyklowych oraz wyścigach łodzi motorowych i walcząc z rywalami lubił polegać wyłącznie na własnych umiejętnościach. Jego ojcu bardziej odpowiadały gry zespołowe niż konkurencje indywidualne. Podczas studiów na Uniwersytecie Hawajskim Dirk junior uprawiał lekkoatletykę. Dirk senior grał w Akademii Sił Powietrznych w futbol amerykański na pozycji quarterbacka i był gwiazdą swojej drużyny.

W końcu brat i siostra, nagadwszy się do woli o Odyseuszu i jego podróży, uznali, że pora iść spać. Summer zeszła na dół i położyła się na koi, Dirk postanowił spędzić noc pod gołym niebem na poduszkach w kokpicie.

O czwartej nad ranem morze było czarne jak obsydian. Chmury zasłoniły gwiazdy, zaczęło padać. Można było, idąc pokładem, zejść do wody i dopiero usłyszawszy plusk, zorientować się, że się jest za burtą. Dirk przykrył się brezentem i spał dalej.

Nie obudził go odgłos silnika łodzi, bo nie było ani łodzi, ani silnika. Wyszli z wody cicho jak duchy unoszące się nad grobowcami w noc Halloween. Było ich czworo – trzech mężczyzn i jedna kobieta. Dirk nie usłyszał cichych kroków na drabince, której nie chciało mu się wciągnąć na pokład. Nie zdawał sobie sprawy, że ułatwił im wejście na „Dear Heart”.

Ludzie obudzeni w nocy przez intruzów reagują w różny sposób. Dirk w ogóle nie zdążył zareagować. W przeciwieństwie do swojego ojca, nie nauczył się jeszcze, żeby nie wierzyć w szczęście lub przeznaczenie i zawsze trzymać się starej zasady skautów: „Bądź gotowy”. Zanim się zorientował, nieproszeni goście zarzucili mu brezent na głowę i ogłuszyli go kijem baseballowym. Poczul tylko, że spada w czarną otchłań, która zdawała się nie mieć dna.

Przygotowania do ewakuacji Isle de Ometepe doszły do punktu kulminacyjnego. Minęły cztery dni, zanim sekretarzowi stanu George'owi Hamptonowi udało się przekonać nikaraguańskiego prezydenta Raula Ortiza, że Amerykanie kierują się wyłącznie względami humanitarnymi. Obiecał, że natychmiast po zakończeniu ewakuacji wszystkie siły amerykańskie opuszczą kraj. Jack Martin i admirał Sandecker rozmawiali z nikaraguańskimi naukowcami, którzy po zapoznaniu się z groźbą katastrofy w pełni poparli operację.

Jak można było przewidzieć, władze lokalne przekupione przez Spectera sprzeciwiły się interwencji. Urzędnicy zaprzyjaźnieni z Chińczykami również. Ale zgodnie z obietnicą złożoną na konferencji, Martin i Sandecker wystraszyli przywódców kraju, sugestywnie opisując potencjalną katastrofę i podając przypuszczalną liczbą ofiar wśród mieszkańców terenów położonych w promieniu półtora kilometra od jeziora. Wszelkie sprzeciwy zostały szybko zagłuszone przez głosy paniki.

Generał Stack, współpracując ściśle z generałem Juanem Moregą, szefem nikaraguańskich sił zbrojnych, rozmieścił swoje oddziały ratownicze. Kiedy otrzymał zgodę na podjęcie akcji, zaczął szybko działać. Wszystkie łodzie na jeziorze zarekwirovano do ewakuacji mieszkańców miast i wsi, którzy nie mieli możliwości ucieczki drogą lądową. Ciężarówki i amerykańskie helikoptery wojskowe przetransportowały resztę na wyżej położone tereny. W tym samym czasie siły specjalne przygotowywały się do ataku na kompleks Odyssey.

Nikt nie wątpił, że ochrona obiektu będzie walczyła, by zachować w tajemnicy tajny projekt i fakt nielegalnego przetrzymywania naukowców. Obawiano się, że Specter może ich wymordować i pozbyć się ciał, by w ten sposób zatrzeć ślady. Generał Stack współczuł więźniom, ale uratowanie tysięcy ewentualnych ofiar i miliardów dolarów było ważniejsze niż los dwudziestu czy trzydziestu osób. Wydał rozkaz jak najszybszej ewakuacji pracowników kompleksu, łącznie z naukowcami, jeśli jeszcze będą na wyspie.

Oddał Pitta pod komendę podpułkownika Bonapartego Nasha, nazywanego przez przyjaciół Bonym. Nash, członek oddziału zwiadowczego marines, powitał Pitta i Giordina w tymczasowej bazie helikopterów ewakuacyjnych w małym mieście San Jorge na zachodnim brzegu jeziora. Miał krótko ostrzyżone blond włosy, muskularną budowę, okrągłą twarz i przyjazne spojrzenie, ale patrząc w jego niebieskie oczy, wyczuwało się w nim stanowczego, twardego faceta.

– Miło mi panów poznać – powiedział do Pitta i Giordina. – Wiem, że jesteście z NUMA i znam wasze kwalifikacje. Przyznaję, robią wrażenie. Mam nadzieję, że potraficie zaprowadzić mnie i moich ludzi do budynku, w którym są uwięzieni naukowcy.

– Potrafimy – zapewnił Pitt.

– Ale podobno byliście tam tylko raz.

– Skoro znaleźliśmy go w nocy – odparł lekko poirytowany Giordino – to tym bardziej znajdziemy go w biały dzień.

Nash rozłożył na małym stole wielkie zdjęcie satelitarne kompleksu.

– Mam pięć helikopterów CH-47 Chinook. Każdy zabiera trzydziestu ludzi. Zgodnie z moim planem jeden wylądowuje przy terminalu lotniczym, drugi przy porcie, trzeci przy kwaterze głównej ochrony, a czwarty w parku między rzędami magazynów. Wy dwaj polecicie ze mną piątym do budynku z naukowcami.

Pitt wyciągnął długopis z kieszeni kwiecistej koszuli i wskazał na zdjęciu budynek stojący przy ulicy obsadzonej palmami.

– To biurowiec centrali. Jeśli mogę coś zasugerować, powinniście wylądować na dachu i zgarnąć szefów kompleksu, żeby nie zdążyli uciec swoim helikopterem.

– Skąd taki pomysł? – zapytał Nash.

– Sześć dni temu, w czasie naszej ucieczki, Al i ja ukradliśmy im z dachu helikopter.

– W budynku jest co najmniej dziesięciu ochroniarzy, którymi będą musieli się zająć pańscy ludzie – dodał Giordino.

Nash popatrzył na niego i Pitta z rosnącym szacunkiem, ale nie miał jeszcze pewności, czy może im w pełni ufać.

– Ci ochroniarze byli tam w czasie waszej ucieczki?

Pitt zauważył powściągliwość Nasha.

– Tak, czterech – odparł spokojnie.

Giordino także dostrzegł pewną rezerwę w oczach podpułkownika.

– Rozbrojenie ich nie było trudniejsze niż odebranie dziecku cukierka – oświadczył.

– Podobno jesteście inżynierami morskimi – powiedział zdezorientowany Nash.

– To też robimy – odrzekł gładko Giordino.

Nash lekko pokręcił głową.

– Okay, skoro tak mówicie. Ale nie mogę wydać wam broni. Będziecie tylko przewodnikami. Walką zajmiemy się ja i moi ludzie.



Pitt i Giordino spojrzeli po sobie z wesołym błyskiem w oczach. „Czterdziestka piątka” Pitta i automatyczna „pięćdziesiątka” Giordina były ukryte z tyłu za paskami ich spodni pod luźnymi koszulami tropikalnymi.

– Jeśli wpadniemy w tarapaty, będziemy rzucali kamieniami, dopóki nie uratują nas pańscy ludzie – obiecał Giordino.

Nash nie był pewien, czy podobają mu się ci dwaj dowcipnisie. Uniósł rękę i spojrzął na zegarek.

– Startujemy za dziesięć minut. Polecicie ze mną. Po wylądowaniu wskażecie mi drogę. Gdy znajdziemy się na ziemi, nie możemy stracić ani minuty na błądzenie, jeśli mamy uratować zakładników, zanim rozwalą ich ochroniarze Odyssey.

– W porządku – skinął głową Pitt.

Dokładnie dziesięć minut później on i Giordino siedzieli przypięci pasami w dużym transportowym chinooku razem z podpułkownikiem Nashem. Towarzyszyło im trzydziestu wielkich, milczących facetów w polowych mundurach kamuflażowych i kamizelkach kuloodpornych. Ich karabiny szturmowe i ręczne wyrzutnie rakietowe wyglądały jak broń w filmach science fiction.

– Twardziele – powiedział z podziwem Giordino.

– Cieszę się, że są po naszej stronie – odrzekł Pitt.

Pilot podniósł maszynę z ziemi i poszybował nad plażą nad jezioro. Do kompleksu Odyssey mieli dwadzieścia pięć kilometrów. Najbardziej istotny w całej operacji był element zaskoczenia. Podpułkownik Nash zaplanował unieszkodliwienie ochrony, uratowanie zakładników i ewakuację setek pracowników łodziami, które już były w drodze. Po zabranii wszystkich z wyspy Ometepe i bezpiecznym ulokowaniu ich na wyżej położonym terenie miał dać pilotowi B-52, krążącemu na wysokości ponad osiemnastu tysięcy metrów, sygnał do zrzucenia potężnej bomby na podnóże góry. Lawina wywołana eksplozją miała spowodować zawalenie się tuneli i zmieść do jeziora ośrodek badawczo-rozwojowy.

Pittowi wydawało się, że jeszcze na dobre nie wystartowali, a już nastąpiło lądowanie. Helikopter na kilka sekund zawisnął w powietrzu po czym usiadł. Nash i jego ludzie wyskoczyli z maszyny przez otwarty właz i krzyknęli do ochroniarzy czuwających przy bramie ogrodzonego budynku, w którym więzieni byli zakładnicy, żeby rzucili broń.

Wylądowały cztery pozostałe helikoptery. Kilku ochroniarzy, nie wiedząc, że mają przeciwko sobie elitarną jednostkę, otworzyło do nich ogień. Gdy zobaczyli, z kim mają do czynienia, zrozumieli, że opór jest bezcelowy, szybko się poddali, rzucili broń i podnieśli ręce do góry. Nie wynajęto ich do walki z zawodowcami, tylko do pilnowania obiektu. Nie mieli ochoty ginąć.

Pitt wbiegł przez bramę, Giordino tuż za nim. Wpadli frontowymi drzwiami do budynku przed Nashem i jego ludźmi. Ochroniarze wewnątrz słyszeli strzały w kompleksie, ale zanim zdali sobie sprawę, co się dzieje, zobaczyli przed sobą lufy dwóch wielkich pistoletów.

Zamarli z przerażenia.

Nash był bardzo zaskoczony, gdy ujrzał, że Pitt i Giordino mieli broń. Wściekł się jak diabli.

– Oddajcie mi te spluwy! – zażądał.

Zignorowali go i zaczęli kopniakami wyważać drzwi do pokoi. Pierwszy, drugi, trzeci i czwarty. Wszystkie były puste. Pitt pobiegł do ochroniarzy wyprowadzanych z budynku przez ludzi Nasha, chwycił najbliższego ochroniarza za ramię i przycisnął mu lufę do nosa.

– Mówisz po angielsku?

– Nie, *señor*.

– *Donde estan los científicos?*

Ochroniarz wytrzeszczył oczy i popatrzył zezem na lufę zgniatającą mu nos.

– *Ellos fueron tomados lejos a la darsena y colocados en el transbordador.*

– O co chodzi? – zapytał ostro Nash. – Gdzie są zakładnicy?

Pitt cofnął lufę broni od krwawiącego nosa ochroniarza.

– Zapytałem go, gdzie są naukowcy. Powiedział, że zabrano ich do portu i wsadzono na prom.

– Wygląda na to, że wypłyną na jezioro i zatopią ich – odezwał się ponuro Giordino.

Pitt spojrział na Nasha.

– Potrzebujemy pańskich ludzi i helikoptera do pościgu za promem.

Nash pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nic z tego. Mam rozkaz zabezpieczenia bazy i ewakuacji całego personelu. Nie mogę dać wam ludzi ani helikoptera.

– Ale ci naukowcy są niezwykle cenni dla Stanów Zjednoczonych – nie ustępował Pitt. – Znają technologię produkcji ogniwo paliwowych.

Wyraz twarzy Nasha nie zmienił się nawet na jotę.

– Mam swoje rozkazy – powiedział obojętnym tonem.

– Więc niech pan nam pożyczy granatnik i sami dogonimy prom.

– Dobrze wiecie, że nie mogę wydać broni cywilom.

– Jest pan bardzo pomocny – warknął Giordino. – Nie mamy czasu na gadanie z ważniakiem. – Wskazał głową wózek golfowy, taki sam, jakim jeździli w tunelach. – Jeśli nie złapiemy ich w porcie, może uda nam się porwać jedną z łodzi patrolowych Odyssey.

Pitt rzucił Nashowi niechętnie spojrzenie i pobiegł za Giordinem do wózka. Al wskoczył za kierownicę i osiem minut później wjechali z pełną szybkością do portu. Pitt westchnął ciężko. Stary prom płynął już po jeziorze. Eskortowała go łódź patrolowa.

– Za późno – jęknął Giordino. – Wzięli łódź patrolową, żeby zabrać ochroniarzy, kiedy zrobią dziurę w dnie barki.

Pitt pobiegł na drugą stronę pomostu i w odległości najwyżej dwudziestu metrów zauważył małą łódź z silnikiem doczepnym przycumowaną do pali nabrzeża.

– Chodź, statek czeka! – krzyknął, po czym ruszył biegiem w kierunku łodzi.

Pięćcipółmetrowy boston whaler miał stu pięćdziesięciokonny silnik mercury. Pitt zapalił silnik, Giordino odcumował łódź. Ledwo zdążył rzucić liny na brzeg, Pitt pchnął przepustnicę do oporu. Mały whaler skoczył naprzód, jakby dostał kopniaka w rufę i pomknął za kilwaterami promu i łodzi patrolowej.

– Co zrobimy, jak ich dorwiemy? – zawołał Giordino przez ryk silnika.

– Coś wymyślę – odkrzyknął Pitt. – Mam jeszcze czas.

Dystans między nimi i ściganymi szybko malał.

– Lepiej się pospiesz – powiedział Giordino. – Tamci mają karabiny szturmowe przeciwko naszym pukawkom i paskudne działko na dziobie.

– Zrobimy tak – zaczął głośno Pitt – Zatoczę łuk i podejść do nich w ten sposób, żeby prom znalazł się między nami i łodzią patrolową. Nie będzie mogła do nas strzelać. Podpłyniemy do burty promu i przeskoczmy na pokład.

– Od dziesięciu lat nie słyszałem gorszego planu – odparł ponuro Giordino.

– Na górnym pokładzie obok sterowni jest dwóch, może trzech ochroniarzy. Weź mojego colta i odstawiaj desperado z dwiema soplami. Jeśli ich przestraszysz, może podniosą ręce do góry.

– Postaram się być groźny.

Pitt zakręcił kołem sterowym, popłynął szerokim łukiem i okrążył prom, zanim załoga łodzi patrolowej zdążyła użyć działka na dziobie. Whaler przeskoczył nad grzbietem niskiej fali z kilwatera promu i opadł w dół. Seria pocisków przeszła nieszkodliwie górą. Giordino odpowiedział ogniem. Naciskał oba spusty najszybciej jak mógł. Ostrzał zaskoczył ochroniarzy. Jeden dostał w nogę i upadł na pokład. Drugi obrócił się i chwycił za ramię. Trzeci rzucił broń i podniósł ręce do góry.

– Widzisz? – odezwał się Pitt. – Mówiłem ci.

– Jasne, ale najpierw musiałem wyłączyć dwóch z akcji.

Dwadzieścia metrów od promu Pitt cofnął przepustnicę i skręcił lekko na sterburtę. Z wprawą nabytą w ciągu lat praktyki płynął do kadłuba promu, stuknąwszy go tylko lekko. Giordino pierwszy przeskoczył na pokład i rozbroił ochroniarzy.

– Włożyłem pełny magazynek – zawołał i rzucił Pittowi swój pistolet. – Łap!

Pitt pochwycił broń, opuścił się do otwartego włazu i zsunął w dół po drabince. Zaledwie wylądował w korytarzu pod pokładem, z maszynowni dobiegł głośny huk. Prom zadrżał. Jeden z ochroniarzy zdetonował ładunek wybuchowy i eksplozja wyrwała w zębie dziurę. Wstrząs zwałił Pitta z nóg, ale podniósł się szybko i pobiegł głównym korytarzem, wyważając po drodze kopniakami drzwi.

– Wychodźcie! Wychodźcie prędko! – krzyczał do przerażonych naukowców uwieczonych wewnątrz. – Ten prom tonie! – Zaczął ich wyprowadzać w kierunku drabinki. Zatrzymał mężczyznę z siwymi włosami i brodą. – Jest was gdzieś więcej?

– Część z nas zamknęli w magazynie na końcu korytarza.

Zanim naukowiec skończył mówić, Pitt podbiegł do pomieszczenia magazynowego. Woda sięgała mu już do kostek. Drzwi były zbyt solidne, żeby mógł je wyważyć kopnięciem.

– Odsuńcie się od drzwi! – krzyknął. Wycelował z pistoletu w klamkę i strzelił. Pocisk dużego kalibru roztrzaskał zamek. Pitt pchnął drzwi ramieniem. W środku zobaczył dziesięć oszołomionych osób, sześciu mężczyzn i cztery kobiety. – Ruszać się! Ale już! Opuścić statek! Toniemy!

Kiedy wepchnął ostatniego naukowca na drabinkę i miał się wspiąć za nim, drugi wybuch rzucił go na przegrodę. Pitt uderzył w nią plecami i tyłem głowy, zabrakło mu powietrza i na chwilę stracił przytomność. Kiedy ocknął się po dwóch minutach, siedział w wodzie. Sięgała mu do piersi. Podniósł się z trudem i wdrapał wolno na drabinkę.

Do zatonięcia promu została niecała minuta. Pitt usłyszał przez szum wdzierającej się wody dziwny odgłos. Jedna po drugiej przelatywały mu przez głowę gorączkowe myśli. Co z uwolnionym ludźmi? Są na pokładzie? Utonęli? Podziurawiły ich pociski z działka łodzi patrolowej? I co z Alem? Pomaga ocalałym naukowcom? Pitt był jeszcze oszołomiony upadkiem. Zebrał wszystkie siły i wydostał się na zewnątrz.

Rufa promu znikła pod powierzchnią jeziora. Woda zalewała pokład i otwarty właz. Pitt wciąż słyszał dziwny odgłos, był teraz jeszcze głośniejszy. Spojrzał w górę i zobaczył Giordina, który wisiał w uprząży, jakby unosił się w powietrzu. Potem ujrzał helikopter. Dzięki Bogu, Nash zmienił zdanie, pomyślał.

Złapał Giordina w pasie. Silne, muskularne ramiona chwyciły go pod pachami. Pokład promu usunął mu się spod nóg i zniknął pod falami. Pitt uniósł się do góry.

– Co z naukowcami? – wysapał do Giordina. W wodzie nikogo nie widział.

– Są w helikopterze – odkrzyknął Giordino przez szum wiatru i hałas rotora. – Na widok ludzi Nasha ochroniarze uciekli łodzią patrolową.

– Nikt nie został na wyspie? – zapytał Pitt, kiedy obok niego przykleknął Nash.

– Ewakuowaliśmy nawet bezdomne psy i koty – odrzekł podpułkownik, uśmiechając się szeroko z zadowoleniem. – Zakończyliśmy operację przed czasem i poleciliśmy po was. Kiedy nie pojawił się pan razem z innymi, pomyśleliśmy, że już po panu. Wszyscy z wyjątkiem tego tutaj, Ala. Zanim zdążyłem go powstrzymać, zjechał na linie wciągarki na pokład promu. Dopiero wtedy zobaczyliśmy, że wychodzi pan z włazu.

– Miałem szczęście, że przylecieliście w porę.

– Ile czasu zostało do wielkiego finału? – zapytał Giordino.

– Gdy tylko ewakuowaliśmy wszystkich z Ometepe na brzeg, ciężarówki i autobusyabrały ich na wyżej położone tereny, razem ze wszystkimi ludźmi mieszkającymi w promieniu trzech kilometrów od jeziora. – Nash urwał i spojrzał na zegarek. – Sądzę, że za trzydzieści pięć minut wszyscy będą całkowicie bezpieczni. Kiedy dostanę meldunek, że wszystko gra, dam pilotowi B-52 sygnał do zrzucenia bomby.

– Czy pańscy ludzie napotkali opór małej armii umundurowanych kobiet? – zapytał Pitt.

Nash popatrzył na niego dziwnie i wyszczerzył zęby.

– W śmiesznych kolorowych kombinezonach?

– Lawendowych i zielonych.

– Walczyły jak Amazonki – odrzekł Nash. – Raniły trzech moich ludzi, bo początkowo nie chcieliśmy strzelać do kobiet. Ale one strzelały do nas, więc nie mieliśmy wyjścia i musieliśmy odpowiedzieć ogniem.

Przelatywali nad kompleksem. Giordino popatrzył w dół na biurowiec. W oknach nie było szyb, z dziesiątego piętra buchał dym.

– Ile z nich załatwiliście?

– Naliczyliśmy co najmniej dziewięć ciał – odparł Nash. – Prawie wszystkie te kobiety były bardzo ładne. Moi ludzie ciężko to przeżyli, po powrocie do domu niektórzy na pewno będą mieli problemy psychiczne. Nie zostali wyszkoleni do zabijania kobiet będących cywilami.

– Czy jedna z nich nie nosiła złocistego kombinezonu? – zapytał Pitt.

Nash zastanawiał się przez moment, potem pokręcił głową.

– Nie widziałem żadnej takiej. – Urwał na chwilę. – Ruda?

– Tak.

– Jak wszystkie zabite. Miały taki sam kolor włosów. Walczyły jak stuknięte fanatyczki. To było coś niewiarygodnego.

Helikopter wisiał wciąż na tej pozycji ponad wyspą. Nash otrzymał wreszcie meldunek o pomyślnym zakończeniu ewakuacji, nastąpiło to niemal w tej samej minucie, jak przewidziano. Bez chwili wahania zawiadomił pilota B-52, że może zrzucić bombę.

Samolot znajdował się tak wysoko, że nie mogli go zobaczyć, nie byli też w stanie dostrzec bomby spadającej z pułapu osiemnastu tysięcy metrów. Nie widzieli, jak uderzyła w zbocze wulkanu powyżej kompleksu Odyssey i przeniknęła głęboko pod ziemię. Parę sekund później od strony Mount Concepcion dobiegł głuchy odgłos, przypominający bardziej dudnienie niż huk bomby eksplodującej przy zderzeniu z ziemią. Po wybuchu rozległ się nowy dźwięk, ten był podobny do przetaczającego się grzmotu. Zbocze wulkanu oderwało się od szczytu i zaczęło opadać. Nabierało szybkości, aż osiągnęło prędkość niemal stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Z góry wyglądało to tak, jakby cały ośrodek badawczo-rozwojowy ze wszystkimi budynkami, lotniskiem i portem zsunął się pod powierzchnię jeziora niczym moneta rzucona gigantyczną ręką. W niebo wystrzeliły szczątki i tumany kurzu. Wyrosła ogromna fala i osiągnęła wysokość ponad sześćdziesięciu metrów. Jej grzbiet załamał się i rozlał po jeziorze z niewiarygodną szybkością. Woda uderzyła o brzegi i zatopiła wszystko na swojej drodze. Potem cofnęła się jakby niechętnie do jeziora.

W czasie potrzebnym do odwrócenia dwóch kartek w książce wielkie centrum badawcze Spectera przestało istnieć. Zniknęło wraz z kobiecą dyrekcją, imperium Odyssey i zawałonymi tunelami.

Prąd Południoworównikowy nie skręcił do Pacyfiku. Prąd Zatokowy nadal płynął tak, jak przed milionem lat. Europa i Ameryka Północna nie zamrzły.

Czarna mgła zaczęła się mieszać z jaskrawym białym blaskiem. Gwiazdy krążące gdzieś w jego głowie poznikały, zostało ich już tylko kilka. Dirk powoli odzyskiwał przytomność. Poczul zimno i wilgoć. Zaskoczył go ból pulsujący pod czaszką. Uniósł się na łokciach i rozejrzał się wokół.

Leżał w małym, prostokątnym pomieszczeniu z betonowym sufitem, podłogą i ścianami. Zardzewiałe żelazne drzwi nie miały od wewnątrz klamki. Przez niewielkie okno w suficie sączyło się słabe światło. W ciasnej, szarej celi nie było pryczy ani koca. Za toaletę służył otwór w podłodze.

Żaden kac, jaki pamiętał, nie mógł się równać z bólem głowy, który teraz czuł Dirk. Nad lewym uchem miał guza wielkości myszy komputerowej. Wstał z wysiłkiem i w odruchu ciekawości pchnął drzwi. Równie dobrze mógłby próbować przewrócić pień dębu. Kiedy kładł się spać na łodzi, był tylko w szortach i T-shircie. Spojrzał w dół i zobaczył, że zamiast spodenek i koszulki, ma na sobie biały, jedwabny płaszcz kąpielowy. Nie potrafił odgadnąć, co to oznaczało. Strój zupełnie nie pasował do otoczenia.

W następnym momencie pomyślał o Summer. Co się z nią stało? Gdzie teraz była? Pamiętał tylko tyle, że widział, jak wszedł nad morzem księżyc, a potem chyba już zasnął. Ból pod czaszką powoli ustępował. Dirk zdał sobie sprawę, że ktoś musiał go walnąć w głowę, przetransportować na brzeg i wsadzić do celi. Ale co z Summer? Co stało się z nią? Zaniepokoił się. Jego sytuacja wyglądała beznadziejnie. Był w pułapce. Nie mógł nic zrobić, ucieczka wydawała się niemożliwa.

Mijały godziny. Późnym popołudniem usłyszał jakiś dźwięk na zewnątrz celi. Szczęknięt zamek i drzwi się otworzyły. Zobaczył niebieskooką blondynkę w zielonym kombinezonie. Celowała w jego pierś z dużego pistoletu automatycznego.

– Pójdiesz ze mną – powiedziała uprzejmym, wręcz miękkim tonem.

W innych okolicznościach uznałby ją za całkiem atrakcyjną, ale teraz i tutaj wydawała

mu się obrzydliwa.

– Dokąd? – zapytał.

Nie odpowiedziała, tylko szturchnęła go łufą w plecy. Pomaszerowali długim korytarzem, mijając po drodze wiele żelaznych drzwi. Dirk zastanawiał się, czy w którejś z cel jest więziona Summer. Dotarli do schodów i nie czekając na polecenie, zaczął się po nich wspinać. Znalazłszy się na górze, weszli do holu z marmurową podłogą i mozaikowymi ścianami z tysięcy złotych kafelków. Wszystkie skórzane fotele i drewniane intarsjowane stoliki miały ten sam lawendowy kolor. Dirk uznał, że ten styl grzeszy jarmarczną przesadą.

Blondynka doprowadziła go do dużych, pozłaczanych drzwi. Zapukała i kiedy się otworzyły, odsunęła się na bok, po czym wskazała mu gestem, żeby wszedł.

Dirka oszołomił widok czterech pięknych rudowłosych kobiet w lawendowych i złocistych szatach. Siedziały wokół długiego stołu konferencyjnego wyciosanego z bloku czerwonej rafy koralowej. Towarzyszyła im Summer, ale miała na sobie białą szatę. Dirk podbiegł do siostry i chwycił ją za ramiona.

– Nic ci nie jest?

Odwróciła się wolno i spojrzała na niego jak w transie.

– Nie, wszystko w porządku – powiedziała.

Rozpoznał, że jest pod wpływem narkotyków.

– Co ci zrobili? – zapytał gorączkowo.

– Proszę usiąść, panie Pitt – poleciła kobieta siedząca u szczytu stołu, ubrana w złocistą szatę. Jej głos był spokojny i melodyjny, ale pobrzmiewała w nim nutka arogancji.

Dirk wyczuł za sobą ruch. Blondynka wycofała się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Zastanawiał się przez moment, czy nie próbować ucieczki, bo choć kobiety miały przewagę liczebną, mógłby je unieszkodliwić i wydostać się stąd wraz z Summer. Szybko jednak porzucił ten pomysł, doszedł bowiem do wniosku, że w jej stanie nie potrafiłaby biec. Odsunął wolno krzesło i usiadł.

– Czy mogę spytać, co zamierzacie zrobić z moją siostrą i ze mną?

– Może pan – odrzekła kobieta siedząca u szczytu stołu. Najwyraźniej była tu szefową. Zignorowała go i odwróciła się do swojej towarzyszki z prawej strony. – Twoja grupa przeszukała ich łódź?

– Tak, Epono. Znaleźliśmy sprzęt do nurkowania i detektory podwodne.

– Przepraszam za wtargnięcie na pani teren – powiedział Dirk – ale myśleliśmy, że wyspa jest opuszczona.

Epona obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

– Mamy sposoby na intruzów.

– Jesteśmy archeologami. Szukaliśmy tylko wraków starożytnych okrętów.

Zerknęła na Summer, potem znów na Dirka.

– Dobrze wiemy, czego szukaliście. Pańska siostra okazała się bardzo chętna do



współpracy. Zdała nam szczegółową relację.

– Bo naszprycowałyście ją narkotykami – odparł z wściekłością Dirk. Miał ochotę rzucić się przez stół na Eponę.

– Niech pan nie stawia oporu, panie Pitt – ostrzegła, jakby czytała w jego myślach. – Moja ochrona natychmiast zareaguje.

Dirk, choć z trudem, zmusił się do zachowania spokoju.

– Więc czego dowiedziała się pani od Summer?

– Tego, że oboje pracujecie w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych i szukaliście tutaj zaginionej floty Odyseusza, którą według relacji Homera zatopili Lajstrygonowie.

– Czytała pani Homera.

– Żyję i oddycham Homerem. Ale celtyckim, nie greckim.

– Więc zna pani prawdę o Troi i podróży Odyseusza przez ocean.

– Dlatego moje siostry i ja jesteśmy tutaj. Dziesięć lat temu, po wieloletnich badaniach naukowych, doszliśmy do wniosku, że to Celtowie, nie Grecy, walczyli z Trojanami. I nie o Helenę, tylko o złoża cyny w Kornwalii, żeby móc wytwarzać brąz. Tak jak wy, odtworzyliśmy trasę Odyseusza przez Atlantyk. Może zainteresuje pana fakt, że jego floty nie zniszczyły wielkie kamienie rzucone przez Lajstrygonów, lecz huragan.

– A skarby z jego zatopionych okrętów?

– Zostały wydobyte osiem lat temu i posłużyły do zbudowania naszego imperium finansowego Odyssey.

Dirk siedział na pozór zupełnie spokojnie, ale trzęsły mu się ręce ukryte pod stołem. W jego mózgu błyskało światełko ostrzegawcze. Te kobiety nie zabiły Summer, ale wątpił, żeby pozwoliły mu dożyć jutra.

– Mogę spytać, jakie to były skarby?

– Nie widzę powodu, żeby to ukrywać. – Epona wzruszyła ramionami. – Nasz sukces nie jest żadną tajemnicą. Nasze ekipy ratownicze wydobyły ponad dwie tony złotych wyrobów celtyckich: naczyń, rzeźb i ozdób. Celtowie byli mistrzami w dziedzinie metaloplastyki. Te przedmioty i tysiące innych starożytnych artefaktów sprzedaliśmy na wolnym rynku w różnych krajach świata. Dostałyśmy za nie ponad siedemset milionów dolarów.

– Czy to nie było ryzykowne? – zapytał Dirk. – Francja, do której należy Gwadelupa, Grecja i państwa europejskie rządzone kiedyś przez Celtów nie wkroczyły i nie zażądały zwrotu skarbów?

– Załatwiłyśmy to po cichu. Wszyscy kupcy artefaktów chcieli pozostać anonimowi. Transakcje finalizowałyśmy dyskretnie. Złoto zdeponowałyśmy w Chinach.

– Ma pani oczywiście na myśli Chińską Republikę Ludową.

– Oczywiście.

– A co z ratownikami morskimi, z nurkami? Na pewno spodziewali się, że dostaną część

skarbów. Zapewnienie sobie ich milczenia chyba nie było łatwe.

– Nic nie dostali – odrzekła lekko sardonycznym tonem Epona. – A tajemnicę zabrali ze sobą do grobu.

– Zamordowałyście ich? – stwierdził raczej niż zapytał Dirk.

– Powiedzmy po prostu, że dołączyli do zaginionych załóg okrętów Odyszeusza. – Epona zawahała się na moment, potem uśmiechnęła enigmatycznie. – Nikt dotąd nie przeżył wizyty na tej wyspie, więc nie mógł o niczym opowiedzieć. Nawet turyści, którzy zacumowali w porcie, ani zbyt ciekawscy rybacy nie mogli wypaplać, co tu widzieli.

– Jak dotąd, nie widziałem niczego, za co warto by umrzeć.

– I już pan nie zobaczy.

Dirk odczuł nagle dziwny niepokój.

– Skąd ten fanatyzm? Dlaczego zabijacie niewinnych ludzi? Jesteście socjopatkami. Co chcecie osiągnąć?

– Ma pan zupełną rację, panie Pitt. Moje siostry i ja jesteśmy socjopatkami – w głosie Epony zabrzmiała lekka nuta gniewu – podchodzimy do naszego życia i bogactwa bez emocji. Dlatego zaszliśmy tak daleko i osiągnęliśmy tak wiele w tak krótkim czasie. Gdyby socjopatów pozostawić samym sobie, mogliby rządzić światem. Nie znają ograniczeń, jakie nakłada moralność. Brak jakichkolwiek sentymentów ułatwia im osiągnięcie celu. Są geniuszami i tylko to się liczy. Tak, panie Pitt. Ja i całe nasze zgromadzenie bogiń jesteśmy istotnie socjopatkami.

– Zgromadzenie bogiń – powtórzył wolno Dirk, akcentując słowa. – Więc uważacie się za bóstwa. Życie zwykłych śmiertelniczek to dla was za mało.

– Wszyscy wielcy przywódcy byli socjopatami. Niektórzy omal nie zawładnęli światem.

– Na przykład Hitler, Stalin, Napoleon i król Hunów, Attyla. Szpitale psychiatryczne są pełne pacjentów, którzy marzą o wielkości.

– Tamci przegrali, bo przecenili swoją potęgę. My nie popełnimy tego błędu.

Dirk popatrzył na piękne kobiety zebrane wokół stołu. Nie uszło jego uwagi, że wszystkie były rude, tak jak Summer.

– Choć macie ten sam kolor włosów, nie możecie być rodzonymi siostrami.

– Nie, my nie jesteśmy spokrewnione.

– Mówiąc „my”, kogo ma pani na myśli?

– Kobiety z naszego zgromadzenia, panie Pitt. Jesteśmy druidkami. Postępujemy według dawno zapomnianych nauk celtyckich druidów przekazywanych z pokolenia na pokolenie przez stulecia.

– Starożytni druidowie to bardziej mit niż fakt.

Epona z irytacją wykrzywiła usta.

– Istnieją od pięciu tysięcy lat po dziś dzień.

– Są tylko legendą. Do I wieku przed naszą erą nie było żadnych wzmianek o ich religii i

rytuałach.

– Nie było źródeł pisanych, ale ich wiedzę i zakres władzy przekazywały sobie ustnie setki pokoleń. Druidowie pochodzili z antycznych plemion celtyckich. Zbierali się nocami przy obozowych ogniskach i ofiarowali swojemu ludowi wizję szczęścia towarzyszącą mu w codziennej walce o przetrwanie. Byli mistykami, filozofami, mieli dar tworzenia religii, która inspirowała i oświecała Celtów. Byli też lekarzami, magami, wróżbitami, doradcami i – co chyba najważniejsze – nauczycielami, którzy rozbudzali w ludziach pragnienie zdobywania wiedzy. To im zachodni świat zawdzięcza osiągnięcie wyższego poziomu intelektualnego. Żeby zostać druidami, młodzi mężczyźni i kobiety studiowali nawet po dwadzieścia lat, aż stawali się chodzącymi encyklopediami. Diogenes uważał druidów za największych filozofów na świecie. Wśród druidów było wiele kobiet, które stawały się boginiami czczonymi w całej kulturze celtyckiej.

Dirk wzruszył ramionami.

– Druidyzm był patetyczną iluzją. I złem. Kiedyś składano ludzi w ofierze, teraz wy ich mordujecie i przechodzicie nad tym do porządku dziennego, jakby ci ludzie w ogóle nigdy nie istnieli. Druidyzm skończył się wieki temu i nie chcecie się z tym pogodzić.

– Jak większość mężczyzn, ma pan sieczkę zamiast mózgu. Druidyzm jest wprawdzie koncepcją antyczną, ale równie trafną i żywą dziś, jak pięć tysięcy lat temu. Nie zdaje pan sobie sprawy, panie Pitt, że przeżywamy jego renesans. Druidyzm to ponadczasowa mądrość. Duchowość i charyzma. Dlatego odradza się na całym świecie.

– Nadal składa się ofiary z ludzi?

– Jeśli wymaga tego rytuał.

Dirk wzdrygnął się na myśl, że te kobiety naprawdę w to wierzyły i brały udział w religijnych obrzędach, usprawiedliwiających, ich zdaniem, popełnione morderstwa. Obawiał się, że jeśli on i Summer nie uciekną z wyspy, spotka ich taki sam los. Popatrzył na lśniący blat stołu, odzyskał kontrolę nad swymi emocjami i zauważył długi metalowy karnisz. Uznał, że byłaby to niezła broń.

– Dzięki temu – ciągnęła Epona – że moje siostry i ja trzymamy się zasad druidyzmu, rozkręciłyśmy ogromny interes o światowym zasięgu. Działyśmy w branży nieruchomości, konstrukcyjnej i budowlanej, w których tradycyjnie dominują mężczyźni. Ale okazało się, że możemy być lepsze od nich pod każdym względem. Stworzyłyśmy tak potężne imperium ekonomiczne, że niedługo będziemy kontrolowały gospodarkę większości zachodnich krajów. Zapewni nam to technologia produkcji ogniw paliwowych.

– Każdą technologię można kiedyś skopiować. Nikt, nawet wasze imperium, nie zdoła zachować długo monopolu. Jest wielu zdolnych naukowców i wiele pieniędzy na ulepszenie waszego modelu.

– Wszyscy zostali na starcie daleko za nami – odrzekła spokojnie Epona. – Kiedy ruszy nasza operacja, będzie za późno.

– Niestety nie wiem, o czym pani mówi. Jaka operacja?

– Pańscy przyjaciele w NUMA wiedzą.

Dirk słuchał tylko jednym uchem. Był zaintrygowany tym, że żadna z trzech pozostałych kobiet siedzących przy stole przez cały czas nie odezwała się nawet słowem, siedziały niczym eksponaty w muzeum figur woskowych. Przyjrzał się im, żeby sprawdzić, czy nie są pod wpływem narkotyków. Nie wyglądało na to, domyślił się, że są całkowicie podporządkowane Eponie, jakby przeszły pranie mózgu.

– Najwyraźniej nie raczyli mnie poinformować. Nie słyszałem o waszej operacji.

– Działając z moimi zaleceniami, pan Specter... – Epona urwała. – Wie pan coś o nim?

– Tylko to, co czytałem w gazetach – skłamał Dirk. – To jakiś bogaty ekscentryk, jak Howard Hughes.

– Odyssey zawdzięcza sukces jego geniuszowi. Nasze osiągnięcia zawdzięczamy jego nieprzeciętnej inteligencji.

– Miałem wrażenie, że pani jest mózgiem tego wszystkiego.

– Moje siostry i ja wykonujemy polecenia pana Spectera.

Ktoś zapukał. Do pokoju weszła blondynka w zielonym kombinezonie, okrążyła stół, wręczyła Eponie jakąś kartkę i wyszła. Epona przeczytała wiadomość, wyraz arogancji zniknął nagle z jej twarzy, zastąpiło go przerażenie. Uniosła ręce do ust, wyglądała teraz tak, jakby otrzymała potężny cios.

– To z naszego biura w Managui – oznajmiła w końcu zdławionym głosem – obsunął się wulkan Concepcion na wyspie Ometepe. Nasz ośrodek badawczy i tunele zostały całkowicie zniszczone.

Kobiety przyjęły tę wiadomość z zaskoczeniem i rozpaczą.

– Wszystko przepadło? – zapytała z niedowierzaniem jedna z nich.

Epona powoli skinęła głową.

– To zostało potwierdzone. Kompleks spoczywa teraz na dnie jeziora Nikaragua.

– Wszyscy zginęli? – zapytała inna kobieta. – Nikt nie przeżył?

– Wszystkich pracowników uratowały łodzie na jeziorze i helikoptery amerykańskich sił specjalnych, które zaatakowały naszą centralę. Nasze siostry dzielnie broniły biurowca, ale wszystkie zginęły.

Epona wstała, wzięła Summer za ramię i podniosła ją z krzesła. Potem obie ruszyły wolno do drzwi – jedna jak w transie, druga jak w koszmarnym śnie. Epona odwróciła się, wykrzywiła czerwone wargi w złośliwym uśmiechu i lekko przechyliła głowę w kierunku Dirka.

– Niech pan się rozkoszuje ostatnimi godzinami życia, panie Pitt.

Dirk zerwał się z miejsca, przewrócił krzesło i ruszył w jej stronę z morderczym błyskiem w oczach. Drzwi się otworzyły, wpadła przez nie blondynka i przystawiła mu lufę pistoletu do skroni. Zatrzymał się w pół kroku, kipiąc z wściekłości.

– I niech pan się pożegna z siostrą – dodała Epona. – Już pan z nią nigdy nie będzie rozmawiał.

Otoczyła Summer ramieniem i wyprowadziła z pokoju.

Słońce prażyło asfalt przed prywatnym terminalem międzynarodowego portu lotniczego w Managui. Pitt i Giordino stali na zadaszonym patio i przyglądali się lądującemu odrzutowcowi NUMA. Pilot posadził maszynę i podkołował do budynku. W momencie kiedy zatrzymał samolot, drzwi otworzyły się od wewnątrz i na ziemię zszedł Rudi Gunn.

– O, nie... – jęknął Giordino. – Czulem, że tak będzie. Nie wracamy do domu.

Gunn nie podszedł do nich, lecz przywołał ich gestem ręki do siebie. Gdy się zbliżyli, powiedział szybko:

– Wskakujcie na pokład. Nie mamy chwili do stracenia.

Pitt i Giordino bez słowa wrzucili bagaże do ładowni. Ledwo usiedli i zatrzasnęli klamry pasów, zaryczały turbiny, citation pomknął po pasie startowym i uniósł się w powietrze.

– Niech zgadnę – odezwał się oschłym tonem Giordino. – Zostajemy na zawsze w Nikaragui.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał Gunna Pitt.

– Dirk i Summer zniknęli – odrzekł bez wstępów Gunn.

– Zniknęli? – powtórzył Pitt z nagłym błyskiem niepokoju w oczach. – Gdzie?

– W Gwadelupie. Admirał wysłał ich na przybrzeżną wyspę na poszukiwanie szczątków floty Odyseusza, która podobno zatoniła tam w drodze z Troi.

– Mów dalej.

– Charles Moreau, nasz przedstawiciel w tamtej części Karaibów, zadzwonił ostatniej nocy z wiadomością, że stracił łączność z twoimi dziećmi. Wielokrotnie próbował się z nimi skontaktować, ale bez skutku.

– Był tam sztorm?

Gunn pokręcił głową.

– Pogoda była idealna. Moreau wynajął samolot i poleciał nad wyspę Branwen, gdzie wybrali się Dirk i Summer. Ich łódź zaginęła bez śladu i nie zauważył ich na wyspie ani

wokół niej.

Pitt poczuł nagle na sercu wielki ciężar. Nie dopuszczał do siebie myśli, że jego dzieci mogły zginąć lub są ranne. Przez moment nie wierzył, że coś im się stało, ale potem spojrzał na milczącego Giordina i zobaczył na jego twarzy głęboki niepokój.

– I teraz tam lecimy – domyślił się.

Gunn przytaknął.

– Wylądujemy na Gwadelupie. Moreau załatwił helikopter, który zabierze nas na Branwen.

– Masz jakieś podejrzenia, co się mogło z nimi stać? – zapytał Giordino.

– Wiem tylko to, co powiedział mi Moreau.

– Co to za wyspa? Zamieszкана? Jest tam wioska rybacka?

Gunn zrobił ponurą minę.

– To teren prywatny – powiedział.

– Czyj?

– Kobiety o nazwisku Epona Eliades.

Na twarzy Pitta pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Epona? – powtórzył z niepokojem w głosie. – Teraz wszystko jest jasne.

– Hiram Yaeger sprawdził ją dokładnie. Eliades zajmuje wysokie stanowisko w Odyssey, jest prawą ręką Spectera. – Gunn urwał i spojrzał na Pitta. – Znasz ją?

– Spotkaliśmy się przelotnie, wtedy gdy Al i ja uratowaliśmy Lowenhardtów i schwytaliśmy Flidais. Wyglądało na to, że jest kimś ważnym w Odyssey. Ale myślałem, że może zginęła podczas walki w ośrodku badawczym na Ometepe.

– Najwyraźniej wymknęła się stamtąd przed zniszczeniem kompleksu. Sandecker poprosił CIA, żeby ją wytropiła. Jeden z ich agentów zameldował, że satelita wykrył jej prywatny samolot w czasie podchodzenia do lądowania na wyspie Branwen.

Pitt z trudem ukrywał zdenerwowanie. W końcu powiedział ze spokojną pewnością siebie i pełnym przekonaniem:

– Jeśli Epona zrobi moim dzieciom coś złego, nie dożyje emerytury.

Zmierzch przeszedł w ciemność, gdy odrzutowiec NUMA wylądował na Gwadelupie i podkołował do prywatnego hangaru. Pitt, Giordino i Gunn wyszli z samolotu. Moreau stał obok obsługi naziemnej, przedstawił się i zaprowadził ich szybko do helikoptera czekającego niecałe trzydzieści metrów dalej.

– Stary Bell JetRanger! Dawno takiego nie widziałem! – zachwycił się pięknie odrestaurowaną maszyną Giordino.

– Jest używany do lotów dla turystów – wyjaśnił Moreau. – Spieszyłem się i tylko taki udało mi się załatwić.

– Wystarczy w zupełności – odrzekł Pitt.

Wrzucił do środka worek marynarski, wdrapał się do helikoptera, przeszedł do kokpitu i porozmawiał krótko z pilotem. Sześćdziesięcioletni Gordy Shepard wylatał wiele tysięcy godzin na przeszło dwudziestu różnych maszynach, miał czarne oczy i starannie uczesane gęste siwe włosy. Był kiedyś pierwszym pilotem w dużych liniach lotniczych. Kiedy jego żona zmarła na raka, przeszedł na emeryturę i przeniósł się do Gwadelupy, gdzie latał na pół etatu z turystami.

– Dawno nie próbowałem takiego manewru – powiedział po wysłuchaniu instrukcji Pitta.  
– Ale chyba mi się uda.

– Jeśli nie – odrzekł z uśmiechem Pitt – mój przyjaciel i ja uderzymy w wodę z siłą kul armatnich.

Gunn podziękował Moreau i zamknął drzwi. Rotor zaczął się wolno obracać, nabrał szybkości i pilot uniósł maszynę z ziemi.

Pokonanie czterdziestu trzech kilometrów z lotniska do wyspy zajęło niecałe piętnaście minut. Na prośbę Pitta pilot leciał nad wodą bez świateł. Nocny lot nad morzem przypominał siedzenie z opaską na oczach w szafie zaklejonej taśmą samoprzylepną. Shepard kierował się ku latarni morskiej na wyspie i leciał po linii prostej w stronę południowego brzegu.

Z tyłu, w kabinie pasażerskiej, Pitt i Giordino otworzyli worek marynarski i wyjęli skafandry neoprenowe oraz twarde gumowe bury. Nie włożyli akwalungów, masek ani płetw, tylko pasy balastowe do kompensacji wyporności skafandrów. Pitt wziął telefon satelitarny w małej torbie wodoszczelnej przypasanej mocno do brzucha. Przeszli do tyłu kabiny i otworzyli właz ładunkowy.

Pitt skinął Gunnowi głową.

– Okay, Rudi, zadzwonię, gdybyśmy musieli się szybko ewakuować.

Gunn uniósł swój telefon i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie wypuszczę go z ręki, dopóki mi nie powiesz, żebym zabrał z wyspy ciebie, Ala i dzieciaki.

Pitt nie w pełni podzielał optymizm Gunna, ale był mu wdzięczny za zaufanie, jakie mu okazał. Podniósł słuchawkę pionowego telefonu na przegrodzie i zawołał do pilota:

– Z tyłu wszystko gra.

– Przygotujcie się – poinstruował Shepard. – Za trzy minuty będziemy nad portem. Jesteście pewni, że woda ma wystarczającą głębokość do nurkowania?

– Do skoku – poprawił go Pitt. – Jeśli zaprogramował pan właściwe współrzędne GPS i będzie się pan ich trzymał, nie powinniśmy uderzyć w dno.

– Postaram się – obiecał Shepard. – Potem razem z waszym przyjacielem, panem Gunnem, zamarkujemy lot w kierunku następnej pobliskiej wyspy, zawrócimy i będziemy czekali na wasze wezwanie.

– W porządku.

– Powodzenia, panowie – zakończył Shepard, przerwał połączenie z kabiną pasażerską,



wyprostował się w swoim fotelu z rękami i nogami na sterach i skupił całą uwagę na manewrze, który miał wykonać.

Ciemna wyspa wyglądała na bezludną, świeciła się tylko latarnia morska. Pitt widział niewyraźne kontury budynków i repliki Stonehenge na lekkim wzniesieniu na środku Branwen. Operacja była ryzykowna. Ale Shepard wydawał się spokojny niczym siedzący w łoży na Derbach Kentucky gangster, który wie, że najszybszy koń przegra gonitwę, bo przekupił dżokeja.

Shepard podprowadził maszynę od strony morza nad środek farwateru prowadzącego do portu. Pitt i Giordino stali z tyłu przy włączniku ładunkowym. Stary Bell JetRanger leciał z szybkością ponad stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy Shepard poruszył rękami i nogami na sterach, opuścił ogon maszyny, gwałtownie wyhamował do zera i obrócił helikopter w prawo, żeby Pitt i Giordino mogli bezpiecznie wyskoczyć w ciemność. Potem poleciał przed siebie, znów nabrał szybkości, okrążył wyspę i skierował się nad morze. Cały manewr wykonał bezbłędnie.

Pitt i Giordino wstrzymali oddech i opadli dziesięć metrów, zanim uderzyli w wodę. Ich zamiar, żeby skoczyć nogami w dół zniweczył nagły przechył helikoptera. Koziółkowali w powietrzu skuleni i obejmowali ramionami kolana, żeby nie wylądować płasko na powierzchni morza. Przy takim upadku mogliby odnieść poważne obrażenia, a w każdym razie zabrakłoby im powietrza w płucach i straciliby przytomność. Skafandry neoprenowe dobrze zamortyzowały uderzenie, zanurzyli się na głębokość prawie trzech metrów, zanim wytracili szybkość.

Czując się jak po biegu między dwoma szeregami sadystów okładających ich deskami, wypłynęli na powierzchnię i zobaczyli dwa snopy światła. Reflektory omiatały wodę, dopóki nie znalazły celu. Oświetliły helikopter jak choinkę, ale Shepard był starym zawodowcem, latał w Wietnamie i przewidział, co nastąpi za chwilę. Nagle znurkował stromo ku morzu i pociski z broni automatycznej przeszły dobre trzydzieści metrów za wirnikiem ogonowym. Obrócił gwałtownie maszynę i poderwał ją do góry. Druga seria też przeleciała.

Shepard wiedział, że w swoim antyku długo się nie utrzyma, maszyna cały czas była w blasku reflektorów. Wyhamował do zera i na ułamek sekundy zawisnął w powietrzu. Ludzie na wyspie prowadzili helikopter w celownikach i strzelali przed maszyną. Pociski przeszły piętnaście metrów przed kokpitem.

Shepard zdołał się oddalić niemal na kilometr, gdy kolejna seria podziurawiła kadłub i roztrzaskała przednią szybę kokpitu. Shepard dostał w ramię, ale pocisk przebił tylko biceps i nie uszkodził kości. Gunn rzucił się przed siebie na podłogę i pocisk jedynie drasnął mu głowę. Gdyby nie padł, straciłby pół czaszki.

Pitt odetchnął z ulgą, kiedy helikopter znalazł się poza zasięgiem ognia z wyspy i zniknął w ciemności. Nie miał pojęcia, czy Gunn i Shepard odnieśli rany, ale wiedział, że nie będą

mogli wrócić, dopóki trwa ostrzał.

– Musimy zgasić te reflektory, bo inaczej nie wrócą po nas – powiedział Giordino, unosząc się leniwie na plecach, jakby pływał w swoim basenie.

– Zajmiemy się tym drobnym problemem, gdy znajdziemy Dirka i Summer.

Pitt wpatrywał się w wyspę. Miał pewny głos człowieka, który widzi coś, czego nie dostrzegają inni. Snopy światła obniżyły się i zaczęły przeszukiwać wodę w porcie.

Pitt i Giordino zanurkowali pod powierzchnię. Nie musieli się wzajemnie ostrzegać, po latach bliskiej znajomości rozumieli się bez słów. Na głębokości trzech metrów Pitt odwrócił się na plecy i spojrzał w górę. Jasne światło docierało pod wodę jak blask słońca. Kiedy tylko reflektory przesunęły się dalej, Pitt i Giordino wynurzyli się, żeby złapać oddech. Byli pod powierzchnią ponad minutę, ale żaden nie chwycił gwałtownie powietrza. Potrafili nurkować bez akwalungów.

Popłynęli pod wodą do brzegu odległego o sto metrów. Po drodze uważnie obserwowali reflektory i wynurzali się, by nabrać powietrza, kiedy światło było daleko. W końcu reflektory zgasiły i mogli płynąć na powierzchni. Po dziesięciu minutach dotknęli stopami piasku, stanęli na nogach, zrzucili pasy balastowe i ukryli się za skałami. Przez chwilę odpoczywali i oceniali sytuację.

– Dokąd teraz? – zapytał szeptem Giordino.

– Jesteśmy na południe od budynku i około dwustu metrów na wschód od repliki Stonehenge – odrzekł cicho Pitt.

– Od atrapy – poprawił go Giordino.

– Co?

– Falszywe zamki i kopie starożytnych budowli to atrapy. Pamiętasz?

– Mam to wryte w pamięci – mruknął Pitt. – Chodźmy na zwiady. Odnajdziemy reflektory i wyłączymy je z akcji. Lepiej, żeby nie oświetliły nas nagle jak zające na szosie.

Poszukiwania reflektorów zajęły im osiem minut. W ciemności omal nie wpadli na nie i obsługujących je ochroniarzy. Nie zostali zauważeni tylko dlatego, że mieli na sobie czarne skafandry i byli niemal niewidoczni w mroku, sami natomiast dostrzegli sylwetki dwóch mężczyzn: jeden leżał na plecach na piasku, drugi obserwował morze przez lornetkę noktowizyjną. Nie byli czujni, bo nie spodziewali się, że jacyś intruzi mogą ich zająć od tyłu.

Giordino wyłonił się cicho z ciemności, ale zdradził go pisk butów na gumowych podeszwach. Obserwator z lornetką odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą ruchomy cień. Chwycił karabin automatyczny oparty o podstawę reflektorów, wycelował w Giordino, lecz nie zdążył nacisnąć spustu. Pitt, który skradał się z drugiej strony, znalazł się pięć kroków bliżej niego niż Al. Wyrwał ochroniarzowi broń i dzielił go kolbą w głowę. Giordino skoczył na plażowicza i ciosem w szczękę pozbawił go przytomności.

– Nie czujesz się lepiej z bronią w ręku? – zapytał wesoło Giordino, kiedy rozbroił ochroniarzy i wręczył Pittowi jeden z karabinów.

Pitt nie odpowiedział. Otworzył soczewkowe szyby reflektorów i prawie bez hałasu rozbił żarówkę.

– Sprawdźmy dom. Potem pójdziemy do twojej „atrapy”.

Choć księżyc nie świecił, woleli nie ryzykować i poruszali się wolno i ostrożnie, ledwo widząc grunt pod nogami. Twarde gumowe buty chroniły ich stopy przed ostrymi kawałkami rafy koralowej leżącymi wśród piasku. Znaleźli pod palmą duży liść i ciągnęli go za sobą, żeby zatrzeć ślady stóp. Gdyby nie zdążyli wydostać się z wyspy przed świtem, musieliby poszukać jakiejś kryjówki do czasu, aż Moreau i Gunn zorganizują pomoc.

Duży dom w stylu kolonialnym otaczała szeroka weranda. Wspięli się na nią cicho. Przez szparę w okiennicach chroniących szyby przed porywami huraganu sączyła się pojedyncza smuga światła. Pitt podkraść się na czworakach do okna i zajrzał przez szparę do środka. Zobaczył pokój bez mebli. Wnętrze wyglądało tak, jakby od lat nikogo tu nie było.

Pitt nie widział potrzeby, żeby się dalej ukrywać. Wstał i powiedział do Giordina normalnym głosem:

– W tym domu od dawna nikt nie mieszka.

W ciemności nie mógł zobaczyć zaskoczonej miny Ala.

– To bez sensu. Właścicielka egzotycznej wyspy w Indiach Zachodnich, która nigdy tu nie bywa? To po co jej taki dom?

– Moreau mówił, że ludzie przylatują tutaj samolotami tylko w określonych porach roku. Muszą tu być inne pomieszczenia dla gości.

– Chyba pod ziemią – odparł Giordino. – Na powierzchni jest tylko ten dom, makieta i mały hangar.

– Więc po co ten uzbrojony komitet powitalny? – zastanowił się głośno Pitt. – Co Epona chce ukryć?

Odpowiedział mu nagły dźwięk dziwnej muzyki i blask kolorowych świateł, które rozblęły w środku i wokół repliki Stonehenge.

Drzwi celi Dirka otworzyły się gwałtownie i uderzyły z metalicznym dźwiękiem w odbojnik. Popołudniowy upał jeszcze nie zelżał i w ciasnym pomieszczeniu było potwornie gorąco. Strażniczka pokazała mu lufę karabinu, żeby wyszedł na korytarz. Dirk poczuł nagle zimno, jakby wszedł do lodówki. Dostał gęsiej skórki. Wiedział, że nie ma sensu o nic pytać, strażniczka nie powiedziała mu nic ciekawego.

Nie zabrała go do egzotycznie urządzonego pokoju, lecz poprowadziła długim betonowym tunelem, który wydawał się nie mieć końca. Przeszli chyba ponad kilometr, zanim dotarli do spiralnych schodów. Dirk ocenił, że wspięli się na wysokość czterech pięter. Na górze za łukowym wejściem stał wielki tron oświetlony przyćmionym złocistym blaskiem. Z mroku wyłoniły się dwie kobiety w niebieskich szatach i przypięły Dirka łańcuchami do uchwytów w fotelu. Jedna z nich zakneblowała mu usta kawałkiem czarnego jedwabiu. Potem

wszystkie trzy kobiety zniknęły w ciemności.

Nagle rozbłyły lawendowe światła i zaczęły krążyć wewnątrz niecki kamiennego amfiteatru bez miejsc dla publiczności. W nocne niebo wystrzeliły wiązki laserowe i oświetliły rzędy kolumn wokół niecki i większy zewnętrzny krąg monolitów z czarnej skały wulkanicznej. Dirk dopiero teraz zauważył wielki czarny kamienny blok w kształcie sarkofagu. Domyślił się, że to ołtarz ofiarny, napiął mięśnie i szarpnął się do przodu, ale przytrzymały go łańcuchy. Jego oczy rozwarły się z przerażenia, kiedy rozpoznał Summer, leżącą w białej szacie na ołtarzu, jakby była przyklejona do kamiennej powierzchni. Wpadł w panikę, próbował szaleńczo rozerwać łańcuchy lub wyszarpnąć uchwyty z kamiennego tronu, ale bez żadnego skutku. Przypływ adrenaliny dodawał mu siły, nic jednak nie wskórał. Musiałby mieć mięśnie czterech Arnoldów Schwarzeneggerów, żeby sobie z tym poradzić. Mimo to walczył, dopóki nie opadł z sił.

Światła nagle zgasły i wśród pionowych monolitów rozległy się dziwne dźwięki celtyckiej muzyki. Dziesięć minut później światła znów rozbłyły. W ich blasku stało trzydzieści kobiet w barwnych zwiewnych szatach. Miały lśniące rude włosy, srebrzyste punkty na ich skórze migotały jak gwiazdy. Światła zaczęły krążyć jak wiele razy przedtem i pojawiła się Epona w złocistym peplos. Podeszła do czarnego ołtarza ofiarnego, uniosła ręce i zaczęła śpiewnie recytować:

„O, córki Odyseusza i Kirke, odbierzcie życie niegodnym...”

Monotonny głos Epony ucichł, gdy pozostałe kobiety wyciągnęły do góry ramiona i odśpiewały chórem rytualną pieśń. Powtórzyły ją głośniejsz, zakończyły szeptem i opuściły ręce.

Dirk, obserwując Summer, widział wyraźnie, że wcale nie reagowała na to, co ją otaczało. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na Eponę i kolumny wokół ołtarza. W jej oczach nie było strachu. Otrzymała tak silną dawkę narkotyku, że nie zdawała sobie w ogóle sprawy, co jej groziło.

Epona sięgnęła w fałdy szaty i uniosła wysoko ceremonialny sztylet. Pozostałe kobiety wspięły się po schodach, otoczyły swoją boginię i podobnie jak ona podniosły swe sztylety ponad głowy.

Dirk patrzył na to z przerażeniem. Wiedział, że na jego oczach za chwilę rozegra się tragedia. Krzyknął z rozpacz, ale jego głos stłumił knebel.

Epona zaśpiewała pieśń śmierci:

„Tu leży ta, która nie powinna była się narodzić”.

W ruchomych światłach zalśniły ostrza sztyletów.

Epona nie zdążyła wbić sztyletu w ciało Summer. Ułamek sekundy przed zadaniem ciosu, jakby za sprawą magii, przed ołtarzem pojawiły się dwie zjawy ubrane na czarno. Na oczach zaszokowanych kobiet wysoka postać chwyciła Eponę za uniesiony nadgarstek, wykręciła jej rękę i zmusiła do wypuszczenia sztyletu z dłoni.

– Nie tym razem – powiedział Pitt. – Przedstawienie skończone.

Giordino skradał się wokół ołtarza jak kot i trzymał kobiety pod lufą na wypadek, gdyby chciały się wtrącić.

– Cofnijcie się! – rozkazał ostro. – Rzućcie noże i podejdźcie do krawędzi schodów.

Pitt przystawił Eponie karabin do piersi, a drugą ręką zaczął uwalniać Summer, przywiązaną do ołtarza pojedynczym paskiem biegnącym przez jej brzuch.

Zdezorientowane i przestraszone kobiety cofnęły się wolno i stłoczyły razem, jakby instynkt podpowiadał im, że w grupie jest bezpieczniej. Giordino nie dał się na to nabrać. Ich siostry na Ometepe walczyły z siłami specjalnymi jak tygrysy. Napiął mięśnie, gdy zobaczył, że nie zamierzają rzucić sztyletów i zaczynają go okrążyć. Wiedział, że to nie pora na uprzejmości, nie miał czasu prosić grzecznie, żeby się poddały. Wycelował starannie w kolczyk w lewym uchu kobiety o wyglądzie przywódczyni i nacisnął spust.

Strzelił i zeszywniał. Kobieta nie zareagowała, jakby nie czuła bólu. Nawet nie dotknęła krwawiącego ucha i nadal wpatrywała się w niego wściekłym wzrokiem.

Pitt odpinał jeszcze pasek krępujący Summer.

– Potrzebuję pomocy – warknął przez ramię Giordino. – Te wariatki zaraz się na mnie rzucą.

– I zlecą się tu ochroniarze, kiedy się zorientują, że coś nie gra.

Pitt podniósł wzrok. Trzydzieści rudych fanatyczek zbliżało się z powrotem do ołtarza. Strzelanie do kobiet kłóciło się z jego wychowaniem i manierami, ale stawką było nie tylko życie ich obu. Wiedział, że jeśli nie powstrzyma sióstr Epony, zginą jego dzieci. Stado

wilków okrążało parę lwów. Karabiny przeciwko sztyletom. Stosunek sił jeden do pięciu dawałby jeszcze przewagę jemu i Giordino. Ale jeden przeciwko piętnastu? Nie wyglądało to dobrze.

Pitt przerwał uwalnianie Summer. W tym samym momencie Epona wyrwała nadgarstek z jego uścisku i przecięła mu głęboko dłoń ostrym sygnetem. Złapał ją za rękę i spojrzał na jej palec. Tanzanit na sygnecie miał kształt konia z Uffington. Pitt zignorował ból i odepchnął ją, po czym uniósł karabin.

Nie potrafił zabić kobiet, ale mógł je przynajmniej okaleczyć, żeby uratować od śmierci najbliższego przyjaciela i własne dzieci. Strzelił cztery razy. Pociski trafiły cztery kobiety w nogi. Wszystkie upadły z okrzykami bólu, pozostałe zawahały się, ale nie zatrzymały, zaczęły nacierać z wściekłością i fanatyzmem w oczach, wymachując groźnie sztyletami.

Giordino też nie mógł się zmusić do zabicia kobiet. Poszedł w ślady Pitta i zaczął wolno i metodycznie strzelać im w nogi. Trafił pięć, zwały się jak kłody.

– Stać! – krzyknął Pitt. – Bo będziemy strzelali tak, żeby zabić.

Te, które jeszcze nie odniosły ran, przystały i spojrzały w dół na swoje siostry wijące się z bólu u ich stóp. Jedna z nich, w srebrzystej szacie, uniosła wysoko sztylet i wypuściła go z ręki. Upadł z brzękiem na kamienną podłogę. Pozostałe kolejno poszły jej śladem.

– Zajmijcie się swoimi rannymi!

Pitt szybko uwolnił Summer. Giordino trzymał kobiety pod lufą i obserwował, czy nie nadbiegają ochroniarze. Zaklął, kiedy się zorientował, że w zamieszaniu uciekła Epona. Pitt zobaczył, że Summer nie jest w stanie iść i zarzucił ją sobie na ramię. Podszedł do tronu i szybko rozerwał lufą karabinu uchwyt łańcuchów krepujących Dirka.

Dirk wyciągnął z ust knebel.

– Tato... – wysapał – skąd się tu wzięliście, na Boga?

– Można powiedzieć, że spadliśmy z nieba – odrzekł Pitt i uściskał syna.

– W samą porę. Jeszcze kilka sekund i... – Dirkowi załamał się głos.

– Teraz musimy się stąd wydostać. – Pitt przyjrzał się szklistym oczom Summer. – Co jej jest?

– Te druidzkie wiedźmy naszprycowały ją jakimś narkotykiem.

Pitt bardzo pragnął schwytać Eponę, ale zniknęła bez śladu. Zostawiła swoje siostry i rozplynęła się w ciemności za kamiennym kręgiem. Wyjął telefon satelitarny z torby przy pasie i wybrał numer. Po długiej ciszy usłyszał głos Gunna:

– Dirk?

– Jaką macie sytuację? – zapytał Pitt. – Wyglądało na to, że was trafili.

– Shepard dostał w ramię, ale niegroźnie. Obandażowałem mu ranę najlepiej jak umiałem.

– Może pilotować?

– To twarde. Nie odpuści.

– A ty?

– Oberwałem w głowę, ale podejrzewam, że bardziej ucierpiał pocisk – odparł wesoło Gunn.

– Jesteście w powietrzu?

– Tak, około pięciu kilometrów na północ od wyspy – odpowiedział Gunn i zapytał z wahaniem: – Co z Dirkiem i Summer?

– Są cali i zdrowi.

– Dzięki Bogu. Chcecie, żebyśmy was zabrali?

– Czekamy na was.

– Co znaleźliście na wyspie?

– Później ci powiem.

Pitt wyłączył telefon i spojrzał na Summer. Dochodziła do siebie. Giordino i Dirk spacerowali z nią tam i z powrotem, żeby odzyskała prawidłowe krążenie. Oczekując na przybycie helikoptera, Pitt obszedł dookoła ołtarz ofiarny i próbował wypatrzeć ochroniarzy Epony, ale nie zauważył nikogo. Światła wokół kamiennych kolumn zgasły, zrobiło się ciemno i nad pogańskim amfiteatrem zapadła cisza.

Zanim przylecieli Gunn i Shepard, z pasa startowego na wyspie dobiegł huk silników odrzutowych. W powietrze uniosło się kilka samolotów, jeden po drugim. Pitt przestał się obawiać ataku ochroniarzy i zawiadomił Sheparda, że może włączyć światła lądowania. Kiedy pojawił się helikopter i zanim opadł ku ziemi, zawisnął na chwilę w powietrzu, Pitt zobaczył, że zostali sami w amfiteatrze. Wszystkie kobiety zniknęły. Patrząc na bezchmurne, rozjarzone tysiącem gwiazd niebo, zastanawiał się przez jakiś czas, dokąd mogła uciec Epona. Co zamierzała teraz, kiedy jej szatański plan, który spowodowałby cierpienie milionów ludzi, legł w gruzach pod jeziorem Nikaragua?

Będzie teraz poszukiwana, ścigana na całym świecie za przestępstwa popełnione dla swojego szefa, Spectera. Rozpocznie się śledztwo w sprawie Odyssey. Każdy aspekt działalności firmy zostanie dokładnie zbadany. W europejskich i amerykańskich sądach rozpoczną się procesy. Wątpliwe, żeby Odyssey udało się wyjść obronną ręką. A co się stanie ze Specterem? Jaką rolę odegrał w tym wszystkim? Był szefem, ponosił pełną odpowiedzialność za to, co się działo. Jakie stosunki łączyły go z Eponą? W głowie Pitta mnożyły się pytania bez odpowiedzi.

Inni rozwiążą te zagadki, powiedział sobie w końcu. Jego rola i rola Giordina na szczęście już się skończyły. Zaczął myśleć o swojej przyszłości. Oderwał wzrok od rozgwieżdżonego nieba i spojrzał na Giordina, który właśnie podszedł do niego.

– Może to niezupełnie odpowiedni moment, żeby poruszać ten temat – zaczął Giordino – ale dużo o tym myślałem. Zwłaszcza przez ostatnich dziesięć dni. Doszedłem do wniosku, że robię się za stary na to, by uganiać się po oceanach i uczestniczyć w zwariowanych przedsięwzięciach Sandeckera. Jestem już zmęczony szaleńczymi wycieczkami i eskapadami

czy ekspedycjami, które niemal rujną moje życie erotyczne. Nie mogę już robić tego wszystkiego, co dawniej. Bolał mnie stawy, a naciągnięte mięśnie regenerują się dwa razy dłużej niż kiedyś.

– Więc o co ci chodzi? – uśmiechnął się Pitt.

– Admirał ma do wyboru: albo awansuje mnie na szefa działu podwodnego sprzętu technicznego, albo mnie straci. Znajdę sobie ciepłą posadkę w jakiejś firmie inżynierii morskiej. Wezmę każdą robotę, przy której nie będą do mnie strzelali.

Pitt odwrócił się i patrzył przez długą chwilę na niespokojne czarne morze. Potem spojrzał na swoje dzieci; Dirk właśnie pomagał Summer wejść do helikoptera. To oni byli jego przyszłością.

– Wiesz co – powiedział w końcu. – Czytasz w moich myślach.



**CZEŚĆ V**

**ZDEMASKOWANY**

**11 września 2006**

**Waszyngton**

Minęły trzy dni od powrotu Pitta i dzieci do jego hangaru. O dziewiątej rano Pitt dobrał krawat do swojego jedyne go trzyczęściowego czarnego garnituru w prążki. Zapiął kamizelkę, wsunął do kieszonki stary złoty zegarek z dewizką, przeciągnął złoty łańcuszek przez dziurkę od guzika i włożył do drugiej kieszonki. Rzadko się tak ubierał, ale to był naprawdę wyjątkowy dzień.

Szeryfowie federalni zatrzymali Spectera, kiedy jego pilot popełnił błąd – w drodze do Montrealu wylądował w stolicy Portoryko, San Juan, żeby zatankować samolot. Wręczyli mu wezwanie do stawienia się przed komisją kongresową badającą jego operacje górnicze w Stanach Zjednoczonych i zabrali go do aresztu w Waszyngtonie, żeby nie mógł uciec do innego kraju. Ponieważ swój plan zamrożenia Europy i Ameryki Północnej realizował za granicą, prokurator federalny nie mógł go oskarżyć. Komisja miała związane ręce. Istniała tylko niewielka szansa na to, że uda się go postawić przed sądem. Można było tylko ujawnić jego ciemne interesy i zakazać mu dalszej działalności w Stanach Zjednoczonych.

Epony nie dało się wytropić, zniknęła bez śladu. Komisja miała przesłuchać Spectera również w tej sprawie.

Pitt po raz ostatni przejrzał się w starym pionowym lustrze pochodzącym z luksusowej kajuty starego parowca. W waszyngtońskim tłumie wyróżniałby się tylko szaro-białym krawatem. Był starannie uczesany, mimo nieprzespanej, spędzonej z Loren nocy zielone oczy skrzyły mu się jasnym blaskiem jak zawsze. Podszedł do biurka i podniósł sztylet z wąskim ostrzem i wysadzaną rubinami oraz szmaragdami rękojeścią, który odebrał Eponie na wyspie Branwen. Wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Zszedł po spiralnych ozdobnych żelaznych schodach na parter, gdzie stały zabytkowe samochody i samoloty. Przed głównym wejściem czekał navigator NUMA. Dużym SUV-em trudno było jeździć po zatłoczonych ulicach Waszyngtonu, ale Pitt lubił go prowadzić. Kolor i

lity NUMA wskazywały, że to pojazd agencji rządowej, i pozwalały na parkowanie w miejscach niedostępnych dla samochodów prywatnych.

Pitt pojechał przez most do centrum miasta i zatrzymał się na rządowym parkingu dwie przecznice od Kapitolu. Wspiął się po wielkich schodach do budynku pod kopułą i według wskazówek Loren poszedł w kierunku sali, w której odbywało się przesłuchanie. Nie chciał wchodzić drzwiami dla prasy i publiczności, dotarł więc korytarzami do strzeżonego wejścia dla członków komisji Izby Reprezentantów, ich doradców i prawników.

Wręczył strażnikowi kartkę i poprosił o przekazanie jej parlamentarzystce Loren Smith.

– Nie mogę – odrzekł mężczyzna w szarym mundurze.

– To bardzo ważne – powiedział autorytatywnym tonem Pitt. – Mam kluczowy dowód dla niej i dla komisji.

Pitt wyjął legitymację NUMA, żeby pokazać strażnikowi, że nie jest kimś z ulicy. Mężczyzna porównał zdjęcie z jego twarzą, skinął głową, wziął kartkę i wszedł do sali.

Dziesięć minut później, podczas przerwy w przesłuchaniu, na korytarz wyszła Loren i uniosła kształtne brwi.

– O co chodzi? – zapytała.

– Muszę wejść na salę – wyjaśnił Pitt.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Możesz wejść drzwiami dla publiczności.

– Mam dowód, który zdemaskuje Spectera.

– Daj mi go, pokażę komisji.

Pitt pokręcił głową.

– Muszę to zrobić osobiście.

– Nie możesz – zaprotestowała Loren. – Nie jesteś na liście świadków.

– Zrób wyjątek – nalegał Pitt. – Poproś przewodniczącego.

Popatrzyła mu w oczy, ale nie udało się jej nic z nich wyczytać.

– Dirk, nie mogę. Musisz mi powiedzieć, o co chodzi.

Strażnik stał w pobliżu i przysłuchiwał się ich rozmowie. Drzwi powinny być zamknięte na klucz, ale były lekko uchylone. Dirk złapał Loren za ramiona, obrócił szybkim ruchem i pchnął na strażnika. Zanim oboje zdążyli mu przeszkodzić, dał nura do sali i pomaszerował szybko przejściem między siedzącymi kongresmanami i ich doradcami. Nikt nie zaprotestował ani nie próbował go zatrzymać, gdy zszedł po krótkich schodach na poziom dla świadków i publiczności. Stał przed stołem, przy którym siedział Specter w otoczeniu swoich adwokatów.

Kongresman z Montany, Christopher Dunn, zastukał młotkiem.

– Przeszkadza pan w bardzo ważnym śledztwie. Muszę pana prosić o natychmiastowe opuszczenie sali albo każę strażnikom wyprowadzić pana.

– Jeśli pozwoli mi pan zostać, skieruję to śledztwo na zupełnie inne tory.

Dunn wykonał gest w kierunku umundurowanego mężczyzny, który wbiegł za Pittem do sali.

– Wyprowadzić go!

Pitt wyciągnął sztylet i wycelował ostrze w strażnika. Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku. Sięgnął powoli po broń, ale zawahał się, kiedy Pitt przystawił mu sztylet do piersi.

– Niech pan pozwoli mi zostać – powiedział Pitt do kongresmana. – Przekona się pan, że warto było mnie wysłuchać.

– Kim pan jest? – zapytał ostro Dunn.

– Synem senatora George’a Pitta. Nazywam się Dirk Pitt.

Dunn zastanawiał się przez chwilę, w końcu skinął głową w kierunku strażnika.

– W porządku. Chcę usłyszeć, co pan Pitt ma do powiedzenia. – Potem spojrzał na Pitta.

– Niech pan odłoży ten nóż. Daję panu dokładnie minutę na wyjaśnienie, o co panu chodzi. I niech pan lepiej mówi z sensem albo za godzinę będzie pan za kratkami.

– Zaareztowałyby pan syna szanowanego senatora? – zapytał żartobliwym tonem Pitt.

Dunn wyszczerzył zęby w chytrym uśmiechu.

– Jest republikaninem, a ja demokratą – wyjaśnił.

– Dziękuję panu – odrzekł Pitt. Położył sztylet na stole i stanął naprzeciwko Spectera. Grubas siedział spokojnie i nie odzywał się. Był jak zwykle w białym garniturze i ciemnych okularach przeciwsłonecznych, dolną połowę twarzy miał zasłoniętą szalikiem. – Mógłby pan wstać, panie Specter?

Jeden z adwokatów Spectera nachylił się do mikrofonu ustawionego na stole.

– Muszę stanowczo zaprotestować przeciwko obecności tego człowieka w tej sali. Pan Specter nie ma obowiązku go słuchać.

– Boi się? – zapytał drwiąco Pitt. – Strach go obleciał? Taki z niego tchórz? – Urwał i popatrzył prowokacyjnie na Spectera.

Specter połknął przynętę. Był zbyt butny i pewny siebie, nie miał zamiaru ignorować obelg Pitta. Położył rękę na ramieniu swojego adwokata, żeby go uciszyć, i wolno uniosł wielkie cielsko z krzesła.

Pitt skłonił się lekko z uśmiechem satysfakcji.

Nagle, zanim ktokolwiek zdążył sobie zdać sprawę, co zrobił, chwycił sztylet, wbił po rękojeść w brzuch Spectera i rozciął mu biały garnitur.

W sali rozległy się głośne okrzyki mężczyzn i przeraźliwe wrzaski kobiet. Strażnik rzucił się w kierunku Pitta, ale Pitt był na to przygotowany, wykonał szybki unik, podciął mu nogi i strażnik wyładował na podłogę. Pitt wbił sztylet w stół przed Specterem i cofnął się z zadowoloną miną.

Loren chwilę wcześniej zerwała się z miejsca i krzyczała coś do Pitta. Teraz nagle zamilkła. Jedna z pierwszych zauważyła, że Specter w ogóle nie krwawi.

Na stół powinny wypłynąć wnętrzności i krew, lecz na białym garniturze nie pojawiła się

nawet niewielka choćby czerwona plama. Po chwili ponad sto zaszokowanych osób uświadomiło sobie to samo, co Loren.

Pobladły kongresman Dunn patrzył w dół na Spectera i walił młotkiem jak szalony.

– Co tu się dzieje?! – krzyczał.

Pitt bez przeszkód z niczyjej strony okrążył stół, zdjął Specterowi okulary przeciwsłoneczne i rzucił je niedbale na podłogę. Potem zerwał mu kapelusz i szalik i cisnął na stół.

Wszyscy obecni w sali zaczerpnęli gwałtownie powietrza, gdy na ramiona Spectera opadły długie rude włosy.

Pitt podszedł do kongresmana Dunna.

– Pozwoli pan, że przedstawię Eponę Eliades, znaną również jako Specter, założycielkę firmy Odyssey.

Duhn podniósł się z miejsca.

– Ta kobieta to naprawdę Specter? – zapytał oszołomiony. – Nie jakiś przebieraniec?

– To oryginał – zapewnił go Pitt i odwrócił się do Epony. – Może to dziwnie zabrzmie, ale brakowało mi ciebie – powiedział sarkastycznym tonem.

Powinna trząść się ze strachu jak mysz na widok węża. Ale stała dumnie wyprostowana i nie odpowiedziała Pittowi. Nie musiała. Jej oczy płonęły ogniem, wargi zacisnęły się szczelnie. Pogardy i nienawiści, jakie wykrzywiały jej twarz, wystarczyły do wywołania rewolucji. Potem stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Wściekła mina nagle zniknęła i Epona bardzo wolno zaczęła zdejmować przecięty sztyletem biały garnitur. Po chwili została tylko w białej obcisłej jedwabnej minisukience bez ramiączek. Rude włosy spływały kaskadą na jej nagie ramiona. Wyglądała niezwykle pięknie.

Był to widok, jakiego komisja i publiczność na tej sali nigdy dotąd nie widziały i nie zobaczyły też już nigdy w przyszłości.

– Wygrał pan, panie Pitt – powiedziała cicho Epona. – Czuje się pan jak zwycięzca? Myśli pan, że dokonał pan cudu?

Pitt wolno pokręcił głową.

– Nie. Ani jedno, ani drugie: Ale jestem zadowolony. Przeszkodziłem pani w próbie zrujnowania życia milionom ludzi. Mogła pani udostępnić światu nowoczesną technologię produkcji ogniów paliwowych. Tunele pod Nikaraguą skróciłyby czas i zmniejszyły koszty transportu ładunków, byłyby konkurencją dla Kanału Panamskiego. Ale pani chciała do spółki z obcym państwem zdobyć tylko pieniądze i władzę.

Epona, która po mistrzowsku panowała nad swoimi emocjami, nie zamierzała z nim dyskutować, uśmiechnęła się tylko złowrogo. Wszyscy obecni zapamiętali na zawsze jej egzotyczny, zniewalający kobiecy magnetyzm.

– Ładnie powiedziane, ale to słowa bez znaczenia, panie Pitt. Gdyby nie ty, mogłabym zmienić bieg historii. To było moim celem.

– Niewielu zmartwi ta porażka – odparł lodowatym tonem Pitt.

Dopiero teraz zauważył w jej hipnotyzujących oczach wyraz desperacji. Wyprostowała się i odwróciła w stronę komisji.

– Róbcie ze mną, co chcecie, ale niełatwo będzie mnie o coś oskarżyć.

Dunn wskazał młotkiem dwóch mężczyzn w ostatnim rzędzie.

– Proszę szeryfów federalnych o zabranie tej kobiety do aresztu.

Adwokaci Epony natychmiast zerwali się z miejsc i zaprotestowali. Przypomnieli Dunnowi, że kongresman nie ma prawa nikogo aresztować. Dunn zmiażdżył ich wzrokiem.

– Ta osoba popełniła przestępstwo, dopuszczając się oszustwa przed tą komisją. Jest zatrzymana do dyspozycji prokuratora generalnego, który podejmie odpowiednie działania prawne po zapoznaniu się z jej sprawą.

Szeryfowie wzięli Eponę za ramiona i poprowadzili ku drzwiom. Zatrzymała się przed Pittem i popatrzyła na niego drwiąco, ale bez złości.

– Moi przyjaciele zza oceanu wyciągną mnie z tego. Jeszcze się spotkamy, panie Pitt. To nie koniec. Kiedy następnym razem wpadniesz w moje ręce, już mi się nie wymkniesz.

Pitt stłumił gniew i uśmiechnął się chłodno.

– Nie licz na następną randkę, Epono. Nie jesteś w moim typie.

Jej usta znów wykrzywiła wściekłość. Zbladła, jej oczy straciły blask, gdy szeryfowie wyprowadzali ją bocznymi drzwiami. Pitt musiał przyznać, że jest piękna. Niewiele kobiet potrafiłoby zachować w takiej sytuacji styl i wdzięk. Poczul nagły skurcz żołądka na myśl, że któregoś dnia naprawdę mógłby ją spotkać raz jeszcze.

Loren zeszła na dół i bez żenady przytuliła się do niego.

– Ty głupi wariacie. Mogli cię zastrzelić.

– Wybacz mi ten teatr, ale uznałem, że to najlepszy moment i miejsce, żeby ją zdemaskować.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Bo mogłem się mylić i nie chciałem cię w to wciągać.

– Nie byłeś pewien? – zapytała zaskoczona.

– Nie strzelałem w ciemno, ale nie miałem stuprocentowej pewności.

– Jak ją rozgryzłeś?

– Najpierw to było tylko przecucie. Kiedy tu wszedłem, wciąż miałem tylko sześćdziesiąt procent pewności. Ale kiedy stanąłem przed Specterem, wydało mi się oczywiste, że nie siedzi jak facet o wadze dwustu kilogramów. – Pitt uniósł rękę i pokazał skaleczenie na dłoni. – Rozpoznałem na jego palcu sygnet, którym Epona skaleczyła mnie na wyspie Branwen. To ją zdradziło.

Dunn przywoływał wszystkich głośno do porządku, chciał kontynuować posiedzenie. Loren pocałowała Pitta w policzek. Nie obchodziło ją, co sobie pomyśli komisja.

– Muszę wracać do pracy. Otworzyłeś puszkę Pandory i zupełnie zmieniłeś kierunek

śledztwa.

Pitt udał, że odchodzi. Nagle odwrócił się i wziął Loren za rękę.

– Czy następna niedziela to dla ciebie dobry termin?

– Na co? – zapytała niewinnie.

Wyszczrzył zęby w szatańskim uśmiechu, który tak dobrze znała.

– Na nasz ślub. Zarezerwowałem waszyngtońską katedrę.

Zostawił parlamentarzystkę z Kolorado z wyrazem oszołomienia w szarych oczach i opuścił salę.

## 11 października 2006

### Waszyngton

Nie było mowy, żeby Loren zdążyła się przygotować do ślubu w dziesięć dni. Uparła się, żeby przesunąć uroczystość o miesiąc i też ledwo starczyło jej czasu na zaplanowanie wesela, zarezerwowanie miejsca na ceremonię, przeróbki krawieckie sukni ślubnej jej matki i zorganizowanie przyjęcia w hangarze Pitta.

Ceremonia odbyła się w waszyngtońskiej katedrze na wzgórzu Mount Saint Alban, dominującym w krajobrazie miasta. Kościół Katedralny Świętego Piotra i Pawła – tak brzmi jego oficjalna nazwa – zbudowano w roku 1907, ale całkowicie ukończono dopiero w 1990. Kamień węgielny położono w obecności prezydenta Theodore’a Roosevelta. Budowla ma kształt litery T, po obu stronach wejścia u podstawy T stoją wieże. Trzecia wieża – dzwonnica – wznosi się na wysokość ponad stu metrów. Katedra ma taką samą architekturę jak europejskie sprzed ośmiuset lat i jest uważana za ostatnią prawdziwie gotycką budowlę na świecie.

Wnętrze rozjaśnia dwieście piętnaście okien, w tym wiele witrażowych. Podłogę zdobią wzory kwiatowe, sceny religijne i obrazy z historii Ameryki. Największe wrażenie robi Okno Kosmiczne. Jest w nim kawałek prawdziwej skały księżycowej.

Na ślubie było prawie pięćset osób. Z ranczo w zachodnim Kolorado przyjechali rodzice Loren, jej dwaj bracia i dwie siostry. Matka Pitta, Barbara, i jego ojciec, senator George Pitt, promienieli – ich szalony syn wreszcie się ustatkował, a żenił się z kobietą, którą oboje kochali i podziwiali. Przyszedł też admirał Sandecker, wyglądał na zadowolonego. Zjawił się Hiram Yaeger z żoną i córkami. Był Rudi Gunn, była Zerri Pochinsky, długoletnia sekretarka Pitta. Przyszło wiele innych osób, z którymi Pitt pracował w okresie swojej długiej kariery w NUMA. St. Julien Perlmutter zajmował trzy miejsca w ławce.

Zjawiła się duża część waszyngtońskiej elity: senatorowie, kongresmani, urzędnicy państwowi, politycy. Przyjechał nawet prezydent z żoną.



Druhnami Loren były jej siostry, Summer Pitt – wkrótce jej synowa – oraz Marilyn Trask, jej sekretarka od czasu pierwszej kadencji Loren w Kongresie. Drużbami Pitta byli bracia Loren, jego syn Dirk, jego stary kumpel Al Giordino i Rudi Gunn.

Loren wystąpiła w sukni ślubnej swojej matki z lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia z białej koronki połączonej z satyną, głębokim wycięciem pod szyją w kształcie litery V, haftowanym stanikiem, długimi, wąskimi, koronkowymi rękawami i trzywarstwową, satynową krynoliną. Dirk i jego drużbowie wyglądali wspaniale w białych frakach i muszkach.

Kiedy goście usiedli, chór kościelny odśpiewał okolicznościową pieśń. Potem organy zagrały tradycyjny marsz weselny. Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku przejścia między ławkami. Pitt i jego przyjaciele, stojąc przy ołtarzu, patrzyli, jak z głębi kościoła w ich stronę kroczą drużby z Summer na czele.

Rozpromieniona Loren szła pod rękę z ojcem i z uśmiechem patrzyła Pittowi w oczy.

Przy ołtarzu pan Smith odsunął się i Pitt wziął Loren pod rękę. Ślubu udzielił im wielbny Willard Shelton, przyjaciel rodziny Loren. Ceremonia była tradycyjna, bez przysięgi dozgonnej miłości składanej przez młodą parę.

Kiedy nowożeńcy szli środkiem kościoła ku wyjściu, Giordino wybiegł bocznymi drzwiami i podjechał samochodem do schodów katedry. Pitt i Loren wyszli na zewnątrz. Było piękne popołudnie, po niebie sunęły majestatycznie białe obłoki. Loren odwróciła się i rzuciła wiązanek ślubną. Złapała ją starsza córka Hirma Yaegera. Roześmiała się, zaczerwieniła i zaczęła chichotać.

Giordino czekał za kierownicą różowego marmona V-16. Pitt otworzył Loren drzwi i pomógł jej wsiąść, starając się, by suknia ślubna nie poniosła przy tym żadnego szwanku. Pomachali do tłumu w deszczu rzucanego ryżu. Giordino wrzucił pierwszy bieg i odjechał sprzed katedry. Poprowadził wielki samochód przez ogrody do Wisconsin Avenue, po czym skręcił w kierunku rzeki Potomac i hangaru Pitta, gdzie miało się odbyć przyjęcie. Szyba między przednim i tylnym siedzeniami była podniesiona i nie słyszał, co mówią Pitt i Loren.

– Ciężki obowiązek z głowy – roześmiał się Pitt.

Loren uderzyła go w ramię.

– Nasz wspaniały ślub nazywasz ciężkim obowiązkiem?

Ujął jej rękę i spojrzał na obrączkę na palcu żony. Zdobił ją trzykaratowy rubin otoczony małymi szmaragdami. Pitt dobrze wiedział, że te kamienie są pięćdziesiąt razy rzadsze niż diamenty, które są w nadmiarze na światowym rynku.

– Najpierw okazało się, że mam dwoje dorosłych dzieci, o których istnieniu nie wiedziałem, a teraz mam ukochaną żonę.

– Podoba mi się słowo „ukochana” – powiedziała cicho Loren, zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała go mocno w usta.

Pitt odsunął ją i szepnął:

– Poczekajmy z tym do miodowego miesiąca.

Roześmiała się i znów go pocałowała.

– Jeszcze mi nie zdradziłeś, dokąd pojedziemy. To niespodzianka?

– Wyczarterowałem w Grecji mały jacht żaglowy. Popływamy po Morzu Śródziemnym.

– Brzmi cudownie.

– Myślisz, że kowbojka z Kolorado może się nauczyć obsługi żagli i nawigacji?

– Przekonasz się.

Dojechali do hangaru Pitta. Giordino wyłączył pilotem alarmy i otworzył wrota, potem wprowadził marmona do środka. Pitt i Loren wysiedli z samochodu i poszli na górę do mieszkania Pitta, żeby się przebrać na przyjęcie w wygodniejsze stroje.

St. Julien wtargnął do hangaru jak rozjuszony hipopotam i zaczął wykrzykiwać rozkazy do pracowników firmy cateringowej. Pocił się w gorący, parny dzień babiego lata i wycierał chusteczką czoło. Zawołał kierownika sali w Le Curcel, trzygwiazdkowej restauracji Michelina, którego wynajął do obsługi przyjęcia.

– Chcecie podać te ostrzygi wielkości fistaszków? Nie ma mowy.

– Zaraz je wymienię – obiecał szef i szybko odszedł.

Zaczęli przyjeżdżać goście. Witano ich kalifornijskim szampanem i wskazywano im miejsca przy stołach. Częstowali się zakąskami z kilku bufetów wokół starej ozdobnej wanny z silnikiem doczepnym, w której Pitt wiele lat temu uciekł z Kuby. Srebrne podgrzewacze i chłodzone półmiski były pełne owoców morza, łącznie z jeżami morskimi i ślimakami.

Perlmutter był z siebie dumny, że wymyślił takie menu, wiedział, że najprawdopodobniej nikt inny podobnego już nigdy nie zaoferuje.

Zjawił się Sandecker i poprosił Pitta o rozmowę w cztery oczy. Weszli do gabinetu Pitta urządzonego w jednym z przedziałów pullmanowskiego wagonu. Pitt zamknął drzwi i usiadł. Sandecker zapalił cygaro wielkości krążownika i wypuścił pod sufit kłęb niebieskiego dymu.

– Wiesz, że wiceprezydent Holden jest ciężko chory – zaczął.

– Słyszałem.

– Został mu najwyżej miesiąc życia.

– Przykro mi to słyszeć – odrzekł Pitt. – Znają się z moim ojcem od trzydziestu lat. Holden to porządny facet.

Sandecker utkwiał w nim wzrok, chcąc jak najlepiej zobaczyć jego reakcję.

– Prezydent poprosił mnie, żebym wystartował razem z nim w następnych wyborach.

Pitt zmarszczył czarne, gęste brwi.

– Prezydent ma zwycięstwo w kieszeni – oznajmił. – Ale jakoś nie mogę sobie pana wyobrazić w roli wiceprezydenta.

Sandecker wzruszył ramionami.

– To łatwiejsza robota niż moja obecna.

– Tak, ale NUMA to pańskie życie.

– Jestem coraz starszy i wypaliłem się przez dwadzieścia pięć lat w tej samej pracy. Czas na zmianę. Poza tym nie jestem typem, który jako wiceprezydent będzie siedział bezczynnie. Znasz mnie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że złapię rząd za gardło i będę nim trząść.

Pitt roześmiał się.

– Wiem dobrze, że nie schowa się pan w toalecie w Białym Domu i nie będzie siedział cicho.

– Zwłaszcza w sprawach ochrony środowiska morskiego – przytaknął Sandecker. – Jak się nad tym zastanowisz, to dojdiesz do wniosku, że tam będę mógł zrobić więcej dobrego dla NUMA niż teraz w moim gabinecie za rzeką.

– A kto będzie szefem NUMA? – zapytał Pitt. – Rudi Gunn?

Sandecker pokręcił głową.

– Nie. Rudi nie chce tego stanowiska. Czuje się lepiej jako zastępca.

– Więc kogo pan wyznaczy?

Sandecker uśmiechnął się chytrze.

– Ciebie – odparł krótko.

– Mnie?! Chyba nie mówi pan poważnie. – Pitt był zaskoczony.

– Nie znam nikogo, kto miałby lepsze kwalifikacje.

Pitt wstał i zaczął spacerować po przedziale.

– Nie, nie. Nie nadaję się na administratora – powiedział.

– Codziennymi, rutynowymi sprawami zajmie się Gunn i jego zespół – wyjaśnił Sandecker. – Ty, opromieniony sławą swoich sukcesów będziesz doskonałym rzecznikiem interesów NUMA.

– Muszę to przemyśleć.

Sandecker wstał i ruszył ku drzwiom.

– Zastanów się nad tym w czasie miodowego miesiąca. Przedyskutujemy to po twoim powrocie z podróży poślubnej.

– Najpierw muszę porozmawiać o tym z Loren. Jest teraz moją żoną.

– Już z nią rozmawiałem. Jest „za”.

Pitt spojrzał na admirała z wyrzutem.

– Niezły drań z pana.

– Zgadza się – odrzekł wesołym tonem Sandecker.

Pitt wrócił na przyjęcie i wmieszał się w grupę gości. Pozował do zdjęć z Loren i rodzicami ich obojga. Rozmawiał ze swoją matką, kiedy podszedł Dirk i poklepał go w ramię.

– Tato, przy drzwiach jest jakiś facet do ciebie.

Pitt przeprosił matkę i przeszedł między starymi samochodami przez tłum gości. W progu stał mężczyzna około siedemdziesiątki z siwymi włosami i brodą, prawie tego samego wzrostu, co Pitt. Nie miał aż tak zielonych oczu, ale był w nich podobny błysk.

– Czym mogę służyć? – zapytał Pitt.

– Umówiliśmy się jakiś czas temu, że wpadnę, żeby obejrzeć pańską kolekcję samochodów. Kilka lat temu parkowaliśmy obok siebie na konkursie.

– Pamiętam! Wystawiałem wtedy stutza, a pan hispano suizę.

– Zgadza się.

Mężczyzna spojrzął na przyjęcie za plecami Pitta.

– Chyba przyszedłem w złym momencie.

Pitt był w wesołym nastroju.

– Nie, nie. To moje wesele. Zapraszam.

– To bardzo miło z pańskiej strony.

– Przepraszam, ale nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Starszy mężczyzna spojrzął na Pitta i uśmiechnął się.

– Cussler. Clive Cussler.

Pitt przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę.

– Dziwne – powiedział w zamyśleniu. – Mam wrażenie, że znamy się od dawna.

– Być może w innym wymiarze – odparł gość.

Pitt otoczył Cusslera ramieniem.

– Chodź, Clive, zanim moi goście wypiją całego szampana.

Weszli razem do hangaru i zamknęli drzwi.

## Podziękowania

*Jestem niezmiernie wdzięczny Imanowi Wilkensowi, autorowi rewelacyjnej książki Where Troy Once Stood (Gdzie kiedyś stała Troja), za wskazanie kierunku ku racjonalnemu wyjaśnieniu tajemnicy wojny trojańskiej opisanej przez Homera.*

*Pragnę również podziękować Mike'owi Fletcherowi i Jeffreyowi Evanowi Bozanicowi za fachowe informacje o podwodnych aparatach oddechowych z zamkniętym obiegiem powietrza.*